

WACŁAW LASOCKI

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA

PRZYGOTOWALI DO DRUKU
MICHAŁ JANIK I FELIKS KOPERA

TOM DRUGI
NA SYBERJI

1937
W KRAKOWIE
NAKŁADEM GMINY STOŁ. KRÓL. MIASTA KRAKOWA
PRZY UŻYCIU ZAPISU Ś. P. WACŁAWA LASOCKIEGO



WACŁAW LASOCKI

WSPOMNIENIA
Z
MOJEGO ŻYCIA

PRZYGOTOWALI DO DRUKU
MICHAŁ JANIK I FELIKS KOPERA

TOM DRUGI
NA SYBERJI

1937
W KRAKOWIE
NAKŁADEM GMINY STOŁ. KRÓL. MIASTA KRAKOWA
PRZY UŻYCIU ZAPISU Ś. P. WACŁAWA LASOCKIEGO

WACŁAW LASOCKI

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA

WACŁAW LASOCKI

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA

PRZYGOTOWALI DO DRUKU
MICHAŁ JANIK I FELIKS KOPERA

TOM DRUGI
NA SYBERJI

1934
W KRAKOWIE
NAKŁADEM GMINY STOŁ. KRÓL. MIASTA KRAKOWA
PRZY UŻYCIU ZAPISU Ś. P. WACŁAWA LASOCKIEGO

92(derecki): 93/438/9



30664/2

WYKONANO W DRUKARNI MUZEUM PRZEMYSŁOWEGO W KRAKOWIE.

I

WYJAZD NA SYBERJĘ DNIA 2/14 WRZEŚNIA 1863 ROKU. PODRÓŻ ETAPAMI I POCZTĄ WŁOŚCIAŃSKĄ DO TOBOLSKA.

Ducha męskiego niewieści aniele,
Czuwaj nade mną i zostań się przy mnie,
Aż zginę cząstką w trudu arcydziele,
Aż skonam zwrotką w poświęcenia hymnie!

Z. Krasiński „Przedświt".

. . . . . .

Dzień 2/14 września 1863 roku był dniem wymarszu naszego na Sybir! Był to poniedziałek, powszechnie za feralny uważany, dla Żytomierza zaś stały dzień wyprawiania partyj. Musieliśmy więc z tym dniem pogodzić się, chociaż to robiło wielką przykrość żonie mojej, która obok głębokiej religji odziedziczyła po naddziadach wraz z całą spuścizną obyczajową uprzedzenie do poniedziałków.

Tegoż dnia zrana wezwano nas do małego domku, przy bramie więziennej położonego, w którym widywaliśmy się z rodzinami naszemi na mocy pozwolenia władzy. Tutaj przybrano nas w stroje skazańców, zachowując wszakże konieczną tylko formalność, a więc uwolniono od wkładania bielizny i łapci skarbowych, zwanych kotami, ograniczając się jedynie na czapce i świcie, zwanej technicznie w mowie więziennej i urzędowej „armiakiem" a częściej „zipunem". Jest to długa sukmana szara, z kroju do szlafroka podobna, z dwoma ponsowemi kwadratowemi łatkami i żółtym napisem na plecach. Napis ten oznacza miejsce, skąd wysyłają, łatki zaś, podobne do dwójki karowej, stopień kary. A więc na moim zipunie napisane było po rosyjsku: „Żyt" t. j. Żytomierz i „Kat" t. j. katorżnik. Tak łatki jako też napis formowały się przez wycięcie w suknie i podszycie ich kolorami: żółtym napisu, a ponsowym kwadracików. Te dwa znaki ponsowe odróżniają katorżników od posileńców, którzy mają po jednym tylko żółtym kwadracie i napis: „Żyt", „Pos".

Strój nasz nie różnił się niczem od stroju przestępców cywilnych. Cały zaś zdradzał smutną właściwość administracji w państwie rosyjskiem, bezbrzeżną kradzież na wszelkich dostawach. Do średniej ówczesnej tuszy mojej i niezbyt wielkiego wzrostu nie zdołano dobrać stosownych rozmiarów sukmany. Rękawy były wąskie i krótkie, świta tak szczupła, że się zapiąć nie dawała, a czapki tak ciasne, że się żadna mojej głowy trzymać nie chciała. Zrobiłem mimowoli złośliwą uwagę, że przedsiębiorca widocznie był uwolniony od robienia czapek dla ludzi z głowami, bo te, co nam przymierzają, zaledwie na półgłówków starczą. Pułkownik garnizonu, który asystował przy ubieraniu nas, przerwał mi mówiąc: „Bardzo proszę, tylko bez niepotrzebnych uwag". Poczem ruszyliśmy w drogę.

Partja składała się z pięćdziesięciu kilku kryminalistów i trzech nas więźniów stanu z jednej prawie sprawy: Józefa Łagowskiego, Juljana Morzyckiego i mnie. Wszyscy trzej byliśmy skazani do ciężkich robót: Morzycki na lat 15 w kopalniach, ja na lat 10 w fortecach i Łagowski na lat 6 w fabrykach. Czapki nie trzymające się głów przyczyniały nam wciąż niemało kłopotu. Szliśmy z więzienia ulicą Cudnowską wśród licznej publiczności, bliskich, życzliwych, a w znacznej części ciekawych. Na wszystkich wszakże, nawet na obojętnych twarzach, malowało się współczucie. To nas rozrzewniło i podtrzymało w chwili tak ciężkiej, jaką było opuszczenie kraju nie wiadomo na jak długo, może na zawsze! To też, zrównawszy się na placu z kościołem pobernardyńskim, w którym właśnie w tej chwili odbywało się nabożeństwo, nie umawiając się między sobą padliśmy jednocześnie na kolana, błagając Boga o łaskę w naszem strasznem położeniu i o siły do wytrwania. Kozacy z eskorty podskoczyli narazie, chcąc nas nahajkami zachęcić do dalszej podróży, ale widząc nasz spokój i mocne postanowienie dokończenia modlitwy, dali za wygraną i pozwolili odmówić półgłosem „Pod Twoją obronę". Powstawszy, raźniejsi i silniejsi ruszyliśmy dość spiesznym krokiem przez ulicę Kijowską, otoczeni tłumem wciąż wzrastającym.

Za mostem dopiero, gdy pozostaliśmy sami, a żony nasze siadły do powozów, ja z Łagowskim i Morzyckim wtłoczyliśmy się do wózka z budką, którego mi pozwolono używać w dro-



Fig. 1. Wygnańcy w ubiorze urzędowym z workami, w których się mieści bielizna na zmianę.



Fig. 2. Józef Ezechiel Głębocki z synem Michałem.



Fig. 3. Więźniowie w Wołkach skuci za szyję, noszą wodę.

dze na zasadzie znalezionego jakoby zboczenia w prawym stawie kolanowym skutkiem rany postrzałowej, otrzymanej w pojedynku jeszcze za czasów uniwersyteckich. Dążyliśmy do pierwszego etapu we wsi Kmitowie, należącej do spadkobierców Konstantego hr. Olizara. Na połowie drogi, w marszach od etapu do etapu, partje zatrzymują się zwykle na półgodzinny wypoczynek. Zwie się to w dykcjonarzu skazańców: „Priwał". W czasie takich wypoczynków żony towarzyszące mężom mają prawo przynieść im jadło i spędzić cały ten czas z nimi. Była to dla nas uczta nielada, bo dłużej i swobodniej nie widzieliśmy się ze sobą od dnia 25 kwietnia (8 maja), a więc do dnia obecnego cztery miesiące zgórą. Ściskaliśmy się i cieszyli sobą jak dzieci, lecz te najmilsze chwile krótko trwały; dano znak do marszu i ruszyliśmy dalej.

Najniespodziewaniej zatrzymano nas przy stacji pocztowej Kmitów, na której znajdował się przypadkiem gubernator wołyński, książę Drucki Sokolnicki, jadący do Kijowa do śmiertelnie chorej córki. Oficer etapu na rozkaz zapewne gubernatora zakomenderował z konia: „Arestant Łagowskij k' naczalniku gubiernii". Józef wyskoczył z naszej kibitki i otoczony 6 bagnetami skierował się do gmachu pocztowego. Cała zaś partja nasza stała w miejscu, oczekując jego powrotu, który nastąpił po kwadransie.

Łagowski opowiedział nam, co go spotkało. Książę Drucki, gdy więźnia wprowadzono, kazał straży ustąpić, a skoro się znaleźli samotrzeć, bo syn księcia towarzyszył ojcu, przemówił uprzejmie do Łagowskiego:

— „Pragnąłem widzieć pana przed jego wymarszem na Sybir, aby zapytać, jak mógł człowiek tak rozumny jak pan a obarczony rodziną być zamieszanym do rozruchów, które nie mogły mieć nawet chwilowego powodzenia?"

Na to Łagowski odpowiedział:

— „Nie trudno służyć ojczyźnie, gdy zwycięstwo jest łatwe lub pewne. Ale prawdziwą zasługą umieć poświęcić się dla sprawy tam, gdzie tryumfy zgóry są wykluczone, a jedynym widocznym celem męczeństwo dla sprawy, jak w obecnym wypadku męczeństwo dla okazania włościanom, że się pragnęło ich dobra, a mocarstwom Zachodu, że pora się ująć za Pol-

ską, jeśli naszego losu w bliskiej przyszłości nie pragną podzielić".

— „To mrzonki bez celu, dla których poświęciłeś pan los swój i licznej rodziny swojej. Czyż po fakcie spełnionym, po uspokojeniu się namiętności, nie uznajesz jeszcze wielkiego błędu swego?"

— „Nie gorsz pan, panie jenerale, obecnego tu syna swego. Wszak i wy umieliście niegdyś bronić ojczyzny waszej od Tatarów i od wielkiego zdobywcy Napoleona, często nawet bez żadnej nadziei powodzenia! Nie godzi się więc osiwiałemu ojcu podsuwać grzeszną myśl synowi, że miłość ojczyzny tam się kończy, gdzie się kończą łatwe zwycięstwa!"

— „Widzę, że pojęć pana nie zmienię — odrzekł Drucki — pozostaje mi więc tylko życzyć mu z całej duszy zdrowia i sił fizycznych, a może więcej jeszcze moralnych, dla wytrwania w tych ciężkich próbach, jakie pan sam sobie zgotowałeś".

— „Nie Waszej Książęcej Mości i jego uprzejmym życzeniom zawdzięczać będę tę siłę w próbach, jakie mnie czekają. Da mi je spokój własnego sumienia i opieka, jaką roztoczy nade mną małżonka moja. Niemniej podtrzymywać mię będzie widok trojga dziatek, najniewinniej skazanych na towarzyszenie ojcu w jego niedoli".

Tu skłoniwszy się, wyszedł.

Nadmienię tylko, że Łagowski był przed powstaniem domowym lekarzem Druckiego, co nie zmniejszyło wcale jego zawziętości. Chciał on Łagowskiego i mnie ukarać śmiercią bez sądu i pytał się, czy mu na to pozwolą? A gdy przyszło z Kijowa zaprzeczenie, starał się wpłynąć na sędziów naszych najniekorzystniej. Cała więc komedja pożegnania wywołaną była chwilowem usposobieniem. Jechał do śmiertelnie chorej córki, a był przesądnym, co zkolei wpłynęło na chęć osłodzenia Łagowskiemu podanej mu przez siebie pigułki. Po tej nieprzewidzianej przerwie i wypoczynku partja ruszyła dalej i wkrótce stanęliśmy przed murami kmitowskiego etapu.

Nim wprowadzę czytelnika w podwoje pierwszego na drodze naszej więzienia, chcę, by się potem nie powtarzać, poświęcić słów kilka opisowi tak zwanych etapów oraz podróży więźniów na Sybir w ogólności, a w szczególności skazańców

politycznych, nadmieniając, iż to są moje osobiste wrażenia, odpowiadające pewnemu okresowi czasu i ścisłym granicom przebytych przez nas przestrzeni.

Budynki, przeznaczone na noclegi skazańców, zwane etapami, są odległe jeden od drugiego o wiorst 12 do 30 na trakcie syberyjskim i bocznych tegoż odnogach. Przestrzenie te zastosowane są z jednej strony do odległości między osadami, a tem samem do istniejących już zabudowań, które przed wzniesieniem typowych etapów służą partjom jako miejsce noclegów, z drugiej zaś przestrzeń taka stosuje się do możności przechodzenia jej pieszo w ciągu dnia bez zbytecznego znużenia, odbierającego zdolność do dalszej podróży. Etapami nazywają się budynki, gdzie się nietylko nocuje, ale gdzie i następną dobę się spędza, półetapami zaś te, gdzie się tylko nocuje, a więc budynki, noszące te dwie nazwy, następują naprzemian po sobie.

Pierwszym etapem za Żytomierzem jest Kmitów; następny w Berezówce zwie się półetapem; za nim następuje etap i znowu półetap i tak dalej, dalej, prawie bez końca na wielkim szlaku sybirskim, który licząc od Żytomierza, a kończąc na Kamczatce, przedstawia przeszło 12.000 wiorst. Na załączonej mapie Rosji i Syberji oznaczona jest droga nasza, zaś na tablicy załączonej w dodatkach spisane są etapy i półetapy, od Żytomierza do Tobolska, a następnie Irkucka, z przerwami tam tylko, gdzieśmy płynęli parostatkami, lub zdążali pocztą do ostatecznego celu podróży naszej. Do tej to szczegółowej tablicy odsyłam czytelnika, by mu poglądowo przedstawić całość naszej drogi. Uwolni mię to w ciągu opowiadania od powtarzania nazw etapów i pozwoli zwrócić uwagę na te chwile i na te miejsca, które się czemkolwiek od codzienności wyróżniły.

W początkach, dopóki partja nie była liczna, mieszczono nas prawie zawsze wraz ze skazanymi za zbrodnie w tych samych salach. Trwało to przeważnie na wyżej wymienionej przestrzeni, z małemi jedynie wyjątkami, gdzie nas lokowano oddzielnie, a czasem nawet z rodzinami. Z Żytomierza wyszliśmy we trzech, w Kijowie dodano nam dwóch, w Połtawie (gdzie partję z kilkudziesięciu więźniów osadzono i sądzono dla braku miejsca w cytadeli kijowskiej) dwudziestu kilku. Po drodze zaś

dodawano ciągle z tych, co pozostawali dla chorób; dość, że do Kazania doszliśmy już w liczbie kilkudziesięciu. Zbrodniarzy wyszło z nami około pięćdziesięciu, w Kijowie przybyło już około setki, a przybywało w każdem powiatowem i gubernjalnem mieście po kilkunastu i więcej. Zawsze więc przewaga ilościowa więźniów cywilnych nad więźniami stanu była olbrzymia i w początku przedstawiała się w stosunku 50 do 1, potem 20 do 1; następnie zaś jak 10 do 1. Za Kazaniem podróż odbywała się w warunkach nieco dogodniejszych, o czem mówić będę w czasie i miejscu właściwem.

Gdy zmierzę myślą wszystkie okropności, opiewane przez Dantego w jego podróżach fantastycznych po piekle, gdy dodam barwne a często tendencyjne opisy inkwizycji tudzież barbarzyństwa wojen, wszystkie one, chociaż daleko silniej działające na wyobraźnię, bledną wszakże chwilami w porównaniu z temi ciągłemi codziennemi udręczeniami, lata nieraz całe trwającemi, jakich doświadcza więzień stanu, odbywający etapami podróż wspólnie z kryminalistami. Aby dać o tem choć słabe wyobrażenie, zwracam uwagę na warunki, w jakich się z przerwami znajdowałem wraz z moją żoną, dobrowolnie mi towarzyszącą w podróży, trwającej dwa lata zgórą. Nie pierwszy piszę o tem, prędzej może ostatni. Zbudowana świeżo kolej syberyjska z jednej strony, z drugiej usiłowania prawodawstwa do zastąpienia innemi karami deportacyj, mogą opowiadania czasów minionych o podróżach etapami zamknąć na zawsze.

W roku 1863 i 1864, gdyśmy tę podróż odbywali, etapy typu urzędowego, których było niewiele, przedstawiały się jako kamienice piętrowe, murem otoczone, w kraty u okien zaopatrzone, z szyldwachem u wrót, z mieszkaniem oficera, izbą dla straży, wielkiemi salami dla mężczyzn, a mniejszemi dla kobiet i dla tych, co etapami podróżują nie jako więźniowie, ale jako osoby im towarzyszące, nazywane technicznie: „nie w rodie arestantow“ (nie w charakterze więźniów), w skróceniu „niewrodki“. Większość były to budy okropne najrozmaitszych rozmiarów i kształtów, których jedyną wyróżniającą się cechą ogólną stanowiły kraty u okien i okucia u drzwi tudzież ogrodzenia ostrokołowe. W etapach urzędowych mieszczono nas

najczęściej ze zbrodniarzami, rzadko bardzo w pokojach mniejszych z rodzinami. W tych zaś szczęśliwych wypadkach łączono zawsze trzy nasze rodziny w jednej celi. Gdy etap był nieurzędowy, lokowano nas oddzielnie, ale bez żon, bo miejsca było mało. Najrzadziej wysyłano na wieś ze strażą do domów włościańskich.

Postaram się odmalować najróżnorodniejsze wrażenia, jakie wytwarzały te cztery rodzaje więzień, tak bardzo od siebie odmiennych, a powtarzających się naprzemian. Najgorszym był etap pierwszy, nierzadko aż do Kazania trafiający się, to jest umieszczanie nas we wszystkich tych etapach urzędowego i nieurzędowego typu, gdzie tylko były wielkie sale, wspólnie ze zbrodniarzami, wśród których stanowiliśmy pięćdziesiątą, dwudziestą lub dziesiątą część co do ilości.

Więźniowie cywilni i kryminalni stanowią z małemi wyjątkami stek brudów moralnych. Wszyscy z braku środków skazani są na konieczne wytwarzanie wkoło siebie brudnej cuchnącej atmosfery. Własnej odzieży, bielizny i pieniędzy mieć im nie wolno; muszą więc wszyscy nosić odzież i bieliznę skarbową, zaś tej ostatniej dostają tylko po dwie sztuki w każdym gatunku. Nie mając gdzie i kiedy jej przeprać, całemi tygodniami nie rozstają się z płócienną częścią stroju, co bieliźnie szczególnie nadaje woń mdłą i wstrętną. Zapachy te ohydne potęgują się do nieskończoności w tak zwanych „onuczach“, to jest szmatach, owijających stopy. Woń straszna udziela się stopniowo obuwiu od onuczy, a siermięgom od bielizny. Każdy kryminalista nasiąka nią zwolna cały jak gąbka, tak iż w obcowaniu staje się fizycznie niemożliwym, przymusowe zaś jego dla więźniów stanu towarzystwo jest niemal do nie zniesienia. Dodajmy tu, że oddech ich i gatunek tytoniu, który palą, są nową formą męczarni dla powonienia.

Trudno pominąć milczeniem, chcąc ściśle trzymać się prawdy w kreśleniu tego smutnego i wstrętnego dla zmysłów obrazu, godnego pióra Zoli, jeszcze jednego zwyczaju, praktykowanego zapewne od wieków na piekielnych stacjach etapowych. Oto na noc wnoszą zwykle do każdej sali olbrzymią kadź drewnianą „paraszą“ zwaną jako zbiornik do zaspokajania wszelkich potrzeb naturalnych. Można sobie wyobrazić, czem

są owe kadzie, dziesiątkami lat niezmieniane, całe inkrustowane solami amoniakalnemi i gromadzące w sobie w ciągu nocy płynne i stałe ekskrecje kilkuset często ludzi. Co się więc dzieje z powonieniem i próżnią ust ludzi, przywykłych do warunków więcej higjenicznych, nawet u względnie najbiedniejszych więźniów stanu, tego mówić nie potrzebuję. Dodam tylko, że smak, z jakim budziliśmy się zwykle po nocy, wspólnie ze zbrodniarzami spędzonej, był straszny. Język nosił na sobie osady wstrętne, trudno oczyścić się dające.

Niezaprzeczenie lwia część tych wrażeń przypadała na rzecz powonienia i smaku, ale i innym zmysłom przy tej sposobności dostawało się dobrze. Wzrok zmuszony był oglądać bez przerwy twarze z wyrazem na poły dzikim bezwstydu i upodlenia; a jakie to były twarze! Do tej uczty dla wzroku dodajmy inną dla słuchu, a mianowicie chóralny brzęk kajdan w ciągu dnia, a urywane solowe ich dźwięki w ciągu nocy przy każdem poruszeniu nogi, oprócz tego śpiewy, krzyki do wycia podobne, naśladowania ryku zwierząt, piania kogutów i t. d., co wszystko stanowiło codzienną rozrywkę i ulubiony sport kryminalistów, a dla nas stawało się źródłem tortur niemal do niezniesienia! Nadto, niemałą męczarnię sprawiały nam pasorzyty wszelkiego kształtu i barwy, które się lęgły wśród brudów stałych naszych sąsiadów, nas zaś bez żadnej ceremonji napadały, dręcząc niemiłosiernie!

By wyczerpać wszystko, co ma związek z mimowolnymi towarzyszami naszej podróży, nadmienię słów kilka o sposobie kucia więźniów kryminalnych w państwie rosyjskiem oraz więźniów politycznych w latach od 1863 do 65 roku w drodze do miejsc przeznaczenia. Kajdan jest kilka odmian: na nogi, na ręce, na szyję, niemniej jak kilka sposobów kucia. Kajdany na nogi nakłada się zawsze w więzieniu skazańcom politycznym i kryminalnym nieszlacheckiego pochodzenia przy wysyłaniu ich do katorgi. Szlachtę kują dopiero na miejscu kary. Kajdany te składają się z ciężkiego łańcucha, ważącego około 10 funtów, o grubych ogniwach, zakończonego z obu końców obrączkami czyli branzoletami. Każda z tych obrączek składa się z dwóch połówek, które łączą się ze sobą wewnątrz końcowemi ogniwami łańcucha, na zewnątrz zaś grubemi niutami,

które się zaklepuje przez kowala po włożeniu obrączek na nogi powyżej stopy. Środek łańcucha podpina się rzemykiem do paska, okalającego biodra, tak iż kajdany tworzą dwa festony. By obrączki nie gniotły, wkładają się pod nie tak zwane „podkajdanniki“ (podkandalniki) z cieńkiej i gładkiej skóry. Kajdany na nogi stanowią wielką niedogodność w podróży, a więc wszyscy starają się od nich uwolnić. Jedni pokryjomu sami je zdejmują, innych uwalniają za pieniądze oficerowie lub podoficerowie; ale te wszystkie zwolnienia są chwilowe zwykle, nim się władze opatrzą i każą okuć na nowo. Ręczne kajdany składają się z dwóch branzoletek, złączonych z sobą cienkim i krótkim łańcuchem; nadto każda z branzolet zamyka się na kłódkę po włożeniu. Na ręce kują kobiety kryminalistki i skłonnych do ucieczki posileńców. W początkach powstania przesyłanych z placu boju więźniów kuto na jedną rękę do pręta żelaznego, przy którym po obu stronach było tyle branzolet, ilu się mogło pomieścić ludzi. W Wałkach, powiatowem mieście gub. charkowskiej, widziałem więźniów posyłanych po wodę, okutych za szyję po dwóch.

Kończę ten smutny obraz opisem jeszcze jednego sposobu kucia, nie przewidzianego prawem, a stanowiącego złośliwy wynalazek żołdactwa, stosowany względem uciekających a pojmanych więźniów. Jest to kucie jednego człowieka dwoma parami kajdan, za plecami na nogi i ręce w krzyż. Do tej operacji delinkwent musi klęczeć i mieć ręce za sobą skrzyżowane. Pierwsza para kajdan łączy prawą nogę z lewą ręką, druga lewą nogę z prawą ręką, łańcuchy zaś w miejscu skrzyżowania na plecach wiążą się ze sobą sznurkiem. Zdarzało się, że pojmanego i skutego na podobny sposób biedaka przywiązywano w naszych oczach na wierzchu wozu, wyładowanego rzeczami.

Przejrzawszy zkolei szeregi całe udręczeń dla pięciu zmysłów, w towarzystwie zbrodniarzy doświadczanych, dodam, iż zupełnie odpowiednią była cała atmosfera moralna do tych katuszy fizycznych. Zmuszeni byliśmy mimowoli słuchać opowieści i przechwałek ludzi, którzy ze zbrodni uczynili już sport i na wyścigi opowiadali o mordach, rabunkach, gwałtach i złodziejstwach, jako o czynach wielkich, rycerskich, z których się chluby szuka.

Mimo opisane tu wstręty nie mogę nie przyznać, iż ci przymusowi nasi towarzysze byli dla nas bardzo względni, rzadko robili nam przykrości umyślne, odzywali się do nas z szacunkiem, nie poufaląc się zbytecznie. Gdy zaś we trzech, a potem w pięciu, zajmowaliśmy miejsce na „narach“ (rodzaj szerokiego tapczana służącego w więzieniach za łóżka), czynili odstęp i czasem nikt się z nich na tych narach nie kładł, a w każdym razie pozostawiali miejsce na dwie do trzech osób obok nas wolne. Ceniąc te względy, ofiarowaliśmy 2 rs. tygodniowo na jadło dla partji, za co jeszcze więcej doznawaliśmy wdzięczności.

W tem miejscu pragnę wypowiedzieć słów kilka w obronie tych najnieszczęśliwszych, których zwykliśmy piętnować ogólnem mianem kryminalistów, sądząc, że wszyscy oni ponoszą zasłużoną karę, a więc nic się im od rządu prócz ścisłego wykonania wyroku, od społeczeństwa zaś prócz litości i jałmużny nie należy. Kto wszakże zetknąć się musiał bliżej z tą sponiewieraną, a mimo to silnie zorganizowaną drużyną, nie może jej nie przyznać pewnych stron dodatnich. Gdy obok cynicznie wygłaszanych przechwałek o popełnionych zbrodniach wysłucha się czasem szczerej spowiedzi z lat dzieciństwa, widzi się jak na dłoni, iż większa część winy, jak w każdym prawie pojedynczym wypadku, spada na otoczenie, w którem się jednostka rozwijała, a więc na rodzinę, rząd i społeczeństwo! Musimy też uznać, że brak nam na każdym kroku opieki zastępczej dla sierot i dzieci opuszczonych lub źle chowanych, natomiast złych rad i złych przykładów nigdy i nigdzie nie brak. Brak nam urządzeń, by głód prawdziwy w porę zaspokoić, a głód ten zakrada się często do rodzin całych i staje się złym doradcą.

Wreszcie, gdy pod wpływem ujemnych warunków nierozwinięta, słaba, bez charakteru jednostka zbłądzi przeciwko przykazaniom boskim, których najczęściej nie rozumie, lub przeciwko jednemu z tysięcy paragrafów kodeksu, o którym nie ma najmniejszego wyobrażenia, znowuż brak nam sił ratunkowych, dodatnich. Natomiast zjawia się jako lekarstwo jedyne a daleko gorsze od samej choroby więzienie, a więzień takich w Rosji jest co niemiara, daleko więcej aniżeli średnich zakła-

dów naukowych. Są to prawdziwe akademje zbrodni. Tu bowiem bezpłatnie biegli w swej sztuce złoczyńcy kształcą w złem całe pokolenia naiwnych, często wypadkiem tu zabłąkanych lub nieletnich, na skończonych zbrodniarzy! Przeciwdziałania i tu żadnego nie napotykamy, bo i duchowieństwo mało się zajmuje nawracaniem w tej sferze zbłąkanych owieczek. Z tej też drogi nikt prawie na łono cnoty i obowiązku nie wraca!

Zbrodnie, ucieczki z więzień, zmiany nazwisk, kary cielesne i t. d. — oto szereg następstw kształcenia się w turmach. Na to wszystko zaś znajdują jedno tłumaczenie, że się z nimi władza ani po ludzku ani też po bożemu nie obchodzi. Szczupłych bowiem środków, zapewnionych więźniom przez prawodawstwo, znaczną część kradnie najbliższa administracja. Więc i oni złodziejstwa za złe sobie nie mają, więc i oni kradną, gdzie i co mogą, fabrykują pieniądze, a nawet szczycą się zręcznością na tych polach. Przedstawiciele władzy, przy wykonaniu wyroków i w całem swojem z nimi postępowaniu, starają się im zwykle dokuczyć i przekonać, że władza jest siłą i może czynić z nimi, co zechce. Stosując dewizę: „ząb za ząb", „oko za oko", i w nich takież rodzą się pragnienia i ideały! Bywa nieraz, że pielęgnowanym przez rząd katom we wigilję wykonania na ich grzbietach wyroku łamią ręce, zabijają nasyłanych w więzieniach szpiegów i t. p. Na swobodzie zaś starają się wszystkich zwolenników własności pozbawić tego ciężaru, nie uznając własności. W bezinteresowność chrześcijańską ci nieszczęśliwi nie łatwo wierzą i długo oglądają rękę, co chce ich głasnąć lub ulgę przynieść, w obawie, czy niema w tem jakich obłudnych zasadzek lub zdrady. Gdy wszakże raz przestaną podejrzywać, umieją czcić i wielbić prawdziwe chrześcijańskie miłosierdzie.

Po tej wycieczce w dziedzinę spraw społecznych, powracam do opowieści o sposobach umieszczania nas i rodzin naszych na stacjach etapowych. Otóż w razach, gdy się podobało oficerom mieć nas w salach ogólnych, rodziny nasze szukały noclegu w wioskach, miasteczkach i miastach, w chałupach włościan, zajazdach, hotelach i t. p. Gdy nas mieszczono w etapie urzędowym na dole, w mniejszym pokoju, ale za to z rodzinami, ożywaliśmy, jakkolwiek skupienie trzech rodzin

w jednej izbie miało swoje niedogodności. Jedni bowiem wstawali rano, drudzy kładli się późno, więc wstawali później; ci tym, a tamci innym wzajemnie przeszkadzali. Godziliśmy się z tem wszakże chętnie jako też z koniecznością ubierania się i rozbierania pod kołdrami. Często dla udogodnienia zawieszaliśmy prześcieradła grube, dzieląc przestrzeń na narach zajmowaną na dwa lub trzy oddziały. I w tych warunkach, względnie znacznie lepszych, zamykano nas na klucze i kłódki wraz z żonami i dziećmi. Niemniej przeto za raj uważaliśmy ten drugi rodzaj więzienia. Jeśli etap mieścił się w starym domu, częstokroć małym, pakowano nas trzech, a następnie pięciu do izdebki, gdzie nieraz nóg nie można było wyprostować ani też czytać dla braku światła. W takich razach żony nas tylko odwiedzały i przynosiły nam jedzenie. Ale i ten rodzaj zaliczaliśmy do czyśćcowych tylko udręczeń, pozostawiając zawsze miano piekła dla pierwszego typu.

Gdy do partji naszej dołączono w Połtawie dwudziestu kilku, a potem w dalszych marszach jeszcze więcej, umieszczano nas prawie zawsze w wielkich salach, gdzie z rodzinami mogliśmy się widywać na krótko tylko. Do najmilszych wrażeń zaliczam wspomnienie chwil, spędzonych z rodziną pod strażą w domach prywatnych u włościan i mieszczan, co więcej przypominało podróż zwykłą aniżeli przymusową etapami.

Bardzo ujemnym czynnikiem w ogólności, mimo wielkie różnice opisanych tu warunków, była zupełna zależność od woli a nierzadko fantazji oficera etapu. Stanowisko tych oficerów zajmują przeważnie wyrzutki armji rosyjskiej, co położenie więźnia czyni jeszcze nieznośniejszem. Trudno sobie przedstawić, jaki zły wpływ wywiera taki oficer, zazwyczaj pijak i wyzyskiwacz, na więźniów kryminalistów, wobec których jest przedstawicielem tego rządu, co ich sądzi i karze. Niemniej demoralizujący wpływ mieli na podwładnych im podoficerów i żołnierzy, którzy naśladowali ich w złych obyczajach i frymarce funduszami nieszczęśliwych więźniów.

W tym ponurym obrazku starałem się tylko wykazać, w jakich warunkach wskutek ciągłego, a bardzo licznego towarzystwa zbrodniarzy i pod nieograniczoną władzą wyrzutków

społecznych etapu, znajduje się więzień stanu, dążąc do swego smutnego przeznaczenia.

Zkolei wracam do dalszego ciągu wędrówki naszej po syberyjskim szlaku. W Kmitowie mieliśmy dniówkę. Tu pożegnaliśmy odprowadzających nas krewnych i przyjaciół. Z żonami widzieliśmy się chwilowo.

Zanim opuścimy Kmitów, chcę wspomnieć o warunkach, wśród których rodziny nasze miały odbywać podróż. W więzieniu jeszcze, zgadzając się na to, by mi najdroższa żona moja towarzyszyła, starałem się w porozumieniu z sybirakami Gruszeckim i Czapskim, warunki te wszechstronnie zbadać i ocenić. Następnie ułożyliśmy z Juljanem Morzyckim i doktorem Łagowskim, mając niemal pewność wyruszenia w jednym dniu z kraju, cały plan działania, który żonom naszym poleciliśmy wykonać. Stąd powstał szereg czynności przygotowawczych, by podróż uczynić jak najznośniejszą. A więc najpierw panie nasze uzbroiły się w paszporty do całego cesarstwa z prawem wjazdu do stolic, a jednocześnie w tychże paszportach odnotowano, że towarzyszą mężom, idącym etapem na Sybir. Tym sposobem miały one prawną podstawę widywania się z nami; w razie zaś, gdyby podróż okazała się niemożliwą, każdej chwili mogły wracać do kraju. Taka forma paszportów wedle prawa nie istnieje. Zawdzięczaliśmy ją uprzejmości życzliwych. Były to okazy, godne muzeum, ale gdy się opatrzono, przy drugiej zmianie wymieniono je na zwyczajne.

By nie mieć w podróży kłopotu z naprawą powozów, uprosiliśmy wuja mojej żony, Michała Schabickiego, niedawno uwolnionego z więzienia w Owruczu, aby u siebie w majątku kazał zrobić na urząd tarantas (zastosowany do złych dróg Rosji i Syberji) na drągach, z wielką ilością waliz i miejsc na pakunki. Do powozu tego ofiarowała żonie mojej najukochańsza jej matka parę silnych koni cugowych. Do tego, jak już wzmiankowałem, miałem moją budkę jednokonną, którą miałem prawo jechać, na mocy świadectwa lekarskiego. Korzystałem coprawda z tego pozwolenia tam tylko, gdzie mię do powozu żony mojej nie dopuszczono. Woźnica, Konstanty Hadziacki, dymisjonowany podoficer, panna służąca Julja, dostateczny zapas pieniężny na całą, a przynajmniej na większą

część podróży, tudzież zabrane z sobą przedmioty koniecznej potrzeby i wygody uzupełniały szereg tych środków przezorności. Łagowscy mieli również dwa powozy, woźnicę i służącą, Morzyccy zaś jeden powóz i dwoje sług.

Ze służbą postanowiliśmy od pierwszego dnia tak się zachować, by zaniechała plotek i chęci różnienia nas między sobą. Za najlepszy ku temu środek uznaliśmy powtarzanie głośno przy obiedzie każdej plotki z nazwiskiem autora, aby winny mógł być skarconym narazie lub wytłumaczył się szczerze. Gospodarskie zajęcia rozdzieliły panie między sobą. Żona moja zajęła się końmi, pani Łagowska sprawami zewnętrznemi, gdzie znajomość języka i narodowość jej rosyjska były pożyteczne, pani Morzycka kierowała kuchnią. W takim rynsztunku i z taką organizacją wyruszyliśmy z Kmitowa. Na wyjezdnem nakreśliła żona moja list do swej matki, a pragnąc ją uspokoić, przedstawiła położenie nasze w jak najznośniejszych kolorach. Nie straciła ona wówczas jeszcze nadziei, że matka podąży za swą jedynaczką, i to jej dodawało otuchy. 4 września st. st. odbyliśmy wymarsz z Kmitowa do półetapu w Berezówce, majątku pana Michała Głębockiego, którego dwaj synowie, Władysław i Justyn, byli w kijowskiem więzieniu.

Między Kmitowem a Berezówką przejeżdżaliśmy wieś Starosielce (własność p. Michała Zaleskiego). Jakież było nasze zdziwienie, gdy ujrzeliśmy włościankę, zachodzącą nam drogę z chlebem i solą. Okazało się, że to była pacjentka Józefa Łagowskiego, której jako lekarz ocalił życie, co oceniając, kobieta ta, mimo ówczesne uprzedzenie ludu do inteligencji, zdobyła się na cywilną odwagę pod wpływem najszlachetniejszego z uczuć, wdzięczności. Biedny Józef do łez był rozrzewniony tym postępkiem.

Po kilku godzinach drogi stanęliśmy w ciasnem i brudnym budynku etapowym w Berezówce, gdzie nas oczekiwał obiad ze Starosielec, od pp. Zaleskich przysłany. Do tego gościnnego domu zaproszone też były panie nasze, gdzie się udały pp. Łagowska i Morzycka, moja zaś żona, mając w pobliżu krewnych Zubowskich we wsi Ewendorfie, zboczyła do nich na nocleg i stawiła się w Berezówce 5 września rano, którego to dnia ruszyliśmy do miasta powiatowego gub. kijowskiej

Radomyśla, gdzie oprócz noclegu wypadało i dobę następną zabawić. Polacy w Radomyślu zamieszkali prześcigali się w okazywaniu nam współczucia i uprzejmości. Dla żon naszych dr. Nowiński usunął się ze swego mieszkania, w którem odwiedzali je dawni i nowi znajomi. Marszałek Jaroszewicz zaprosił je 6 września na nabożeństwo z intencją, na obiad zabrali panie nasze Kownaccy, na herbatę Wierzbiccy. Nas również odwiedzały żony nasze, a z niemi inni i inne; słowem, czuliśmy się jeszcze w kraju.

7 września stanęliśmy w Stawiszczach. Oficer, który nas liczył i sprawdzał, czy suknie rządowe i bielizna są całe, był tak pijany, że ustać nie mógł na nogach. Woźnica Łagowskich był żołnierzem, powracającym do stron rodzinnych, poznali się więc po skórze i nasz pan naczelnik etapu konfidencjonalnie zakomunikował towarzyszowi broni, a słudze naszemu, że gdybyśmy dali 6 rubli, to żony nasze mogłyby być z nami przez całe trzy dni w Stawiszczach i na dniówce w Motyżynie. Pokusa była za silna, by jej nie ulec. Oficer i cała komenda pili bez pamięci trzy dni, a my po całych dniach prawie mieliśmy najmilsze towarzystwo rodzin naszych. Tak więc 7, 8 i 9 września zapisały się mile we wspomnieniach tej podróży, ale że niemasz nic trwałego na tym świecie, więc i te chwile przyjemności opłaciliśmy drogo.

10 września w Białogródce oficer nasz oddał partję przybyłemu po nas z Kijowa otyłemu, semickiego pochodzenia naczelnikowi etapu, a przedstawiając nas sobie wzajemnie wypowiedział wielce dyplomatyczny frazes po rosyjsku:

— „Panowie, zróbcie dla mego kolegi to, co zrobiliście dla mnie, a on zrobi to, co ja dla was zrobiłem".

Daliśmy więc znowu 6 rubli, składając się na nie po 2 ruble od trzech rodzin. Lecz pan oficer zażądał natychmiast drugie tyle, a gdy nie otrzymał żądanych duplikatów, pozamykał nas na klucz i dostępu żonom do nas wzbronił. Musieliśmy z konieczności ulec temu bezprawiu, nie mając możności ani sposobu ukarania tego niegodziwca; urzędowy bowiem Kijów był przesiąknięty głęboką niechęcią dla powstania i powstańców. Nazajutrz wyruszyliśmy z Białogródki. Całą stację kazał nam pan naczelnik iść pieszo i nie zbliżać się do

powozów. Ja jeden powołałem się na prawo jechania moją budką jako chory na nogę, na co z niechęcią musiał się zgodzić; dla towarzystwa wszakże kolegów więcej szedłem niż jechałem.

Gdy się nam ukazały złote kopuły cerkwi kijowskich, tysiące wspomnień zagrały w mej duszy. Siedm lat, spędzonych w tem mieście, przywiodły mi na pamięć najmilsze obrazy z życia koleżeńskiego, pełnego zapału i wiary w przyszłość. Z niepokojem oczekiwałem i rozmyślałem nad wrażeniami, jakie czekają mię na progu tego miasta, co stało się w tych czasach środkowym punktem agitacji politycznej, dążącej do zgnębienia na Rusi wszystkiego, co tchnęło polskością. Pierwsze miłe spotkania rozwiały chwilowe smutne przypuszczenia. Ujrzeliśmy liczne towarzystwo polskie z widocznemi oznakami współczucia: panią Helenę z Drzewieckich Wołodkowiczową, bratowę jej panią Zofję i wielu znajomych i nieznajomych, a wszyscy witali nas ze wzruszeniem. Byliśmy rozrzewnieni tą chwilą, ale oficer nagli, musimy ruszać dalej.

Wiodą nas tedy przez Padół do Cyrkułu, gdzie papiery urzędowe nasze mają przejrzeć i uporządkować. Na ulicach Padołu spotyka nas niespodziewanie zorganizowana przez policję banda dymisjonowanych żołnierzy i wszelkiego tałatajstwa, która wymyśla nam, przeklina, grozi nożami, wyje itd. My i Morzyccy przyjmujemy to najzupełniej obojętnie. Ale pani Olga Łagowska jako Rosjanka jest mocno tą sceną podrażniona; mąż ją uspakaja, ale i sam jest poruszony. Wkońcu żołnierze usuwają natrętnych i partja wkracza na dziedziniec cyrkułowy. Tu stoimy, czekając na rozkaz dalszego wymarszu.

Nim ten nastąpił, zaszła nowa scena, charakteryzująca owe czasy. Podoficer, prowadzący nas, roztropny, młody blondynek, był niegdyś lokajem w zamożnym ukraińskim domu, mówił dobrze po polsku, rusińsku i rosyjsku. To też prędko zawiązał się między nim a nami dobry stosunek. Gdy więc usunął gawiedź, co nam towarzyszyła, zjawia się złośliwy popek, który wchodzi za nami na dziedziniec i w dalszym ciągu nastaje. Znudzeni tem brzęczeniem, dajemy znak naszemu podoficerowi, aby się z napastnikiem rozprawił, pokazując trzy palce, co oznaczało w języku więziennym premjum 30 kop.

Nie w ciemię bity, nasz przyjaciel zabiera się niezwłocznie do rzeczy i jak z ambony pali popowi moralną naukę, że się nie godzi osobie duchownej znęcać nad nieszczęśliwymi, którzy już są dość ukarani, że obowiązkiem księdza jest pomodlić się za nich i t. p. Pop oburzony idzie na skargę do oficera, który zbliża się do nas dla rozpatrzenia sprawy. Podoficer z logiką i cywilną odwagą broni się na mocy instrukcji, by obcych osób nie dopuszczać do więźniów i nie pozwalać rozdrażniać ludzi, co i tak już niewiele mają do stracenia. Oficer go chwali, a gdy popek się upiera, każe go usunąć. Podoficer prosi raz jeszcze grzecznie; gdy to nie pomaga, robi gest kolbą, wymownie proponując ustąpienie z placu, tą razą z zupełnym skutkiem. Obiecane premjum wyliczyliśmy w chwili właściwej z zachowaniem incognita uzdolnionemu obrońcy naszemu.

Po sprawdzeniu nazwisk naszych, ruszyliśmy dalej, to jest do fortecy, gdzie nas umieszczono w więzieniu dla przesyłanych. Zastaliśmy tam kilku Polaków, między innymi typografa Hoffmana, uwięzionego przed powstaniem za to, że będąc litografem Peczerskiej Ławry litografował na prośby studentów odezwy, proklamacje, kopje Kołokoła Herzena, ówczesną gazetkę studencką itd. Szukano litografji, nie wiedząc, że ma tak bezpieczne schronienie. Dla wykrycia jej policja warszawska na żądanie kijowskiej wysłała szpiega Waldenburga, starozakonnego. (Tadeusz Bobrowski w swoim pamiętniku nazywa mylnie tego nikczemnika Bernsztejnem lub Bersztamem, gdy pierwsze z tych nazwisk nosił używający najlepszej opinji u kolegów student Izraelita. W obronie więc dobrej sławy jego i w imię prawdy czuję się w obowiązku tu o tem nadmienić).

Waldenburg zamieszkał w Kijowie jako mający wstąpić do uniwersytetu z dawnymi kolegami szkolnymi a naonczas studentami i wszystko, co z rozmów ich podsłuchał, wyjawił policji. Gdy miał odjeżdżać, tłumacząc się niemożnością zdania wstępnego egzaminu, aresztowano Hoffmana, czem zdrajca zwrócił na siebie podejrzenie kolegów, był przez nich zrewidowany i odkryty. Znaleziono przy nim całą korespondencję policmajstra kijowskiego z oberpolicmajstrem warszawskim,

podziękowania za trafny wybór agenta, listy szpiegów itd. Młodzież chciała go zgładzić narazie, ale łotr wybłagał sobie życie, co dowodzi, jak niezdolni jesteśmy do morderstw, gdy nawet takim nikczemnikom przebaczamy. Przeciwne usposobienie stanowią wyjątki wśród Polaków, które prawie wszystkie odnoszą się do epoki żandarmerji w wypadkach 1863 i 1864 roku, gdzie ten kierunek chwilowo sztucznie się wyrobił dzięki Chmielińskiemu et Comp.

W czasie, gdy my się rozlokowujemy w turmie kijowskiej, żony nasze są zaproszone do mieszkania p. Jachimowicza, gdzie panna Kaleńska robi honory domu. Wizytowały zaś je panie: Zenonowa Hołowińska z córkami, Karolowa Trypolska, Leonowa Michałowska i inne. Nazajutrz poprowadzono nas z cytadeli do rządu gubernjalnego wyłącznie dla sprawdzenia i spisania rzeczy skarbowych. I tu, jak we wszystkiem w Rosji, jest bezmyślna rutyna. To, co stosuje się do zbrodniarzy, przepijających ubranie skarbowe i wzajem się okradających, zastosowano żywcem do więźniów stanu, zmuszając ich najpierw do brania tej odzieży skarbowej, a następnie przepatrując tę odzież codziennie, by się niby przekonać, że nie jest sprzedana lub zmieniona. Wyglądało to z jednej strony jak umyślna szykana dla nas, dla straży zaś była to najzupełniej bezowocna strata czasu. Przez miasto przeszliśmy otoczeni bagnetami, nie spotykając nikogo ze znajomych. I nic dziwnego; najbliżsi nam siedzieli w więzieniu.

W przedsionku gmachu, w którym się mieszczą biura urzędowe, kazano nam czekać. Spełniamy rozkaz. Wtem wpada młodziutki studencik i z wyrazem głupiej, bezmyślnej ciekawości, zapytuje nas: — „Panowie pewno do lasu chodzili, a dokąd was wysyłają?“ Oburzony brakiem delikatności w uczniu tegoż uniwersytetu, który sam zaledwie przed czterema laty ukończyłem, nie mogłem ukryć uczucia pogardy i niesmaku, jaki we mnie wzbudził i odpowiedziałem: — „Jak panu nie wstyd wdawać się z przestępcami stanu? Czyż to dla pana stosowne towarzystwo? Udaj się pan do biura, gdzie się rozporządzają przyszli pańscy koledzy, a dowiesz się o nas z dokumentów, kto jesteśmy. Ja zaś powiem to tylko, żem lekarz wychowany w kijowskim uniwersytecie i że mi boleśnie widzieć,



Fig. 4. Marja Lasocka w drodze na Sybir 1864 roku.



Fig. 5. Wacław Lasocki w drodze na Sybir w 1863/4 roku.



Fig. 6. Olga Łagowska z dziećmi, Michałem, Marją i Konstancją w drodze na Sybir.



Fig. 7. Dr Fortunat Nowicki, w Tambowie r. 1864, gdzie był na wygnaniu.

do jakiego stopnia moralność i delikatność upadły wśród młodzieży pod wpływem dzikich instynktów, o czem sądzić mam prawo, widząc zachowanie się pana". Wykręcił się na pięcie i poleciał do biur: może mię usłuchał i wertował tam nasze wyroki?

Po godzinnem oczekiwaniu, urozmaiconem wyżej opisaną sceną, wezwano nas do urzędnika, który miał kontrolować worki nasze z ubraniem i bielizną. Jakież było moje zdziwienie, gdy w urzędniku tym poznałem niejakiego p. Ścisławskiego, który, nim się ożenił z Rosjanką i otrzymał posadę radcy gubernjalnego, był nauczycielem domowym kolegów moich Juljusza i Tadeusza Orzechowskich, a następnie i Stanisława Obniskiego. Jeżelim ja się zdziwił, przedstawiciel władzy był natomiast mocno pomieszany; dopełnił też śpiesznie formalności wymaganych i uwolnił nas niezwłocznie.

Gdyśmy wracali krótszą drogą do cytadeli, spotkała nas na ulicy Małej Wasilkowskiej moja dobra znajoma z czasów uniwersyteckich, pani Zuccani, której dwie córki występowały w teatrach amatorskich na korzyść biednych studentów. Poczciwa ta kobieta powitała nas płaczem, a żegnała błogosławieństwem. Znikło i to, jedyne w tej wycieczce dodatnie, acz przelotne wrażenie. Powróciliśmy do naszej celi smutni i przygnębieni. Wieczorem doszła nas wieść bolesna o straceniu na stoku cytadeli kijowskiej Władysława Padlewskiego i dra Tadeusza Rakowskiego, mego kolegi, przyjaciela i współmieszkańca w ciągu trzech lat ostatnich pobytu w Kijowie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, gdy ten mój ukochany i najlepszy przyjaciel przechodził przez więzienie żytomierskie, ja byłem tak jak na śmierć skazany, czekałem tylko wyroku. Tadeusz żegnał mię tak rzewnie i gorąco, jak gdyby nie miał mnie nigdy oglądać. Ja zaś stanąłem na gruncie kijowskim w dniu, gdy go tracono.

Trzynastego września raniutko ruszyliśmy dalej. Przed miastem spotkały nas obie panie Wołodkowiczowe i towarzyszyły czas jakiś. Żegnając się z nami, prawie na połowie stacji, ofiarowała nam trzem niepodzielnie pani Helena książkę do nabożeństwa z wpisanym doń wierszem i swoją fotografją. Podziwialiśmy zręczność, z jaką odprowadzające nas panie rozrzucały drobną srebrną monetę między żołdactwo, opłacając

w ten sposób milczącą zgodę na zbliżenie się do nas; podziwialiśmy niemniej zdolność straży naszej do chwytania w lot tych pieniędzy. Nasz pan oficer po opuszczeniu nas przez te panie znowu uporczywie domagał się podwojenia datku. My jednak nie dawaliśmy się nakłonić do żadnego haraczu, przekonawszy się, iż metoda rozbudzania chciwości w tych wyrzutkach społeczeństwa nie tylko jest niebezpieczną, ale stać się może bardzo szkodliwą dla następców naszych, nie obfitujących w środki, w tej uciążliwej a smutnej podróży. To też droga i pobyt w etapach Aleksandrówce i Rohozówce w ciągu 14, 15 i 16 września były arcyprzykre. Zamykano nas, dokuczano nam, kazano iść pieszo itd. Wytrwaliśmy stoicznie do końca, a pragnąc podkopać wpływ oficerów etapowych, weszliśmy w porozumienie z podoficerami, którym płaciliśmy od naszych trzech rodzin 50 kop. dziennie. Za to mieliśmy usługę, praktyczne wskazówki co do kupna produktów, uprzejme obejście się i protekcję u oficerów.

Szesnastego września stanęliśmy w Jurkowcach, gdzie nas spotkała staruszka unitka (oddawna tu zesłana) i obdarzyła jabłkami, żegnając łzami serdecznego współczucia. Następna dniówka wypadła w powiatowem mieście Perejasławiu. Tu dowiedzieliśmy się, iż w więzieniu siedzieli po ukończonem śledztwie i ogłoszonym wyroku dwaj młodzi synowie właścicieli ziemskich, Małorosjanie Potocki i Sołłohub, którzy kusili się wywołać powstanie w powiecie perejasławskim. Przy poznaniu tych młodzieńców zrobili oni na nas dodatnie i sympatyczne wrażenie. Przez cały czas prawie pobytu w Perejasławiu zajęci byliśmy wyłącznie tępieniem w więzieniu miljardów pluskiew, które nie tylko w nocy, ale we dnie chwili spokoju nie dawały. Tu przyłączono do naszej partji dwóch nowych więźniów politycznych, których z Kijowa prowadzono jednocześnie z nami, lecz zamykano oddzielnie, broniąc wszelkiej z nimi styczności. Byli to Błocki i Małecki, skazani za udział w powstaniu na całe życie do ciężkich robót: pierwszy jako sekretarz pośrednika Rudzkiego, a więc urzędnik, drugi jako dymisjonowany podoficer. Małecki, że nie szlachcic, dźwigać musiał ciężkie na nogach kajdany. Zajął mię on serdecznie jako towarzysz broni ś. p. Tadeusza Rakowskiego, a przedtem jego oficjalista. Żony

nasze zatrzymały się w zajeździe żydowskim, gdzie im również Perejasław dał się we znaki, obdarto je bowiem za nocleg bez miłosierdzia. Gdy zaś protestowały, właściciel zajazdu żydzisko z arogancją się odezwał, że nic nie ustąpi, bo nie jest „polskim żydkiem", ale „ruskim jewrejem".

W podróży naszej do Połtawy zasługuje na wzmiankę staropolska gościnność doktora w miasteczku Zołotonoszy, który, nie zdradzając nazwiska i narodowości, opuścił dom własny i oddał go wraz z usługą i całym dostatkiem pod rozkazy pań naszych. Do dziś dnia nie wiemy, czy to był Polak, Małorosjanin czy Rosjanin; w każdym razie głęboką dlań zachowaliśmy wdzięczność za ten wyraz najwyższej delikatności.

Na etapie w Żołnach 28 września obchodziliśmy pierwsze moje na wygnaniu imieniny. Odwiedziła nas tu córka tamecznego popa, niezmiernie miła i wykształcona osoba, z oznakami niezwykłego dla naszej pozycji współczucia. Dowiedzieliśmy się później, że zakochaną była w jednym z więźniów Polaków, którego tym szlakiem przesyłano. Dnie 29 i 30 września spędziliśmy w Modzelówce, gdzie nas spotkał jedyny w ciągu całej podróży czyn bezwzględnej szlachetności, dokonanej przez naczelnika etapu. Prosił on nas przy pierwszem spotkaniu, abyśmy jego podoficerom nic nie dawali. Gdy wziąwszy to za żart po staremu obdarzyliśmy służbę, odniósł nam datek nasz, robiąc najgrzeczniejszą wymówkę. Skamienieliśmy ze zdumienia. Dopiero potem wyjaśniło się, że jest on Małorosjaninem i właścicielem Modzelówki, który wziął sobie za ambicję wyróżnić siebie i swoich podwładnych delikatnością, szlachetnością i wygórowaną bezinteresownością, Mam też sobie za najświętszy obowiązek uderzyć publicznie czołem przed tak rażącym wśród naczelników etapu wyjątkiem, a bardzo żałuję, że mi uleciało z pamięci nazwisko tego porządnego człowieka.

W Kremenczugu dodano nam do towarzystwa niejakiego Orłowa, tytułowanego szlachcicem rosyjskim. Nie powtarzam tu nazw większości etapów, któreśmy przechodzili, odsyłając czytelnika do spisu, w końcu niniejszego pamiętnika umieszczonego, gdzie żaden dzień i żadna nazwa nie są opuszczone. Nadmienię tylko, że 9 października wedle st. st. stanęliśmy w historycznej Połtawie. Tutaj na wstępie do więzienia tak po

barbarzyńsku rewidowali nas żołnierze, że prosiliśmy żon, aby nam jadła nie przysyłały wcale, bojąc się i dla potraw takiej rewizji, jaką nam w nosie, ustach, uszach i t. d. dopełniano.

Gdyśmy weszli na olbrzymie podwórze więzienne, wpadł nam w oko jakiś więzień dużego wzrostu, barczysty, w kepi wojskowem, który podszedłszy salutował nas i przedstawił się jako brat księgarza Dołzikowa z Kijowa. Naopowiadał nam o swojej degradacji i powtórnem uwięzieniu za awanturę, zrobioną już po degradacji, powiedział, iż jest starostą t. j. reprezentantem więzienia, i zaproponował obiad, poczem kazał oczyścić dla nas celę, dostarczał nam przez dwa dni wszelkiej żywności w dobrym gatunku i estetycznych formach, za co w końcu polikwidował bardzo umiarkowane honorarjum. W Połtawie zastaliśmy około 30 osób z oddziałów kijowskich, przesłanych tutaj dla braku miejsc w cytadeli tamecznej, sądzonych łagodniej, bo tylko na zaludnienie. Spotkałem tu kolegę i znajomego dra Cezarego Wiśniewskiego z Kijowa.

Z Połtawy, gdzie żony nasze spotkały staruszka księdza bazyljanina, zesłanego w czasach prześladowań unji na Litwie i Rusi, wyruszyliśmy w dniu 11 października. Spotkawszy się z kolegą tak bliskim sercu memu jak Cezary Wiśniewski, pragnąłem wcielić go do naszego rodzinnego kółka, ale ten pełen najwyższej szlachetności człowiek oparł się temu stanowczo, twierdząc, iż z kolegami więzienia dzielić i nadal będzie losy bez żadnego wyróżnienia, a więc i miejsce w czasie podróży przyjmował w naszych powozach wkolei tylko z innymi. Wspomniany szlachcic rosyjski Orłow opowiadał nam, że go odsyłają do Charkowa na miejsce zamieszkania, gdyż zahulał się w Kremenczugu. Ufaliśmy jego słowom w dobrej wierze, a że był cichy i skromny, karmiliśmy go i poili herbatą, widząc, że nic nie ma ze sobą i głodem przymiera. Tak doszliśmy do etapu Lubatyn, ostatniego przed Charkowem, gdzie wypadł nam nocleg.

Zrana nazajutrz spadł pierwszy śnieg. Radośne to zjawisko dla myśliwych wszelkich narodowości wprawiło nas w zadumę, co zrobimy z powozami naszemi, gdy śnieg obfitszy zaskoczy. Wśród tych niepokojących myśli, usadowiliśmy się z żonami w ich powozach; tu bowiem już nam nikt tego nie wzbraniał,

i czekaliśmy cierpliwie, aż partja ruszy. Przechodzi godzina. Widzimy popłoch, liczenie i przeliczanie. Coś się stało widocznie. Wkońcu zapytany podoficer mówi nam: „Uciekł szlachcic rosyjski". Zamieszanie rośnie; naczelnik etapu i podoficerowie wściekają się, siodłają konie i rozlatują na wszystkie strony. Korzystając z ponowy, tropią nieszczęsnego zbiega i w krótkim czasie dzięki zdradliwym śniegom chwytają go w jednym nędznym surduciku, przywiązują dwie linki do dwóch nóg jego i wloką tak dwaj podoficerowie siedzący na koniach. Głowa schwytanego pozbawiona czapki tłucze się, krwawi i odziera ze skóry, uderzając o grudę; gdy zaś konie cwałują i nierównomiernie, łatwo sobie przedstawić, co ten nieszczęśliwy wycierpiał, nim go do etapu dowleczono. Gdy go partja kryminalistów ujrzała, również klęła i złorzeczyła, jako szlachcicowi, co ich naraził na długie oczekiwanie wymarszu. Żołdactwo zaś zbiegło się i kopiąc nogami zakrwawionego nędzarza kuło go po swojemu, to jest za plecami na krzyż, prawą nogę z lewą ręką i lewą z prawą, poczem sznurami przywiązano go na wozie z workami i partja ruszyła dalej.

W Charkowie byliśmy dwa dni, 18 i 19 października. Jacyś Rosjanie bardzo wyróżniającej się powierzchowności przynieśli cukierków dzieciom Łagowskich. My zaś myśląc, iż wczorajszy uciekinier musi być ciężko chory, poszliśmy z Józefem, aby go obejrzeć i dać mu radę. Jakież było nasze zdumienie, gdy patrząc w okienko więziennej sali ujrzeliśmy szlachcica rosyjskiego z przyschniętemi na głowie i twarzy ranami, tańczącego z kolegą polkę tremblante z gracją i swobodą ruchów. Przekonał nas tem, że on i cały naród jego dobrze do bicia przysposobiony i zahartowany! Wróciliśmy po tem widowisku prędko do siebie, bojąc się, by z naszej gorliwości nie żartowano!

Dalszą podróż do Woroneża odbylimy w ciągu dni 21, a mianowicie od 20 października do 10 listopada. Na tej przestrzeni zasługuje na wzmiankę miasto Korocza, pamiętna egzekucją dokonaną na osobach naszych poprzedników, dążących do katorgi. Trzech studentów uniwersytetu, Święcicki, Meherdycz i Lachowiecki, zażądali przybycia prokuratora. Gdy ten urzędnik śpiesznie nadjechał, myśląc, że chcą mu wyjawić ja-

kąś ważną tajemnicę stanu, a ci biedacy prosili tylko o pozwolenie pójścia do łaźni, tak się tem oburzył, że po złajaniu więźniów kazał im sprawić łaźnię... brzozowemi rózgami. I chociaż na skutek skargi poszkodowanych przedstawiciel sprawiedliwości postradał swe stanowisko, niewiele to wszakże pokrzywdzonym pomogło. Zbliżając się do Koroczy, wyobraziliśmy sobie, że i nas tam coś przykrego spotkać musi. Jednak, jak to zazwyczaj bywa, gdy się nawet czegoś złego obawiamy, nie przychodzi ono na zawołanie. Etapy na całej prawie przestrzeni poczynając od Charkowa należały przeważnie do typu starych. W Woroneżu mieliśmy tylko nocleg. Tam zastaliśmy listy od rodziny, donoszące o śmierci ostatniego z wyboru marszałka szlachty gub. wołyńskiej, Karola Mikulicza, który zmarł na wygnaniu w Orenburgu.

Zaledwie ochłonęliśmy z tego smutnego wrażenia, gdy dano znać, że władza idzie. Wszedł naczelnik straży garnizonowej i prokurator. Ja byłem w żałobie po ojcu i ani mi się śniło, żeby to komuś zawadzać mogło. Tymczasem gdy mię pułkownik ujrzał, stanął w postawie wyzywającej i groźnie zawołał: „Cóż to za żałoba? już ją w Warszawie zrzucono, natychmiast mi ją zdjąć, bo każę spalić całe ubranie". Z pogardą i oburzeniem zdjąłem mój tużurek, złożyłem go i zostałem w negliżu. Pan naczelnik dał pokój dalszym uwagom, widząc mój uśmiech ironiczny, zwiastujący może granicę wyczerpującej się cierpliwości, i ruszył dalej. Prokurator, który mu towarzyszył, również jak ja był w żałobie. Miał smutny, pełen współczucia wyraz twarzy, a odchodząc rzekł do nas stłumionym od wzruszenia głosem: „Nie bierzcie tego za obrazę, to człowiek, który nie pojmuje tego, co mówi". Na to Łagowski, który w podrażnieniu nie umiał się nigdy hamować, zawołał: „Nie wątpię, iż to jest jeden z tych ludzi, który z synami za złodziejstwa i rozboje, a którego żona i córki za dzieciobójstwa mogą się tylko dostać na Syberję, zaś całej tej rodziny nie spotka pewnie zaszczyt cierpienia za zasady i przekonania, więc jako jednemu z miljonów ciemnych wybaczamy".

Wyruszyliśmy z Woroneża 11 listopada i stanęliśmy 20 listopada w Lipecku, powiatowem mieście tambowskiej gubernji, wyjątkowo czystem i ładnie zabudowanem. Na tej małej prze-

strzeni napotkaliśmy jeszcze jedno miasteczko powiatowe, bardzo liche, Usmań. Wyryło się nam ono wszakże głęboko w pamięci dlatego, iż naczelnik etapu wydał rozkaz, aby nas o godzinie 3 rano do drogi obudzono, co też wykonano z całą ścisłością. Sam tymczasem wyruszył do miasta, zagrał się tam w karty i zahulał tak, że dopiero po 2 w nocy wrócił i rozkazu nie cofnąwszy spać się położył, my zaś na naszych pakunkach przesiedzieliśmy, kiwając się siedm godzin od 3 do 10, to jest do chwili, kiedy pan życia i śmierci naszej wstać raczył i wyruszyć dalej rozkazał. Wołającym o pomstę był widok trojga ślicznych dzieci Łagowskich, śpiących w siedzącej postawie na tłomokach.

W Lipecku spotkała nas niespodzianka. Zatrzymano tu partję na czas rozlewu wód, a więc na kilka tygodni. Ulokowano trzy nasze rodziny w obszernej sali etapowej, w której przy dwóch ścianach, kąt stanowiących, były nary. Jest to wiązanie z belek, na słupkach oparte, ustawione mniej więcej na łokieć nad podłogą. Szerokość nar odpowiada wzrostowi ludzi wysokich, zaś samo wiązanie pokryte jest deskami, stanowiąc rodzaj pomostu. Otóż nary nasze podzieliliśmy na cztery części. Czwartą część z brzegu zajął Morzycki z żoną, drugą średnią my, dwie czwarte zaś w końcu rodzina Łagowskich. Każdą z tych przestrzeni przedzieliliśmy prześcieradłami na oddzielne sypialnie. Usłaliśmy naszą pościel, ustawiliśmy rzeczy, słowem, z koczowników zmieniliśmy się chwilowo na ludzi prawie osiadłych.

Rozpakowaliśmy nasze tłomoki, dostaliśmy trochę książek i porozumieliśmy się z miastem za pośrednictwem żon naszych, które poznały dwóch mieszkających w Lipecku wygnańców, Stachowskiego, marszałka szlachty z Litwy, i Brzostowskiego, prezydenta Izby Cywilnej z Mohilowa nad Dnieprem. Ci nasi rodacy oświadczyli gotowość przesyłania nam książek i gazet, czem zrobili nam wielką przyjemność. Pozbawieni bowiem w podróży w ciągu trzech prawie miesięcy książek i gazet, powitaliśmy szczególniej te ostatnie z wielką radością. Pragnąc utworzyć sobie bodaj pobieżne pojęcie o tem, co się z naszą sprawą w kraju i w dziedzinie dyplomacji europejskiej działo, musieliśmy uważnie czytać i odczytywać te wszystkie czasopisma, jakie się w Lipecku za czas od 1 września 1863 r. zna-

lazły. Jakkolwiek pisma te jako cenzuralne starały się większą część prawdy ukryć, niemniej dowiedzieliśmy się, że powstanie trwało, a wśród licznych drobnych oddziałów wyróżniały się dotąd postacie wybitniejsze, jak księdza Mackiewicza na Żmudzi, Wróblewskiego w Grodzieńskiem, a następnie na Podlasiu, jenerała Czachowskiego w Krakowskiem, po nim zaś Bossaka (Haukego), który z Zygmuntem Chmielińskim niepokoił często wojska nieprzyjacielskie. Mimo to trwanie walki a nawet powodzenie pojedynczych oddziałów widocznem było dla nas, iż pod wpływem teroryzmu Murawjewa na Litwie, Berga zaś w Warszawie, powstanie traciło z dniem każdym nietylko na przestrzeni, ale i na siłach.

Nękaliśmy się myślą, co stanie się po pogromie z naszym umęczonym krajem, a szczególnie z jego najsłabszemi kresami, gdy powstanie będzie ostatecznie stłumione, a odepchnięta interwencja spocznie na laurach.

Wśród tych rozmyślań o sprawach dla nas najdonioślejszych nie opuszczały nas kłopoty i drobiazgi życia codziennego, w pierwszym szeregu konieczne przygotowania do dalszej podróży, którą skutkiem spadnięcia wielkich śniegów musieliśmy odbywać saniami. Przeszkodą niemałą do uskutecznienia na tem polu zamiarów naszych było nagłe rozpicie się na zimowych leżach (zapewne skutkiem bezczynności) woźnicy naszego Konstantego Hadziackiego, który będąc pod dobrą datą miał się zaczepnie względem wszystkich, a więc i względem fraucymeru naszego i raz się do takiego stopnia zapomniał w zachowaniu ze sługą Morzyckich, że ta mu garnek jaglanego krupniku wylała na głowę. Po tej katastrofie, z twarzą pokrytą tu i ówdzie krupami i cały zmoczony, stawił się przed nami idjotycznie uśmiechnięty, mówiąc: „Czyż to państwo pozwolą na to, aby z ich woźnicy ta baba takie licho zrobiła". Tem dotkliwszem było dla nas to rozpicie się, że musieliśmy koniecznie w Lipecku nasze powozy na sanie przełożyć, a sami jako więźniowie dokładnie tego dopilnować nie mogliśmy. Z natury rzeczy woźnica powinien był się tem zająć, a gdy nigdy nie był trzeźwym, na nic się nie zdał i w tym wypadku. Musieliśmy go więc obliczyć i wyprawić, biorąc prostego chłopa do koni.

W Lipecku przesiedzieliśmy do 19 grudnia, a zatem całe cztery tygodnie. Pobyt ten bardzo jednostajny urozmaicało tylko czytanie, które, jak nadmieniłem, uświadomiło nas nieco o przebiegu sprawy naszej. Nadzieje nasze, chwilowo obudzone przez Zachód, malały tak, iż coraz mniej rachować mogliśmy na lepszy obrót całej sprawy narodowej, a więc i prędki powrót do kraju. Wyruszywszy 19 grudnia z Lipecka, stanęliśmy 24 tegoż miesiąca w handlowem mieście Kozłowie. Dzień był chłodny i wietrzny ze śnieżną zawieją; prowadził nas oficer Polak, niejaki Skłodowski. Gdy przybyliśmy do kozłowskiego etapu, chciał ten pan żony nasze umieścić w jednym pokoju ze zbrodniarkami, czem nas do najwyższego stopnia oburzył. Protestowaliśmy wszyscy. Łagowski wpadł w taką pasję, że mówić nie mógł od szczękania zębów, wreszcie wykrztusił: „Pan na tej służbie zatraciłeś wszelkie poczucie różnicy między cnotą a zbrodnią i matkę rodzoną gotówbyś osadzić w towarzystwie zbrodniarek. Czybyś nie raczył nas lepiej zamknąć w więzieniu, gdzie, da Bóg, nie zastaniemy popisującego się swoją służbistością Polaka. Tam za parę rubli zdołamy sobie wytworzyć dogodniejsze warunki". Zmieszany naczelnik zgodził się na to odrazu i oddał nas do turmy w mieście położonej. Tu zastaliśmy nadzorcę, z książąt tatarskich pochodzącego. Przyjął on od pań naszych datek, wyznając dewizę: „Wsiakoje dajanije błogo jest'" („wszelki datek dobrym jest"), a za to otworzył na ścieżaj drzwi więzienne i pozwolił im urządzić po staropolsku wigilję nie tylko dla nas, ale i dla całej partji, złożoną z barszczu, dwuch ryb, owoców suszonych i kutji.

Oto, co żona moja w liście do matki z Kozłowa pisanym mówi o tym obchodzie: „Trudno opisać wrażenie tej wigilji. Gdybym umiała, chętniebym odrysowała tę izbę wielką a ciemną z dwoma ławami, na których i wokoło których stali malowniczo ugrupowani młodzi ludzie w najrozmaitszych kostjumach, obok nich nasi trzej mężowie, my trzy i troje dzieci. Łamiąc się opłatkiem z moim drogim Waciem, zapłakaliśmy gorzko, myśląc o was biednych" itd. Dodam tylko, o czem żona moja bała się tam pisać, że po wieczerzy młodzież zaintonowała kolendy; ale zaledwie śpiew ten rozległ się w sali więziennej, usłyszeliśmy upadnięcie i ryk straszny na korytarzu. Rażeni

tem, rzuciliśmy się w stronę upadku i zastaliśmy stróża więziennego, leżącego na ziemi, szlochającego gwałtownie i nie mogącego przyjść do słowa; pierwsze zaś, które wymówił z nowym wybuchem łkania, było: „Jeszcze kolendy". Dowiedzieliśmy się, że to Mazur, co zatracił jako żołnierz swą narodowość i został na zawsze w Kozłowie. Nuta wszakże w dzieciństwie mu znana wstrząsnęła tym nieszczęśliwym do głębi duszy. Drżał na całem ciele, łkał bez ustanku, składał ręce jak do modlitwy, prosząc o śpiewanie kolend. Młodzież, czyniąc zadość jego prośbie, śpiewała i śpiewała bez końca, aż nam nareszcie rozejść się kazano.

Nazajutrz naczelnik etapu przyszedł nas liczyć, ale mu się to nie udawało skutkiem widocznego pomieszania, więc prosił, abyśmy się sami policzyli, na co Łagowski, jak zawsze: „A za cóż pan brać będziesz pensję, jeżeli nie za liczenie do stu; niech więc pan liczy". Machnął tylko ręką nasz pan oficer i zniknął. 26 grudnia to jest drugiego dnia świąt ruszyliśmy w dalszą drogę i 27 przybyliśmy do stacji etapowej „Czełnowskij Dwor", gdzie pan Skłodowski uroczyście przepraszał nasze żony. Nowy zaś naczelnik etapu, również Polak, nazwiskiem Piekarski, objął nad nami prawo życia i śmierci. Spotkał nas ten pan w czamarce i najuprzejmiej prosił, byśmy się na wsi u najzamożniejszego chłopa rozlokowali.

Dziwną się nam trochę ta nadzwyczajna grzeczność i ta czamarka wydała, ale sądziliśmy, że może jakiś niezwykły traf zagnał na to miejsce kogoś poczciwego. Nazajutrz rzecz się wyjaśniła dokładnie. Nasz gospodarz bowiem zażądał od nas za nocleg 15 rubli, a gdy nie chcieliśmy tej fantazyjnej sumy uiścić, wyraźnie nam powiedział, że mu się tyle od oficera należy, ten zaś polecił mu ją od nas ściągnąć. Tą razą wszystko okazało się w porządku, bo i czamarkę, jak dowiedzieliśmy się później, ten wyrzutek naszego społeczeństwa zdarł z grzbietu któregoś z więźniów jako strój zabroniony i sam go przywdział jako ten, któremu wszystko wolno. Tymczasem gospodarz zamknął nasze powozy w podwórzu i nie chciał nas puścić, żądając od nas uporczywie wypłaty należnej mu od Piekarskiego sumy. Wytrwaliśmy wszakże mimo to, iż naczelnik etapu ruszył z partją naprzód, a tłumy włościan otoczyły nasz dom.

Skończyło się na zapłaceniu 3 rubli, poczem śpiesznie dopędzać musieliśmy tamtych.

Ostatniego grudnia stanęliśmy w gubernjalnem mieście Tambowie, do którego zbliżając się marzyliśmy o spotkaniu się ze starymi znajomymi, pp. Fortunatami Nowickimi. Doktor Fortunat Nowicki, kolega mój kijowski, ten sam, o którego szlachetnym wpływie na młodzież w uniwersytecie wspominałem, o którego czynnym udziale w pierwszej demonstracji na cześć pięciu poległych również nadmieniłem, mieszkał tu parę lat prawie, bo od wiosny 1861 roku, jako zesłany administracyjnie. Znalazł się też zaraz, by nas powitać. Uścisnęliśmy się serdecznie, a zarazem prosiliśmy o roztoczenie opieki nad Józefem Łagowskim, który zaniemógł w dniu przybycia naszego do Tambowa. Nowicki zarządził natychmiast wszystko, co się dało, by zapewnić choremu jak najstaranniejszą pomoc lekarską i zaprosił na konsultację inspektora rady lekarskiej w Tambowie, dra Sederholma.

Po dokonaniu ścisłego badania okazało się, iż biedny Józef cierpiał na poczynające się zapalenie ślepej kiszki. Pan inspektor wyjednał u gubernatora pozwolenie umieszczenia chorego w oddzielnym pokoju i pozostawienia naszych dwóch rodzin to jest Morzyckich i naszej w Tambowie aż do wyzdrowienia ukochanego towarzysza podróży. Rozlokowaliśmy się tu więc na dłuższy czas, jak się potem okazało, bo na cztery miesiące prawie. Panie nasze najęły domek blisko więzienia na dogodnych warunkach, bo płaciły tylko 10 rs. miesięcznie razem ze stajniami i wozownią, gdzie konie i powozy nasze ustawiono. Po urządzeniu się w więzieniu, a rodzin naszych w wynajętem mieszkaniu, staraliśmy się czas nasz uporządkować. Kolejno czuwaliśmy przy łożu ciężko chorego Józefa, zużywając resztę czasu na głośne czytanie, którego lektorem zwykle bywałem, lektorką zaś żona moja. Nadto ja słuchając czytania lepiłem z chleba pamiątki dla tambowskich rodaków, a panie robiły robótki. Morzycki wreszcie prowadził wspólne rachunki i zajmował się gospodarczemi sprawami. Od czasu do czasu żony nasze odwiedzały Nowickich i nowo poznane panie wygnanki lub domy wygnańcze, które tu były dość liczne.

Dla zachowania w skarbcu pamiątek składu tego wypisuję tu całą listę nazwisk, które w albumie moim posiadam w autografach. W samem mieście Tambowie byli następujący zesłani i zesłane: Józef Bogatko z Grodzieńskiego, Helena Skirmuntt z głębi Pińszczyzny, Idalja Poradowska, Aneta Łopacińska, Anna Bujnicka z Inflant polskich, Euzebja Jezierska (siostra przyrodnia pani Fortunatowej z Jezierskich Nowickiej), Walerja Kiełbszówna z Witebskiego, Zenona Nowicka z Wołynia, Marja Bogatkówna z Grodzieńskiego, Fortunat Nowicki z Wołynia, Wincenty Rudomina z Trockiego, Armand Monerot de Maine, Zygmunt Zasztowt z Mińska, Tekla Kwiatkowska z Ukrainy, Franciszek Bogatko z Grodna, Józef i Amelja Kiełbszowie z Witebskiego, Onufry Grąbczewski z Litwy, Antonina Gąbrowiczowa, Stanisław Dąbrowski z Litwy, Nikodem Kiersnowski również z Litwy. Gdy dodam do tego spisu Włodzimierzów Kraszewskich z Wołynia, otrzymamy liczbę 23 osób.

Czy lista ta obejmuje całość wygnańczego zastępu, nie jestem zupełnie pewny, ale tak sądzę; dzięki bowiem dodatnim wpływom grono tambowskich zesłańców nie dzieliło się na stronnictwa, a wśród tych, którzy na to wpłynąć umieli, był bez zaprzeczenia Fortunat Nowicki. Z jego to natchnienia i z jego inicjatywy zorganizowano tu „Pomoc Bratnią“ dla partyj, przesyłanych z Rusi na Sybir, a pomoc ta była rozumna i oględna. Zaopatrywano przeważnie przestępców politycznych w ciepłe obuwie i odzież ciepłą w zimie, a w lżejszą w innych porach roku, zawsze po porozumieniu się z partją i dokładnem zbadaniu jej potrzeb. W jadło mniej zaopatrywano, dając głównie chleb i wędlinę. Przy nas takich partyj przeszło przez Tambów kilka, a wszystkim koniecznym ich potrzebom uczyniono zadość. Towarzystwo polskie prawie całe zamknęło się co do stosunków w kółku własnem i przedstawiało piękny obraz jedności, wiary w przyszłość i rozumnej nadziei. Cieszyłem się głęboko widząc, jakie jeden z moich kolegów zajął tu stanowisko. To też obok starej sympatji powziąłem dlań cześć prawdziwą, którą długo przechowałem w sercu i we wspomnieniach moich.

Stan zdrowia Łagowskiego budził wciąż jeszcze poważne obawy o życie. Przeszliśmy straszne niepokoje, żona zaś traciła

często zupełną nadzieję i poddawała się rozpaczy. Pierwsza dobra otucha wstąpiła w serca nasze w połowie stycznia. Nie mogę powstrzymać się od opisania tutaj sceny, jaka miała miejsce w najkrytyczniejszych chwilach, a mianowicie w czasie pierwszych narad lekarskich nad chorym. Gdy czterech lekarzy uznało konieczność zalecenia „kalomelu", dr. Sederholm, uprzedzony przeze mnie, iż chory jest przeciwnikiem tego środka, z całą ostrożnością nadmienił choremu, iż będzie miał do zażycia parę proszków. Na to Łagowski, unosząc się na łożu boleści, z wyrazem wzburzenia na twarzy zawołał: „Chcecie mię truć kalomelem; nic z tego, wolę umrzeć aniżeli postąpić wbrew moim wierzeniom lekarskim". My zaś obecni dalejże dowodzić o konieczności słuchania naszych zaleceń, zaklinając go na żonę, na dzieci itd. Nic nie pomogło. Odrzekł nam, że jeśliby całe życie mylił się nawet, winien zastosować do siebie to, co stosował innym. „A więc cóż robić w takim wypadku, wedle twoich przekonań niezłomnych!" woła gremjum nasze. „Postawcie mi tu wiadro rycyny i dajcie łyżkę, będę połykał co godzinę jedną, aż skutek nastąpi". Wszyscy musieli ulec stanowczości chorego, który po trzeciej łyżce tryumfująco na zwolenników kalomelu poglądał w przeświadczeniu, że ich przekonał. Naturalnie, zostaliśmy wszyscy przy swoich mniemaniach, a czas i postępy nauki kwestję tę niejeden raz jeszcze zapewne rozstrzygać będą.

Z partji naszej pozostał w Tambowie młodzieniec, student kijowskiego uniwersytetu, osądzony w Połtawie, Mieczysław Huczyński, u którego rozwinęła się w drodze choroba płuc nieuleczalna. Bawił tu od tygodnia również staruszek Ezechjel Głębocki, którego sprawa miała związek ze sprawą moją i Łagowskiego, a szczególnie Morzyckiego. Gdy bowiem pojmano nas w Tatarynówce i gdy twierdzono, że 5.000 Polaków zebrało się pod Sołotwinem, oni to, zebrani w liczbie zaledwie dwudziestu kilku pod tymże Sołotwinem, po krótkim oporze ulec musieli. Zachorował w Tambowie na tyfus, a stryjeczni jego synowcowie Justyn i Władysław Głęboccy, którzy tu wkrótce nadeszli, pielęgnowali starego krewnego w chorobie.

Losy tego zacnego dziadunia (tak bowiem go wszyscy tytułowali), niegdyś właściciela dóbr Widybór z przyległościami

na Polesiu wołyńskiem w okolicy rodziców mojej żony, obecnie męczennika w całem tego słowa znaczeniu, były ciężkie. Po burzliwej młodości odbył on kampanję 1831 roku, emigrował, ożenił się z Francuzką, z którą miał syna i córkę. Po długich zaś oczekiwaniach, korzystając z ogólnego pozwolenia, powrócił do kraju. Zaledwie wszakże zagospodarzył się na nowo, nadeszły czasy demonstracyj, a następnie wybuchło powstanie, w którem wziął czynny udział, a jako świeżo ułaskawiony podległ wyrokowi ciężkich robót na całe życie. W komisji syna swego ukochanego bronił tem, iż mu pod błogosławieństwem kazał iść do powstania. Pokochaliśmy go jak bliskiego krewnego i robiliśmy wszystko, co było w mocy naszej, aby go pocieszyć, ale nie wiele mogliśmy dokonać na tem polu. Smutek cichy, głęboki, osiadł na czole jego. Nie narzekał, ze wszystkiem się godził, ale wyraz twarzy zdradzał cierpienie.

W Tambowie przyszła mi myśl zrobienia albumu pamiątkowego, aby w nim zostały ślady naszej podróży. Fortunat Nowicki ułatwił mi to i wpisał doń pierwszą kartę. Karta ta była bardzo oryginalna, przedstawiała bowiem obok fotografji Nowickiego sieć naczyń włoskowatych wątroby z mikroskopu, starannie kolorami odtworzoną. Pod fotografją był wiersz, stosujący się tak do załączonego rysunku jako też i do naszego położenia, a brzmiał jak następuje:

„Gdy sprawiedliwszej przyszłości promienie
Nikły z przed oczu niby ognik błotny,
A cnota, wiara, miłość, poświęcenie,
Szły po kolei pod pręgierz sromotny,
By nie oszaleć, pytałem przyrodę,
Azali bezład stworzenia udziałem?
Lecz na wstyd ludom porządek i zgodę
W życiu najmniejszych atomów widziałem!“...

. . . . . .

Album, oddane mi z tą kartką jak z kamieniem węgielnym, przyjąłem z radością. W tymże samym czasie kochany nasz staruszek Ezechjel Głębocki nakreślił w nim obraz całego życia swego w pięknych słowach poety:

„Wiek udręczeń, wesela jedna krótka chwilka,
Kilka gorzkich uśmiechów i łez gorzkich kilka,
Długie lata mozołów, krótki sen na jawie
O miłości, ojczyźnie, o szczęściu i sławie,
Garść błota, iskra ognia, które los pomącił,
Oto życie człowieka!"...

. . . . . .

Do tegoż albumu zacząłem wprawiać otrzymywane z kraju fotografje, a jeden z kolegów więźniów, niedawno przybyły Galicjanin Głuchowski, zdobił je stosownemi winietkami, piórkiem dość misternie wykonywanemi. Tak powstała karta, na której fotografje ojca, matki i sióstr z malutkim w pieluszkach pierworodnym synem najstarszej siostry mojej, Jasiem Miaskowskim, otoczone splotami cierni, są ozdobione winietkami, przedstawiającemi nad fotografją ojca cmentarz, u dołu z jednej strony wywiezienie Miaskowskiego kibitką, z drugiej zaś obraz podróży naszej etapami, co razem stanowiło wcale harmonijną acz smutną całość. Na drugiej karcie umieściłem świeżo nadesłaną fotografję matki żony mojej, dalej fotografję jej samej w Tambowie robioną i podobiznę towarzyszki jej dzieciństwa i krewnej, Cesi Jezierskiej, również w obramowaniu cierniowem z winietami, przedstawiającemi kościół parafjalny rodziny Mianowskich, nasze więzienie żytomierskie i znowu naszą podróż etapami. Karty te uzupełnił potem dr. Nowicki, ofiarując żonie mojej mapkę powiatu żytomierskiego i wierszyk pożegnalny, podpisany przez wszystkich wygnańców.

Miłe te dary spotkały nas w końcu stycznia, gdy myśleliśmy o dalszej podróży. Tymczasem siły Józefa Łagowskiego wolno się poprawiały i wyjazd nasz odkładał się od tygodnia do tygodnia.

Z wygnańców tambowskich bardzo niepospolitą postacią była pani Helena ze Skirmunttów Skirmunttowa, artystka-rzeźbiarka. Jej to zawdzięczam podobiznę naszego więzienia tambowskiego i mieszkania żon naszych. Krajowi zaś przysłużyła się kilku ładnemi bardzo rzeźbami. Z tych głośniejszem od innych dziełem były szachy historyczne polskie, które powstały pośrednio z mojej, a bezpośrednio z Nowickiego inicjatywy.

Jak już wspomniałem, lepiłem niejednokrotnie różne rzeczy z chleba, nie mając co robić w więzieniu. Wśród tych robót szachy były najpraktyczniejszą co do rezultatu formą tej więziennej pracy, bo i kolegom dawały możność uprawiania gry szachowej, a osobom, którym je przesyłałem za kratę, również na coś się przydać mogły. Nowickiemu taką partję szachów ofiarowałem. Nowicki zaraz nazajutrz przyniósł mi do obejrzenia parę herbów, lepionych przez panią Skirmunttową. Byliśmy zachwyceni orłem i pogonią. Wtedy przychodzi mi na myśl, czyby autorka tych rzeźb prześlicznych nie zechciała odtworzyć szachów artystycznych, narodowych, biorąc za szachownicę rozprawę wiedeńską? Nowickiemu myśl moja przypada do serca, a na jego propozycję godzi się pani Skirmunttowa na przystąpienie do tego niełatwego przedsięwzięcia. Przy nas jeszcze postacie Jana III. i Jabłonowskiego były gotowe, zaś sułtana i Kara Mustafy na wykończeniu. Znacznie później dowiedziałem się, że całość z wielkim trudem a ogromnym talentem została dokonana. Z czasem zaś, po powrocie moim z wygnania, spotkałem arcydzieło to na jednej z wystaw krajowych, a następnie reprodukcję we wszystkich pismach ilustrowanych polskich.

Drugą osobą, która naszą uwagę zwróciła, odprowadzając żony nasze do więzienia, była pani Bujnicka, piękna, wysmukła blondynka, ogromnego wzrostu, bardzo inteligentnego wyrazu twarzy, po męsku ostrzyżona. Będąc już na Syberji, dowiedzieliśmy się, że to ostrzyżenie miało odległy cel ucieczki w męskim stroju, która się powiodła.

Jednostajne życie w tambowskiem więzieniu urozmaiciło jeszcze parę niezwykłych wypadków. Razu jednego wśród dnia ni stąd ni zowąd zamykają nas na klucz w numerach. Słyszymy szczęk broni, hałas, stąpania na korytarzu; kwadrans trzymają nas pod kluczem; wkońcu drzwi otwierają. To samo powtórzyło się znowu w kilka tygodni potem późnym wieczorem. Dozorca więzienia, który się z nami zaprzyjaźnił, wyznał nam potem, iż ta cała komedja odbyła się pierwszy raz, gdy instalowano w „sekretnej“ bardzo ważnego przestępcę politycznego, drugi raz, gdy go wywożono. Okazało się, że to była prosta omyłka. Pojmanym w domu leśniczego Swidy był

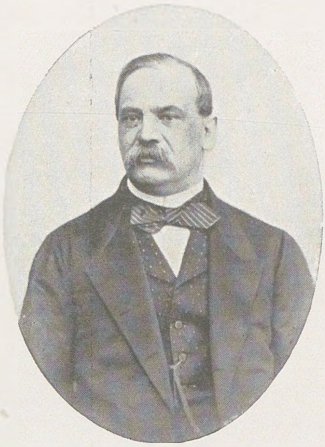


Fig. 8. Djonizy Ogrodziński.



Fig. 9. P. Ostromęcka.

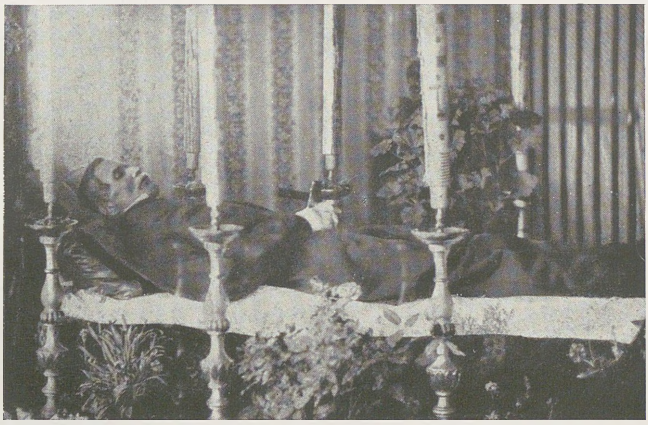


Fig. 10. Karol Mikulicz na katafalku. Ostatni gubernjalny marszałek zmarły w Orenburgu.

Apolinary Świętorzecki szeregowiec, myślano zaś, że schwytano Bolesława, wojewodę mińskiego.

Druga niespodzianka była co do swych następstw przykrzejsza. Przypomną sobie zapewne czytelnicy, iż w więzieniu połtawskiem zrobiliśmy mimowolną znajomość z ówczesnym starostą tego więzienia, niejakim Dołzikowem, że pan ten przyzwoicie się z nami obchodził, jednem słowem, że mieliśmy dlań pewne obowiązki uprzejmości. Otóż dochodzi nas wieść, że w jednej partji, która ma nadejść do Tambowa, jest ktoś ranny w zwadzie z żołnierzami. Byliśmy pewni, że to ktoś z naszych; ale gdy partja nadeszła, rannym okazał się ów Dołzikow, który zwrócił się do nas z prośbą o ratowanie go w niedoli. Pełni miłości bliźniego, a bardzo niedoświadczeni, zrobiliśmy pewien sport z kwestji pomyślnego załatwienia próśb tego pana, który ze swojej strony starał się jak najlepiej nam się przedstawić. Umieszczony w szpitalu, stał się na razie siostrą miłosierdzia, pielęgnującą chorych umiejętnie, nie sypiał po nocach, dozorując ich itd.

Ale ta komedja cnoty nie mogła trwać długo. Wkrótce, gdy się zdołał zaznajomić dobrze z politycznymi więźniami i wcisnąć się do gry w karty, zaczął swoje prawdziwe rzemiosło uprawiać, a gdy go na gorącym uczynku szacherki wśród gry pojmano i za drzwi wyrzucono, ten łagodny baranek zmienił się w szakala i rozpoczął całą kampanję nienawiści przeciwko naszej partji, nie przebierając w środkach. Zrazu udał się do nas na skargę. Gdyśmy odpowiedzieli, że sam sobie los taki zgotował, zaczął i nas prześladować, a mianowicie pisał codziennie listy, żądając zwrotu niby pożyczonych nam pieniędzy. Nie odpowiadaliśmy wcale na te napaści, on więc ponawiał swoje żądania. Zbliżała się wiosna. Miano nas wkrótce w dalszą wyprawić drogę z Tambowa. Poczęliśmy więc robić starania, aby z naszą partją nie wysyłano Dołzikowa, on zaś przeciwnie starał się koniecznie, aby właśnie iść z nami. Udaliśmy się do inspektora zarządu lekarskiego, wspomnianego już przeze mnie dra Sederholma, który nas często odwiedzał. Ten nam obiecał separację, ale widocznie nie dopilnował dobrze, tak iż Dołzikow postawił na swojem.

Nim opuścimy Tambów, niech mi wolno będzie wyrazić

głębokie uznanie dla doktora, przed chwilą wymienionego. Była to postać jedyna w swoim rodzaju na stanowisku, które zajmował. Całe życie był lekarzem w domach magnackich i na starość, bez rangi, zamianowany został inspektorem. Prześladował łapówki i złodziejstwa i wszystkich powiatowych i miejskich lekarzy powyrzucał prócz jednego uczciwego i bezinteresownego dziwaka, który zupełnie na serjo udawał się do zarządu lekarskiego z propozycją, aby mu poruczony został ścisły dozór nad noszeniem przez panie ciepłego odzienia na nogi w mieście Spasku, gdzie urzędował, celem uchronienia tychże od zaziębień. Innym razem jeszcze dziwaczniejsze przedstawiał żądania. Naprzykład prosił, aby w celu zabezpieczenia krów od przypadłości nerwowych zapewnić im liczniejsze towarzystwo osobników płci odmiennej.

Mimo wzorowy stan szpitala więziennego pod okiem doktora Sederholma, kolega naszej podróży, student uniwersytetu Mieczysław Huczyński w połowie marca zakończył życie. Była to pierwsza śmierć towarzysza na wygnaniu, pierwszy pogrzeb w drodze na Sybir, na który patrzyliśmy. To też, by oddać nasze wrażenia, wypisuję tu początek listu żony mojej do sióstr moich pisany, w którym poświęca słów kilka śp. Huczyńskiemu.

„Drogie moje siostry! Odsyłam do was pozostałe rzeczy śp. Mieczysława Huczyńskiego. Boleśnie mi wkładać na was smutny obowiązek doniesienia o tem biednej rodzinie. Ale zdaje mi się, że inaczej trudno zrobić, aby nieszczęśliwa matka nie dowiedziała się nagle o swym strasznym ciosie. Ach! niemałom tu łez wylała, myśląc o jej boleści, ale niech się pociesza, że zakończył swoje męczarnie i że mu tam daleko lepiej. Zajmowaliśmy się, o ile można było, jego pogrzebem. Wacio mój poczciwy sam go ubierał, włożył mu świtkę nową, którą tu sprawił i jeszcze ani razu nie miał na sobie. Leżał na katafalku dwa dni, a koledzy po kolei czuwali przy nim i modlili się. Ksiądz, który tu jest od dni kilku, był wezwany do pogrzebania ciała, ale nie chciał się fatygować i tylko przy zakryciu trumny odmówił modlitwy, które otaczający zakończyli odśpiewaniem „Anioł Pański“. Sześciu kolegów chciało go zanieść na cmentarz. Wzbroniono im — i tylko Olga, ja i Misio,

towarzyszyliśmy biedakowi do grobu. Świętości dlatego mu nie włożyliśmy, ponieważ rzeczy dopiero po pogrzebie zostały zebrane, alem mu dała medalik na szyję, a Wacio w ręce krzyżyk własnej roboty. Z bolesnego wrażenia, które na mnie ta śmierć i pogrzeb wywarły, dotąd się otrząść nie mogę, a szczegóły przesyłam dlatego, że może biedna matka zechce coś wiedzieć o tem!".

. . . . . .

W końcu marca otrzymaliśmy listy i przesyłkę od Stanisława Miaskowskiego z gub. orenburskiej z miasteczka Sterlrtomaku. Pismo miał nieczytelne, a pisywał zwykle po kilka arkuszy. Stąd gdy nie umiano tych listów odczytać w cenzurze, gubernator d'Anzasse wezwał moją żonę dla osobistego odczytania tych hieroglifów. Biedna Marynia, zaprosiwszy do towarzystwa panią Olgę Łagowską, wyruszyła do tego dygnitarza. Pani Łagowska wzięła za pretekst podziękowanie mu za doznane dla męża ulgi i starania w chorobie, moja żona zaś, odczytawszy monotonnie olbrzymi list Stasia, przekonała gubernatora, iż tam nie było dlań nic ciekawego, gdyż widocznie go znudził i zmęczył.

25 marca obchodziliśmy pierwsze na obczyźnie imieniny mojej najdroższej żony. Jaki zaś to był obchód bolesny, niech zaświadczą przytoczone tu wyrazy jej listu do matki:

„Najdroższa i najukochańsza Mateczko! Otóż pierwszy dzień imienin moich, w którym nie mogłam być z mateczką drogą i uścisnąć jej ręce i nogi. Niechże przy schyłku dnia tego choć przez pismo wolno mi będzie pogawędzić z moją mamcią jedyną i wypowiedzieć jej chociażby w części, jak mi to ciężko i smutno było dziś żyć tylko wspomnieniem tych dni szczęśliwych. Ale cóż to i mówić o tem!... Drogi mój Wacio wyszukiwał, co mógł, aby mię rozerwać. I ja, żeby go nie martwić, miałam twarz spokojną, ale co się w duszy działo, to już Bóg wie jeden. Telegram, który dziś odebrałam z podpisem Stasia drogiego, narazie niesłychanie mię ucieszył, ale rozważając bałam się dobremu uwierzyć, by potem nie mieć zawodu. Otrzymałam dziś także zawiadomienie z poczty, że jest coś do mnie. Cieszę się więc nadzieją, że to od moich

drogich. Wieczorem przynieśli nam trzy listy pana Stanisława. Chociaż dawne, bo odesłane z Symbirska, jednak zawsze najmilsze, uprzyjemniły nam i zajęły wieczór cały. Poczciwy on, że tak nie zapomina o nas. Odebraliśmy też od niego przesyłkę, a ten papier, na którym piszę, jest także jego darem. Jak tam u nas ślicznie być musi! Wiosna już pewnie w całym blasku, a tu szkaradnie, powietrze brzydkie, błoto po kolana i deszcz co dnia. Oj tęskno, tęskno, nawet za wiosną swoją! A kiedyż to jeszcze Bóg pozwoli nam ją ujrzeć? ale czekajmy cierpliwie i znośmy z poddaniem Jego świętą wolę. Już to musi być przeznaczeniem mojem odbierać wiązania całe życie, kiedy i na wygnaniu miałam ich kilka: od Wacia lusterko podróżne, od pana Józefa kochanego filiżankę, a od dzieci podwiązki własnej roboty i koszyk jakiś".

. . . . . .

Te kilka pełnych prostoty wyrazów jakże dokładnie malują stan naszych uczuć i myśli na wygnaniu. W czasie pobytu naszego w Tambowie odczytywaliśmy codziennie gazety dostarczone nam z miasta. Z prawdziwą boleścią przekonaliśmy się, iż powstanie nie zdoławszy nic zdobyć chyliło się do upadku. Po długiej przerwie działań wojskowych w grudniu i styczniu pojawiać się zaczynają na początku lutego i marca 1864 roku małe oddziały, dające zaledwie od czasu do czasu znaki życia o sobie. Usiłowanie wywołania pospolitego ruszenia upada. Rząd terorystyczny ustąpił miejsca ludziom wręcz przeciwnego kierunku już w październiku 1863 roku. Środki gwałtowne z końcem tego miesiąca zaniechane nie ponawiają się prawie zupełnie. Natomiast rząd najezdniczy w osobach Murawjewa i Berga posuwa bezprawia i gwałty do krańców bez wszelkich zastrzeżeń. Egzekucje, kontrybucje, wywożenia całych rodzin, całych wiosek, są na porządku dziennym. Wreszcie, dnia 2 marca 1864 roku, stanowcze uwłaszczenie włościan załatwione ukazem. Obok tych warunków miejscowych następują jedne po drugich zawikłania polityczne, które przyczyniają się jeszcze bardziej do pogorszenia położenia naszego. Prusy, pragnąc uzyskać milczące zezwolenie Rosji na rozbiór Danji i zagarnięcia w drodze spadku przez Hohenzollernów księstw Szlezwigu

i Holsztyna, obiecują Austrji pomoc zbrojną w razie wybuchu grożących jej ruchów włoskich i węgierskich, za co uzyskują u tego mocarstwa obietnicę ogłoszenia Galicji w stanie oblężenia, poczem złożywszy u stóp Rosji tę świeżą swoją zasługę i zapewniwszy sobie neutralność tego cesarstwa w sprawach duńskich, porozumiewają się z obu mocarstwami rozbiorowemi, by przyśpieszyć zgnębienie rwącej się do życia, a tak pogwałconej Polski. Działania dyplomatyczne Czartoryskich ustają od chwili ogłoszenia Galicji na stopie wojennej, Francja zaś usuwa się od wszelkiej na korzyść Polski czynnności.

Rząd Narodowy, straciwszy nadzieje wszelkiego powodzenia, nawet zdobycia pewnych ulg dla uciśnionej przemocą ojczyzny, wydaje w dniu 18 marca 1864 roku manifest, pełen godności i prawdy, nacechowany przewidywaniem dalekich wypadków. Wkońcu bowiem przepowiada opanowanie niepodzielne wszechwładztwa nad Europą przez Prusy w najbliższej przyszłości z narzuceniem tejże i podniesieniem do zasady i ideału państwowego grabieży, łupiestwa, tyranji i tępienia wszystkiego, co się tępić daje, a stoi na zawadzie do celu. Zasady te, streszczone później w trzech słowach: „siła przed prawem", boleśnie ziściły się i usprawiedliwiają te pełne bezstronnego jasnowidzenia przepowiednie upadającego pod brzemieniem gwałtu, powstańczego Rządu. Autor ich, czcigodny Traugutt, już w kilka tygodni potem bo 17 kwietnia został aresztowany wraz z całym składem ostatniego prawidłowego Rządu Narodowego, a w dniu 5 sierpnia 1864 r. stracony.

O tem uwięzieniu, które zdawało się kłaść koniec zbrojnemu powstaniu, dowiedzieliśmy się na parę dni przed opuszczeniem Tambowa. Łatwo więc pojąć, jak bardzo byliśmy przygnębieni, z jaką goryczą gotowaliśmy się z konieczności do dalszej podróży, jak beznadziejną narazie zdawała się najbliższa przyszłość kraju, jak strasznemi losy nasze osobiste, w których nie oczekiwaliśmy najmniejszego współczucia, spodziewając się raczej pastwienia się, na tę bowiem nutę zdawała się nastrajać opinja publiczna całej Rosji.

Ostateczny termin naszego wyjazdu nadchodził szybko. Robiliśmy przygotowania, starając się jednocześnie, aby nas nie połączono z drugą partją pod wodzą byłego kapitana

wojsk rosyjskich, a następnie oficera, p. Włodzimierza Jarockiego. Jakkolwiek bowiem był to człowiek dobry i uczciwy, wpadł wszakże pod pantofel starej panny Suffczyńskiej, która spełniając wolę ojca swego towarzyszyła bratu zesłańcowi. Ta jejmościanka, ukartowawszy sobie małżeństwo z Jarockim, zaczęła od wodzenia go za nos w najgorszem tego słowa znaczeniu i na każdym kroku nietaktem i niewłaściwem postępowaniem psuła urok, jakim dotąd nawet u wrogów naszych były otaczane kobiety nasze, towarzyszące skazanym. Niemniej gorliwie staraliśmy się, aby do nas nie dołączono Dołzikowa. Pierwsze udało się, zostawiliśmy bowiem za sobą pannę Suffczyńską i jej partję pod tytularnem przewodnictwem pana Jarockiego, ale Dołzikowa wraz z przyjaciółmi jego dołączono do nas, niestety. Panna służąca mojej żony, Julja, cieszyła się bardzo z wyjazdu naszego, miała bowiem nadzieję dopędzenia pana Dąbskiego, studenta, który ją chciał pojąć za żonę. Wreszcie nadszedł dzień odjazdu z Tambowa. Wyruszyliśmy 15 kwietnia w znacznie zmniejszonym komplecie, co do domów rodzinnych. Pani Morzycka była w odmiennym stanie i licząc się z tem uważała za konieczne zatrzymać się w Tambowie. Mąż zaś tym razem musiał do żony się zastosować.

Na pierwszej stacji spotkała nas wielka przykrość osobista. Ulubiony nasz koń siwek (prawy) padł rażony gwałtownem zapaleniem płuc. Konie były zakarmione i nie przejeżdżane, a pierwsza za Tambowem stacja długa i piaszczysta. Uległ więc biedak skutkom raptownego wysiłku po długim zażywnym wypoczynku. Konia tego opłakała żona moja w dosłownem tego słowa znaczeniu. Na prośby nasze listowne Morzyccy przysłali nam swoją parę, którą nabyliśmy i używaliśmy do zaprzęgu, przyprzęgając lewego siwka na orczyk. Przy pierwszej wszakże sposobności musieliśmy zamienić dwa konie Morzyckich na jednego, który do pozostałego siwka dobrze dopadał. 19 kwietnia wedle st. st. w dzień Wielkiejnocy stanęliśmy w Kiersanowie, mieście powiatowem guber. tambowskiej. Zaledwie przybyliśmy do etapu, poczęto znosić z domów kupieckich święcone. Tutaj też spotkał nas dawny kolega Łagowskiego z Kaukazu, najmilszy i najserdeczniejszy pan Pławiński. Skazany ongi w sołdaty za udział w spiskach,

opuścił wojsko jako oficer po ukończeniu wojny krymskiej i zajął miejsce zarządzającego dobrami w gub. mohilowskiej, skąd go zesłano administracyjnie do Kiersanowa. W domu Pławińskiego przepędziliśmy godzin kilkanaście, które nam szybko i przyjemnie zeszły. 21 kwietnia ruszyliśmy w dalszą drogę.

W drodze do Penzy napotkaliśmy jeszcze jedno miasto powiatowe tejże gubernji, Czambar, w którem bawiliśmy od 25 do 27 kwietnia. Panie nasze podejmowane tu były przez wygnańców politycznych, których tu było około 20 osób a mianowicie: Franciszek i Kunegunda Bilewiczowie z córką Urszulą, Idalja Łopacińska z Wilna, Tekla Wilkowiejska, Dominik Korbut, Ludwik Grąbczewski, Emilja Grąbczewska z córką i synem z Płockiego, Lucjan Augustowski z Augustowskiego, Antoni Prószyński, Czesław i Anna Świętorzeccy (rodzice Bolesława), Karol Tyszkiewicz, Karol Wołodkowicz, Cezary Pruszyński, Antoni Lebiedziński doktor, Aleksander Pożerski, Władysław Janikowski, Konstanty Frąckiewicz doktor, Paweł Karwowski z Warszawy i Stanisław Jankowski. Wszystkie tu wymienione osoby podpisały się własnoręcznie na karcie w książce pamiątkowej żony mojej. W Kiersanowie panowały między wygnańcami jak najlepsze stosunki, dzięki, o ile sądzić mogłem, dodatniemu wpływowi dra Frąckiewicza i innych.

4/16 maja dowlekliśmy się do Penzy, gdzie zatrzymano nas sześć godzin około rządu gubernjalnego, w ciągu których przepatrywano nasze dokumenta, my zaś staliśmy na chodnikach, schodach i przedsionkach gmachu. Tu zaszedł bardzo komiczny wypadek, wywołany przez jednego z kryminalistów. Szedł w naszej partji jakiś żydek z Odessy stale błaznujący; codzień tańczył polkę tremblante, naśladując przesadnie ruchy dandysów, przyśpiewując sobie i robiąc jednocześnie pończochę. Śpiewał on nadto piosenki świeckie, nie zawsze przyzwoite. Gdy zaś mu dano złotówkę, zwykł intonować pieśń dziękczynną po rosyjsku, długich lat życząc temu, kto dał pieniądze. Tenże jegomość prosił gubernatora tambowskiego zwiedzającego więzienie, aby go jako błazna zostawiono na zapas w Tambowie, bo słyszał, że w tem mieście ród błaznów wyginął. Filut ów, znudzony długiem czekaniem w przedsionku,

zaczął zwyczajem swoim tańczyć poleczkę, przyśpiewując i robiąc z niezwyczajną szybkością pończochę. Przynęceni śpiewem wylegli z biur urzędnicy i przypatrywali się dobrze prowadzonej farsie z coraz większem zajęciem. Po niejakim czasie wykonawca urywa nagle, staje jak wryty, dobywa z zanadrza nuty, a zwracając się do widzów daje do zrozumienia, że nadeszła chwila podziękowania brzęczącą monetą za improwizowane przedstawienie. Na tę propozycję odpowiadają mu głuchem milczeniem. Nasz trefniś nie miesza się, robi minę człowieka, co się omylił, i przemawia donośnym głosem: „Panowie! wybaczcie mi; zapomniałem, że to jest rząd gubernjalny, gdzie za wszystko biorą, ale za nic nie płacą". Ogólny śmiech więźniów i pomieszanie urzędników, którzy powoli cofać się poczęli, zakończyły tę scenę. Wtem ktoś z naszych daje złotówkę zawiedzionemu w nadziejach artyście i ten naprędce wykonywa hymn „długie lata", wymieniając z imienia i nazwiska ofiarodawcę.

Wymęczeni sześciogodzinnem oczekiwaniem, ruszyliśmy wkońcu do więzienia, nie spotykając nikogo z wygnańców, bo też ich w tem mieście nie było wcale. Tylko w oknie jednego z domów ujrzeliśmy p. Wincentego Strojnowskiego, ex-kanonika katedry łucko-żytomierskiej, który przyjął protestantyzm, by się ożenić z wdową ze Złotnickich Bezobrazową, która wraz ze swoim małżonkiem z okna otwartego nam się przyglądała. Strojnowski obok krwi gorącej, co go do złego przywiodła, był zapalonym patrjotą, a widząc nas, których znał dobrze dawniej, idących w siermięgach aresztanckich, począł błogosławić z okna znakiem krzyża świętego, na co Łagowski niezdolny do politykowania na całe gardło wykrzyknął: „A bodaj ci ta ręka uschła, bo chyba za twem błogosławieństwem djabli nas porwą do piekła". Cofnął się ex-ksiądz i jego żona, ale większa ich jeszcze z naszej strony spotkała konfuzja, gdy odesłaliśmy im nietknięty suty obiad, dla partji przygotowany, który nas oczekiwał w więzieniu. Przykro nam było bardzo wyrządzać tę niegrzeczność, ale uważaliśmy, że tak postąpić jest naszą powinnością.

Ten ksiądz Strojnowski był przed swem ożenieniem lubiany i szanowany w Żytomierzu, a taka bogobojna kobieta,

jak pani Zofja z Woroniczów Józefowa Ignacowa Kraszewska, miała go za kapelana i spowiednika w ciągu lat kilku. Ojciec mój, który go znał od dziecka, zawsze ostrzegał, że kiedyś poślizgnąć się może. „Widzę ja dobrze, mawiał, jak ci się iskry z oczu sypią i jak nozdrza rozdymasz, gdy udzielasz rozgrzeszenia młodym i ładnym paniom". Niestety, przepowiednia ta spełniła się; nie pomogła i peleryna kanonika, którą zrzucił dla pani Bezobrazowej. Nim przyjął protestantyzm, gotów był przejść na prawosławie. Ówczesny biskup obrządku greckiego w Żytomierzu, słynny z rozumu i zacności, powiedział mu, gdy tenże oświadczył się z gotowością zmiany religji: „Niech lepiej ksiądz przyjmie inną jaką wiarę; my bowiem mamy tyle własnych parszywych owieczek, których nam pozbyć się trudno, że z innych owczarni nabierać wcale nie mamy ochoty". W owym czasie kilku księży dla zawarcia związków małżeńskich opuściło swe stanowiska, zmieniając religję. Utworzył się z nich potem, gdy z pokuty przez rząd naznaczonej powrócili, w kijowskim gubernjalnym rządzie, w którym posady pootrzymywali, tak nazwany „księdzowski stół".

Gubernatorem penzeńskim był dawny znajomy Łagowskiego z Kaukazu. Nazywał się, o ile pomnę, Aleksandrowski. Za jego pośrednictwem pani Łagowska wyrobiła zastosowanie do naszej partji rozporządzenia władz wyższych, o którem z gazet dowiedzieliśmy się, a mianowicie płacenia na jadło po złotemu dziennie na każdą głowę szlachecką, a dwudziestu groszy na nieszlachecką, z dawaniem podwody czyli furmanki w naturze, jednej na dwóch więźniów. Za Penzą napotkaliśmy powiatówkę tejże gubernji, Horodyszcze, gdzie zesłani byli sami księża: prałat Białobrzeski z Warszawy, głośny z zamknięcia kościołów, ks. Anastazy Brodnicki, proboszcz Lachowiec na Wołyniu, ks. Hipolit Tasché, proboszcz dombrowicki, mój szkolny kolega, i wielu innych. Następnem miastem również powiatowem był Korsuń, już w gub. symbirskiej, w którem naczelnik etapu niezwykle gościnnie nas podejmował; zaś 22 maja przyszliśmy do Symbirska, który opuściliśmy 24 tegoż miesiąca. Na całej tej przebytej przez nas od Tambowa przestrzeni towarzyszył nam Dołzikow i jego banda, dająca się na każdym kroku we znaki. Postanowiliśmy więc bądź co bądź

skończyć z tymi łotrami w Symbirsku. Gdy zaś nie udało się sprowadzić do więzienia ani oficera żandarmów ani prokuratora, zmuszeni byliśmy stanowczo zaprotestować przeciwko takiemu przymusowemu zespoleniu naszej partji z tymi niegodziwcami.

Zrazu nam odmówiono, lecz gdyśmy uporczywie nastawali, zgodzono się na przejrzenie papierów Dołzikowa i jego nieodstępnego towarzysza, krawca Kwiatkowskiego, przyczem dowiedzieliśmy się ze zgrozą, że mamy do czynienia z pierwszorzędnymi zbirami, bardzo w popełnianych zbrodniach wszechstronnymi. Obu tym panom ogolono połowy głów, okuto nogi i pozostawiono na miejscu. Mszcząc się, wykazali ci nasi przyjaciele, że jest wśród nas jeden nie szlachcic Łotocki, którego także skuć należy, i dopilnowali, że biedaka okuto. Naturalnie, iż to trwało jedną stację tylko. Z Symbirska dotarliśmy do Kazania bez żadnych wrażeń dnia 5 czerwca. Tu pierwszy raz powitaliśmy największą z rzek europejskich, ukochaną przez cały naród rosyjski „matkę Wołgę".

Więzienie w Kazaniu przeraziło nas, było bowiem wyładowane więźniami, jak beczka śledziami. Tutaj też pierwszy raz ujrzeliśmy smutne sceny bezwstydu, który przy wielkim natłoku ludzi różnej płci zwykł się rozwijać. Wszelka demoralizacja była integralną, składową częścią rządowego programatu względem wygnańców; i tu też niby niechcący starano się ją szerzyć.

Do Kazania przybyliśmy świeżo po straceniu ludzi, zamieszanych w tak zwanej „sprawie kazańskiej". Mieli oni na celu rozwinięcie nad brzegami Wołgi ruchów powstańczych 1863 roku. Ofiarami, które tu padły pod strzałami w dniu 24 maja 1864 roku, byli oficerowie: Mroczek, Iwanicki i Stankiewicz, wszyscy trzej Polacy, oraz inż. Hieronim Kieniewicz, syn emigranta Polaka, a poddany francuzki. Zginęli po bohatersku, otoczeni cichem współczuciem rodaków. Reszta uznana za mniej winnych po odczytaniu wyroków przez komisję powysyłaną została z żandarmami do miejsc przeznaczenia. Do naszej partji przyłączono porucznika Michajłowa, który za to, że nie denuncjował kolegi swego Mroczka, skazanym był na lat 10 do ciężkich robót.

Władze kazańskie, które starannie ukrywały rozporządzenie o polepszeniu warunków bytu politycznych przestępców t. j. dawania podwód i większych strawnych, nie chciały tego do nas stosować, mimo pierwszy krok na tem polu, już w Penzie uczyniony. W dyspucie, którą o to prowadził Łagowski z dozorcą więzienia, o mały włos nie przyszło do strasznej awantury. Grożono nam kijami, kajdanami i t. d., ale się wszystko na krzyku skończyło i dano nam zwiększone strawne.

W sprawach naszych bieżących zrodziła się dla nas w Kazaniu bardzo niemiła i kłopotliwa niespodzianka. Napotkaliśmy bowiem wielkie przeszkody do przewiezienia powozów naszych i koni na parostatku rządowym. Prywatne zaś towarzystwa nie podejmowały się dostarczenia ich na oznaczony termin do Permy. Odszukały wreszcie żony nasze jedyną firmę, co się dostawy terminowej podjęła za 120 rs. od dwóch powozów i czterech koni, które to warunki, acz nieco uciążliwe, przyjąć musieliśmy. Po załatwieniu tej najważniejszej na razie sprawy pożegnaliśmy naszą pannę służącą Julję, która nie dognawszy swego narzeczonego wyruszyła z Kazania do braci swych, w Petersburgu służbę wojskową pełniących; poczem oczekiwaliśmy cierpliwie chwili wyruszenia w dalszą drogę. Wyjazd statkiem rządowym nastąpił dnia 12 czerwca po tygodniowym pobycie w więzieniu tej dawnej stolicy tatarskiej, w której rodziny nasze cały czas mieszkały w hotelu. Ponieważ powozy były już umieszczone na parowcu, przyjechały więc one dorożkami do portu, zwanego „Przystanią“, gdzie mieliśmy oczekiwać nadejścia statku z więźniami z Niżnego Nowogrodu.

My zaś z całą partją szliśmy z więzienia pieszo. Zaledwie uszliśmy kilka kroków, spotkaliśmy nową partję, wchodzącą do Kazania, gdzie na czele zbrodniarzy szedł Dołzikow z Kwiatkowskim jako przewódcy. Pierwszy trzymał na przedramieniu żywy symbol mądrości, olbrzymią sowę, a mijając nas ukłonił się nam z wyrazem złości, na co my odpowiedzieliśmy zupełnie biernem zachowaniem się. Nad brzegiem Wołgi zastaliśmy panie nasze i czekaliśmy tu około godziny. Wreszcie usłyszeliśmy świst sygnałowy zbliżającego się statku, który ciągnął za sobą ogromne dwie barki, wyładowane więźniami. W jednej byli kryminaliści, w drugiej przestępcy polityczni, rodziny zaś

ich i lekarze umieszczeni byli na statku. Gdy się parowiec zatrzymał, wylądowało kilka pań i kilka rodzin, przeznaczonych na mieszkanie do gubernji kazańskiej i orenburskiej. Jakiś jegomość bardzo oryginalnej powierzchowności, ubrany w ponsową koszulkę, pasem lakierowanym przepasaną, z olbrzymiemi rudemi faworytami, w żółtej czapeczce dżokiejskiej na głowie i w szyldkret oprawnych okularach, stojąc na pokładzie statku zwracał się ku paniom, które wysiadły, zaś właściwie ku jednej z nich, a przykładając końce palców obu rąk swych do ust odejmował je po ucałowaniu, dodając do tych giestów pożegnalnych wyrazy: „Pięteczki panny Marji całuję". Nas zajęła bardzo i rozśmieszyła ta scena, ale panie nasze wystraszył ów całujący pięty jegomość, tak, iż wsiadłszy na parowiec długo z nim unikały znajomości.

Umieszczono nas z rodzinami dość wygodnie w kajutach II. klasy. Żony zajęły się dziećmi i prawie nie pokazywały się na pokładzie, zostawiając nam niepodzielnie przyjemność zawierania nowych znajomości, z czego nie omieszkaliśmy korzystać już w pierwszym dniu naszej podróży. A więc dowiedzieliśmy się po odbytych wzajemnie przedstawieniach, że płyniemy w towarzystwie rodziny Żeligowskich (on, brat znanego pod pseudonimem „Sowy" autora dramatu „Jordan"), złożonej oprócz rodziców z dorastającej córki i syna, dalej bezdzietnej rodziny Olechowskich (ona bardzo piękna ale bez wyrazu, on brzydki i nieinteligentny), czcigodnej staruszki Ostromęckiej i doktorów: Tomkowicza i Walickiego. Od dra Tomkowicza dowiedzieliśmy się, że panna Marja, której pięteczki przed chwilą całował, nosiła nazwisko Marji Misiewicz i wraz z matką przeznaczona była do gub. orenburskiej. Ożywienie naszego towarzystwa wzrastało z każdą chwilą pod batutą tego dziwacznego napozór, w gruncie rzeczy nieskończenie dowcipnego i najmilszego towarzysza podróży, jakim był doktor Ignacy Tomkowicz. Robiąc z nim znajomość, ani przeczuwałem, jak długi i bliski połączy nas stosunek, ile skarbów towarzyskich i umysłowych znajdę w bogatej naturze tego szlachetnego, zdolnego, a bardzo nieszczęśliwego człowieka.

Kilka dni spędzonych na parowcu, płynącym Wołgą a następnie Kamą, minęły jak jedna chwila. Piękna pogoda, cza-

rujące widoki, aromat świerkowych i jodłowych lasów, naśladujących do złudzenia wspaniałe parki, wszystko to stanowiło miłe otoczenie, od którego odwykliśmy. Nadto raczyliśmy się pełną werwy i dowcipu gawędą, której osią był nasz nowy znajomy, dr. Ignacy. Kuchnia na statku była znośna. Nikt nas w ciągu podróży nie niepokoił. Położenie więc w tych warunkach było tak wyjątkowo miłe, że podróż ta kilkodniowa pozostała we wspomnieniach naszych jak oaza we wspomnieniu wędrowca na pustyni. Cóż więc dziwnego, że bardzo niechętnie gotowaliśmy się do pożegnania naszego parowca. W wyobraźni naszej piętrzyły się nowe więzienia, etapy, kajdany, bagnety, kłódki, klucze, codzienne przeglądy rządowego ubrania itd. Panie nasze, jakkolwiek od towarzystwa nowych kolegów długo stroniące, dały się w dwóch ostatnich dniach namówić na zbliżenie się do nich, czego wcale nie żałowały później.

Dnia 17 czerwca 1864 roku statek nasz wraz z barkami wylądował w Permie. Rozlokowano nas za miastem w koszarach przebudowywujących się, a więc bez podłóg, drzwi i okien. Partja wynosiła około 800 osób przeważnie płci męskiej, nie bez znacznej wszakże domieszki kobiet i dzieci. Tłok był straszny! Przywykli do małych partyj, które z Wołynia i Ukrainy dążyły na Kazań, nie umieliśmy na razie dawać sobie rady, o wszystko bowiem, nawet o miejsce, trzeba było walczyć przebojem. Ogólny widok przedstawiał obozowisko pstre, bezładne, do niczego przyrównać się nie dające.

Pod wrażeniem przybycia do Permy żona moja wysłała list do rodziny swojej, z którego przytoczę tutaj wyjątek jako odzwierciedlający ciężkie usposobienie żon naszych, pragnących za jaką bądź cenę opóźniać zbliżenie się do kresu ostatniego przeznaczenia. Oto dosłowny ustęp z listu tego: „Przed paru dniami wysiedliśmy ze statku parowego, na którym przebyliśmy dni pięć w licznem towarzystwie i bez żadnego wypadku. Ten statek niegodziwy tak bardzo nas oddalił od kraju, że opamiętać się trudno! To też ile razy wyszłam na pokład i zobaczyłam, jak prędko leci, tyle razy smuciłam się, że do tej naszej obrzydłej przyszłości tak bardzo bezwłasnowolnie śpieszymy“. Właściwie zaś statek, obarczony barkami, dążył stosunkowo bardzo powoli i tylko duszom, tak bardzo stęsknionym

za krajem i ukochaną rodziną, które tak jak żona moja porzucały wszystko i wszystkich, by dzielić smutną dolę męża wygnańca, wydawać się mogło szybkiem wolne posuwanie się jego ku północy.

W Permie wśród naszych koszar rozglądnęliśmy się i ku wieczorowi zaledwie odnaleźliśmy dogodne dość miejsce, ale zawsze w budynku bez okien i drzwi. Nowe nasze znajomości ze statku jako też i koledzy z partji wołyńsko-ukraińskiej tak jakoś się rozprószyli, iż trudno nam było wśród setek nieznanych odszukać się. Poszedłem wszakże szczęścia próbować, nie przeczuwając, że stanę się świadkiem awantury. Zeligowscy i dwie jeszcze rodziny, nam nieznane, zajęły mały oddzielny budynek, który nie wiem, jakie miał mieć przeznaczenie w przyszłości; tam ich odszukałem.

Gdy wszedłem, zastałem u nich młodego mężczyznę, eksdowódcę oddziału, Czyżyka. Zaledwie poznaliśmy się przedstawieni sobie przez gospodarza, gdy nagle drzwi się otwierają i wchodzi adjutant gubernatora ze świtą miejscowych urzędników. Zaczął od zapytania ze słodkim uśmiechem, do pp. Z... skierowanym, czy są zadowoleni i zażaleń jakich nie mają? Staruszkowie odrzekli, że żadnych skarg nie mają. Pan adjutant chciał wyjść, by zkolei innych pytać o to samo, gdy wtem Czyżyk najniespodziewaniej zastępuje mu drogę i nie przebierając w wyrazach z natarczywością powiada: „Jak wam nie wstyd panowie, dręcząc i katując ludzi, dopytywać się jeszcze gnębionych, czy są zadowoleni i skarg jakich nie mają? Jest to znęcanie się silniejszego nad słabszym, które wam zaszczytu nie przynosi". A gdy zkolei p. adjutant zapytał: „Kto pan jesteś! i jak śmiesz do mnie tak mówić?" Czyżyk odrzekł: „Jestem eks-oficerem waszej armji, czego się wstydzę, i eksdowódcą powstania, czem się szczycę". Na te słowa adjutant wycofał się co prędzej do bramy i dał rozkaz aresztowania Czyżyka. Wkrótce wszakże rozkaz ten był cofnięty i cała sprawa poszła w niepamięć.

W ciągu kilku dni naszego tutaj pobytu dozorca więzienia wciąż namawiał więźniów naszej partji, aby brali nową odzież skarbową, gdyż wydany został cyrkularz, dozwalający wydawać takową politycznym przestępcom bez zastrzeżeń i ograniczeń.

Nie mogliśmy narazie pojąć, o co tu chodzi; w końcu zaś zrozumieliśmy, że chodziło o złodziejskie operacje na wielką skalę. Ubranie zesłańca składa się z bielizny, łapci, świty i czapki, ale te przedmioty drogo były ocenione i za taki garnitur płacono dostawcom z kasy rządowej, o ile mi mówiono, cenę dwudziestu rubli. Otóż dostawcy w porozumieniu z dozorcą więzień natychmiast po wydaniu ubrań skupowali je od wygnańców, płacąc po 8 do 10 rubli, a na dzień następny składali je w magazynie jako nowe w cenie wyżej wymienionej, zarabiając przez jedną noc po 10 rubli na garniturze i dzieląc się zyskiem z godnymi siebie wspólnikami. Zastanawiający się nad każdym krokiem swoim wygnańcy, nie dawali się namówić ani na branie odzieży skarbowej ani na jej sprzedawanie; do tych i my należeliśmy. Większość wszakże, nie rozumiejąc, co robi, chętnie skłaniała się do operacji, w której zarabiała niespodziewanie kilka rubli w ciągu doby, co nie często udawać się mogło biedakom!

Przybywszy do Permy, napróżno cieszyliśmy się nadzieją zastania naszych powozów i koni. Natomiast zatelegrafowano nam, że prędzej jak za tydzień nie możemy spodziewać się odzyskania mienia naszego, gdyż ważne sprawy handlowe powołały statki te ku południowi. Była to bardzo smutna dla nas zapowiedź, która skończyć się mogła fatalnie. Gdyby bowiem nie zechciano nas w podróży na czas jakiś zatrzymać, mogliśmy nigdy już w życiu z rzeczami naszemi się nie spotkać. Rozpoczęliśmy starania o pozostawienie w szpitalu, ale te się nie udały. Zmuszeni byliśmy jechać dalej z partją, co też uczyniliśmy dn. 23 czerwca. Skutkiem rozporządzenia rządowego zmieniono system transportowania politycznych zesłańców. Mianowicie zaczęto nas od Permy przewozić tak zwaną „sielską pocztą", aby tym sposobem skrócić podróż i tem samem wydawanie większego strawnego. Podróż ta była daleko przyjemniejsza. Robiliśmy codziennie jedną stację w ciągu 2—3 godzin. Dniówek nie było wcale, natomiast po przebyciu kilku stacyj mieliśmy w punktach stale oznaczonych dwu, a nawet trzydniowe wypoczynki. Żony nasze, które tymczasem pozostały w Permie, powtórnie zapytały telegraficznie o powozy i konie. Otrzymawszy jeszcze mniej zadowalniającą odpowiedź, pośpie-

szyły za nami, aby się starać o pozostawienie nas w Kungurze, gdzie stanęły jednocześnie z nami to jest z partją 26 czerwca.

Kungur jest to ładne powiatowe miasto permskiej gubernji. W owym czasie było ono siedliskiem stu kilkudziesięciu wygnańców, z których zaledwie kilku poznaliśmy. Za wstawiennictwem tych naszych znajomych pozwolono nam zostać, a za opłatą 25 rs. dozorcy więzienia otrzymaliśmy mały pokoik, w którym były złożone przedtem ubrania i obuwie szpitalne. Pomimo starannej dezynfekcji i wybielenia pokoiku wapnem, uczułem po kilku dniach naszego pobytu silne dreszcze, zawrót głowy i malignę, wśród której nie wiedząc, co mówię, powiedziałem: „No, już mię to S nie minie", czem żonę moją ogromnie przeraziłem. Sądziła ona, że to S. ma śmierć oznaczać, chociaż ja może, wymawiając tę literę, myślałem o Sybirze. Ciężki tyfus brzuszny rozwijał się prawidłowo. Okres halucynacji był dziwny. Wyobrażało mi się, a po chorobie nawet wciąż mi się zdawało, iż to nie było złudzeniem, żem się przedstawił zwiedzającym Ural cesarzom Rosji i Francji i zyskał prawo powrotu do kraju. W majaczeniu jak z książki czytałem ukaz o ułaskawieniu, a potem wybierałem się do kraju. Z wielkim strachem a właściwą sobie słodyczą żona moja wytłumaczyła mi, iż to, co mówię, nigdy miejsca nie miało i było tylko chorobliwem przywidzeniem. Zrozumiałem wreszcie i przystawszy na to odrazu zgodziłem się z koniecznością wyruszenia w dalszą drogę!

Nim wszakże opuścimy Kungur, chcę w kilku słowach opowiedzieć, czem są szpitale w państwie rosyjskiem na prowincji, a szczególniej więzienne, dając tu obraz szpitala kungurskiego. Lekarze rzadko odwiedzają takie szpitale. W Kungurze był jakiś lekarz zwierzchnikiem, ale mówiono o nim, że jest pesymistą nałogowym i chorymi się brzydzi. Widomą więc głową tej instytucji stał się felczer w randze kolegjalnego registratora. On też był aptekarzem. Codziennie roznoszono chorym po flaszce mikstury, której było parę odmian: salamoniakowa, emetykowa i ipekakuanowa, do czego dodawano czasem oleju rycynowego. Felczer bywał stale i regularnie, aby te mikstury przy chorych ustawiać. Od żony mojej dostawał ów jegomość 25 rs. miesięcznie za nieinterwencję. To też nie wdawał się



Fig. 11. Aleksander Despot Zenowicz.



Fig. 12. Więzienie w Tambowie. Rysunek Zygmuntowej Skirmuntowej.

wcale w moją kurację, którą prowadził zamieszkały ze mną w jednym pokoju Łagowski, narażając się stale na zakażenie! Dzięki temu ocaliłem życie wśród strasznej śmiertelności tego szpitala, który przede mną pochłonął przeszło 20 ofiar, a ile po mnie, nie wiem. Spoczęli na cmentarzu kungurskim pacjenci pana kolegjalnego registratora: Rusiecki z Kijowskiego, Rychliński Feliks z Wołynia i wielu nam nieznanych z Korony i Litwy.

Polonia w Kungurze liczyła kilka głośnych w wypadkach ostatnich nazwisk. Zastaliśmy tu ostatniego z wyboru marszałka gub. mińskiej Michała Łappę z córką, rodzinę Dalewskich, syna i synowca gubernatora Łaszczyńskiego. Pożycie i stosunki towarzyskie wygnańców nie były tutaj przykładne. Zdarzały się niesnaski i wzajemne rekryminacje, co chwilowo przebywającym utrudniało zbliżenie się. Moja choroba przytem tak zabierała czas żonie mojej, iż żadnych znajomości nie zawierała. Bawiliśmy w Kungurze do dnia 3 sierpnia. Przez ten cały czas panie nasze mieszkały w mieście wraz z dziatwą Łagowskich, większą wszakże część dnia, wolną od zajęć, spędzały z nami w szpitalu. Nie dziw więc, że pod opieką troskliwej i poświęcającej się żony i dozorem lekarza przyjaciela szczęśliwie przebrnąłem ciężki tyfus i 3 sierpnia mogłem w dalszą wyruszyć drogę powozami, które nareszcie nadeszły.

Najbliższem miastem, jakie mieliśmy przed sobą, był Ekaterynburg, ześrodkowujący zarząd górniczy uralski. Dzieliła nas od niego nie tak znaczna odległość, ale przy naszej powolnej jeździe zabrać nam miała ta droga około trzech tygodni. Na tej przestrzeni nic nowego nie zaszło w losach naszych. Raz tylko mieliśmy niemiłe przejście w połowie prawie tej drogi. Dnia 8/20 sierpnia przybyła partja nasza trójkami do dawnej forteczki Bisierskoje, która do dziś dnia używa oficjalnie tego tytułu, będąc najzwyczajniejszą wioską, ozdobioną etapem. Oficer, prowadzący partję od Permy, do której my przyłączyliśmy się w Kungurze, znał Józefa Łagowskiego na Kaukazie. Pamiętał go w randze pułkownika i na stanowisku naczelnego chirurga w Turcji azjatyckiej podczas oblężenia Karsu w 1855 r. Stąd był dlań z wielkim szacunkiem. Często mu ręka bezwiednie podnosiła się do czapki dla salutowania eks-pułkownika pomimo jego stroju siermiężno-katorżniczego. A że i na naszą

rodzinę jako zaprzyjaźnioną z Józefostwem padał blask ich przeszłości hierarchicznej, korzystaliśmy z uprzejmości naszego partyjnego oficera na tej zasadzie, iż przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Z tych to stosunków wynikło, że przybywszy do fortecy Bisierskoje zostaliśmy umieszczeni nie w etapie, ale w chacie włościańskiej, schludnej, obszernej i wygodnej, jaskrawo oświeconej z racji wielkiej ilości okien, co na wschodzie Rosji jest we zwyczaju. Niezwłocznie po przybyciu i rozpakowaniu podręcznych pakunków podzieliliśmy między sobą zwyczajne zajęcia. Józef wyruszył w całem uzbrojeniu na wycieczkę botaniczną. Panie po zadysponowaniu obiadu zabrały się do ręcznych robótek, ja do głośnego czytania, a wszyscy cieszyliśmy się nadzieją spędzenia w ciszy i spokoju tych kilku dni wypoczynku, przypominających tryb życia ludzi osiadłych, do którego jako przymusowi koczownicy wzdychaliśmy, pełni tęsknoty nieustannej!

Już Łagowski wrócił z bogatym łupem roślin, już mieliśmy się zabrać do posiłku, gdy nagle jak piorun z jasnego nieba rozległ się szczęk broni i ciężkie stąpania. Drzwi się rozwarły z trzaskiem i wtłoczyła się zgraja pijanego żołdactwa z podoficerem na czele. Zaledwie weszli, zaczęli wołać bezładnym chórem: „Siej czas sobiratsia w etap z babami i dietmi". Józef, w którym zostało wiele przyzwyczajeń oficera wyższej rangi z czasów kaukaskich, uniósł się strasznie i z góry napadł na żołnierzy. Ja zaś widząc, iż wobec nietrzeźwości i rozzuchwalenia się napastników przyjść może do zatargu, obfitego w złe następstwa, spróbowałem moich parlamentarskich zdolności, z których nigdy nie słynąłem, ale które w wyjątkowych razach zjawiały się u mnie jak „deus ex machina". Przedkładałem, że my katorżnicy jako rzeczy skarbowe należymy do etapu niepodzielnie, ale żony nasze czyli, jak ci panowie nazwali, „baby" i dzieci są wolni, bo dobrowolnie nam towarzyszą. Udało mi się wkońcu przekonać naszych improwizowanych zwierzchników, którzy zgodzili się zabrać nas obu tylko i poprowadzili zaraz do etapu, o jakie pół wiorsty odległego od miejsca naszego zamieszkania. Gdy wprowadzono nas na podwórko i drzwi za nami zamknięto na rygiel, zobaczyliśmy z przerażeniem, iż wiele osób z partji nosiło ślady kolb i ude-

rzeń, zaś jeden z kolegów niedoli eks-obywatel ziemski z Mińskiego, niejaki Kiełczewski, klęczał na ziemi, skuty za plecami na krzyż. Sposób ten kucia kończyn stanowi najwyrafinowańszą formę znęcania się żołdactwa nad więźniami.

Na środku podwórza stał nasz oficer partyjny i miejscowy naczelnik etapu, spierając się z sobą o prawo rozporządzania w partji. Przybycie nasze było nowem hasłem wybuchu nieporozumienia. Nasz przyjaciel a wielbiciel Józefa ze szczerem oburzeniem wykrzyknął: „Kto śmieł zdieś prywiesti połkownika i majora“ (tak mię na prędce utytułował). Poczem nastąpiła krótka poufna narada i kazano nam iść napowrót do siebie na wieś. Gdy tak powracamy, podoficer, który nas prowadzi, pijany i zły, że mu się jego napad na nas nie udał, zaczyna nam wymyślać, przedrzeźniając dawane nam tytuły pułkownika i majora, ośmieszając nasze łatki z ponsowego sukna na siermięgach jako ordery, które się przez skromność na plecach, a nie na piersi nosi. Mnie to tylko bawiło. Widziałem w tem bydlęciu wykwit całego systemu rządów i nic więcej. Ale z Łagowskiego wciąż się wychylał eks-pułkownik, którego rozzuchwalenie niższych stopni doprowadzało do wściekłości. To też i tą razą, nie bacząc, że całe wojsko było pod dobrą datą, nie wyłączając oficerów, zawołał: „idź uspokój żony, a ja wracam do etapu, żeby tego łotra rozumu nauczyć“. Napróżno mu przedkładałem, aby nie zważał na obelgi, które nam tylko zaszczyt przynoszą, jeśli je potrafimy znosić z godnością. Na nic się to wszystko nie zdało. Rozstaliśmy się, ja powróciłem do domu, Łagowski pociągnął z sobą podoficera na sprawę do naczelnika. Panie ucieszyły się, widząc mię całym, ale niespokojne były o Józefa. Niepokój ten nie trwał długo. Nadszedł wkrótce i z werwą opowiedział o dobrym skutku swej wyprawy.

Gdy przybyli do pana życia i śmierci bisierskiej fortecy, to jest do naczelnika etapu, Łagowski oskarżył podoficera o grubjaństwo i wyzywające zachowanie się. Gdy ten wymachując rękami zaprzeczał temu, skorzystał z tego Józef i, poznając w naczelniku stary typ oficera z czasów mikołajewskich, zawołał z politowaniem: „Gdyby cesarz Mikołaj wstał z grobu i ujrzał, jak podoficerowie pod nosem oficerów machają rękami, położyłby się napowrót do grobu“. Niewinny ten na-

pozór frazes olśniewająco podziałał na naczelnika, który w mgnieniu oka obdarzył podoficera dwoma potężnemi policzkami. Nie dając opamiętać się poszkodowanemu, z tryumfem zawołał Łagowski: „Pragnąłeś policzka ode mnie. Widząc mą słabą rękę, wolałem oddać cię w ręce twej władzy, aby życzenia twoje uwieńczone były pomyślnym skutkiem". Po takiem zakończeniu sprawy, Łagowskiego nikt już nie odprowadzał nawet. Powrócił sam i byliśmy w jak najlepszem usposobieniu, gdyby nie widok nieszczęsnych towarzyszy pokaleczonych i pastwienia się nad Kiełczewskim, które to obrazy chwilowo widzieliśmy, będąc w etapie, a które wciąż mieliśmy przed oczami i na myśli, nie znając powodów ani przebiegu całej tej sprawy.

Nazajutrz dopiero 9 sierpnia od przyjaciela naszego oficera i od księdza, który był starostą partji, dowiedzieliśmy się, co zaszło. Ów pan Kiełczewski, człowiek niezły, ale niestety myślący o przyjemności używania bez wyboru towarzystwa, zaprzyjaźnił się z naszym oficerem partyjnym, dzieląc z nim prawie wszystkie wolne chwile w podróży. W fortecy zaś Bisierskoje mieszkała wdowa po zmarłym naczelniku, jak nam mówiono, młoda, ładna i nie zbyt surowych obyczajów. Do tej wdówki po majorze zawitali nasz oficer z Kiełczewskim, przesadzając się w grzecznościach i ubiegając się wcale niedwuznacznie o względy pięknej pani. Musieli wszakże dość niezręcznie wziąć się do rzeczy, nie umiejąc wzajemnie zachować dyskrecji swych zabiegów. Dość, że majorowa w imię koleżeństwa broni ze ś. p. mężem odwołała się do zbrojnej pomocy niepodzielnie dziś panującego w fortecy komendanta, prosząc go o uwolnienie jej od natarczywych gości. Pan naczelnik po przyjacielsku zaprosił oficera i Kiełczewskiego do siebie na herbatę, obiecując, że z nimi powróci do wdowy. Lecz gdy tylko znaleźli się w podwórzu etapowem, oficer został wciągnięty niby serdecznością do domu, Kiełczewski zaś okuty. Gdy partja na hałas tudzież brzęk kajdan wysypała się z etapu, by zobaczyć, co się dzieje, pijane żołdactwo na krzyk podchmielonego naczelnika „bunt" poczęło kolbami tłuc wszystkich, nie szczędząc razów kobietom i dzieciom, których w naszej partji było wiele; całe bowiem rodziny z pod nieludzkich rządów Murawjewa przewożone były ze Żmudzi na osiedlenie.

Ksiądz starosta przyszedł do nas, aby w tajemnicy naradzić się, co mają robić. Radziliśmy, by kosztem naszym zaprosić z powiatowego miasta Krasnoufimska władzę celem sprawdzenia krzywdy naszej, co wobec pobytu trzydniowego zdawało się możliwem. Podano tedy do naczelnika etapu pokornie przez nas zredagowaną prośbę o oględziny lekarskie wobec zwierzchności potłuczeń i podrapań, kolbami zadanych. Oficerowie wściekali się, szczególnie sam komendant, ale zgodzić się musieli. Dnia 10 sierpnia wieczorem nadjechał tak zwany „zasiedatel" to jest członek policji ziemskiej, przypominający w swym mundurze z haftem karykatury biurokratyczne Gogola. Poczęły się śledztwa, badania. Pan zasiedatel wezwał księdza i z wielkim hałasem chwalił oficerów za energję, nazywając Polaków niepoprawnymi buntownikami, i nie dawał staroście przyjść do słowa. Wreszcie wyczerpał się i począł sapać z godnością dygnitarza. Wówczas ksiądz przełożył spokojnie, iż kobiety i dzieci przy piersi są potłuczone, a przecie w buncie, gdyby i był, nie mogły brać udziału. Jak na skinienie różdżki czarodziejskiej pan urzędnik zmienił swój nastrój wojowniczy. A gdy jeszcze ksiądz prosił o przyjęcie dokładnej „zapiski" do sztabsoficera żandarmów w Permie, zmiękł jak wosk i stał się potulnym, a oficerom doradzał zgodę z nami, braćmi Słowianami, chociaż zarażonymi katolicyzmem i polsko-europejską cywilizacją.

Nastąpił cały szereg rozpraw na temat zgody, w ciągu których nieraz odwoływano się do nas. Przypisać to należy naszemu oficerowi partyjnemu, który nas ubrał w rangi, zwąc Józefa pułkownikiem, mnie zaś majorem, i wogóle tytułować nas raczył: „polscy zwierzchnicy". Ułatwiało to nam nieraz załagodzenie pewnych nieporozumień między władzami i partją na drodze polubownej, prywatnej, jak to i tą razą nam się udało. Nasz biedny naród, męczony od wieku, zżył się z bolem i cierpieniem i łatwo zapomina urazy, gdy chodzi o krzywdy osobiste i skoro można je wybaczać bez upokorzenia. Stanęło na tem, iż naczelnik etapu przeprosi nas publicznie za siebie i w imieniu żołdactwa i pozwoli wybrać do straży, która nam miała towarzyszyć do Ekaterynburga, trzeźwych żołnierzy i podoficerów. Komendant nie posiadał się z radości, gdy usłyszał

nasze żądania. Był pewnym, że zechcemy zmienić siniaki na brzęczącą monetę. Gdy się przekonał, że Polacy są tak naiwni, iż głodni nawet dbają tylko o honor, śmiał się śmiechem dwoistym, śmiechem radości i politowania, wykrzykując z podziwem: „Ja dalibóg myślałem, panowie, że wy ze mnie zedrzecie przynajmniej trzysta rubli, a wy dobrzy, zacni ludzie, wymagacie tylko przeproszenia!“ Całował też wszystkich pokolei jako braci Słowian, dobrodusznie dających się wyzyskiwać. Obcałowani przez wielkiego komendanta malutkiej forteczki, ruszyliśmy w drogę i przejechawszy szybko niezbyt znaczną przestrzeń stanęliśmy w Ekaterynburgu 17 tegoż miesiąca. Podróż mieliśmy przyjemną wśród ładnej, górzystej okolicy, pogodę prześliczną, pożywienie tanie i dobre, zwierzyny huk. Płaciliśmy za jarząbka po 8 groszy, cietrzewia 10 do 12, głuszca po złotemu.

Pomiędzy Kungurem i Ekaterynburgiem na jednej ze stacji mijała nas partja, przez żandarmów eskortowana a śpiesznie wieziona ocalonych od śmierci współpracowników Traugutta. Byli w niej: prof. Dybowski, Władysław Bogusławski wnuk Wojciecha, Henryk Wohl, kolega mój Tomasz Burzyński, Tomasz Ilnicki, Marjan Dubiecki i wielu innych. Innego dnia znowu minęli nas jadący pocztą Romanowie Bnińscy, z którymi przelotne tylko mieliśmy spotkanie. Cały czas naszej podróży podnosiliśmy się wolno na szczyt gór uralskich.

W Ekaterynburgu rozlokowano dwie nasze rodziny w olbrzymim maneżu bez podłogi, nieco na uboczu od miasta położonego. Odnaleźliśmy tu pana Dionizego Ogrodzińskiego, wielkiego przyjaciela mojej rodziny, którego ojciec dzierżawił niegdyś od mego dziada macierzystego Ignacego Budzyńskiego wieś Michałkówkę w Żytomierskiem. Odwiedził on nas zaraz, zostawił swoją fotografję i wpis do albumu. Nadto zrobili z nami znajomość i zaprosili na obiad aptekarze miejscowi pp. Kester, jacyś widocznie bardzo ewangeliczni ludzie. Zachowaliśmy podobiznę ojca i jednej z córek, które nam na pamiątkę ofiarowano. Nazajutrz po naszem przybyciu ze zdumieniem ujrzeliśmy na placu w środku miasta wielkie przygotowania do kary cielesnej. Gdy zapytaliśmy się, co to ma znaczyć wobec zniesienia tej kary ukazem cesarskim, objaśniono

nas, iż dotąd pozostawiono ten środek jako wyjątkowy dla zbiegów z ciężkich robót, stosując go od czasu do czasu w drodze administracyjnej. Rozśmieszyło nas to objaśnienie, a Łagowski, gdy się publiczność tłumnie zgromadzona, aby być świadkiem wyroku, rozchodziła, winszował wszystkim z poważną miną zniesienia kary cielesnej. Biedne nasze panie schowały się w głąb manežu i modliły gorąco za ofiarę egzekucji, stanowiącej rażący wyjątek od liberalnego ukazu.

Z Ekaterynburga wyruszyliśmy d. 20 sierpnia. Nie dojeżdżając do pierwszego na drodze naszej powiatowego miasta permskiej gubernji, Kamyszłowa, sprzedaliśmy konie nasze, lękając się trudności przewożenia ich statkiem po rzekach Irtyszu i Obi. Tu więc droga moja Marynia oblała łzami swego starego przyjaciela drugiego, pozostałego jeszcze przy życiu siwka. W Kamyszłowie, dokąd przybyliśmy 24 sierpnia, zaprosił nas do swego domu naczelnik garnizonu, ustąpił nam dwa pokoje i gościł po starosłowiańsku. Wypoczęliśmy wybornie w ciągu dni kilku, a wyruszywszy z Kamyszłowa 27 sierpnia stanęliśmy w Tiumeniu 6 września, a 18 tegoż miesiąca dotarliśmy do Tobolska. Jeszcze w permskiej gub. na szczytach gór uralskich, stanowiących nakreśloną przez przyrodę granicę dwóch części świata, stoją dwa wielkie murowane słupy po obu stronach gościńca. Na każdym z nich widnieją napisy: od zachodu: „Europa“, od wschodu: „Azja“. Dreszcz nas przejął, gdyśmy to odczytywali. Zdało się nam, że przekraczając granicę nowej części świata tracimy grunt pod stopami i zapadamy do studni bezdennej. Chwilowe te acz bardzo ciężkie wrażenia zacierały się stopniowo ze wstąpieniem na ziemię tobolską, w której na każdym kroku spotykaliśmy ład, sprawiedliwość i ludzkość. Zniknęły zaś zupełnie wobec tego, cośmy zastali w Tobolsku.

Kończąc ten rozdział, nie mogę powstrzymać się od zaznaczenia, iż sposób przewożenia wygnańców politycznych zapomocą poczt włościańskich był w interesie wygnańców bardzo dobrze pomyślany, ale nie oddał wcale usług prawodawstwu. Na przestrzeni od Permy do Tobolska co najmniej setki razy słyszałem rozmowy młodych ludzi z woźnicą i eskortującą strażą treści następującej: „Jak myślisz, mój kochany, czy lepiej jest służyć wiernie cesarzowi, czy też buntować się? Ja

buntownik pobieram złoty dziennie i mam odzieży skarbowej, ile zapragnę. Was sprowadzają o kilka mil, bym jechał wygodnie. Wy wiernopoddani cóż za to macie? Ty jako właściciel konia i wózka dostajesz po 1½ kop. od konia za wiorstę, ale tylko za wiorstę tej stacji, którą mnie powieziesz, zaś ani grosza za czas stracony na przebycie drogi od twojego sioła do stacji i powrót do siebie; ty zaś jako żołnierz dostajesz 3 kop. dziennie i musisz w ciężkim szynelu, z bagnetem, w straszne upały wlec się po piasku i padać ze zmęczenia". Takie *dictum acerbum* nie mogło nie mieć złych skutków i stanowiło niebezpieczny podkład dla propagandy przyszłego nihilizmu.

II

POBYT W TOBOLSKU.
CIĘŻKA CHOROBA ŻONY.
PAROSTATKIEM DO TOMSKA I POWTÓRNA CHOROBA ŻONY,
WŁADZE ZNIEWALAJĄ DO PRZYŚPIESZENIA WYJAZDU.
PRZYBYCIE DO IRKUCKA.
PRZEZNACZENIE NAS DO CIĘŻKICH ROBÓT W USOLJU.

Z Ojców mych ziemi przez wroga wygnany
Deptać musiałem obcych ludów łany
I słyszeć zdala tych szatanów wycia,
Co ziemię moją okuli w kajdany!
Jak Dant przez piekło przeszedłem za życia!

Z. Krasiński.

. . . . . .

Wyraz Tobolsk dla każdego z więźniów, a tem więcej dla więźniów stanu, ma doniosłe i pełne grozy znaczenie. Tu bowiem w ostatniej instancji rozstrzygają się losy każdego, kto się do tego miasta jako więzień dostał, zaś wyrok, stanowiący ogólnikowe określenie kary, przybiera praktyczne kształty. W celu śpiesznego i ścisłego gatunkowania więźniów istnieje w tem mieście zdawien dawna biuro centralne, noszące nie dające się spolszczyć miano: „Prikaz o ssyłnych". W biurze tem każden więzień dostaje nieodwołalne oznaczenie dalszych swych losów, dowiaduje się, dokąd zdąża ostatecznie, i śpieszy zawiadomić o tem rodzinę i przyjaciół w kraju pozostałych. To też z daleko większem zajęciem zbliżaliśmy się do Tobolska aniżeli do innych miast, na drodze naszej spotykanych; obchodziła nas niemniej sama miejscowość, której olbrzymia administracja prawie wyłącznie zajęta jest biurokratycznem porządkowaniem dokumentów zesłanych, jako też i człowiek, co stał na czele zarządu gubernją.

Co do miasta, zmroziło nas ono swym widokiem przy pierwszem wrażeniu, stanowi bowiem typ odrębny, przeznaczeniu swemu ściśle odpowiadający. Nad pokornie ścielącym się na brzegu rzeki Padołem to jest miastem właściwem góruje na wyniosłej opoce rządowa część jego z pomnikiem zdobywcy Syberji Jermaka, z cerkwiami, więzieniami i biurami. Temu zewnętrznemu wyglądowi odpowiadają dokładnie stosunki

miejscowe. Więzienie uczyniło na nas przygnębiające wrażenie. Ujrzeliśmy najobronniejszą i najobszerniejszą turmę w państwie, gdzie się więźniowie na tysiące liczą, gruntownie rękami niewolników szwedzkich zbudowaną, z podwórkami, bramami i korytarzami, wśród których narazie trudno nam było zorjentować się. Po kilku dniach wszakże rozejrzałem się w tem nowem otoczeniu tak dokładnie, iż nie waham się po latach trzydziestu kilku naszkicować tu z pamięci rysunek schematyczny tego gmachu więziennego i załączyć opis objaśniający.

Przed wejściem do więzienia jest wielki plac. Środek frontowej ściany gmachu mieści w sobie kratę z grubych sztab żelaznych z wielką pośrodku bramą. Szerokości kraty odpowiada wejście do podwórzy więziennych; po bokach zaś wejścia mieści się w dwóch izbach straż, licząca w owym czasie około 80 ludzi. Ponad izbami dla wojska na piętrze mieszkali dozorca więzienia i jego pomocnik. Przeszedłszy sklepione wejście, stawało się na głównem i najobszerniejszem podwórzu, przeznaczonem do przechadzek. W głębi tego podwórza wznosił się gmach dwupiętrowy, z którego wyniesiono archiwa i biura, by urządzić w nim szpital więzienny. Na parterze tego poprzecznego gmachu istniała bramka żelazna, na noc zamykana i przez szyldwach strzeżona, stanowiąca przejście do tak zwanego podwórka kajdaniarzy, ze wszech stron murem otoczonego, za którem mieścił się budynek piętrowy z wąskiem wokoło obejściem, służący zwykle tylko dla przestępców cywilnych, do ciężkich robót skazanych. Obecnie wszakże mieścił on dla braku miejsca wszystkich bez wyjątku kryminalistów.

Z każdej strony głównego podwórza rzucały się w oczy dwie bramy. Pierwsza brama na prawo prowadziła do podwórka Nr. 2 z numerami, w zwykłym czasie dla kryminalistów szlacheckiego pochodzenia przeznaczonemi. Stąd podwórze to nosiło nazwę „szlacheckiego". Mieszczono tu wygnańców politycznych z rodzinami, a czasem w drodze łaski — także pojedyncze osoby, stosownie do rozkazu władzy. Drugą bramą na prawo wchodziło się do dwóch podwórzy Nr. 3 i 4 przed parterowym budynkiem, z kilku sal złożonym. Na lewo naprzeciwko bramy szlacheckiej była szczelnie zamykana bramka do po-

dwórza Nr. 5 z celami dla kobiet kryminalistek. Druga po tejże stronie prowadziła do dwóch innych Nr. 6 i 7 przed parterowemi domami dla rodzin wygnańców politycznych, którzy się w numerach szalacheckich nie mieścili.

Oto całość topograficzna rozkładu więzienia tobolskiego. W luźnych kartach pamiętnika zbiega z Sybiru[1]) znajdujemy wyborny opis życia więziennego w salach kajdaniarzy tobolskich. Nie wracam więc do tej kwestji, słowa moje bowiem zbladłyby wobec opisu naocznego świadka, jakim był Krupski, za ucieczkę z Syberji zaliczony do kategorji kryminalistów, z którymi nieustannie musiał obcować. Nie mniej pełne prawdy są obrazki tegoż z ówczesnego życia wygnańców politycznych, w ogólnych salach pomieszczonych. Do nich odsyłam czytelnika, powracając do opisu podwórza i korytarza z pojedyńczemi ośmiu celami, z których pierwszą przeznaczono na miejsce naszego pobytu.

Nim się ta celka uporządkowała, żona moja i pani Łagowska zamieszkały w mieście. Ustąpili im parę pokoi ze swego mieszkania młodzi Głęboccy, Justyn i Władysław, z Berezówki z Ukrainy, synowie pana Michała, sąsiada rodziców mojej żony. W drugiej połowie tegoż domu mieszkali doktorostwo Wyszyńscy, z Kijowa wysłani. Łagowski dla swojej rodziny na tymże korytarzu zajął i urządził Nr. 5, panie zaś nasze wkrótce przeniosły się do naszych cel więziennych. Jak na tak smutne i ciężkie czasy, spotkała nas na wstępie do Tobolska dobra wiadomość o skasowaniu ciężkich robót w fortecach, do których na lat dziesięć byłem przeznaczony, a zastąpieniem takowych robotami w fabrykach, do których znowuż na lat 6 był skazany Łagowski. Zaświtała więc nam nadzieja odbycia kary w jednej miejscowości. Po urządzeniu się w więzieniu wyglądaliśmy niecierpliwie chwili poznania gubernatora, o którym nasłuchaliśmy się jeszcze w podróży; a że p. Aleksander Despot-Zenowicz, który tę godność piastował, zwiedzał co drugi lub trzeci dzień więzienie, niedługo więc czekać nam na to wypadło.

---

[1]) X. Purk: Luźne karty pamiętnika zbiega z Sybiru, Lipsk 1877, 2 tomy, 317 + 299. P. W.

Był to mężczyzna około lat czterdziestu liczący. Słusznego wzrostu, szczupły brunet o klasycznych rysach twarzy, wyniosłem czole, z okiem pełnem wyrazu, ocienionem długą rzęsą i gęstemi brwiami, z pięknie wykrojonemi ustami i czarnym jak heban wąsem, zawiesiście po polsku noszonym, robił odrazu niezmiernie sympatyczne wrażenie. W ciągu rozmowy zaś, którą prowadził zawsze po polsku z wygnańcami, cała ta postać pełna dystynkcji i powagi ożywiała się niezwykle, przyczem usta umiały w jednej chwili zmienić swój zwykły łagodny wyraz na pełen sarkazmu, pogardy, gniewny lub piorunujący. Oczy zazwyczaj spokojne i głębokie zmieniały się pod wpływem wrażenia na ciskające gromy. Tym zmianom wyrazu twarzy towarzyszyły najczęściej ruchy energiczne, zawsze wszakże umiejętnie miarkowane. W całej zaś tej niepospolitej postaci widniały żywość i ruchliwość niezwykłe. Człowiek ten, zdaje się, nie umiał nic robić wolno, a jednak wszystko, co robił, mimo gorączkowości i pośpiechu robił zwykle dokładnie. Takie były pierwsze wrażenia moje przy poznaniu tego prawego i zacnego ziomka. Każdego nowoprzybyłego wygnańca zwykł był zapytywać jednostajnie „jak godność pańska?“ Poczem następowały pytania „skąd? przez jaką komisję sądzony? za co i dokąd wysyłany?“, a po otrzymaniu na nie odpowiedzi nowe pytania, z odpowiedziami temi związek mające. I nas też wypytał pan Aleksander o szczegóły sprawy i stopień kary.

W parę dni później, jeszcze przed pierwszym października, przysłał do więzienia rozkaz spisania wszystkich lekarzy, jacy się tam znajdowali, z opisem biegu życia każdego. Najniespodzianiej nadeszło niebawem rozporządzenie pozostawienia przy szpitalu więziennym tobolskim w charakterze lekarzy tymczasowo ordynujących doktorów: Józefa Łagowskiego, Ignacego Tomkowicza i mnie. Byłem uszczęśliwiony tą niespodzianką tem bardziej, że mi się przyszła praca uśmiechała, w towarzystwie najzacniejszego z ludzi, lekarza z urzędu, sybiraka Aleksandra Czeremszańskiego, i tak miłych mi kolegów, jakimi byli stary druh i towarzysz niedoli Łagowski oraz nowy, ale najsympatyczniejszy znajomy, Ignacy Tomkowicz. Zaledwie wszakże zabraliśmy się do porządkowania szpitala, który stosownie do danych nam przez gubernatora wskazówek miał

być bez oglądania się na koszta zamienionym na przybytek czystości i higjeny, by skutecznie stawić czoło rozwijającym się epidemjom tyfusu i ospy, zaszło drobne ale przykre zajście, które nie dozwoliło Łagowskiemu pozostać na świeżo wyznaczonem mu stanowisku.

Lubił on efektowne kostjumy. W czasach demonstracyj nosił coś nakształt żupana z pasem litym pod czamarą i konfederatkę i w tym stroju fotografował się w Żytomierzu. W drodze zaś miał zwykle na sobie rodzaj bekieszy szamerowanej i olbrzymią barankową czapkę krojem konfederatki. W tak oryginalnem przebraniu i w towarzystwie jednego z więźniów, Kazimierza Wagi, który u Zenowicza miał złą notę, zrobił wycieczkę do miasta w interesach osobistych. Na nieszczęście spotkał ich Zenowicz, a sądząc z powierzchowności buńczucznej, że są pod dobrą datą, zapowiedział, iż natychmiast wysłać ich każe z Tobolska, na co podrażniony Łagowski oświadczył, iż w każdej chwili gotów jest do wyruszenia w dalszą drogę. Tym więc sposobem Łagowscy w ostatnich dniach października zmuszeni byli opuścić Tobolsk. Utraciliśmy w nich zacnych i wyprobowanych towarzyszy wspólnej niedoli. Kto wie, czy nie rzuciłbym i ja mego stanowiska, dążąc za przyjaciółmi, gdyby nie nagłe a niespodziane na dni kilka przed ich odjazdem zasłabnięcie na ciężką naturalną ospę mojej najdroższej żony.

Naraz więc zwaliło się na moją biedną głowę tyle smutku, przeciwności i kłopotów, że chwilowo poddać się musiałem bardzo ciężkim i bolesnym wrażeniom. Nie będąc wszakże z natury pozbawionym energji i woli, otrząsłem się prędko z gnębiącej mnie apatji i wziąłem się z zapałem do ratowania życia najukochańszej mi istoty, beznadziejnie chorej. Zacząłem od przeniesienia jej do cieplejszego i lepiej oświeconego pokoju na tymże korytarzu, oznaczonego Nr. 3, poczem zająłem przy niej miejsce lekarza, felczera i sługi. Dopomagali mi w tem trudnem zadaniu jako konsultanci: w początkach Łagowski, a po jego wyjeździe Tomkowicz i Bronisław Mackiewicz. Jedna z wygnanek, Litwinka panna Karolina Jacyna, oświadczyła się z iście chrześcijańską gotowością dopomagania mi w pilnowaniu chorej i dotrwała na tem stanowisku do końca.

Przebieg choroby był ciężki i gwałtowny, temperatura niezmiernie wysoka, wkrótce zaś cała powierzchnia skóry pokryła się gęstemi krostami, a następnie strupami, które na głowie, twarzy i szyi, a nawet piersiach, zlewały się ze sobą. Trzeba było do czterech razy na dobę zmieniać prześcieradła, by zachować czystość w otoczeniu chorej i w atmosferze małej więziennej celki. Pierwsze trzy tygodnie były dla mnie męczarnią nie do opisania. Polepszenie widoczne nastąpiło dopiero w początku czwartego i wówczas po raz pierwszy zabłysła mi nadzieja ocalenia mojej ukochanej. Szczęście moje nie znało granic. Rozpoczęła się nowa, ale pełna pomyślnych owoców praca odżywiania wycieńczonego chorobą i dietą organizmu. W ciągu bowiem całych trzech tygodni chora nie mogła nic przełykać oprócz wina, winogron i herbaty.

Na polu popisów kulinarnych obok naszego poczciwego kucharza i sługi mazura Tomasza wystąpił najniespodziewaniej jako bardzo groźny współzawodnik, nieoceniony doktor Ignacy Tomkowicz. Brał on niegdyś w Petersburgu lekcje robienia kotletów z sosami w dwudziestu odmianach od pierwszorzędnych kucharzy, gdy matka jego narzeczonej pani Büdel miała sobie zaleconą po chorobie mięsną dietę. Ta specjalność nadała się tu znakomicie. Z wielką też wdzięcznością wspomina żona moja w listach do kraju pisanych o tych wybornych kotletach i sosach. W czasie choroby Maryni poczciwi doktorowie Czeremszański i Tomkowicz zastępowali mnie w szpitalu. Skorzystałem wszakże z pierwszej możności, by wrócić do pełnienia swoich obowiązków.

Sale szpitalne odświeżone i uporządkowane podobne były raczej do klinik aniżeli do szpitala więziennego. Wentylacje, mała stosunkowo ilość łóżek w dużych pokojach, czysta i często zmieniana bielizna i pościel, wanny, zegary, termometry i t. d. zjawiły się jak na skinienie czarodziejskiej różdżki. Mówiąc zaś jaśniej, cały koszt tych urządzeń wzięło na siebie miasto czyli kupiectwo, chcąc się przypodobać Zenowiczowi. Gdy do tego dodamy, iż jadło dla chorych było obfite, świeże i przyrządzane przez jednego z więźniów, kucharza warszawiaka, przyznać musimy, iż dzięki zacnemu gubernatorowi szpital tobolski miał cechę europejską, stał się ratunkiem dla ciężko



Fig. 13. Józef Łagowski przed aresztowaniem, zdjęcie z roku 1863.

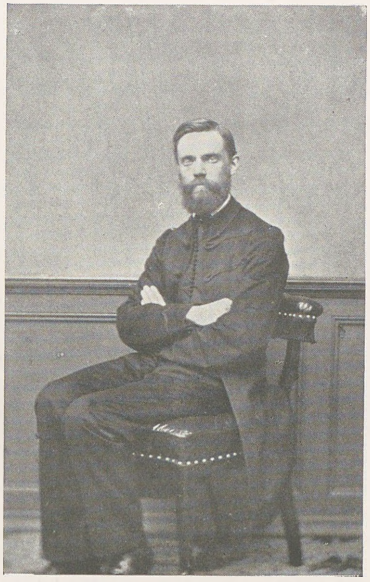


Fig. 14. Adolf Hencel.



Fig. 15. Msza w Kungurze, w lasku.

chorych i miejscem istotnego wypoczynku dla znużonych podróżą i oczekujących wiadomości lub zasiłku od rodziny. Łóżek dla chorych było 150 naogół, wypadło więc po 50 na każdego z trzech lekarzy. Ja miałem oddział z cierpieniami zewnętrznemi: rany, odmrożenia, choroby skórne i t. d. Zajętych miejsc u mnie nie było więcej nad 40. Kto bowiem chciał pozostać w szpitalu, nie będąc chorym, musiał się kryć za parawanem chorób wewnętrznych, a więc u Czeremszańskiego i Tomkowicza.

Zenowicz często odwiedzał szpital jako dzieło rąk własnych, interesował się przebiegiem cięższych chorób, nadto codziennie prawie wypytywał mię o postępy w zdrowiu mojej żony. W całem zachowaniu się jego widocznem było zawsze, jak go cierpienia i nieszczęścia rodaków bolą i jak wielkie miał dla nich współczucie, szczególniej zaś dla zacnych Polek, towarzyszących swym mężom na wygnanie. To też oburzały mnie niejednokrotnie lekkomyślne sądy o tym wysokiej wartości mężu, wygłaszane czasem przez ludzi, którzy nie byli godni rozwiązać rzemyka u obuwia jego. Zważywszy, ile ten nieoceniony dostatecznie po dziś dzień człowiek uczynił dobrego dla więźniów stanu, ile kielichów goryczy od ust im uchylił, jak ożywczem słowem i czynem dodatnio działał na słabnących lub upadających na siłach i duchu pod brzemieniem ciężkiego losu, trudno mu odmówić znaczenia niemal opatrznościowego, tem więcej, że go spotykamy na granicy dwóch części świata, a właściwie na początku Azji, w połowie tej krzyżowej drogi, której drugą połowę przebyć jeszcze musiała większość, na cięższe kary skazana. Obecność więc w Tobolsku na stanowisku gubernatora nie kryjącego się ze swą narodowością Polaka, lecz zaznaczającego ją stale, wprawiło nas w zdumienie.

A wszakże nominacja Zenowicza na tę posadę przyszła koleją zwykłych rzeczy ludzkich. Oto szczegóły, które z ust czerpiących u źródeł wiarogodnych słyszałem. Naddziadowie Despot-Zenowicza przenieśli się z Serbji na Litwę, tu też i nasz pan Aleksander ujrzał światło dzienne i szkoły ukończył. Na uniwersytet uczęszczał w Moskwie, gdzie w czasie pobytu swego miał bliskie stosunki z pokrewną mu rodziną

Tuczkowych. Jak twierdzą współcześni, rodzina ta, obawiając się jego wpływu na bogatą staruszkę tegoż nazwiska, użyła swoich stosunków, by Zenowicza drogą administracyjną wywieźć do Permy wkrótce po ukończeniu kursów. Pani Tuczkow wszakże, nie zapominając o swym krewnym, gorąco go poleciła wielce zacnemu człowiekowi Murawiewowi, przeznaczonemu na jenerał-gubernatora wschodniej Syberji. Murawiew obiecał zająć się losem poleconego sobie młodzieńca i wyjeżdżając z Moskwy posłał Zenowiczowi uwolnienie od przymusowego pobytu w Permie, oraz nominował go urzędnikiem do szczególnych poleceń przy sobie, przejeżdżając zaś przez Permę zabrał go z sobą. Wkrótce, gdy Zenowicz dał mu się poznać jako uosobienie prawości, energji i pierwszorzędnych zdolności administracyjnych, mianował go naczelnikiem grodu („gradonaczalnikiem") pogranicznego z Chinami miasta Kiachty, z poleceniem zbadania i zreformowania istniejącej tam olbrzymiej komory celnej. Mądrość i oględność w wyborze środków obok bystrości i stanowczości wykonania dały niezwykłe rezultaty. Rząd na ukróceniu nadużyć zyskał miljony, mieszkańcy Kiachty na zaprowadzeniu pożytecznych zmian niezliczone korzyści. Tylko tłuszcza urzędników złodziei na komorze pogrążoną została w czarnej rozpaczy bez wyjścia. Zenowiczowi za korzyści, jakie przysporzył rządowi ukrócając nadużycia, wyrobił Murawiew dożywotnią znaczną, bo wynoszącą 2.000 rs. pensję rocznie, a wkrótce potem przedstawił go prywatnie cesarzowi jako najodpowiedniejszego kandydata na gubernatora tobolskiego, którym go też zrobiono, mając na względzie zupełnie wyjątkowe okoliczności.

W Tobolsku przed Zenowiczem był gubernatorem Rosjanin Winogradzki. Za jego to rządów zaczęto wywozić na Sybir za przestępstwa państwowe Rosjan, których tytułowano zwykle dla odróżnienia od politycznych przestępców Polaków przestępcami państwowymi. Jednym z takich zesłańców przewożonych przez Tobolsk w roku 1861 był docent petersburskiego uniwersytetu, współpracownik „Sowremiennika", autor proklamacji do młodego pokolenia mocno podburzającej treści przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy, Rosjanin Michajłow, skazany do ciężkich robót, skutkiem usilnych protekcyj tylko

na lat 6. W czasie dwutygodniowego pobytu jego w Tobolsku pod wpływem kilku szlachetnie egzaltowanych Rosjanek urządzono w tem mieście ucztę, na którą przywieziono Michajłowa bez kajdan w powozie, obsypano kwiatami i witano licznemi toastami. W uczcie tej brali udział zastępujący nieobecnego gubernatora wicegubernator Sołowiew i wielu innych dygnitarzy. W rok potem adjutant pułkownika żandarmów, mszcząc się za to, że go na malwersacji w kartach pojmanego z klubu wyrzucono, zrobił denuncjację, w której wykrył wszystkie szczegóły, dotyczące owacji dla Michajłowa. Skutkiem tego Winogradzki i cały skład zarządu miejscowego został usunięty. A że w tym czasie oczekiwano nowego transportu Rosjan wygnańców, w myśl więc dewizy samodzierżców „divide et impera“ Polaka Zenowicza zrobiono gubernatorem.

Tymczasem gotująca się wśród Rosjan burza cichła wobec rozwijających się stopniowo polskich demonstracyj, które przeobrażały się w stanowczy opór władzy. Skutkiem tego Zenowicz uczuł się na fałszywem, ba, nawet na niemożliwem dla Polaka stanowisku, i zmuszony był prosić cesarza o audjencję, o której skutkach od niego osobiście słyszałem już w kilkanaście lat później, gdy po powrocie do kraju zamieszkałem w Warszawie, przez którą Zenowicz przejeżdżał do Gasteinu na kurację.

Na wstępie wziął go cesarz za Winogradzkiego i zapytał, czy zawsze trwają takie nieporządki w gubernji tobolskiej. Poruszony do głębi Zenowicz, odpowiedział: „Wasza Cesarska Mość, tam, gdzie ja jestem gubernatorem, żadnych nadużyć i nieporządków być nie może“. Na to znowu cesarz: „Jakież jest twoje nazwisko?“. Gdy je wymienił, cesarz dobrotliwie zakończył to nieporozumienie słowami: „Omyliłem się, biorąc ciebie za kogo innego“. Po takim początku gubernator tobolski prosił, aby go przeniesiono na inne stanowisko wobec tego, iż nie potrafi kryć się ze współczuciem dla nieszczęśliwych rodaków, a wie, iż to wywoła tysiące fałszywych doniesień. Cesarz odrzekł na to: „Cokolwiek uczynisz w granicach prawa, za złe ci wziętem być nie może“. Po tem zapewnieniu prosił Zenowicz Najjaśniejszego Pana: 1) o prawo bezpośredniego odnoszenia się do tronu w ważnych sprawach, 2) o przedłużenie linji telegrafu do Tobolska, 3) o wyzna-

czenie sum dodatkowych na polepszenie jadła i odzieży dla przestępców politycznych.

I wszystko to uzyskał w drodze doraźnych postanowień, a ozdobiony gwiazdą Stanisława I. klasy z mocnym pod nogami gruntem wrócił tam, gdzie wszyscy niecierpliwie oczekiwali jego dymisji. To też bałwochwalstwo dla niego wśród urzędników tobolskich rozpoczyna się z chwilą tego powrotu. Nie przestali oni wprawdzie pokątnie go szarpać i oskarżać, ale w oczy płaszczyli się bez miary i granic. Legendy i anegdoty o Zenowiczu w czasie jego urzędowania w Tobolsku krążyły w ustnem podaniu, powtarzały się w opisach tego miasta z lat po 1862 roku, uwydatniały się poglądowo w ilustracjach rysunkowych Znamieńskiego, miejscowego artysty amatora. Postaram się to, co mi z tych źródeł rozmaitych w pamięci pozostało, i to, na co sam patrzyłem, powtórzyć tu, dzieląc na grupy pojedyncze fakta, charakteryzujące sposób zapatrywania i zachowania się Zenowicza w najróżnorodniejszych wypadkach.

Jedną z najgłówniejszych cech tej niepospolitej osobistości była niezmierna drażliwość na najlżejszą ujmę czci polskiej. Polskości i Polakom nie pozwolił przy sobie ubliżyć nie tylko słowem, ale i ruchem. Oto szereg malujących to jego usposobienie anegdot:

W czasie jednej z bytności w więzieniu jakiś Mazur powstaniec, chcąc się ożenić z kryminalistką, oświadcza swe zamiary w słowach następujących: „Panie jenerale, ja chcę się żenić". „Z kim? — zapytuje gubernator — czy z wygnanką polityczną?" Na to Mazur: „Nie ze wszystkiem". Zenowicz, zrozumiawszy odrazu, o co chodzi, w najwyższem oburzeniu przyskakuje do wystraszonego Maćka i woła: „Dam ja ci sto kijów zamiast wesela, jeżeli się zhańbisz, żeniąc się ze złodziejką".

Gdy go inną razą otoczyli w więzieniu skazani na zaludnienie z zapytaniem, czy nie mógłby ich zapisać do ciężkich robót, bo słyszeli, że tam jest lepiej, gdyż przynajmniej w licznem i swojem towarzystwie, ze złośliwym uśmiechem odrzekł im: „Trzeba było w kraju starać się o to, ja zmieniać wyroków nie mam prawa".

Kiedyś znowu w czasie swej wizyty nie znalazł naszego kucharza w kuchni, a widząc, iż rozpoczęte przyrządzanie

obiadu było wstrzymane i kuchnia tchnęła pustką, zapytał mnie, co to jest? Opowiedziałem, co o tem wiedziałem, a rzecz się tak miała: w czasie gdy kucharz porządkował produkta i miał jak zwykle czapkę na głowie zamiast szlafmycy dla uchronienia się od następstw kuchennego swądu, wszedł felczer miejscowy niejaki Rene i widząc, że kucharz czapki nie zdejmuje, zrzucił mu ją z głowy uderzeniem ręki. Autor obiadów szpitalnych wpadł w pasję, cisnął nóż na ziemię i opuścił swe stanowisko.

Zenowicz wysłuchawszy pobladł, zaciął wargi, brwi zmarszczył i zawołał: „Natychmiast mi tu sprowadzić kucharza i felczera". Otaczający widząc z jego twarzy, że tu żartów niema, rozlecieli się na wszystkie strony i wkrótce stawili się z winowajcami. Badania się rozpoczęły od kucharza, a gdy ten dał swoje objaśnienie, wykrzyknął Zenowicz: „Więc dlatego, że cię to bydlę obraziło, chciałeś stu pięćdziesięciu kolegów ogłodzić? I czegoś ty wart za to? Chyba rózeg?" A zwracając się do felczera i dając mu policzek, powiedział: „A ty łotrze, jak śmiałeś go się dotknąć. Im wszystkim wrócą jeszcze prawa szlachectwa, a takiemu jak ty bydlęciu nigdy się one nie dostaną".

I znowu zwracając się do kucharza: „Trzeba mi było na tego łajdaka poskarżyć się, toby dostał trzy razy tyle za swoje zuchwalstwo, ale o kolegach chorych zapomnieć to nie do darowania rozsądnemu i szlachetnemu Polakowi. Dziś ci wybaczam, bo pewny jestem, żeś to zrobił w uniesieniu, że tego żałujesz i że się to nie powtórzy nigdy". Nauka w las nie poszła. Pan felczer do kuchni nie zaglądał, a kucharz stał się wzorowo gorliwym w swych czynnościach.

Gdym znowu pewnego ranka nie przyjął mięsa dla kuchni szpitalnej, bo było niemożliwe, rzeźnik usunął zręcznie złe i przywiózł wyborne, ale go jeszcze mnie nie przedstawił. Wtem doniesiono, że Zenowicz do więzienia nadjechał. Dostawca, chcąc raz na zawsze powagę moją w sprawie mięsa zachwiać, sobie zaś dobrą wyrobić markę, zbliża się do gubernatora i najpokorniej przekłada, iż nie wie, skąd ma dostawać mięsa dla szpitala, skoro mu brakują najpiękniejsze tusze, któreby się nie powstydziły gubernatorskiego stołu. Idziemy w milczeniu

do składu, rzeźnik otwiera drzwi z pewnością siebie i wskazuje na świeżo przywiezioną śliczną sztukę. Zenowicz zapytuje: „Czy to jest nieprzyjęte przez doktora mięso?". Odpowiadam, że to, co widzimy, jest tak doskonałe, iż lepszegobym nigdy nie żądał. Tu wpada na dostawcę Zenowicz i na wszystkie jego tłumaczenia się powiada: „Tobie i pod przysięgą nie uwierzę, boś kłamca i oszust, a każde słowo doktora dla mnie święte; uprzedzam więc ciebie, iż stracisz dostawę, jeśli jeszcze raz dasz złe mięso". Ta nauczka jak wiele innych miała bardzo dobry skutek.

Potrafił on zawsze, gdy tego zechciał, wpływem swym skłonić podwładnych sobie dygnitarzy rosyjskich do szanowania, a nawet honorowania zasługujących na to wygnańców. Doszedł do tego powoli za pośrednictwem artystów polskich, z pomiędzy których wyróżniał muzyków, starając się zatrzymać w Tobolsku wszystkich prócz skazanych do ciężkich robót. Z ich to udziałem urządził u siebie tygodniowe muzykalne wieczorki, które zachwyciły całe tobolskie towarzystwo i wywołały gwałtowną chęć naśladownictwa, czego bezpośredniem następstwem było ubieganie się na wyścigi o znajomość naszych artystów i okazywanie im najwyższych względów uprzejmości. Nie mniej gorliwie starano się o zdobycie w nich jakoteż i w osobach z wyższem wykształceniem naukowem nauczycieli dla młodego pokolenia inteligencji tobolskiej. Zenowiczowi rosło serce, gdy widział, jak który z ziomków zdobywał sobie uznanie i cześć u obcych. W czasie naszej bytności wyróżniali się wśród artystów wielkiem powodzeniem: pianista Bylicki, znany później profesor w Krakowie, i skrzypek Bratkowski.

W lat kilka doszła nas wiadomość o samobójstwie w Tobolsku młodziutkiego fortepianisty wygnańca, Zwierowicza. Z inicjatywy Zenowicza wystąpił on po raz pierwszy publicznie z koncertem; przed samym występem ktoś go namówił, aby dla nabrania animuszu wypił kieliszek koniaku. Nie przyzwyczajonemu do trunków tak się zakręciło w głowie, że Bóg wie co wygrywał zamiast zapowiedzianych utworów. Zenowicz skamieniał, wpadł do gabinetu przy estradzie będącego i zwymyślał młodzieńca, wyrzucając mu, że się zbłaźnił i zhańbił

cześć polską. Zacny i ambitny dzieciak siadł na dorożkę i powróciwszy do swego mieszkania pozbawił się życia. Trudno sobie przedstawić, jak boleśnie dotknął ten wypadek Zenowicza. Niósł on na własnych barkach trumnę samobójcy na miejsce wiecznego spoczynku. By zaś ulżyć zgryzocie, wracając z pogrzebu wstąpił do biura zwanego prykazem i tam do zgromadzonych urzędników przemówił: „Wracam z pogrzebu człowieka, który przypadkiem przedstawił się publiczności podchmielonym i hańby tej przeżyć nie mógł. Od panów napróżno bym tego bohaterstwa żądał, ale przynajmniej mam prawo wymagać, abyście w czasie biurowych godzin byli trzeźwi".

Zdarzało się często, iż w partjach przebywali tacy, którzy w komisjach zdradzali kolegów i za to byli przez nich w czasie podróży ćwiczeni. W szpitalu dostawali się oni zazwyczaj do mego oddziału chorób zewnętrznych, a nad ich łóżkami pod ich imieniem i nazwiskiem widniał napis „contusio" (potłuczenie, właściwie poturbowanie). Zenowicz, gdy napis taki zobaczył, przyśpieszał kroku, ale ci panowie mieli już zazwyczaj gotowe do podania prośby skarżące się, że ich bito; nadto jeżeli należeli do ludu, co się trafiało najczęściej między Mazurami, zwykli dodawać: „Panie jenerale, mówią, że ja „śpig" jestem i biją mnie za to, a ja nie żaden śpig jestem". Na to Zenowicz zapytuje sąsiadów: „A panów biją koledzy?" „Nie, panie jenerale" brzmi odpowiedź. „No, to musisz być wielkie ladaco, skoro cię koledzy biją". A zwracając się do mnie dodaje: „niech mu tam doktor nie żałuje spirytusu kamforowego", poczem śpiesznie odchodzi. Inteligentniejsi zdrajcy, znając jego poglądy, nigdy się na otrzymane razy przed nim nie skarżyli.

Zkolei przechodzę do innej dziedziny czynów, nacechowanych wstrętem tego do najwyższego stopnia nieposzlakowanego urzędnika dla wszelkich brudów, które kalały całe zastępy świata urzędniczego, mianowicie pijaństwa, szulerki, nadużyć, łapownictwa, płaszczenia się przed zwierzchnością, wyzyskiwania podwładnych itp. Działalność Zenowicza na polu tępienia tych ujemnych pierwiastków była bardzo wszechstronna. Unieśmiertelnił ten kierunek w wybornej karykaturze kolorowanej wyżej wspomniany artysta Znamenskij. Przedstawił on Zenowicza w kontuszu, żupanie i konfederatce, z knutem w ręku,

jako woźnicę na koźle kibitki, okładającego trójkę urzędników w mundurach, zaprzężoną w uprzęży rosyjskiej; zaś w przeciwną stronę zdąża Murawiew (wieszatiel) w czerwonej koszuli, okładając batem z kozła czwórkę szlachty polskiej w krakowskich chomontach. Mijający kłaniają się sobie. Na jednym ze słupów wiorstowych napisano „Tobolsk", na drugim „Wilno". Podpisano zaś „bon appetit".

Jeden z wygnańców, syn doktora z Mińska, Jan Moszczyński, opowiadał mi, iż w chwili podawania ręki jednemu z urzędników w prykazie najniespodzianiej został schwytany za tę rękę przez Zenowicza, który zażądał otwarcia ściskających się dłoni. A gdy nic nie znalazł, wykrzyknął ze zdumieniem i oburzeniem, zwracając się do Moszczyńskiego: „dziwi mię bardzo, że podajesz rękę bez koniecznej potrzeby takim szubrawcom".

Raz, gdy przyszedł do więzienia jeden z wspomnianych przeze mnie wygnańców Waga, podaje mu na piśmie zażalenie, iż gdy mu skradziono złoty zegarek, pomocnik dozorcy więzienia zobowiązał się za 50 rubli odszukać zgubę i złodzieja, tego ostatniego wszakże wskazać nie chce, mając widocznie z nim spółkę. Zenowicz, nie zapytując nawet obwinionego, czy nie ma czego na swe usprawiedliwienie się, wydaje rozkaz, aby z pensji pomocnika wypłacił Wadze należne mu 50 rs. Do pomocnika zaś zwraca się z bardzo stanowczym wyrazem twarzy, mówiąc: „a ty pocałuj w rękę pana Wagę za to, że ci dał zaliczkę na twoją pensję". Gdy zaś oskarżony chciał coś skłamać na swoją obronę, przeszył go takim wzrokiem, że mu słowa na ustach zamarły.

Inną znów razą, gdy gubernator wchodzi do szpitala, a służący nie widząc go rozściela chodnik na jego przyjęcie, dostaje policzek i naukę moralną, że to powinno być zawsze, skoro jest potrzebnem, lub nigdy, jeśli jest zbytecznem, rozścielanie zaś dla zwiedzających jest oszukaństwem. Gdy słów tych domawiał, wchodzi pomocnik dozorcy, bardzo podrzędna figura, i zaczyna recytować raport. Zenowicz już podrażniony przerywa mu w połowie, mówiąc: „Zamiast tych kłamstw oficjalnych powiedz mi lepiej, ilu dziś więźniów wypuściłeś za pieniądze do miasta?" „Nikogo" — brzmiała odpowiedź. Tu

następuje policzek i groźne zapytanie: „A doktor Tomkowicz?“ „To tylko doktor Tomkowicz“, odpowiada ukarany. „Do kogo wypuściłeś doktora Tomkowicza?“ „Do prokuratora“. „Po co?“ „Do chorych dzieci“. Tu następuje drugi i ostatni policzek z wykrzyknikiem: „Kłamiesz, prokurator nie ma żony ani dzieci“. Pan pomocnik po odejściu zwierzchnika z wyrazem smutku powiada: „Nasz gubernator dobry człowiek, ściele twardo, ale miękko spać“. Jest to znane przysłowie rosyjskie, przerobione w zastosowaniu do Zenowicza. Brzmi ono w oryginale odwrotnie: „Miękko ściele, lecz twardo spać“.

Zenowicz bowiem jako człowiek bardzo praktyczny wiedział, iż musi dawać sobie radę przy pomocy miejscowych ludzi, to też nigdy nie palił mostów za sobą. Łajał a czasem i trzepnął podwładnych za każdy zły postępek, ale nie zapisywał tego do tak zwanych formularzy służbowych, a poprawionych nagradzał nieraz w trójnasób, zapominając dawnych grzechów, wyznając widocznie zasadę, że za jednego bitego dają dziesięciu niebitych i że z jednego nawróconego będzie większa radość w niebie niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. Tę metodę cenili w nim bardzo urzędnicy, dzięki czemu powstało wspomniane przeze mnie przed chwilą przysłowie: „Twardo ściele, ale miękko spać“.

Niezwykłą ruchliwość Zenowicza uwydatnił poglądowo artysta Znamenskij w drugiej znanej mi karykaturze, mianowicie przedstawił go robiącego „pas de géant“, gdy kozak na marnym koniu z wielkim wysiłkiem dogonić go nie może, a u dołu napis: „Konny pieszemu nie może towarzystwa dotrzymać“, przysłowie przerobione ze znanego: „Pieszy nie może konnemu towarzystwa dotrzymać“.

Pod względem zdolności administracyjnych Zenowicz był nieporównany. Uznając w gubernjach syberyjskich włościan za element najpożyteczniejszy i najbardziej wartościowy, mocno zaś przez urzędy nękany, postanowił go wyzwolić i podźwignąć pod względem moralnym, umysłowym i materjalnym. Dokonał tego z wielkiem powodzeniem, a to w następujący sposób: zaprowadził płodozmian naczelników powiatu czyli tak zwanych isprawników. Zaczął od naznaczenia do najodleglejszego powiatu najuczciwszego urzędnika z instrukcją i obietnicą

awansu i nagród za wyuczenie włościan, jak mają się nie poddawać niesłusznym wymaganiom policji i władz administracyjnych. Po pewnym zaś czasie, gdy już włościanie okazywali dobre postępy na drodze samoobrony, posyłanym był do takiego powiatu najgorszy z naczelników, aby go chłopi przy współudziale Zenowicza, do którego mieli prawo w każdej porze i w każdej sprawie udawać się, zmusili do poprawy. Instruktor zaś nagrodzony ruszał do następnego z powiatów zaniedbanych itd., aż kolejka obeszła wszystkie powiaty.

Zenowicz używał jednocześnie wpływu swego, by szerzyć oświatę między kupiectwem i ludem, nie mniej gorliwie korzystając z każdej sposobności poruszania kwestyj ogólniejszych w drodze prawodawczej, jak o tem świadczy następujący naprzykład wypadek.

Oprowadzając go po szpitalu w czasie jednej z jego wizyt, usłyszałem zapytanie: „Czy nie masz tam czegoś ciekawego między swoimi chorymi, doktorze?“ „I coś bardzo ciekawego, ale nie ze stanowiska lekarskiego, lecz prawniczego“ — odpowiedziałem. „A to znowu co takiego? bardzo mnie zaciekawiłeś, doktorze“. Opowiedziałem tedy, iż w dniu tym, przyjmując do mego oddziału kryminalistów, zapisałem niejakiego Aleksiejewa z posiadłości amerykańsko-rosyjskich, przysłanego tutaj na tej zasadzie, że gubernje tobolska i tomska w kodeksie karnym noszą nazwę techniczną najbliższych syberyjskich gubernij, bez orzeczeń, a więc dla całego państwa. On zaś jako mniej winny osądzonym być musiał, właśnie stosując się do litery prawa, do najbliższych gubernij. Ponieważ zaś w kodeksie karnym i dla Ameryki bliższych gubernij odszukać nie zdołano, musiał więc nieszczęśliwy Aleksiejew zrobić pieszo około 12.000 wiorst etapami, które przebył w ciągu lat czterech. Opowiadanie moje zajęło bardzo Zenowicza, prosił o przedstawienie mu niezwłocznie tej ofiary dosłownego stosowania litery prawa w sądownictwie, co też dopełniłem natychmiast. Zenowicz badał delinkwenta, następnie kazał przynieść jego papiery. Po rozpatrzeniu ich starannem przyjść musiał do przekonania, iż mądry sędzia posiadłości północno-amerykańskich uznał gub. tomską i tobolską za najbliższe nietylko dla Europy, ale i dla Ameryki. Z tych zaś dwóch bardzo odległych od Nowego

Świata gubernij wybrał najodleglejszą, bo tobolską. To też Zenowicz nie mógł powstrzymać się od zapytania: „Jak nazwisko tego osła, który cię sądził?“, poczem zanotował je w swoim notesie. Przyrzekł pokrzywdzonemu wszelkie możliwe ulgi i przeznaczył go do najlepszego jałutorowskiego powiatu, nazajutrz zaś przywiózł ze sobą około czterdziestu osób z grona urzędników i inteligencji, aby przy łóżku Aleksiejewa wygłosić „speech“ o zgubnych następstwach dosłownego a bezmyślnego stosowania prawa. Jednocześnie wystosował do ministra referat o konieczności zmian w prawodawstwie, czego opisany przez nas wypadek wymagał, jeśli nie dla posiadłości amerykańskich, które w czasie marszu Aleksiejewa zostały sprzedane, to dla całej wschodniej Syberji.

Trafiło się znowu któregoś dnia, że zwiedzając więzienie spotkał młodziutkiego Galicjanina Rydla, dziecko prawie — pyta go więc: „Z kim tu jesteś, z ojcem czy z dziadkiem?“ Malec mu odpowiada: „myli się pan jenerał, zesłali mię jako powstańca, co niejednego zgładził z obozu nieprzyjacielskiego“. „Głupiś, przerywa mu Zenowicz, chyba mysz albo wróbla zgładziłeś“, i nie dając mu czasu na odpowiedź, każe go zabrać do siebie, umawia mu nauczycieli, a przeprowadziwszy korespondencję z ministerjum uwolnionego Rydla przesyła rodzicom do Galicji. Całe zaś foljały w kwestji wadliwego prawodawstwa co do nieletnich wyprawia do Petersburga.

Wspomnę tu jeszcze o kilku wypadkach nadużycia przez wysłańców dobrej wiary i szlachetności tego zacnego człowieka. Przybył w jednej partji do Tobolska z żandarmami, okuty na nogi, niejaki Grossman, który w jednem z miast niżegorodzkiej gub. próbował uciekać. Zjawia się ten pan u mnie z prośbą, abym mu na nogach porobił rany, coby mu ułatwiło pozostać dłużej w tobolskim szpitalu. Zaledwie udało mi się pozbyć natręta i przekonać go, że to nie należy do mojej specjalności i że prawdopodobnie będę musiał goić te rany, jeśli on je sobie sztucznie wytworzy. W parę dni potem mój Grossman dostał (nie wiem napewno od kogo), zdaje się, że od felczera, rozczynu potasu gryzącego, którym porobił sobie rany na nogach w kształcie obrączek kajdanowych. Gdy ta fabrykacja nieźle mu się udała, stara się sam wpaść w oko gubernato-

rowi i przybierając bardzo poważną minę prosi, aby go zostawiono w tobolskim szpitalu. Na to Zenowicz: „Za nic nie pozostaniesz. Uciekałeś raz, będziesz uciekał znowu, zaszkodzisz innym, za nic — za nic — za nic!“ — Wytrzymawszy pierwszy ogień, ciągnie dalej Grossman: „Na to, że uciekać nie myślę, daję słowo honoru, ale zostać muszę, bo mam rany na nogach od kajdan, które mi w drodze nałożono“. Tu Zenowicz już wzruszony i oburzony woła: „co za rany? jakie rany? pokaż.“ A gdy Grossman, zdjąwszy buty, przedstawił własnego wyrobu rany, rozrzewniony nasz gubernator zostawia go w szpitalu, ale kończy pytaniem: „jakie też to słowo honoru mi dajesz? staropolskie czy też wasze nowożytne, którego się zwykle nie dotrzymuje, szczególniej władzy“. Grossman z całą powagą zamyka tę całą farsę słowami: „staropolskie, panie jenerale“, poczem zostaje zaliczony do mego oddziału jako chory.

Ponieważ rany były sztuczne, goiły się szybko, a że to nie wchodziło w program ich autora, ubierał się więc w buty z długiemi cholewami marszczonemi, by rozcierając niemi rany nie dozwolić im prędko zasklepiać się. Zenowicz odwiedzając szpital zapytywał go ironicznie, czemu nie próbuje uciekać, na co Grossman zwykł był odpowiadać: „bo dałem słowo“. „A więc wymknij się do mnie na herbatkę, na to pozwalam“. Gdy zaś Grossmanowi wymknąć się nie udawało, bo był ściśle strzeżony, przy następnych odwiedzinach niby wymawiał: „czemuż nie przychodzisz, codzień cię czekam z herbatą“. Na to wszystko umiał zawsze Grossman jako zręczny blagier znaleźć odpowiedź.

W kilkanaście dni po tej bytności Zenowicza miały miejsce odwiedziny szpitala więziennego przez pułkownika żandarmów Zaranka. W czasie tej wizyty Grossman, jak zwykle, rozcierał swoje rany butami, przechadzając się po podwórku. Wezwano go do pułkownika. Stawił się, nie w szlafroku szpitalnym, lecz w czamarce powstańczej. Zaranek zagadnął: „Kto panu pozwala lecząc się w szpitalu opuszczać salę?“ Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, kazał mię wezwać i zapytał, czy Grossman opuszcza może szpital z moją wiedzą? Odpowiedziałem, iż w czasie obu moich wizyt w szpitalu, rannej i poobiedniej, p. Grossman leży w łóżku, a co potem robi, należy już nie do mnie, lecz

do intendenta. Zawezwano tego ostatniego, a był nim niepoczesny żydek, który zeznał, iż go więźniowie polityczni wcale słuchać nie chcą. Wtedy dopiero przemówił p. Grossman niezbyt delikatnym tonem: „Co pan pułkownik czepiasz się ludzi; ja pana słuchać nie chcę, a miałbym słuchać doktora, który jest moim kolegą wygnańcem, nie mówiąc już o tym nieszczęsnym intendencie, który się cienia własnego boi". To mówiąc trzasnął drzwiami i wyszedł. Zdumiony Zaranek pyta mię, co to za figura? Powiadam, że mierniczy.

Rozgniewany dygnitarz poleciał na skargę do gubernatora, który tegoż dnia po obiedzie wpada na salę Grossmana, wołając: „Co ci przyszło do głowy wojować z żandarmami, skoro ja nawet muszę się liczyć z nimi i dbać o nich. Wszystko stracone! musisz jechać dziś jeszcze i to w kajdanach. Sam pułkownik wymaga tego i wyjazdu dopilnuje. „Tak się też stało. Grossman tegoż dnia wyruszył w dalszą drogę. Gdym w lat kilkanaście potem przy spotkaniu w Warszawie Zenowicza, udającego się do Gasteinu, opowiedział mu z całą szczerością szczegóły mistyfikacji, urządzonej przez Grossmana, o której milczałem w Tobolsku z tytułu koleżeństwa z tym panem, uśmiał się Zenowicz i powiedział: „Nieraz domyślałem się, że mnie oszukują, ale to przykro okazać, nie mając zupełnej pewności".

Oto jeszcze jeden przykład nadużycia dobrej wiary i uczynności pana Aleksandra. Do oddziału Tomkowicza przyjętym został niejaki Orłowski, dowódca bandy opryszków, udającej powstańców na Żmudzi. Jegomość ten rabował dwory, napełniając kieszenie swoje i swoich kolegów. Skazany do ciężkich robót, wpadł na koncept wyzyskiwania miłosierdzia pobożnych, ustawiając w karafkach po trzy krzyże drewniane z figurami woskowemi, przedstawiające Chrystusa i dwóch łotrów. Sztuka polegała na tem, by przez wąską szyjkę wprowadzić do karafki wszystkie składowe części i tam je złożyć, ustawić i umocować. Jedną taką karafkę ofiarował Zenowiczowi, który mu zaraz kazał wypłacić 10 rubli, a gdy Tomkowicz szepnął gubernatorowi, kim jest ów Orłowski, zaśmiał się tylko i powiedział: „Pal go djabli, trudno ich wszystkich skontrolować".

Gdy więc z taką łatwością nadużywano dobroci i hojności tego uczynnego człowieka, nie dziw, że zawsze był bez

grosza, a dziś oszukany nazajutrz nie umiał odmówić, gdy go o co proszono. Przy zupełnym zaś braku pieniędzy potrafił nakłonić innych, ludzi zamożnych, do ofiar, czyniąc główny nacisk na znanego w Syberji bogacza, człowieka wielkiego serca, pana Alfonsa Paklewskiego, który zawsze był gotów przyjść potrzebującym z pomocą.

Wzmiankowałem już wyżej, iż Zenowicz mówił zawsze do wygnańców po polsku, ośmieszał też bez miłosierdzia tych, co się odważyli mówić doń innym niż ojczysty językiem. Popisujących się francuszczyzną zapytywał, czy są poddanymi francuskimi, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź zwykł mawiać: „Nie potrzebnie silisz się pan mówić do mnie w obcym języku, wszakże ja Polak jestem". Tym zaś, którzy chcąc mu się przypodobać odzywali się po rosyjsku, miał odwagę cywilną mawiać dosadnie: „Zapewne pan zapomniałeś, za co tu jesteś zesłany".

Na zakończenie tej ogólnej charakterystyki uważam za mój najświętszy obowiązek wyrazić tu głęboką wdzięczność moją za troskliwość w czasie ciężkiej choroby i rekonwalescencji mojej żony, za danie mi możności służenia kolegom na stanowisku lekarza w więzieniu tobolskiem w ciągu ośmiu miesięcy, wreszcie za przedstawienie mnie na zasadzie niby wielkich zasług moich w szpitalu do ułaskawienia.

Mimo tak liczne obowiązki wdzięczności, pragnąc być objektywnym w sądzie moim i pozostawić każdemu z czytelników odtworzenie tej postaci z faktów, temi też prawie całe moje opowiadanie o nim napełniłem. Fakty te wykazują wielkie zalety i najszlachetniejsze dążności obok pewnych wad i usterków, od których żaden ze śmiertelników wolnym nie jest. Z tych ostatnich występuje na pierwszy plan niezmierna wrażliwość i gwałtowność, nie pozwalająca często rozejrzeć się w istotnym stanie rzeczy, co wywoływało nieraz za pośpieszne sądy, postanowienia i rozporządzenia! Na drugim planie widzimy, obok najwyższej dystynkcji, brutalne, nierzadko do rękoczynów posunięte obchodzenie się z niższą służbą. I tu wszakże uważać należy za okoliczność łagodzącą, iż to szkaradne otoczenie nie rozumiało innego języka, jak połajanka lub uderzenie, a nawet przekładało tę formę nad inne, jak o tem już nad-

mieniłem. Jakkolwiek dużo czasu i uwagi pochłonąłem na rzecz zapoznania czytelników z Zenowiczem, uważałem to za konieczne. Był to bowiem człowiek z wielkim wpływem na losy wygnańców. Każdy więc przyczynek do jego życiorysu, szczególniej z okresu pobytu w Tobolsku na trudnem stanowisku gubernatora, nie pozostanie bez pożytku, będąc niejako uzupełnieniem dziejów wygnańczych polskich.

. . . . . .

Zkolei powracam do naszej celki, do cichego więziennego żywota. Pokoik, któryśmy w początkach choroby mojej żony zajęli, a który nosił nazwę Nr. 3, przedstawiał się, jak świadczą listy nasze z tej epoki do kraju pisane, jak następuje. Długości miał 6½ łokci, szerokości 5, sklepiony w kierunku podłużnym i zaopatrzony w półcyrklowe czteroszybowe okienko u góry, dające niewiele światła, tudzież w piec dobrze ogrzewający. Na tej przestrzeni trzydziestu kilku łokci kwadratowych mieścił się nasz cały ruchomy majątek, a mianowicie: na lewo od wejścia (była to połowa pokoju, zajęta przez moją żonę) przy drzwiach wchodowych wieszadło, na którem spoczywały futra, paltoty itp. Pod niem stało pudło podróżne z samowarem i przyborami do herbaty, oraz dwa worki z bielizną do prania; za wieszadłem w kąciku długa waliza kantynką zwana, nad wieszadłem zaś półka z drobiazgami. Przy lewej ścianie bocznej, obitej dywanem, stało łóżko żelazne składane, pod łóżkiem kryły się dwa tłómoki. Za łóżkiem w dalszym ciągu stała szafka spiżarniana niska, służąca jednocześnie za biurko do pisania; obok łóżka taboret, nad szafką półeczka na książki. U góry przez całą szerokość pokoju pod jedynem oknem uwydatniała się wielkich rozmiarów półka na produkty, wymagające chłodu. Była to nasza spiżarnia. Druga połowa pokoju stanowiła wyłącznie moje terytorjum, na którem mieściły się w szeregu: przy oknie stół z półką, pod nim waliza, w środku łóżko, przy drzwiach stolik, na którym się stawiało samowar. Ozdobę tej siedziby stanowiły fotografje rodziny, przyjaciół i kolegów.

Tym, co uważają mieszkanie z trzech lub czterech pokoi za ciasne dla jednej rodziny, nie zawadzi odczytać to spra-

wozdanie, spisane pod gorącem wrażeniem, a dowodzące, jak małe są istotne potrzeby człowieka, jeżeli ludzie, wychowani w dostatkach i obszernych domach miejskich, zdołali z pewnem jak na więźniów udogodnieniem potrzeby codziennego życia swego w tej celce zaspokoić, a co ciekawsze, urządzać tu w ciągu siedmiu do ośmiu miesięcy wieczory koleżeńskie, na których przeczytaliśmy to wszystko, co w tobolskich wygnańczych bibljotekach znaleźć się dało.

Dłuższy nasz pobyt w Tobolsku dał nam możność uporządkowania korespondencji z rodziną w kraju i szwagrem moim Stanisławem Miaskowskim, pozostającym na wygnaniu w guberenji orenburskiej. Otrzymaliśmy tu prócz listów, które nam regularnie oddawano, pieniądze na dalszą podróż, futra, ciepłe ubrania i fotografje, które ozdobione winjetami roboty kolegów weszły w skład drogich pamiątek do albumu, ufundowanego w Tambowie.

Tu też otrzymaliśmy od Stanisława Miaskowskiego wierszyk, poświęcony swemu jedynakowi, malutkiemu Jasiowi, który tutaj przytaczam.

Śpij synku maleńki pod odgłos piosenki,
Co ojciec ci śpiewa,
Choć piosenka to smutna, choć żałobna, pokutna,
Smutną dumę nawiewa.

O śpij, mój aniele, bo w przyszłości ci wiele
Cierpieć potrzeba,
Bo ciernista drożynka, bo boleści ścieżynka
Prowadzi do nieba.

Śpij, mój synku kochany, świat ci jeszcze nieznany,
Świat ten zimny i brudny,
Jak to w walce z przemocą w walce krwawej dniem nocą,
Zwycięstwo trudne!

O śpij mój aniołku w niewinności kościołku,
Kolebka, — kościołek,
Bo tylko w kolebce słówko Boże ci szepce
Stróżujący aniołek.

W świecie będzie inaczej. Kto aniołka zobaczy,
Szczęśliwy ten bardzo,



Fig. 16. Michałowie Gruszeccy.



Fig. 17. Pani Naumow.



Fig. 18. Naumow, komendant roty aresztanckiej w Tomsku.

Ten już prawdę czuć umie, choć źli ludzie nim w tłumie
Pomiatają i gardzą.

O tę prawdę proś Boga! O ciernistaż to droga
Przed tobą, me dziecię!
Prawda siły ci doda, choć nikt ręki nie poda
Nieszczęsnemu na świecie.

Kto ją uczuł, pamięta... i matka go święta
Przez ból przeprowadzi,
I Bozia się weseli i cieszą się anieli
I święci mu radzi.

Śpij synku maleńki pod odgłos piosenki,
Co ojciec ci śpiewa,
Choć piosenka to smutna, choć żałobna, pokutna,
Smutną dumę nawiewa.

Muzykę do tej piosenki, ułożoną przez cioteczną siostrę żony mojej Cecylję Jezierską, otrzymaliśmy później.

. . . . . .

Album nasz wzbogacił się kilku wpisami, a mianowicie: Łagowskiego w chwili naszego rozstania się — i znakomitego geologa Czekanowskiego, starego znajomego z czasów kijowskich, z którym ostatni raz w życiu spotkaliśmy się w Tobolsku; zrobiwszy bowiem bardzo wiele na polu miejscowych prac geologicznych, a nie czując się na siłach do dalszej walki z przeciwnościami życia, przeciął je wystrzałem z rewolweru. Wśród tych wpisów uwydatnił się prześliczny wiersz, łabędzia pieśń, konającego na narach w Moskwie, w więzieniu, młodziutkiego wygnańca, Garzyca. Wpisał mi go Feliks Zienkowicz, synowiec znanego emigranta i przewodnika Towarzystwa Demokratycznego, który, będąc kolegą i przyjacielem zmarłego a świadkiem jego zgonu, podsłuchał i przelał na papier ostatnie słowa umierającego. Nim wiersz ten przytoczę, nadmienię, iż Garzyc przed 1863 rokiem wbrew woli i bez wiedzy rodziców poślubił ubogą panienkę. Idąc do powstania, pozostawił ją i nowonarodzone dziecię bez żadnej opieki. Sam zaś wyczerpany więzieniem i drogą padł na szlaku syberyjskim.

Oto ten wzniosły a pełen boleści utwór:

Gdzie wy marzenia moje? słodkie, nawpół senne,
Jak wiosna takie wonne, jak jutrznia promienne.
Gdzieś ty kopuło marzeń, tak dzielnie wzniesiona
Z kości mlecznej i złota, jak gmach Salomona?
Gdzie polot mojej myśli, jak diament czystej,
Jak wzrok sokoła bystrej, jak palma strzelistej!

Gdzie wiatr ten, co unosząc wonie róż Edenu
Dął niegdyś w lazurowe moich marzeń skrzydła?
Zatrutem tchnieniem jak wieszczek Irenu
Rozwiał anioły, a przywiał straszydła
I z raju... w ciemne piekieł strącając ramiona
Otoczył mię kręgiem z ognia jak wąż Laokona!

Kochanko! Niech twych oczu iskierki policzę!
Niechaj pierś twą przycisnę do mych piersi wrzących,
Niechaj z ust twych wysysam niebiańskie słodycze,
Niech oddycham zapachem twych warkoczów lśniących!
Ty... głosem takim cudnym jak aniołów pienia
Rzeknij „kocham“... dasz mi wszystko... prócz złudzenia!

Miłość?... To Kleopatry rozpustnicy łoże,
Gdzie zarazem trucizna i czar edenowy,
W jednym złotym puharze w przejrzystym likworze
Ambrozyja i pierścień węża szmaragdowy!
Więc zanim myśl się ocknie, rozkoszą zamglona,
Szczęśliwiec bosko marzy... i kona...

W raju wylęgła, ptaszyno natchnienia,
Wracaj do słońca! pruj światła promienie
Lotna i płocha, jak senne marzenia!...
Szybuj ptaszyno poezji, złudzenia!
Mnie zostaw przeznaczeniu!... Złotem wśród szkarłatu
Na karcie mojej wypisano... „Fatum“.

Jak długo w nią patrzyłem, nie wiem, aż zkolei
Ona podniosła główkę, otarła powieki —
I spojrzała głęboko, smętnie, bez nadziei...
Wzrok jej serce mi przebódł, bo mówił „na wieki“.
Szukałem słów pociechy,... ale nadaremno.
Chciałem na niebo wskazać, lecz na niebie ciemno

Było. — Księżyc wschodził krwawo —
Mnie gwiazda wróżyła „czarno", dla niej „łzawo";
Więc ukląkłem przed nią i złożyłem dłonie
Jak do modlitwy. Łza cicha spadła mi na skronie
I wszystko znikło!... Gdzieś daleko...
Biały cień wśród drzew mignął, — drżące echo
Cichy płacz z szmerem fali zlany w uścisk bratni
Przyniosło, pierwszej miłości mojej dar ostatni!

Z piersią rozdartą okropną tęsknotą
Jam stał,... lecz nie myślałem, bom się bał sam siebie —
Nie zapłakałem nawet, lecz anioł mój w niebie
Płakał, bo z księgi życia jedną kartę złotą wydzierał!...

W pierwszej połowie listopada przechodzili przez Tobolsk w dalszą drogę Bolesławowstwo Łozińscy (ona starsza córka J. I. Kraszewskiego), Michałowie Gruszeccy i Maurycy Prozor. Najbliższy stosunek łączył mię z dwoma ostatnimi jako towarzyszami więzienia i kamery 15 w Żytomierzu. Gruszecki, chociaż po raz drugi w życiu szedł na Sybir, odznaczał się niezwykłym humorem i swobodą. Opowiedział nam barwnie całą swoją podróż, z którego to opowiadania dowiedzieliśmy się, że umiał sobie daleko praktyczniej od nas radzić. Gdy bowiem w Kazaniu nie chciano wziąć powozu Gruszeckich na statek, rozebrali go, pochowali do paki i tak przewiózłszy w Permie na nowo złożyli.

Uśmiałem się też serdecznie, słysząc opowiadanie o rozmowie Gruszeckiego z jakimś jenerałem rosyjskim, wizytatorem więzienia w Tambowie. Jenerał ów, przyjechawszy przed więzienie, zastał partję, na czele której stał Gruszecki jako starosta, a postawą swą marsową i wąsem zawiesistym tak zaimponował przybyłemu dygnitarzowi, iż ten nie mógł się powstrzymać od zapytania:

— Gdzie pan służyłeś?

— W katorżnych robotach — brzmiała odpowiedź Gruszeckiego,

— A teraz gdzie pan idziesz?

— Na tę samą służbę.

Na to jenerał parska śmiechem.

Po tygodniowym pobycie, spędzonym wśród gawęd o naszej niedoli obecnej i o nieznanej nam przyszłości, pożegnaliśmy

Gruszeckiego, który mi zostawił wiersz Aleksandra Krajewskiego z czasów ich pierwszego pobytu na Syberji, malujący Sybir i więzienia. Do albumu zaś mego obok swej fotografji z żoną wpisał „Katechizm sybirski“ przez tegoż Aleksandra Krajewskiego, uwydatniający nastrój ducha wygnańców z epoki Konarskiego. Przytaczam tu oba te wiersze jako nigdzie niedrukowane.

Znasz li ten gmach? Szeroki mur go stroi,
Wkoło rząd dział i tłum szyldwachów stoi,
A wszystkie ci spokojnie przejść nie dają:
Nie wolno tu, nie wolno tam, wołają.
Znasz li ten gmach? Ach tam, o moja miła,
Tam istne piekło, choćbyś i ty tam była!

Znasz li ten kraj, gdzie ludzi wyprzedają,
Puszczają w grę, w posagu przeznaczają,
Pod batem tam człek żyje i umiera,
Jeśli go czyn nie zdobi oficera.
Znasz li ten kraj? Ach tam, o moja miła,
Nie poszedłbym, choćbyś i ty tam była!...

Znasz li ten kraj, gdzie nic nie dojrzewa,
Gdzie szronu blask przemarzłe srebrzy drzewa,
Gdzie w maju lód na rzekach jeszcze stoi
I słońca tchu bynajmniej się nie boi
Znasz li ten kraj? Ach tam, o moja miła,
Tambym ja zmarzł, choćbyś i ty tam była!

KATECHIZM SYBIRSKI.

Może w tym kraju wygnania
Tęskniąc za Polską twoje skończysz dni
I ciężkiej chwili konania
Niebo rodzinne nie osłodzi ci.

Dzielne, dojrzałe twe siły,
Śmiałe nadzieje, jasnych uczuć kwiat —
Zstąpią do zimnej mogiły
Na sen śmiertelny — przez tysiące lat.

Ach, porzuć lube marzenia,
Bo nie dla ciebie uciech życia zdrój.

Słodkie i szczytne wzruszenia,
Miłość i sława — udział to nie twój...

Lecz póki losu zawziętość
Ciężar żywota rozkaże ci nieść,
Troistą w sercu miej świętość:
Boga, ojczyznę i przyjaźni cześć.

Twe życie w wygnańców kole,
Myśl zawsze w Polsce, Bóg nadzieja twa!
Taką ci los zdarzył dolę —
Ten godzien lepszej, kto w niej mężnie trwa!

Wiersz ten zakończył Gruszecki dopiskiem: „Przed kilku laty taka była wiara wygnańców polskich. Jaka będzie teraz, obaczymy! Ja jadę naprzód zapisać kwaterę. Bracie, do widzenia!“ Z Gruszeckim wyruszył z Tobolska i Maurycy Prozor, którego również pożegnałem na zawsze, wkrótce bowiem w powiatowem mieście guberniji tobolskiej, Tarze, z tyfusu życie zakończył.

Tryb życia naszego, który w czasie choroby Maryni i jej rekonwalescencji jako od tychże całkiem zależny nie mógł być prawidłowy, po jej wyzdrowieniu, a więc od końca grudnia przybrał niezwykle jednostajny charakter. Zrana po wczesnej herbacie szedłem do szpitala, gdzie nietylko obowiązki lekarza, ale i kolegi współwygnańca spełniałem. Marynia w tymże czasie przy pomocy Tomasza doprowadzała celkę naszą do porządku i kierowała przygotowaniami do obiadu. Około 1 wracałem ze szpitala z notatką od kolegów co do ich najróżnorodniejszych potrzeb, którą doręczałem żonie mojej dla załatwienia ich przy pierwszej bytności w mieście. O pierwszej jedliśmy skromny obiad, po którym przechadzaliśmy się po największem podwórzu więziennem. Od trzeciej do siódmej pisaliśmy listy i czytaliśmy, ja książki i pisma lekarskie, Marynia powieści i poezje. Około siódmej przychodzili do nas koledzy, z którymi spędzaliśmy wieczór na miłej i pożytecznej gawędce, przeplatanej czytaniem arcydzieł swojskich i obcych.

Stałymi gośćmi wieczornej naszej herbaty byli: znany czytelnikom dr. Ignacy Tomkowicz, Juljan Kędrzycki Podolanin i Aleksy Roszkowski, prawnik z Warszawy. Dwaj ostatni po

przybyciu do Tobolska pozostali na czas dłuższy w szpitalu więziennym: Kędrzycki w oddziale Tomkowicza, Roszkowski w moim. Wszyscy zaś trzej obok wielkich zalet umysłu, serca i sympatycznych form towarzyskich, różnili się wszakże znacznie usposobieniem i obyczajami. Pragnąc zapoznać bliżej czytelnika z naszymi stałymi współbiesiadnikami, zaczynam od przytoczenia tu kilku anegdot z codziennego życia, charakteryzujących najoryginalniejszego, najzdolniejszego i najbardziej ożywiającego nasze koło, kolegi Tomkowicza, który łączył w jednej osobie zdolności humorysty, poety i artysty dramatycznego o bardzo szerokim repertuarze, a więc opowiadał z niezwykłą werwą i humorem, tworzył z siłą i wdziękiem i odtwarzał do złudzenia nietylko pojedyncze postacie, ale całe dziesiątki ludzi różnej narodowości, powołania, płci i wieku.

Razu jednego, gdy w celce naszej mówił kazanie, naśladując księdza de Waldena z Białejrusi, zauważyliśmy, iż ktoś się przy drzwiach zatrzymał. Gdym wyjrzał na korytarz, by się dowiedzieć, kto to i po co staje, zobaczyłem odchodzącego śpiesznym krokiem kapłana. Zapytany, czego żąda, tłumaczył się tem, iż usłyszawszy głos blisko sobie znanego księdza de Waldena nie mógł się powstrzymać od słuchania. Uważaliśmy za nasz obowiązek zaprosić go do nas, by poznał sobowtóra swego znajomego, co też ku zadowoleniu stron obu nastąpiło.

Trudnoby uwierzyć, że równie udatnie jak księży naśladował pensjonarki, dające się długo prosić o grę na fortepjanie, śpiew, deklamacje, a nareszcie uproszone fałszywie grające, śpiewające, deklamujące. Nieocenione było odtworzenie egzaminu na żeńskiej pensji w Siennach, gdzie panna, zapytana przez księdza prefekta: „co panna wiesz o Ezawie?“ po krótkiem jąkaniu odpowiedziała: „Ezaw był kosmaty.“ A gdy ksiądz chcąc ją naprowadzić na właściwszą odpowiedź zapytał: „Do czego to panna stosujesz, cóż stąd wynika?“ bez namysłu odpowiedziała: „stąd wynika, że Jakób miał dwunastu synów“.

Potrzeby miał bardzo ograniczone i sam je prawie zaspokajał. Na obiad jadł zazwyczaj dwa befsztyki zupełnie surowe przez siebie wyżyłowane. Zrana zaś, po obiedzie i wieczorem, wypijał po jednej wazce herbaty, by się z filiżankami, szklankami i łyżeczkami, jak mówił, nie porać. Robiąc

swoje befsztyki i kotlety, miał zły zwyczaj ocierać palce o ubranie. Gdy więc go raz zagadnąłem, dlaczego tak niszczy odzienie, odpowiedział mi z powagą, że w tem tkwi wyższa ekonomiczna idea, wytwarza on bowiem zwolna pokłady tłuszczu i białka na tkaninie, której w przyszłości każdy centymetr w czasie wojny lub głodu posłużyć może w postaci buljonu jako środek ratunkowy.

Inną razą w licznem towarzystwie, przeważnie z pań złożonem, zapytuje nasz doktor Ignacy, przybierając wyraz twarzy jak najpoważniejszy, czy nie zechcą przejrzeć jego album z fotografjami. Gdy spragnione wrażeń zgromadzenie przyklasnęło temu projektowi, wnosi zawiniątko, które przy bliższem rozpoznaniu okazuje się połową dolnego płóciennego ubrania męskiego, związanego w węższym końcu na węzeł i tym sposobem przeistoczonego w róg obfitości, z którego Tomkowicz wysypuje z gracją wobec zdumionych, przerażonych i zażenowanych pań setki fotografij w najrozmaitszym formacie. Poczem róg obfitości dyskretnie znika, a towarzystwo, pogodzone z faktem dokonanym, przegląda z zajęciem twarze i twarzyczki, jak gdyby były w najpiękniejszych księgach albumowych oprawne. Panienki w oczy i za oczy pozwalał sobie porównywać do aniołeczków wyższych lub niższych gatunków, a czasami nawet do Tatarów.

Nosił na drugim palcu prawej ręki sygnet stalowy, o którym mawiał, że jest wykuty z podkowy wierzchowca księcia Józefa Poniatowskiego. Otóż czasami przed pójściem do szpitala żegnając się z nami oświadczał, że podkowa rumaka księcia Józefa pragnie przejechać się po karkach moskiewskich. Był to wstęp do ścisłej rewizji szpitalnych stróżów nocnych, przy której zawsze okazywało się, że któryś z nich zaniedbywa swe obowiązki i że podkowa Poniatowskiego w postaci pierścienia wraz z ręką, na której spoczywał, przejeżdżała się po grzbiecie winowajcy.

Raz będąc w mieście u Czekotowskich spotyka tam Tomkowicz kogoś powracającego z obiadu u panów N. N. Ci bogaci młodzi ludzie mieli, jak powszechnie mówiono, jakieś małe grzeszki z czasów śledztwa, bo coś tam bez potrzeby, może niechcący ze szkodą innych wygadali jakoby przed ko-

misją. Na wygnaniu zaś wszystkich gościnnie podejmowali, co nęciło do nich tych nawet, co zaocznie źle o ich przeszłości mówili. Tomkowicz tego pana powracającego z obiadu u wyżej wymienionych wita w te słowa: „Dziękuję ci najmocniej, żeś mi rozwiązał wielkie zagadnienie z dziedziny nauk przyrodniczych". A że ów jegomość nie poczuwał się wcale do zdolności rozwiązywania zagadnień w jakiejbądź dziedzinie, zapytał więc zdziwiony: „Nie rozumiem, o co chodzi?". Tu Tomkowicz tłumiąc śmiech kończy: „Nie wierzyłem w to, co twierdzą, że strusie kamienie trawią, ale jeśli ty obgadując pp. N. N. tak dobrze ich obiady trawisz, to rozumiem, że i kamieniom radę dać można".

Czasem trafiało się Tomkowiczowi pożyczyć u kogoś treść do anegdoty i przerobić ją naprędce z ulepszeniami w otoczenie białoruskie. Gdy raz o taki plagjat właściciel anegdoty wobec mnie się upomniał, powiada mu Tomkowicz, całując go w głowę: „A cóż ci to szkodzi? umiejętne przesadzanie na żyzny grunt roślin i anegdot udoskonala je tylko". Dużo opowiadań Tomkowicza uleciało mi z pamięci. Zresztą nie wszystkie dałyby się tu powtórzyć nie tylko dlatego, że były między niemi takie, których edycja dla dam bez uszczerbku treści nie dałaby się uskutecznić, ale i dlatego, że większość ich nabierała prawdziwej wartości i życia w ustach jego przystosowanej gestykulacji, bez której straciłyby swój urok niepowrotnie.

Drugi nasz stały gość, Juljan Kędrzycki Podolanin, wychowaniec kijowskiego uniwersytetu, był postacią niemniej zajmującą i pokrewnego pod względem treści z Tomkowiczem ducha co do poetyckiej werwy i humoru. Był on wszakże w obyczajach, formie i słowie wyszukańszy, do obrazowych opowiadań i przedstawień dramatycznych niezdolny, natomiast bardzo oczytany i zmysłem krytycznym obdarzony, zaś co do pewnych przyzwyczajeń, słabostek i przesądów, szlachcic do szpiku kości.

Trzeci nasz współbiesiadnik, Aleksy Roszkowski, wykształcony, mniej śmiały, a więc mniej udzielający się nam, był w ruchach wytworny, w obcowaniu przyjemny, w sądzie o każdej rzeczy gruntowny.

To stałe towarzystwo ożywiało się czasami wypadkowymi gośćmi z miasta lub też z grona wygnańców, przez Tobolsk przechodzących. Oprócz czytania książek i gawędy miewaliśmy wieczory, w części wypełniane odczytywaniem utworów naszych codziennych gości, z których Tomkowiczowi lwią część zasługi przypadała. Dał się on nam poznać ze swego talentu jeszcze przed chorobą Maryni, wpisując do naszych obu albumów pełne bolu i głębokiego żalu wiersze, które poniżej przytaczam.

W ALBUMIE WACŁAWA LASOCKIEGO.

Bądźmy weseli, bracie mój Wacławie!
Bóg naszej świętej błogosławi sprawie,
Wszystkie kłopoty, boleści i troski
Oddalił od nas święty palec Boski.

Na obcej ziemi, nieznani nikomu,
Gdzie nas nie poślą, my wszędzie jak w domu.
Żadnych nadziei, więc żadnych zawodów,
Do trosk i smutków najmniejszych powodów.

Nie tak w ojczyźnie. Tam młody i stary
Woła „do pracy", wzywa do ofiary,
Prawi o jakichś świętych obowiązkach,
Miłości kraju i rodzinnych związkach,
O sławy ojców zapomnianych szczątkach,
O dawnych czasach, o starych pamiątkach.
W imię zbutwiałych zwojów pergaminu
Każe iść naprzód, zachęca do czynu!

Tutaj nam lepiej. Po co łamać głowę?
Na co pracować? Gdy wszystko gotowe.
Na co nam myśleć? Gdy wzorem proroków
Znamy swą przyszłość z sądowych wyroków.
Na co nam przeszłość naszego narodu?
My ludzie wolni, bez mienia, bez rodu.
Z nas syny nie wezmą wzoru ni przykładu;
Źli czy cnotliwi, my zginiem bez śladu.
O jutro ja nie dbam, o dziś jam spokojny,
Wiem, że złotówkę wyda mi rząd hojny.

Krew i łzy płyną w mej rodzinnej ziemi,
Jęczą rodacy, ja nie cierpię z nimi;

Oni spokoju nie znają godziny,
Drżą o swą wolność, o los swej rodziny,
Ja śpię bez troski, bo wiem, chwała Bogu,
Że za mnie czuwa smotrytiel ostrogu,
Że mnie nie zgnębią i nie odrą z mienia,
Bo ja tu nie mam już nic do stracenia.

W kraju dziewczyna swawolna i płocha
Ledwie postrzeże, że ją młodzian kocha,
Już drażni okiem, dźwięcznem słówkiem łudzi,
Rozżarza serce, szał poświęceń budzi,
Wysyła na śmierć i z tryumfu rada,
Z śmiechem w objęcia drugiego wraz pada.
Tu... dziewcząt niema, więc oko tułacze
I tego bolu łzą już nie zapłacze,
Tu mię rozmarzyć i zwieść niema komu,
Bracie Wacławie!... tu lepiej jak w domu.

Tu, kiedy śmierci wybije godzina,
Nie struje jej jękiem płacząca rodzina;
Tu śpiewem nas nie zmęczy czarne popów plemię,
Bez komedyj.... spokojnie położym się w ziemi.

O bądźmy więc weseli, że nam nasze modły
Taki los w końcu szczęśliwy przywiodły!
I bądźmy dumni, bo kośćmi naszemi
Bóg będzie pisał po sybirskiej ziemi
Naszego kraju szczęśliwe koleje
I swego nad nim miłosierdzia dzieje!...

W ALBUMIE MARJI LASOCKIEJ.

Jam nie poeta i lirę do ręki
Wypadkiem brałem, a odgłos piosenki
Rzadko uczuciom służył za tłumacza.
Pocóż więc pieśni chcecie od tułacza.
Skąd dziś wam pieśni mej wysnuję wątek?
Jak ją zakończę? Gdzie wezmę początek?
Żeby nie jęczeć rozpaczą katuszy,
Jam milczeć kazał wszystkim strunom duszy,
Bo każda tknięta, nim zabrzmi, zaboli.
Bo to męczeństwo pieśń człeka w niewoli!
Przeszłość potrąci i łza zaćmi oko,
Na dzisiaj spojrzy i westchnie głęboko...
Kochanka, siostry, ojców domek stary,

Staną w pamięci niby senne mary;
Widzi je, czuje, chce gonić za niemi,
I znów się budzi sam jeden na ziemi!
Żal pierś przywali i oddech w niej ścieśni
I nie ma siły wylać ból swój w pieśni!
Mamż duchem lecieć w me ojczyste strony?
I tam podsłuchać dla swej pieśni tony,
Gdy jej sam z siebie już wysnuć nie mogę?
— Próżno, mój duchu! nie lataj w tę drogę;
Smętniejszy jeszcze niż jesteś powrócisz!
Straszną, okropną pieśń ty nam zanucisz,
Pieśń pełną bolu, pełną łez, rozpaczy —
Pieśń śmierci, zgliszcza! Na nutę puhaczy
Ty będziesz śpiewał w groźnej epopei,
Nad mą ojczyzną tyrańskiwa złodziei!
I będziesz liczył powieszenia, kary,
Mogiły bratnie, rozboje, pożary!
I każde słowo przed mojemi oczy
Strumienie bratnich łez i krwi potoczy —
Każde ogłosi ojczyzny konanie!
Chcecież tej pieśni, jak kruka krakanie?
Nie,... tej nie chcecie! Bądź więc liro niema,
Bo innej pieśni dla nas dzisiaj niema!
Pieśń nasza w straszne zmieniona pytanie:
Nigdyż ojczyzny nie wrócisz nam, Panie!?

Oprócz tych dwóch wierszy, wpisanych do albumów naszych, deklamował nam często Tomkowicz dawne swoje utwory, przeważnie okolicznościowe, zawsze pełne treści i w piękne formy ujęte. Gdy zaś nie można go było nigdy nakłonić do spisania lub podyktowania tych pamiątek, dokuczaliśmy więc zbiorowo, wyrzucając mu lenistwo i ciągłe odkładanie obietnic, że dawne swe prace uporządkuje i do czegoś większego się zabierze. Gderanie nasze zbywał żartami, wciąż obiecując. Nie daliśmy wszakże za wygraną i systematycznie a natarczywie domagaliśmy się nowych rzeczy. Wreszcie na jednym z codziennych wieczorów naszych zjawia się doktor Ignacy z miną tryumfującą i kieszenią, wypełnioną szpargałami. Zasiada przy stoliku, który nam służył za katedrę, i odczytuje pierwszą część utworu, zatytułowanego „Powieść jakich wiele".

Nim ją przytoczę, nadmienić muszę, że był to owoc jednej bezsennej nocy, napisany pod świeżem wrażeniem odczytanego

we wigilję poematu Słowackiego „Beniowski". I ten utwór Tomkowicza zaginąłby jak wiele innych, gdyż był pisany na skrawkach papieru, pokreślony, z odnośnikami, wśród czego tylko autor mógł dojść ładu. Chcąc go więc uratować od zniszczenia lub zatracenia, uprosiłem Ignacego, by mi go na wiązanie przepisać kazał i ofiarował, co też solennie przyrzekł i w tymże roku dotrzymał, składając mi w darze rękopis w więzieniu irkuckiem na dzień Wacława 28 września 1865 roku. W parę lat później wpadła mi w ręce druga część tej powieści, znacznie już słabsza, której wszakże pomimo najszczerszych chęci naszych przepisać nie udało się. Dzielę się więc tym ocalonym od zagłady ułamkiem, pełnym humoru, wdzięku i uczuć narodowych, a tak plastycznie odtwarzającym postacie 1863 roku, iż śmiało go uznać można w tym względzie za cenną perełkę historyczną.

POWIEŚĆ JAKICH WIELE.

PIEŚŃ I.

Białoruś kraj biedny. I ludu piosenka
Smutna jak nędza, co go zdawna nęka.
I smutne nasze pola z rzadkim wątłym kłosem
I sosny naszych lasów smutnym gwarzą głosem.
I smutne nasze wioski z schylonemi domy,
Z połamanemi płoty, dachami ze słomy.
I smutna naszych włościan twarz chora i blada
I smutna nagich dzieci wśród wiosek gromada.
I niemasz w kraju moim winnic ni basztanów,
I niemasz łąk kwiecistych, stepów ni kurhanów,
A jednak ja go kocham, bom wiek mój dziecinny
Tu spędził. Więc mi wybacz, że w kraj ten rodzinny
I smutny, czytelniku, wraz ciebie powiodę.
Lecz los mojej powieści bohaterkę młodą
Tu umieścił, a mam prócz tego obowiązek jeszcze
Śpiewać o własnym kraju. Jaki kraj, tacy jego wieszcze.
Więc na Białorusi w szlacheckim a uczciwym domu,
Niewidzialni jak „Djabeł Kulawy" nikomu,
Robimy obserwacje. Dom dosyć wygodny,
Mebl pod orzech niestary, choć i niezbyt modny,
Pokryty perkalikiem nowym w duże kwiaty;
Przed kanapą kobierzec, strojny dwiema łaty,
A każda z nich, jak może, ócz ludzkich unika,

Kryjąc się ze skromnością pod nóżkę stolika,
Na którym stoi bukiet, leży szpic kosmaty
Wraz z „Marją“ Malczewskiego, tuż obok „Dwa światy“,
Ów utwór Kraszewskiego, gdzie z pychą despoty
Sypie biednym wydarte od bogaczów cnoty,
Dalej stoi fortepian, na nim, któż się nie domyśli?
Leżą: „Pacierz“ przez Bądarzewską i „Ostatnie myśli“
Świętej pamięci Webera. — Zaś przy fortepianie
Siedzi dziewczę śliczniutkie jak wiosny świtanie,
Świeża jak woda zdroju, kraśna jak kalina
I et cetera... słowem — rozkoszna dziewczyna,
Jak Mickiewicza piórem sławna Świtezianka,
Jak każdemu się pierwsza podoba kochanka!...
Pierwsza miłości! gdzie ty? kto mi wróci ciebie?...
Gdzie raj taki na ziemi? latania po niebie?
Pierwsza miłości! jaka cudowna twa siła!
Jak najszpetniejsza z tobą jest piękna i miła!
Kto takim ogniem jak ty lica zarumieni?
Kto oczy tak zapali lub łzą tak zacieni?
Zbluźnił Hugo, że miłość złym człowieka robi;
Wszak najgorszych uzacnia i najbrzydszych zdobi.
Nawet w naturze ludzi widzę tę przywarę,
Zwykle pierwsze kochanki są brzydkie i stare,
A cudne nam się zdają. Patrz, indyk w miłości zapale,
I ten nawet piękniejszy, gdy nadmie korale,
Napuszy się uczuciem, ogon w krąg roztoczy,
Pełen lubych nadziei ku kochance kroczy.
Czyż ten widok ufności w Boga w was nie wzmaga?
Jakże dobrym być musi, kiedy miłości pomaga?
Za wniosek niech mnie katolicka krytyka nie goni!
Powtórzyłem, pierwszy go zrobił Gorecki Antoni.
Po tej dygresji wracam znów do mej panienki.
Wyobraźcie, że ładna. Uwydatniały fałdy jej sukienki
Cudowną postać, a że to było w czasach demonstracyj,
Sukienkę miała czarną i z tej samej racji
Pierścionek z koroną cierniową, włos gładko nad skronią
Zaczesany, guziki z Mierosławskim i broszkę z Pogonią.
Kolczyki z polskim orłem małe zdobią uszki
I pasek miała spięty portretem Kościuszki.
Jasny warkocz związała jedwabiem siateczki,
A w rączętach kręciła rożek od chusteczki
Z literą M., bo imię jej było Marylka.
Lubię to imię, znałem ładnych Maryl kilka,
I Mickiewicz je lubił, z łatwością się spieści
I jakieś miłe, dźwięczne, dobre do powieści.

Przed moją Maryleczką stał młodzian dorodny,
Strojny w czamarę, ubiór bardzo modny
Przed ostatniem powstaniem, lecz widocznie zdrożny,
Gdyż wkrótce go na sztrafy skazał rząd ostrożny.
Po krótkiej chwili przerwanej rozmowy
Marynia dalej ciągnęła w te słowy:
„A więc wkrótce już, wkrótce, mój drogi Antoni,
Rozwinie się chorągiew Orła i Pogoni.
Więc wkrótce kraj was do broni powoła,
Wsławicie męstwem nasze wsie i sioła,
Zerwiecie z kraju łańcuchy niewoli!
Jak ty szczęśliwy! Jak mnie serce boli,
Że ja nie chłopiec, poszlibyśmy razem
Zdobyć ojczyznę kulą i żelazem".
„Tak, Marjo, Wołyń, ziemica Podolska
I my powstaniem! Gdzie granica polska,
Światu pokażem, postawim się chrobrze,
Francja da pomoc, wszystko będzie dobrze.
Włościanie z nami, ich ducha zbadałem
Godzinę z trzema z nich wczoraj gadałem.
Nie uwierzysz, w tym ludzie jak dusza poczciwa,
Każdy słucha w milczeniu i wciąż głową kiwa".
„ O! ja już czuję, z jakiem będziesz męstwem
Za kraj swój walczyć, nad niebezpieczeństwem
Dziś już drżę każdem, jednak z serca wierzę,
Że ty zdrów wrócisz, że cię nie odbierze
Pan Bóg ode mnie, wrócisz sławny, znany,
Będziesz szczęśliwy, jak jesteś kochany.
Módl się do medalika, com ci wczoraj dała,
I wracaj, drogi, prędko, ja będę czekała"...
Młodzian był tęgi, gdyż nie tracąc chwilki
Do ust swych rączkę przycisnął Marylki,
I długo całował w oczki jej patrząc wesoło,
Aż doczekał się wreszcie buziaka na czoło.
Tu już rozmowa wpada na tor niebezpieczny,
Zawcześnie zbiera laury przyszły mąż waleczny.
Nie lubię scen zbyt tkliwych, więc się też ucieszył,
Że wszedł ojciec Marylki i koniec przyśpieszył
Tkliwego pożegnania. Wszczęła się rozmowa
O pogodzie i siejbie. Że to rzecz nie nowa
I nie ciekawa, lepiej przemilczeć ją wolę.
Nim skończą, mam tymczasem poznajomić pole
Was z bohaterem i z Marji rodziną całą
I o całusach zrobić dygresyjkę małą.
Świętej pamięci ciotka moja, panna Jelska,

Mawiała mi, że pocałunek jest to rzecz djabelska.
Wierzyłem jej na słowo, aż w uniwersytecie
Prawią koledzy, że całus skradziony kobiecie
Jest prawdziwą rozkoszą, drogim darem nieba.
Odtąd nie wiem, co myśleć o całusach trzeba,
Los bowiem tak dziwacznie rzeczy pokierował,
Że prócz sióstr nikt mnie nigdy w życiu nie całował.
I mało się tem martwię, lecz stłumić nie mogę wyznania,
Chciałbym być całowany dla pewności zdania:
Czy całus jest dar nieba, czy też piekieł kara?
Czy mylą się koledzy, czy też ciotka stara?
Nim praktyka wątpliwość rozwiąże w pytaniu,
Jak lis w bajce ku ciotczynemu przechylam się zdaniu.
Ojciec Marylki był człek starej daty,
W postęp nie wierzył, mawiał, że przed laty
Lepiej było, dziś źle jest, jutro — gorzej będzie.
Wychowan u Pijarów, był też na urzędzie
Przez dwa triennia, dziś syt lat i chwały
Gospodarce i dziecku poświęcił się cały.
W gościnie groszowego lubił preferansa,
W domu wieczorkiem układał pasjansa.
A gdy w dobrym humorze, co się często zdarza,
Opowiadał ceremonję pogrzebu cesarza
Mikołaja; z „Inwalida“ był się go wyuczył
I często powtarzając wszystkim nim dokuczył,
Jesienią ponad wszystko wolał polowanie
I z gustem jadał kołduny baranie.
Żona pana sędziego była baba sucha,
Istny szkielet człowieka i z ciała i z ducha,
Posty obserwowała, pocichu mówiła
I cichutko, jak domem, tak sędzią rządziła.
Za złe jej tego brać zresztą nie można,
Bo była gospodarna i srodze pobożna —
Kochała Marynię, wciąż miała na oku,
I sama wychowała do ósmego roku,
To jest czesała włoski, ucierała nosek,
Uczyła ją pacierza, poznawania głosek.
Na tem się zakończyła piecza macierzyńska,
Bo wkrótce sprowadzono guwernantkę z Mińska
Za dwieście rubli, zaś dla dozoru i ciągłej zabawy
Wypisano na bonę Niemkinię z Mitawy.
Przywiózł ją z oliwą i beczułką śledzi
Rudy Judko arendarz, co na karczmie siedzi,
I jeździł dla handlu swego do Mitawy,
A przytem i sędziego załatwiał tam sprawy.

Odtąd zaczęto serjo kształcić Marji głowę.
Znała historję świętą i starą i nową;
Wiedziała, że Pan Bóg z niczego świat stworzył,
Że był ukrzyżowany, że za trzy dni ożył,
Że Hiob był biedny, a Ezaw kosmaty,
Magdalena przystojna, Baltazar bogaty;
Historji i geografji przyjrzała się zdala
I na pamięć umiała połowę Szapsala
I parę romansów przez Sue przeczytała
I na fortepianie z wielkim stukiem grała.
Sędzia mówił, że całkiem ma Liszta metodę,
Ze wzorów rysowała dwa nosy i brodę
I haftowała... Niewiele nauki, lecz dużo odgadła
Instynktem serca, poradą zwierciadła,
Dużo z wieczornych zwierzeń u komina
Swych przyjaciółek pojęła dziewczyna —
I bardzo niegłupia była moja mała —
Zwłaszcza od czasu, jak się rozkochała.
Tu znowu przerwy będzie krótka chwilka,
O wychowaniu powiem słówek kilka.
Nie rozumiem i nigdy nie pojmę niestety,
Do czego to gwałtem chcą uczyć kobiety?
Na co ten koszt daremny, trudy, korowody?
Niechaj tylko pokocha, niech kochanek młody
Poprosi, wnet dziewczyna choć najtępszej głowy
Napisze astronomję jak Kopernik nowy!
A teraz was proszę, chciejcie sercem szczerem
Zapoznać się i pokochać z moim bohaterem —
Pan Antoni Malecki, dobrze urodzony,
Szlachcic, syn wdowy, ex-marszałka żony,
Sąsiad sędziego, wyjechał w sześćdziesiątym wtórym
Do Moskwy i był tam cały rok futurem,
Nosił włos bardzo długi i halsztuch liljowy,
Uczęszczał na knajpy, na zebraniach mowy
Miał górnym stylem, dowód oczywisty,
Że czytał Trentowskiego i Kremera Listy.
Na przyszłe kraju losy był niezmiernie czuły,
I biedniejszych wspomagał z matczynej szkatuły,
Rozprawiał o postępie, był trochę czerwony,
Kochał chłopów, na szlachtę zaś był obrażony,
Że szanuje tradycje, że nazbyt ostrożna
I że jej do komunizmu nakłonić nie można.
Dobry chłopiec, lecz mnie się jedno nie podoba,
Że go już polityki napadła choroba,
Bo to jest ciężki krzyż na nas zesłany.



Fig. 19. Skazany na Syberję. Rysował z natury Głuchowski.



Fig. 20. Artur Ciemniewski.



Fig. 21. Prezydent Brzostowski z Mohylewa.



Fig. 22. Zygmuntowie Brodowscy z Białej Rusi.

Ledwo o uniwersytetu kto się otarł ściany,
Już polityk, w upadku przemysł, gospodarstwo,
Dobrego specjalisty ani na lekarstwo;
A weź z brzegu pierwszego lepszego filistra,
Patrzaj, mąż polityczny, choć dziś na ministra.
Pan Antoni, że sąsiad, że hoży i młody,
Kochał i był kochany. Miłości dowody
Dał w swym portrecie, wierszach do albomu,
I częstem bywaniem w swej bohdanki domu.
Dziś przyjechał dla ostatniego z Manią pożegnania,
Bo jutro wychodził biedak do powstania.
Tu zamilczę przysięgi, półgłosem rozmowy,
Błogosławieństwa, całowania głowy,
Ściskania rączki, święte przedsięwzięcia;
I o tem, że tylko skrzydełko kurczęcia
Marynia zjadła, a zaś pan Antoni
Nic nie jadł u stołu, że nawet łzy roni,
Co na mężczyznę jest trochę nieładnie,
Wszystko to jakoś opuścić wypadnie.
Jam tego nie doświadczył, kłamać też nie umiem,
Więc jak mam pisać o tem, czego nie rozumiem?
A zresztą każda czułość nudzi mnie i gniewa,
Niech więc wszystko to każdy w swej duszy dośpiewa.
Tyle powiem, że Marynia płakała noc całą,
Pan Antoni też nie spał. Co się dalej działo,
W innych opowiem częściach. I różne tam dziwy
Będą: opis powstania krótki a prawdziwy,
Etapy, chłopi, żołnierze, wesele
I różnych bardzo pięknych rzeczy wiele.
A propos powstania! przejdą długie lata,
Nowi ludzie nastaną, my zejdziem ze świata.
Dla wnuków Bóg ziści dziś zgasłe nadzieje.
Lecz co o tem powstaniu gadać będą dzieje?
Czy szacunkiem ofiarę naszą czas otoczy,
Czy wyrok potępienia w zgasłe rzuci oczy?
Czy nie wywoła z pod ciemnej mogiły
Nas na rachunek za stracone siły,
Zniszczone miasta?... I czy nie drgniem w grobie,
Słysząc przekleństwa wysłane ku sobie?
Wszystko być może!... Lecz wtenczas bez sromu
Wstaniemy bracia i z umarłych domu
Na świat pójdziemy i ze wzgardą trupią
Pluniem w gromadę naszych sędziów głupią,
Jak plunę w twarz syna, co słysząc jęk matki
Tonącej nie zbierze wszystkich sił ostatki,

Nie rzuci się w wodę, lecz będzie pomału
Rachował jej głębokość. O! nie zapęd szału!
Okropna rozpacz ten krok nam natchnęła!
Co nam było po życiu, gdy Polska ginęła!...
Więc cześć kościom, co w obcej zmarzłej ziemi leżą!
Hańba naszym oszczercom! Nam łzy się należą...
Ale świeca się kończy, więc mi spać już pora,
Resztę do jutrzejszego odkładam wieczora —
Powiedziawszy, że teraz (miejcie to w sekrecie)
Pan Antoni odlewa kule w gabinecie.

Irkuck, 28 września 1865 r.

Juljan Kędrzycki w grudniu 1864 r. wpisał do księgi moich pamiątek „Pieśń boleści", którą nam odczytał, poruszając do łez prawie, na co, ma się rozumieć, złożyły się niemało smutne okoliczności, w jakich ówcześnie znajdowaliśmy się. I tę pieśń wpisuję tu tem chętniej, iż maluje ona dokładnie stan myśli i uczuć większości wygnańców:

Grzmi w mem uchu szatańska oktawa Juljusza;
Luźne myśli ułomki wiążą się w oktawę,
Bo dziś tylko ułomki mieści polska dusza.
Przerwana pieśń nadziei, klęski widmo krwawe,
Szalony śmiech rozpaczy, niewoli katusza,
Wzrok zamglony na świętą narodową sprawę.
Oto na dzień dzisiejszy cały zasób życia,
Szczęty marne ofiary świeżego rozbicia.

Z tych to cierni i chwastów dzisiaj, bracie, tobie
Zwijam równiankę pieśni do księgi pamiątek.
Uszczknąłem ją na jasnych złudzeń naszych grobie;
Otwórz jej w bratniem sercu współczucia zakątek!
Boleść mieszczę w boleści, żałobę w żałobie,
Do łez twoich dolewam rozpaczy mej wrzątek.
Rozpaczy?... jak ponure takiej pieśni brzmienie,
A nuci ją nasz ślepy lirnik... Przeznaczenie!

Wczora krwawe, dziś łzawe. — Jutro? któż odgadnie,
Jakie jutro ze zlewu krwi i łez wypłynie?
Czy pryśnie łańcuch zbrodni, co nas pęta zdradnie?
Czy dzień prawdy zaświta, czy noc fałszu minie?
Czy gmach z trumien narodów powstały upadnie?
Czy Polska zmartwychwstanie, czy na wieki zginie?
Ormuzda z Arymanem czy się skończy stara
Walka? Car nas pognębi czy my zwalczym cara?

Dziś żałobnie przysuta zwątpienia popiołem
W urnie polskiego ducha, wskrześnij, wiaro święta!
Jutrznio nadziei! błyśnij nad narodu czołem!
Miłości! na miecz zemsty przekuj nasze pęta!
Umęczona za grzechy świata, bądź aniołem
Zbawienia wszechludzkości... powróć wniebowzięta!
A zadzwoni pieśń polska po wieku niewoli
Chwałą Bogu, pokojem ludziom dobrej woli!

W Tobolsku, dn. $^{21}/_{9}$ grudnia 1864 r.

W dniu 25 marca 1965 roku jako w dniu imienin żony mojej obaj nasi lutniści wystąpili z powinszowaniem, które tu jako dość charakterystyczne przytaczam:

Spytasz mię, pani, co przyszło do głowy
Dać na wiązanie pęk kwiatów woskowy?
Żywych dziś nie mam i, choć serce boli,
Dać ci nie mogę. Skąd kwiaty w niewoli?...
Ślę więc, co mogę, prosząc przebaczenia:
Fałszywe kwiaty... i szczere życzenia.

Tobolsk: *Dr I. Tomkowicz*

Do tego wierszyka załączył Tomkowicz pęk kwiatów woskowych.

Chciałem ci pani, na Zwiastowanie
Sążniste palnąć powinszowanie,
Lecz niewolnica księdza de Waldena
Nie przyszła wena.

Kiedy nie przyszła, więc z ody kwita!
Zresztą, kto w sercu, nie w słowach czyta,
Tego oracja gładkiemi wierszami
Bardzo nie mami.

Jedno więc tylko małżonce Wacia
Życzenie złożym wygnańcy bracia:
Za rok, daj Boże, za pani zdrowie
Pić nam w Prażowie. [1])

J. B. Kędrzycki.

[1]) Prażów, ostatnie miejsce naszego zamieszkania w kraju.

Roszkowski tylko raz jeden popełnił pokryjomu (w czasie mojej wycieczki do miasta) wierszyk albumowy, który tu wpisuję i którym kończę szereg okolicznościowych utworów trzech stałych gości naszych.

Że zamknięty w numerze zadumany siedział,
Pan Aleksy się nudził, co robić, nie wiedział —
Pomyślił... i jął kończyć dla pani „Wacława",
Lecz co zrobić dla pana? Tu trudniejsza sprawa,
Skoro przed nim spoczywa księga rozpostarta,
Śliczna, cudna, serdeczna, z przymusu odarta,
Z słowami wiary, nadziei, przyjaźni...

Nie mam niestety bujnej wyobraźni,
Więc w nią wpiszę poprostu to, co serce czuje,
Że cię, panie Wacławie, kocham i szanuję.
Powróciłeś mi zdrowie, więc ulżyłeś troski
Na tę ciężką sybirską naszą poniewierkę!...
Lecz oto żółty Cerber zaczyna „powierkę".
Trzeba kończyć... — przyjaciel Aleksy Roszkowski.

Tobolsk, dn. 1 stycznia 1865 r.

Przytoczone tu poezje, charakteryzujące swych twórców, dowodzą zarazem, ile żywotności, wiary w sprawę narodową i dobrych na przyszłość nadziei pielęgnowali w duszach ci gnębieni codziennie przez wrogów ludzie.

Jednostajność naszego niewesołego żywota urozmaicały przybywające co tydzień nowe partje, uroczystości więzienne, jak śluby, chrzciny lub imieniny, tudzież zebrania, koncerty itp. na mieście.

Przez więzienie tobolskie w czasie naszej bytności przeszły tysiące! Z nich wszakże zaledwie jednostki zostały mi w pamięci. Wspomnę tu więc oprócz wymienionych już wyżej o Mieczysławie Bardeckim, nieodstępnym towarzyszu Juljana Kędrzyckiego, o dwóch braciach Nowakowskich, z których starszy, niegdyś bibljotekarz Swidzińskiego, naówczas braciszek zakonu kapucynów, dziś kapłan tegoż zakonu w Krakowie, młodszy zaś Karol, były uczeń Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, w którego to ręku porąbano krzyż w czasie procesji. Dalej byli Aleksander Jeżowski, nasz krewny, ożeniony z córką pod-

komorzego Ilińskiego Pauliną, Ezechjel Głębocki, kolega więzienia w Żytomierzu — i inni. Większość wymienionych tu osób pozostawała czas dłuższy pod opieką naszą w szpitalu bądź dla poratowania zdrowia i wypoczynku, bądź w oczekiwaniu przesyłek i listów z kraju.

Z lekarzy najdłużej bawił dr Bronisław Mackiewicz, który najmilsze po sobie zostawił wspomnienie. Całemi bowiem godzinami pracował z nami w szpitalu, dzieląc się bezinteresownie szeroką swą wiedzą, szczególnie w zakresie badań mikroskopowych i chemji fizjologicznej. Drugim niemniej sympatycznym był dr Bronisław Ziemęcki, który krótko bawił z nami.

W czasie bytności naszej w więzieniu tobolskiem były dwa śluby: doktora Łazowskiego z panną Tabeńską i młodego warszawianina Moszyńskiego z panną Wróblewską, córką kupca a siostrą głośnego dziś ze śmiesznych, a często niewłaściwych reklam właściciela fabryki pierników w Warszawie. Chrzciny pamiętam jedne u Makarewiczów, oficjalistów z Wołynia; imienin mniej lub więcej uroczyście obchodzonych i zliczyć niepodobna w takim natłoku.

Z chwilą odzyskania zupełnego zdrowia przez moją żonę to jest od pierwszych dni stycznia 1865 roku aż do wyjazdu naszego z Tobolska w maju tegoż roku łączył nas z miastem stały stosunek. Marynia bowiem dwa razy na tydzień, we czwartki i niedzielę, bywała w kościele, załatwiała interesy, sprawunki i korespondencje kolegów i odwiedzała poznanych przez nas w więzieniu doktorostwo Piotrów Czekotowskich. On był rodem z Mińska, ona Bulewska z domu, ze Swidównej urodzona, niezmiernej dobroci i najmilszej powierzchowności kobiecina. Pobrali się jako narzeczeni w więzieniu i byli w sobie ogromnie zakochani. Za ich pośrednictwem i namową porobiły się zwolna znajomości z całą Polonją tobolską, a więc z rodziną Jamontów z Wilna, Bolesławów Czerniewskich z Kowieńskiego, Montowiczów z Grodzieńskiego, Wyszyńskich z Ukrainy, Hennelów z Warszawy itd. W marcu na imieniny pani Kazimiery Czekotowskiej zebrało się z dziesięć pań wygnanek i czterdziestu panów. W kwietniu był koncert na cele dobroczynne, z wielkiem powodzeniem dany przez Bylickiego i Bratkowskiego, na którym

byli wszyscy Polacy z miasta i kilka pań z więzienia, a w ich liczbie moja żona.

W okolicach Tobolska znalazła Marynia rodzinną tradycję wygnańczą. Przyrodni bowiem brat jej babki Schabickiej, Czaplicównej z domu, Antoni Pawsza, mieszkał w pobliżu Tobolska we wsi Sierebrance od 1832 roku aż do wstąpienia na tron cesarza Aleksandra II i ogłoszenia z tego powodu amnestji. W Sierebrance była żona moja w końcu maja i to, co tam zastała, opisała w liście do tegoż, żyjącego jeszcze podówczas dziadka, z dnia 12/24 maja 1865 roku, który tu w cudzysłowie przytaczam:

„Najukochańszy Dziaduniu Dobrodzieju!

Nareszcie doczekawszy dobrej drogi i pogody ładnej, dopełniłam miłej dla mnie powinności odwiedzenia domku drogiego Dziadunia. Było to 9/21 maja w niedzielę. Z kilku osobami znajomemi, między któremi była pani Czerniewska z Litwy, spokrewniona, jak powiada, z Pawszami, (chciała więc także odwiedzić dawne mieszkanie Dziadunia), ruszyliśmy po obiedzie do Sierebranki. Droga dość nam się podobała, otoczona małemi laskami, szkoda tylko, że nie ubarwionemi zielonością. Wyjechaliśmy rogatką od strony cmentarza, gdzie teraz i naszych chowają. Zwróciwszy z traktu, błądziliśmy trochę, bośmy zastali dawną drogę zagrodzoną. Musieliśmy zawracać, jechać jeszcze trochę traktem i znów zwróciliśmy na lewo, a przejechawszy z półtory wiorsty i minąwszy duży ładny jar ujrzeliśmy Sierebrankę.

Domek drogiego Dziadunia znaleźliśmy świeżo odnowiony po spaleniu i wielkiem zrujnowaniu, jak nam opowiadał rodak nasz zesłany, który najmuje ten domek. Przyjemnie mi było zastać tam kogoś z naszych, co trochę zaszanuje tę budowlę. Po opowiedzeniu, kto jesteśmy, przyjęto nas grzecznie i wprowadzono do domku. Zostało po pożarze trzy pokoiki na górze i duża izba na dole, w której mieszkają sami gospodarze. Dopatrywałam śladu dawnego ogródka, ręką drogiego Dziadunia założonego. Po prawej stronie domku widziałam wyraźne ślady dawnych klombów i rabatek obłożonych darnią; wszystko to teraz jeszcze śniegiem pokryte. Zabudowań żadnych nie

zostało oprócz jednej szopy naprzeciw domku w miejscu, gdzie dawniej podobno była łaźnia. Widoczek z ganku na jar pokryty drzewami, które rok cały zielone, bardzo się nam podobał. Rozejrzawszy się po domku i dziedzińcu, poszliśmy wszyscy na górę przed jarem i tam usiadłszy między drzewami i patrząc na wodę rozmyślaliśmy o życiu Dziadunia kochanego w tej miłej ustroni.

O! z jakąż przyjemnością zgodzilibyśmy się mieszkać w tym domku, byle dalej nie jechać. Cóż! kiedy to niepodobne, więc uchylamy głowę przed wyrokiem Najwyższego! Stan gospodarzy domku bardzo nędzny — mówił nam lokator. On sam często pije, więc zapewne z tego powodu niewiele mają, a pożar zniszczył ich do ostatka. Mówili mi, że już kilka razy pisali do Dziadunia, donosząc o tem i zapewne prosząc o zapomogę, ale widać, że żaden list nie doszedł. Kontenci byli z mojej znajomości, że będą mogli przeze mnie list przesłać. Mają w tych dniach przynieść, abym wysłała. Czworo dzieci: trzech synów i najmłodsza milutka i tłusta córeczka hodują się im zdrowo. Nim napiszą sami, kazali mi oświadczyć ukłony. Wypiwszy herbatę i zabawiwszy z półtora godziny, wróciliśmy nazad. Wjechaliśmy do Tobolska inną stroną, bo naprzeciw góry, gdzie stoi pomnik Jermaka, także stromą górą, z której bardzo ładny widok na górne i dolne miasto. Otóż i wszystkie szczegóły mojej wycieczki, a teraz żegnam drogiego Dziadunia, całuję Jego ręce od nas obojga i polecam się modłom.

Przywiązana wnuczka
Marynia".

Z początkiem maja zaczęliśmy się przygotowywać do dalszej drogi. Pakowanie rzeczy zajęło nam kilka dni, a jednak wyjazd nasz odkładał się skutkiem braku parostatku. Wreszcie 2 czerwca (20 maja) 1865 r. wyruszyliśmy wodą z Tobolska w towarzystwie: doktorostwa Piotrów Czekotowskich, pp. Łukaszewiczów z Mińskiego, dra Tomkowicza, Juljana Kędrzyckiego, Mieczysława Bardeckiego, dra Rożyńskiego z Siedlec i kilku mniej blisko znanych nam wygnańców. Wszystkich nas było osób 12. Zdawało się, że w tak nielicznem a dobranem towarzystwie powtórzymy miłe wrażenia podróży Wołgą i Kamą,

tembardziej, że wsiadaliśmy na lekki kupiecki statek, nieobciążony barkami. Zenowicz był na brzegu przy naszem wyprawieniu, a towarzyszyli nam do przystani i znajomi z miasta.

Gdy statek odbił od brzegu, długo powiewaliśmy chustkami, przesyłając ukłony pozostałym na lądzie aż do ich zniknięcia z naszego widnokręgu. Urządziwszy się w kajutach, zaczęliśmy myśleć o pożywieniu, przyczem okazało się, że bufetu nie było wcale na statku. Był tylko kucharz, który gotował jadło na zamówienie z dostarczanych mu produktów, których nabycie w danej chwili okazało się niepodobieństwem! Ryby bowiem i zwierzyny dostarczali Ostjacy, dowożąc takowe na łódkach, ale pieniędzy brać nie chcieli, żądając chleba lub koszul na zamianę, twierdząc, że im się nasze pieniądze w puszczy nie zdadzą. Nikt nas o tem nie ostrzegł, musieliśmy więc nabywać wszystko z drugiej lub trzeciej ręki od aferzystów, rachujących na niedoświadczenie podróżnych. Wkońcu i tę niedogodność udało się nam jako tako załatwić. Mieliśmy skromny ale smaczny obiad, a po wczesnej herbacie udaliśmy się na spoczynek.

Tejże nocy spotkało nas wielkie nieszczęście, bo nowa ciężka choroba mojej najdroższej żony. Zauważyła ona, wsiadając na statek, iż czas zwykłego jej niezdrowia przyśpieszył się. Uczyniła więc wszystko, co mogła, by uniknąć zaziębienia. Tymczasem, gdyśmy po znużeniu całodziennem snem głębokim usnęli, zerwał się wicher zwiastujący burzę, a pędząc fale ku stronie, przy której była nasza kajuta, uderza niemi w okienka lekko przytwierdzone. Jedno z nich odrywa, ciskając na środek kajuty, a jednocześnie w otwór wpada obfita struga wody i oblewa śpiącą właśnie pod tem oknem Marynię. Przerażeni wypadkiem, przenieśliśmy się na sofy, przy przeciwległej ścianie będące, ale mimo natychmiastową zmianę bielizny i inne środki ratunkowe rozwinęło się gwałtowne zapalenie macicy i otaczającej ją błony otrzewnej ze znacznem podniesieniem temperatury i zupełną utratą przytomności.

To niespodziane a ciężkie zapadnięcie na zdrowiu małżonki mojej wprawiło mię w rozpacz, zwróciłem się też z błagalną prośbą do doktora Czekotowskiego jako specjalisty o staranną pieczę nad zdrowiem chorej. Na wodzie byliśmy dni dziesięć. Cały ten czas Marynia była między życiem a śmiercią, a naj-

większą przeszkodą do polepszenia jej stanu były nieprzyjazne warunki. Nocy nie mieliśmy wcale, jak zwykle o tej porze w stronach podbiegunowych, upały straszne. Roje bąków, komarów i muszek wyczerpywały cierpliwość najzdrowszych, zaś nieustanny hałas na pokładzie skutkiem chodzenia pasażerów i służby niepokoił i przerażał chorą; wreszcie brak zdrowego pożywienia dopełniał miary złych hygjenicznych warunków. Wszystko razem wzięte mimo największe usiłowania najzacniejszego kolegi i przyjaciela składało się na stopniowe pogarszanie choroby. Wkońcu osłabienie i rozdrażnienie doszło do tak wysokiego stopnia, że chwilami traciliśmy zupełnie nadzieję ocalenia najdroższej towarzyszki mojej.

Wobec ciągłego niepokoju straciłem pamięć o wszystkiem, co mnie otaczało. Nie korzystałem z towarzystwa kolegów. Przepłynąłem olbrzymią przestrzeń około 2.000 wiorst Irtyszem, Obią i Tomą, ale żadnych jaśniejszych i szczegółowszych wrażeń w umyśle moim podróż ta nie pozostawiła. Jako ogólne wspomnienia majaczą mi mętne, prawie żółte, wody Irtyszu i Obi, zielony kolor wód Tomy i prawie puste a nawet nagie brzegi dwóch pierwszych rzek, na których prócz karłowatej brzozy i krzaczastej wierzbiny nic prawie z drzew i krzewów nie rośnie, napotkane zaś na drodze tej miasteczka i wsie na palcach u rąk zliczyć by się dały. Zapamiętałem jedną tylko wycieczkę naszą na ląd stały do wsi ostjackiej, gdzie mieliśmy nadzieję zakupienia produktów. Okazało się, iż we wsi tej mieszkał pop i diak jako misjonarze do nawracania tubylców na prawosławie. Ponieważ jednak misjonarze nie znali języka ostjackiego, Ostjacy zaś rosyjskiego, skończyło się na tem, że się misjonarze rozpili i mających się nawracać swoim przykładem pociągnęli.

10/22 czerwca stanęliśmy w Tomsku. Chora moja, otoczona na przystani opieką wygnańców z miasta, uprzedzonych o jej przybyciu, udała się do hotelu, my zaś zostaliśmy odprowadzeni do więzienia, gdzie nas tak samo po barbarzyńsku jak w Połtawie rewidowano i spakowano do jednej wielkiej brudnej izby. Tu na wstępie spotkał nas dozorca więzienia niejaki Tomaszewski, Małorosjanin, do niedawna sam jeszcze więzień jako oskarżony o otrucie żony i utopienie popa. Dziś prawie usprawiedliwiony został panem życia i śmierci tysięcy w więzieniu

tomskiem. Oświadczył nam, że musimy pilnować całości naszych rzeczy, gdyż on za nią nie ręczy. Domagaliśmy się, by nas zamknąć kazał, na co pan dozorca odpowiada, iż kłódek nie ma i że korespondencja o kłódki trwa już lat kilka i niewiadomo kiedy i czem się skończy.

Ta charakterystyczna odpowiedź, malująca bezład w administracji, połączony z bezczelnością, przypomina mi inną w sferze sądowniczej. Było to w Żytomierzu w pierwszych chwilach naszego uwięzienia. Przybyłemu gubernjalnemu strapczemu podaje więzień kryminalista prośbę, iż lat czternaście siedzi w więzieniu, a dotąd nie wie, za co, bo go o to nie pytano, prosi więc o przyśpieszenie sprawy. Pan Zacharow (tak się nazywał strapczy) odpowiada mu na to, wskazując obok stojącego więźnia: „Bierz przykład z tego sędziwego staruszka, który siedząc 23 lata nie naprzykrza się władzy, bo wie, że i na niego kolej przyjdzie".

Upewnieni, że kłódek nie dostaniemy, zwaliliśmy na noc tłomoki i zawiniątka nasze pod drzwi i zatarasowaliśmy je tym sposobem. Nazajutrz któryś z kolegów wpada do mnie wołając: „Żonę twoją pod eskortą kozaków wiozą do turmy". Skamieniałem. Biegnę do dozorcy zapytując, co to ma znaczyć, a on mi na to: „A cóż to pan sobie myślisz, że to Tobolsk. Tu z paniami ceremonij nie robią". Na moje zaś pytanie, jak mogę się porozumieć z wyższemi władzami, odrzekł z cynicznym uśmiechem, którego nigdy nie zapomnę: „Jedyną osobą, co może panu cokolwiek dopomóc, jestem ja. Panu wicegubernatorowi dałem za posadę 600 rs, musi więc czekać, aż sumę tę z procentami od waszych odbiorę; żona zaś moja jest w tak bliskich stosunkach z panem gubernatorem, że i ten do mnie się nie wtrąca". Poczem zaproponował mnie najęcie oddzielnego pokoju w więzieniu.

Stanęło na tem, iż wynajął nam dużą salę za 25 rs. miesięcznie, a gdym dowodził, że za to w mieście można cały dom wynająć, z najwyższą bezczelnością zawołał: „ale panom w mieście najmować nie wolno, a więc musisz chociaż drogo u mnie wynająć!" I miał rację... a więc nająłem. W pokoju tym zamieszkali z nami na wspólny koszt Czekotowscy. Po kilku dniach chora moja zaczęła się wzmacniać i uspokajać, gdy najniespodziewaniej wchodzi pan Tomaszewski i ogłasza,

że nas wygania, bo pokój nasz jest mu potrzebny. Protestowałem, przypominałem umowę, zapłacone z góry 25 rs., odwoływałem się do danego słowa honoru, wszystko napróżno. Zagadnięty z uśmiechem sardonicznym odpowiada: „A gdzież kontrakt i kwity pańskie?“ i śmiejąc się na głos dodaje: „Ja bez dokumentów z całej tej sprawy nic sobie nie robię i radzę gotować się do drogi“.

Ponieważ w pierwszych dniach naszej bytności w Tomsku poznaliśmy doktora więziennego Woronowa, który używał ogólnej opinji szlachetnego i ludzkiego człowieka, do niego więc udaliśmy się o ratunek, on zaś zkolei do jenerała żandarmów Politkowskiego, czasowo bawiącego w Tomsku, który znał mnie i Tomkowicza z Tobolska jako reorganizatorów tamecznego szpitala więziennego. Życzliwym wpływom tego dygnitarza zawdzięczaliśmy, że pan wicegubernator Friezel dał do dozorcy więzienia kartkę treści następującej: „Rodziny i skazanych na zaludnienie przenieść do roty aresztanckiej“.

Doktor Woronow uprzedził nas listownie o tej kartce. Jakież więc było moje zdumienie, gdy Tomaszewski zawiadamiając o tem powiedział: „Kazano mi rodziny skazanych na zaludnienie przenieść do roty aresztanckiej“. Ja na to: „Myli się pan; kazano panu wszystkich familijnych i posieleńców przenieść do roty aresztanckiej“. „A tak, mówi Tomaszewski, ale litera „i“ jest bardzo mała i mogę jej nie dopatrzyć“. Na to dając 10 rublowy papierek powiadam: „Oto w ręce pana za odczytanie małej litery małe podziękowanie składam. A on znowu: „Litera mała, ale bardzo ważna, a datek za skąpy“. „Więcej dobrowolnie nie dam, odrzekłem, a postaram się, aby ktoś inny odczytał to, co panu z taką trudnością przychodzi“. Tu nastąpiła milcząca zgoda pana Tomaszewskiego, który nas, Tomkowicza i Czekotowskich wyprawił do roty aresztanckiej.

Tak nagłego przejścia od najokropniejszych warunków do najprzyjemniejszych nigdy w życiu ani przedtem ani potem nie doznałem. Komendantem roty aresztanckiej był oficer Naumow, wielkiej zacności człowiek i mąż najzacniejszej niewiasty. Oni to oboje spotkali nas jak krewnych, umieścili we własnem mieszkaniu, które urządzili jak można najdogodniej,

tak iż u najbliższych lepiej by nam nie było. To też całe życie moje wspominam i wspominać będę tych ludzi z najgłębszą wdzięcznością. Dopiero tu postępy w zdrowiu mojej żony okazały się bardzo widoczne. Siły wzmagały się z dniem każdym, apetyt powracał. Wreszcie przyszła kolej na polepszenie ogólnego stanu i usposobienia, tak iż projektowaliśmy wyruszyć wkrótce w całym składzie naszego uszczuplonego towarzystwa to jest Czekotowskich i Tomkowicza. Ten, zrazu mając zostać, nakreślił w albumie naszym wiersz pożegnalny, po jego zaś napisaniu pozostał z nami aż do wyjazdu z Tomska i w naszem towarzystwie w dalszą drogę wyruszył. Wiersz ten zatytułowany: „Pożegnanie“ przytaczam.

. . . . . .

Żegnaj!... Mamże wiecznie to przeklęte słowo
Zaledwie przebrzmiałe powtarzać na nowo!
Wszak prawie wszystko, co drogiego miałem,
Wszystko, com kochał, dawno pożegnałem!
I znów się żegnać!... znów ból duszę nęka!
Ciężka karzącej Opatrzności ręka.
Czyż nigdy chwili nie doczekam przecie,
Bym mógł powiedzieć. „Żegnaj ziemski świecie —
Żegnaj padole płaczu i wygnania —
Żegnaj kraino smutków, pożegnania“...
Nie wielkie żądanie, jednak, dobry Boże,
Jego spełnienie uspokoić może
Zbolałą duszę. Więc usłysz mię, Panie,
I wezwij do siebie, bo mi sił nie stanie
Tak się wciąż żegnać i tak boleć wiecznie
I tak się tułać i nie móc bezpiecznie
Nikomu bratniego wyciągnąć ramienia,
Bo każde uczucie zadatkiem cierpienia,
Bo każda przyjaźń jest hasłem rozstania...
Więc skróć to życie, gorsze od konania!
Wziąłeś ojczyznę, rodzinę kochaną,
Dziewczynę wziąłeś, więc daj grób w zamianę!
Niech dalej krzyża tych wspomnień nie noszę!
I.... kwita z rachunku, nic więcej nie proszę!...

Tomsk, 6 sierpnia 1865 r.

. . . . . .

Gdy się tak do wyjazdu gotujemy, zachodzi okoliczność bardzo przykra a wcale niespodziewana. Przybywają znajomi nasi z Tobolska: Landowski, szef powstańczych żandarmów, i Józef Szlenkier syn znanego kupca z Warszawy tudzież ich znajomy, a nam wcale nieznany, niejaki p. Zenon Ratyński.

Szlenkier jako więcej z nami zbliżony odwiedził nas i zastał u nas gospodarza domu, pana Naumowa. Nic więc nie było naturalniejszego nad przedstawienie wzajemne tych panów. Gdy Naumow nas wkrótce opuścił, Szlenkier zwraca się do mnie z zapytaniem, po co go z komendantem zapoznałem, skoro oni mają zamiar uciekać z Tomska.

— Dziwię się tobie, odpowiadam, że mając takie zamiary odwiedzasz znajomych; w Rosji zapiera się znajomych przed ucieczką.

— Nie spodziewałem się zastać u was tego pana. Będzie to nam trochę nie na rękę, ale mimo to jutro ruszamy w świat.

I w istocie nazajutrz Szlenkier i Landowski otrzymawszy pozwolenie wyjścia na miasto nie powrócili na noc do więzienia. Że zaś namiestnik Warszawy Berg dopytywał się wciąż depeszami o postępach w podróży Landowskiego, zrobił się straszny alarm w więzieniu i zabrano się do nieodstępnego towarzysza zbiegów, Ratyńskiego, który pozostał. Ratyński zapierał się bliższej znajomości z tymi panami i wskazał na nas, trzech lekarzy, jako dobrych znajomych Szlenkiera.

Zawezwani przed oblicze policmajstra i pytani o tamtych, gdy odrzekliśmy, że nic o nich nie wiemy, zostaliśmy zapakowani do gmachu celowego dla więźniów sekretnych, gdzie osadzono: Czekotowskiego na parterze, mnie na piętrze, a Tomkowicza na drugiem piętrze. Mieliśmy za posłanie podłogę ceglaną, a za pożywienie czarny chleb i wodę ciepłą. Tak nas trzymano dni kilka, a żony nasze badano o zbiegłych. Gdy i one uporczywie milczały, zagrożono im, że nas dopóty trzymać będą w więzieniu, aż się zguba znajdzie. Gdy zaś po kilku dniach policja pojmała Szlenkiera i Landowskiego, wypuszczono nas, żądając natychmiastowego opuszczenia Tomska.

Prowadzeni z gmachu sekretnego spotkaliśmy obu ujętych, dążących pod strażą do cel świeżo przez nas opuszczonych.

Przywitaliśmy się ukłonem, a obecny temu policmajster zawołał: „A więc się panowie znacie?“. Na to odrzekłem, że trudno się nie znać, gdy nas w jednej izbie wciąż zamykają. Potem nas oboje i Tomkowicza wraz z księdzem Zagórskim, który się do nas przyłączył, wyprawiono wprost z więzienia pod eskortą kozaków w dalszą drogę. Ja z żoną jechałem w naszym tarantasie, zaś Tomkowicz z ks. Zagórskim perekładną w asystencji kozaka. Czekotowskim udało się na czas jakiś pozostać w Tomsku.

Nim opuścimy to miasto, powiem słów kilka o wygnańcach, których tu poznaliśmy. Pomiędzy nimi były dwie bardzo liczne rodziny litewskie Witkiewiczów i Pruszyńskich. Wśród pierwszej z nich dorastał głośny później malarz, krytyk i rzecznik stylu zakopiańskiego a wysoce zacny i sympatyczny człowiek, Stanisław; w drugiej zaś Konrad Pruszyński, znany redaktor „Gazety Świątecznej“ pod pseudonimem „Promyka“. Nadto spotkaliśmy się tu z rodziną Bułhaków z Litwy, po raz drugi na Syberję zesłaną, z doktorostwem Orzeszkami, Kazimierzem Sulistrowskim; wreszcie pozostali tu Łukaszewiczowie, którzy razem z nami przybyli. W przechodzących partjach mieliśmy sposobność spotkać się z krewnymi naszymi, Ignacym i Aleksandrem Ilińskimi, najmłodszymi braćmi Iskandera baszy, i z kolegą moim Józefem Popowskim, później członkiem Rady Państwa we Wiedniu, oraz zawrzeć nowe znajomości z Jakubem Giejsztorem i doktorostwem Symonowiczami z Słonima w gub. grodzieńskiej.

Ta ostatnia znajomość wyryła mi się głęboko w pamięci dzięki scenie, której byłem naocznym świadkiem. Kolega uniwersytecki Symonowicza doktor Matkiewicz, inspektor zarządu lekarskiego w Tomsku, przyszedł ich odwiedzić w czasie mojej tam bytności. Zapięty na wszystkie złocone guziki, z piersią okrytą orderami, wszedł do izby, gdzie się Symonowiczowie rozlokowali i pozdrowił ich dość uprzejmie. Zdumiony gospodarz stanął jak wryty i zaledwie przywitawszy gościa rzecze: „Ktoby się to mógł spodziewać, że się na takich stanowiskach tu spotkamy. Kolega, ongi zapaleniec krańcowy, pierścieniem danym mu przez towarzyszy w uniwersytecie moskiewskim ozdobiony, w tym mundurze? i z temi oznakami zasługi?... Ja zaś, zaco-

faniec, w tej siermiędze oznaczającej zdradę stanu, na tym tu barłogu więziennym!... Czyż nie prawdziwa igraszka losu? Ale mniejsza o przeszłość!... Nie mówmy o tem, co się już stało. Zdawałoby się wszakże, że miałem prawo oczekiwać od dawnego entuzjasty, zmodyfikowanego dziś bojaźnią utraty stanowiska, przelania swego zapału w legalne koryta, utrzymywania szpitala i wszelkich urządzeń lekarskich na wysokości wymagań nauki i tym sposobem ocalenia nie tylko swej cześci, ale i niejednego pełnego wartości życia współziomków wygnańców. Nie widzę wszakże tego! Skorbut, zakażenia, epidemje, brudy, a jako ich nieuchronne następstwa śmiertelność niesłychana, rozwielmożniły się z wielkim skutkiem pod rządami kolegi, które mają za cel swój zyski pieniężne, rangi i ordery".

Na to Matkiewicz zaledwie zdołał wybąknąć: „Nie unoś się tak, kolego, bądźcie zdrowi, pomyślnej drogi". Co wyrzekłszy prędko się wycofał.

. . . . . .

Wyruszyliśmy w dalszą drogę w połowie sierpnia wedle st. st. to jest w końcu tego miesiąca wedle rachuby europejskiej. Wsiadając u bram więzienia do naszego tarantasu, żegnaliśmy Tomsk, pełen smutnych i bolesnych wrażeń i wspomnień, na których tle jako dodatnie postacie widniały obok świeżo poznanych ziomków zesłanych zacne osobistości Naumowych i doktora Woronowa.

Przez miasta powiatowe Mariński i Aczyńsk przelecieliśmy tak szybko, że nie mieliśmy wcale czasu poznać ich bliżej ani też rodaków tam przebywających. W Krasnojarsku stanęliśmy dnia 22 sierpnia (3 września), a zabawiwszy dni kilka dla dokonania koniecznych formalności przy zmianie towarzyszącego nam kozaka, pociągnęliśmy dalej do ostatecznego kresu podróży naszej to jest do Irkucka.

Pierwszą na drodze powiatówką było miasto Kańsk, gdzieśmy po raz drugi spotkali prezydenta Brzostowskiego z Mohylowa, znanego nam już z Lipecka. Powróconym on był do śledztwa z tego ostatniego miasta, a następnie wywieziony do Kańska. Drugim znajomym, z którym tu zetknęliśmy

się, był Galicjanin, technolog i artysta Głuchowski, którego rysunki i winjety jeszcze w Tambowie ozdobiły moje albumy. Opowiedział on nam, jakim sposobem z biedy się wydobył. Zaczął od zbudowania latarni czarnoksięskiej z treścią, mogącą zająć chłopstwo syberyjskie, a jako opłatę za wejście oznaczył brzozową narość „czeczotką“ zwaną. Te narośćie suszył i robił z nich fajki rzeźbione, ze sprzedaży zaś fajek doszedł do pendzli, płócien i farb, któremi malował obrazy dla cerkwi i pobożnych.

Minąwszy ostatnie przed Irkuckiem miasto powiatowe „Niżnij-Udinsk“ i nie napotkawszy tam nikogo z naszych, późno w nocy stanęliśmy o kilka stacyj przed stolicą Syberji wschodniej, w olbrzymiej wsi Czeremchowy. Na stacji nie było miejsc wolnych dla noclegu. Pisarz pocztowy zachęcił nas, abyśmy przyjęli gościnność u najzamożniejszego gospodarza we wiosce. Włościanin ów, chcąc nas nakłonić do przyjęcia jego zaprosin, nazwał się naszym współziomkiem, czem nas pokonał ostatecznie. Zastaliśmy dom zamożny ładnie urządzony i gospodarzy nieskończenie gościnnych, którzy nas podejmowali w ciągu dwóch dni, a w końcu nic za to wziąć nie chcieli. Zdumieni i zaambarasowani szukaliśmy klejnotu, który moglibyśmy ofiarować mu na pamiątkę. Żona moja wybrała na ten cel złoty pierścionek z kameą. Po długim oporze, gdy na usilne prośby nasze dar ten przyjmował, wyrzekł ze łzami w oczach nasz gospodarz: „postaram się stokrotnie waszym ziomkom to wynagrodzić“. I, o ile wiem, dotrzymał słowa, był bowiem opiekunem i dobrym duchem wszystkich Polaków, zesłanych do Czeremchowskiej włości.

15/27 września stanęliśmy wreszcie w samym Irkucku. W ciągu całej tej podróży od Tomska, Marynia gotowała zupę dla całego towarzystwa, Tomkowicz i ja przyrządzaliśmy potrawy mięsne i rydze, na deser zaś mieliśmy wyborne minusińskie kawony, nabywane po miastach w większych ilościach. W Irkucku umieszczono nas w gmachu dawnej Izby Skarbowej, gdzie posiadaliśmy na własny użytek 1/3 pokoju, prześcieradłami oddzieloną. Tu obchodziliśmy trzecie imieniny moje na wygnaniu i tu na miłych gawędkach i czytaniu spędziliśmy pare tygodni.

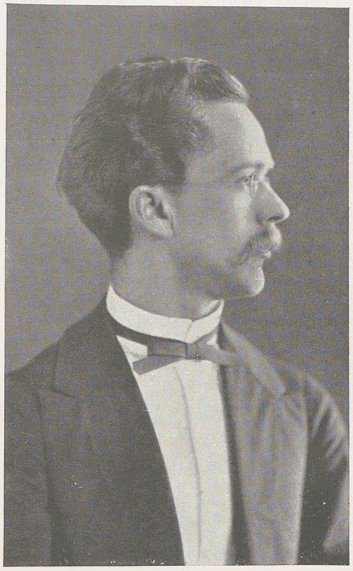


Fig. 23. Mikołaj Zwoliński.



Fig. 24. Józef Szlenkier z Warszawy.



Fig. 25. Rodzina Jamontów.



Fig. 26. Pławiński.

Dnia 2/14 października tegoż roku wyprawiono nas do Usolja, o 70 wiorst od Irkucka położonego w kierunku ku Europie, a więc o dziesięć mil zbliżyliśmy się do kraju. W Usolju stanęliśmy tegoż dnia wieczorem. Umieszczono nas w budynku dawnej szkoły, przeznaczając na wyłączny nasz użytek jeden duży pokój. Tak przybyliśmy na miejsce naszego przeznaczenia we 25 miesięcy od chwili wyjazdu z Żytomierza.

DODATKI I PRZYPISY.

MARSZRUTA NASZA OD ŻYTOMIERZA DO USOLJA.

DATY WEDLE ST. ST.:

Rok i miesiąc	dzień	Dzień tygodnia	Marsz lub dniówka	Z etapu lub turmy	Do etapu lub turmy	Gubernja
1863						
wrzesień	2	poniedziałek	marsz	z Żytomierza	do Kmitowa	Wołyńska
„	3	wtorek	dniówka		w Kmitowie	
„	4	środa	marsz	z Kmitowa	do Berezówki	Kijowska
„	5	czwartek	marsz	z Berezówki	do Radomyśla	„
„	6	piątek	dniówka		w Radomyślu	„
„	7	sobota	marsz	z Radomyśla	do Stawiszcz	„
„	8	niedziela	marsz	z Stawiszcz	do Motyżyna	„
„	9	poniedziałek	dniówka		w Motyżynie	„
„	10	wtorek	marsz	z Motyżyna	do Biełhorodki	„
„	11	środa	marsz	z Biełhorodki	do Kijowa	„
„	12	czwartek	dniówka		w Kijowie	„
„	13	piątek	marsz	z Kijowa	do Aleksandrówki	Czernichowska
„	14	sobota	marsz	z Aleksandrówki	do Rohozówki	Połtawska
„	15	niedziela	dniówka		w Rohozówce	„
„	16	poniedziałek	marsz	z Rohozówki	do Ierkowiec	„
„	17	wtorek	marsz	z Ierkowiec	do Perejasławia	„
„	18	środa	dniówka		w Perejasławiu	„
„	19	czwartek	marsz	z Perejasławia	do Chocek	„
„	20	piątek	marsz	z Chocek	do Pieszczanej	„
„	21	sobota	dniówka		w Pieszczanej	„
„	22	niedziela	marsz	z Pieszczany	do Zołotonoszy	„
„	23	poniedziałek	marsz	z Zołotonoszy	do Mielnik	„
„	24	wtorek	dniówka		w Mielnikach	„
„	25	środa	marsz	z Mielnik	do Moskalenek	„
„	26	czwartek	marsz	z Moskalenek	do Zown	„
„	27	piątek	dniówka		w Zownach	„
„	28	sobota	marsz	z Zown	do Modzelówni	„
„	29	niedziela	marsz	z Modzelówki	do Niedohorek	„
„	30	poniedziałek	dniówka		w Niedohorkach	„
październ.	1	wtorek	marsz	z Niedohorek	do Kremenczuga	„
„	2	środa	marsz	z Kremenczuga	do Zapsiolie	„
„	3	czwartek	marsz	z Zapsiolia	do Peles	„
„	4	piątek	dniówka		w Pelesach	„
„	5	sobota	marsz	z Peles	do Bulikowej	„
„	6	niedziela	marsz	z Bulikowej	do Reszetiłowki	„
„	7	poniedziałek	dniówka		w Reszetiłowce	„
„	8	wtorek	marsz	z Reszetiłowki	do Iwaszek	„
„	9	środa	marsz	z Iwaszek	do Połtawy	„
„	10	czwartek	dniówka		w Połtawie	„
„	11	piątek	marsz	z Połtawy	do Rudnikowej	„
„	12	sobota	marsz	z Rudnikowej	do Czutowej	„

Rok i miesiąc	dzień	Dzień tygodnia	Marsz lub dniówka	Z etapu lub turmy	Do etapu lub turmy	Gubernja
1863						
październ.	13	niedziela	dniówka		w Czutowej	Połtawska
„	14	poniedziałek	marsz	z Czutowej	do Kołomaka	Charkowska
„	15	wtorek	marsz	z Kołomak	do Wałek	„
„	16	środa	dniówka		w Wałkach	„
„	17	czwartek	marsz	z Wałek	do Lubotyna	„
„	18	piątek	marsz	z Lubotyna	do Charkowa	„
„	19	sobota	dniówka		w Charkowie	„
„	20	niedziela	marsz	z Charkowa	do Cyrkun	„
„	21	poniedziałek	marsz	z Cyrkun	do Lipiec	„
„	22	wtorek	dniówka		w Lipcach	„
„	23	środa	marsz	z Lipiec	do Czeremoszny	Kurska
„	24	czwartek	marsz	z Czeremoszny	do Biełgorodu	„
„	25	piątek	dniówka		w Biełgorodie	„
„	26	sobota	marsz	z Biełgorodki	do Szlachowej	„
„	27	niedziela	marsz	z Szlachowej	do Koroczy	„
„	28	poniedziałek	dniówka		w Koroczy	„
„	29	wtorek	marsz	z Koroczy	do Skorodny	„
„	30	środa	marsz	z Skorodny	do Rozdiestwienska	„
„	31	czwartek	dniówka		w Rozdiestwiensku	„
listopad	1	piątek	marsz	z Rozdiestwienska	do Starego Oskołu	„
„	2	sobota	marsz	z Starego Oskołu	do Rogowa	Woroneżska
„	3	niedziela	dniówka		w Rogowie	„
„	4	poniedziałek	marsz	z Rogowa	do Jasionek	„
„	5	wtorek	marsz	z Jasionek	do Niziediewicka	„
„	6	środa	dniówka		w Niziediewicku	„
„	7	czwartek	marsz	z Niziediewicka	do Chochła	„
„	8	piątek	marsz	z Chochła	do Smierdiaczej diewicy	„
„	9	sobota	dniówka		w Smierdiaczej diewicy	„
„	10	niedziela	marsz	z Smierdiaczej diewicy	do Woroneża	„
„	11	poniedziałek	marsz	z Woroneża	do Wielkiej Uszani	„
„	12	wtorek	dniówka		w Wielkiej Uszanj	„
„	13	środa	marsz	z Wielkiej Uszani	do Orłowa	„
„	14	czwartek	marsz	z Orłowa	do Priwałówki	„
„	15	piątek	dniówka		w Priwałówce	„
„	16	sobota	marsz	z Priwałówki	do Usmania	Tambowska
„	17	niedziela	marsz	z Usmania	do Drazg	„
„	18	poniedziałek	dniówka		w Drazgach	„
„	19	wtorek	marsz	z Drazg	do Faszczowki	„
„	20	środa	marsz	z Faszczowki	do Lipecka	„
„	21	czwartek	w Lipecku zatrzymani skutkiem rozlewu wód do 19 grudnia (czwartek) 1863 roku.			
grudzień	20	piątek	marsz	z Lipecka	do Siemionówki	Tambowska
„	21	sobota	marsz	z Siemionówki	do Borysowiec	„
„	22	niedziela	dniówka		w Borysowicach	„
„	23	poniedziałek	marsz	z Borysowiec	do Nowo-Tarbiewa	„
„	24	wtorek	marsz	z Nowo-Tarbiewa	do Kozłowa	„
„	25	środa	dniówka		w Kozłowie	„
„	26	czwartek	marsz	z Kozłowa	do Dymitryjewskoje	„
„	27	piątek	marsz	z Dymitryjewskoje	do Czełnowskiego Dw.	„
„	28	sobota	dniówka		w Czełnowskim Dw.	„
„	29	niedziela	marsz	z Czełnowskiego Dworu	do Łysych Gór	„
„	30	poniedziałek	marsz	z Łysych Gór	do Tambown	„
„	31	wtorek	dniówka w Tambowie zatrzymaliśmy się do 15 kwietnia 1864 roku skutkiem choroby dra Łagowskiego.			

Rok i miesiąc	dzień	Dzień tygodnia	Marsz lub dniówka	Z etapu lub turmy	Do etapu lub turmy	Gubernja
1864 r.						
kwiecień	15	środa	marsz	z Tambowa	do Razkazowa	Tambowska
„	16	czwartek	marsz	z Razkazowa	do Rożdiestwieńska	„
„	17	piątek	dniówka		w Rożdiestwieńsku	„
„	18	sobota	marsz	Rożdiestwieńska	do Chmielenki	„
„	19	niedziela	marsz	z Chmielenki	do Kiersanowa	„
„	20	poniedziałek	dniówka		w Kiersanowie	„
„	21	wtorek	marsz	z Kiersanowa	do Pokrowska	Penzeńska
„	22	środa	marsz	z Pokrowska	do Jerszowa	„
„	23	czwartek	dniówka		w Jerszowie	„
„	24	piątek	marsz	z Jerszowa	do Nikolska	„
„	25	sobota	marsz	z Nikolska	do Czambaru	„
„	26	niedziela	dniówka		w Czambarze	„
„	27	poniedziałek	marsz	z Czambaru	do Kałdusu	„
„	28	wtorek	marsz	z Kałdusu	do Kamionki	„
„	29	środa	dniówka		w Kamionce	„
„	30	czwartek	marsz	z Kamionki	do Czerncówki	„
maj	1	piątek	marsz	z Czerncówki	do Zagoskina	„
„	2	sobota	dniówka		w Zagoskinie	„
„	3	niedziela	marsz	z Zagoskina	do Konstantynowki	„
„	4	poniedziałek	marsz	z Konstantynowki	do Penzy	„
„	5	wtorek	dniówka		w Penzie	„
„	6	środa	marsz	z Penzy	do Rożdiestwieńska	„
„	7	czwartek	marsz	z Rożdiestwieńska	do Horodyszcz	„
„	8	piątek	dniówka		w Horodyszczach	„
„	9	sobota	marsz	z Horodyszcz	do Pieczelnika	„
„	10	niedziela	marsz	z Pieczelnika	do Sadowki	Symbirska
„	11	poniedziałek	dniówka		w Sadowce	„
„	12	wtorek	marsz	z Sadowki	do Papur	„
„	13	środa	marsz	z Papur	do Bazarnego Syzganu	„
„	14	czwartek	dniówka		w Bazarnym Syzganie	„
„	15	piątek	marsz	z Bazarnego Syzganu	do Konduraku	„
„	16	sobota	marsz	z Konduraku	do Korsunia	„
„	17	niedziela	dniówka		w Korsuniu	„
„	18	poniedziałek	marsz	z Korsunia	do Słobody Karlińskiej	„
„	19	wtorek	marsz	z Słobody Karlińskiej	do Tagaju	„
„	20	środa	dniówka		w Tagaju	„
„	21	czwartek	marsz	z Tagaju	do Słobody Tetiumskiej	„
„	22	piątek	marsz	z Słobody Tetiumskiej	do Symbirska	„
„	23	sobota	dniówka		w Symbirsku	„
„	24	niedziela	marsz	z Symbirska	do Szumowki	„
„	25	poniedziałek	marsz	z Szumowki	do Kajsarowki	„
„	26	wtorek	dniówka		w Kajsarowce	„
„	27	środa	dniówka	z Kajsarowki	do Buińska	„
„	28	czwartek	marsz	z Buińska	do Bigbatów	„
„	29	piątek	dniówka		w Bigbatach	„
„	30	sobota	marsz	z Bigbatów	do Sybirczy	„
„	31	niedziela	marsz	z Sybirczy	do Burundak	„
czerwiec	1	poniedziałek	dniówka		w Burundakach	„
„	2	wtorek	marsz	z Burundaków	do Sentowa	„
„	3	środa	marsz	z Sentowa	do Jurtowego Owragu	„
„	4	czwartek	dniówka		w Jurtowym Owragu	„
„	5	piątek	marsz	z Jurtowego Owragu	do Kazania	Kazańska
„	Od 6 do 11 czerwca czwartek w Kazaniu, 12 czerwca w piątek wypłynęliśmy statkiem z Kazania, przybyliśmy do Permy, 17 czerwca we środę pozostaliśmy					

w Permie do 22 czerwca t. j. do poniedziałku. Z Permy ruszyliśmy dalej trójkami t. j. furmankami włościańskiemi — bez dniówek lecz z odpoczynkami dłuższemi co kilka dni.

Rok i miesiąc	dzień	Dzień tygodnia	Marsz lub dniówka	Z etapu lub turmy	Do etapu lub turmy	Gubernja
czerwiec	23	wtorek	jazda	z Permy	do Kojanowki	Permska
„	24	środa	jazda	z Kojanowki	do Janyczy	„
„	25	czwartek	jazda	z Janyczy	do Kryłasowa	„
„	26	piątek	jazda	z Kryłasowa	do Kunguru	„
	W Kungurze zrazu w oczekiwaniu powozów, a następnie na skutek tyfusu, który w tamtejszem więzieniu przebywałem, zabawić musieliśmy w tem mieście do 2 sierpnia 1864 roku — to jest do niedzieli.					
sierpień	3	poniedział.	jazda	z Kunguru	do Buszujewa	Permska
„	4	wtorek	jazda	z Buszujewa	do wsi Sobarskoje	„
„	5	środa	jazda	z Sobarskoje	do Złatoustowska	„
„	6	czwartek	jazda	z Złatoustowska	do Bykowa	„
„	7	piątek	jazda	z Bykowa	do Aczytskiej fortecy	„
„	8	sobota	jazda	z Aczytskiej fortecy	do Bisierskoj fortecy	„
„	9	10 i 11-ty	dniówka		w Bisierskoj fortecy	„
„	12	środa	jazda	z Bisierskoj fortecy	do Blinowska	„
„	13	czwartek	jazda	z Blinowska	do Kirgiszanska	„
„	14	piątek	jazda	z Kirgiszanska	do wsi Grabowskoje	„
„	15	sobota	jazda	z Grabowskoje	do Bilimbejewska	„
„	16	niedziela	jazda	z Bilimbejewska	do Reszety	„
„	17	poniedz.	jazda	z Reszety	do Ekaterynburga	„
„	18	i 19	dniówki		w Ekaterynburgu	„
„	20	czwartek	jazda	z Ekaterynburga	do Kosulina	„
„	21	piątek	jazda	z Kosulina	do Biełojarska	„
„	22	sobota	jazda	z Biełojarska	do Belejska	„
„	23	niedziela	jazda	z Belejska	do Porszyna	„
„	24	poniedz.	jazda	z Porszyna	do Kamyszłowa	„
„	25	i 26	dniówki		w Kamyszłowie	„
„	27	czwartek	jazda	z Kamyszłowa	do wsi Czeremoszkowskoje	„
„	28	piątek	jazda	z Czeremoszkowskoje	do wsi Pyłojewskoje	„
„	29	sobota	jazda	z Pyłojewskoje	do Sugielskoj	„
„	30	niedziela	jazda	z Sugielskoj	do Markowa	„
„	31	poniedz.	jazda	z Markowa		
wrzesień	1	wtorek	jazda			
„	2	środa	jazda			
„	3	czwartek	jazda			
„	4	piątek	jazda		do Tiumenia	„
„	5	sobota	jazda	z Tiumenia		
„	6	niedziela	jazda			
„	7	poniedz.	jazda			
„	8	wtorek	jazda	Nazwy tych stacyj zatraciły się w podróży.		
„	9	środa	jazda			„
„	10	czwartek	jazda			„
„	11	piątek	jazda			„
„	12	sobota	jazda			„
„	13	niedziela	jazda			„
„	14	poniedz.	jazda			„
„	15	wtorek	jazda			„
„	16	środa	jazda			„
„	17	czwartek	jazda			„
„	18	piątek	jazda		do Tobolska.	

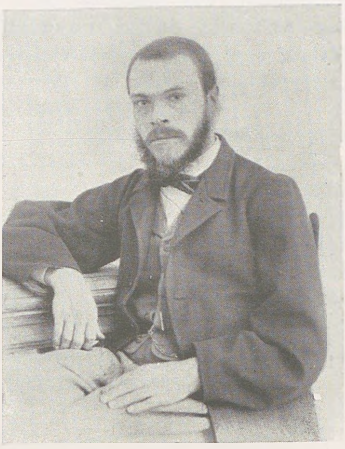


Fig. 27. Dr Woronow.

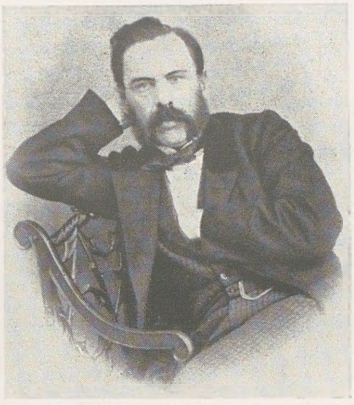


Fig. 28. Bolesław Czerniewski.



Fig. 29. Rodzina Witkiewiczów.



Fig. 30. Juljan i Marja z Obuchowskich Morzyccy w drodze na Sybir.

W Tobolsku zatrzymaliśmy się dla położenia powozu na sanie; następnie gubernator Despot Zenowicz polecił mi wspólnie z doktorami Łagowskim i Tomkowiczem opiekę nad szpitalem więziennym. Jednocześnie żona moja zachorowała na ospę, co wszystko razem zatrzymało nas w Tobolsku do dnia $^{19}/_{31}$ maja 1865 roku.

Z Tobolska wypłynęliśmy statkiem parowym dn. 20 maja (1 czerwca) 1865 roku. W nocy z 20 na 21 maja żona mi śmiertelnie znowu zachorowała. W ciągu całej podróży mała była nadzieja uratowania jej życia. Do Tomska przybyliśmy w dn. $^{10}/_{22}$ czerwca, gdzie pozostawaliśmy do połowy sierpnia st. st. i w tym czasie pocztą wyruszyliśmy do Krasnojarska, gdzie zatrzymaliśmy się od 22 sierpnia (3 września) do 27 sierpnia (7 września), w którym to dniu wyruszyliśmy do Irkucka, dokąd przybyliśmy $^{15}/_{27}$ września. Po kilkunastu zaś dniach pobytu w Irkucku wysłano nas do miejsca stałego pobytu Usola, gdzie stanęliśmy w dniu $^{2}/_{14}$ października 1865 r. to jest we dwa lata i miesiąc od daty opuszczenia kraju.

III

POBYT NA SYBERJI DO POCZĄTKU 1869 ROKU. PRZENIESIENIE DO ROSJI. W GALICZU I KOSTROMIE. ODWIEDZENIE STRON RODZINNYCH. WYJAZD Z KOSTROMY W POŁOWIE 1873 ROKU.

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta...
Czyż na niej pisać będzie palec Boski,
I, ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciel stary
Przyjdzie i w księdze tej wyryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty!
Że trofeami ludzkości są knuty!...

A. Mickiewicz.

. . . . . .

Pokój, w którym nas umieszczono, był wysoki, obszerny, widny, i niczem nie różniący się od innych mieszkań w tym budynku, przeznaczonym wyłącznie dla przestępców politycznych, przybyłych tu z rodzinami. Wszystkie cele miały drzwi na szeroki jasny korytarz, w końcu którego był pokój dla straży, złożonej z Burjatów-Kozaków. Po napaleniu w piecu, z bardzo wątpliwym skutkiem, musieliśmy się ogrzewać herbatą, w czasie spożywania której wszedł podoficer, trzymając w ręku parę ciężkich dziewięcio-funtowych urzędowych kajdan, z zamiarem doręczenia mi tych oznak przyszłej mojej godności. Ujęty przyzwoitą formą, zastąpić mającą brutalne okucie u kowala, pośpieszyłem ofiarować te regalja podoficerowi, jako przyszłemu memu zwierzchnikowi. Posiadałem już bowiem, kajdany otrzymane w darze od mego starego przyjaciela, Józefa Łagowskiego, przez noszenie nieco wygładzone, a znacznie lżejsze, bo na urząd robione, które nadto były zaopatrzone w maszynki, podobne do tych, jakiemi się przypina dewizki do zegarków. Maszynki te dawały możność odpinania kajdan na noc i wtedy, gdy się nie było na oku władzy, a dowodziły, że w ręku inte-

ligentnych ludzi nawet kajdany dają się uszlachetnić i wydoskonalić.

Nazajutrz ubrany już w hałaśliwe moje pęta, nie umiejąc narazie obchodzić się z niemi, wyruszyłem na poszukiwanie rzemieślników, ażeby kącik nasz do ładu, czystości i używalności doprowadzić. Zaczęło się od kitowania letnich i zimowych okien, przestawienia pieca, wybielenia pokoju, a skończyło się na wstawieniu i opatrzeniu podwójnych okien i ostrożnem paleniu w nowo przebudowanym piecu, a to wszystko odbywać się musiało w naszej obecności. Po upływie trzech dni byliśmy urządzeni, w tym bowiem krótkim czasie udało mi się nabyć z okazji wcale przyzwoite i niedrogie umeblowanie, a mianowicie: przegrodę z zielonemi wełnianemi firankami, drugie łóżko (jedno żelazne składane przybyło z nami), parę stołów, szafę na odzienie, komodę i kilka krzeseł. W końcu zaś tygodnia dokonaliśmy upiększenia naszego gniazdka pamiątkowemi drobiazgami, tak iż całość bardzo miłe robiła wrażenie.

Ponieważ kwestja pożywienia nie mogła ulegać chwilowej nawet zwłoce, postanowiliśmy stołować się u pp. Prokopów Konopackich, zamieszkałych na jednym z nami korytarzu, o których spotkaniu w Tobolsku zrobiłem w miejscu właściwem krótką wzmiankę. Obiady te nie były wyszukane, ale obfite, smaczne i niedrogie; płaciliśmy bowiem miesięcznie po pięć rubli srebrem od osoby. Niezbędną usługę mieliśmy w osobie miejscowego stróża.

Ułatwiwszy się ze sprawami praktycznemi codziennego życia, starałem poznać się bliżej z naszą osadą, położoną nad brzegiem wspaniałej, bystrej i przeźroczystej jak górny kryształ Angary, noszącą urzędową nazwę „Irkuckiej Warzelni Soli", nieurzędowo zaś skróconą: „Usol" (Usolje). Pierwszy rzut oka na lichą mieścinę, do której przybyliśmy, przekonał mię, iż ma ona wszelkie cechy fabrycznej osady; zaludnioną zaś była w części przez zbrodniarzy skazanych do ciężkich robót oraz potomków dawniej tu zesłanych, dobrowolnie osiadłych, w części przez przestępców politycznych z emisji 1863 i 1864 roku, w ostatnich czasach przesyłanych. Urzędowy Usol stanowiły budowle, przeważnie ugrupowane nad brzegiem An-

gary i na dwóch przyległych wyspach, w mniejszej zaś daleko ilości rozrzucone w innych punktach miasteczka. W środku prawie jednej ze wspomnianych wyżej wysp, większej i od brzegu dalszej, wytryska obfite źródło słone, którego eksploatacja dała początek całej osadzie. W jej zaś obwodzie mieściło się dziesięć warzelni, dość symetrycznie ustawionych, które przedstawiały duże, sześciokątne, z okrągłych bali wzniesione budowle, pokryte dachem w kształcie ostrosłupa, zakończonego otworem, zamiast komina.

W podziemiu każdej z tych warzelni stał sklepiony piec, a nad nim był umieszczony kocioł, na dwa łokcie głęboki ze średnicą siedmiu i pół łokci w obu kierunkach. Ropę solną z rezerwoara, urządzonego przy źródle, podnosiło się za pomocą pomp, które konie w ruch wprawiały, do wysokości rynien, nad tężniami ustawionych. Z tych rynien po ich przepełnieniu ropa spływała na tężnie to jest stosy brzozowych rózg, ułożonych na rusztowaniach. Na powierzchni pręcików brzozowych osiadały sole wapienne jako trudno rozpuszczalne, stężona zaś i oczyszczona ropa spadała do koryt, pod tężniami ustawionych, zkolei zaś dostawała się do kotłów w warzelniach, gdzie ją parowano, przyczem na wewnętrznej powierzchni tychże osiadała reszta trudno rozpuszczalnej soli, tworząc grubą skorupę, w której czysty rozczyn soli kuchennej krystalizował się w charakterystyczne sześciany. Po ukończeniu parowania i ostygnięciu kotłów sól kuchenną zsypywano do worków i po zważeniu składano w magazynie. Skorupę zaś odbijano od ścian kotłów dłótami i młotkami, a następnie usuwano, i tym sposobem przygotowywano miejsce dla dalszego warzenia w ciągu całej letniej kampanji. Do palenia pod kotłami używane były nie drwa rąbane, ale całkowite kłody, długie na łokieć i ćwierć (arszyn), w średnicy zaś mające od jednego do dwóch i więcej łokci, które nosiły techniczną nazwę miejscową „jołtyszy". Że zaś trudno je było przewozić do warzelni z miejsca, gdzie były złożone, przesuwano je zatem popychając, tak, by się obracały około własnych osi. Przed każdą warzelnią naprzeciwko drzwi pieca, zagłębionego w podziemiu, był urządzony rodzaj pochyłej płaszczyzny i po niej każda kłoda staczała się ze strasznym impetem do paleniska i roztrącała dogorywające poprzedniczki,

by zająć chwilowo najwybitniejsze miejsce, a następnie ustąpić go nowo przybywającym jołtyszom. Piece te w chwili najpotężniejszego rozżarzenia mogłyby śmiało służyć malarzom obrazów religijnych za tło wyborne do scen piekło odtwarzających.

Większą część robót w warzelniach wykonywali więźniowie kryminaliści; w początkach wszakże nie ominął ten zaszczyt i więźniów stanu, o czem wymownie świadczy załączona tu grupa kilku politycznych skazańców, którzy fotografowali się z narzędziami w ręku i w strojach do tej ciężkiej pracy odpowiednich. Nazwiska kolegów, stanowiących tę grupę, są następujące: Stanisław Wiśniewski z Owruckiego, Roman Frankowski z Podlasią, Lucjan Wielobycki z Wołynia, Aleksander Abakanowicz ze Żmudzi i August Kręcki z Warszawy. Dla oczekiwanych z Zachodu gości wzniesiono na wyspie koszary, które mieściły przeszło stu wygnańców Polaków. Co do innych gmachów rządowych, w osadzie Usolskiej położonych, były one dość rozrzucone. Szpital przedstawiał się bardzo pokaźnie, stał na wzgórzu nad brzegiem Angary i wystarczał na potrzeby miejscowe, nawet przy raptownem zwiększeniu się ludności, wskutek napływu więźniów politycznych. W pewnem oddaleniu od szpitala, również nad brzegiem rzeki, wprost wejścia na wyspy, widniały dwa duże domy. W większym z nich, posiadającym stajnię, wozownię, oranżerje, ogrody itp., mieszkał zarządzający warzelniami, którym w chwili naszego przybycia był inżynier Nekrasow. Gdy zaś wkrótce obowiązki komendanta nad wygnańcami politycznymi połączono ze stanowiskiem dyrektora warzelni, przeznaczono na tę posadę Turowa, dymisjonowanego oficera saperów. Drugi dom mniejszy przeznaczony był na mieszkanie rządowego lekarza, którym był dr. Stopani, z Włochów pochodzący, naówczas młody jeszcze człowiek, nie orzeł wprawdzie, ale bardzo poczciwy. W oficynie domu tego, przy laboratorjum, mieszkali Łagowscy. W przerwie, po wyjeździe Nekrasowa, a przed przybyciem Turowa, dom przez nich zajmowany mieścił w swych komnatach część więźniów stanu i przezwany został Luwrem, jako siedziba dygnitarzy, to jest najpoważniejszych wygnańców, bez rodzin tu przybyłych. Po zajęciu Luwru przez Turowa pozwolono jego chwilowym mieszkańcom przenieść się do miasta.



Fig. 31. Piotr Czekotowski.

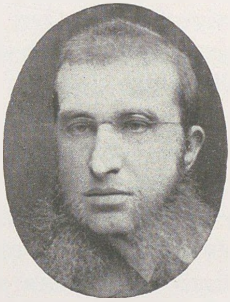


Fig. 32. Dr Ignacy Tomkowicz.



Fig. 33. Feliks Zienkowicz.

Z placami opisanych przed chwilą budowli łączyły się grunta i zabudowania biur policyjnych i straży ogniowych, które frontami wychodziły na ulicę policyjną, w znacznem zaś od nich oddaleniu, u wjazdu do miasteczka, był dom, zwany szkołą, gdzie narazie nas umieszczono. Poza urzędowym Usolem posiadało miasteczko drewnianą cerkiew, na obszernym placu wzniesioną, skromną kapliczkę katolicką, przerobioną z domu mieszkalnego przy ulicy Wielkiej, czworobok sklepów, przeważnie spożywczych, w rynku, otoczonym domami najzamożniejszych kupców i stałych mieszkańców Usola.

Obok smutnej rzeczywistości zastaliśmy w Usolu ustne podanie o dawnych wygnańcach politycznych, których tu za sprawę Konarskiego zesłano. Z tych jedni bawili krótko, a następnie zostali wysłani za Bajkał, po zamarznięciu tego jeziora. Do tych należeli: Fortunat Grabowski, Narcyz i Leopold Jarzynowie, Adolf Roszkowski, Justynjan Ruciński, Piotr Borowski i Antoni Beaupré. Inni, których obecność w Usolu uznano za pożyteczną dla ówczesnego dyrektora warzelni, miemca Mewiusa, zostali tu zatrzymani na stałe i zajęli się wychowaniem jego dzieci. Byli to: Juljan Sabiński z Podola znakomity lingwista, Wojciech Umiński również z Podola, Wolfgang Szczepkowski skrzypek, Leopold Niemirowski malarz i rysownik, obaj z Wołynia. Szczepkowski zbudował dom własny, który był bodaj najokazalszym w miasteczku. Dom ten, gdyśmy przybyli, zajętym był przez komendanta Praszutyńskiego.

Obecnie, Usol gościł przeszło 150 wygnańców politycznych, z których około 40 było z rodzinami. Cyfry te w różnych czasach ulegały zmianom. W dodatkach do niniejszego rozdziału znajdzie czytelnik listę zesłanych, o ile się dało, zupełną, z krótkiemi życiorysami wybitniejszych osobistości. Z najbliższych nam osób zastaliśmy Łagowskich, którzy wyszli na nasze spotkanie i powitali nas najpierwej i najgoręcej, co na usposobienie nasze znakomicie wpłynęło. On, na znak braterstwa i wspólnej sprawy, obdarzył mię, jak to już nadmieniłem, swemi dźwiganemi w ciągu kilku miesięcy kajdanami, od noszenia których za dobre prowadzenie się wspaniałomyślnie go uwolniono. Ona w oznakach serdecznych uczuć dla mojej żony nie znała granic, dziatki zaś, nic na swym wdzięku nie tracąc,

bardzo się umysłowo rozwinęły, obcując wciąż ze starszymi i mając nieoszacowanego kierownika w osobie Feliksa Zienkowicza, znanego nam już z Tobolska.

Opowiedzieli nam Łagowscy, jakie przebywali trwogi i niepokoje i jak się one pomyślnie ukończyły. Zbliżając się do Irkucka, dowiedzieli się, że zwierzchnikiem nad politycznymi zesłańcami był wojskowy wyższej rangi, niejaki Wokulski, ożeniony z panną Popow, córką sztabslekarza, którego Łagowski w czasie swej służby na Kaukazie publicznie spoliczkował za osobistą obrazę. Jakkolwiek sprawę narazie zatarto, oczekiwali oni wszakże niemałych z tej racji przykrości. Jakież było ich zdziwienie, gdy spotkali ze strony pp. Wokulskich tysiączne uprzejmości, dzięki którym Łagowskiego przeznaczono na szefa laboratorjum w Usolu, dając im mieszkanie, złożone z trzech pokoi, i małą nawet pensyjkę. Była to wielka pomoc w zaspokojeniu potrzeb codziennego życia, na których opędzenie zamożny brat Józefa, Mikołaj, przesyłał im skromną miesięczną rentę. Drugim zkolei, najsympatyczniejszym dla nas domem, było ognisko rodzinne hr. Romanowstwa Bnińskich: on, znany mi prawie od dzieciństwa z prawości, zacności i uczuć patrjotycznych; ona, Sobańska z domu, świeżo przez nas poznana w drodze, gdy nas mijali jadąc pocztą, oboje wielkiej wartości ludzie.

Równie dobrze byli nam znani Bolesławowstwo Łozińscy: on, zdolny matematyk, ale marzyciel i niepraktyczny, ona z domu Kraszewska, najstarsza córka J. I. Kraszewskiego, zacna, prawdziwie ewangeliczna niewiasta, która w krwawym pocie czoła zdobywała utrzymanie dla rodziny, wypiekając codziennie własnemi rękami chleb z kilku pudów mąki, a jednocześnie karmiąc piersią dwóch bliźniaków, Józia i Czesia. Mąż starał się jej dopomagać, ale mu przeszkadzała głęboka niepraktyczność obok fantastycznego rozwijania wielkich teoryj w stosunku do drobiazgów codziennego życia. Bardzo przyjemnym stał się odnowiony nasz stosunek z rodziną pp. Michałów Gruszeckich. Sam p. Michał był nam dawno znany, ją poznaliśmy w Tobolsku. Znajomość ta przeszła w serdeczną zażyłość, byli to bowiem oboje mili i bardzo zacni ludzie. Jako sybirak, był Gruszecki recydywistą. Urodzony w Kodeniu na Podlasiu

w 1815 roku, po ukończeniu szkół w Lublinie i wydziału prawnego na uniwersytecie warszawskim, mając zaledwie lat 19, został dependentem przy mecenasie Kojsiewiczu w Warszawie, a już w 1838 r. za udział w sprawie Ehrenberga i Wężyka, współczesnej Konarskiego, wywieziony na Sybir do kopalni nerczyńskich, gdzie pozostawał lat 19 aż do śmierci cesarza Mikołaja I. Ułaskawiony przez jego następcę Aleksandra II., wrócił do kraju w 1856 r. i zarządzał czas jakiś jednym z kluczów Branickich na Ukrainie, a potem, otrzymawszy w spadku wieś Barasze w części poleskiej powiatu żytomierskiego, tam się na stałe osiedlił.

W 1863 r. był przeciwnym powstaniu. Należał z wyboru do organizacji szlacheckiej i w tym charakterze, jakkolwiek znacznie ode mnie starszy, był moim podwładnym w latach 1861 i 62 r. i pełnił gorliwie włożone nań obowiązki. Gdy organizację szlachecką rozwiązano, został powołanym do przygotowania ruchu w okolicy powiatu żytomierskiego, w której zamieszkiwał, to jest w północno-zachodniej poleskiej jego części, gdzie wspólnie z księdzem Prokopem kapucynem, kapelanem przy kaplicy w Baraszach, organizował i przygotowywał do zbrojnego powstania okoliczną szlachtę zagonową, jako podwładny Potockiego. Pochwycony wraz z księdzem, wywieziony został z majątku pod eskortą 40 kozaków do pobliskiego miasteczka Uszomierza. Tam, w zajezdnej karczmie żydowskiej, pełnej robactwa, stali się przedmiotem znęcania i naigrawań ze strony straży, która w głośnych rozmowach powtarzała np. niejednokrotnie: „Osobę duchowną obwiesimy, a tego tłustego na drobne kawałki posiekamy". Jedynym ratunkiem w tych tarapatach było pojenie oficera starym węgrzynem, w Baraszach wyhodowanym. Po sześciu tygodniach więzienia w Uszomierzu przeniesiono ich do Żytomierza, skąd po dziesięciu miesiącach sąd prędki i sprawiedliwy, nie znalazłszy żadnych dowodów przeciwko oskarżonym, ale mając na względzie przeszłość jednego i duchowny stan drugiego, uznał, iż muszą być winni w obecnych okolicznościach, a więc skazał obu na ciężkie roboty. Ksiądz dostał się za Bajkał, gdzie zmarł przed ułaskawieniem, kochany pan Michał i żona jego, Michalina z Micińskich, zesłani na Syberję, minęli nas

w Tobolsku i przybyli przed nami do Usola. Po dziesięciu latach powrócili do Warszawy, gdzie Gruszecki znalazł zajęcie w redakcji Gazety Polskiej. Po przymusowej zaś sprzedaży Barasz osiedli w Żytomierzu i tu p. Michał dn. 5 października 1892 r. po krótkiej chorobie życie zakończył; pani Michalina mieszka w tem mieście i tam ją zazwyczaj odwiedzam, bawiąc w Żytomierzu.

Z Juljanami Morzyckimi, którzy wkrótce po nas przybyli, stosunek nie był nigdy bliższy i serdeczniejszy, jakkolwiek ceniliśmy i szanowaliśmy pana Juljana. Z nowo poznanych rodzin najbardziej zbliżyliśmy się do Mieczysławów Siesickich z Kowieńskiego i do Adamów Majewskich z Warszawy. Siesicki, zacny i prawy weredyk, żona zaś jego, pani Felicja z Kozakowskich, wzorowa żona i gościnna gospodyni w całem tych słów znaczeniu, bezdzietni, mieszkali w domu najętym. Oboje dziś już nie żyją. Majewscy kupili mały domek. Pan Adam, prawnik, jeden z wybitniejszych organizatorów powstania, pracy fizycznej poświęcał zwykle ranki, uprawiając ogród i sprzedając warzywa na targu; żona zaś jego, Elżbieta z Pawłowskich, lublinianka, krzątała się czynnie około domowego gospodarstwa. Po obiedzie, oboje zwykle czytali oraz podtrzymywali stosunki towarzyskie, zawsze starannie ubrani i w dobrych humorach; śmiało można było powiedzieć o tej parze, że byli, jak to mówią: „i do stroju i do łoju". Państwo Bonifacowie Krupscy zrobili na nas bardzo dodatnie wrażenie. Pani Marja, z domu Świdówna, była typem, przypominającym Madonny Holbeina, czcigodny zaś pan Bonifacy mógłby wybornie pozować do wizerunku świętego Józefa; takie na mnie przy pierwszem spotkaniu zrobili wrażenie, które potwierdziło się przy bliższem ich poznaniu.

Mniej bliski, ale dobry stosunek, łączył nas z rodzinami pp. Maciejów Smoleńskich z Płockiego i Leonów Bratyńskich z Wołynia. Pan Maciej, ostatni wyraz gościnności staroszlacheckiej, niemłody już naówczas człowiek, mówił bardzo szybko, ale nadzwyczaj niewyraźnie, małżonka jego, cicha, rządna, była nie mniej od męża gościnną. Nie mając dzieci własnych, chowali młodą dziewczynkę Urszulkę, a dom ich, o ile mógł być w takich warunkach, był domem otwartym dla współwy-

gnańców, przeważnie z Korony. Państwo Leonowie natomiast wiedli żywot bardzo cichy. Sam pan, budowniczy z profesji, robił plany, a często dla rozrywki malował i rysował; małomówny, nieco głuchy, był uczynnym, i dobrym kolegą; pani, chora na nogę, bez kuli ruszyć się nie mogła, nieskończenie dobra, miła i sympatyczna osoba, zwykle zajęta ręczną robótką, posiadała miłość ogólną.

Oprócz wymienionych tu rodzin, z któremi łączyły nas mniej lub więcej ścisłe stosunki, spotykaliśmy inne u naszych znajomych, z którymi poznawaliśmy się; były wszakże i takie, które znaliśmy tylko z widzenia, a nawet ze słyszenia zaledwie. U Bnińskich spotykaliśmy pp. Antoniostwo Potockich, Bolesławów Sejfertów z synem, Wolskich z Wołynia, Krasickich Zygmuntów z Podola, Skawińskich i Wieniarskich z Ukrainy. U Gruszeckich poznaliśmy Michałów Wielohorskich, Tołoczków z Litwy i pp. de Col z Ukrainy. U Bonifaców Krupskich widywaliśmy Antoniowstwo Jeleńskich, Hofmeistrów, Poźniaków, Symonowiczów i Bartoszewiczów z Litwy.

Mikołajowie Gedroyciowie pędzili życie niemal odludne. P. Mikołaj, uosobiona zacność i prawdomówność, każdą swą słabość lub błąd karał ciężką pokutą. Będąc studentem, zawiązał stosunek miłosny z włościanką, z którą, w drodze zadośćuczynienia, ożenił się, wykształciwszy ją uprzednio własnym kosztem, i miał w niej pełną zalet i cnót małżonkę. W roku 1863, w chwili aresztowania, władze skorzystały ze zmieszania i prawdomówności Gedroycia, a dobywszy zeń parę zeznań, nie przyjęły późniejszego cofnięcia ich i zaprzeczenia samemu sobie. Uczuł ten swój błąd pan Mikołaj do tego stopnia, iż się przed każdym nowopoznanym obwiniał o zdradę sprawy i cofał swą rękę przed uściskiem jako niegodną; a pragnąc uniknąć konieczności częstej głośnej spowiedzi, zamknął się w domu własnym jak pustelnik, obcując tylko z rodziną. Dom kolegi mego z uniwersytetu kijowskiego, Tomasza Burzyńskiego, był również dla ludzi zamknięty. Miał on młodą bardzo, ale nieśmiałą i chorą żonę, sam zaś po całych dniach przesiadywał w swym sklepie spożywczym i rzadko poza niedzielą mógł korzystać ze stosunków towarzyskich. Z widzenia tylko znaliśmy rodziny: Gałeckich, Jarockich Włodzimierzów (pani z domu Suffczyńska,

spotkana przez nas w drodze na Sybir), Lewandowskich, Makarewiczów, Zajączkowskich, Ząbkiewiczów, Pruszyńskich, Chrzanowskich i innych.

Kobiet do ciężkich robót skazanych było w Usolu cztery, a mianowicie: pani Helena z Majewskich Kirkorowa, pani Gudzińska i dwie niemłode panny Guzowskie. Pani Kirkorowa, lubiana w młodości przez publiczność wileńską artystka teatru pod nazwiskiem panny Majewskiej, później żona znanego literata i dziennikarza Adama Kirkora, jeszcze później przedmiot gorącej miłości Syrokomli, wkońcu, pełna poświęcenia patrjotka, w której mieszkaniu był stałym lokatorem Traugutt w czasie swej dyktatury. Pani Gudzińska była skazana za przechowywanie w swej garkuchni jednego ze sprawców zamachu politycznego. Obie panny Guzowskie były obwinione i skazane za zajęcia w pocztowym wydziale Rządu Narodowego. Wszystkie te panie unikały bliższych stosunków z żonami naszemi, otoczone zaś były wciąż młodzieżą, która biła czołem przed ich zasługami patrjotycznemi.

Z przeznaczonych do Usola bezżennych — lub bez żon przybyłych zastaliśmy lub spotkaliśmy, jako wkrótce po nas przysłanych, starych znajomych z kraju i drogi, a więc: Jakóba Giejsztora, Feliksa Zienkowicza, Józefa Kalinowskiego, Karola Siedrockiego, Józefa Jezierskiego, Ezechjela Głęboc-kiego i innych. Poznaliśmy również: Augusta Iwańskiego, Aleksandra Oskierkę, księdza dziekana Stulgińskiego, Henryka Wohla i kilku młodych lekarzy.

Władza nad nami była podzielona między zarządzającym warzelnią i komendantem. Obowiązki pierwszego spoczywały w ręku inżyniera Nekrasowa, obowiązki drugiego, po usunięciu się powszechnie chwalonego Borysławskiego, znalazły się w niezręcznej dłoni świeżo mianowanego na to trudne stanowisko oficera kozaków, nędznej osobistości, którą nawet jego nazwisko wybornie określało; nazywał się bowiem Praszutiński, co tłumaczone na język polski znaczy „żartobliwski"; i rzeczywiście żartem z nas i z niego była ta nominacja. Oto mniej więcej wszystko, co dałoby się powiedzieć o naszych pierwszych wrażeniach po przybyciu do Usola.

Znużeni podróżą, niczego tak bardzo nie pragnęliśmy,

jak spokoju, zadowalniając się najzupełniej przeznaczonym nam i urządzonym kącikiem w szkole. Wkrótce wszakże spotkały nas najniespodziewaniej nowe kłopoty i zawikłania. W końcu października wezwano mię do komendanta, który, nie szczędząc mi komplementów, jako wzorowo prowadzącemu się, oświadczył, iż tytułem nagrody obdarza nas prawem zamieszkania w domu prywatnym w mieście, dokąd mamy przenieść się niezwłocznie. Trudno opisać moje zdumienie i oburzenie, gdy mi te fałsze wykładał z całą bezczelnością. Podziękowałem więc równie szczerze za tak pochlebną o mnie opinję, ale zarazem prosiłem, aby nas przed wiosną nie wyrzucano z mieszkania, świeżo urządzonego, z niemałym kłopotem. Na to, zmieniając ton na bardzo stanowczy, zapowiedział mi komendant, że, oczekując nowej partji, musi za jaką bądź cenę numera oczyścić. Broniłem się uporczywie przeciwko krzywdzie nam wyrządzanej, a którą jeszcze nazywano łaską, lecz bez pożądanego skutku. Wyrzuceni niejako siłą brutalną z więziennej celi, musieliśmy w pocie czoła pracować nad wyszukaniem skromnego i nie zbyt drogiego mieszkania na swobodzie, co wreszcie udało się po kilku dniach bezowocnych poszukiwań.

Wynajęliśmy za 110 rs. rocznie mały domek, złożony z trzech pokoików i kuchni w oficynie, u ekskatorżnika, niejakiego Worończowa. Przenosząc się pierwszego listopada do naszej chałupy, która, mówiąc nawiasem, wydała się nam pałacem po ohydnych celach więziennych i etapowych, zaprosiliśmy do obszernej kuchni naszej rodzinę Bolesławów Kisielewskich. Pan Kisielewski pochodził z Królestwa, ożenił się zaś na Białorusi (gdzie był rządcą u Tadeusza Czudowskiego) z wielkiej zacności i pracowitości kobietą; sam pracować nie lubił, zwalając wszystko na barki swej dzielnej towarzyszki. Powszechnie o nim mówiono, że gdyby gadulstwo i stękanie nad ciężkim losem mogły się zmienić w żywą siłę, Kisielewski poruszałby niezawodnie góry. Wkrótce po przeniesieniu się zapisaliśmy się pierwsi na listę stołowników naszych współmieszkańców, płacąc miesięcznie 10 rs. za obiady zdrowe, smaczne i obfite.

Jednym z gości, którzy najwcześniej nas odwiedzili na nowem mieszkaniu, był komendant. Zażądał on złożenia na

jego ręce całej naszej korespondencji, a że żona moja z wielką skrupulatnością listy z kraju porządkowała i zszywała, łatwo było zadość uczynić temu żądaniu. Doręczając kilka zeszytów, upraszałem najmocniej p. Praszutińskiego o zwrot tych jej skarbów po przejrzeniu i otrzymała solenne przyrzeczenie, poparte słowem honoru oficerskiem, że wkrótce odbierze je w całości. Słowo to wszakże nigdy dotrzymanem nie było.

Przechodzę zkolei do naszych spraw lekarskich w Usolu. Było nas eskulapów, jak na tak małą mieścinę, za wielu. Z rodzinami przybyło sześciu: Józef Łagowski i ja z Wołynia, Juljan Skawiński i Stanisław Galicki z Ukrainy, Władysław Symonowicz i Łazowski z Litwy. Nieżonatych zaś lekarzy było dziewięciu, a mianowicie: Ignacy Trzaskowski, Jan Świda, Władysław Sipniewski, Józef Piekarski i Zenon Nowodworski z Litwy, Stefan Konopacki i Karol Samojło z Białorusi, Oktawjan Jarocki z Wołynia i Franciszek Missuna, aczkolwiek rodem z Połockiego, skazany w Kijowie, jako uwięziony na Ukrainie, gdzie praktykował w dobrach Branickich. Nadto, przygarnęliśmy do naszego grona dwóch studentów medycyny, którzy ukończyli kursa, ale z powodu wybuchu powstania nie mogli zdawać ostatecznego egzaminu. Byli to: Lucjan Migurski z Warszawy i Wincenty Wasilewski z Kijowa, co razem stanowiło pokaźną liczbę 17 lekarzy. Kilku z pomiędzy nas zapisano jako felczerów przy miejscowym szpitalu, dokąd zbieraliśmy się wszyscy dość często, dla niesienia pomocy chorym. Doktor Stopani, lekarz z urzędu, zachowywał się z nami po koleżeńsku i pozwolił nam raz na tydzień odbywać posiedzenia tak zwanego „Towarzystwa Lekarzy Usolskich", na których udzielaliśmy sobie wzajemnie spostrzeżeń i badaliśmy wspólnie bardziej nas zajmujących chorych, przytem miewaliśmy krótkie odczyty.

Wobec wielkiego braku uzdolnionych i zamiłowanych w swym fachu lekarzy w Irkucku, Usol stał się w krótkim czasie miejscem, dokąd ściągali chorzy, nie tylko z odległych miejscowości wschodniej Syberji, ale i z samego Irkucka, a pełni prostoty i szczerości sybiracy głośno twierdzili, iż zdolnych lekarzy przywożą na Syberję tylko z żandarmami, bo ci, co tu dobrowolnie przybywają, nie na wiele chorym przydać się

mogą. Mimo tak pochlebną dla nas u miejscowej ludności opinję, pozycja nasza, wobec pozbawienia nas praw stanu, była niezupełnie jasna i wymagała stanowczego i otwartego postawienia kwestji wobec władzy. W kilka dni po przybyciu naszem do Usola zaszła okoliczność, która bardzo zbawiennie wpłynęła na ustalenie naszego stanowiska lekarskiego. Jak wiadomo, litera prawa zabrania więźniom stanu wszelkich stosunków, odwiedzin i rozmów z osobami, do ich grona nie należącemi i nie będącemi ich zwierzchnikami. Zakaz taki względem nas różnie tłumaczyli sobie Praszutiński i Nekrasow. Pierwszy miał siebie za jedyną naszą stałą władzę, po za godzinami pracy w ciężkich robotach, drugi zaś sądził, że ma również prawo wzywać nas do siebie o każdej porze.

Tak różne zapatrywania stały się powodem starcia się władz między sobą, co się na nas, jak zwykle, skrupiło. Gdy bowiem Lucjan Migurski, wezwany do chorej na oczy pani Nekrasow, badać zaledwie ją zaczął, wszedł wysłany przez komendanta podoficer, by go imieniem tegoż za przekroczenie przepisów aresztować. Przybyłemu na odwach z podoficerem Migurskiemu łaskawie tą razą przebaczyć raczył Praszutiński, zapowiadając, iż nadal za podobne przestępstwa karanym będzie bez pobłażania. Migurski, wyrwawszy się z rąk komendanta, zgromadził cały nasz fakultet medyczny katorżniczy usolski na walną naradę, na której postanowiono, iż nikomu bez wyjątku rad lekarskich udzielać nie będziemy, aż do dalszego w tej kwestji postanowienia, skoro czynność tę uznał komendant za karygodną.

Co się rzekło, spełnionem być musiało, wobec wielkiej między nami solidarności. Prawie jednocześnie z zapadłemi postanowieniami przybyła do Usola, by zasięgnąć rady lekarskiej u jednego z chirurgów, pani Sapożnikow, rozgłośna piękność, która, będąc żoną małego urzędnika, była jednocześnie przedmiotem uwielbień dygnitarzy irkuckich. Pani ta była mocno cierpiąca na zastrzał we wskazującym palcu prawej ręki; chodziło więc o małą operację. Narazie udała się ona do komendanta, by za jego pośrednictwem i zezwoleniem zasięgnąć rady i pomocy chirurgicznej. Praszutiński, nie przewidując trudności, wzywa Łagowskiego jako specjalistę i poleca jego staraniom

i opiece pacjentkę. Jakież było jego zdumienie, gdy wezwany zakomunikował mu, iż wobec tego, co miało miejsce z Migurskim, nikt z lekarzy wygnańców udzielać nadal rad nikomu nie może i nie będzie, mając tę czynność za wzbronioną sobie przez najbliższą władzę, a więc za karygodną.

Komendant, jak to umieją Rosjanie, gdy czegoś potrzebują, dobierał z pod serca wyrazów, by skłonić Łagowskiego do posłuszeństwa, ale ten, pomny na uczynione wobec kolegów zobowiązania, stawił się jak mur i oświadczył kategorycznie, że w spisie wszelkich rodzai ciężkich robót niema wcale takiej, któraby nosiła nazwę „leczenia", a więc nikt nie ma prawa nakazać mu tej czynności. Wszakże praktyka lekarska zabronioną już została Migurskiemu, który o mały włos karanym za nią nie był, wszyscy przeto lekarze wygnańcy, nie chcąc przekraczać prawa, leczyć nikogo nie mogą i nie będą, aż zostanie im to wyraźnie dozwolonem! Komendant oświadczył, iż on w tym wypadku nie tylko na leczenie zezwala, ale o nie nawet prosi. Naciskany Łagowski uogólnił kwestję, zaznaczając, iż sprawa winna być jasno postawiona i zdecydowana; leczenie bowiem albo jest pożyteczne dla społeczeństwa i nie powinno być wzbronione nikomu, kto ukończył wydział lekarski, albo jest rzeczą szkodliwą w ręku ludzi, pozbawionych praw stanu, i wtedy ci ostatni nikogo i nigdy leczyć nie powinni.

Tu Praszutiński zmienił ton i zagroził wysłaniem za Bajkał w razie dalszego oporu, na co Łagowski odrzekł, że 1.000 wiorst jest niczem dla tego, co już 6.000 wiorst podróży mimowolnej odbył etapami. Po dwóch zaś godzinach, które mu do namysłu dane zostały, powtórzył raz jeszcze, że leczyć nie ma prawa, nie może i nie będzie. Pani Sapożnikow odjechała jak niepyszna z chorym palcem do Irkucka, lecz po dwóch dniach przybyła powtórnie z listem gubernatora Szałasznikowa do Łagowskiego, polecającym mu chorą, tą razą poza plecami komendanta. Po otrzymaniu takiego listu zwołał nas kolega Józef i został jednomyślnie upoważniony do zajęcia się con amore uzdrowieniem chorego palca pięknej pani, do czego niezwłocznie przystąpił.

Gdy o tem, co zaszło, dowiedział się komendant, wezwał ponownie Łagowskiego i zapytał go, co to ma znaczyć, iż

leczy tę samą chorą, której przed paru dniami rady swej odmówił? Zagadnięty odrzekł, że spełnia polecenie gubernatora, które uważa zarazem za uznanie praw lekarzy wygnańców do niesienia pomocy wszystkim chorym, mimo to, iż są innych praw pozbawieni, gdyż znajomość medycyny jest wiedzą, której pozbawić nie podobna, co zresztą swego czasu rozstrzygnął cesarz Mikołaj I, dozwalając skazanemu do ciężkich robót dekabryście, leibmedykowi Wolffowi, leczyć udających się doń po poradę chorych, motywując to w nadpisie na odezwie komendanta Leparskiego w słowach: „Wiedzy i talentu nikogo pozbawić nie można". Zmilczał p. Praszutiński, bąknąwszy tylko, że należało go o tem, co zaszło, zawiadomić. Łagowski zaś, przybierając szatę naiwności, tłumaczył się tem, że był pewnym, iż gubernator zawiadomił już komendanta o tem, że pisze list do przestępcy politycznego, polecając mu zajęcie się chorą. Tu już smutnej pamięci oficerek uczuł, że stracił grunt pod nogami niepowrotnie.

Zaledwie zakończyła się pomyślnie sprawa z panią Sapożnikow, przybyła do Usola z ciężko chorym po apopleksji mężem paralitykiem, generałowa Taskin, i skierowała się wprost do Łagowskiego, prosząc o zwołanie nazajutrz konsultacji i wzięcia chorego w stałą opiekę. Dr. Józef z największą powagą uprzedza panią Taskin, że popełnia karygodne przestępstwo, udając się do niego bez piśmiennego pozwolenia władz. Gdy jenerałowa całe to ostrzeżenie obraca w żart, wyśmiewając udającego dygnitarza Praszutińskiego, który niedawno jeszcze przedpokoje ich łokciami wycierał, siadł Łagowski przy stoliku i skreślił naprędce raport do komendanta następującej treści: „Przed chwilą przybyła do mego mieszkania pani jenerałowa Taskin, bez piśmiennego pozwolenia, wzywa mię na konsultację do chorego męża i prosi o stałą nad nim opiekę, a mimo moje przedstawienie, iż nie mam prawa obcować z osobami, do składu więźniów lub zwierzchności nie należącemi, mieszkania mego opuścić nie chce i odzywa się z lekceważeniem o mojej bezpośredniej władzy, jako też o jej prawomocności, o czem donosząc, mam zaszczyt prosić o postąpienie w tym razie wedle obowiązujących praw i instrukcyj".

Jenerałowa zanosiła się od śmiechu, odczytując ten raport;

odniósł go zaś i powrócił bez żadnej odpowiedzi malec Michaś, dziesięcioletni syn Łagowskiego; opowiadał tylko, że komendant kręcił i kiwał głową, wkońcu powiedział jedno słowo: „dobrze“ (horoszo), ale, co to miało znaczyć, odgadnąć niepodobna. To całe przejście utarło nam najzupełniej drogę do praktyki lekarskiej, przez nikogo nadal nie tamowanej, zaś p. Praszutiński, zrozumiawszy, iż przegrał na wszystkich punktach, od „a do z“, postanowił tej gry zaniechać. Podkopał wszakże swe stanowisko zwierzchnika na innem polu. Nędznik ten pozwolił sobie na umizgi do pań, które po poradę lekarską przyjeżdżały; wydrwiły one te zachcianki rudego brzydala wobec władz irkuckich, które zapragnęły pozbyć się kompromitującej rząd figury, a zmierzając wprost do celu, nakazały rewizję naszej wygnańczej kasy, która się u komendanta przechowywała. Nocny, niespodziewany przegląd ksiąg, jednocześnie z obliczeniem gotówki wykrył, że cała prawie suma była w obrocie handlowym u kupców miejscowych: a chociaż rano kasę uzupełniono, komendant został niezwłocznie usunięty i ocknął się za Bajkałem, gdzie znacznie później, w czasie zaburzeń, omal nie został powieszonym przez powstańców.

Chwilowo obowiązki komendanta pełnił leib-ułan Rojkowski, z początkiem zaś 1866 r. przysłano w charakterze komendanta, a zarazem zarządzającego warzelniami soli, dymisjonowanego sapera p. Turowa. Ten nowy dygnitarz nie tylko w niczem nam nie przeszkadzał na polu zdobywania i rozwijania praktyki lekarskiej, ale wszelkich dokładał starań, aby sławę naszą szerzyć na całej przestrzeni wschodniej Syberji, i sam z całą rodziną oddał się w opiekę drów Jana Świdy i Franciszka Missuny.

Zobaczmy zkolei, jak różnie czas swój spędzali wygnańcy usolscy. Mimo usiłowania rządu rosyjskiego, porównania z sobą wszystkich skazanych, nie tylko wobec kar, ale i wobec środków, udać się to w zupełności nie mogło; każdy bowiem zamożniejszy niegdyś w kraju człowiek pozostawił tam rodziny ocalone które go zaopatrywały w pieniądz i niezbędne przedmioty, o ile na to starczyły fundusze. Przesyłki pieniężne przynosiły niemałe ulgi w cierpieniu zesłanych, tak dobrze w podróży, jako też i na miejscu; bardzo więc różną być musiała pozycja

nieco dostatniejszych od tych, co mogli liczyć tylko na własną pracę. Z tej zaś kategorji ci, co byli do ciężkiego zajęcia fizycznego przyzwyczajeni lub posiadali jaką specjalność, dającą się do praktyki zastosować, zdobywali chleb powszedni z wielką łatwością, nawet w ciężkich robotach. Najgorszą była dola ludzi nieprzyzwyczajonych do pracy, nie mających żadnego fachowego uzdolnienia i nie otrzymujących zasiłków z kraju, nawet, gdy posiadali wysokie wykształcenie.

Sprawiedliwość nakazuje mi przyznać, iż tak zwane ciężkie roboty nie były już wcale uciążliwe, gdym przybył do Usola, a w pewnym względzie wpłynęły nawet na ulgę w losie ludzi, potrzebujących pracy. Ja osobiście do żadnych robót nie byłem używany, gdyż przybyłem do Usola w początku października 1865 r., zaś wkrótce po przybyciu, bo w styczniu 1866 r. zaszła zmiana w moim losie, uwalniająca mię na „posielenie" (zaludnienie). Ci zaś, co po lat kilka w ciężkich robotach przebywali, pracowali tylko na wiosnę i w lecie, po parę godzin dziennie. Wygnańcy, potrzebujący zarobku, którzy byli jedynie do pracy fizycznej uzdolnieni, chętnie podejmowali się zastępstwa wątlejszych a posiadających jakiekolwiek środki materjalne, za co otrzymywali od tychże rządowe za pracę wynagrodzenie, wynoszące jeden rubel srebrem i dwa pudy mąki żytniej miesięcznie. Znałem takich, którzy odrabiali roboty za dziesięciu i nie uskarżali się na przeciążenie pracą. Zastępstwo w robotach układało się w sposób bardzo prosty. Ci, co zrzekali się płacy, jako też ci. co pragnęli za innych ją otrzymywać, zapisywali się na dwóch listach u przedstawiciela naszego wobec władz, którego my tytułowaliśmy prezesem towarzystwa, zaś władze starostą politycznych. Takie zapisywanie się wystarczało do załatwienia całej sprawy, resztę układał nasz przedstawiciel, nie pozwalając, aby się jednym więcej, innym mniej pracy i płacy dostawało.

Poza robotami obowiązkowemi każdy się starał warunki życia swego ułożyć, stosując się do posiadanych środków i sztucznie wytworzonych warunków, skąd powstać musiały pewne grupy, mniej lub więcej od siebie różniące się trybem życia. Bezżenni oraz przybyli na wygnanie bez rodzin stanowili najliczniejszy zastęp. Mieszkali oni pierwotnie w koszarach na wyspie,

następnie niektórzy przenieśli się do tzw. Luwru, wkońcu, stopniowo, większa część zajęła prywatne mieszkania w mieście. W koszarach na wyspie i w Luwrze, życie codzienne miało charakter mało różniący się od etapowego; koszary stanowiły jedną kolosalną salę, Luwr składał się z kilku mniejszych pokoi; i tu i tam większość posiadała łóżka, sienniki, szafki, krzesła, stoły itp. Zaledwie kilku zadowalniało się użytkowaniem przez czas jakiś nar skarbowych. Jadło mieli wspólne. Składając na ręce gospodarza otrzymywaną od rządu płacę, to jest 1 rs. miesięcznie i 2 pudy ciemnej żytniej mąki, dostawali w niedzielę i czwartki pieczeń wołową, w inne zaś dnie kapuśniak, barszcz, krupnik lub rosół, zawsze ze sporym kawałkiem mięsa. Chleb wypiekany dostawał się pod wagę, i ci, co go mniej jedli, otrzymywali resztę w gotówce. Rano i wieczorem jedni pili mleko z chlebem razowym, inni znowu cegiełkową herbatę z mlekiem i z cukrem gryzionym (prykuska), inni niewiele lepszą herbatę czystą z cukrem. Do miasta dozwolonem było wychodzić tylko w asystencji kozaków Burjatów, stanowiących wewnętrzną straż Usola. Po przenosinach do mieszkań prywatnych zmieniły się warunki o tyle, iż można było wychodzić bez towarzystwa oficjalnego.

Rodziny wygnańcze, przybyłe tutaj, różnie się urządzały. Jedni pokupowali domy, inni mieszkali w najętych, wreszcie najmniej zamożne rodziny lokowały się w budynkach rządowych. Trudnoby mi było odtworzyć tryb życia każdej z tych rodzin; sądzę więc, że lepiej zrobię, dając pobieżny szkic naszego trybu życia, do którego z pewnemi zmianami większość była podobna. Otóż, po rannem wstaniu i wypiciu herbaty, ja wyruszałem na miasto dla zrobienia koniecznych sprawunków lub załatwienia bieżących interesów, a około jednastej zasiadałem do książek i czasopism lekarskich, poświęcając ich czytaniu czas do obiadu, który spożywaliśmy między godziną 1 a 2-gą. W tymże czasie żona moja, po uporządkowaniu wnętrza domku, robiła robótki, pisywała listy, czytała odebraną korespondencję i to, co się dało znaleźć w małej naszej czytelni. Wieczory spędzaliśmy na głośnem czytaniu, po godzinie piątej bowiem nie wolno nam już było z domu wychodzić. Przechadzki więc i odwiedziny znajomych rodzin odbywały się

zazwyczaj między 3 i 5-tą godziną. Listy z kraju oczekiwane były zwykle z wielką niecierpliwością; zrazu opóźniały się one bardzo, następnie dochodziły nas po 6-8 tygodniach, odpowiedzi zaś nasze daleko dłużej wędrowały wskutek lenistwa i niedbalstwa cenzorów i dostawały się do miejsca przeznaczenia po 4 i nawet po 6 miesiącach, co nasze rodziny przyprawiało nieraz o straszny niepokój. Przesyłki oddawano nam bez kwestji. Wkrótce po przybyciu do Usola otrzymaliśmy ich kilka, w tej liczbie pud orzechów laskowych, ręką ojca żony mojej uzbieranych! Z pieniądzmi było nieco trudniej; wolno było bowiem z tych, co nam przysyłano, otrzymać nie więcej nad 25 rs. miesięcznie na osobę, chcąc zaś mieć więcej, trzeba było przedstawiać dłużników w osobach kupców, rzemieślników itp. Pisywać do kraju mieli prawo skazani do ciężkich robót cztery razy w ciągu roku, to jest: 1 stycznia, 1 kwietnia, 1 lipca i 1 października. W innych wypadkach wyręczały nas żony, ułatwiając niejeden interes kolegom.

Taką była mniej więcej treść życia rodzin wygnańczych na Syberji, nie zmuszonych pracować na zdobycie chleba powszedniego; inni szukali pracy chlebodajnej w różnych zawodach. I tak Łozińscy założyli piekarnię i handel mąką, Potoccy urządzili wędliniarnię, Morzycki zasłynął jako ogrodnik, a kalafjory jego zabierane były do Irkucka na stoły dygnitarzy. Michał Wielohorski, Michał Gruszecki, Hryniewiecki, Tołoczko i Józef Konopacki, mieli fabrykę świec łojowych i mydła. Prowizor Matyzy robił wcale dobre cukierki. Stolarze, stelmasi, krawcy, szewcy, itd., pozakładali swe warsztaty. Geniuszowie z Grodna, wbrew postanowieniom kolegów, otwarli szynk, za co ich ukarano zupełnem odosobnieniem. Wincenty Wasilewski, jako student piątego kursu medycyny, nie chcąc praktykować, pracował w aptece. Ezechjel Głębocki był bibljotekarzem, Mianowski sekretarzem prezesa Towarzystwa Wygnańców Usolskich za małemi wynagrodzeniami z funduszów składanych.

Inni szukali zajęć w możniejszych domach kolegów i zadowalniali się stanowiskami kucharzy, lokai, pokojówek itp., co nie psuło w niczem prawdziwie koleżeńskiego stosunku. Im mniejsza była różnica w stopniu wychowania i wykształcenia chlebodawców i pracowników, ten stosunek był milszy, a prze-



Fig. 34. Montowicz z córką Jadwigą.



Fig. 35. Narcyz Sankowski.



Fig. 36. Jadwiga z Grabowskich Aleksandrowa Oskierczyna.



Fig. 37. Z Zawadzkich Bronisł. Mackiewiczowa.



Fig. 38. Doktorowa Czekotowska.

wygnańczych, był koniecznym dla najróżnorodniejszych żywiołów, przypadkowo w jednem miejscu zgromadzonych, solidarność zaś najzacniejszych i najrozumniejszych wśród nas nadała martwej literze ustawy wielką siłę praktyczną; a więc i gorsi nałamywali się do dobrego kierunku pod władzą szlachetnych i mądrych.

Jeszcze za czasów komendantury Praszutińskiego zaszedł w moim losie osobistym pomyślny zwrot, dzięki staraniom gubernatora tobolskiego Aleksandra Despot-Zenowicza, za pośrednictwem jenerał gubernatora Zachodniej Syberji, Duhamel'a. Starania te wyjednały mi ułaskawienie. W dniu 20 stycznia 1866 r. wezwano mię do komendanta, obok którego wtedy mieszkałem, a który w uroczystym nastroju i przesadnej formie powiedział mi, że ma się za szczęśliwego, mogąc mi zakomunikować najwyższą wolę, pomyślną dla mnie; poczem zaczął monotonnie czytać odezwę oficjalną w mojej sprawie. Zrazu nie mogłem zupełnie pojąć, o co chodziło. Odrzuciwszy wszakże zawiły wstęp, zrozumiałem nareszcie, iż jestem ułaskawiony na skutek przedstawienia, zrobionego najjaśniejszemu panu przez ministra spraw wewnętrznych, Wałujewa, o moich i Tomkowicza niby wielkich zasługach, położonych przy poskromieniu epidemji ospy i tyfusu w więzieniu tobolskiem. Mocą tego ukazu zamieniono moją karę ciężkich robót na zaludnienie w Syberji, Tomkowiczowi zaś pozwolono zamieszkać w gub. tobolskiej. Komendant był do łez rozrzewniony i gorszył się obojętnością, z jaką zachowałem się wobec odczytanego ułaskawienia. Tłumaczyłem się tem, iż gdy mi wyrok skazujący do ciężkich robót czytano, przyjąłem i to ze spokojem zupełnym, więc tem mniej poruszyć mię może polepszenie losu, tem bardziej, iż nie wiem, na czem ono polegać będzie? Obdarzywszy mię epitetem niepoprawnego, kazał mi nasz zwierzchnik zdjąć kajdany, ale i tej teatralnej sceny starałem się uniknąć, zdejmując je sam sobie i zabierając na pamiątkę.

Wieść o polepszeniu naszego losu mile powitaną była przez kolegów, w których lepsza wstąpiła nadzieja. Po kilku dniach zawiadomiono nas, że jesteśmy przeznaczeni do wsi Kamionki w Idyńskiej włości. Przeraziło nas to bardzo narazie, a nie chcąc się ze znajomymi kolegami niedoli rozłączać, rozpo-

częliśmy starania o pozostawienie nas na miejscu. Zgodzono się na szczęście na naszą prośbę, z warunkiem, abyśmy się nigdzie z Usola nie wydalali. Zmiana więc ta w doli naszej była ważniejszą tylko dla przyszłości; stawaliśmy bowiem w szeregu kar o stopień niżej, a więc dalsze awansy szły śpieszniej; narazie zaś zyskiwałem uwolnienie od kajdan, z któremi się pogodziłem, i od robót, w których ani razu nie byłem. Dobitniej jeszcze przekonaliśmy się, jakie znaczenie miało wczesne uwolnienie nas od ciężkich robót, gdy nam ogłoszono dnia 27 maja (6 czerwca) manifest z dnia 16/28 kwietnia 1866 r., przynoszący ulgi w losie wszystkich skazanych. Skutkiem bowiem tego manifestu dano nam honorowy tytuł „mieszkańców", gdy inni obok nas pozostawali w ciężkich robotach, ze zmniejszeniem do połowy lat terminu kary, i tylko skazanych na lat sześć przeznaczono na zaludnienie. Korzystając z nowootrzymanych praw, dwanaście rodzin i wielu nieżonatych przeniosło się z Usola bądź do Irkucka, bądź do okolicznych włości.

Wygórowane ceny na mieszkania, niesympatyczna ich powierzchowność, niedogodne rozkłady i zupełny brak wewnętrznego urządzenia i wykończenia, zrodziły w nas od pierwszej chwili przybycia do Usola myśl nabycia i przerobienia po swojemu jednej z chałup tutejszych. Podałem prośbę do gubernatora o pozwolenie kupienia nieruchomości, prawie zaraz po wstąpieniu na ziemię usolską, a jednocześnie upatrzyliśmy mały domek zrujnowany, z niewielkim placem, ale w dogodnem miejscu położony, bo naprzeciwko biur policyjnych, na rogu ulicy Policyjnej i Wielkiej. Z jednej strony na pierwszej z tych ulic graniczył on z domem wdowy Kołominowej, w którym na parterze mieszkali Romanowie Bnińscy, a w oficynie Władysławowie Winiarscy, na górce zaś Kędrzycki i Bardecki. Z drugiej strony, już na ulicy Wielkiej, sąsiadowaliśmy z kaplicą katolicką, przy której mieszkał ksiądz Wacław Nowakowski, kapucyn, pod przybranem nazwiskiem Waryńskiego.

Część materjałów w kupionej ruderze była jeszcze dobrze zachowana. Przedugodne punkta ułożyliśmy z gospodarzem w pierwszych dniach stycznia 1866 r. Mimo moje ułaskawienie, ogłoszone mi w końcu tegoż miesiąca, a następnie manifest w końcu maja, nie cofnęliśmy się od zamiaru nabycia tej po-

siadłości, a pragnąc pozostać w Usolu, wskazywaliśmy w naszych podaniach kupienie domu jako największą przeszkodę do wyjazdu. Podpisanie wszakże aktu kupna przyszło zaledwie do skutku 10 czerwca 1866 roku. W tym miesiącu opuściliśmy nasze pierwsze mieszkanie w domu Worończowa i przenieśliśmy się do pokoju na górce w domu Kołominowej, zajmując, dzięki uprzejmości J. Kędrzyckiego i M. Bardeckiego, ich mieszkanie. Stąd mogliśmy lepiej dozorować roboty, prowadzone w świeżo nabytej chałupie, które trwały całe lato aż do późnej jesieni, pochłaniając nasz czas niepodzielnie. Plac i dwa zniszczone domki kosztowały nas pierwotnie rubli 170. Odnowienie obliczono na rs. 300, ale cyfra rosła stopniowo aż do zdwojenia, tak, iż po zupełnem ukończeniu robót wydaliśmy rubli 600; cała więc posiadłość z domkiem, oficyną, gospodarskiemi budynkami i ogródkiem, starannie odświeżone, kosztowała nas około 800 rs. Wszyscy naówczas twierdzili, żeśmy wydali znaczną sumę, ale gdy dziś porównam ceny krajowe, zgodziłbym się z największą chęcią na ów zbytkowny wydatek, by posiąść kąt własny tak małym kosztem. Ponieważ to nasze pudełeczko, które nam żywo kraj przypominało, ukochaliśmy oboje, postanowiliśmy przechować jako drogą pamiątkę planik domu i ogrodu tudzież ogólny widok naszej posiadłości.

Plan zawdzięczam uprzejmości kolegi wygnańca, Józefa Popowskiego, dziś posła do wiedeńskiej Rady Państwa, upiększony zaś drugi serdecznej przyjaźni pana Kazimierza Poniatowskiego. Widoków parę w różnych czasach zdjął z natury wygnaniec, który ołówkiem zarabiał i tym sposobem konieczne potrzeby opędzał, młodziutki podolak Stankiewicz, jeszcze w mundurze gimnazjalnym zesłany. Plac, przeistoczony w połowie na ogródek kwiatowy i krzewowy, a otoczony na pograniczach drzewami, mieścił w sobie dwie flory. Syberyjska stanowiła najodleglejsze tło czyli drugi plan i składała się z jodeł, modrzewi, brzóz, azalij, storczyków, anemonów i lilij miejscowych. Rośliny europejskie okrywały kratki werandy i otoczały dom ze wszech stron. Tu uprawialiśmy powoje, groszki pachnące, rezedę, lewkonje, goździki, petunje, werbeny, portulaki i inne. By zaś mieć obfitość warzywa, urządziliśmy inspekta około domu i najmowaliśmy ogród sąsiedni od kaplicy, w którym

prócz zwykłych warzyw hodowaliśmy nieznane tu kalafjory, kalarepy, granatową i włoską kapustę, fasole i kukurudzę. Plan ogrodu zrobiłem i wykonałem sam, a wszystkie drzewa, krzewy i kwiaty, wykopałem w okolicznym lesie, przewiozłem taczkami i posadziłem własną ręką.

Domek nasz posiadał cztery pokoje z przedpokojem i werandą, której część była na skład czyli spiżarnię. Z przedpokoju prowadziło troje drzwi: prawe do salonu, środkowe do malutkiej jadalni, lewe do mego pokoju. Sypialny pokój łączył się drzwiami z jadalnią i moim pokojem. Dwa piece z paleniskami w małym i środkowym pokoju i kominek w bawialni uzupełniały całość jednolitą. Drzwi i okna były duże, biało malowane, podłogi również malowane, obicia niezbyt drogie, ale gustowne. W oficynie mieliśmy kuchnię i dwa pokoje. Jeden zajmował kucharz, drugi zaś staruszek Ezechjel Głębocki, tytułowany kochanym dziaduniem, i Henryk Wohl, rozumny, prawy i najzacniejszy z ludzi, jakich kiedykolwiek znałem. Apartament kucharza zajął nasz stary znajomy, Józef Jezierski, i wybornie nas i siebie wraz z nami karmił. Po nim, gdy otrzymał zasiłek z domu, kucharzował nam Kutyłowski, który się znał i na ogrodownictwie. Wkońcu zastąpił tego ostatniego młodziutki uczeń gimnazjum z Kowieńskiego, Filipowski.

Roślinność w Syberji jest niezmiernie bujna, a przejście od zimy do wiosny niesłychanie raptowne. Wijące się rośliny są znacznie od naszych dłuższe, tyczkowe zaś, jak fasole, a nawet groszki, dochodzą do podwójnych, w stosunku do naszego, rozmiarów, tak, iż naszą, niezbyt wysoką werandę, okrywał prawie całą groszek pachnący. W domku tym przemieszkaliśmy tylko dwa lata i około czterech miesięcy, to jest do wyjazdu naszego z Usola. Mimo stosunkowo duży koszt i niemały kłopot nigdy nie żałowaliśmy, żeśmy sobie chatkę, kraj przypominającą, na dalekim Wschodzie stworzyli, gdyż dzięki temu czuliśmy się mniej wygnańcami. I ogród nasz, dzięki posiadaniu roślin, wyhodowanych z nasion krajowych, był zdolny wyciskać łzy rozrzewnienia wśród zesłanych tu Rusinów, a szczególniej Rusinek. Razu jednego usłyszałem dwa głośne szlochania w okolicy naszej oficyny. Gdy zdziwiony i nieco przestraszony podążam śpiesznie w stronę, skąd głosy

pochodziły, spotykam dwie Rusinki, które zobaczywszy kukurudzę i fasole, nie uspokoiły się, dopóki na ich prośbę nasion tych roślin im nie udzieliłem. Co do mnie, wszystko, co mi na wygnaniu kraj przypominało, działało na stan mój kojąco, a tego uczucia i większość kolegów zesłanych doznawała!

Od wiosny 1866 roku, pod kierunkiem Mieczysława Bardeckiego, oczyszczono z zarośli spacerowy ogród publiczny usolski, przed laty 20 zasadzony, ale w owym czasie najzupełniej zaniedbany. W ogrodzie tym, z odszukanego źródełka urządzono kąpiel spadową, zaś w domku, położonym nad brzegiem Angary, ale jeszcze w obwodzie ogrodu, powstały łazienki do kąpieli solankowych, do których ropę sprowadzano ze źródła, tryskającego na wyspie. Tenże Bardecki w tymże czasie restaurował ze składek przez nas zebranych kaplicę i kierował robotami stolarskiemi celem wzniesienia w niej ołtarza. Na rysunkach przedstawiających widoki i budowle usolskie, oddanych do zbiorów krakowskiego Muzeum Narodowego znajdzie czytelnik wszystkie szczegóły, o których tu mowa.

Gdy się na dobre urządzamy w naszej katordze, która, jako wyłącznie niemal przeznaczona dla wygnańców z rodzinami i ludzi wiekiem najpoważniejszych, nosiła charakter konserwatywny, spada na nas, jak grom z jasnego nieba, smutna wieść o wybuchu powstania między Polakami wygnańcami za Bajkałem w nocy z 6/18 na 7/19 lipca 1866 r. i o niezwłocznem prawie stłumieniu go, tudzież o strasznem pastwieniu się nad ofiarami tego w najwyższym stopniu nierozważnego i szalonego kroku! Była to dla nas zupełna niespodzianka. Jakkolwiek bowiem w drodze zalatywały nas wieści o projektowanem wielkiem powstaniu i zawładnięciu Syberją, skoro dojdziemy wszyscy do miejsca przeznaczenia, to znów o zbrojnej zbiorowej ucieczce przez Chiny do Buchary, jako zdrowi na umyśle nie mogliśmy brać na serjo tych fantastycznych planów i pewni byliśmy, że rozczarowanie, jakie musi nastąpić przy pierwszem zetknięciu się z praktycznem wykonaniem zamiarów, powstrzyma nawet najszaleńszych i najbardziej zrozpaczonych. Stało się inaczej, dzięki zbiegowi najróżnorodniejszych okoliczności.

By dać pobieżne chociaż pojęcie o samym wybuchu i jego odosobnieniu, rzucę okiem na te przestrzenie, na których

rozmieszczono 1864 — 65 i 66 roku zesłanych polskich więźniów stanu. W gubernji krasnojarskiej Troick był jedynym punktem, gdzie umieszczono stu kilkudziesięciu katorżników. W gub. irkuckiej Usol, a następnie Aleksandrowska gorzelnia, stanowiły dwa takie punkty. Cała więc masa wygnańców, do ciężkich robót skazana, wyprawioną została do krainy za Bajkalskiem jeziorem czyli morzem położonej, gdzie ich zrazu rozmieszczono w kopalniach srebra, nerczyńskiemi zwanych, a rozrzuconych między rzekami Szyłką i Argunią, mianowicie: w gazimurskiej, ałgaczyńskiej, Kliczce, katamarskiej, kadajskiej, aleksandrowskiej, piotrowskiej i t. d. Nieco później, nie wiem już, z czyjej smutnej inicjatywy, zaczęto tworzyć kategorje szlachty i nie szlachty, familijnych, księży, lżej i ciężej karanych, mieszcząc każdą z nich oddzielnie. Stąd powstał nowy ruch przy zajmowaniu świeżo wyznaczonych punktów, jak: Kara, Akatuja, Stretińsk, Siwakowa, pod Czytą itd. Przenoszono z jednej miejscowości do drugiej ludzi, należących do sztucznie wytworzonych kategoryj.

Wkońcu zabrakło miejsc wolnych. W następstwach powstała opłakana myśl budowania rękami polskich wygnańców drogi, okalającej południową połowę Bajkalskiego jeziora. Przez jezioro to, zwane na Syberji morzem, przepływają w lecie parostatki. Przystań po stronie gub. irkuckiej zwie się Listwienniczną, zaś po stronie zabajkalskiej Posolskiem. Otóż miano doprowadzić do porządku część istniejącej drogi lądowej nad brzegami jeziora, brakującą zaś na nowo zbudować, by w czasie, gdy Bajkał jest zamarznięty, dać możność odbywać dogodnie podróż drogą lądową od Listwiennicznej do Posolska, okrążając jezioro od południa. Kolosalne to przedsięwzięcie możeby się i dało uskutecznić, gdyby ci, co je zaprojektowali, umieli wytworzyć dla pracujących znośne warunki, zastosowane do sił ich fizycznych, a sprawiedliwością, dbałością o konieczne potrzeby pracujących, tudzież skrupulatną administracją przeznaczonych funduszów potrafili sobie zjednać rozdrażnionych w najwyższym stopniu wygnańców. Ale takich humanitarnych i sumiennych administratorów w państwie rosyjskiem dotąd się nie spotyka.

Jednocześnie z powstaniem projektu budowy drogi, mającej

okalać jezioro, zaczęto wysyłać partje za Bajkał. Do prowadzenia robót wyznaczono pułkownika inżyniera Szaca jako technika i pułkownika kozaków Czerniajewa jako administratora, nadto do każdej partji mianowano komendantów z pomiędzy świeżo awansowanych oficerów. Pierwszą taką partję wyprawiono już w jesieni 1865 r. do Posolska i rozlokowano ją w okolicach tego portu, a następnie cofnięto do Listwiennicznej na zimowe leże. Starostą tej licznej partji był Gustaw Szaramowicz [1]), mój kolega gimnazjalny, następnie nauczyciel muzyki, bardzo zacny zapaleniec, ale najniepraktyczniejszy z ludzi, który, uległszy pokusie spiskowania na Syberji, pracował gorliwie nad usposobieniem całej swej partji do wzięcia udziału w ruchu.

Więzienia irkuckie napełniły się tymczasem pod koniec 1865 r. przybyłymi z Zachodu gośćmi. W trzech punktach, a mianowicie w więzieniu kryminalnem, dawnym gmachu „Kaziennej Pałaty“ i w szpitalu liczono około 2.000 zesłanych Polaków, którzy wlekli swój żywot w najopłakańszych warunkach, oczekując z wiosną wysłania za Bajkał. Wśród tej masy więźniów rozpoczął swą propagandę zbrojnego ruchu poddany galicyjski, znany pod kilku przybranemi nazwiskami (Malickiego, Michałowskiego i innemi). Gdy go zaś wywieziono za Bajkał i osadzono w Aleksandrowsku pod Nerczyńskiem, skutkiem denuncjacji niejakiego Jermołowicza, zwykłego zbrodniarza Rosjanina, później głośnego szpiega, który się z Malickim przyjaźnił, objął ster propagandy Celiński, ekswojskowy. Zakreślił on sobie zamiar skromniejszy zbiorowej ucieczki przebojem do Buchary, posiłkując się niejakim Arcimowiczem, który przybrał nazwisko Kwiatkowskiego, człowiekiem małych bardzo zdolności, ale na wszystko zdecydowanym. W tymże czasie przybył do Irkucka z Krasnojarska głośny niegdyś przewódca manifestacyj, Karol Nowakowski, który wraz z Rosjaninem przestępcą stanu, Sierno-Sołowjewiczem, zatrzymanym skutkiem choroby w Kańsku, pracował nad przygotowaniem ruchu w gub. krasnojarskiej z udziałem Rosjan.

---

[1]) Rawita Gawroński mylnie go tytułuje doktorem. Dr. Aleksander Szaramowicz (Kijowianin) był stryjem Gustawa i Wacława i jako lekarz w oddziale Edmunda Różyckiego wraz z tym oddziałem wszedł do Galicji.

Karola Nowakowskiego przysłano do Irkucka skutkiem następującej okoliczności. Będąc jeszcze w kijowskiej cytadeli i pragnąc ukryć warszawskie swoje sprawki, nazwał się on w komisji Antonim Waryńskim i pod tem nazwiskiem został skazany do ciężkich robót. W drodze na Sybir spotkał się z rodzonym swoim bratem, ongi bibljotekarzem u Świdzińskiego, w owym zaś czasie braciszkiem zakonu kapucynów (pod przyjętem imieniem Wacława), skazanym na posielenie. Obaj bawili czas jakiś w szpitalu tobolskim w moim oddziale, gdziem też ich bliżej poznał. Tu nastąpiła między nimi na usilne nalegania księdza zamiana nazwisk i wyroków. Ksiądz Wacław został katorżnikiem Waryńskim, Karol zaś braciszkiem Wacławem Nowakowskim, i w tym charakterze osiedlono go w Kańsku. Gdy wszystkich kapłanów, rozrzuconych po gminach Wschodniej Syberji, zgromadzono w Tunce, katorżników zaś stanu duchownego w Akatui, musiał i Karol Nowakowski dążyć do miejsca nowego przeznaczenia i zatrzymać się na czas jakiś w Irkucku, gdy brat jego, pod nazwiskiem Antoniego Waryńskiego, oddawna był w ciężkich robotach w Usolu i mieszkał obok nas jako stróż kaplicy katolickiej. Wkrótce po Karolu Nowakowskim wyprawiono z Kańska i Sierno-Sołowjewicza, który uległ ciężkiemu w podróży potłuczeniu, wypadając z sań, a jako oddawna już chory, niedługo po przybyciu do Irkucka, dokończył żywota w szpitalu. Tym sposobem obrócone zostały wniwecz wszystkie przygotowania krasnojarskie, a nawet ich ślady, ważne bowiem papiery, zaszyte w rękawie futra Sołowjewicza, podchwyciła młodzież wygnańcza, na dany ostrożnie znak przez chorego, w chwili, gdy go do więzienia wnoszono, poczem wyprute papiery nieodczytane pośpiesznie spalono, futro zaś zwrócono intendentowi.

Wszystkie więc pierwotne plany, mające na celu wywołanie zbrojnego powstania w Syberji ze współudziałem w nich Rosjan, zostały niepowrotnie sparaliżowane, dając stanowczą przewagę propagandzie Celińskiego, który nie zaniechał wszakże korzystać z pomocy zwolenników powstania, jak Arcimowicz i Szaramowicz, pozostający zawsze na stanowisku przedstawiciela (starosty) partji, zatrzymanej dotąd nad brzegiem Bajkału w porcie Listwienniczna. Z Irkucka poczęto wyprawiać wygnańców za

Bajkał w końcu maja 1866 r. Pierwszą partję, z sześćdziesięciu ludzi złożoną, wysłano do Kułtuku 29 maja (10 czerwca), drugą do Murymu 30 maja (11 czerwca), trzecią miano wyprawić dnia następnego, ale ogłoszenie w dniu tym manifestu, podpisanego po zamachu Karakozowa, wysyłanie partyj na czas jakiś wstrzymało. Skutkiem bowiem tego manifestu skazanych na lat sześć do ciężkich robót uwalniano na posielenie, wszystkim zaś innym zmniejszono o połowę terminy kary, musiano więc przystosować literę łask do pojedynczych osób i stosownie do ówczesnej mody klasyfikować ułaskawionych. Mimo tę chwilową mitręgę byli już wszyscy po 15/27 czerwca na swoich miejscach. Punkta główne, w których lub około których partje zostały umieszczone, idąc od południa ku północno-wschodowi, brzegiem wschodnim Bajkału, nosiły nazwy następujące: 1) Kułtuk, 2) Murym, 3) Snieżna, 4) Miszycha, 5) Lichanowo, 6) Prorwa, i tuż prawie przystań, o której mówiliśmy wyżej, Posolsk.

Wygnańcy na nowych siedzibach, bez mieszkań, zdrowego pożywienia, na łasce i niełasce komendantów, okradających i traktujących ich po barbarzyńsku, byli w położeniu opłakanem. Mimo to większość uważała porwanie się do broni, niemniej jak ucieczkę, za szaleństwo, nie mające żadnych szans powodzenia. Nie tak wszakże myśleli przewodniczący im i otoczenie tych ostatnich. Gdy więc Celiński, który się znalazł w Miszysze, dał znać Szaramowiczowi do Murymu i Kwiatkowskiemu (Arcimowiczowi) do Kułtuku, iż trwa w zamiarze powziętym i uważa za właściwe zaczynać wybuch od Kułtuku, Arcimowicz rozpoczął go w dniu 24 czerwca (6 lipca) na 25 czerwca (7 lipca).

Nie mam zamiaru powtarzać tu drobiazgowych szczegółów tego zupełnie bezcelowego powstania, jego rozbicia i strasznych następstw dla wygnańców, którym dowiedziono lub których posądzono, że udział w niem wzięli. Postaram się tylko naszkicować jak najtreściwiej przebieg tych najsmutniejszych w dziejach wygnania naszego zdarzeń. Punktem, w którym się ruch rozpoczął, był Kułtuk, miejscowość najbardziej posunięta na południe, gdzie miano budować olbrzymie koszary na 700 osób i skutkiem tego skupiono znaczną ilość wygnańców polskich. Z powodu wszakże denuncyacji o gotujących się jakoby rozruchach znaczną ich część wyprawiono do Lichanowej, resztę zaś podzielono

na trzy partje i te rozlokowano w pobliżu Kułtuku i Muryma. Gdy więc Arcimowicz wraz z towarzyszami powstał, musiał dużo czasu stracić, by pozbierać rozprószonych w kilku sąsiednich punktach współwygnańców, poczem ruszył śpiesznie w stronę Muryma i o tem zawczasu zawiadomił Szaramowicza.

Arcimowiczowi wiodło się narazie wybornie. Wojsko dało się wszędzie bez wystrzału rozbroić, a więc przybywał bezbronnym oręż i amunicja; z koni kozackich, roboczych i pocztowych, uformował się naprędce mały oddział konny, piechota zaś oddaną została pod dowództwo Zarembskiego. Improwizowana kawalerja wyruszyła pierwsza. Rozbrojeni, ale nie uwięzieni przez Arcimowicza kozacy, pośpieszyli donieść o tem, co zaszło, swemu zwierzchnikowi, który wysłał natychmiast sztafetę do Irkucka. W Murymie oczekiwano przybycia powstańców, Szaramowicz więc wspólnie z Eljaszewiczem uprzedzili kolegów i wezwali ich do broni, ale zaledwie kilkunastu z nich znalazło się gotowych do wzięcia udziału w walce. Reszta, mimo nawoływań a nawet pogróżek, odmówiła posłuszeństwa; mała więc garstka tylko pośpieszyła na spotkanie Arcimowicza. Po złączeniu się dwóch tych oddziałków, Szaramowicza okrzyknięto jednogłośnie dowódcą i pod jego wodzą wyruszono do Miszychy, zabierając na stacjach pocztowych, spotykanych po drodze, to, co się dało, a szczególniej konie i zapasy żywności, dzięki czemu zwiększył się mały oddział kawalerji, na którego czele stanął z rozkazu wodza Eljaszewicz z poleceniem dostania się jak najprędzej do Miszychy, odległej od Murymu sto wiorst z górą. Szaramowicz z piechotą podążał w miarę możności za nim.

Nie dojechawszy do wyznaczonego punktu, spotkał Eljaszewicz pułkownika Szaca w towarzystwie kilku oficerów, a nieco dalej pułkownika Czerniajewa, których rozbroił i wziął do niewoli, zachowując się względem uwięzionych z wyszukaną grzecznością, a dotarłszy do stacji pocztowej Miszycha, pozostawił na niej aresztowanych pod dozorem nielicznej eskorty. Takiż los spotkał komendanta Praszutyńskiego, który wypadkiem zboczył na stację. Osada Miszycha położona jest o wiorst kilka od stacji tego nazwiska; w pobliżu tej osady mieściła się w szałasach liczna partja politycznych zesłańców, wśród

której Celiński, oczekując z gorączkowym niepokojem nadejścia Szaramowicza, powoływał wszystkich pod broń, ale z bardzo małym skutkiem. Trzystu kilkudziesięciu więźniów stanowczo odmówiło udziału w przedsiębranem powstaniu i zaledwie mała garstka zgodziła się mu towarzyszyć.

Zamiast oczekiwanego wodza nadciągnął z konnicą Eljaszewicz, a uważając Celińskiego za inicjatora powstania, złożył mu raport o uwięzieniu całej władzy, kierującej robotami na drodze bajkalskiej, tudzież prosił imieniem Szaramowicza, aby go oczekiwano w Miszysze. Celiński uznał to za niemożliwe, skutkiem czego polecił Eljaszewiczowi śpieszny marsz w kierunku Posolska, a chcąc oddział jego wzmocnić, dodał mu 20 jeźdźców i dowódcę plutonu Jakóba Raynera, który był starostą w partji miejscowej i znał dobrze drogi okoliczne, sam zaś Celiński pozostał z piechotą, oczekując przybycia Szaramowicza. Dla uniknienia zaś sąsiedztwa tych, co opór stawili, usunął się na trakt i stanął o kilka wiorst od partji, oczekując zapowiedzianego oddziału. W tymże czasie ci, co postanowili pozostać biernymi świadkami ruchu, uformowali spisy i wysłali je do Czerniajewa i Szaca przez delegatów, prosząc, aby świadczyli o ich zachowaniu się. Celiński, po długiem oczekiwaniu, ujrzał zamiast spodziewanego Szaramowicza powracającego z rannymi Eljaszewicza, od którego dowiedział się, iż się natknął na przednie straże wojsk, przybyłych już z Irkucka do Posolska i podążających ku Miszysze.

Sprawa ta później wyjaśnioną została dokładnie, przyczem okazało się, że skutkiem otrzymanej w Irkucku sztafety zebrano wszystkie, jakie się znalazły konie i wozy, by dwie kompanje piechoty z majorem Rykiem na czele jak najśpieszniej przewieźć do portu Listwiennicznej nad brzegiem Bajkału, skąd, przeprawiwszy się przez to jezioro, stanęły w Posolsku, a przekonawszy się, że tam Polaków nie było, wylądowały bez żadnych przeszkód i po zrobionym przez mały statek rekonesansie i upewnieniu się o stanowisku i sile nieprzyjaciela, wyprawiły najpierw zasadzki, same zaś postępowały wolniejszym nieco, regularnym marszem w stronę Lichanowej. Na tej to stacji zorganizowaną została najbardziej wysunięta zasadzka, która przywitała Eljaszewicza i Raynera gradem kul. Próbowano

zdobyć budynki, ale wobec napotkanych trudności podpalono je, nie wiedząc, iż w zabudowaniach tych mieszkały dwie rodziny wygnańcze; gdy więc poczęły się wydobywać z ognia krzyki rozpaczy, Rayner kazał forsownie wyłamać wrota i tym sposobem wszystkich z płomieni wyzwolił. Gdy zkolei ujrzano w oddali kolumny wojsk rosyjskich, musiano pośpiesznie rejterować się, unosząc rannych. Tym sposobem połączył się pomyślnie Rayner i Eljaszewicz z Celińskim, którego oddział wraz z powracającą kawalerją nie przenosił stu kilkunastu ludzi!

Na radzie, w której wzięli udział Celiński, Pankowski, Rayner i Eljaszewicz, postanowiono cofnąć się do Miszychy, co też uskuteczniono d. 9 lipca wieczorem. Nazajutrz 10 lipca, we wtorek o świcie, ujrzano długo oczekiwanego Szaramowicza; ale gdy nadszedł ze 150 źle uzbrojonymi ludźmi, rozczarowanie było wielkie i powszechne. Rayner usunął się zupełnie. Celiński próbował odwieść od zamiaru szukania zaczepnego boju z Moskalami, radząc natomiast cofać się wciąż ku południowi do granicy chińskiej. Szaramowicz, nazwawszy zachowanie się jego ucieczką z pola bitwy, postanowił sam walczyć z wrogiem do upadłego. Urażony Celiński od tej chwili do niczego się nie wtrącał, ale oddziałowi towarzyszył. O zajściach tych nikt prawie nie wiedział, a nawet wielom nie było wiadomem, kto właściwie był dowodzącym. Szaramowicz, gotując się do walki, podzielił cały oddział na 5 szwadronów po 50 ludzi. Dwa konne i dobrze uzbrojone poddał pod dowództwo Eljaszewicza i Kotkowskiego, trzema pieszemi dowodzili Pankowski, Arcimowicz i Kiedroński, arjergardą, złożoną z resztek kawalerji i piechoty, dowodził Lichtański. Wszystkie te małe oddziałki w dość znacznem od siebie oddaleniu ruszyły w stronę Posolska. W tym marszu spotkała ich burza z deszczem ulewnym, a gdy się wypogadzać zaczęło, ujrzeli pierwsze forpoczty rosyjskie. Dowódca, obawiając się o całość zapasów żywności, pozostawionych czasowo w łodziach na brzegach jeziora, nakazał dwom konnym plutonom cofnąć się i zabrać je niezwłocznie, piechotę zaś rozstawił w zarośłach celem przygotowania zasadzki. Do Szaramowicza, oczekującego krwawej rozprawy, zjawiła się deputacja od partji z Miszychy, która postanowiła, jak wiemy, nie brać udziału w rozruchach, przedstawiając konieczność

cofnięcia się powstańców ku południowi, twierdząc, iż w przeciwnym razie mogą bezbronni ulec najniewinniej wymordowaniu.

Żądanie ich zostało spełnionem i Szaramowicz posunął się o wiorst kilka w stronę Murymu. Celiński jednocześnie udał się cichaczem za konnicą i, gdy ta żywność z łodzi zabrała, przemówił do nich, iż jako dobrze uzbrojeni i w żywność zaopatrzeni, wobec braku najmniejszej nawet szansy powodzenia w walce, winni skierować całą swą usilność, by dokonać zbrojną ucieczkę przez Chiny do Buchary. Wszyscy, z wyjątkiem jednego tylko Eljaszewicza, przyznali mu słuszność i złożyli w ręce jego dowództwo. Eljaszewicz samotny pośpieszył do Szaramowicza z hiobową wieścią o rozdwojeniu, wywołanem postępkiem Celińskiego.

Ryk tymczasem, nie napotykając, na drodze swej żadnych przeszkód, ostrożnie i oględnie posuwał się dalej. Gdy mijał Miszychę, pozostająca tam w biernem oczekiwaniu partja wygnańców prosiła go o wzięcie ich pod swoją opiekę, na co ten przystał i rozkazał po ścisłem zrewidowaniu poprowadzić tych trzystu kilkudziesięciu ludzi na tyły dwóch swych kompanij. Wojsko więc rosyjskie, dumne z łatwo zdobytych trofeów, zbliżało się do miejsca, gdzie złamany na duchu i zrozpaczony wódz powstańców był pogrążony w bezgranicznej apatji, widząc się opuszczonym przez najbliższych w chwili stanowczej. Wyrwał go z tego stanu Pankowski, żądając rozkazów. Szaramowicz polecił mu rozsypać się na czele 25 najlepiej uzbrojonych w zaroślach i ostrzeliwać się Moskalom, którzy coraz gęstsze posyłali strzały, sam zaś z głównym oddziałem, złożonym ze 120 ludzi, bronił mostu na rzece Miszysze. Naturalnie, iż pomimo nadludzkie męstwo i wysiłki tych zrozpaczonych szaleńców, musieli oni wkrótce ulec przemagającej sile, sprzedając drogo swą wolność lub życie. Z wysłanych 25 tyraljerów większość miała po pięć naboi, które wystrzeliwszy niebezowocnie wróciła do Szaramowicza, trzech tylko: Pankowski, Popławski i Żmijewski pozostali na placu.

Ostatni długo szukał śmierci, szerząc ją koło siebie; wkońcu, gdy mu zabrakło naboi, obnażył pierś, wymyślając wrogom od niedołęgów, i ugodzony trzema kulami zginął po bohatersku! Dwaj inni, usłyszawszy za sobą okrzyk: „Jeszcze

Polska nie zginęła", podążyli w stronę, skąd wychodził, i spotkali rozbitków z Szaramowiczem na czele.

Upadający, bezsilni, po trzykrotnym ataku, który próbowali przypuścić do nieprzyjaciela bezskutecznie, szukali schronienia w zaroślach, utraciwszy wszelką nadzieję chwilowego bodaj powodzenia. Na placu boju przy moście pozostał dłużej od innych Mysłowski z dwoma towarzyszami. Tu rzucił się na nich młody i odważny oficer jeneralnego sztabu Porochow, dwóch zabił, ale gdy się z Mysłowskim w ręcznym już boju szamotali, nadbiegł Mazur ranny i cięciem kosy położył na miejscu Porochowa, a gdy podoficer i żołnierz pośpieszyli z odsieczą, i tych obu sprzątnął, puściwszy młynkiem kosę, sam zaś z Mysłowskim podążył wraz z innymi na poszukiwanie Szaramowicza. Wojska rosyjskie stały się panami placu boju i poczęły zbierać zabitych i rannych. Rozbitki ratować się musieli ucieczką, większość wszakże pojmana już w ciągu pierwszych dni, wysłaną została przez Posolsk do Irkucka, ci zaś, co zdołali połączyć się w liczniejsze grupy, uszli narazie pogoni, ale przebywszy w ciągu całych tygodni męki głodowe, wszyscy wkońcu dostali się do niewoli, chwytani przez pograniczne straże rosyjskie.

Szaramowicz ruszył z kilkunastu kolegami na wschód. Zgromadził on wokoło siebie kilku najbliższych, obrawszy sobie za hasło: „Niech żyje Polska", które ochrypłym ze znużenia głosem wykrzykiwał, uchodząc z pobojowiska, a po którym poznawali go towarzysze broni i śpieszyli z nim się połączyć. Tym sposobem znaleźli się w tej grupie: Pankowski, Popławski i Mysłowski ze swoim Mazurem. Celiński, na czele dobrze uzbrojonej setki, uniknął na razie spotkania się z nieprzyjacielem i posuwał się ku południowi. Na stacji Miszycha zabrał straż, która tam była pozostawiona przy uwięzionych dygnitarzach rosyjskich, darząc tych ostatnich swobodą, poczem skierował się ku Murymowi, a dowiedziawszy się, iż esauła kozacki Lisowski na czele 200 kozaków i tyluż uzbrojonych Burjatów zbliżał się w te strony, uznał za lepsze uniknąć z nim spotkania. Tego samego zdania był i przeciwnik, który, nie chcąc się spotkać z Celińskim, cofnął się do Kułtuku i tu go oczekiwał w pozycji obronnej. Lisowski miał z polecenia władz

irkuckich posiłkować Ryka, uderzając na nieprzyjaciela ztyłu; ale gdy się to okazało zbytecznem, pofolgował swej rycerskości, pastwiąc się, jak to wkrótce zobaczymy, nad bezbronnymi wygnańcami w Murymie. Celiński, uniknąwszy spotkania z wojskiem rosyjskiem, podzielił swój oddział na kilka części, sam z trzydziestu wybranymi ruszył na wschód, tegoż kierunku trzymały się i dwa inne oddziały pod Kotkowskim i Zielińskim, a wszystkich bez wyjątku spotkał los jednaki. Cztery oddziały wojsk po 1500 ludzi z artylerją wysłano dla pojmania tej małej garstki, nie o wiele przewyższającej setkę. Nic więc dziwnego, iż nikt ujść nie zdołał. Dnia 2 lipca schwytano partję Zielińskiego, 1 sierpnia Szaramowicza, w parę dni potem Celińskiego, a w połowie tegoż miesiąca Kotkowskiego. Nim zaś to ich spotkało, przebyli męki głodowe, jakiemi żaden fantastyczny Robinson po krajach bezludnych pochwalićby się nie zdołał, a wycieńczeni, obdarci z odzieży i obuwia, okuci na ręce i nogi, bici i poniewierani, odbyli za życia męczarnie piekła, nim się do więzienia dostali, które po tem, co przeszli, za raj uważać mogli!

Takie były straszne dzieje winnych porwania się z bronią w ręku dla odzyskania swobody. Nie o wiele mniej ucierpieli i ci, co wywieszali białe chorągwie i zdawali się na wspaniałomyślność armji rosyjskiej. W Murymie Lisowski pastwił się nad spokojnymi przeciwnikami powstania i grabił ich bez miłosierdzia, a nie rozejrzawszy się dokładnie i po pijanemu, kazał ich do drzew poprzywiązywać i jednego z rewolweru zastrzelił. Również zabił jednego i zranił kilku chorych, pozostających w szpitalu. Zagrabiony cukier i herbatę piło całą noc wojsko, wlewając do kotła całe sztofy spirytusu, a wyprawiając do Irkucka partję murymską, tak się rzeczami zaopiekował, iż wszystkim zwrócono kuferki zamknięte, ale przez dna opróżnione. A chociaż z tych okrucieństw i kradzieży zasłynął, nie przeszkodziło mu to później do otrzymania podziękowań, nagród, rang i orderów. Po dokonaniu tych bohaterskich czynów połączył się Lisowski z Rykiem, a nie mając już nic do czynienia, wyruszyli przez Posolsk do Irkucka. Nieco lepszym był los tych, co się pod opiekę majora Ryka oddali, ale i ich rzeczy uległy strasznemu rabunkowi. Cały Irkuck, nasłuchawszy

się legend i baśni o Polakach, witał ich jako największych zbrodniarzy. Skutkiem tego i pozycja zamieszkałych tam na swobodzie Polaków stawała się nieznośną. Śmierć Porochowa, istotnie bohaterską, ale nie w najlepszej sprawie poniesioną, wyzyskiwano, podnosząc ją do potęgi i starając się ukuć z niej oręż przeciwko naszej narodowości.

Wkrótce rozpoczęto śledztwa, które ciągnęły się dwa miesiące i naturalnie obwiniły prawie wszystkich, przekazując całą sprawę sądowi wojennemu, którego prezesem mianowano jenerała Safianowa, a prokuratorem Milutyna, brata ministra wojny. Posiedzenia odbywały się przy drzwiach otwartych. Wszyscy obwinieni, prócz Celińskiego, bronili się rozumnie, szlachetnie i konsekwentnie, co wywołało współczucie i uznanie wśród publiczności. Gdy sędziowie swą czynność ukończyli, po krótkiej przerwie i naradzie wprowadzono wszystkich więźniów, by im odczytać oddawna przygotowane wyroki, mocą których podzielono ich na sześć kategoryj: do pierwszej zaliczono ośm osób, które skazywano na rozstrzelanie, z drugiej co dziesiątego miała spotkać również kara śmierci, wszystkich zaś pozostałych z tej kategorji skazano na otrzymanie po 80 pletni i ciężkie roboty do końca życia. W trzeciej zwiększono o lat kilka pobyt w katordze. Czwarta skazana była na kajdany do ukończenia terminu pierwotnej kary, piątą, z zupełnie niewinnych ludzi złożoną, poddawano ścisłemu dozorowi w ciągu roku. Szóstą stanowili oczyszczeni i uwolnieni od wszelkich zarzutów.

Jenerał gubernator wschodniej Syberji Korsakow bawił w Petersburgu i tam mu wysłano wyroki do konfirmacji, a że długo nie powracały, spodziewano się ich złagodzenia, tem bardziej wobec oczekiwanych zaślubin następcy tronu z duńską księżniczką Dagmarą; ale i w tym względzie spotkano się z zawodem, który przeszedł wszelkie oczekiwania. Dziwnym zbiegiem okoliczności, potwierdzone wyroki nadeszły na trzy dni przed ślubem młodej cesarskiej pary, a więc wykonanie ich wedle praw obowiązujących wypadało w sam dzień ślubu. Wobec tego władze irkuckie uznały za stosowne odroczyć na dni parę spełnienie dekretów. Przy konfirmacji zaszły nieduże zmiany. Czterech z pierwszej kategorji przeniesiono do drugiej,



Fig. 39. Roman Rogiński, Antoni Rozmanith, August Kręcki, Roman Frankowski, z fotografji zdjętej w Usolu.



Fig. 40. Aleksander Sochaczewski.



Fig. 41. Ksiądz Krzysztof Szwernicki.

w drugiej zniesiono dziesiątkowanie i pletnie. Na śmierć skazanymi zostali: Szaramowicz, Celiński, Kotkowski i Rayner. Dnia 8 listopada 1866 r. egzekucja została spełnioną; wszyscy, nawet Celiński, zachowali się z godnością, czem obudzili ogólną wśród wrogów sympatję i współczucie! [1])

W Usolu dochodziły nas o tem, co się działo za Bajkałem i w Irkucku, spóźnione i niedokładne wieści. Serca nasze krwawiły się, boleliśmy nad losem kolegów, niemniej potępiać musieliśmy lekkomyślny i bezcelowy krok, którego następstwem było zwiększenie cierpień całej masy wygnańców w granicach Wschodniej Syberji. Takt i roztropność naszego komendanta Turowa sprawiły, iż nasze stosunki miejscowe nie uległy prawie zmianie, ale w innych miejscowościach dostrajano się szybko do danego z Irkucka hasła, by stopę polakożerstwa wzmocnić na wszystkich punktach. Cały więc mój okres budowlany, w którym pracowałem nad przerobieniem i wykończeniem nabytego domku, był jednym szeregiem trwożnych i zasmucających wiadomości o wybuchu zabajkalskim i jego opłakanych następstwach, a wśród nich czas jakiś zmorą naszą były te plagi, na które skazano pierwotnie drugą kategorję. Wreszcie dokuczliwe osobiste kłopoty i niespodziewane koszta na ukończenie budowy chałupy naszej przestały nas niepokoić; nadeszła upragniona chwila urządzania się na nowej własnej siedzibie.

. . . . . .

Urządziwszy się na nowem miejscu, powróciliśmy do zaniechanych zupełnie w okresie budowlanym stosunków koleżeńskich. Jako stałe dnie, w których nie opuszczaliśmy domu po obiedzie i wieczorem, by oczekiwać miłych gości, naznaczyliśmy czwartki. Przyjęcia nasze były najskromniejsze. Herbata, chleb czarny żołnierski i trzeci gatunek tytoniu, oto wszystko;

---

[1]) Lasocki podaje o całej tej tragedji wiadomości niedokładne i poniekąd jednostronne. O przebiegu powstania zabajkalskiego dowiedzieć się można dokładniej z dzieła Michała Janika „Dzieje Polaków na Syberji“ (Kraków 1928) i z broszury tegoż autora p. t. „Wołyniacy na Syberji“ (Równe 1931). — Przyp. Wyd.

bardzo rzadko żona moja piekła domowe bułki i te przy herbacie podawano, a jeszcze rzadziej mieliśmy zamiast owoców mrożoną sybirską oblepichę cukrem osypaną i orzeszki cedrowe. Mimo tę spartańską prostotę obyczajów, towarzyskie nasze stosunki z owej doby zaliczam do najmilszych w życiu; poziom bowiem rozmów był tak podniosły, treść zaś ich tak bogata, iż nigdy, ani przedtem ani potem, śmiało powiedzieć to mogę, nie korzystałem tyle z obcowania z ludźmi, jak naonczas! Nigdy też naraz w jednem miejscu nie spotkałem tylu, takiej wartości rodaków!...

Niezależnie od czwartków, które gromadziły w naszym saloniku liczniejsze towarzystwo, łączyły nas bardziej serdeczne stosunki z domem Romanów Bnińskich, ze staruszkiem Ezechjelem Głębockim, jego opiekunem Henrykiem Wohlem, Feliksem Zienkowiczem i Juljanem Kędrzyckim. Żona moja codziennie odwiedzała panią Bnińską i była przez nią odwiedzana. Godzinami całemi w czasie bytności swej u pp. Romanów nosiła na ręku swą chrzestną córeczkę Marylkę, w każdym zaś liście, do rodziny wysyłanym, podnosiła wysoko jej zalety, wdzięk, dobroć i grzeczność, zdradzając w swych zachwytach uczucie prawdziwie macierzyńskie dla ukochanej chrześniaczki. Miała widocznie rację — to bowiem wszystko, co dziś mię dochodzi o Marylce z owych czasów, która obecnie jest już żoną i matką dorastającej młodzieży, usprawiedliwia pokładane w niej przez moją żonę nadzieje. Pani Adamowa z Bnińskich Komorowska-Suffczyńska, jak głosi opinja, jest wzorem kobiet, żon i matek, a młode jej pokolenie zdaje się w ślady rodziców wstępować.

Z kochanym dziaduniem Głębockim i jego synem duchowym i opiekunem, Henrykiem Wohlem, widywaliśmy się również codziennie jako z mieszkańcami naszej oficyny. Zienkowicz, będąc mocno zapracowany i dalej od nas mieszkający, mniej się nam udzielał; za to profesor Kędrzycki, znany czytelnikom z Tobolska, spędzał prawie codziennie u nas wieczory. Raczył on nas łaskawie swemi utworami, bądź z dawniejszych czasów, bądź ze współczesnej doby, a więc na tle warunków wygnańczych w ogólności, usolskich zaś w szczególności, i tym sposobem stał się mimowoli może kronikarzem naszego żywota,

co wybornie określa wierszyk jego, poświęcony pamięci Jowjalskiego, który głosi, co następuje:

Między ludźmi to się zdarza:
Bywa figlarz nad figlarza,
Jeden figlarz figle płata,
Drugi na potomne lata
Figle owe zapisuje,
Ten figluje, ów figluje,
Ten figliki, ów wierszyki,
Każdy miesza swe wybryki.
Gdy ten płata swoje figle,
Czemuż na końcówki igle
Nie ma ich umieścić drugi,
By im wiek zapewnić długi,
By unieśmiertelnić brata,
Co milutkie figle płata!

A więc znaleźć się musiały na końcówki igle każda zkolei lekkomyślność, śmieszność i ponosząca się mierność; biczem zaś swego jędrnego słowa smagał nieubłaganie każde uchybienie względem zachowania godności osobistej i narodowej w stosunkach z władzą i otoczeniem, a tem więcej jeszcze każdy brud i występek. Muza Kędrzyckiego posiadała niewyczerpane zasoby humoru i zjadliwego dowcipu, ale niezawsze umiała zachować w ocenianiu i oświetlaniu faktów bezstronność i umiarkowanie, co mu wielu dotkniętych jego satyrą zarzucało. Pojedyńcze wierszyki, pod wrażeniem pierwszej chwili spisywane, utworzyły zczasem jednorodne grupy, które autor porządkował, a zaopatrując ogólnym tytułem, zamykał w całość spoistą. Zbiór pieśni i wierszyków z lat 1848-52 uważałem za stosowne umieścić w rozdziale II. (Treny Sybirskie). Humoreski (figliki) i przekłady z obcych autorów dołączam do niniejszego rozdziału w dodatkach. W tekście zaś zapisuję te tylko, które, jako okolicznościowe, wymagają sprostowań i objaśnień w odsyłaczach. Przegląd tego rodzaju utworów rozpoczynam od zbiorku, któremu autor dał tytuł ogólny „Chłopomanji". Jest to szereg sylwetek ludzi z 1859-62 r., napisany przed wybuchem styczniowym, uzupełniony drobnemi wierszykami dodatkowemi i dedykacją, skreślonemi już w czasie podróży na Syberję i w Usolu. Oto, jak wyglądał ten tragikomiczny rapsod, malujący dokładnie stosunki i ludzi owej doby, w którym nie brak humoru i soli atyckiej. Nie jest on wszakże wolnym od uprzedzeń i naginania faktów do ustalonych już zawczasu osobistych poglądów.

CHŁOPOMANJA.

(Słowo wstępne do dra W. Lasockiego).

Dawne dzieje smutne czasy,
Pomnisz owe partje, gminy,
I szalone te hałasy
Płochej dziatwy Ukrainy.

Patrząc na jej dzikie ruchy,
Oj, bolałem ja okrutnie!
Widząc, jak marnieją duchy,
Spoglądałem w jutro smutnie.

A to jutro już dziś wczora
Dla tych czasów, dla tych dzieci,
Już nadeszła wspomnień pora.
Szparko, chyżo, czas nam leci.

Oto kilka cierni wieńca,
Którym nosił we dni one,
Kiedy mnie jak potępieńca
Biły bałwany wzburzone.

Dziś już może się nie godzi
Odgrzebywać śmiecie stare,
Ale bolu nie łagodzi
Czas, co przyniósł za grzech karę.

Bo są dotąd między nami
Uporczywi marzyciele,
Niepoprawieni klęskami,
Urojonych krzywd mściciele.

Dni te krwawe, dni żałoby,
Przeminęły dla nich marnie,
Te Sołowiejówki groby,
Te katownie, to męczarnie.

Tylko w dumę ich panoszą,
Tylko jątrzą płoche serca.
Dotąd się z tą myślą noszą,
Że kto szlachcic — ludożerca.

Oto, jak za onych latek,
Co przedjutrzem klęski były,
Spoglądałem na ów światek;
Przyjm to chętnie, bracie miły.

Zapisuję dziś dla ciebie
Ten dziejowy szczątek marny,
Zanim przyszłość go zagrzebie,
Zanim spali stos ofiarny.

I.

Panowie Puryści [1])
Nie tędzy juryści
I sprawę z chłopami przegrają.
Pomimo lwią skórę
Nie lwią ich naturę
Iwasie po uszach poznają.

---

[1]) W innem miejscu nadmieniłem, iż często nieświadomi dokładnie różnych odcieni, charakteryzujących wybitniejsze kierunki wśród ówczesnej młodzieży uniwersyteckiej kijowskiej, łączą ze sobą przedstawicieli zupełnie różnych prądów. Tak też uczynił J. Kędrzycki w swym Nr. I Chłopomanji, zlewając purystów i chłopomanów w jedno. Powodem do tego mogła być ta okoliczność, że Antonowicz przestał być purystą, by zostać chłopomanem, jak przestał być tym ostatnim, by stać się odstępcą swej religji, narodowości i całego zastępu przez czas jakiś ślepo mu oddanej najzacniejszej młodzieży polskiej.

II.

WYJĄTEK Z LISTU DO HENRYKA PODHORODENSKIEGO.

. . . . . Owóż, mój Henryku,
Żyję wśród chłopomanów, tej przyczyny krzyku,
Wrzasku, pisku i gniewu i niemęskiej trwogi,
Która wkroczyła dzisiaj w naszych dworów progi.
Z muchy słonia zrobiono. Poznałem ich zbliska,
Żyjąc wśród Mirmidonów krzykliwych mrowiska.
Nie taki djabeł straszny, jakim go malują.
Strasznych tylko udają, rogi nastawują,
Wrzeszczą na „moszrodziei“ alias na wieśniaków,
Jak ja, Tytus, Asindzi, — na tłum nieboraków,
Naszych biednych marszałków, sędziów, deputatów,
Panów, półpanków, szlachtę i aresztogratów [1])
Słowem na cały biedny szlachecki nasz światek,
Gdzieśmy tyle przeżyli niepowrotnych latek.
Wiele tam licha rośnie i bujnie się krzewi.
Wiele tam wołów, osłów, gawronów, cietrzewi;
Lecz ze świecą nie znajdziesz orła lub sokoła,
Żadnych krwiożerczych ptaków nie napotkasz zgoła.
A ci malcy zuchwali, ci fałszu szermierze,
Przekonani, że szlachcic to drapieżne zwierze.
Mierosławski niedawno dodał im zapału,
Gdy wypalił w Paryżu w paroksyzmie szału
Mowę o mastodontach i o krokodylach,
Głodnych ichtiozaurach i pterodaktylach.
Bestje przedpotopowe snią się im na jawie,
Grożą klęską ludowej, świętej dla nich sprawie.
(Myślą biedne dzieciaki, ślepe niebożęta,
Że prócz nich dla nikogo ta sprawa nie święta).
Biedni! Wiesz, jak umizgi ich przyjmują chamy?
Mówią: — „Ot poduriły, hłuzujut nad namy,
Jak durni odjahnułyś w chołoszni i swyty.
Czorta tam! wydko zrazu, szczo to pański dity,
Batka, każe, zarizu dla tebe, Iwane!
Riż do didka, a mene na diło pohane
Ne pidmowysz. Ja durniom ne buw i ne budu“ [2]).

---

[1]) Ma to oznaczać arystokratów.

[2]) Co znaczy po polsku: „Ot powarjowali, nam na urągowisko, przywdzieli buciska i świty. Djabła tam! zaraz widać, że to pańska dziatwa. — Ojca powiada, zarżnę

Oto świetna opinja! Pracuj tu dla ludu!
Odi profanum vulgus... Lecz to zwykłe dzieje,
Zawsze się z genjuszu gmin prostaczy śmieje.
Z Kopernika szydzono, a Galileusza,
Gdy twierdził uporczywie, że się ziemia rusza,
Wpakowano do kozy. — Nie dziw, że kmiotkowie
Mówią; „naszym paniczom braknie klepki w głowie".
Ot i ja, kiedy słyszę ich mówiących górnie,
Chciałbym rzec: „wielcy ludzie" — a powiadam: „durnie".
Oto ich poczet świetny: pierwszy, Antonowicz,
Szary szlagietka z rodu i ekonomowicz [1]),
Dziś odrodzon w idei, Tacyt ukraiński,
Uczoności książkowej wór benedyktyński,
Z miny kiepska figura, ale w chudem ciele
Wiele pewności siebie, bezczelności wiele.
To Mahomet młodzieży, około którego
Kupi się zgraja ludu, nauki żądnego,
A nie tyle nauki, ile żądnej sławy
Rycerzy i obrońców jakiejś dobrej sprawy,
Don Kiszotów, z wietrznemi wojujących młyny,
Watażków idealnej jakiejś Ukrainy.
Wszystkie te Lewki, Leski, Antony, Fadeje,
Z których lud ukraiński jak z błaznów się śmieje,
To wyznawcy proroka nowego Koranu,
Nieproszone patrony rolniczego stanu.
Jednego mi żal tylko: Po co nasz Stefanek [2])
Brudzi w takiej spelunce życia swego ranek?
Po co to ziarnko pszenne w tej garści kąkolu?
Patrząc nań, krwią mi serce zapływa od bolu.
Ale on się wywlecze z tej błazeńskiej szaty,
Plunie na to charłactwo. To umysł bogaty,
To zadatek dzielnego w ojczyźnie człowieka,
Znajdzie on prostą ścieżkę. Niech tylko nie zwleka,
Bo w tym steku próżniaków, małych „wielkich ludzi",
Zepsuć się nie zepsuje, ale się zabrudzi.

---

dla ciebie Iwanie. Rżnij do diaska! ale mnie na tę brzydką sprawę nie namówisz! — Ja durniem nie byłem i nie będę".

[1]) Ten zarzut jest niewłaściwy i niesłuszny, gdyż Antonowicz był synem pedagoga, a nie ekonomowiczem. Że zaś był szarym szlagietką czyli szaraczkiem, to mu nie ubliża, nawet z punktu widzenia szlacheckiego, wedle którego „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". Wogóle ten jeden wiersz pozostawia po sobie pewien niesmak.

[2]) Stefan Bobrowski.

III.

MORGULEC. [1])

Głupi moszrodziej, ciemięga stary
Mój tato.
Nabroił wiele, nie ujdzie kary
On za to.
Uciskiem ludu nabył przed laty
Swą Tuczę.
Już go, choć młody, w rozum bogaty,
Nauczę.
Stara moralność każe szanować
Siwiznę,
A nie zabrania ludzi zakować
W pańszczyznę.

Dam ci ja stary! niechno nastaną
Wakacje,
Wyprawię tobie ja pożądaną
Owację.
Starego pana, co lud uciska,
Zabiję,
Kmiotek swe święte prawa odzyska,
Ożyje!
Słabe ptaszęta długo ciemięży
Krogulec,
Aż go syn własny wreszcie zwycięży,
Morgulec.

IV.

Razu jednego
Do Wacia Waligórskiego
Przyszedł kolega i rzecze:

„Nakazuje mi Chamiec [2]) zbierać gotowiznę,
Dawaj zaraz trzy ruble, bo to na ojczyznę".
A na to Waligórski: „Bóg z tobą człowiecze,
Skąd ja wezmę trzy ruble? Miła rzecz ojczyzna,
Ale cóż, kiedy w kabzie zupełna golizna.
Nie mam ani grzywieńki, ani pół piętaka,
Ostatniegom dziś rano puścił czetwiertaka".
„Pożycz od Abramowskiej. [3]) Wiem, żeś ty nie kłamca,
Ale jak z próżną ręką powrócić do Chamca?
Weź, skąd chcesz, bo się Chamiec rozgniewa na ciebie".
Tu krzyknie Waligórski: „Gdzież ja ci wygrzebię?
Idź sobie do stu djabłów i wygrzebuj sam;
Niech się gniewa nie Chamiec, ale cały Cham".

---

[1]) O ile sądzę, niezupełnie ta relacja być musi dokładna. Kolegowałem na wygnaniu ze Stefanem Morgulcem i nie przypuszczam, aby mógł dać słuszny powód do nakreślenia w jego imieniu załączonego tu monologu.

[2]) Antoni Chamiec, znany dziś w szerokich kołach dygnitarz austrjacki.

[3]) Abramowska, głośna w czasach moich studenckich lichwiarka w Kijowie.

V.
URYWEK ROZMOWY Z PANEM GORZAŁĄ [1]).

Żółkiewscy i Czarneccy, starzy moszrodzieje,
Z których się postępowy wiek dzisiejszy śmieje.
Zamojscy Chodkiewicze, materjał zbutwiały,
Typy szlachty; niech szlachta śpiewa im pochwały!
Gdzie tu znaleźć u djabła bohatera z ludu?
Szukam i głowę łamię i nic z mego trudu.
Szkoda, żem się nie uczył w Kielcach Polski dziejów!
Hej! palnąłbym poemat na wstyd moszrodziejów!
Gwałtu! gdzie ludowego znaleźć bohatera?
Niech mi go pan dobrodziej koniecznie wyszpera,
Bo to wstyd... Ukraińcy mają niejednego:
Taranienkę, Pawluka, Gontę, Chmielnickiego,
A nam z Korony figa. Kiliński, Głowacki,
Nic nie warci. Poemat wyszedłby partacki,
Bo ci durnie ze szlachtą za jedno trzymali,
Bili dobrze, to prawda, lecz tylko Moskali.
Mnie takiego potrzeba wykopać dziś zucha,
Który byłby wcieleniem dzisiejszego ducha,
Któryby szlachty podłej był zawziętym wrogiem
I wszystkiem poniewierał, nawet starym Bogiem,
Tym nawet pryncypalnie...
To łatwe zadanie.
„Powiedz, jak je rozwiązać, powiedz, drogi panie!
Do śmierci będziesz we mnie miał sługę wiernego".
„To bardzo łatwa sprawa. Obierz Napierskiego!
W całej spiżarni dziejów nie znajdziesz lepszego".
„Napierski? nie słyszałem. Cóż to za Napierski?"
„Toż przecie wasz ideał ludowo-rycerski;
Niech tylko Muza pańska, co trzeba, dokłamie,
W kąt pójdzie przed Napierskim Götz Żelazne ramię".
„Gdzież się o nim dowiedzieć? powiedz mi co prędzej?
Bo już natchnienie czuję, już rymowej przędzy
Snują mi się pasemka cudne, znakomite.
O! palnę moszrodziejom dzieło jadowite!
Gdzież to o tym Napierskim?" [2])
„Czytaj Morawskiego
Pod Janem Kazimierzem"...
„O, bądź pewny tego,

---

[1]) Jan Gorzałczyński, nędznik, później odstępca, a naówczas karjerowicz bez zastrzeżeń, zdradzający na ławie studenckiej to, czem został następnie.

[2]) Kostka Napierski, przywódca zbuntowanego ludu w czasie wojny domowej za czasów Jana Kazimierza.

Że wystudjuję postać ową con amore,
Grubą prenumeratę przedewszystkiem zbiorę
I pieśni ze dwanaście palnę do kontraktów".
„Ależ zaglądnij przecie i do starych aktów".
„Po djabła! Antonowicz powie mi naprędce,
Najwięcej się człek uczy w rozumnej gawędce.
Dziękuję Ci, dziękuję, mój najdroższy panie!
Napierski... nie słyszałem... No, jeszcze pytanie:
Pod Janem Kazimierzem szukać Napierskiego?
Dobrze, będę pamiętał. — Nie pomnę jednego,
Bo mi się te wypadki w głowie pomieszały,
Kto żył pierwej: Jan Kazimierz czy też Leszek Biały"?
„Nie wiesz?! — Ale to fraszka, pisz swoje poema,
Napiszesz arcydzieło, wątpliwości niema"!

VI.

POSELSTWO.

Słyszałeś? — Cóż takiego? — O, ważna nowina!
Poselstwo do stolicy uradziła gmina.
Poselstwo? a do kogo? — Do samego cara,
Szlachta o nic dobrego nigdy się nie stara;
Wprowadzono polszczyznę w gimnazjum dla żaków,
Dla uniwersytetu, dla nas nieboraków,
Nie chciano o katedrę polskiego języka
Przymówić się w adresie... Zgroza nas przenika,
To może za trzy lata... Wiesz, Jasiu kochany,
Nie raptem, jak to mówią, Kraków zbudowany...
Tak, zapewne, facecje!... Czekaj babko latka!
Zaraz się przypnie niezła moszrodziejom łatka!
O to głównie nam chodzi. Pękną moszrodzieje
Ze złości, gdy się młodzież grubo z nich zaśmieje.
Ruszą więc do stolicy Leszek z Kazimierzem, [1])
Ten interes my młodzi na siebie już bierzem.
Kazio z Leszkiem pojadą i w imieniu gminy
Podadzą ultimatum carowi. Z przyczyny
Niedbalstwa moszrodziejów katedry nie mamy
Dla krajowych języków, przeto wymagamy
Katedry dla polskiego i dla rusińskiego
W Kijowie. — „Daruj Jasiu! nie pojmuję tego,

[1]) Leszek Szweykowski i Kazimierz Milowicz podani tu są mylnie i pierwotnie mieli wieść adres (jak o tem mówi Tomasz Burzyński we „Wspomnieniach z czasów młodości") Gustaw Wasilewski, Tomasz Burzyński i Witold Jaroszyński dla podania go cesarzowi; a gdy ten projekt skutkiem intryg Antonowicza upadł, wysłani zostali z innym adresem do Towarzystwa Rolniczego w Warszawie ciż sami oprócz Jaroszyńskiego, którego zastąpił Konrad Paszkowski.

Powiedz, co to za język, ten język rusiński?“
Język ludu. — „Rozumiem: Żargon ukraiński
Dostał awans na język i polskiemu równy“.
Co to równy? ważniejszy. Jest to przedmiot główny,
Dla którego sztyftuje gmina ambasadę.
„Zanieś-że proszę gminie moją zdrową radę,
Niech poselstw nie wyprawia“. — Pytanie, dlaczego?
„Dlatego, że nic z tego nie będzie dobrego“.
„Co ty mówisz?“ — Mój drogi, ja mówię, co myślę,
I taki ambasadzie horoskop nakreślę:
Gdy do cara przyjadą gołobrode posły,
Wiesz co im car odpowie? — „A do książki, osły!“

VII.

SZATAŃSKIE SZTUKI.

Czytałem „Dzień“ moskiewski. Do dziennika tego
Napisał artykulik pan Jan Gorzałczyński,
Ten sowizdrzał, ten nieuk, co Leszka Białego
Mieści po królach Wazach, dziś już ukraiński
Gazetkowy szermierczyk. To mi wiek parowy!
Z szybkością lokomotyw galopują głowy.
Dalipan! ja zrozumieć tego nie potrafię.
Pan profesor Gogocki pisze w Telegrafie,
Że nasz Gorzała dzielny, światły publicysta.
Co się stało dla Boga? To sprawa nieczysta.
Pożal się, miły Boże! biednych moszrodziei,
Broniących sprawy polskiej na Rusi! Zkolei
Wszystkich zwalczy potężny artykuł Gorzały,
Grabowski, bardzo wątpię, aby został cały;
Padalica przepadnie, Duchiński z kretesem
Pognębiony zostanie. Trudna rada z biesem.
A że djablisko swoje tnie piekielne sztuki,
Że on tylko potrafi bez żadnej nauki
Decydować zawiłe naukowe kwestje,
To dla mnie oczywista. W bajkach mówią bestje,
W rzeczywistości piszą. Dowód doskonały
W genjalnych artykułach naszego Gorzały.

VIII.

WIESZCZBY.

Hej, matko Ukraino! uboga ty wdowo!
Rozkrwawią się twe rany zastygłe na nowo,
Oj, smutnąż tobie dolę gotują twe dzieci.

Na jutra twego niebie krwawa łuna świeci!
Opłaczesz kiedyś, matko, dziatek twych pustoty,
Zadatki dzisiaj błahe bolesnej sromoty.
Zaczyna się swawolą, skończy się żałobą.
Niech się Bóg, dobry ojciec, zlituje nad tobą!

IX.

NIEPOPRAWIONY.

(Urywek rozmowy w kozie z Bolesławem Paszyńskim [1]).

Otóż po naszej wojnie. — Cóż, Bolku kochanie!
Skaleczyli cię chłopi?
— Przepraszam, włościanie.
— Mniejsza o to, włościanie. Ale mi boleśnie,
Że cię widzę w więzieniu. Cokolwiek zawcześnie
Po kilku dniach wojenki obaczyć się w kozie,
Wczoraj bić się, a dzisiaj w sromotnym powrozie
Iść przez kraj, urągania podłej zgrai słuchać...
— Po co na lud narzekać? po co gniewem buchać?
Nie ludu wina, jeno podłych moszrodziei,
Tych białych retrogradów, tych wrogów idei;
— Dajmy pokój ideom. Cóż, bardzo cię bili?
— Podobno i głowinę ci nadwerężyli?
— Nie narzekam. Dłoń ludu dotknęła mnie święta,
Ludu ukraińskiego! Nie bolą mnie pęta,
Któremi skrępowali mnie bracia włościanie.
Z naszych cierpień swoboda dla ludu powstanie
— Któż ją da? może Moskal?
— Nam to wszystko jedno!
Realność jest idei czynnicą bezwiedną...
— Mój Boże! co też bredzisz, drogi przyjacielu!
— Wyście nas nie pojęli. Do wielkiego celu
Nie dążyliście z nami.
— No, no! słucham lekcji.
— Pojęcia przestarzałe masz o insurekcji.
Zbrojno powstać, wojować, bić się jak należy,

[1]) Bolesław Paszyński, jeden z ocalonych pod Sołowjówką, następnie skazany do ciężkich robót, które odbył w Usolu; po powrocie do kraju wstąpił na wydział lekarski, który ukończył ze stopniem lekarza. Ożenił się z panną Pruszyńską, córką Oskara, i mieszka na Wołyniu w majątku żony. W całym wierszu, poświęconym Paszyńskiemu, zapoznaje Kędrzycki i stara się ośmieszyć tę gorącą miłość do ludzi, która popchnęła młodzież kijowską do bohaterskiego męczeństwa i dodała jej siły do znoszenia cierpień bez żalu i nienawiści.

Cofać się, napastować, to dzieło żołnierzy,
Nie kapłanów idei. Idea ludowa
Nie ślepą walczy siłą, lecz potęgą słowa.
— Ależ mój Bolku drogi! na dobreś zwarjował,
Któż kiedy z Moskalami kazaniem wojował?
Kto do ludu ciemnego przemawia tak górnie?
Kiedy bić się potrzeba, rozprawiają durnie.
— Ty bo mnie nie rozumiesz. Tyś kęs moszrodzieja,
Nie trafia ci do głowy ludowa idea.
Nie masz wyobrażenia o prawach człowieka.
— Nie!... dłoń ludu ci z głowy nie wybiła ćwieka!

X.

EPILOG.

Pan Siaki-Taki na Sybir idzie,
Klnąc „moszrodziei" siarczyście,
Że zostawiając go w takiej biedzie
Zdradzają kraj oczywiście.
Onego czasu,
Idąc do lasu,
W imię „idei"
Miał zamiar wieszać tych moszrodziei.
Marzył jak temu skórę wykropi,
Tamtemu jak w łep wypali,
Marzył rozkosznie... A wtem go chłopi
Złapali.
I poszedł biedak, spętan w powrozy,
Do kozy.
Na domiar z tego, na domiar szkody,
Sąd go osądził w Sybir, w zawody

. . . . . .

Odtąd już głowa biednego człeka
Nie myśli więcej o „polskiej kwestji",
Klnie moszrodziei i tylko czeka
Carskiej amnestji [1]).

1864 r.

XI.

Co robią luminarze, chłopomanji słupy?
Może w Sołowiejówce butwieją ich trupy?
Albo to oni głupi krew płocho roztrwaniać?
Nie!... Zdrowi, dzięki Bogu, kazali się kłaniać:
Władymir [2]) służbie carskiej nadstawił kark hardy,
Maksym Czarny [3]) wybielał w objęciach Ludgardy.

---

[1]) Ten wierszyk zjadliwy doskonale się może stosować do wielu ludzi, którzy, idąc do powstania, nie rozumieli, co czynili i co ich czekało, ale nie do tej młodzieży, o której tu mowa. Mogła ich obałamucić idea aż do zawrotu głowy i pragnienia męczeństwa, ale nigdy nie zapomnieli o polskiej kwestji i na wygnaniu nie łaknęli amnestji.

[2]) Włodzimierz Antonowicz.

[3]) Tadeusz Rylski.

XII.
DUMKA ETAPOWA.

Biedne ogóły [1]),
Jam bardzo czuły,
Na wasze troski,
Na waszą biedę.
Ja z nich nie szydzę,
Tylko w tem widzę,
Ja dopust Boski
Na mnie biednego,
Człeka grzesznego,
Że z wami idę.

. . . . . .

Przechodzę do wypowiedzenia słów kilka o drugiej grupie, którą Kędrzycki ochrzcił ogólnym tytułem „Usoljady". Geneza jej była następująca. Gdy się w gronie naszem wygnańczem rozpoczęły narady nad zorganizowaniem się towarzystwa, trudno było ludziom, co tak niedawno jeszcze pracowali w daleko szerszym zakresie, przywyknąć do ciasnego koła spraw i interesów miejscowych. Stąd musiała powstać pewna wybujałość projektów, za rozległych może dla skromnych potrzeb więźniów stanu. Tę dysproporcję chwytał skwapliwie i uwydatniał jaskrawie Kędrzycki w swych rymach. Z tych kilku okolicznościowych wierszydeł, opiewających narodzenie ustawy, kas, sądów, a następnie ferowanie wyroków sądowych i rozlicznych usterków i wykroczeń przeciwko etyce wygnańczej, utworzył się ten cykl, który otrzymał miano „Usoljady". Powtarzam tu w całości tę epopeę katorżniczą, polecając ją uwadze żyjących kolegów i koleżanek usolskich, — a gdyby ich zabrakło, ich dziatwie, co się na oczach naszych rodziła, aby się w pamięci tych ostatnich ożywiły i odświeżyły niezupełnie jeszcze zatarte wspomnienia lat dziecinnych.

Pojedyńcze utwory, o których tu mowa, odczytywaliśmy wspólnie z autorem w miarę ich powstawania w roku 1866, a następnie niejednokrotnie w całości. Ofiarując mi Usoljadę w dniu moich imienin w 1868 r., gdy mieliśmy już pewność przeniesienia się do Rosji, zaopatrzył ją autor dedykacją; jednocześnie zaś dwa inne egzemplarze wręczył Aleksandrowi Oskierce i Jakóbowi Gieysztorowi, ze stosownem do każdego z nich wstępnem słowem.

[1]) W więzieniu kijowskiem, mówcy okolicznościowi zwykli byli rozpoczynać swe orędzie od słów: „Ogół pragnie, żąda, wymaga itd.", skąd ich przezwano „ogółami", ale i ten wierszyk nie może się stosować do młodzieży, o której tu rzecz.

USOLJADA.

Do Wacława Lasockiego.

Zbliżyła nas niewola, niewola rozłącza.
Wkrótce żegnać się mamy. Ciebie trójka rącza
Gdzieś daleko uniesie ku ojczystej stronie
Wiatr cię może z rodzinnej niwy tam owionie
I drogie powitają wolności zadatki:
Serdeczny, święty uścisk twej sędziwej matki,
I widok lubych twarzy rodzinnego koła
Radosne łzy po latach cierpienia wywoła.
Oby rychło Bóg ziścił te błogie nadzieje;
Oby tej, która zmienne przeznaczeń koleje
Dzieli z tobą miłośnie, mężnie i wytrwale,
Płużyło odtąd szczęście zasłużone stale,
I po dniach wielu ciężkiej do „swoich" tęsknoty
Powitania ze „swymi" błysnął promień złoty...
Próżen wszelkiej zazdrości, szczerze tego życzę.
Nie dla mnie. o! nie dla mnie te rajskie słodycze,
Nie wolno mi się zbliżyć do rodzinnej strzechy,
Ni mnie lube czekają swojaków uśmiechy.
Zostanę nad smętnemi brzegami Angary
I ciężyć mi podwójnie będzie brzemię kary
Po rozstaniu się z wami, z wami, drodzy moi!
Których przyjaźń tak błogo bole serca koi...
Ha! cóż począć... Z powitań i żegnań się plecie
Pasmo życia człowieka na tym biednym świecie.
Do kropelki słodyczy wiele dodać trzeba
Gorzkich piołunów życia, by tęsknić do nieba,
A nie lgnąć zbytnio sercem do tych doczesności...
Hej! kolczasteż bo róże te ziemskie miłości!...
Ale dość utyskiwań. Przystąpmy do rzeczy.
Kto doznał wiele cierpień, ten mi nie zaprzeczy,
Że na łonie spokoju, gdy pogoda służy,
Nie przykre są wspomnienia po minionej burzy.
Podnoszą one wartość błogiej obecności.
Dlatego kilka chwilek niemiłej przeszłości,
Co nam życie mroczyły, jak żałobne dymy,
Skreśliłem, jak umiałem prostaczemi rymy,
I tuszę, że gdy okiem rzucisz na te karty,
Wskrześnie przed tobą obraz w pamięci zatarty
Wygnańczego żywota; — i pomyślisz sobie:
Było nieco dobrego w tej cierpienia dobie.
Była jedność przekonań i spójnia duchowa,
Była garstka życzliwych, co w sercu zachowa
Dla mnie bratnie uczucie... I na tle Usola

Ujrzysz zacne oblicza Jakóba i Wohla,
Dwóch Józefów, Romana, Felka, Mieczysława [1]),
Niechże przy nich i moja skromna postać stawa.
Memento mei! W takim samolubnym celu
Ofiarujęć ten zwitek, drogi przyjacielu!

I.
USTAWA.

Cierpiącym za ojczyznę w katorżnej robocie
Trzeba najprostszych pojęć o prawdzie i cnocie.
„Dziesięciorga przykazań" tu się uczyć musi
Tłum wygnańców z Korony i Litwy i Rusi.
Biada! gdy nam potrzebna pisana ustawa.
Snać, że bez niej nie można żyć tu podług prawa.
Biada! gdy nam potrzebna księga praw wszechstronna,
A nie świętsza i prostsza reguła zakonna!

II.

Oto pisze się ustawa
Dla Usolan braci,
Już wybrani wedle prawa
Światli delegaci.

Sesja pierwsza dała w zysku
Komunałów krocie
O poważne stanowiska
W katorżnej robocie.

Potem woła na stworzenie
Z ław poselskich frakcji
I solenne wysadzenie
Komisji redakcji.

W tej komisji, jak to bywa,
Niewielkie mozoły.
Jedna będzie szkapa siwa
Pisać protokoły.

Ja to grzeszny będę oną
Szkapiną roboczą [2])
Trza brać szleję narzuconą
Z fantazją ochoczą.

Potem młody legalista [3])
Wnosi mocję żywą,
Że gospodarz aferzysta,
Postępuje krzywo:

Gospodarzy bez opieki,
Bez żadnej kontroli,
Zatachlował gdzieś napieki
I prowenta z soli.

Znów komisja się wysadza
Do kwestji zbadania,
I wyświeca, że nie zdradza
Szafarz zaufania.

Ale z rehabilitacji
Niewielka pociecha;
Złe po całej indagacji
Pozostały echa.

Bo ogóły co najżwawsze
Mówią: „Źle się dzieje!
Ręka rękę myje zawsze,
Taki to złodzieje".

---

[1]) Jakób Gieysztor, Henryk Wohl, Józef Popowski, Józef Kalinowski, Roman Bniński, Feliks Zienkowicz, Mieczysław Siesicki.
[2]) Juljana Kędrzyckiego obrano sekretarzem redakcji ustaw.
[3]) Adam Majewski prawnik.

Mówi jakiś prawnik silny,
Że huf koszarowy
Familijnym daje mylny
Rachunek jatkowy. [1])

Wnoszę zatem, że z tej racji
Przystąpić wypada
Do ścisłej oblikwidacji,
Czy jest w mięsie zdrada?

Długa znowu gadanina,
Djabeł z niej korzysta,
Bo Temidy ślepej syna
Klnie protokolista.

Pora wreszcie czasu skąpić
I do rzeczy walnych,
Do stworzenia czas przystąpić
Komisyj specjalnych.

Dictum factum, zarządowa,
Komisja stanęła,
Po niej skarbu i sądowa,
Wreszcie koniec dzieła.

Stanął wydział oświecenia;
(Kwestja niby walna.
W gruncie żadna, bez przeczenia,
Bo skarb kapitalna).

Owóż światłe te komisje
Każda ze swej strony
Wypełniły swoje misje,
Kodeks ukończony.

Wybiorą się dygnitarze
Do skarbu i rządu,
Do instrukcji luminarze,
Minosy do sądu.

Będzie kasa pożyczkowa
Druga oszczędności,
A oparta ta i owa
Na podatkowości.

W pierwszej będzie grosz do wzięcia
Pod złote zastawy,
Na industrji przedsięwzięcia
I handlowe sprawy.

Druga także coś tam wkrótce
Robić ma dobrego,
Bo ochrzczona też w pobudce
Dobra publicznego.

Świetne mają być korzyści,
Wszystko to być może.
Wszakże nim je przyszłość ziści,
Do bajek je włożę.

Mamy także kodeks karny,
Z winy stopniowaniem,
Z mądrem za czyn wszelki czarny
Kar zastosowaniem.

Lecz to przedmiot idealny;
Djabeł z konstytucji,
Kiedy właśnie sęk fatalny
To brak egzekucji.

I to fraszka, bo oświata
Umoralni ludzi,
Nauczy miłości brata,
Do cnoty pobudzi.

Daj to Boże! z serca życzę
Cnemu ogółowi,
By nasi Bogdanowicze [2])
Moralnieli zdrowi.

Mistrzów grono z odczytami
Świetnie się popisze,
Jeśli do snu „poglądami"
Nas nie ukołysze.

Lecz to przedmiot nadto czuły;
Źle, Muzo, nie rokuj
Niech na lekcjach śpią ogóły;
Chwilkę będzie spokój.

---

[1]) Adam Majewski wniósł kwestję, aby familijni wygnańcy mieli prawo kupowania mięsa wspólnie z koszarami i mogli tym sposobem nabywać go taniej, czego dotąd nie praktykowano.

[2]) Bogdanowicz został na żądanie kolegów wydalony z Usola za brak poszanowania dla VII-go przykazania.



Fig. 42. Stanisław Wiśniewski, Roman Frankowski, Aleksander Abakonowicz, Lucjan Wielobycki, August Kręcki.



Fig. 43. Felicja Mieczysławowa z Kozakowskich Siesicka.



Fig. 44. Z Kraszewskich Bolesławowa Łozińska z synami Józefem i Czesławem, bliźniakami.

Ot, ustawa już gotowa!
Po dyskusjach tylu,
Siwa szkapo, twa w tem głowa
Pomyśl-no o stylu.

Bo w projektów praw odmęcie
Powikłane szyki,
Rzekłbyś, w naszym parlamencie
Zmieszał Bóg języki.

Koniec końcem, wielkie dzieło,
Tuż, tuż się dotwarza...
Aż tu licho podsunęło
Kwestję kalendarza.

Kapłan Dellert na to godzi,
Że głupio się staje,
Gdy dwa razy Bóg się rodzi
I dwa zmartwychwstaje?

Reprezentant duchowieństwa
Wilk w jagnięcej skórze
Na juljanizm szle przekleństwo,
W Koroniarzy chórze.

Ostro gniewnie piorunują
Na kalendarz stary,
Z Mochem tylko ci świętują,
Co nie polskiej wiary. [1])

Nowy styl przyjmuje Rada
Za styl oficjalny,
Ale święta?... Kto ten zbada
Waśni powód walny?

Mojem zdaniem, kapituły
Napróżno się biedzą.
Co w tem z tego, że ogóły
Dwa święcone zjedzą?

Przyjąć oba kalendarze,
Stół postawić długi,
I zjeść mięsa szmat w koszarze
Raz jeden i drugi.

Po co wznawiać próżne waśni,
Co apetyt psują,
Niech po dwakroć tu hałaśnie
Ogóły świętują.

Czy przemoże moje zdanie,
Wielkanoc pokaże,
Przyjmą je, podziękowanie
Żarłocznie wyrażę.

Trzeba kodeks stylizować.
Choć mała ochota
Jak tę mądrość uszykować?
Fatalna robota!

Najgorsze powątpiewanie,
Co dalej zrobimy?
Kodeks papierkiem zostanie,
Życiem zeń zakpimy.

III.

SCRUTINIUM.

Od kilku dni wieczorem prezes nas zaprasza
Do „litewskiej kamery", na kresek rachubę,
Szczęśliwi śmiertelnicy grają w geryłasza,
A my, biedny Komitet, na chwil drogich zgubę
Do redakcji statutu, na sejmie obrany,
Na powtórną katorgę przez ogół skazany,

[1]) Wygnańcy z Korony nie zważając na to, iż byli w diecezji mohylowskiej, gdzie kalendarz juljański był dla Kościoła obowiązujący, nietylko nie chcieli go uznać, ale nadto wymagali od Litwinów i Rusinów, aby wraz znimi mieli kalendarz gregorjański, co było powodem nieustannych sporów.

Ja, Wohl, Jakób, scrutinium obliczać musimy.
Już prezes się wykroił i trzej starostowie,
Teraz długie godziny na sędziów tracimy;
Jedenastu gotowych, ale ci sędziowie
Djabła warci, w niepełnej liczbie apostolskiej,
Kiedyż się ten dwunasty z koperty wykłuje
I stanie kapituła Temidy usolskiej?
Wyłaź dwunasty sędzio! — nie wylezie... czuję[1])!
Prędzej Angara wstecz się cofnie do Bajkału,
Prędzej bez konwojnego wychodzić pozwolą,
Pierwej się ludzka dusza zagnieździ w Moskalu,
Pierwej słońce Podola błyśnie nad Usolą,
Pierwej zgoda zawita pomiędzy Polaki,
Białoruś zrozumiałą przemówi polszczyzną,
Sochaczewski z Gawronkiem[2]), tępe nieboraki,
Przestaną mnie katować swoją francuszczyzną,
Katerla anegdoty powtarzać przestanie,
Dziadunio wieczornego zaniecha wiseczka,
Radca[3]) obrzydzi sobie swe własne gadanie,
Sens będzie miała wszelka naukowa sprzeczka,
Johana[4]) prawdą będą wszystkie kombinacje,
Szczątek chwały narodu mleka chrzcić nie będzie[5]),
Ja przestanę wykładać zakonu konjugacje,
Narcyz[6]) odganiać duchy trapiące go wszędzie,
Zagrzmi na sąd ostatni trąba archanioła,
Nim się sędzia ostatni przewotować zdoła!

IV.

WOKANDA.

Głos woźnego:

Mości Panowie! Uciszcie się!
Zaraz regestr spraw się wniesie.

---

[1]) Jedenastu sędziów obrano szybko, ostatni zaś nie mógł przez czas długi otrzymać większości głosów.

[2]) Aleksander Sohaczewski, uczeń Szkoły Sztuk Pięknych. Gawroński, letkiewicz z Warszawy.

[3]) Radca Tomasz Ilnicki, mąż Marji.

[4]) Jan Swicz, doktór z Litwy przezwany w Usolu „herr Johann".

[5]) Mowa tu o byłym oficerze wojsk polskich z 1831 r., którego nazwiska nie pomnę. Utrzymywał on na wygnaniu krowę i sprzedawał mleko, dodając doń sporą ilość wody.

[6]) Narcyz Jankowski, rodem z Ukrainy, rodzony brat Leonarda, aresztowany w początkach demonstracyj, w więzieniu dostał obłędu, co nie przeszkodziło do wydania nań ciężkiego wyroku i zesłania na Sybir, gdzie ulegając halucynacjom, wciąż odpędzał trapiące go duchy.

1.

ULANOWSKI Z QUASI ULANOWSKĄ.

Pan Ignacy bursz dorpacki
Junak chwacki,
Adept dam emancypacji.
Z onej racji
Wyemancypował boki
Czarnookiej
Kontraktowej swej żony.
Oburzony
Ogół sądu się domaga,
Sprawa naga.
Niema o czem dyskutować,
Wnet ferować
Dekret — i za kobiet bicie
Należycie
Filozofa skarcić trzeba.
Lecz o nieba!
Podług ustaw naszej karty
(Czy to żarty?)
Wina całkiem już osłabła
(Co u djabła?)
Bo delinkwent czekać nie dał,
Żonę sprzedał,
Sam dopłacił — i sowicie —
Jak myślicie?
Święte tutaj mamy życie[1]).

2.

DERĘGOWSKI Z OCHIŃSKIM.

Urodzony Deręgowski z Ochińskim sławetnym
Stawili się obydwa przed sądem prześwietnym.
Sam djabeł nie zrozumie, o co im chodziło.
Dowiedz się tu w Sybirze, co tam w Iłży było?
Sędziowie skłopotani pospuszczali nosy.
Mówi rejent: „Pan burmistrz kradł mi papierosy“
A burmistrz: „Deręgowski najbezczelniej kłamie“.
Biedny sąd próżno mądrą głowę sobie łamie,
Znowu rejent: „Ochiński mnie tu zapakował“.
A Ochiński: „To kłamstwo“. — Sąd zawyrokował,
By ogłosiła władza, qui custodit mores,
Obu przezacnym stronom, że ambo meliores.

3.

HURKO Z CHODOSOWSKIM.

Zemsta jest obelgi córką,
Pan Chosiosio[2]) z panem Hurko
Bili się po pysku.
Cóż z tej bajki w zysku?
Ot, co na tem się zyskuje,
Świat się mówią poleruje.
Co tam Hurce, Chosiosiowi?
Nie wiem, ale nam sądowi,
Zysk w tej sprawie cały,
Że pieniaczom,
Dwom smarkaczom,
Prawimy morały.

---

[1]) Ignacy Ulanowski, przywiózłszy z sobą do Usola towarzyszkę nieślubną izraelitkę, często ją kijem okładał, a gdy mu to za złe miano, wydał ją za mąż za niejakiego Tomkowicza, wygnańca, ale małej wartości, Białorusina, i wyposażył.

[2]) Chodorowski, młodzieniec z Ukrainy, mówił niewyraźnie i nazwisko swoje wymawiał tak jak podaje autor wiersza.

4.

ZĄBKIEWICZ Z ZĄBKIEWICZOWĄ.

Do cudów tego nie liczę,
Że się czasem pobiją państwo Ząbkiewicze,
Lecz, co podziwu godne, godne uwielbienia,
To, że ich naprowadza na ścieżkę zbawienia
Nasz mecenas[1]) co w grzechu sam po uszy siedzi,
A zbłąkane owieczki pędzi do spowiedzi.

5.

MARKOWSKI Z SOCHACZEWSKIM.

Jakie czyny chwalebne zdarzają się w klubie!
Mówiłem, że ten zakład ku czci nam i chlubie.
Tam to Rubens Usola[2]) z nadwiślańskim frantem,
Zakazanych rozkoszy biegłym liwerantem[3]),
Rozpoczęli spór żwawy o cześć zdrowiodawcy,
Chorych niewiast bożyszcza i od śmierci zbawcy[4]).
Spór ten, przy bilardowej rozpoczęty bluzie[5]),
Skończył się tem, że w sieni — co za czyn waleczny!
Artysta frant silniejszy, a zatem bezpieczny,
Artyście malarzowi zamalował w buzię
I dzielnem go na ziemię obaliwszy pchnięciem
Pastwił się jak wilczysko nad słabem jagnięciem.
Otoż sprawa. Na sądzie (ze strony słyszałem
Bo sam na owych rokach szczęściem nie stawałem)
Skarano delikwentów banicją docześnie.
Z Eskulapem zaś sławnym, co sercami włada,
Nie dbając, że pacjentki tem zranią boleśnie,
Postąpiono surowiej[6]). O, biada wam, biada!
Niebaczni karciciele niewinnych igraszek,
Wykręcików dowcipnych i szalbierskich fraszek.
Pozostanie ostro na was od żon podżegany
Hufiec mężów, przyjaciół zastęp zagniewany;
Głośne złożą owacje niewinnej ofierze
Srogości trybunału. Wielki strach mnie bierze,

---

[1]) Kobylański, członek jednego z rządów, nałogowy i do intryg skłonny.
[2]) Aleksander Sochaczewski, uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, niedouczony artysta, zarozumialec.
[3]) Markowski, bardzo lichej opinji zażywający współwygnaniec, warszawiak.
[4]) Oktawjan Jarocki z Wołynia, słynny jako Don Juan Usolski.
[5]) Całe to zajście miało miejsce w klubie wygnańczym, założonym wbrew woli ogółu przez Markowskiego.
[6]) Dra J. skazano na niepodawanie ręki za cały szereg postępków nieetycznych.

Jaki to gwałt się pocznie, jakie będą waśnie.
O, katorgo bezczynna, niech cię piorun trzaśnie!
Gdyby wszechokołodka[1]) albo inne licho,
W naszym dzielnym ogóle znów byłoby cicho.

V.

BURZA.

Znowu na horyzoncie tak długo pogodnym
Rozesłały się chmury, brzemienne gromami,
Znowu ludziom, zgorszenia i zamętu głodnym,
Można się zająć szczerze brudnemi plotkami.
Skąd ta burza? z niewielkiej chmurki, jak to bywa.
Ogóły na sianokos poszły strzelać bąki.
Szambelanica zwiodła[2]) ambicja fałszywa,
Że nie na to urodzon, aby siano z łąki
Dla Moskali gromadził. Jabym mu dał siana
Wiązeczkę na obiadek za takie mniemanie,
Bo on to zbudził furję usolskiego pana[3]),
On to na biedny ogół sprowadził karanie.
Pan gniewny zapakował zarówno do kozy,
Winowajców, niewinnych, Mochów obyczajem.
Owóż zacny parlament pod wrażeniem zgrozy
Krzyknął: „Zanadto Mochom profanować dajem
Nasz honor; trzeba zrobić pewną demonstrację,
Ultimatum, Turowi, by swej konduity
Dał solenną i dla nas korzystną negację.
Co to on sobie myśli, ów Moskal zabity?
Niech prezes mu dowiedzie, że to nie przelewki,
Że to sprawa z ogółem, o swój honor dbałym.
Przeproś, Mochu! I inne równie mądre śpiewki
Dają się w parlamencie słyszeć okazałym.
Próżno prezes[4]) nieszczęsny woła: „Do porządku!“
Próżno niewczesność krzyków onych pokazuje
Zacny Roman[5]) i w imię przemawia rozsądku,
Nikt mowy tej nie słucha, nie widzi, nie czuje,
Że do hańby doznanej sam hańby dorzuca.
Nie pojmują, że Mocha obelgi karczemne
Dusza polska oziębłą pogardą ukróca,

---

[1]) Okołodką nazywano oczyszczanie kotłów w warzelniach soli z żużli, po ukończeniu parowania soli. Oczyszczanie to odbywało się za pomocą dłót i młotków.
[2]) Gabrjel Karwosiecki.
[3]) Komendant usolski Turow.
[4]) Aleksander Oskierka.
[5]) Roman Bniński.

Że Moch musi być Mochem; żądanie daremne,
Żeby stał się kim innym...
Zyskuje milczenie
I wnosi bil mądrości bajecznej Gruszecki,
Bil, który Jakóbowe[1]) wyzwał oburzenie;
Projekt mądry zapewne, ale nieszlachecki,
By tajemnemi ścieżki w Irkucku docierać
Do wyższych władz i uszyć buciki Turowi.
Trzeba po korsykańsku wendetę wywierać,
Z za płotu cisnąć kamień w sam łeb Moskalowi.
Na takie argumenta pióro me omdlewa.
Milczmy, o Muzo moja, nie bądźmy niegrzeczni!
Preopinanta chwalę, niech Olszewski śpiewa[2]),
Rysy jego niech pendzel Katerli uwieczni[3]).

VI.

WIGILJA NOWEGO ROKU 1868.

1.

UWERTURA.

Co to się ze mną stało? Utrapiona wena
Chodzi jak do sławnego księdza de Waldena[4]),
Zmęczyła mię już setnie, niech ją wezmą kaci!
Ile od snu błogiego chwil na rytm się traci!
Ale może biedaczka nie ze wszystkiem winna;
Może ją cudza wola niezgrabnie uczynna
Przysyła w moje progi, dzień, w dzień, uporczywie?
Któż mnie tym ciężkim krzyżem obarcza gorliwie?
Ej! podobno to figle katorżników braci,
Niech im podług zasługi Bóg za to nie płaci!

2.

Zewsząd dają się słyszeć złośliwe przekąsy,
Że nasi u Moskali puszczali się w pląsy;
Cóż w tem złego, gdy żadna nie grozi przygoda,
Gdy wszelkie bezpieczeństwo i wszelka wygoda,

---

[1]) Jakób Gieysztor.
[2]) Olszewski, lichy wierszopis z Ukrainy.
[3]) Katerla, mizerny rysownik z Korony.
[4]) Ksiądz de Walden zasłynął wśród nas ze swych poezyj dzięki drowi Ignacemu Tomkowiczowi, który je często z wielkim humorem deklamował, a szczególnie kazania tego kapłana.

Gdy sumienie z przestrogą „nie wolno“ nie woła,
Gdy posadzka tak gładka, jak tancerzy czoła,
Gdy rozkaz Mocha wzywa do wesołych tańców,
A noga nie zawadzi o groby powstańców!...

3.

MAZUREK.

Tańcujcie Ojczyzny Waszego
Cne Polaki, Niech morderca Pokosztuje
Błaznujcie Zgnilizny I z niego
Nieboraki Złego serca Się otruje[1]).

W następnej serji mieści się kilka sylwetek współwygnańców usolskich i kilka drobnych wierszy okolicznościowych na tle różnicy zdań między Kędrzyckim i tymi, którzy go zrozumieć nie mogli.

1.

STARY FOKA[2]).

Tam miał sługi, cugi. W Płockiem szambelanic.
Tutaj tylko długi. W Usolu nic a nic.

2.

TREN FRANUSIA FOKI[3]).

Bodaj ciebie, bodaj mnie, Poczekajże, paskudnico,
Bodaj nas oboje, Pożałujesz mnie,
Ja cię kocham, ty mnie nie, Białokrwista ty płonico,
Ja swoje, Ty swoje. Będzie z tobą źle!

---

[1]) Zjadliwy wierszyk Kędrzyckiego, w którym niemiłosiernie piętnuje udział wygnańców w zabawach i tańcach u komendanta Turowa i innych urzędników miejscowych, znalazł potężny odgłos wśród większości. Wytknięci palcem kronikarza, tłumaczyli się względami praktycznemi, ale nikogo prawie przekonać nie zdołali. Sami zaś niebawem zrzekali się nowo zaciągniętych stosunków, czyniąc zadość opinji publicznej, która się w tym względzie niedwuznacznie wypowiedziała.

[2]) Nieraz już wzmiankowany szambelanic Karwosiecki.

[3]) Franciszek Zieliński, zwany przez kolegów „Młodym Foką“ z powodu niezwykłego podobieństwa z Karwosieckim pod względem inteligencji. Przytoczony tu wiersz jest niby monologiem jego, po otrzymaniu odkosza od panny Neyman, pasierbicy Adolfa Lipomana (współwygnańca), która przyrzekła swą rękę Romanowi Rogińskiemu, tytułowanemu jenerałem. Zamierzali oni po ślubie otworzyć w Usolu wędliniarnię, i stąd stosowne przycinki w monologu.

Da ci bobu zuch-jenerał,
Gdy weźmiecie ślub,
Świń i wieprzów już nazbierał,
Kiełbasy mu rób.

Wiedząc, co się z tobą dzieje,
Nie zapłaczę, nie,
Choć raz w porę się zaśmieję
Che, che, che, che, che!

3.

DO SĘDZIEGO KAROLA SIEDROCKIEGO.

Sędziuniu płaksiwy,
O jakżeś szczęśliwy,
Za tobą grat stary
(Swiętokradzka sztuka)
Do serca Dagmary

Medalikiem puka.
I wypuka, ręczę,
Amnestję waszmości.
Czego nie wymoże
Potęga podłości?![1]).

4.

TRANSFIGURACJA.

(Dla chybionego Rafaela).

Nieraz się wydarza,
Przyjdzie chwila na malarza.
Gdy nań zlatuje natchnienie,
Twórczą wenę w sobie czuje,
Chwyta węgiel i rysuje
Pawła w Gawła przemienienie.

Przeświadczony o tem zgóry,
Że prostuje błąd natury,
Która nic się nie uczyła,
Żadnych studjów artystycznych,
Ani pojęć estetycznych,
Bo Pawła Pawłem zrobiła[2]).

5.

Nasz pan Maciej[3]) utyskuje,
Że mój talent się marnuje,
Niech mu pan Bóg nie pamięta,
Jakie widzi on talenta
W starym gracie wyszarzanym,
Do katorgi tu przysłanym?
Daruj, panie dobrodzieju!

Braknie we łbie ci oleju,
Jam zbiedzony, pokrzywdzony,
Ze wszystkiego ograbiony.
Czy się waści w oczach dwoi?
Że golizna u mnie święta,
Moskal winien, a talenta
Wytępili we mnie swoi.

---

[1]) Karol Siedrocki, skazany najniewinniej do ciężkich robót na skutek znalezionego u niego arkusika papieru z wodnym znakiem orła jednogłowego w czasie rewizji, nie mógł się z losem swoim pogodzić, wciąż płakał, narzekał, a każdemu spotkanemu oficerowi, podoficerowi i żołnierzowi, opowiadał całemi godzinami o swej niewinności. Siostra zaś jego stara panna, ruszyła konceptem, posyłając młodej następczyni tronu Dagmarze, medalik z Matką Boską Częstochowską, wraz z prośbą o uwolnienie brata, na co nie otrzymała odpowiedzi.

[2]) Wiersz ten stosuje się do Aleksandra Sochaczewskiego, niedoszłego artysty.

[3]) Maciej Smoleński, ziemianin, domagał się od Kędrzyckiego wykładów literatury.

6.

Dalipan, że to krzyż pański!
Sarka na mnie pan Charmański[1]),
Że w moich lichych ramotach
Milczę o usolskich cnotach.
Racja. — Lecz niech się nie żali
Pewno je Weryha[2]) chwali,
I pewnie ma coś słodkiego
Na pochwałę Charmańskiego.

7.

TARTARJA — BARBARJA.

Prostakom, Podolakom, światli Warszawianie,
Raczyli dać łaskawie Tatarów nazwanie[3]);
Cierpmy pokornie, biedni, prości Podolacy,
Za to, iż nam się śniło, że i my Polacy.
Pewnośmy do katorgi za fałsz ten przysłani,
Fałsz, co dumnych Warszawian miłość własną rani,
Nie dość nam za to wielbić w pokorze niebiosa,
Iż Warszawa to znosi, że niebieska rosa
Spada na smug podolski i że słonko Boże
Przyświeca, gdy Podolak swoją skibę orze.
Podolacy! o sobie miejcie myśli zdrowsze,
Nie śmieszcie europejskie swą pychą Mazowsze.
Wy Tatarzy z nad Bohu, ciemni barbarzyńcy,
Równi wam Wołyniacy, równi Ukraińcy!
Litwa i Ruś hreczana za równych was mają.
Dość tego: niechaj z równym równi się bratają,
Niech w zgodzie z rozbiorami myślą Warszawiacy,
Jak myśli car, że oni jedyni Polacy!...

Nie racz pani tych wierszydeł
Czytać przed Koroną,
Boję się ich ostrych szydeł
I mam rację pono.
Żeby mnie nie ogłosili
Sójką w piórach pawia:
„To mi Polak! nie mówili
„Tatarzyn z Bracławia".

---

[1]) Charmański, litwin, wygnaniec usolski, gdera, zarzucał Kędrzyckiemu, że milczy o usolskich cnotach.

[2]) Kolega nasz Artemjusz Weryha, w swym pamiętniku mieścił panegiryki dla osób, które posiadały jego względy. Do niego też odsyła Kędrzycki Charmańskiego.

[3]) Radca Tomasz Ilnicki, mąż autorki Marji Ilnickiej, wielkiej zacności człowiek w dyspucie, mówiąc o Podolu, nazwał tę prowincję Tartarją, czem uwydatnił iście warszawską nieznajomość geografji ziem dawnej Polski i wywołał pełną żółci replikę Kędrzyckiego.

8.

DO JAKÓBA GIEYSZTORA[1]).

(Minus za plus).

Jakóbie!... Ty dodatnio, ja działam ujemnie,
Ty myślą, słowem, czynem, działasz wprost na ludzi,
Ja stoję na uboczu. Co się dzieje we mnie,
Jakie czucia nędz ludzkich widok we mnie budzi,
Składam niekiedy w pieśni luźnej upowiciu.
I rzadki ten wybrany, przed którym wypowiem,
Jakiem rany przebolał w mem samotnem życiu,
Jakie burze miotały duszy mej pustkowiem...
Jakóbie! ty mnie mieścisz w tłumie obojętnych?
Bóg ci przebacz! wysoko twoje zdanie cenię,
Dlatego ci narzucam kilka słów natrętnych,
Może niemi twe zdanie o sobie odmienię.
Z tych kilku słów obaczysz, że od lat młodości
Jam nie był zimnym widzem nędzy moich braci,
Że mnie zawsze raniły pociski płochości,
Że polscy przeniewiercy byli moi kaci!
Że bezsilny do walki, za ubogi w duchu,
By jawnie rozwinąwszy sztandar myśli polskiej
Od braci dla słów moich wymagać posłuchu,
Katorżnik, tam podolski, jak tutaj usolski,
Samotny gryzłem pęta, bolesnemi śmiechy
Łkaniem tłumił serdeczne...
Patrz, te gorzkie męty
Do ust moich podały braci moich grzechy,
Podał niewoli szatan, carski brat przeklęty!
Swoi, obcy, zarówno duszy mojej kaci...
Odwołaj potępienie — Bóg ci to zapłaci.
Czy śmieję się, czy płaczę, nigdy obojętnie!
Jakóbie! wierz — i minus za plus przyjmij chętnie.

9.

DO ALEKSANDRA OSKIERKI.

Oto dziejów usolskich jaskrawsze momenta;
Na złość sercu to wszystko ma głowa pamięta.
Widzisz, bracie mój drogi, żem ciągle w ukryciu
Przypatrywał się pilnie wygnańczemu życiu;

---

[1]) Jakób Gieysztor, jeden z członków Rządu Narodowego na Litwie — zacny, prawy i pełen cywilnej odwagi człowiek, straciwszy całe mienie, po powrocie do kraju założył w Warszawie wzorową antykwarję i wydał kilkanaście numerów cennego katalogu.

I gdym z każdej okazji nędzny wierszyk wykuł,
Zebrał się luźnych rymów niemały fascykuł.
Nie posądzisz mię, bracie, że zgorszenia chciwy
Cieszyłem się z tych błazeństw, jak w kniei myśliwy,
Gdy nań bieży zwierzyna od gończych ścigana.
Nie cieszyła mnie rola moja opłakana,
Rola historjografa rzeczypospolitej
Usolskiej, w skandaliki gorszące obfitej...
Na odparcie zarzutów, które mi czyniono,
Że patrzę obojętnie, z twarzą przekrzywioną
Uśmiechem sarkastycznym na braci wybryki,
Muszę tu zacytować me własne wierszyki,
Którem pisał ze wspomnień, lat dziesiątków pary,
Jakóbowi naszemu składając ofiary,
Na dowód, jakom nigdy, nigdy obojętnie,
Nie patrzył na mych braci występki i nędze
I skrzętnie zapisywał w pamięci mej księdze.
Śmiać się z chorób społecznych, niewielka to chluba.

Odczytując uważnie Usoljadę, łatwo się przekonać, iż Kędrzycki był stanowczym przeciwnikiem wszelkich pisanych ustaw dla wygnańców, proponując zastąpić je regułą zakonną. Niemniej zamiast sądów i wyroków uważał za właściwsze karcenie wykroczeń żywem i pisanem słowem. Co do mnie, zgodzić się z nim nigdy pod tym względem nie mogłem, jako też większość znaczna naszego usolskiego stowarzyszenia wygnańczego. Ustawa nasza, jak wszelkie dzieło ludzkie, nie mogła być doskonałą, ale skreślona przez ludzi najszlachetniejszych i o cześć rodaków na obczyźnie dbałych, musiała mieć wielką praktyczną wartość; pragnąłem też ją w całości tu powtórzyć; niestety, mimo starannych i mozolnych poszukiwań, nigdzie jej dotąd odszukać nie mogłem. Pióro Kędrzyckiego zyskiwało uznanie w coraz szerszych kołach. Dotknięci tylko żądłem jego dowcipu poczęli mu wymyślać od bocianów, świat oczyszczających. Chcąc cięcia swych przeciwników sparować, puścił pan Juljan w obieg swoją „Spowiedź", w której bijąc się w piersi wylicza swe śmiertelne, powszednie i cudze grzechy z zupełną otwartością, ale poprawy nie obiecuje. Odchodzi więc od konfesjonału pełen zawstydzenia, nie oczekując nawet rozgrzeszenia. Spowiednikowi zaś swemu, to jest „ogółowi usolskiemu", ciska odchodząc pękiem słów żółci pełnych. Pozwalam sobie zdra-

dzić tę spowiedź szanownego profesora, przytaczając ją dosłownie, co mi za złe być wziętem nie może, albowiem odbyła się ona publicznie.

SPOWIEDŹ.

A tyż, co na zdrożności cudze tak powstajesz,
Jestżeś czysty, czy tylko czystego udajesz?
Ty, co każdemu głupstwu poświęcasz wspomnienie,
Nic-że ci nie wyrzuca twe własne sumienie?
Warto, chcąc, byśmy byli i lepsi i szczersi,
Swe własne wyznać grzechy, uderzyć się w piersi
I poprawę obiecać. Jedyny ratunek
Od zarzutu oszczerstwa sumienia rachunek,
Żal za grzechy głęboki i pokorna skrucha.
Mówmy więc: W imię Ojca i Syna i Ducha
Świętego. Amen. Grzeszny człek wyznaję tobie
Szczerze, jak zawsze zwykłem, gdy wyznanie robię,
Tobie, najwyższa władzo, usolski ogóle,
Który kąsam serdecznie, bo miłuję czule,
I wam, co obowiązki przyjaźni pełnicie
Sumiennie, bo tak dobrze me błędy widzicie,
Obmawiacie zaocznie z cywilną odwagą,
W oczy rad nie skąpicie, a zawsze z powagą.
W imię publici boni, wam, których tak wiele,
Spowiadam się otwarcie, drodzy przyjaciele,
I tobie, ojcze w duchu, najżyczliwszy z mnóstwa,
Co chcesz, bym się pokłonił bogini ubóstwa,
Ubóstwa, w którem główna grzechów mych przyczyna.
Moja wina! o, wielka, bardzo wielka wina!
A teraz, szczegółowe grzechów dam wyznanie,
Żałując jak najszczerzej i najgłębiej za nie.
Do zadośćuczynienia sił w sobie nie czuję,
Więc poprawy, cóż robić? ha! nie obiecuję.
Jestże wyznanie szczersze, lub szczerością równe?
Oto są grzechy moje: naprzód grzechy główne,
Od nich inne pochodzą, jak niezdrowe dziatki
Od rodzica pijaka i hultajki matki.
Pierwszy: żem nieżonaty, drugi niebogaty,
Trzeci — niedouczony, czwarty — zadłużony,
Piąty — brzydki jak djabeł, szósty — jak świat stary,
Siódmy — słaby na kuchni i kobiety czary.
(Żem skrzywdził robotnika, nie wyznam przed nikim,
Bo sam w piecu palącym jestem robotnikiem).
Nie zapłaciłem sługom, bo sam jestem sługą.

Próżnuję dnia połowę, nic nie robię drugą,
Tyle że rudimenta morduję z żakami,
A nie chcę do odczytów brać się z poglądami.
Sąsiadów czasem swemi wierszydłami nudzę,
Takie są grzechy własne, teraz grzechy cudze:
Zgorszenie cnotliwemu daję ogółowi,
Biegając... gdzie? i dokąd? Milczę. Niech to powie
Grono moich przyjaciół tak na mnie łaskawe,
Że na zdźbło w mojem oku spojrzenie ciekawe
Pilnie zwraca i tem się bynajmniej nie biedzi,
Że w oku swojem własnem jołtysza nie widzi.
Niechże powie, dlaczego, nie żałując nóżek,
W prywatnym interesie biegam do wsi Łużek.
Oto grzech cudzy, pierwszy, ale nie ostatni.
Nieraz na pokuszenie wiodę ogół bratni,
Gdy szczęśliwszy od wielu szczęścia zazdroszczących,
Widzę twarze Mochówien orzeszki gryzących.
Twarze te: Jagni, Oli[1]), do mnie tak ponętnie
Uśmiechają się czasem i mrugają chętnie,
Że mi inni zazdroszczą takich miłych związków.
Gorszę też nie pilnując moich obowiązków,
Bo na poważną sesję wezwany sądową,
Gdy inni perorują, senną kiwam głową,
Nie robię, czego robić, widzi Bóg, nie mogę,
Choć mnie na tę spadzistą popychają drogę;
Mówią mi, że nauki posiadam ja sporo,
A dzielić się nie kwapię. Mnie aż złości biorą.
Przysięgam im, że w głowie mam sciencji szmatki,
Że sukni Arlekina to pstrokate łatki,
Że: non dat qui non habet. „Gdzie tam! tyś uczony!"
Wołają jakby na złość — „lecz rozleniwiony,
Wolisz klepać lekcyjki łatwe z dziewczętami
Za pieniądze, niż darmo i to z poglądami
Odczyty ogółowi należne odbywać,
Na których ogół raczy uważnie poziewać,
Póki aż nie zachrapie, syt uczonych bredni —
Oto grzech jegomości i grzech niepośledni!"
Niech tak będzie. Obroną przyjaciół nie znudzę,
Wyznaję wszystkie grzechy, i swoje i cudze,
Zgrzeszyłem ciężko myślą, mową, uczynkami,
Wszelka nieprawość duszę tłoczy mi i plami,
Więc od konfesjonału pełen zawstydzenia
Uciekam, nie czekając nawet rozgrzeszenia.

---

[1]) Panny Kołominówny, córki właścicielki domu, gdzie mieszkali Bnińscy.

Ten pozorny akt skruchy wystarczył, aby rozbroić rozżalonych przeciwników. Dano pokój Kędrzyckiemu, szczególniej po odczytaniu nowego jego utworu noszącego tytuł: „Elegja", w którym maluje swoje cierpienia wśród nieestetycznych warunków wygnańczego żywota.

ELEGJA.

Takiż to los mój uczyć konjugacji,
Codzień Urszulce linjować zeszyty,
Słuchać wokabuł i multyplikacji
Wyłuszczać żakom mechanizm ukryty,
A po tak miłej sercu okupacji
Mocha małego twardszej niż granity
Szlifować jeszcze szorstkość mózgownicy
I spijać kirpicz przy łojowej świecy.

Takiż to los mój, za trud całodzienny,
Mojej szlacheckiej przeciwny naturze,
Słuchać od Wohla wyrzut nieodmienny,
Że nie chcę bajać o literaturze,
Że choć mam umysł w wissenszafty plenny,
Jak inni mędrcy, czort wienieco bzdurzę:
By stało o mnie w pismach Artemjusza:
„Pan Juljan kwestje głębokie porusza".

Takiż to los mój — wieczorną godziną
Nie Podolanki oglądać nadobne,
Ale moskiewską bawić paplaniną
Kołominówny, jołtyszom podobne.
I ziewać patrząc, jak z baranią miną
Te czarodziejki łuszczą ziarnka drobne
Cedrowych szyszek i dostają czkawki
Od umysłowej tej miłej zabawki.

Kiedyż się skończysz niewolo przeklęta?
Kiedyż wrócicie wieczory kijowskie?
O których serce tak żywo pamięta,
Gdym „białe kruki", rupiecie rakowskie,
Skrzętnie wertował, a samotność święta
Mnie otaczała, albo purystowskie
Śledziłem brednie w duchu propagandy,
Lub grałem w ramsa u hrabiny Wandy.

Kiedyż Podole obaczę rodzinne,
Gdziem lisy tropił i ścigał zające,

Lub zabłąkany w lewady pustynne
Pasiekim zwiedzał rojami brzęczące,
Albo wstąpiwszy w podwoje gościnne,
Pasztety zjadał i trufle pachnące,
Lub w imionniku prześlicznej panienki
Pisał koncepta i tęskne piosenki.

O wróćcie, wróćcie, czarujące chwile!
Daj się obaczyć, kraju polskiej Rusi!
Bo nim odpocznę w usolskiej mogile,
Kiedy mnie zapach omolów udusi,
Albo fatalnie, jak ogółów tyle,
Do matrymonjum Mochówna się skusi,
Albo narobię szalonych breweryj
I zwiedzę jeszcze głuchszy kąt Syberji!

Elegja ta, poparta całą serją „Trenów sybirskich", jednała coraz większą sympatję poecie, mimo złośliwe ukłucia, tym i owym szafowane, z któremi powoli oswajano się, a wkońcu pogodzono tem łatwiej, iż utwory Kędrzyckiego za obręb koła usolskiego nie wychodziły. Na zakończenie, przytaczam tu mały dykcjonarzyk prowincjonalizmów, nagromadzonych z różnych zakątków polskich w zaborze rosyjskim. Są one umiejętnie ułożone w czterech strofach rymowanych, z których pierwsza poświęcona Litwinom, druga Koroniarzom, trzecia Rusinom, czwarta Białorusinom. Miała to być niby rozmowa, podsłuchana na rynku usolskim; właściwie zaś napisał ją Kędrzycki, gdy mu dokuczyły różne prowincjonalizmy.

ROZMOWA W USOLU.

Żmudzin:

Ani wiedziauszy, komu tam jedzie,
Kazał Kunigas na wojnę ruszywszy,
A teraz w nędzy i ciężkiej biedzie
Dopioro widzę, że głupstwo zrobiuszy.

Mazur:

Bogać tam głupstwo, abo mi źle!
Jem sy omole, choroba wie co,
Jołtyski ciągam i pęcki tnę.
A Mochy psiakrew, bić mnie nie śmią.

Wołyniak:

Zak to połóżmy, lecz, coby nie było,
Taki ja w siebie weselszy był,
Bo zawżdy w Polszcze lepiej się żyło,
Człowiek horował, ta jadł i pił.
A tutaj, w podłej moskiewskiej oborze,
Czysta pohybel, pożal się Boże!

Białorusin:

Tak to kochaniński, bardzo żałuję,
Za to to teraz ja pokutuję
Żem jurknął w świrnę przed rotą Moskali,
Kiedy po naszych strzelali.

. . . . . .

Czyniąc przegląd i przytaczając utwory dziś już w Bogu spoczywającego towarzysza wygnania, pozwoliłem sobie wyprzedzić nieco czasy i wypadki, na których zatrzymało się moje opowiadanie, wpisując tu te poezje, które wyszły z pod pióra autora w latach 1867-68. Uczyniłem to, by mieć nietylko słuszny powód niepowracania do wyczerpanego już przedmiotu, ale i dlatego, że chciałem skupić w jednem miejscu niniejszego rozdziału jako też w jego dodatkach wszystko, na co się Muza Kędrzyckiego zdobyła w Usolu i utworzyć tym sposobem jednolitą całość, stanowiącą przyczynek do dziejów piśmiennictwa polskiego na wygnaniu. Nosząc się zaś oddawna z myślą spisania moich wspomnień, miałem daleko więcej na celu ogłoszenie zebranych w ciągu całego życia, a nigdzie nieogłoszonych wierszy okolicznościowych i poezyj, skreślonych ręką moich kolegów uniwersyteckich, jak: Tadeusz Komar i Stanisław Miaskowski, tudzież towarzyszy wygnania, jak: Ignacy Tomkowicz i Juljan Kędrzycki, aniżeli zajmowanie uwagi czytelnika dziejami mego skromnego żywota. Były chwile w mem życiu, w których zamierzałem zaniechać pamiętnika, wydając natomiast pamiątkowe zbiorki z życiorysami i portretami autorów. Ale obawiałem, by one nie były anachronizmem wśród zupełnie odmiennych współczesnych prądów, i to mię do pierwotnego zamiaru spisywania moich wspomnień skłoniło. Przystępując do spełnienia tego postanowienia, pragnąłem, aby opowiadania



Fig. 45. Adam i Zuzanna z Pawłowskich Majewscy.



Fig. 46. Mieczysław Siesicki.

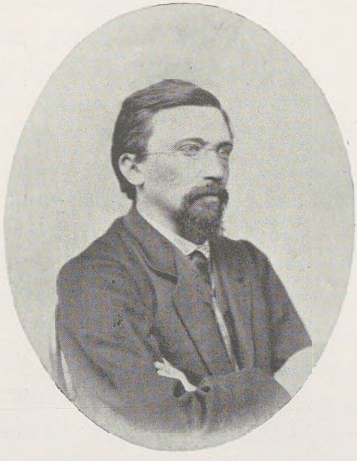


Fig. 47. Bronisław Mackiewicz.



Fig. 48. Jakób Gejsztor.

moje stworzyły tło właściwe i obramowanie stosowne dla utworów moich kolegów, a tem samem uchroniły je od zarzutu niewspółczesności.

Dziś, gdy praca moja dobiega prawie końca, cieszy mnie, iż zdołałem spełnić zadanie moje najgłówniejsze, a mianowicie złożyć hołd moim zmarłym towarzyszom, zabezpieczając ich prace od zapomnienia i niebytu i dodać im większej wartości za pomocą stosownych a koniecznych objaśnień, czytelników zaś przenieść w owe pełne piękna i grozy czasy, z których coraz mniej napotyka się żyjących rozbitków, zdolnych dać świadectwo wymowne temu, na co własnemi patrzyli oczyma. Kędrzyckiemu poświęcam nadto na tem miejscu słowa szczerej podzięki za to, iż wpływał na nas oboje jako codzienny gość dodatnio, podnosząc nieustannie stopę naszego samokształcenia w kierunku rzeczy i spraw narodowych, co niemało oddziaływać musiało na nasz sposób zapatrywania i postępowania wśród dalszych życia kolei.

Przyznając w imię słuszności, iż w gronie naszem było wielu ludzi cnotliwszych, głębszych, obdarzonych silniejszą wolą i niezłomniejszym charakterem, tudzież wolnych od wszelkich prawie ludzkich słabostek, twierdzę zarazem, że łatwiejszego i milszego, mimo wyższe wykształcenie towarzysza, jak pan Juljan Kędrzycki, nie znałem. To też zawdzięczaliśmy mu niemało chwil miłych, spędzonych wspólnie na odczytywaniu arcydzieł swojskich i obcych, jego własnych utworów, na rozmowach, dysputach, wreszcie opowiadaniach, któremi umiał przykuć naszą uwagę, a które wybornie malowały niedawno minione czasy jego młodości. Raz więc jeszcze, jako dowód wielkiej dla zmarłego wdzięczności, wyrażam moje pragnienie, aby mu ziemia lekką była za ten wpływ zbawienny i ożywczy, jaki miał nietylko na nas, ale i na wielu innych, w chwilach najcięższej epoki naszego wygnania.

Staropolski i patrjotyczny a pełen powagi dom najbliższych naszych sąsiadów, hr. Romanowstwa Bnińskich, stanowił dla nas młodych budujący pod każdym względem przykład; córeczka zaś ich Marylka koiła nieuleczalną ranę naszej bezdzietności, czyniąc ją mniej dotkliwą. Z lokatorami naszej oficyny, najczcigodniejszym staruszkiem Ezechjelem Głębockim, i jego

opiekunem serdecznym, Henrykiem Wohlem, łączyły nas najlepsze i najbliższe stosunki; z ostatnim zaś z nich staczaliśmy niejednokrotnie zacięte dysputy w kwestjach bieżących, politycznych i społecznych. Najtrudniej nam było pogodzić się co do poglądów na politykę Anglji względem kolonij od niej zależnych i Irlandji. Mój przeciwnik był bezwzględnym wielbicielem kultury angielskiej i spokojnie patrzył w przyszłość państw i ludów od Albojnu zależnych; mnie niecierpliwiły stosunki bieżącej chwili i nie chciałem się pocieszać daleką przyszłością. Stąd powstawały zawzięte spory, w których mnie ówczesna gorąca krew moja unosiła, Wohl zaś spokojem i logiką swych argumentów zazwyczaj mnie pokonywał.

Późną jesienią 1866 roku przybył, skazany na lat 10 do ciężkich robót w Usolu, kolega mój z kijowskiego uniwersytetu, książę Włodzimierz Światopełk Czetwertyński, z którym tu po raz pierwszy spotkałem się od chwili wyjazdu z Kijowa. Zamieszkał on wraz z Kędrzyckim w tym samym pokoju, w którym my przemieszkaliśmy kilka miesięcy, w czasie przebudowywania i wykończania naszego domu. Zaprosiłem go nazajutrz po przybyciu na nasz skromny przez kolegę Jezierskiego ugotowany obiadek, który mu po podróży smakował. Bywał on nierzadkim gościem naszym w ciągu krótkiego pobytu swego w Usolu, skąd ułaskawiony, już na wiosnę roku 1867 wyruszył do Penzy na mieszkanie. Na wsiadanem wpisał do mego albumu kilka serdecznych wierszy, zakończonych słowami: „Et ego in Arcadia fui", a Arkadją tą miał być Usol.

Obok tych najbliższych stosunków mieliśmy nieco dalsze, ale niemniej zażyłe z kilku domami kolegów usolskich. U Siesickich bywaliśmy stale w poniedziałki, u tych zaś, którzy jak Gruszeccy, Morzyccy, Krupscy, Oskierkowie, Wielohorscy, Smoleńscy, Bratyńscy, Majewscy i inni, dni stale oznaczonych nie mieli, bywaliśmy w miarę możności w dość znacznych odstępach. Swięta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy gromadziły nas zazwyczaj w daleko liczniejsze grupy, ale na tych ludnych zebraniach rzadko bardzo prowadziły się rozmowy poważniejszej treści. Większość mężczyzn zasiadała do gry w karty, reszta dzieliła się na drobne koła i kółka, gawędząc o sprawach i rzeczach codziennych a powszednich, mających związek z praktycznem życiem.

Pozostaje mi tu jeszcze powiedzieć słów kilka o tych kolegach, z którymi spotykaliśmy się rzadko, lub wiedzieliśmy tylko o sobie. W początkach niniejszego rozdziału mówiłem już pokrótce o wszystkich prawie rodzinach polskich, czasowo zamieszkałych w Usolu, jako też o wszystkich wygnańcach lekarzach. Tu więc w kilku wyrazach skreślę sylwetki, lub wypiszę nazwiska wybitniejszych w naszem ówczesnem towarzystwie osobistości, aczkolwiek mniej z nami zbliżonych i zestosunkowanych.

Co do kapłanów rzymsko-katolickiego wyznania, tych w pierwszych po naszem przybyciu chwilach było kilku z Korony i Litwy, a mianowicie księża świeccy: Rohoziński, Delert, Rozwadowski, Kaczorowski, Manelski, Syrwid, Stulgiński i braciszek kapucynów, Wacław Nowakowski; ale wkrótce, gdy manja klasyfikacji więźniów stanu opętała władze irkuckie, wszystkich, prócz dwóch ostatnich, zabrano do Akatui. Stulgińskiego stan kapłański przeoczono, zapisanym był bowiem w rejestrach katorżników, nie jako duchowny szlacheckiego pochodzenia, ale jako szlachcic ze stanu duchownego, i to go ochroniło od wysłania do Akatui. Przybrał on, jak wspomniałem, przy zamianie z bratem papierów nazwisko Antoniego Waryńskiego, pod którem się Karol Nowakowski ukrywał. Ks. dziekan Stulgiński, obawiając się, by stanu jego nie odkryto i do kapituły w Akatui nie zapakowano, zapuścił sumiaste wąsy, nosił się po szlachecku, cichutko mszę św. w domu Antoniowstwa Jeleńskich odprawiał, a w chwilach wolnych polował, sadził drzewa i kwiaty nie gardząc partyjką; wkrótce zaś stał się głośnym jako usolski Herkules. Niczem dlań było, pochwyciwszy za wierzchołki dwa młode drzewka, wyrwać je bez żadnego wysiłku z korzeniami. Jednocześnie krążyła o nim anegdota, iż zoczywszy złodzieja, zakradającego się do domu Jeleńskich, gdzie mieszkał, ułatwił mu wejście do pokoju, tam go zamknął, a uzbroiwszy się w kij dębowy, począł go nim okładać; zmęczywszy zaś prawicę, wypuścił go na podwórze i pędził swą laską do parkanu, nie szczędząc jeszcze kilku pożegnalnych potężnych razów, w chwili, gdy przesadzał parkan. Złodziej ów opowiedział o swej przegodzie kolegom i zniechęcił ich do dalszych nastawań na całość skromnego polskiego mienia w Usolu.

Wśród licznego zastępu wygnańców z Kongresowej Polski, oprócz tych, o których już nadmieniałem, wyróżniali się: Tomasz Ilnicki, Piotr Kobylański, Henryk Bąkowski, Aleksander Pawłowski, Leopold Czapiński, Władysław Bogusławski, Roman Rogiński, Roman Frankowski, Augustyn Kręcki, Paweł Eckert, Stanisław Wielobycki i inni. Z nich Tomasz Ilnicki, mąż redaktorki Bluszczu i poetki Marji z Majkowskich, kasjer Rządu Narodowego w czasie dyktatury Traugutta, nieskazitelnej cnoty człowiek, począł wygłaszać dziwaczne zdania i opowieści, których edycję dla dam częstokroć trudnoby sporządzić. O słońcu syberyjskiem wyrażał się, że z istotnem słońcem nie ma nic wspólnego. O fiołkach miejscowych, pozbawionych zapachu, mówił iż w przeciwieństwie z monenklaturą botaniczną, która fiołki europejskie nazywa „viola odorata", syberyjskie powinnyby się nazywać „viola smerdata". O Rosjanach twierdził, że już w łonie matki są kandydatami do różnych rodzai broni. Te i tym podobne dowcipne zresztą brednie sypały mu się jak z rękawa; wkońcu prawie raptownie postradał zmysły, a że miał zawsze przy sobie nieco grosza, a na palcu wielki sygnet złoty, znikł w marcu 1868 r. bez wieści i zaledwie po miesiącu trup jego odarty, z roztrzaskaną czaszką, znaleziono na jednej z wysp Angary i pochowano dopiero w początkach kwietnia. O szczegółach tego tragicznego zgonu żona nie była do końca życia powiadomioną.

Piotr Kobylański, mecenas, były prezes sądu handlowego w Warszawie, jeden z członków Rządu Narodowego i Trybunału Rewolucyjnego z okresu teroryzmu, zapił się na śmierć w Usolu, przechwalając się swą bezbożnością. Henryk Bąkowski i Aleksander Pawłowski, obaj prawnicy i adwokaci, byli w składzie Rządu Narodowego członkami Trybunału. Leopold Czapiński, kolega mój kijowski, wielkiej zacności człowiek, a zdolny i pracowity literat, był autorem książki pod tytułem: „Księga przysłów, sentencyj i wyrazów łacińskich, używanych przez pisarzy polskich". Władysław Bogusławski, wnuk Wojciecha, syn Stanisława, naówczas młodziutki literat, mieszkał wspólnie z Romanem Rogińskim, byłym dowódcą oddziału, którego tytułowano jenerałem, Romanem Frankowskim i Augustem Kręckim, uczniem gimnazjum warszawskiego. Ta

czwórka otrzymała u towarzyszy miano „muszkieterów". Stanisław Wielobycki, bardzo sympatyczny młodzieniec, syn właściciela ziemskiego, znany był z męstwa w szeregach powstańczych, wśród których walczył. Paweł Eckert, syn fabrykanta octu z Warszawy, przysłany do Usola po uśmierzeniu rozruchów zabajkalskich, jako przyrodnik współpracował z Mikołajem Hartungiem.

Wśród Litwinów, oprócz wymienionych wyżej, uwydatniał się Apolinary Hofmeister, urodzony w roku 1824 w Grodzieńskiem, za spisek w 1846 r. mający na celu wywołanie na Litwie zbrojnego powstania skazany na śmierć, ułaskawiony pod rusztowaniem na zesłanie do ciężkich robót w fortecach, znalazł się w Omsku wspólnie z głośnym rosyjskim pisarzem Dostojewskim i przebył tam w ciężkich bardzo warunkach lat jednaście. Tu przybyła doń narzeczona panna Kurcyusz, z którą zawarł śluby małżeńskie. Resztę chwil wygnania spędzili w Tobolsku i powrócili do kraju dzięki manifestowi, wydanemu przez cesarza Aleksandra II przy wstąpieniu na tron. W czasie wypadków 1863 roku, jako wojewoda grodzieński i brzeskolitewski, został powtórnie skazany do katorgi i przysłany do Usola, dokąd wkrótce po nim w kolosalnych saniach, podobnych do arki Noego, przybyła liczna jego rodzina, składająca się: z żony, jej siostry pani Domaradzkiej z dwoma córkami, dwóch siostrzenic tych pań, niemłodych już panien Podgórskich, i dorosłej wychowanicy. W niedługim czasie żona i jej siostra zmarły; jedną Podgórską poślubił Hofmeister, drugą pułkownik Stanisław Olędzki. Starsza Domaradzka wyszła za wygnańca Skaczkowskiego, a owdowiawszy z liczną gromadką dobrych dzieci mieszkała w Warszawie. O losach młodszej Domaradzkiej i wychowanicy Hofmeistrów nic powiedzieć nie mogę dla braku wszelkich o nich wiadomości. Hofmeister z drugą żoną powrócił do kraju w 1873 r. i osiedlił się w Krakowie, gdzie oboje dokonali skołatanego żywota w roku 1890.

Litwin Jan Hryniewiecki, znakomity technolog, zreformował zupełnie system warzenia soli w Usolu, kasując jołtysze i zastępując je rąbanem drzewem, z czego osiągnięto ogromne zyski. Wyróżniającą się osobistością był Józef Kalinowski, syn dyrektora instytutu szlacheckiego w Wilnie, inżynier, w cza-

sie powstania minister wojny w wydziale litewskim, w Usolu asceta, w chwili obecnej przeor karmelitów bosych w Czerny pod Krakowem, a zawsze serdeczny przyjaciel Zienkowicza, mimo krańcową różnicę przekonań.[1]). Wśród Litwinów byli, jeszcze Antoni Jeleński, Bolesław Oskierka i Edward Poźniak, zamożni obywatele z Litwy i Białorusi, oraz Stanisław Olędzki i Władysław Klimontowicz, obaj byli wojskowi. Wśród Rusinów najwybitniejszą postacią oprócz tych, o których już mówiłem, był August Iwański, właściciel ziemski i mirowy pośrednik przed powstaniem, w Usolu zaś ulubiony przez wszystkich kasjer. Względną zamożnością wyróżniali się: Zygmunt Krasicki z Podola, Wiktor de Cot i Adolf Lippoman z Ukrainy. Młodzież zaś z uniwersytetu kijowskiego przedstawiali godnie: Józef Popowski, obecnie członek austrjackiej Rady Państwa, Mikołaj Hartung, znakomity przyrodnik, zmarły w Warszawie, Bolesław Peszyński, dziś ziemianin i lekarz na Wołyniu, Stefan Wyhowski, Lucjan Wielobycki, Bolesław Rudnicki, Antoni Mioduszewski, Antoni Kościuszko, Kurzański i wielu innych.

Taki mniej więcej był skład towarzystwa w Usolu, wśród którego przeżyliśmy parę najpiękniejszych lat naszego młodego jeszcze naonczas żywota. Od chwili gdy Łagowscy przenieśli się do Irkucka, a po nich kilka innych domów z Usola, rozpoczęły się nasze stosunki z tem miastem. Odwiedzaliśmy bliskich naszemu sercu kolegów i oczekiwaliśmy ich odwiedzin z niecierpliwością. Różnemi czasy byli u nas: Czekotowscy, dr. Mackiewicz i pani Łagowska. Pierwsza nasza wycieczka, mająca jedynie na celu odwiedzenie znajomych, nastąpiła w końcu lutego 1867 roku. Poznaliśmy bliżej Irkuck, który dotąd oglądaliśmy tylko w czasie krótkiego naszego pobytu z okien więziennych. Podejmowani gościnnie przez Łagowskich, cieszyliśmy się olbrzymiem powodzeniem Józefa jako chirurga i tem uznaniem, jakie sobie lekarze Polacy wśród Sybiraków wyrabiać poczęli.

U Łagowskich spotkałem się z moim kijowskim kolegą, doktorem Cezarym Wiszniewskim, i z największem zajęciem

[1]) Umarł 15 listopada 1907 r. Przyp. Wyd.

wysłuchałem jego opowiadania o tem, w jaki sposób dostał się do Irkucka. Nim to opowiadanie powtórzę, zaznaczam, iż kolegę tego spotkaliśmy w więzieniu połtawskiem wraz z kilkudziesięciu młodymi powstańcami, których dla braku miejsc w cytadeli kijowskiej wysłano do Połtawy i tam osadzono. Wiszniewski był skazany na posielenie w Syberji i wraz z dwudziestu kilku kolegami z jednej sprawy przyłączonym został do naszej partji. W Tambowie rozstaliśmy się skutkiem ciężkiej choroby Łagowskiego, przy łożu którego pozostaliśmy, gdy partja nasza ruszyła w dalszą drogę. Wiszniewski był to człowiek wyróżniający się niezwykle subtelną w stosunkach z ludźmi delikatnością. Nigdy naprzykład nie dał się nakłonić do spożycia z nami skromnego obiadu, nie chcąc opuścić wspólnego z kolegami posiłku, i do powozów naszych wsiadał nie inaczej, jak pilnując się tylko swojej kolei.

Przybył on na miejsce znacznie wcześniej od nas i został przeznaczony do jednej z wiosek Uryckiej włości w pobliżu Irkucka. Znużony drogą, pozbawiony wszelkich środków, a więc przyzwoitego ubrania i obuwia, nie zwrócił na siebie uwagi zamożniejszej miejscowej ludności. O tem, że był lekarzem, wiedziała tylko jego bezpośrednia władza, którą piastował tak zwany „zasiedatiel“ czyli pomocnik naczelnika powiatu. Ten gdy mu żona zachorowała, wezwał pierwszy Cezarego w charakterze lekarza, traktując go wszakże bardzo lekceważąco ze względu na jego strój aresztancki. Przywoził go i odwoził jednokonnemi saneczkami, klepał częstokroć protekcjonalnie po ramieniu, obiecując za wyleczenie żony sowitą nagrodę. Wiszniewski, zacisnąwszy zęby, wszystko do czasu znosił ze względu na chorą, dla której miał współczucie. Ciężkie zapalenie płuc, grożące niechybną śmiercią, poczęło ustępować. Zabłysła dobra nadzieja, a wkońcu pewność wyzdrowienia; zastosowanie zaś pożywnej diety i starego wina zakończyły pomyślnie cały szereg usiłowań zacnego doktora, który oświadczył gospodarzowi domu, iż wizyty jego nadal są już zbyteczne, poczem pożegnawszy pacjentkę gotował się do odjazdu. Zadowolony zasiedatiel, z pychą i poufałością klepiąc znowu po ramieniu Wiszniewskiego, doręcza mu sto rubli, powtarzając: „mołodeć, mołodeć“, co znaczyć miało: „zuch, zuch“.

Wiszniewski, korzystając umiejętnie z chwili, w postawie pełnej godności zwraca mu ofiarowane honorarjum ze słowami: „Znosiłem dotąd zachowywanie się pańskie ze mną, pragnąc dokonać mego obowiązku względem chorej. Ale dziś, gdy pacjentka moja jest zupełnie zdrową i starań moich nie potrzebuje, mam prawo nie przyjąć ofiarowanego mi wynagrodzenia w formie równie nieprzyzwoitej, jak całe pańskie względem mnie zachowanie się". Dygnitarz zaściankowy, jak piorunem rażony, pada na klęczki przed doktorem i zapytuje go z największem uszanowaniem o imię jego ojca, a otrzymawszy żądaną odpowiedź, co kilka słów obok imienia Cezarego umieszcza imię jego rodzica, tłumacząc się najpokorniej ze swego postępowania w następujących wyrazach: „Daruj, panie, ale my prości ludzie oceniamy naszych bliźnich z pozoru, stosując się do naszego przysłowia. To też nie potrafiłem cię narazie ocenić, wybacz mi to wspaniałomyślnie i nie gardź moim datkiem za twą umiejętną pracę". Potem, wyszedłszy do drugiego pokoju, wyniósł na tacy 500 rs. i znowu uklęknąwszy przed Cezarym, dopóty go prosił i przepraszał, dopóki ofiara jego nie została przyjętą. Tegoż wieczora, w wygodnych saniach, wyłożonych dywanami, do których zaprzężono dziarską trójkę koni, odwiózł go osobiście do jego skromnego mieszkania, a nazajutrz udawszy się do Irkucka, głosił sławę swego domowego lekarza i rozpoczął starania o przeniesienie Wiszniewskiego do tego miasta, na co władze, mając na względzie brak zdolnych miejscowych lekarzy, chętnie się zgodziły. Piotr Borowski zaś, wygnaniec ze sprawy Stowarzyszenia Ludu Polskiego, kolega z pod szubienicy Gaspra Maszkowskiego, zaprosił go do siebie na współmieszkańca. Praktyka lekarska Wiszniewskiego rozwijała się szybko i dosięgła kolosalnych rozmiarów, przynosząc mu kilkanaście tysięcy rubli rocznego dochodu.

Wysłuchałem tego opowiadania z wielką radością, ciesząc się powodzeniem i zasłużonem uznaniem zacnego rodaka. Na zakończenie dodam tu, iż Wiszniewski w parę lat później, ukąszony przez małego pokojowego pieska, nie wiedząc, iż był wściekły, nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności i stał się ofiarą tej rzadko rozwijającej się u ludzi choroby. Na szczęście apopleksja, w czasie jednego z napadów, skutkiem for-

sownego dobijania się do drzwi szczelnie podpartych skróciła jego męczarnie. Trumna, a następnie w ciągu lat całych grób jego, okryty zawsze kwiatami przez wdzięcznych pacjentów, świadczyły, jakie pozostawił wspomnienie.

Po tej wycieczce do Irkucka, nastąpiła w sierpniu tegoż roku druga, w interesie przyznania przez żonę moją potrzebnej jej ojcu plenipotencji do działania w sprawach rodzinnych. Przy tej sposobności spędziliśmy dni kilka w miłem towarzystwie Łagowskich, Czekotowskich i Mackiewiczów. W 1868 roku zaglądaliśmy znowu dwa razy do tego miasta, przebywając dzielącą je od Usola 70-wiorstową przestrzeń bez zbytniego zmęczenia: w kwietniu zaproszeni na święta wielkanocne do Łagowskich i w lipcu dla podania prośby do jenerał-gubernatora Wschodniej Syberji o zastosowanie do nas świeżo ogłoszonego manifestu, mocą którego otrzymywaliśmy prawo przeniesienia się do Rosji. Po każdej z trzech pierwszych wycieczek budziła się we mnie gorąca chęć zamieszkania w Irkucku, rozwinięcia za przykładem innych wygnańców lekarzy praktyki na większą skalę i zdobycia tym sposobem większych środków materjalnych. Zamiary te moje napotykały stale na delikatny bardzo, ale dość poważny opór ze strony mojej najdroższej żony, która była zdania, iż z chwilą przeniesienia się do większego miasta utracimy skarby rodzinnego życia; zmuszony bowiem będę stać się rzadkim w domu gościem, jak inni moi koledzy. Niezmienne moje uczucie dla najdroższej mi na tym świecie istoty, podtrzymywane przez jej ofiarność i bezinteresowność absolutną, paraliżowało wszelkie rozumowania, a układane plany szły w odwłokę.

Po otrzymaniu prawa wyjazdu do Rosji wszystkie te plany raz na zawsze pogrzebane zostały, co mi nie przeszkadzało wszakże pracować nad medycyną teoretycznie, ślęcząc całemi dniami w moim gabinecie nad książkami i korzystając ze stale otrzymywanych nowych dzieł i czasopism lekarskich. Praca gabinetowa skutecznie wpływała na uzupełnienie mojej wiedzy specjalnej i przydała mi się niejednokrotnie w latach późniejszych. Praktykę w Usolu i bliższej okolicy musiałem z konieczności rozwinąć wobec wyjazdu z tej miejscowości kilku lekarzy w 1866 r., zaś prawie wszystkich w połowie 1868 roku. Obok

pracy umysłowej, każden z wygnańców niemało poświęcał czasu na drobne czynności ku zaspokojeniu potrzeb codziennego życia. Co do nas, od chwili nabycia i urządzenia domu, zasadzenia ogrodu i wynajęcia kawałka ziemi pod uprawę warzyw, tryb życia naszego zmienić się nieco musiał, pociągając za sobą pewne zmiany w pozycjach dorocznego budżetu. Ogrody wymagały zachodów i starań, własna zaś nieruchomość pociągać za sobą musiała drobne, ale nieodzowne kłopoty. W ogólności cały nasz stan majątkowy uległ znakomitemu polepszeniu. Dom nabyty i z długu oczyszczony przedstawiał niejako zapasowy na czarną godzinę kapitał, zwolnienie zaś od opłaty za mieszkanie zmniejszało nasze rozchody o 150 rs. rocznie. Mając więc stały przychód, składający się z 1000 rs. corocznie żonie mojej przez jej rodziców przysyłanych, zaś 200 rs. przez moją matkę mi wypłacanych, tudzież 300 — 400, a w ostatnim roku około 900 rs. z praktyki lekarskiej, po opłaceniu podatku na rzecz potrzebujących kolegów w kwocie 150 — 175 rubli rozporządzaliśmy 1350 do 1850 rublami w stosunku rocznym, czyli przeszło stu do stukilkudziesięciu rs. miesięcznie. Był to, jak na owe czasy, świetny stan finansowy bezdzietnej wygnańczej rodziny.

Przywykłszy stosować się do tego skromnego jak na lekarza budżetu, zdobyliśmy mimowoli na całe życie umiejętność wydatkowania wedle możności, co zkolei zdołało uchronić nas od tak powszechnej w ojczyźnie naszej wady, jak życie nad stan i możność, które codziennie chłonie olbrzymie nawet fortuny. Rozporządzając zawsze nieodzowną gotowizną, mogliśmy zawsze w porę pomyśleć o zapasach, które zazwyczaj pozwalają nabywać najlepsze produkty za stosunkowo niskie ceny. Stosując się więc do obyczajów miejscowych, przygotowywaliśmy w lecie konfitury, marynaty, w jesieni kwaszone i solone konserwy, wreszcie przed zimą robiliśmy zakupy topionego masła, mrożonego w całych tuszach mięsa, zwierzyny, ryb i kawioru z ryb miejscowych, odznaczającego się kolorem czerwonym, z owoców zaś: orzechów cedrowych i oblepichy. O tej ostatniej jagodzie, jako mniej u nas znanej, powiem tu słów kilka.

W ogrodach naszego kraju istnieją drzewka, sadzone zwykle pojedyńczo jako ozdobne, które popularnie w Polsce, na Litwie

i Rusi, nazywają drzewkiem rozmarynowem. Jest to roślina podzielnopłciowa; tylko więc wtedy, gdy drzewka męskie i żeńskie znajdują się obok siebie, nastąpić może zapylenie, poczem żeński osobnik okrywa się, a raczej oblepia bogatym owocem, który stanowią żółte z pestką jagody wielkości jarzębiny. U nas owoc ten rzadko daje się widzieć; drzewka te bowiem sadzą jako ozdobne solitery. We Wschodniej Syberji spotyka się całe laski oblepichy, a stąd wielka łatwość zapylania i wydajność jagód niezmiernie obfita. Oblepichę mrożoną i osypaną mączką cukrową podają Sybiracy jako deser w zimie i robią z niej wyborne nalewki. My zaś używaliśmy jej nadto do robienia lodów i kisielu. Konfitury z tej jagody nic nie są warte, traci bowiem ona pod wpływem wysokiej temperatury zapach ananasowy i smak cytrynowy. Oblepicha, którą w kraju spotykałem, nie posiada wcale zapachu.

Zapasy zimowe i letnie, wzbogacone plonami naszych ogrodów, w których uprawialiśmy warzywa w Syberji nieznane, zaopatrywały naszą kuchnię i zapewniały nam zdrowe i dość urozmaicone jadło. Drobne braki uzupełniały się codziennie bądź na targu, bądź w sklepach kolonjalnych, rzadko zaś w Irkucku. Własna krowa dostarczała nam mleka, śmietany, śmietanki i świeżego masła. Ceny produktów były bardzo zmienne, szczególniej co do zboża. Gdy bowiem w Syberji urodzaj dopisze, ceny spadają bajecznie, bo w owym czasie nic z tego kraju nie wywożono; przeciwnie w razie nieurodzaju ceny wzrastały niepomiernie i raptownie, bo przywóz napotykał na wielkie trudności. O cenach decydują corocznie pierwsze dziesięć dni czerwca. Jeśli w tych kilku dniach jeden bodaj mróz nastąpi, jest to pewną zapowiedzią nieurodzaju i cen bajecznych, sięgających do dwóch rubli za pud żytniej mąki. Gdy mróz ominie, radość jest powszechna i następuje gwałtowny spadek cen, dochodzący do 20 kop. za pud tejże mąki, do której się wszystkie inne regulują. Pszenną, stosownie do gatunku i roku, płaciliśmy od 3 do 5 rubli za pud. Mięso wołowe sprzedawano po 2 rs. pud, za sarnę lub kozła płacono od 2 do 3 rs. za sztukę ze skórą. Drobna zwierzyna była za bezcen, jarząbki naprzykład ceniono po 6 do 10 groszy. Z ryb najbardziej poszukiwane jesiotry i nelmy, z drobnych zaś śledzie bajkalskie (omole) i podobne

do naszych sielaw bogoldiejki kosztowały tanio, szczególnie w zimie. Inne potrzeby życia, jak ubranie, bieliznę, obuwie, zaspakajaliśmy bądź nabywając takowe w Irkucku, bądź otrzymując w przysyłkach z kraju.

Wśród szarego naszego żywota wyróżniały się bardzo te dnie w roku, na które zjeżdżał do Usola proboszcz albo wikary irkucki. Gdy zaś chodziło o danie ślubu osobom, nie mogącym dla tej uroczystości opuścić Usola, bytność ta powtarzała się w ciągu tego samego roku. Niezależnie od powodów, dla których ksiądz do nas przybywał, wszyscy parafjanie dokładali starań, aby naszą świeżo wyrestaurowaną kaplicę przybrać jak najpiękniej: w zimie jedliną, w lecie zaś kwiatami; a gdy się mała nasza świątynia wypełniła pobożnymi i ksiądz miał ze mszą świętą wychodzić, zjawiał się August Iwański ze swoim harmoniflutem, aby ku powszechnemu zadowoleniu zastąpić brak organów.

Do najsmutniejszych koleżeńskich obowiązków należało oddawanie ostatniej posługi wygnańcom, wygnankom i ich dzieciom. Przybywszy do Usola, zastaliśmy już na cmentarzu miejscowym duży drewniany krzyż na grobie stolarza Maja, wysłanego do ciężkich robót z Żytomierza, Przy nas pochowano młodego studenta uniwersytetu, Litwina Mejsztowicza, zmarłego na tyfus. Dnia 31 marca (12 kwietnia) 1866 r. zgasła na suchoty płucne pani Gudzińska, której w kilka dni potem oddawaliśmy ostatnią posługę. Okoliczności, towarzyszące wysłaniu jej z Warszawy, podróży i pierwszym chwilom pobytu w Usolu, przyczyniły się do rozwinięcia nieuleczalnej gruźlicy. Brak zupełny ciepłej odzieży w drodze, w czasie późnej jesieni odbytej, był powodem kilkakrotnego silnego zaziębienia. Gdy zaś przybyła na miejsce, kazano jej prać worki od soli na rzece Angarze, której wody latem nawet ogrzewają się zaledwie do kilku stopni powyżej zera. Tą razą przeziębienie się było tak gwałtowne, iż wywołało zapalenie obu płuc, które w dalszym ciągu stało się przyczyną jej zgonu. Ponieważ Gudzińska, aczkolwiek prosta bez wychowania i wykształcenia kobieta, okazała wielki hart duszy przy badaniu jej przez komisję śledczą w cytadeli warszawskiej, ponieważ padła ofiarą barbarzyńskiego z nią obchodzenia się, gdy wreszcie jako kobieta wygnanka już przez to samo wywoływała

większe objawy współczucia, zgromadziło się na pogrzebie jej daleko więcej osób niż zazwyczaj i ogólny nastrój obecnych był daleko uroczystszy. Chowano ją wedle przyjętego w Usolu obyczaju. Sześciu młodych wygnańców niosło jej trumnę na barkach, innych czterech dźwigało krzyż, który miał stanąć nad jej mogiłą. Gdy spuszczono jej ciało do grobu, odśpiewaliśmy chórem Anioł Pański, a następnie każdy z nas, ująwszy łopatę, ciskał ziemię w kolei, aż się dół wypełnił i kopiec usypał, poczem wkopywano krzyż u wezgłowia i na tem się skończył obrzęd żałobny. Smutni i przygnębieni opuszczaliśmy ten zakątek miejscowego cmentarza, który nam we wspólne władanie oddano, jako jedyne wynagrodzenie za wszystkie skonfiskowane w ojczyźnie obszary.

W czasie kilkoletniego pobytu w Usolu, pochowaliśmy wielu kolegów i osób, do ich rodzin należących. Wyliczę tu tych tylko, których nazwiska utrwaliły się w mojej pamięci. W 1867 roku na wiosnę pogrzebaliśmy Wolskiego, niegdyś dyrektora fabryki żelaza w Wysokim Piecu pod Żytomierzem, i Zajączkowskiego, oficjalistę z Rusi. Pierwszy z nich zmarł na suchoty. Przyczyną śmierci drugiego był wrzód w mózgu. Obaj zostawili rodziny bez żadnych zasobów. W 1868 r. oddaliśmy ostatnią posługę Tomaszowi Ilnickiemu i Piotrowi Kobylańskiemu. Z żon naszych kolegów zmarły: Wiktorowa de Cot z domu Przesmycka i Apolinarowa Hofmeister z domu Kurcyusz, dzieci zaś: jedno Aleksandrowstwa Oskierków, drugie Adamowstwa Majewskich. Smutne obrazy, związane z podróżą etapami i cmentarzem usolskim, żywo pozostały w mojej pamięci. Gdy więc, powróciwszy do kraju, ujrzałem premjum Towarzystwa Krakowskiego Zachęty Sztuk Pięknych, przedstawiające pochód na Sybir wedle oryginału Grottgera, a następnie fotografję z jego szkicu, wyobrażającego czterech katorżników, niosących wielki krzyż cmentarny, obie te grupy wprawiły mnie w zachwyt i podziw, przypominając żywo smutne chwile wygnania.

Nie mogłem zdać sobie sprawy, skąd mógł nasz genjalny rysownik przeczuć sceny, których nie był ani uczestnikiem ani świadkiem. Pochód na Sybir jest żywcem schwycony z natury i ci czterej młodzieńcy w siermięgach katorżniczych, ugi-

nający się pod ciężarem wielkiego krzyża, zdają być oddani z niezwykłą prawdą i dokładnością. Po każdym pogrzebie współwygnańca mimowoli przychodziło nam na myśl, kto z nas jest nakolei. Wiedzieliśmy bowiem, iż w zwykłym biegu rzeczy niejeden z nas musi ozdobić swym krzyżem lodowate puszcze Syberji. Wśród tych myśli nad znikomością rzeczy ludzkich nierzadko zastanawialiśmy się i nad tem, że w tej krainie mrozów ziemia już na kilka łokci pod swą powierzchnią jest na wieki zmarznięta; by więc ciała zmarłe uchronić od rozkładu, zbytecznem jest tu balsamowanie, dość głębiej grób wykopać i tam złożyć drogie szczątki, by je na zawsze przechować.

Nie wiem, czy były wypadki umyślnego odkopywania zmarłych, sądzę wszakże, iż należałoby w tym kierunku poszukiwania rozpocząć, a jeśli już są prowadzone, cierpliwie je powtarzać, by przekonać się, czy miała ta kraina mieszkańców przedhistorycznych i czy przypadkiem nie znajdą się cmentarzyska w pokładach zmarzniętych, w których by się całokształt tych ludzi, a może i szat ich przechował tak dobrze, jak jedyny dotąd znany mamut, w północnych lodach rzeki Leny zagrzebany, który ze skórą i mięsem wydobyty przesłanym został do muzeum w Petersburgu. Na dowód, jak był wybornie zachowany, niech służy fakt, że część jednego z jego pośladków stała się pastwą łaknących mięsa tubylców, którzy go spożywali, wycinając całe płaty, nim się miejscowa władza opatrzyła i tego przeciwnego naturze gastronomicznego popędu zaniechać kazała. Sądzę, że bogatem w owoce na przyszłość, a pożytecznem dla teraźniejszości pod względem hygienicznym, byłoby prawo nakazujące chowanie w Syberji ciał zmarłych na pewnej odległości, by je wiekom przyszłym w całości jako materjał etnograficzny przekazać. Dziwnem mi się też wydaje, iż napotykając tyle i takich trudności w badaniu przeszłości naszego planety, nie robimy nigdzie nic z naszej strony, aby podobne poszukiwania naszym następcom ułatwić. To też ciała nam współczesnych mniej jeszcze o sobie mówić potrafią wiekom przyszłym, aniżeli te, które dobywamy z grobowisk epoki kamiennej i bronzowej, w których znajdujemy wyroby, świadczące o obyczajach, zwyczajach i ubiorach ludzi, zmarłych w tych okresach.

Do wypadków niezwykłych, które wstrząsnęły całem naszem jestestwem w czasie pobytu naszego w Usolu, zaliczam, oprócz tragicznej śmierci szanownego Tomasza Ilnickiego, której szczegóły i sprawcy nie zostali ujawnionymi, zgon kolegi naszego Lipskiego, który wyszedłszy w roku 1866 na posielenie otrzymał posadę o wiorst kilka od Usola w fabryce Tiulmeńskiej i był zamordowany przez znanego nam już z Połtawy, Tambowy i Kazania, zbrodniarza Dołżikowa. Nikczemnik ten, przybywszy do Usola, mimo wszelkie niegodziwości, jakich się względem nas dopuścił, ośmielił się być u mnie, prosząc o protekcję, a właściwie, jak się potem okazało, celem zapoznania się dokładnego z rozkładem naszego mieszkania. Dałem mu rubla, z warunkiem, aby mię przestał uważać za swego znajomego. Od tej chwili nic już o nim nie wiedziałem aż do czasu, gdy nadeszła wieść o zamordowaniu Lipskiego i schwytaniu jego zabójcy. Dołżikow w drodze na Syberję gorliwie uczył się od spotykanych w więzieniach Polaków pieśni patrjotycznych i ich języka, by mógł łatwiej udawać przestępcę stanu tej narodowości. Dowiedziawszy się, że Lipski ma się z robotnikami w oznaczonym dniu rozpłacać, wymknął się z Usola, gdzie był w ciężkich robotach, a będąc Lipskiemu nieznanym przedstawił mu się jako rodak, uwolniony z katorgi i zdążający do swej włości na posielenie, prosząc o przyjęcie na nocleg.

Lipski, nic nie podejrzywając, najchętniej udzielił gościny, a gdy usnął, Dołżikow, wydobywszy z worka topór, jednem cięciem pozbawił życia zacnego gospodarza, zabrał, co było pod ręką, i ruszył do Irkucka, gdzie dostawszy się do gabinetu Łagowskiego, ucałował go niespodzianie w nogi, upokorzył się i za przeszłość przepraszał, błagając, aby na dowód przebaczenia i zaufania dał mu jakieś polecenie do Usola. Zmęczony tą sceną Łagowski, zgodził się na danie mu paczki z lekarstwami dla apteczki usolskiej, adresując ją na imię Romana Bnińskiego. Dołżikow, opuściwszy mieszkanie Łagowskich, z całą bezczelnością powracał do Usola, ale w drodze został pojmanym. Ja zaś, dziwnym zbiegiem okoliczności, wezwany byłem do chorej żony zasiedatela w Tiulmeńskiej fabryce i znalazłem się tam w chwili, gdy pojmanego, skrępowanego powrozami i okutego w kajdany zbrodniarza przy-

wieziono dla oddania w ręce sprawiedliwości. Zasiedatiel zapytał mnie uprzejmie, czy nie chcę tego ptaszka oglądać, ale gdy obawiając się, aby do mej znajomości się nie przyznał, odrzekłem, iż wcale nie pragnę go widzieć, nie nalegał więcej; słyszałem więc tylko przez sień rozmowę między policjantem i winowajcą. Uderzony kilka razy w twarz Dołżikow, odrazu do zabójstwa Lipskiego się przyznał, dodając na swe usprawiedliwienie, iż Polak, którego zabił, lżył w jego obecności monarchę, czego on, jako wierny poddany, znieść nie mógł. Oburzony w najwyższym stopniu zasiedatiel, począł go bić i kopać nogami, zapytując: „A zabrane pieniądze, ubranie i obuwie Lipskiego, to także patrjotyzm?“ poczem kazał go przykuć do ściany w jednym z pustych domów tiulmeńskiej fabryki, której mieszkańcy w ciągu dni kilku mogli go oglądać. Cała ta sprawa skończyła się na zwiększeniu ilości lat kary w ciężkich robotach i wyprawieniu Dołżikowa za Bajkał, o ile pomnę, do Akatui.

W czasie urzędowego prowadzenia sprawy o zamordowanie Lipskiego zeznał zbrodniarz, iż bytność u mnie i u Łagowskiego miała na celu zbadanie naszych mieszkań, na nawiedzenie których miał niedwuznaczne projekty. Co do paczki z lekarstwami, rzecz się wyjaśniła nie bez pewnych przykrości dla Łagowskiego i Bnińskiego. Drobniejszych przestępstw przeciwko kodeksowi spotykało się tu daleko więcej, a wśród tych na pierwszy plan występowały złodziejstwa; chwilowo bowiem odstraszeni przez dziekana Stulgińskiego, zwolennicy tego sybirskiego sportu zabierali się ze zwiększoną tylko oględnością do wykonania swych zamiarów. My zostaliśmy dwukrotnie okradzeni. W roku 1866 sprzątnięto naszą faskę masła z lodowni Bnińskich, którą doszczętnie opróżniono, zaś w 1867 wkrótce po przeniesieniu się do własnego domu ukradziono z naszej spiżarki olbrzymi kosz brudnej bielizny, dwa stare futra mojej żony i, czegośmy najwięcej żałowali, moją siermięgę katorżniczą i kajdany. Wogóle wszakże przyznać należy, że ilość przestępstw nie była nadmierną wobec tego, iż cała ludność usolska, wyjąwszy politycznych przestępców, składała się z ludzi o zbrodnię przekonanych i niejednokrotnie za nie karanych, tudzież z ich rodzin i potomstwa.

Równolegle z biegiem spraw codziennych w kole wygnańczem każdy z nas brał udział myślą w losach kraju i drogich

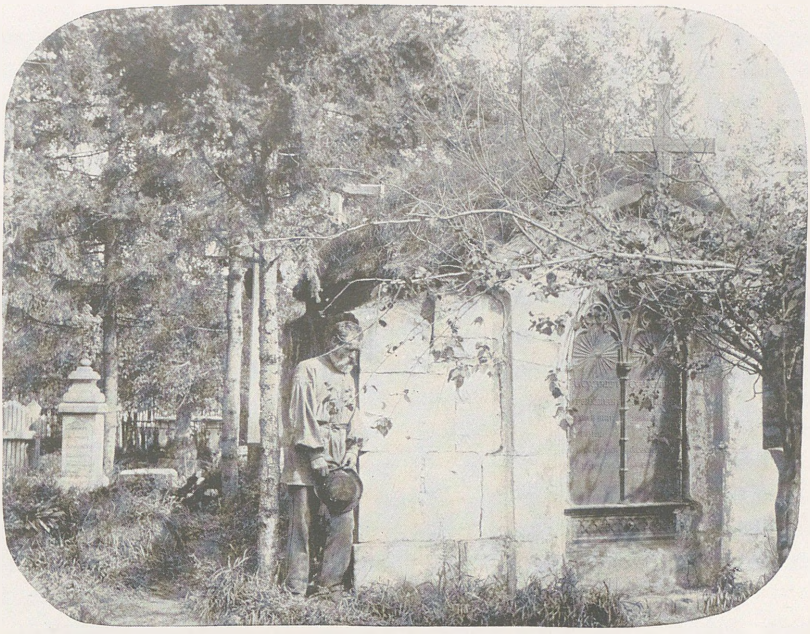


Fig. 49. Cmentarz Irkucki: groby i nagrobki Polaków wygnańców i dziadek cmentarny Bieńkowski, wygnaniec z roku 1863.



Fig. 50. Teresa Bułhak w powrocie z pierwszego wygnania.



Fig. 51. Teresa Bułhak podczas drugiego wygnania.

osób, w nim pozostawionych. To też korespondencja z tym światem, przymusowo przez nas opuszczonym, mimo jej opóźnianie się i kiereszowanie przez cenzurę, miała dla nas urok nie do opisania, a u wielu z pomiędzy nas podtrzymywała niejedno złudzenie i wywoływała całe szeregi marzeń. Szczególniej powiedzieć to można o tych, co mieli do optymizmu skłonności i odczytywali wiadomości, przez korespondentów optymistów z kraju im przesyłane. Co do nas i naszej rodziny, nie należeliśmy do tej kategorji szczęśliwych; prędzej czarno patrzyliśmy na sprawy bieżące, to też ciężkie przebyliśmy nieubłaganego losu koleje. Ocenialiśmy więc wedle ich rzeczywistej doniosłości wszystkie umiejętnie obmyślane szczegóły pastwienia się nad naszym w walce pokonanym narodem, a stosowane z dziką zawziętością. Raziły nas zkolei wieści o kolosalnych kontrybucjach, na polską własność ziemską na Litwie i Rusi nakładanych, o przymusowej sprzedaży majątków wywiezionych administracyjnie ziemian i wzbronieniu Polakom kupowania ziemi w tychże prowincjach.

Otrzymywaliśmy w dalszym ciągu szczegóły, które nam donosiły, iż dobra te nabywali ludzie, nie posiadający kapitału i nie znający się na rolnictwie, a jedyną ich kwalifikacją było wymagane przez rząd wyznanie prawosławne; takim to ludziom udzielano zapomóg rządowych, daleko większych aniżeli ceny nabywanych przez nich majątków. To wszystko przekonywało nas, iż ziemia z niesłychaną szybkością usuwała się w ostatnich latach z pod nóg polskich na Litwie i Rusi. Najszlachetniejsze usiłowania Rządu Narodowego w 1863 roku nadania ludowi własności ziemskiej za udział w powstaniu zostały wyzyskane przez rząd rosyjski i ziemia ta została nadaną na Rusi Rusinom, na Białej Rusi Białorusinom, najgorzej dla Polaków pod wpływem rządu usposobionym. Konfiskaty i przymusowe sprzedaże posunęły sprawę jeszcze dalej, ale sami pracowaliśmy najgorliwiej nad przyśpieszeniem naszego w tych prowincjach wynarodowienia, pozbywając się bez żadnych powodów pięknych majątków ziemskich, to jest zrzekając się dobrowolnie praw do ziemi, a z nią i praw do prowincji tylko dlatego, że z kapitałem ma się mniej kłopotów. Zdawałoby się, iż wobec tak smutnych a doniosłych faktów trudno było znaleźć podstawę do opty-

mizmu, a wszakże niewygasłe wśród nas plemię Wesołowskich i tą razą wykrzykiwało: „im gorzej, tem lepiej". Niestety to „lepiej" wcale nie nadchodziło. Wieści od pozostających rodzin nie były pomyślniejsze, śmierć zabierała swe ofiary w każdym prawie domu polskim, a wieści te najczęściej dochodziły przez ludzi obojętnych, niezręcznie usłużnych, co tem boleśniej dotykało.

W rodzinie mojej od straty drogiego ojca i wuja Michała Budzyńskiego w 1863 r. zgonów więcej nie było. Wśród daleko liczniejszych krewnych mojej żony straciliśmy kilka drogich nam osób. Jeszcze bawiąc w Tobolsku, otrzymaliśmy wiadomość o śmierci cioteczno-rodzonej siostry Maryni, Cesi Jezierskiej, z którą się ona wspólnie wychowywała i zastąpiła ją przy matce, gdyśmy kraj opuścili. Niedługo czekaliśmy na nowe smutne wieści: staruszka Schabicka i brat jej przyrodni Antoni Pausza przenieśli się do wieczności. W 1867 r. zmarła Barbara Jezierska, siostra Cecylji, a w zimie tegoż roku Władysław Wielohorski, mąż trzeciej Jezierskiej, Filipiny. Zaledwie przeboleliśmy te straty, rozpoczęły się niepokoje i zgryzoty z powodu przejść, jakie dotknęły moją rodzinę, a które tem były boleśniejsze, że spadły na nas niespodziewanie i stanowiły przeskok raptowny od najlepszych nadziei do najsroższych zawodów.

Długo oczekiwane przez matkę moją, siostry, i czteroletniego Jasia przybycie Stanisława Miaskowskiego z wygnania nastąpiło w początkach września 1867 r. Siostra moja Wincenta wyjechała wraz z synkiem do Żytomierza na spotkanie męża. Powitał ją i dziecko prawie obojętnie i na wstępie oświadczył, że po dokonaniu przymusowej sprzedaży majątku, dla której tu przybył, uda się do Warszawy, przeznaczonej mu na miejsce stałego zamieszkania, i tylko w takim razie zezwoli na przyjazd do tego miasta żony z dzieckiem, jeśli się dobrowolnie zgodzi na zrzeczenie się stanowiska, sakramentem jej zapewnionego, odda się niepodzielnie pielęgnowaniu i wychowaniu dziecka i potrafi nakazać sobie tolerencję dla wszystkich jego słabości; on bowiem nie myśli się wcale krępować, jak nie krępował się na wygnaniu w wyborze przedmiotu swych uczuć i namiętności. Po takim kategorycznym wstępie udał się wraz z żoną, która nie chcąc zatrważać matki na to zezwoliła, do rodzinnej wioski naszej, gdzie naturalnie nikt o tem, co zaszło, nie wiedział.

Matka więc moja, witając połączone po długich latach małżeństwo, błogosławiła mu, polecając sercu zięcia całą osieroconą rodzinę; w liście zaś, pisanym do nas w dniu 28-go września 1867 r., który był dniem moich imienin, z radością zawiadamiała nas o chwilowem przybyciu Miaskowskiego.

Tymczasem ten niedobry i do gruntu zepsuty człowiek, korzystając z otaczającego go uroku cierpień za dobrą sprawę, zwróciwszy uwagę na najmłodszą siostrę moją Adelę, piękną i hożą, a od niedawna zaręczoną z Jakóbem Steckim, zaczął ją prześladować natarczywie zalotnością, starając się jednocześnie okrywać na każdem kroku śmiesznością jej narzeczonego. Gdy zaś rozstanie się z żoną, która postawionych jej warunków przyjąć nie mogła, zostało ostatecznie postanowionem i doszło do wiadomości całej rodziny, uznał Miaskowski za właściwe wyjechać do Żytomierza dla zajęcia się sprawami majątkowemi. Na wsiadanem zaś oświadczył Steckiemu tak, aby to kobiety słyszały, że dzień, w którym ślub weźmie z Adelą, będzie dniem śmierci Steckiego, jak niemniej hasłem i jego samobójstwa. Przerażona tem wszystkiem, co usłyszała, młoda, szlachetna i egzaltowana dziewczyna, postawiona niewinnie w tak trudnej pozycji, uważała za najwłaściwsze usunąć się z drogi, pozbawiając się życia — i zamiar swój doprowadziła do skutku. Szczęśliwym trafem ocalona, pod wpływem współczucia całej rodziny, która ją otaczała, odzyskała wkrótce równowagę, zachwiane zaś chwilowo projekty małżeństwa odnowiły się dzięki stałości i przywiązaniu jej narzeczonego. W ciągu przebiegu całego tego dramatu nikt z rodziny nie śmiał nam o tem, co zaszło, donieść. Ostatnią wiadomością był list mojej matki z dnia 28 września, o którym wzmiankowałem. Pismo to otrzymaliśmy w listopadzie, poczem zaległo głuche, niczem nieprzerwane milczenie. Zaledwie w końcu maja doszły nas listy bardzo oględne od wuja Michała Schabickiego i Jakóba Steckiego, pisane w marcu, które starały się nas uspokoić i pokrzepić, ale istotnej prawdy nie wyjawiały. Nieco więcej dowiedzieliśmy się od siostry mej Michaliny w liście z dnia 6 kwietnia, otrzymanym przez nas dopiero w czerwcu. Zaledwie więc z listu siostry Miaskowskiej z dnia 8 maja zostaliśmy dokładnie o przebiegu całej tej sprawy powiadomieni.

Łatwo pojąć, jakie straszne męczarnie i niepokoje przechodziliśmy w pierwszem półroczu głuchego milczenia, to jest od listopada 1867 r. do maja 1868 r., a nie mniej okropne w następnem, w ciągu którego zwolna nas oswajano, w końcu zaś powiadomiono szczegółowo o całem przejściu. Wtedy dopiero zrozumieliśmy jasno, ile ten człowiek wyrządził złego naszej, pozbawionej męskiej opieki rodzinie, nie krępując się żadnemi szlachetnemi skrupułami. Wśród nawału smutnych i bolesnych z kraju wiadomości pocieszało nas jedno, o czem wszystkie listy jednogłośnie donosiły, iż złe zamiary Miaskowskiego względem pary narzeczonych rozbiły się wniwecz, dzięki czemu ślub ich został oznaczonym i odbył się dnia 2 lipca 1868 r. w licznem gronie rodziny i przyjaciół. Po kilkodniowym pobycie w domu mojej matki zakochana para, zapomniawszy o ciężkich chwilach, udała się w Krzemienieckie do Wierzbowca, który ojciec Jakóba dzierżawił od jenerała hr. Adama Rzewuskiego.

Tymczasem Miaskowski po rozstaniu się z żoną zamieszkał w Żytomierzu, skąd rozpoczął domaganie się o oddanie mu syna. Wkońcu, uznawszy w listach swych do żony całą niegodziwość swego z nią i całą rodziną naszą postępowania, udał się do Warszawy, nie uczyniwszy wszakże nic, by złe wyrządzone naprawić. W Warszawie oddał się piśmiennictwu, pracując w redakcjach Gazety Polskiej i Kurjera Codziennego. Tymczasem nieuleczalna choroba suchot płucnych rozwijała się w dalszym ciągu. Z żoną nie korespondował i nie pozwolił ją o stanie swym zawiadamiać, tak iż dopiero po śmierci, która nastąpiła w dniu 3 sierpnia w nocy 1868 r., otrzymała ona listy od bawiącego w Warszawie kolegi mego Stanisława Zaleskiego i od naszego ciotecznego brata, księdza Feliksa Michałowskiego, wikarego przy kościele św. Aleksandra, który go na śmierć dysponował, donoszące o przykładnym żalu za przewinienia i szczerem uznaniu wielkiej swej winy w chwili zgonu. Niemało nas kosztowały spokoju te tak bolesne wieści; zmuszeni byliśmy cofnąć Miaskowskiemu nasz szacunek i uczucia rodzinne, jakie zaledwie w duszach naszych rozwijać się poczęły pod wpływem kilkoletniej z nim korespondencji. Boleliśmy gorąco nad osamotnioną żoną i dzieckiem;

jedyną pociechą naszą były listy od kochającej się szczerze młodej pary Steckich.

. . . . . .

Starałem się naszkicować, o ile umiałem najdokładniej, warunki naszego usolskiego wygnańczego żywota, wykazując zarazem, jak wielki wpływ wywierały na nas wiadomości z kraju. Nadmieniam przytem, iż wszystko, co dotąd o tem powiedziałem, stosuje się wyłącznie do tego tylko okresu, w którym niejako pogodzeni z losem zajęliśmy się wytwarzaniem sobie możliwie znośnych warunków w krainie, w której nas osiedlono. Z chwilą wszakże, gdy został wydany manifest, na mocy którego wolno nam było zbliżyć się do ojczyzny, nadzieja ta owładnęła nami niepodzielnie i odtąd wszystkie nasze myśli, słowa i czyny zmierzały do jednego celu, jak najśpieszniejszego opuszczenia Syberji. Manifest ten, ogłoszony w gazetach, odczytaliśmy już po liście Jakóba Steckiego, donoszącym nam o nawiązaniu się chwilowo zerwanych z moją rodziną stosunków, ale przed otrzymaniem zawiadomienia o jego ślubie. W każdym razie, dobre nadzieje co do przyszłości Adelki i nasze co do prędkiego wyjazdu z Usola cieszyły nas jednocześnie, goiąc powoli zadane sercom naszym rany. Odzyskawszy straconą chwilowo równowagę, postanowiliśmy jak najenergiczniej działać, by prędzej Syberję opuścić. W tym celu oboje udaliśmy się do Irkucka i tu zrobiliśmy podanie do władz, nie wymieniając w niem wszakże miejscowości, do której pragnęlibyśmy się dostać. Wskazywaliśmy jedynie Wołyń, jako stałe miejsce zamieszkania rodzin naszych, dodając, iż pragnęlibyśmy się osiedlić w najbliższej stron naszych rodzinnych gubernji, z pomiędzy tych kilku, które będą wyznaczone dla wygnańców naszej kategorji. Przy sposobności odnowiliśmy nasze irkuckie stosunki, mieszkając przez cały czas naszego w tem miejscu pobytu u Józefostwa Łagowskich.

Powróciwszy do Usola, czekając niecierpliwie odpowiedzi na nasze podanie, zabraliśmy się do sprzedania naszego domku, mebli i sprzętów, a ponieważ jednocześnie z nami wielu kolegów opuszczało tę miejscowość, o kupców było bardzo trudno i należało się odrazu pogodzić z grożącemi nam znacznemi

stratami materjalnemi. Wkrótce zdołaliśmy sprzedać wiele drobiazgów, ale na dom długo nie mieliśmy nabywcy. Tak przeszło prawie całe półrocze. Na święta Bożego Narodzenia zaprosili nas do Irkucka Romanowie Bnińscy, którzy się tam przenieśli skutkiem ostatniego manifestu. Czas przeszedł nam bardzo mile wśród prawdziwie życzliwych i zaprzyjaźnionych z nami domów Bnińskich, Łagowskich i Czekotowskich. Dla ukończenia sprzedaży nieruchomości i reszty ruchomości, oraz przygotowania się do oczekiwanej uciążliwej zimowej jazdy, zrobiłem w czasie świąt wycieczkę z Irkucka do Usola, gdzie po tygodniu zabiegów i niemałej pracy sprzedałem za bezcen, bo za 325 rubli, dom nasz z ogrodem panu Iwanieńce, urzędnikowi akcyzy, a zięciowi gubernatora Erna. Za wyprzedane ruchomości otrzymałem przeszło sto rubli, ukochany zaś nasz tarantas zamieniłem z komendantem Turowem na olbrzymie, gruntownie zbudowane sanie, przyczem dopłacił nam 75 rubli. Potem powróciłem do Irkucka, gdzie żona moja pozostawała u Bnińskich. Tam, w dniu 31 grudnia, dowiedziałem się, że jesteśmy przeznaczeni na mieszkanie do gub. kostromskiej. Zabawiwszy więc tylko dni kilka jeszcze i pożegnawszy serdecznie naszych irkuckich znajomych, powróciliśmy do Usola, gdzie nas żegnali na wyjezdnem pozostający koledzy wygnania, a wśród nich najbliżsi, Majewscy i Kędrzycki. Ten ostatni, posłuszny swej wenie, nakreślił dla Maryni wierszyk pożegnalny, który tu w całości przytaczam:

NA NUTĘ TĘSKNEGO CHŁOPIĘCIA

Tam gdzie Polesia smętny kraj,
Naszej ptaszyny gniazdko, raj;
Tam życia jej upłynął ranek,
Tam ją pokochał mąż-kochanek,
Na wiele ciężkich lat
Frunęła stamtąd w świat...

Lała się hojnie polska krew
I głośno brzmiał wolności śpiew,
Niewieście serce pieśń tę całą
Z męczeństwa żądzą odbrzmiewało —
I słał do ziemi ciężkich kar
Żołnierzy prawdy Moskwy car.

„Luby, ja z Tobą w dłoni dłoń,
Cierń twego wieńca moją skroń
Niech także krwawi w obcym świecie“,
Rzekła ptaszyna, Polesia dziecię
I za swym lubym w ślad
Frunęła w obcy świat!

Gdybym miał pieśniotwórczy dar,
Przelałbym uczuć moich żar
W czarowne dźwięki, by ptaszyna
Śpiewała pieśń Podolanina,
By jej głosikiem wieszcz
Zachwytu budził dreszcz...

Nie mam potęgi wieszczych sił,
Próżnobym taką piosnkę śnił...
Przyszłość wyśpiewa Polek chwałę,
Co muszą serca życie całe
W ofiarny wieniec zwić,
By mogły szczęsne żyć...

Żegnaj, ptaszyno, siostro ma!
Jasną mi gwiazdką pamięć twa!
Wygnania lata mi słodziła
Przyjaźni twej cudowna siła.
Na pasmo przyszłych lat
Zachoważ ją twój brat?

Wierszyk ten, napisany 20 stycznia, w tymże dniu został żonie mojej przez autora doręczony. Pozostały do wyjazdu czas poświęciliśmy przeważnie na pakowanie się i przygotowania do podróży, którą rozpoczęliśmy w dniu 31 stycznia 1869 r. wraz z towarzyszem podróży Korsakiem, który zdążał do Tomska. Sanie nasze były olbrzymie, z zabudowaną na głucho prawą stroną (mającą nas chronić w ciągu drogi od wiatrów północnych), a wybite wojłokami i dymą. Uzbroiliśmy się nadto w tak zwaną koszmę, to jest bardzo gruby wojłok, mający około 9 łokci długości i 4 szerokości, który wyścielał tył i dno sani, owijał nogi i służyć mógł swym dalszym ciągiem za ogromną ciepłą i miękką kołdrę. Żona moja miała na sobie dwa futra, mufkę i ciepłą podróżną czapkę futrzaną,

ja zaś koszulę ostjacką [1]) i czapkę z renów, tudzież walonki. [2]) Jadła na drogę przygotowaliśmy obyczajem miejscowym w postaci zamrożonej dostateczną ilość, a mianowicie 30 talerzy zupy mrożonej i tyleż mleka, kilka kop pilmeni, to jest pierożków z mięsa i faseczkę kotletów z różnego mięsiwa usmażonych i masłem zalanych.

Ażeby zabezpieczyć się od złych zamiarów ludzkich, nie mając prawa mieć broni palnej, jadąc nadto bez asystencji urzędowej, musiałem całą drogę trzymać przy sobie laskę elastyczną z telegraficznego rzecznego sznura zrobioną i zakończoną gałką ze stali. By zaś naszą pozycję społeczną wobec władz pocztowych polepszyć, ułożyliśmy się z naszym kasjerem rządowym usolskim, niejakim Litwińcowem, jak ma on napisać tak zwaną podorożnę czyli rozporządzenie wydawania koni pocztowych. Stanęło na tem, że jako wracający do Kostromy z powodu manifestu cesarskiego miałem to określone wyrazami: „Powracającym do Kostromy na skutek najwyższego rozkazu". Gdy zaś jako pozbawionemu praw nie można mi było dać tytułu lekarza, uradziliśmy, aby przed mojem imieniem i nazwiskiem napisać: „b. wraczu", coby oznaczać miało: „byłemu lekarzowi". Rachując zaś na niepiśmienność większości zawiadowców stacyj, pewny byłem, iż literę tę daleko pochlebniej dla mnie tłumaczyć będą, wpisując do księgi: „bolszomu wraczu" to jest „wielkiemu lekarzowi". I nie omyliłem się, licząc na szczebel inteligencji ówczesnych urzędników na Syberji, którzy z najwyższą naiwnością zapytywali mię nieraz, w jakim celu wysyła mię cesarz do Kostromy? Na to ja znowu miałem stale steoretypową odpowiedź: „To do pana wcale nie należy, proszę o śpieszne zaprzęganie koni". Na takie dictum zwykł był mniej więcej każdy zawiadowca wykrzykiwać, prostując się: „Słuszaju, słuszaju", poczem momentalnie zaprzęgano konie. W pierwszych dniach naszej podróży mieliśmy drogę wyborną, ale nasze olbrzymie sanie zwracały wciąż na siebie powszechną uwagę, a dowcipni Sybiracy przezywali je: arką, barką, korabiem, basztą i t. p.

---

[1]) Koszula ostjacka, ze skóry renów uszyta włosem na zewnątrz obróconym, wkładała się przez głowę.

[2]) Walonki, rodzaj wysokich butów wojłokowych.

W podróży byliśmy 6 tygodni, to jest od 31 stycznia do 13 marca, którego to dnia stanęliśmy w Kostromie. W tym przeciągu czasu napisaliśmy trzy listy, a mianowicie 2, 9 i 28 lutego; ale atrament na stacjach pocztowych bywał haniebny i dlatego trudno dziś te pisma zupełnie wyblakłe i zrudziałe odczytać. Jechaliśmy dzień i noc, zatrzymując się tylko dłużej w miastach, gdzie były hotele, lub gdzie pragnęliśmy odwiedzić kolegów wygnania, jako też osoby, które wyciągnęły ku nam dłoń przyjazną ze współczuciem, gdyśmy przed kilku laty dążyli z kraju w głąb Syberji.

Pierwszem miastem na drodze naszej był Niżnieudińsk, o 400 wiorst od Irkucka oddalony. Minęliśmy tę nędzną mieścinę i już dojeżdżaliśmy do następnej stacji, gdy spotkał nas przykry wypadek. Nasz jemszczyk (woźnica) od chwili wyjazdu w Niżnieudińska pędził konie cwałem, nie zważając na napotykane na drodze nierówności. Pod samą prawie stacją, gdyśmy zaczęli zjeżdżać z dość stromej góry, upuścił on niebacznie lejc lewego orczykowego konia, a pragnąc go pochwycić, przechylił się mocno, stracił równowagę i wypadł z sani. Konie pozbawione hamulca szarpnęły tak gwałtownie, rzucając się w bok, że przewróciły sanie właśnie na lewą stronę, gdzie był jedyny otwór, w którym siadywał zazwyczaj towarzysz naszej podróży, Korsak. Na szczęście, zdołał on w porę unieść nogi, ale skutkiem raptownego wywrotu znaleźliśmy się w zupełnej ciemności i nieświadomości, dokąd nas rozhukane konie zaniosą. Ciężkie tłomoki zruszyły się z miejsc, gniotąc nas w różnych kierunkach, nieokiełzane zaś rumaki pędziły jak szalone. Wreszcie usłyszeliśmy dudnienie ich kopyt na moście, co nas upewniło, że ominęliśmy pomyślnie największe niebezpieczeństwo dostania się do przepaści, ponad którą most był wzniesiony, a wkrótce potem doleciały nas krzyki ludzkie, poczem konie stanęły jak wryte, pochwycone silnemi rękami przy uzdach. Podniesiono przewrócone sanie i wydobyto nas z pomiędzy pak, paczek i tłomoków, a co najdziwniejsze, bez najmniejszego szwanku.

Ratunek ten zawdzięczaliśmy włościanom, których święto zgromadziło w tej miejscowości. Jeden z naszych wybawicieli siadł na kozioł i dowiózł nas do stacji, położonej o kilkaset kroków zaledwie za mostem; inni zaś podążyli za nami pieszo.

Po uporządkowaniu tłomoków i rozlokowaniu się w izbie pocztowej, na co zaledwie kilka chwil czasu straciłem, ruszyliśmy z Korsakiem na poszukiwanie naszego spadłego z kozła woźnicy. Zastaliśmy go na miejscu, gdzie go sanie wyrzuciły, wystraszonego, jęczącego i ze strachu udającego napółżywego. Gdyśmy go podnieśli i pocieszać zaczęli, ożył odrazu i nie mógł dobrać wyrazów, dla okazania nam swej wdzięczności, mówiąc, że za wywracanie zwykli sybirscy pasażerowie bić do półśmierci powożących. Prowadząc pod ręce biedaka, doszliśmy wkrótce do stacji, gdzie mu dano chwilowy przytułek na posłaniu ze słomy. Gdy go zbadałem, okazało się, że żebra były całe, ale w lewym boku czuł ból gwałtowny skutkiem uderzenia, tudzież oddawanie krwi przy każdem kaszlnięciu. Zważywszy przyczynę cierpienia, oraz silny i w krew bogaty organizm poszkodowanego, wiedząc nadto, że po naszym wyjeździe nikt go doglądać nie będzie i poradzić mu nie potrafi, zdecydowałem się na upust krwi i sam tej operacji poraz pierwszy w mem życiu lekarskiem dokonałem, zalecając przytem stale okłady z lodu. Nie wiedziałem, co uczyniłem nieszczęsny i jakie wywołam domagania się ze strony obecnych włościan, których zebrało się kilkudziesięciu. Dowiedziawszy się, że umiem krew puszczać, poczęli się cisnąć ku mnie, obnażać poza łokcie swe lewice i dopraszać się natarczywie upustu krwi. Mógłbym bezkarnie wypuścić morze krwi sybirskiej, ku wielkiemu zadowoleniu zwolenników tej metody. Gdy jednak stanowczo odmówiłem tej uprzejmości, pożegnano nas nie bardzo życzliwie, zarzucając niewdzięczność za oddaną nam przed chwilą usługę.

Pogodziwszy się z naszą przykrą w tym wypadku pozycją, ruszyliśmy w dalszą drogę. Pędząc dniem i nocą, zatrzymaliśmy się dopiero w powiatowem miasteczku Kańsku u doktorowstwa Juljanów Skawińskich, naszych usolskich kolegów, i tam przerobiliśmy sanie nasze na półkryte, mając w pamięci przygodę, która nas spotkała. Pomiędzy Kańskiem i Krasnojarskiem raz tylko nocowaliśmy w wiosce, w której zamieszkiwali ziomkowie nasi: Feliks Staniszewski Podolak, a nasz sąsiad, niegdyś właściciel skonfiskowanej mu Sewerynówki, i Marek Żurakowski Wołyniak, którzy nas od noclegu uwolnić nie chcieli i gościli po staropolsku. W Krasnojarsku spędziliśmy dni kilka dla

wywczasu. W Tomsku odwiedziliśmy zacnych Naumowych i doktorostwa Orzeszków. W temże mieście rozstaliśmy się z naszym poczciwym kolegą i towarzyszem podróży Korsakiem; natomiast przybyła nam służąca Marysia Jemiec, żytomierzanka, która towarzyszyła Łagowskim i zostać musiała w Tomsku, rażona ciężkim tyfusem. Gdy się o naszym przejeździe w kierunku kraju dowiedziała, tak nas serdecznie prosiła, aby ją zabrać, że uczyniliśmy to z wielką chęcią, tembardziej, iż znaliśmy ją jako dobrą kucharkę. Omijając Tobolsk, wyruszyliśmy z Tomska przez step Barabiński, gdzie nas straszna zamieć zaskoczyła, ale bez żadnych groźniejszych następstw, do Omska, w którym zastaliśmy dwóch moich kolegów: dra Józefa Kościałkowskiego i Adolfa Kruczkowskiego, którzy tu byli w charakterze wygnańców. Spędziwszy w ich towarzystwie dni parę, podążyliśmy w dalszą drogę.

Pomiędzy Omskiem i Ekaterynenburgiem spotkał nas najniespodzianiej wypadek bardzo groźnie zapowiadający się, ale pomyślnie zakończony. Wyjeżdżając z jednej ze stacyj w późną noc, znużeni usnęliśmy głęboko. Korzystając zapewne z tego, nasz woźnica zatrzymał się w lesie i nagle zaczął dawać jakieś znaki, świszcząc przeraźliwie. Moja żona, bardzo we śnie czujna, przebudziła się i mnie budzić zaczęła, co jej przyszło nie bez wielkich trudności. Gdy wszakże zdołałem otrząść się ze snu głębokiego, przekonałem się o złym zamiarze naszego jemszczyka zwrócenia z głównego traktu na jakiś uboczny w lesie. Nicpoń tłumaczył się tem, że zabłądził i musi szukać zgubionej drogi. Zagroziłem mu moją laską ze stalową gałką, skoro tylko ośmieli się ruszyć w kierunku niewłaściwym. W tej chwili prawie usłyszeliśmy dzwonki; gdy zaś one i do jego uszu doszły, chciał co prędzej wyruszyć, alem go powstrzymał, mówiąc, że się o drogę jadących zapytać musimy, skoro on nie zmienia swego twierdzenia, żeśmy zbłądzili. Wśród tych sporów, doczekaliśmy się przybycia oficera objazdowego, czuwającego nad bezpieczeństwem tych kilku stacyj, na których powtarzały się częste wypadki rozboi i grabieży podróżnych. Gdy się od nas o całem zajściu dowiedział, ofuknął groźnie woźnicę i kazał mu następnie jechać przed sobą na stację. Zacięte gwałtownie konie przez wściekłego ze złości jemszczyka ruszyły z kopyta,

a takiej szalonej jazdy w życiu naszem oboje nie znaliśmy i z łatwością mogliśmy najlżejsze potknięcie się sań naszych życiem przypłacić. Pierwszą czynnością tego łotra po przywiezieniu nas do stacji była śpieszna ucieczka do lasu w obawie odpowiedzialności.

Zdawałoby się, że po tak groźnem przejściu, acz wypadkowo pomyślnie zakończonem, trudnoby się decydować na dalszą jazdę w nocy, a mimo to wszystko ruszyliśmy dalej, obawiając się każdej straty czasu, wobec zbliżających się wiosennych roztopów. O jedną stację przed Ekaterynenburgiem musieliśmy się zatrzymać, dla zrestaurowania nadwerężonych złą drogą sani, wypoczęcia, zobaczenia się w tem mieście z Dionizym Ogrodzińskim i zakupienia wyrobów z cennych kamieni na podarunki dla rodziny.

Całą Syberję przebyliśmy, jadąc tak zwaną wolną pocztą, którą tam nazywają przyjacielską („jizda drużkami"). Polega ona na tem, iż pasażer przywożony bywa do przyjaciela, zajmującego się również przewożeniem podróżnych, ten zaś wiezie go dalej do następnej stacji i tak dalej... Całe szeregi takich przyjaciół posiadają swe dzwonki, do jednego dostrojone tonu, tak iż we wsi wiedzą, do kogo zmierza pasażer, i tam zazwyczaj w uprzęży czeka trójka koni, a nie więcej nad dwie minuty potrzeba, by zmienić zaprząg. Ten sposób podróży był w wielkiem za naszych czasów użyciu, jako nieco tańszy, a daleko śpieszniejszy; konie bowiem prywatne są lepiej od pocztowych wypoczęte. W Rosji europejskiej poczt takich niema, to też począwszy od Omska jechaliśmy pocztą rządową.

Dalsza droga nasza z Ekaterynenburga prowadziła przez Permę, gdzie tylko przenocowaliśmy. Następnie dotarliśmy do Wiatki, gdzie spędziliśmy dobę, a zakupiwszy za parę rubli po bajecznie niskich cenach niezmierną ilość produktów, na cały miesiąc starczyć nam mogących, podążyliśmy do ostatniego celu podróży naszej, przez dziewicze jeszcze prawie naonczas lasy wiatskie i kostromskie. Zrazu mieliśmy dobrą drogę, ale zwolna stawała się ona coraz węższą, z ogromnemi zaspami śnieżnemi po bokach. Wkrótce też zaprzęgać poczęto po trzy konie jeden za drugim (gęsiego), sanie zaś nasze, duże i ciężkie, przy lada szarpnięciu koni grzęzły w grubych warstwach śnież-

nych. Jedną stację, skutkiem ciągłych zapadań, przebyliśmy w ciągu 12 godzin, wlokąc się powoli, co chwila bowiem odkopywać nas musiano, ku czemu należało upraszać i gościć włościan wsi okolicznych. Przekónawszy się, że bez drugiego człowieka nie damy sobie rady, prosiłem zawiadowcę pocztowej stacji o danie nam przewodnika, któryby strzegł sanie od ugrzęźnięcia w śniegu. Prośba udała się pomyślnie i odtąd ani razu nie usunęliśmy się na bok z drogi ubitej; nadal więc ratowaliśmy się tym samym środkiem. Dodany nam do opieki stał za saniami, a pochylając się właściwie, nie dopuszczał zboczeń w saniach, które idąc równą linją nie ulegały wypadkom. Tak dotarliśmy wreszcie do pierwszego kresu naszej wędrówki, do miasta gubernjalnego Kostromy, nad rzeką Wołgą położonego, w dniu $^{13}/_{25}$ marca 1869 roku.

Po ścisłem obliczeniu naszych funduszów okazało się, że z 950 rs., z któremi opuszczaliśmy Usol, pozostawało nam nie więcej nad 300 rs., a więc tyle, żeśmy mogli urządzić się na nowem miejscu, przed skomunikowaniem się z krajem i otrzymaniem nowych zasiłków. Kostroma nie sprawiła na nas wielkiego wrażenia. Położona nad brzegiem Wołgi, posiada dwie ulice równoległe do brzegu rzeki; reszta ulic biegnie promienisto do placu, stanowiącego środek drugiej z tych dwóch ulic, to jest dalszej od rzeki. Na tym placu wznosi się pomnik Susanina. Kilka cerkwi, kilka fabryk (przędzalni i tkalni), gimnazjum męskie i żeńskie, kilkadziesiąt piękniejszych kamienic, przystań nad Wołgą — oto wszystkie osobliwości tego miasta. Gubernatorem był Dargobużynow, niegdyś wyższy oficer floty. Stawiłem się 15 marca w jego kancelarji. Uwolniono mię od osobistego przedstawienia się i wyznaczono miasto Galicz na miejsce stałego zamieszkania naszego.

W Galiczu, dokąd dojechaliśmy w ciągu jednego dnia, stanęliśmy 17 marca i wynajęliśmy u właściciela hotelu, Bokowina, mieszkanie w jego drugim domu, złożone z 5 pokoi, kuchni, łaźni i ogrodu, za cenę 10 rubli miesięcznie. Nowa nasza siedziba była miastem powiatowem gub. kostromskiej i leżała nad olbrzymiem jeziorem, mającem przeszło 20 wiorst długości i cztery szerokości. Posiadało kilka ulic brukowanych, drewniane z desek chodniki, 12 murowanych cerkwi, tudzież

kilkanaście pięknych kamienic, pozostałych tu z dawnych czasów, gdy Galicz był środowiskiem handlu Rosji z odległym Wschodem. Miasto słynęło nadto ze swych wyrobów białoskórniczych, poszukiwanych w całem państwie, jak również z hodowli warzyw, przeważnie kapusty i ogórków, któremi zaopatrywało całą gubernję. Ogrodnictwem zajmują się tu potomkowie przesiedlonych do Galicza za panowania Iwana Groźnego Nowogrodzian. Z całej ich wielkiej przeszłości i bogactw pozostały im tylko w spadku po przodkach perły, które się tu zwykły mierzyć na kwarty i garnce przy wyposażaniu córek. Kobiety zachowały charakterystyczne stroje mieszczańskie nowogrodzkie, składające się z grubej adamaszkowej jedwabnej spodnicy jaskrawego koloru, suto obszytej galonami, kaftanika z lamy złoconej lub złotem przetykanej, naszyjników z wyżej wspomnianych pereł, nanizanych na sznury i pokrywających szyję i piersi, wreszcie kołpaków ostrosłupowych różnej wysokości lub czepków różnokształtnych, gęsto wyszytych perłami. W tych strojach, z wachlarzami z kości, któremi wschodnim obyczajem zakrywały swoje oblicza, zjawiały się potomkinie Nowogrodzian na spacerach, szczególnie w porze letniej. Ulubionem miejscem przechadzek tych właścicielek średniowiecznych ubiorów były wały, otaczające dawne miasto.

Nazajutrz po przybyciu do Galicza przedstawiłem się znanemu z wyjątkowej zacności i uprzejmości dla wygnańców, naczelnikowi powiatu, Kiryłowowi. Następnie odwiedziłem mego kolegę kijowskiego, dra Karola Brodowskiego, wysłanego w drodze administracyjnej z miasteczka Ołyki na Wołyniu, gdzie praktykował. Cieszył się on tu wielką wziętością jako lekarz i uznaniem jako człowiek. Następnie wstąpiłem do mieszkania wuja mego Antoniego Trypolskiego, który już od lat kilku na wygnaniu pozostawał, tudzież do braci Tadeusza i Dymitra Teleżyńskich, niedawno tu przeniesionych z minusińskiego okręgu, a moich dawnych znajomych ze szkół i organizacji. Wszędzie przyjęto mnie serdecznie i po koleżeńsku. Od Brodowskiego dowiedziałem się, że po mojem przybyciu i przyjeździe lekarza ziemskiego Lebiediewa, który jest w tych dniach oczekiwanym, będzie nas w Galiczu pięciu medyków, co mi dało do zrozumienia, iż na większe dochody z praktyki liczyć nie będzie

można, jako w mieście, którego ludność nie przenosiła 10 tysięcy ludności. Mimo to, postanowiłem zrobić z mej strony wszystko, by praktykę na drodze godziwej rozwinąć. Uporządkowałem więc starannie moją bibljotekę specjalną, przyrządy lekarskie i narzędzia chirurgiczne i wyznaczyłem ranne i popołudniowe godziny przyjęć, nie wydalając się w tych godzinach ani na chwilę z mieszkania.

Wkrótce zaczęli zjawiać się pacjenci, a liczba ich z dniem każdym rosła znakomicie. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast uiszczania należnych mi honorarjów obcałowywano mnie, kłaniano się uniżenie, a nawet padano na klęczki, wyrażając w tej formie wdzięczność za udzieloną poradę. Nie mogąc zrozumieć, co było powodem takiego zachowania się ze mną galickiej publiczności, pozwoliłem sobie powiedzieć dwom kupcom, przybyłym dla zasięgnięcia mojej rady, a którzy mi się wydali zamożniejszymi od innych, gdy zwyczajem względem mnie przyjętym za udzieloną im radę poczęli całować mię po rękach, że tak, jak oni, zwykli tylko dziękować ludzie, pozbawieni wszelkich środków materjalnych. W jednej chwili obaj z wyrazem zmieszania na twarzy wydobyli swe dobrze wyładowane pugilaresy i złożyli po rubli srebrem trzy. Odtąd poczęła wzrastać nietylko wziętość moja, ale i środki, które były tem potrzebniejsze, iż brat mojej żony Lucjan Mianowski, od chwili objęcia w administrację Prażowa, pod różnemi pretekstami zaprzestał przysyłać należne nam dochody z majątku. Nieporozumienie co do wypłacania mi honorarjum miało swój szczególny powód. Wuj mój Antoni Trypolski, chcąc się pochwalić zamożnym, krewnym lekarzem filantropem, puścił w obieg legendę, że ja honorarjum nie przyjmuję, opierając się zapewne na tem, że w kraju, jako rolnik, bezwarunkowo od takowych się uchylałem.

Z wygnańców oprócz wyżej wymienionych zastaliśmy w Galiczu panią Rudomino z córką i synem Antonim, którzy wkrótce do kraju wyjechali, Artura Ciemniewskiego, ziemianina z Chełmskiego, Bronisława Padlewskiego i Borzęckiego, zwanego „wujaszeczkiem“ z Ukrainy, Bohdanowiczów, Łakisów i Korsaka z Witebskiego, Boguskich z Podola i jeszcze kilku innych, z którymi nas nie łączył bliższy stosunek. Niezależnie od osób

zesłanych, było w tem mieście kilka polskich rodzin, dobrowolnie tu przybyłych. Z tych zaprzyjaźniliśmy się wkrótce z domem doktorostwa Feliksów Kieniewiczów. Życie nasze w Galiczu różniło się bardzo od usolskiego. Wziąwszy się bowiem do pracy, często musiałem być na wózku, a więc w podróży, żona zaś moja samotnie czas ten spędzała. Wyjazdy były konieczne, ponieważ praktyka miejska za mało przedstawiała widoków szerszego powodzenia. Ponieważ medycyna w powiecie galickim długo odłogiem leżała i zaledwie podnosić się zaczęła dzięki wspólnym staraniom Karola Brodowskiego i Feliksa Kieniewicza, przyłączyłem się całem sercem do tych usiłowań i dzieliliśmy się po bratersku i koleżeńsku praktyką, bez zawiści i intryg, tych najsmutniejszych źródeł wszelkich zajść w walce o byt, która zwykle towarzyszy przedstawicielom świata lekarskiego na ciasnym gruncie partykularza. Mieliśmy do czynienia z bardzo niewymagającą publicznością i każde nasze uczciwe usiłowanie było nietylko oceniane, ale i uwielbiane.

Brodowski pracował przeważnie nad okulistyką i miał wielkie na tem polu uznanie i powodzenie. W czasie mojej pierwszej u niego bytności, gdym wchodził do gabinetu, wpadła mi w oko w poczekalni kobieta z wezykatorją na powiece. Kiedyśmy się wspólnie z Brodowskim w tej poczekalni znaleźli, uderzony tym nieznanym w dziejach medycyny sposobem leczenia oczu zapytałem, co to ma znaczyć, odpowiedziała mi najspokojniej i najnaiwniej: „pan doktór kazał mi postawić wezykatorję za uchem, ale cóż tu ucho winne? sądziłam, że mając dużo zajęcia omylił się pan doktór w pośpiechu i postawiłam na oku, bo mnie oko bolało, a nie ucho; i dobrze zrobiłam, bo mi lżej teraz". Okazało się ni mniej ni więcej, że rogówka pękła pod wpływem wezykatorji, co naturalnie zdziałało chwilową ulgę w cierpieniu chorej, w przyszłości zaś najbliższej, musiało mieć nieobliczone narazie, ale zawsze bardzo smutne następstwa.

Ten fakt przekonał mnie, jak mało przyzwyczajonym był lud rosyjski do wymagań względem lekarzy, których nie wyzyskiwał, a przeciwnie, prawie zawsze był sam wyzyskiwany. Trudno zliczyć, ile potem miałem w praktyce mojej świetnych

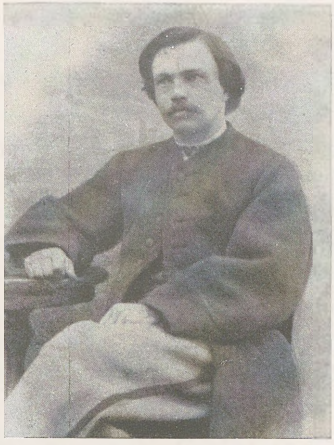


Fig. 52. Józef Jezierski.



Fig. 53. Roman Bniński.



Fig. 54. Dr Jan Świda.



Fig. 55. Juljan Skawiński z małżonką.

rezultatów, gdy chodziło o przywrócenie utraconego częściowo w zupełności słuchu. Prawie zawsze bowiem okazywało się, iż to cierpienie dolegliwe powstało skutkiem braku czystości i uformowania się olbrzymich korków w kanale słuchowym zewnętrznym, składających się z wydzielin gruczołów tego kanału, popularnie zwanych siarką, i najrozmaitszych nieczystości w postaci włosów, kurzu, a częstokroć i małych owadów, jak np. pchły, pluskwy i małe karaluchy. W tych razach wystarczało najzupełniej parę silnych przestrzykiwań ciepłą wodą, by te korki usunąć, a tem samem słuch przywrócić. Dziwną zaprawdę jest rzeczą, że miejscowi lekarze do tych środków nigdy się nie uciekali; łatwe też mieliśmy zadanie i szerokie pole do skutecznej działalności.

Dzięki wielkiej pomiędzy nami solidarności zyskiwaliśmy wszyscy coraz więcej praktyki, a krzywd moralnych i materjalnych nie wyrządzano nam prawie nigdy, darząc natomiast szczerem uznaniem i zaufaniem. Innego byli zdania lekarze Rosjanie, niemłody już doktór powiatowy Kikin i świeżo przybyły ziemski Lebiediew, co do których jako do pijaków i karciarzy nikt się po poradę nie udawał, na co obaj narzekali, wymyślając publiczności, która się na nich poznać nie umie, a nas mianując szarlatanami. Do pomyślnych wypadków w mojej praktyce, które bardzo zwiększyły jej promień, oprócz codziennego niemal usuwania głuchoty, metodą przestrzykiwań, zaliczę jedno wypadkowe całkiem uleczenie, zapomocą słabych prądów elektrycznych rozpoczynającego się paraliżu i zaniku nerwu wzrokowego, które tak pomyślnie się powiodło, iż pacjent, ubogi szewc, uważał za swój obowiązek odwiedzić wszystkie pobliskie miejsca cudowne, by złożyć dziękczynne modły za przywrócenie wzroku, a przy sposobności nie omieszkał opowiedzieć setkom ślepych żebraków o odzyskaniu tego zmysłu dzięki moim zabiegom i zaopatrzyć wszystkich w mój adres. Jakież więc było zdumienie i kłopot, gdy napływać poczęły całe partje ślepców, pozbawionych najczęściej gałki ocznej, a domagających się ode mnie wzroku. Niemniej hałasu narobiły dwa inne wypadki, a mianowicie kuracja pedagogiczna pułkownika Szygaryna, który po wylewie apoplektycznym, jednocześnie z paraliżem prawej połowy ciała, stracił zdolność

mówienia, a którego na nowo nauczyłem stu kilkudziesięciu wyrazów, najpotrzebniejszych mu do codziennego użycia, i zupełne uleczenie pani Rudomazin, u której mylnie diagnozował petersburski Krasowski rak macicy, a którą udało mi się szczęśliwie wyleczyć.

Biedna moja Marynia, pozbawiona często mojego towarzystwa, szukać musiała innych rozrywek. Najczęściej bywała u Kieniewiczów, którzy mieli dwoje miłych dziatek, Wicia i Marynię, szczególnie gdym na dni kilka za granice miasteczka wyjeżdżał. Pragnąc jej czas uprzyjemnić, założyłem malutki ogródek, który wkrótce stał się podziwem ludzi miejscowych i mimowolnym powodem zmiany naszego mieszkania. Jeden bowiem z najbogatszych niegdyś kupców galickich, nazwiskiem Wakoryn, zobaczywszy nasz ogród, zwrócił się do mnie z propozycją wynajęcia mi w swojej kamienicy na rynku pierwszego piętra, złożonego z 6 pokoi i dwóch w mezzaninie, z łaźnią, kuchnią, stajnią i wozownią, za niebywałą tam nawet cenę 120 rs. rocznie, stawiąc za warunek, abym ogród, leżący odłogiem, przeistoczył na kwietnik, obiecując mi zarazem dodać na wiosnę i w jesieni konia z wozem i fornala do pomocy. Naturalnie zgodziliśmy się na to i przenieśliśmy się do nowego mieszkania w początkach kwietnia 1869 roku. Natychmiast po przenosinach zabrałem się do prac przygotowawczych. Na trzech oknach jadalnego pokoju urządziłem czteropiętrowe skrzynki, gdzie jak w inspekcie hodowałem flance. Zarośnięty od lat kilku chwastami ogród po starannem oczyszczeniu okazał się pokryty grubą warstwą czarnoziemu. W kwietniu już cały plan został wykonany i oczom naszego gospodarza przedstawił się piękny parter kwiatowy, z ukrytym nieco trójkątem, przeznaczonym na warzywa. Wdzięki naszego ogródka wzmagały się z dniem każdym, a gdy zakwitły lewkonje, goździki, groszki i rezedy w dużej bardzo ilości, zapach rozchodził się daleko i ściągał ciekawych w stronę naszego parkanu. Niejednokrotnie wracając do siebie, widziałem po kilka, a czasem kilkanaście nosów przy szparach naszego płotu, chciwie wciągających woń kwiatów.

Przy coraz większem rozwijaniu się mojej praktyki cały prawie mój czas poświęcać jej musiałem, zaledwie mając parę

godzin wolniejszych w ciągu dnia dla odczytania dzienników, odpisania listów i podtrzymania stosunków z kolegami. Żona moja, wolna od zajęć na chleb powszedni, poza gospodarstwem domowem, książką i towarzystwem, miała jeszcze niemało swobodnego czasu i brakło jej bardzo muzyki, którą lubiła namiętnie. Posiadała wprawdzie harmonijkę, ale wciąż wzdychała za fortepianem. Starałem się chęciom jej zadość uczynić, ale napróżno. Dziwnym wszakże zbiegiem okoliczności spełniły się jej pragnienia. O kilka wiorst od Galicza mieszkali w swej rezydencji, a jak tam nazywano sadybie, państwo Władimirowie: on urzędnik typu Mikołajewskiego pełnił obowiązki mirowego pośrednika, ona, niemłoda, niesympatyczna, ale ze śladami wielkiej piękności, z wielką zalotnością kobieta. Mieli dość liczne potomstwo, rozsypane po całej Rosji na urzędach, przy sobie zaś jedną tylko córkę, niemłodą już pannę. Do tego domu wezwano mnie jako lekarza we wrześniu 1869 r. Zastałem starca w strasznych męczarniach skutkiem cierpienia pęcherzowego. Okazało się, że już dwie z górą doby nie oddawał uryny. Uprzedziłem rodzinę, że po tak silnem rozciągnięciu pęcherza zapewne już nigdy pacjent bez pomocy lekarskiej oddawać jej nie będzie, poczem przystąpiłem do koniecznej w podobnych razach operacji i wypuściłem więcej niż pół wiadra płynu, co choremu sprawiło znaczną ulgę.

Nadmieniłem przytem, iż w razie polepszenia zmuszony będzie przenieść się do Galicza na stałe mieszkanie. Ponieważ zaś w danej chwili wobec podeszłego wieku chorego stan jego ogólny był bardzo groźny, poleciłem pannie Władimirow, aby rodzeństwo o tem uprzedziła. Gdy się wkrótce zjechali, podziwiałem niezwykłą piękność trzech synów przybyłych, ale do rodziców i między sobą wcale nie podobnych. Objaśnili mię pod tym względem mieszkańcy miejscowi, twierdząc, że synowie pani Władimirow mieli różnych ojców w sferach wysokich dygnitarzy i dlatego nie są do siebie podobni. Wezwanym zdawało się napewno, iż jadą oddać ostatnią posługę ojcu i odebrać spadek, wielkie więc było ich rozczarowanie, gdy stan chorego począł się nieco polepszać. Starano się mnie przekonać, że starzec żyć nie może i ukrywano widoczną niechęć, że podróż bezcelową własnym kosztem odbyć musieli.

Poznawszy stosunki wzajemne tej rodziny, byłem zgorszony, a im dłużej obcowałem ze społeczeństwem kostromskiem, tem bardziej przeświadczyłem się, w sferach tak zwanej inteligencji rodzice mieli dzieci za zło konieczne, te zaś ostatnie swych rodziców za ciężar do czasu nieodzowny. O wzajemnej miłości i gotowości do poświęceń rodzinnych mowy tu nie było. Oddanie dziecka na koszt skarbowy do zakładów naukowych jest marzeniem rodziców od chwili przyjścia na świat potomka; marzeniem zaś dzieci pozbycie się jak najprędzej rodziców i odziedziczenie po nich spadku.

Cały zastęp młodych Władimirowych opuścił wkrótce z nosami na kwintę ojca, który się przeniósł na mieszkanie do Galicza, co stało się dla mnie bardzo pożądaną ulgą, musiałem bowiem tego pacjenta dwa razy na dzień na wsi odwiedzać, co mi zabierało po kilka godzin czasu. Po urządzeniu się na nowem miejscu zwróciła się do mnie pani Władimirow z największą układnością, prosząc o wyznaczenie minimalnego honorarjum za stałą opiekę lekarską, to jest odwiedzanie dwa razy dziennie chorego, zwracając moją uwagę na to, że środki ich są bardzo ograniczone. Długo zastanawiałem się, co mam jej odpowiedzieć; oceniając bowiem każdą moją bytność i operację na rs. trzy, wypadłoby za 60 wizyt miesięcznie 180 rubli. Pragnąc uczynić pomoc moją jak najprzystępniejszą, zaproponowałem pp. Władimirowym: 1) przysyłanie codziennie do mego rozporządzenia posiadanej przez nich jednokonnej dorożki dla spieszniejszego odwiedzania chorych w miasteczku; 2) przeniesienie do naszego mieszkania niepotrzebnego im w czasie choroby fortepianu; 3) wypłacenie mi w końcu każdego miesiąca rs. 30, co razem wzięte nie przewyższało wartości 75 rs. Trudno powtórzyć, ile mi okazała wdzięczności i uznania dla mojej bezinteresowności i jak się chętnie na moją propozycję zgodzono. Nazajutrz śliczny „Royal" ozdobił nasze mieszkanie i stał się źródłem tysiąca pociech dla mojej najdroższej żony. Przyjęte przezemnie zobowiązania w tym domu miały jedną niedogodną w praktyce stronę, iż nie dozwalały mi spędzać nocy u chorych poza obrębem miasta.

W składzie naszego wygnańczego koła na wiosnę 1870 r. zaszły pewne zmiany. Ubyła nam klasyczna postać wujaszka

Borzęckiego, którego kochaliśmy bardzo mimo jego dziwactwa. Załączam tu szereg anegdot, charakteryzujących go wybornie. Miał on naprzykład zwyczaj wszystkim pięknym, właściwie młodym paniom, czy je znał czy nie znał, oddawać ukłon z wyszukaną galanterją przeszłego wieku. Gdy mu obyczajem miejscowym składali słudzy powinszowania w dniu swoich własnych imienin, oczekując wiązania, udawał, że się niczego nie domyśla i składał im życzenia wszelkiej pomyślności. Przegrywając w marjasza, zwykł był pod pozorem bólu krzyża grę opuszczać, ale go nigdy krzyż nie zabolał, gdy mu karta dopisywała. Wszystkim zalecał oględność i przezorność, to też był bardzo zażenowany, gdy zapomniawszy, iż pod materacykiem, na którym sypiała jego lewretka, przechowywał pugilares z pieniądzmi, kazał usługującemu chłopcu pościel pieska przewietrzyć, ten zaś, rozkaz spełniwszy, położył przed wujaszkiem pugilares. Zarumienił się stary, mruknąwszy coś pod nosem, a całą tę scenę podpatrzył jeden z kolegów, zamieszkałych w tymże domu i nie omieszkał innych zawiadomić o tem, co zaszło. Rozpoczęła się procesja winszujących mu odszukania zguby, co o tyle wszystkich bawiło, o ile żenowało staruszka, który, prawiąc innym morały, nie lubił przyznawać się do własnej ułomności. Wyjeżdżając, postanowił zabrać ze sobą z Galicza dwie pary olbrzymich miejscowych gęsi, o ile się zdaje, z łabędziami skrzyżowanych, i dwie kopy jaj tegoż gatunku i postanowienie to uskutecznił. Młodzież nie ukrywała swego podziwienia, że wujaszek chce się tak wielkim kłopotem obarczyć. Na to Borzęcki odpowiedział: „Na was się spuszczać nie myślę i spełniam tylko mój obowiązek, a figla wyrządzam Moskalom. Sądzono, że wielką krzywdę czynią Polsce, wywożąc starego niedołęgę do Galicza, a jeśli temu niedołędze, powracającemu do kraju, uda się w nim rozmnożyć nowy i lepszy gatunek gęsi, to wszyscy jego rodacy na tem zyskają i zapomną, że kilka lat nie oglądali starego dziwaka". Ten ostatni monolog, na wsiadanem wypowiedziany, zyskał poklask ogólny. Jakie zaś owoce wydały usiłowania Borzęckiego, powiedzieć tego nie potrafię; wiem tylko, że gęsi owe dostały się do dóbr Proskurów na Ukrainie.

Jednocześnie z wujaszkiem opuszczali Galicz państwo

Roguscy, udając się do Warszawy. W zastępstwie wyjeżdżających przybyły dwie rodziny: Szystowskich (ona z Ukrainy, Dąbrowska z domu), którzy pobrali się na wygnaniu i Gustawowstwa Moszczyńskich (ona z domu Pruszyńska), z którymi przybył brat Gustawa, Jan, ciężko chory.

Niedługo cieszyliśmy się fortepianem, który już w kwietniu 1870 r. zwróciliśmy pp. Władimirowym, a stało się to wśród następujących okoliczności. W czasie jednej z wizyt moich u chorego staruszka, zwrócił się on do mnie z zachowaniem form najwyższej delikatności, prosząc, bym go wyuczył obchodzenia się z kateterem, aby w razie mego wyjazdu nie został na łasce i niełasce niesumiennych lub nieznających swej specjalności lekarzy. Naturalnie, przystałem na to z największą chęcią, a na zapytanie, ile ta nauka może kosztować, uśmiechnąłem się i zapewniłem o zupełnej mojej w tym względzie bezinteresowności. Mój uczeń od tej chwili, z właściwą Rosjanom cierpliwością i gorliwością, gdy pragną coś zdobyć, przykładał się do nauki i po paru tygodniach sam się zachwycał swojemi postępami. Od tego więc czasu przestałem go odwiedzać, przysłaną mi nazajutrz dorożkę z koniem odesłałem, osobiście zaś udałem się do pani Władimirow z zapytaniem, czy nie mogą nam nadal fortepjanu wynajmować. Odpowiedziała mi, że mając dla mnie tyle i takich obowiązków wdzięczności, pieniędzy by przyjąć nie chciała, fortepjanu zaś mimo najszczerszej chęci zostawić u nas nie może, bo jest im samym potrzebny. Mam ten fakt za bardzo charakterystyczny w stosunkach naszych z Moskalami. Gdy kogoś potrzebują, robią wszystko, aby go przychylnie dla siebie usposobić, gdy potrzeba minie, w jednej chwili tak się zmieniają, że ich poznać niepodobna.

Powodzenie Brodowskiego i moje w praktyce lekarskiej drażniło w najwyższym stopniu miłość własną powiatowego lekarza Kikina, który ongi dzierżył monopol medycyny w mieście Galiczu. Nie mogąc dokuczyć drowi Brodowskiemu, całą swą złość na mnie wywierał i począł mi robić szykany, a mianowicie napisał odezwę do apteki miejscowej, aby nie śmiała wydawać lekarstw na moje recepty, jako pozbawionego praw stanu. Aptekarzem w Galiczu był niejaki Berner, który po

otrzymaniu tej odezwy i widzeniu się z Kikinem oświadczył, iż ani myśli spełniać otrzymanego rozkazu. Gdy bowiem polskich lekarzy nie było, on nie miał co jeść, dziś zaś, gdy mu apteka dobry dochód przynosi, nie chce go tracić dobrowolnie. Ten Berner była to w gruncie rzeczy małej wartości figura. Zajmował się on przeważnie myśliwstwem, a nie mając żadnych dochodów z apteki, próbował leczyć. Wskutek tego byliśmy zmuszeni zażądać, aby sprowadził zdolnego prowizora, w przeciwnym bowiem razie posyłać będziemy po lekarstwa do sąsiedniego miasteczka Czuchłomy, gdzie była wzorowa apteka. Spełnił nasze żądanie i dobrze mu się działo, starał się więc obudzić wśród mieszkańców miasta jak największą niechęć przeciwko rozporządzeniom Kikina i potrafił ich namówić na rozpoczęcie u władzy starań o przywrócenie mi praw lekarza. Karol Brodowski w tym czasie, korzystając ze świeżo zdobytej swobody ruchów w granicach gubernji, przyjął posadę lekarza ziemskiego w Buju, dokąd też wiosną 1870 r. przeniósł się, a tem samem mimowolnie zwiększył moją praktykę i dochody, co mi ułatwiło wobec raptownego odjęcia nam fortepjanu nabycie ładnego pianina za rs. dwieście.

Tymczasem gospodarz nasz, zachwycony ogródkiem kwiatowym, zaproponował, abyśmy jego grunta w obrębie miasta obrócili na ogród warzywny dochodowy. Była to przestrzeń, mniej więcej dwie morgi wynosząca. Ofiarowywał na ten cel ze swojej strony rs. 100 w gotowiźnie, konia z wozem i fornala na rok cały, przytem śmiecia i nawozu z kilku swych większych nieruchomości; reszta wkładów miała być wspólna, a czyste zyski dzielić się po połowie. Na te warunki przystałem, zastrzegając sobie prawo rozwiązania umowy w razie otrzymania pozwolenia na wyjazd z Galicza.

Wkrótce po wyjeździe dra Karola Brodowskiego wypadło mi być na imieninach właściciela ziemskiego, pana Nalotowa, który zajmował stanowisko sędziego pokoju miasta Galicza. Wrażenia, jakie z tej bytności wyniosłem, były tak charakterystyczne pod względem obyczajowym, iż uważam sobie za obowiązek podzielić się niemi z czytelnikiem. Panu sędziemu Nalotowowi, acz nie zawsze trzeźwemu, udało się osądzić bezstronnie drażliwą jak na one czasy sprawę. Wygnany ze służby sekretarz ziemstwa,

pijak, napadł na ulicy i zwymyślał jednego z wygnańców, ziomka naszego Staniszewskiego. Sprawa musiała się oprzeć o sędziego i ten miał cywilną odwagę w zajściu między Polakiem i Rosjaninem skazać ostatniego na zamknięcie w wieży, a co jeszcze donioślejsze, dołożył starań, by sprawę tę przedstawić w świetle właściwem zjazdowi sędziów pokoju i tą drogą uzyskać zatwierdzenie wydanego przez siebie wyroku. Ciemniewski, Tadeusz Teleżyński i ja, uznaliśmy za stosowne złożyć demonstracyjnie nasze uszanowanie w dniu jego patrona i w tym celu udaliśmy się do jego rezydencji, o 20 wiorst od Galicza odległej, gdzie już zastaliśmy kilka osób z rodziny przybyłych. Przy nas nadjechał konno sędzia honorowy, a wysoki dygnitarz państwa, ekscelencja Bolesław syn Michała Markiewicz.

Ten maskujący swe polskie pochodzenie dostojnik zdradzał je wszakże na każdym kroku. Jako kamerjunkier, urzędnik do szczególnych poleceń przy ministrze oświaty, lektor cesarzowej, a przytem właściciel dóbr w powiecie galickim, ożeniony z córką jenerała Sejferta, wreszcie sędzia honorowy w swoim powiecie, był on bożyszczem na partykularzu. To też stanowiska swego nadużywał, co i w tym wypadku było widoczne. Przybył do solenizanta konno, w pidżaku, z buldogiem i szpicrutą, a złożywszy życzenia gospodarzowi i powitawszy gospodynię zdawał się reszty domowników i gości nie widzieć. Nam tylko, jako przedstawionym mu deportowanym Polakom, podał rękę, poczem w bawialnym pokoju przy stole wraz z nami trzema i gospodarstwem raczył tylko rozmawiać, reszta osób tworzyła galerję, wytrwale stojącą i uporczywie milczącą, a pełną podziwu nad naszem zuchwalstwem. My tymczasem z pewnością siebie, właściwą ludziom, co nie z jednego pieca chleb jedli, zaczęliśmy prowadzić z przybyłym rozmowę, w której ten ostatni starał się być poprawnym i dystyngowanym w każdem słowie.

Po kilku zapytaniach i stosownych odpowiedziach co do naszych osobistości i miejsc, z których pochodzimy, rozpoczął pan Markiewicz od treściwego sprawozdania ze swej bytności w Królestwie Polskiem w charakterze urzędnika do szczególnych poleceń przy ministrze oświaty, poczem przeszedł do wrażeń, jakie mu z tej wycieczki pozostały. Twierdził on, że

oświata w tym kraju stoi na bardzo niskim poziomie, ślady zaś niewolnictwa i pańszczyzny jaskrawo rzucają się w oczy; każdy bowiem włościanin zwykł przeplatać swą mowę charakterystycznemi, pełnemi uniżoności słowami jak: „padam do nóg“, „całuję stopy“, którym towarzyszą zazwyczaj służalcze podejmowania pod kolana. Wysłuchałem cierpliwie całego opowiadania i gdy mówca skończył, odrzekłem mu z największym spokojem:

„Pewnikiem jest powszechnie i oddawna znanym, że cudzoziemcom rzuca się w oczy to, co dla krajowca jest niewidoczne, bo się z tem, co go otacza, oswoił. I w tym wypadku musiało zajść coś podobnego. Zwróciwszy więc tylko uwagę Waszej Ekscelencji na to, iż w Królestwie Polskiem przyjazd każdego wielkiego dygnitarza, a tem bardziej z Petersburga, zwykł wprawiać całe społeczeństwo w przerażenie, wywołując szczególniej wśród włościan objawy demonstracyjnej czołobitności, dodam, że trudno się dziwić narodowi w walce o byt swój pokonanemu, że nie jest szczerym, gdy mu otwartym być nie wolno. Raczy więc pan do faktów przez siebie oglądanych dołączyć i moje wyjaśnienie: czem Wasza Ekscelencja potrafi objaśnić to, czego ja tu doświadczam? Jako wygnaniec, pozbawiony praw stanu, nie mogę być postrachem dla nikogo. Jako lekarz zdobyłem zaufanie ludności miejscowej i niosę mą pomoc każdemu, co jej zażąda, nie stawiając żadnych wymagań. Skoro wszakże ubóstwo chorego nie pozwala mu złożyć najmniejszego honorarjum w postaci bodaj kilku kopiejek, zazwyczaj taki pacjent w progu już pada na kolana i przez cały gabinet, nie zważając na moje protesty, czołga się na klęczkach aż do mego biurka, gdzie obejmując me nogi błaga o poradę lekarską, obiecując dożywotne modły za moją osobę. U nas podobne zjawisko można tylko widzieć w miejscach cudownych, głównie w Częstochowie, gdzie kamienie posadzki są wyżłobione od kolan wiernych. Do tego, com powiedział, pozwalam sobie jeszcze dodać, iż przepatrując stare gazety rosyjskie, w których mi częstokroć towar zawinięty przynoszono, znajdowałem na ostatniej kartce w każdym numerze ogłoszenia o sprzedaży ludzi bez ziemi. Tego z pewnością w żadnej ówczesnej gazecie polskiej znaleźć niepodobna, bo też my sprzedawaliśmy tylko

ziemię wraz z ludźmi. W tem jest nasza nad wami wyższość, a nasze „upadam do nóg“ i „całuję stopy“, są tylko uprzejmemi wyrazami, a u was padają na klęczki dla uzyskania korzyści materjalnych“.

Po krótkiej dyspucie, w której i koledzy moi wzięli udział, pan Markiewicz przyznał mi słuszność, ku wielkiemu zdziwieniu galerji. Potem, pożegnawszy uprzejmie głowy domu i nas, a lekkim ukłonem resztę towarzystwa, siadł na koń i odjechał do siebie, my zaś za jego przykładem opuściliśmy dom sędziego, rozmyślając nad tem, cośmy widzieli i słyszeli.

Niejednokrotnie na wygnaniu, a głównie w Galiczu, jako na zapadłej prowincji, wypadało nam bronić się przed wrogo dla nas usposobioną większością. Nawet pijacy w czasie „delirium“ często nam wymyślali od Polaków, ale tym wybaczając jako niepoczytalnym ujadaliśmy się ząb za ząb ze zdrowymi i to tylko zyskiwało nam szacunek, nawet u nieprzyjaciół. Jeszcze przed rozpoczęciem ze mną wojny przez dra Kikina, byliśmy u niego z Brodowskim w dniu jego imienin dla złożenia życzeń i zostaliśmy zaproszeni na wieczór. Między gośćmi Kikinów znajdowała się staruszka, panna Swinina, niegdyś frejlina na dworze cesarza Aleksandra I. Była ona wielką przyjaciółką doktora, oboje bowiem byli zwolennikami puszczania krwi i corocznie na wiosnę poddawali się tej operacji, po której wspólnie spożywali śniadanie. Pani ta, czyniąc honory domu, bardzo nas wyróżniała, a pragnąc to zaznaczyć zwróciła się do dra Brodowskiego z zapytaniem: „Szanowny panie, kiedyż się doczekamy, my Rosjanie, że nas w Polsce tak serdecznie witać będą, jak my tu was witamy?“. Na to z całą przytomnością umysłu odparł Brodowski: „Gdy do nas przybywać będziecie z żandarmami, oznaki naszej sympatji i współczucia będą bez granic“.

Dotknięta jego słowami staruszka zawołała: „A cóż to znaczy „do was?“ — wszak pan Wołynianin, a ta gubernja przecie nie polska“. Tu Brodowski ze złośliwym już uśmiechem rzecze: „Szanowna pani, o tem, że gubernja wołyńska uważaną jest przez was za Rosję, wiem dobrze, ale niedawno dowiedziałem się od pewnego kozaka, dlaczego? Twierdził on, że wszystko, co Bóg stworzył, należy do białego cara waszego, a ponieważ

i Wołyń jest Bożem stworzeniem, więc na tej zasadzie musi do was należeć". Zamilkła babina, ale wyraz jej twarzy zdradzał najwyższe podrażnienie, my zaś na cały wieczór wypadliśmy z łaski, ale nie nazawsze. Wkrótce bowiem uprzejma panna Swinin zaprosiła nas na herbatę i kolację. Tu zebrało się prawie całe towarzystwo galickie, które pracowicie uprawiało grę w karty. Gdy nadeszła chwila wieczerzy, którą zastawiono w przyległym pokoju, panowie miejscowi, rządząc się obyczajem u nich przyjętym, ruszyli pierwsi do jadła, za nimi panie, a my Polacy, jako Europejczycy czystej krwi, podążyliśmy dopiero za temi ostatniemi. Główny stół szybko zajęto, ja zaś, zoczywszy boczny, zupełnie wolny, zachęciłem kolegów wygnania, aby go zająć, co też uskuteczniliśmy. Zmieszana gospodyni długo pracowała nad tem, aby nas do głównego stołu przyciągnąć i odszukać dla nas miejsca stosowne; ale bezskutecznie. Widząc jej zakłopotanie, starałem się ją uspokoić, zapewniając, że nam przy małym stoliku w swojem towarzystwie jest najlepiej i że w jej gościnnym domu zyskaliśmy wypadkiem to, czego nam nie chcą dać w ojczyźnie, to jest autonomję. Żegnając nas, jeszcze przepraszała, a w parę dni później złożyła nam wizyty i znowu ponawiała usprawiedliwiania się. Dałem jej wówczas radę, aby na przyszłość starała się zapraszać nas i panie, a następnie miejscowych panów z żonami; gdy więc panie w naszem gronie poznają obyczaje europejskie, potrafią je może zaszczepić i mężom.

Innym razem zjawia się u mnie najniespodziewaniej w czasie wieczornej herbaty dr. Kikin z oryginalną propozycją, aby Polacy zapisali się do Klubu galickiego. Odpowiedziałem mu, że zbiorowych postanowień robić nam nie wolno, dlatego też w imieniu własnem tylko oświadczam, że tego uczynić nie mogę. „Nasi poprzednicy na wygnaniu, dodałem, mieli, niestety, nieroztropność podawać się na członków waszego klubu, a wyście ich odrzucili. Ja więc nie myślę poddawać się wotowaniu tych, co ziomków moich obrazili. Zapewne żądalibyście od nas nie mówienia w Klubie po polsku i płacenia sobie za to kilkunastu rubli rocznie. Wątpię bardzo, abyście między nami znaleźli na to naiwnych amatorów; wszystko bowiem, co nam tam dać możecie, mamy u siebie, mówiąc rodzinnym językiem i nie

opuszczając własnego towarzystwa". Odpowiedź moją zaniósł Kikin dyrektorom Klubu i sprawa cała na tem się zakończyła.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się o smutnej przygodzie wczorajszego posła, którego spoliczkowano w tej samej instytucji, do której nas tak gorliwie zapraszał. Ponieważ zaś był sędzią honorowym, koledzy jego wobec despektu, jaki go spotkał, zaproponowali mu usunięcie się z tego urzędu. Spełnił ich żądanie, ale znając słabości ludzkie, w dniu swoich imienin sprosił wszystkich do siebie i tak hojnie uraczył, że ci dygnitarze sądowi wracali do swych domów na czworakach. Kikin, który gości przetrzymał, stojąc na werandzie, zachodził się od śmiechu, patrząc na konfuzję swych nieprzyjaciół. W domach kupieckich w czasie najuroczystszych przyjęć niewiele było do zaznaczenia. Jedzono i pito tam bez miary, ale o umiejętnym doborze jedzenia i trunków pojęcia nie miano. Obyczaje zaś, mimo nagromamadzonych bogactw, były tak pierwotne, że do konfitur, podawanych w słoju, załączano jedną łyżeczkę dla całego towarzystwa. Zgromadzenia te nie znały innej treści nad jadło i picie, a czasem grę w karty. W ciągu całego pobytu naszego w Galiczu, niemniej jak w Usolu, podtrzymywaliśmy ciągły stosunek z krajem i rodziną, nadto korespondowaliśmy stale z kolegami, pozostałymi we Wschodniej Syberji, a we wszystkich listach złe wieści górowały nad dobremi.

Od rodziny mojej, w krótce po przybyciu do Galicza, otrzymaliśmy niespodzianą dla mnie i bardzo niepożądaną wiadomość o zabiegach i wznowionych staraniach o rękę siostry mojej Wincenty, świeżo owdowiałej po Miaskowskim. Wielbicielem tym był Gustaw Rakowski, rodzony brat ukochanego przeze mnie przyjaciela Tadeusza, ale w niczem do niego niepodobny. Był to cios nowy, tem cięższy, że mimo moje przedstawienia siostra moja, licząc na opiekę dla siebie i dziecka, oddała rękę temu panu dn. 30 lipca (11 sierpnia) 1869 r., a więc zaraz po ukończeniu żałoby. Obok tej smutnej wiadomości otrzymaliśmy i pomyślną o przyjściu na świat pierworodnej córeczki Steckich dn. 19 sierpnia (1 września) tegoż roku. W następnym przybywa Rakowskim syn Tadeusz, ale wkrótce umiera, Steckim zaś syn Stefan w dniu 31 października (12 listopada) 1870 r.

W roku 1871 najzupełniej nieoczekiwanie otrzymujemy w maju wiadomość o zamierzonem małżeństwie średniej siostry mojej, Michaliny, z p. Narcyzem Kuckiewiczem, dzierżawcą naszego majątku. Listy matki mojej z ostatniej doby uskarżały się wcale niedwuznacznie na tego pana, niemniej jak i dopiski siostry mojej; wierzyć więc oczom swoim nie chciałem, odczytując kilkakrotnie donoszącą nam o tem korespondencję. Listy od rodziny żony mojej nie były tak w treść obfite. W ciągu całego pobytu naszego w Galiczu nic tam ważniejszego nie zaszło, obiecywali tylko swój przyjazd ojciec i bracia, ale do tego nie przychodziło.

Z Irkucka mieliśmy smutne wieści o ciężkiej chorobie i zgonie tak kochanego przez nas Józefa Łagowskiego, o opuszczeniu przez syna czcigodnego Ezechjela Głębockiego, o śmierci Bolesława i Józefa Łozińskich, o wyjeździe Bnińskich do kraju przez Tobolsk i Astrachan itd. Stąd więc i stamtąd mieszały się wiadomości miłe i radosne z bolesnemi i smutnemi, a zawsze przeważały ostatnie. Codzienną jednostajność naszego wygnańczego żywota przerwał i ożywił manifest, ogłoszony w pismach w maju 1871 roku, mocą którego nasza kategorja zyskała prawo przeniesienia się na mieszkanie do Królestwa Polskiego. Nim ostatecznie o losach naszych postanowiliśmy, musieliśmy pracować nad zbyciem wszystkiego, co stanowiło w owej chwili ruchome nasze mienie, nie nadające się do przewozu. Sprzedaż szła żwawo, ale najtrudniej było z pianinem, które w końcu zbyliśmy prawie bez straty.

Przez cały ciąg pobytu naszego na Syberji i w Galiczu marzyliśmy niejednokrotnie o odwiedzeniu nas przez kogoś z rodziny. W Usolu, rozumieliśmy to dobrze, marzenia te były nie do urzeczywistnienia, ale zbliżywszy się o kilka tysięcy wiorst do kraju, mieliśmy nadzieję ujrzeć wśród nas kogoś ze swoich. Żona moja przypuszczała o to niejednokrotne szturmy do mojej matki, sióstr i do swojej rodziny, ale ani jedno z zapowiadanych nam odwiedzin nie przyszło do skutku. Najniespodziewaniej więc, wkrótce po upewnieniu się o prawie, dozwalającem na przeniesienie się do Królestwa, zawitał w nasze progi młodszy brat mojej żony, Lucjan Mianowski. Okrywając się tarczą braterskiego przywiązania, miał na celu usprawie-

dliwienie się z opłakanych dla nas skutków swej administracji majątkiem, przez rodziców żonie mojej przeznaczonym. Przybył on do Galicza 4 czerwca 1871 i pozostał z nami do chwili opuszczenia przez nas tego miasta. Na podaną prośbę o wydanie nam biletu na wyjazd z Galicza otrzymaliśmy odpowiedź przychylną, poczem wysłaliśmy drugą do jenerał-gubernatora południowo-zachodnich gubernij o dozwolenie nam odwiedzenia rodzin naszych na Wołyniu. Ponieważ na ostatnią prośbę długo nie otrzymywaliśmy odpowiedzi, przyjechaliśmy do Kostromy, by się tam jej doczekać. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało się nam niezbyt drogo nająć na jeden miesiąc piękny dom Kałyczowa, zaopatrzony w konieczne acz bardzo skromne meble, dokąd z hotelu przenieśliśmy się, z nadzieją rychłego wyjazdu na Wołyń.

Jednocześnie z przybyciem naszem do Kostromy szerzyć się poczęły wieści o pierwszych w tem mieście wypadkach cholery. W dniu naszych przenosin do wynajętego domu zjawił się u mnie urzędnik jednego z biur miejscowych, Połozow, prosząc o udzielenie porady żonie jego, która beznadziejnie na cholerę zapadła. Stawiłem się na oznaczoną godzinę i zastałem dwóch kostromskich lekarzy, panów: Newskiego i Spaso-Kukowskiego. Chora, acz wspaniałej budowy, przedstawiała obraz strasznego wyniszczenia, wobec tego, iż od dwóch dni nie mogła ani na jedną chwilę zatrzymać w swym organizmie ani jadła ani też lekarstwa, nawet w postaci enemy. Po rozpatrzeniu się w przebiegu krótkiej ale ciężkiej choroby, przyszedłem do przeświadczenia, że pozostała nam jedyna droga działania za pomocą zastrzykiwań podskórnych. Zaproponowałem też kolegom jednoczesne użycie morfiny celem zmniejszenia gwałtownego ruchu żołądka i kiszek, oraz eteru dla podtrzymania upadających sił, stosując te oba środki metodą Prawatz'a. Koledzy moi, przypuszczając, że ta rada może być skuteczną, starali się moją propozycję zwalczać z zapałem godnym lepszej sprawy, ale mąż chorej, który się dysputom naszym z przyległego pokoju przysłuchiwał, wszedł najniespodzianiej i stanowczo zażądał zastosowania zaleconych przeze mnie środków, czemu obecni lekarze nie mogli się dłużej sprzeciwiać. Zastrzyknąłem więc świeżo przyniesioną z apteki morfinę,

poczem nastąpił pomyślny zwrot w chorobie, przechodzący najśmielsze moje oczekiwania, bo zupełne powstrzymanie wymiotów i wypróżnień. Eter zaś i inne wzmacniające środki, które chora wybornie znosić poczęła, dokonały zupełnego jej wyzdrowienia. Ten wypadek, wobec rozwijającej się zaledwie epidemji cholery, utorował mi drogę do kolosalnej praktyki. Pracować musiałem we dnie i w nocy; lekarze zaś, biorący udział w tej naradzie, niczem już innem nazajutrz nie leczyli, jak metodą podskórnych zastrzykiwań, co wywołało złośliwe uwagi w mieście.

Pobyt nasz w Kostromie trwał niecały miesiąc lipiec; przez ten czas zapracowałem w krwawym pocie czoła około 600 rs. Gdy zaś w końcu miesiąca otrzymaliśmy pozwolenie odwiedzenia stron rodzinnych, kasa moja była zupełnie przygotowana do tych miłych, ale pewne koszta za sobą pociągających odwiedzin. Dnia 31 lipca wsiedliśmy na statek, idący do Jarosławia. Tu zjawiła się deputacja od miasta, upraszająca mnie, abym do Kostromy po odwiedzeniu kraju powrócił. Odpowiedziałem, że będąc zależnym od wielu okoliczności stanowczej odpowiedzi dać nie mogę. Zapewniłem wszakże, iż żądanie miasta mieć będę w pamięci, starając się zadość mu uczynić, poczem pożegnawszy się ruszyliśmy w drogę, która trwała zaledwie kilka godzin. W Jarosławiu zatrzymaliśmy się przez dobę, prawie wyłącznie dla złożenia naszego uszanowania najczcigodniejszemu arcypasterzowi Felińskiemu, którego znałem jeszcze jako kleryka seminarjum żytomierskiego. Z tych czasów wybornie go pamiętałem, bywał bowiem często w niedzielę na obiadach u moich rodziców wraz z bratem Juljanem i Feliksem Michałowskim, również alumnem seminarjum żytomierskiego.

Prawdziwa wyższość i prostota cechowały tego znakomitych cnót i charakteru męża, a głęboka miłość kraju zatarła wspomnienie o krzywdach niezasłużonych, jakie znosił po przybyciu swem do Warszawy, sądząc, że je znosi dla dobra ojczyzny. Gdy zaś przekonał się, że padł ofiarą podejścia ze strony rządu, nie zawahał się z cywilną odwagą, właściwą ludziom, od jarzma wolnym, wypowiedzieć całe swe przekonanie w liście do cesarza i nie cofnął ani na jeden krok tego, co

z przeświadczenia głębokiego napisał, stwierdzając swe słowa gotowością do ciężkich za dobrą sprawę prześladowań. Gdy go do Jarosławia zesłano, wypłacono mu w pierwszych chwilach całkowitą pensję to jest 1.000 rs miesięcznie, wkrótce wszakże przepołowiono ją, płacąc tylko po 500 rs na miesiąc; a gdy się czegoś od arcypasterza domagano, próbowano wpływać na jego postanowienie, opóźniając termin wypłaty należności, nierzadko w ciągu półrocza, narażając tem Felińskiego na pozbywanie się za bezcen sreber, bielizny stołowej itp. Ku czci tego zacnego kapłana i człowieka śmiało powiedzieć można, iż nigdy uczynkami przekonaniom swym nie zaprzeczył. Szanowano go i wielbiono powszechnie, a nawet wrogowie uznawali i cenili w nim wysoko istotnego chrześcijanina, który w swem miłosierdziu nie znał różnicy wyznań i narodowości.

Pożegnani przez dostojnego arcybiskupa najserdeczniejszemi życzeniami, wyruszyliśmy koleją przez Moskwę, Kijów, Berdyczów. Tu na stacji oczekiwał powóz i konie wuja Schabickiego, które nas zawiozły do Jankowiec, gdzie prócz gospodarza powitali nas ojciec mojej żony i jej bracia. Zabawiwszy dni parę u wuja, rozjechaliśmy się chwilowo w przeciwne strony, by powitać nasze matki. Marynia udała się do Brażynki, ja zaś do Wyszczykus. Wrażenia, jakie w mej duszy pozostawiło powitanie całej, niewidzianej od lat ośmiu rodziny, a szczególnie mojej sędziwej, złamanej nieszczęściami i troskami matki, nigdy w mojej pamięci zatrzeć się nie zdołają! Nacieszywszy się obcowaniem z najbliższemi osobami, uprosiłem wszystkich o udanie się ze mną do Brażynki, gdzie też obie nasze rodziny zgromadziły się w zupełnym prawie komplecie. Po dłuższym wypoczynku zrobiliśmy z żoną moją parę wycieczek, w celu odwiedzenia dalszych krewnych i znajomych. Ze łzami wzruszenia witaliśmy dobrze nam znane wioski, dwory i ludzi, którzy nam największą serdecznością i życzliwością odpłacali. Boleliśmy, słysząc wciąż o smutnym stanie kraju wskutek praw wyjątkowych, które rząd w prowincjach tych po roku 1863 stosował.

Wkrótce zająć się musiałem prawie wyłącznie, wspólnie z najdroższą moją matką, przygotowaniami do ślubu i wesela średniej siostry mojej Michaliny, która oddała swą rękę Narcyzowi



Fig. 56. Dr Władysław Sipniewski.



Fig. 57. Grupa fabryki świec łojowych. Pierwszy plan: Michał Wielohorski i Michał Gruszecki, drugi plan: Tołłoczko, Józef Konopacki i Hryniewiecki.



Fig. 58. Korsak.



Fig. 59. Józef Popowski.

Kuckiewiczowi. Jako głowa rodziny męska kierowałem całą uroczystością, spełniając tylko właściwie polecenia mojej matki. Z przyszłym szwagrem moim zbliżyłem się, zrobił bowiem na mnie lepsze wrażenie, aniżeli to, którego się spodziewałem. Raziły mię tylko nieco jego formy rubaszne. Ślub odbył się w Wyszczykusach, w kaplicy domowej; zjazd był dość liczny. Przygotowania do przyjęcia liczniejszego grona gości były w zupełnym porządku, tylko ja, obawiałem się o swoje uzdolnienie na polu umiejętnego wznoszenia i wychylania toastów weselnych, jako pod tym względem zupełnie niedoświadczony. Uległszy na pierwszym kursie w uniwersytecie skutkom nadmiernych libacyj, zaprzestałem używania wszelkich trunków i wytrwałem w tem postanowieniu lat 16. Zachodziły więc w umyśle moim wątpliwości, czy potrafię być dobrym przykładem, zachęcającym innych do wypitki. Praktyka rozwiązała to pytanie zupełnie zadowalająco. Wypoczynek wzmocnił moją zdolność znoszenia alkoholu. Piłem jak inni, ale to wcale już na mnie nie działało i wyszedłem z tej próby zwycięsko. Po ślubie Kuckiewiczów odwiedziliśmy starszą siostrę moją, Gustawową Rakowską, w majątku jej męża Szenderówce, gdzie z wielkim bólem widziałem na każdym kroku brak pracy i ładu. Przed naszym przyjazdem przybył im drugi synek, któremu na pamiątkę stryja dano ponownie imię Tadeusz.

Dalszy nasz pobyt w kraju, który naogół trwał cztery miesiące, nie był dla mnie wcale wypoczynkiem. Żona tylko moja korzystała w całej pełni z naszej bytności wśród swoich. Na moje barki zwaliły się dwa działy: jeden w rodzinie Mianowskich, drugi w naszej, oba zaś za zgodą tych, do których prawnie majątki należały. Cały więc prawie mój czas poświęcić im musiałem, a owocem tej pracy, w następstwie uprawnionej, są dwa akta dzielcze, przeze mnie pisane, przez moją żonę przepisywane, a przez wszystkich członków rodziny podpisane, które stały się podstawą ostatecznego podziału naszych fortun. Oba te dokumenta stanowić mogą dowód bezsilności wpływów rządu wobec dobrej woli wśród rodziny.

Umęczony temi dwoma działami daleko więcej aniżeli najrozleglejszą praktyką, pożegnawszy kraj i rodzinę, postanowiłem korzystać z zaprosin miasta Kostromy, aby się w niem

czasowo osiedlić i zdobyć środki konieczne na pierwsze lata pobytu w Warszawie, nie nadwerężając całości sched, wydzielonych nam w drodze działów. Jadąc śpiesznie przez Kijów, Moskwę, Jarosław i nie zatrzymując się nigdzie, stanęliśmy w dniu 10/22 grudnia 1871 r. powtórnie i tą razą już dobrowolnie na ziemi kostromskiej. Zajęliśmy numer w znanym nam już hotelu „Stary Dwór", gdzie mieszkaliśmy parę tygodni i przebyliśmy święta. Stąd zwolna przenosić zaczęliśmy się do wynajętego na trzy miesiące domu, w pobliżu tego hotelu położonego. Mieszkań do najęcia w tej porze roku nie było wcale. Wzięliśmy prawie jedyne wolne na śródmieściu, ale i to nie było odświeżone i tylko na trzy miesiące do wzięcia. Lokal nasz okazał się dogodnym, składał się bowiem z pięciu obszernych i widnych pokoi, a był względnie niedrogi, bo płaciliśmy 18 rs miesięcznie. Po otrzymaniu przez kantor przewozowy pak z kraju, wśród których najwybitniejsza mieściła fortepjan, i zakupieniu potrzebnych mebli urządziliśmy nasze mieszkanie tak, iż około 10 stycznia byliśmy już w zupełnym porządku. Praktykę moją rozpocząłem od pierwszego dnia przyjazdu.

Cały nasz pobyt w Kostromie, który trwał półtora roku, był jednem pasmem starań i zabiegów nad pracowitem i uczciwem zdobywaniem zasobów na pierwsze chwile pobytu w Warszawie. Nie będę więc zajmował uwagi czytelników drobnemi szczegółami tej walki o byt, zaznaczę tylko jaskrawsze w życiu naszem momenty, by utrzymać ciąg mego opowiadania. Złożyłem wizyty wszystkim miejscowym wybitniejszym lekarzom niezwłocznie prawie po przybyciu, ale nie wszyscy raczyli mię rewizytować, a ci, co to uczynili, niewiele mi okazywali przychylności. Dwóch tylko kolegów Rosjan, Bekarewicz i Nikotin, zachowali się względem mnie z całą życzliwością. Pierwszy z nich lekarz wojskowy był naszym przeszłorocznym dobrym znajomym, zajął bowiem w chwili naszego wyjazdu najęty przez nas czasowo dom Kałyczowa, gdzie w spadku po mnie rozwinął obszerną praktykę, co go mimowoli może dobrze dla mnie usposobiło. Drugim był młody lekarz petersburskiej akademji medycznej. Z pozostałych, najzdolniejszy jako biegły chirurg, naczelny lekarz szpitala ziemskiego, dr. Mołczanow, gdym w lipcu roku zeszłego przybył do Kostromy, podróżował

zagranicą. Powróciwszy, a nie wiedząc, że mam się tu osiedlić, zachwalał mię wszystkim, przepatrując moje recepty i pragnąc dać tem dowód swej bezstronności, a zarazem usprawiedliwić się ze swego postępowania z miejscowymi lekarzami, których na każdym kroku lekceważył, krytykował i potępiał. Gdy się więc dowiedział o mojem przybyciu, nie mogąc dawnym szerzonym przez siebie pochwałom zaprzeczyć, zwrócił uwagę publiczności na dwa moje defekty, a mianowicie pochodzenie polskie i stanowisko społeczne ułaskawionego przestępcy politycznego, których on jako wiernopoddany znosić nie mógł. Nie rewizytował więc mnie i nie przyjmował zaproszeń na konsultację ze mną jako z ekskatorżnikiem. Dowiedziawszy się o tem, i ja w sposób nieco inny, ale do tego celu prowadzący, odpowiadałem tym, co mi z Mołczanowem proponowali konsultację, że ze statskimi sowietnikami konsultować nie lubię; natomiast wszędzie, gdzie mogłem, popierałem zdolnego, acz bez rang i orderów, młodego lekarza Nikotina.

Inspektorem zarządu lekarskiego był niejaki doktor Reźwiakow, jego pomocnikiem dr. Newski, lekarzem zaś miasta dr. Spaso-Kukocki, wszyscy trzej popowicze. Ci mnie rewizytowali. W czasie bytności u mnie Reźwiakowa, na zapytanie moje, czy mam mu dyplom mój przedstawić, odpowiedział, że niema w tem nic pilnego. Ja też wkrótce zapomniałem o potrzebie dokonania tej formalności i przez to naraziłem się na niezbyt uprzejme przypomnienie mi zaniedbanego obowiązku. Pewnego poranka w marcu przybył do mnie prezes ziemstwa p. Isakow, którego byłem domowym lekarzem, z ostrzeżeniem, że koledzy moi pragną mnie pozbawić praw praktyki na mocy tego, żem w porze właściwej dyplomu swego w zarządzie lekarskim nie przedstawił. Zapytał mię przytem, czy mam moje dowody osobiste w porządku? Przedstawiłem mu mój dyplom i parę innych dokumentów, poczem na wspólnej naradzie stanęło, abym je dziś jeszcze z odezwą stosowną złożył na ręce gubernatora, co też niezwłocznie spełniłem. W podaniu mojem, na prędce zredagowanem, po wylegitymowaniu na mocy ukazów i manifestów przywrócenia mi praw szlachcica i lekarza, upraszałem o zawiadomienie o tem wszystkich jurysdykcyj i władz, o ile tego zachodzić będzie potrzeba, przyczem załączyłem

moje dyplomy szlacheckie i lekarskie. Gubernator przyjął mnie bardzo uprzejmie, a zatrzymawszy nieco dłużej, pod pretekstem skopjowania moich dokumentów, zwrócił się do mnie z prośbą o zaspokojenie jego ciekawości co do naszych ciężkich robót. Paląc stare i wyborne cygaro, którem mię uraczył pan Dragobużynow, starałem się w jak najprawdziwszem świetle przedstawić to, czegom doznał i na co patrzyłem w Usolu. Po skończonem posłuchaniu i zwrocie papierów, żegnając mnie, wyraził oburzenie na postępowanie miejscowych lekarzy i zapewnił o swej gotowości w obronie mojej sprawy.

Nazajutrz po bytności mojej u gubernatora byłem na obiedzie proszonym u pułkownika Drogopułosa. Tam odszukał mnie stangret policmajstra, prosząc, bym nie zwlekając odwiedził chore dziecko jego zwierzchnika. Natychmiast po czarnej kawie pospieszyłem do małego pacjenta, któremu udzieliwszy porady zaproszony zostałem przez gospodarza do jego gabinetu, gdzie z najwyższą delikatnością, uprzejmością i oględnością zapytany zostałem konfidencjonalnie, czy posiadam z sobą w Kostromie mój dyplom lekarski? Widząc pomieszanie w całem zachowaniu się ze mną tego widocznie poczciwego człowieka, odrzekłem: „wiem o co chodzi, racz mi dać odezwę Zarządu Lekarskiego do przeczytania i zażądaj ode mnie na piśmie objaśnienia, ja zaś odpowiedź moją na tymże dokumencie wyłożę". Policmajster nie zwlekając zadość uczynił mojej prośbie, składając na moje ręce żądanie Rady Lekarskiej, abym mój dyplom tejże radzie przedstawił, a jeśli takowego nie posiadam, dał piśmienne zobowiązanie, że praktyki lekarskiej zaniecham. Odnotowałem na odwrotnej stronie wezwania, co następuje: „z wielką przykrością zmuszony jestem odmówić złożenia za pośrednictwem pana policmajstra żądanych przez inspektora Zarządu Lekarskiego dokumentów, gdyż zostały one już przeze mnie osobiście doręczone naczelnikowi gubernji z prośbą o zawiadomienie władz odnośnych o przywróceniu mi na mocy manifestu praw szlachcica i lekarza. Wobec tego pewien jestem, że żądaniom p. inspektora stanie się wkrótce zadość za pośrednictwem zarządu gubernjalnego.

Uradowany policmajster, pożegnawszy mię najserdeczniej, zapewnił, że szykany niegodziwe moich kolegów podnieść mię

tylko mogą w oczach publiczności i pomnożyć moją praktykę. I nie mylił się. Gdy bowiem wiadomość o tem, co mię spotkało, rozeszła się, zgłaszały się do mnie jako do lekarza domy, w których dotąd praktyki nie miałem. Wśród tak niemiłych przejść z kolegami zdobyłem nieodwołalnie moje prawa lekarskie, a jednocześnie cofnąć musiałem szacunek dla kierowników tej brudnej intrygi. Niestety, prawie wszędzie działo się to samo. Lekarze urzędnicy, zazdrośni o praktykę lekarzy wygnańców, powoływali się na to, iż ci ostatni są pozbawieni praw, a więc leczyć nie mogą. Inne całkiem było zapatrywanie się na tę sprawę cesarza Mikołaja I, o czem już wyżej wspomniałem. Mimo wszakże świeżej tradycji wyrażonej przez niego opinji, w Irkucku, jak nam donosili Łagowscy, w chwili najwyższego rozwoju praktyki lekarzy wygnańców miejscowy Zarząd Lekarski w odezwie do wszystkich aptek zabraniał wydawania lekarstw na ich recepty. Gdy ci wynaleźli znałogowanego staruszka doktora, który zgodził się podpisywać in blanco recepty za umówioną cenę i gdy wkrótce tysiące ich pojawiło się w obiegu, Zarząd wydał drugi cyrkularz, aby nie wydawano lekarstw na recepty innym charakterem pisane, a innym podpisywane. Tą razą przedstawiciele całego miasta zgromadzili się u generał-gubernatora, domagając się jego wdania się w tę sprawę. Wysłanym więc został przez naczelnika kraju do ministra spraw wewnętrznych telegram, z prośbą w imieniu mieszkańców, o dozwolenie praktyki lekarzom wygnańcom, na co wkrótce nadeszła pomyślna telegraficzna odpowiedź.

Nie mogłem zrazu dobrze zrozumieć, dlaczego na Syberji, zarówno jak w Rosji, miejscowa ludność oddawała zwykle pierwszeństwo bez zastrzeżeń lekarzom Polakom, a nawet Niemcom, pomimo braku sympatyj politycznych dla tych narodowości. Objaśnił mi to światły ziemianin i członek sądu okręgowego kostromskiego, Smolianinow, który zapytany przeze mnie w tej kwestji, odpowiedział: „Nasi lekarze są prawie wszyscy popowicze, a więc synowie chciwych na grosz ojców; badając chorego i zalecając mu radę, nie myślą wcale o chorym i o jego chorobie, ale tylko o honorarjum, które mają otrzymać. Wobec tego czyż mogą być na wysokości szczytnego swego powołania? nadto są oni wstrętni

jako ludzie bez żadnego wychowania, niemożebni w dobrem towarzystwie".

Jeden z epizodów mojej praktyki jaskrawiej jeszcze tę sprawę mi wyjaśnia. Pewnego razu wezwany zostałem na konsultację przez urzędnika akcyzy, Pikałowa, którego młodziutka żona była ciężko chora. Leczył ją doktor Newski, stawiając djagnozę choroby jako zapalenie płuc i obiecując polepszenie po przejściu dni krytycznych; gdy wszakże to polepszenie nie nastąpiło, wezwano mnie na naradę. Po ścisłem zbadaniu chorej znalazłem typową ostrą formę rozwoju tuberkułów, jednocześnie w płucach, opłucnej, błonach mózgowych i naczyniówce oczu. Zdanie moje wypowiedziałem doktorowi Newskiemu, który nie chciał się ze mną zgodzić, uważając diagnozę moją za zbyt subtelną. Tymczasem chora szybkim krokiem zbliżała się do grobu. Po jednej z konsultacyj prosił mię Pikałow o zatrzymanie się dłuższe u niego, czem obrażony Newski opuścił nas śpiesznie. W kwadrans zaś potem, gdyśmy o beznadziejnym stanie chorej z jej mężem rozmawiali, układając depesze do rodziny, przysłał p. Newski dorożkarza, który upomniał się o zapłacenie mu dwóch kursów. Trudno sobie przedstawić oburzenie gospodarza domu, gdy tę należność uiszczał, a nie mogąc powstrzymać się od dania wyrazu swemu uczuciu zgrozy, powiedział do mnie: „Takich to mamy tu lekarzy, w których śladu człowieka dopatrzyć trudno". Mimowoli zarumieniłem się za mego kolegę, tembardziej, że mimo beznadziejnego stanu chorej nie szczędzono nam hojnych honorarjów, płacąc po 5 rs. za każdą wizytę. Nic więc dziwnego, że przyszły mi na myśl słowa Smolianinowa, określające moralną wartość lekarzy rosyjskich.

Opowiem tu jeszcze w kilku słowach o jednym wypadku z mojej praktyki, charakteryzującym pod wielu względami stosunki miejscowe jako też moje do lekarzy i publiczności. Leczyłem prezesa sądu okręgowego kostromskiego, Ploetza, brata tego, który znacznie później zajmował takież stanowisko w Warszawie; był to ciężki wypadek tyfusu. Ploetz rozstał się z żoną, natomiast przywiózł z sobą z Nowogrodu wykradzioną obywatelską córkę, pannę, która była właśnie na rozwiązaniu. Uważałem za konieczne usunąć tę panią z widowni zajmowa-

nego przez chorego apartamentu i uprzedziłem o tem jego brata, profesora jednej ze szkół wojskowych w Petersburgu. Żądaniu memu stało się zadość, ale gdy nagle wezwany do stolicy brat pacjenta wyjechał, pani ta zakradła się do pokoju chorego, a widok jej wywołał w nim tak gwałtowne wstrząśnienie, iż poczynająca się rekonwalescencja zmieniła się w straszną recydywę, której tą razą musiał ulec. Przybyłego zaś na parę dni przed śmiercią drugiego brata, członka naówczas sądu okręgowego jarosławskiego, uprosił na łożu śmierci, odzyskawszy chwilowo przytomność, aby się z tą panną oczekującą słabości ożenił. I o dziwo! brat mu nietylko to przyrzekł, ale wkrótce po zgonie chorego stanął z nią na kobiercu ślubnym, by winy brata względem niej odkupić. Nadto, tenże brat przyjaciel opłacił wszystkie długi zmarłego, poczem przybył też do mnie, by mi zaległe honorarjum doręczyć. Złożone na biurku mojem kilkaset rubli zwróciłem temu zacnemu człowiekowi, pomimo jego protestacyj, a ku wielkiemu zadziwieniu rozpłacającego się z wierzycielami brata dżentelmena. Gdy wieść o tem gruchnęła po mieście, koledzy lekarze jednogłośnie mię potępili za takie demoralizowanie zamożnej publiczności; całe zaś sądownictwo zaznaczyło mi swe wielkie uznanie i odtąd prawie wszyscy zwracali się do mnie po radę. Tegoż Ploetza i jego małżonkę spotkałem w lat kilka później w Warszawie, jako prezesa sądu okręgowego, który powitawszy mię najserdeczniej, złożył mi zaraz wizytę; ja go rewizytowałem i na tem stosunek ten się zakończył.

Na wiosnę 1872 r. już po zupełnem załatwieniu się z moimi kolegami prześladowcami zmieniliśmy nasze chwilowe mieszkanie na roczne w domu Filimonowa w pobliżu placu, na którym wznosi się pomnik Susanina. Był to ładniutki, wyświeżony domek, którego parter z mezaninem miał do nas należeć, w wysokiej zaś suterenie mieścili się pod nami rzemieślnicy. Lokal nasz składał się z połączonych arkadą jadalni i bawialni, dwóch gabinetów do przyjmowania chorych, sypialni i gościnnego pokoju w mezaninie; za to wszystko płaciliśmy 360 rs. rocznie. Pokoik na górze zajął wkrótce gość stały, najzacniejszy, ale umysłowo chory, kolega wygnaniec dr. Jucewicz. W czasie bytności księdza w Kostromie dostał on pozwolenie od na-

czelnego lekarza szpitala ziemskiego, gdzie był umieszczony, pójścia na mszę świętą, po której nas odwiedził i tak swą serdecznością zobowiązał, a opowiadaniem o obchodzeniu się z nim w szpitalu takie w nas obojgu obudził współczucie, żeśmy go do siebie zabrali, nie przypuszczając, ile nam wypadnie znosić przykrości od tego nieuleczalnego chorego. Jako człowiek rozumny, w bredzeniu swem bywał czasem dowcipny. Raz narobił nam niemało kłopotu, otwarłszy lufcik i wykrzykując na całe miasto ulubione swe określenie religji prawosławnej w tych słowach: „Wasza prawosławnaja wiera eto odno machańje i kiwańje", przyczem żegnając się trzema palcami bił pokłony, wtórując swym wykrzyknikom. Główną osią jego manji wielkości była Mickiewiczowska mistyczna cyfra 44, za którą się miał. Zęby wybite mu jakoby w komisji chował i układał na małym katafalku, otoczonym 44 zapałkami, a raz nawet starał się je sobie wstawić po wielu latach, czem tylko dziąsła bardzo sobie poranił. Na czas jakiś przed naszym wyjazdem stan tego biedaka tak się pogorszył, że musieliśmy go napowrót oddać do szpitala.

Po ścisłem obliczeniu naszych dochodów okazało się, iż w ciągu 1872 r. przyniosła mi praktyka lekarska 6.000 rs., do połowy zaś 1873 r. 3.000 rs., a ponieważ mieliśmy wpływy i z kraju, pozostało więc po przeżyciu około 6.000 rubli złożonych. Cel więc naszych zabiegów i pracy został osiągniętym, mimo to, że żadnych ustępstw na rzecz materjalnego powodzenia z naszych przekonań nie uczyniliśmy; ja bowiem, wbrew nawoływaniom moich ziomków, w Kostromie dobrowolnie zamieszkałych, lub przybyłych tam dla zajęcia urzędów i stanowisk, szczyciłem się zawsze i wszędzie mojem polskiem pochodzeniem i nie ukrywałem tego, że jestem świeżo ułaskawionym przestępcą politycznym. Żona zaś moja, mimo pierwsze kroki ze strony pań Rosjanek do miejscowego towarzystwa należących, unikała starannie zbliżenia z niemi, jako z osobami, w których życzliwość dla naszego narodu wierzyć nie mogła. Wobec takiego usposobienia mojej najdroższej i najzacniejszej małżonki pobytu w Kostromie nic jej osłodzić nie mogło; ani moje powodzenie i wziętość ani materjalne korzyści, ani oznaki wielkiej czci dla niej od obcych, ani nawet przyjazd

matki i brata, którzy miesiąc na wiosnę 1872 r. w Kostromie u nas bawili, tudzież ojca, który w czerwcu 1873 r. przyjechał. Nie pozostawało więc nic innego, jak nieodwołalnie Kostromę opuścić. Rozpocząłem od wysprzedaży naszych ruchomości, nic i nikomu o naszem postanowieniu nie mówiąc, ale wieść o tem szybko się rozeszła i doszła do gubernatora, który w pierwszych dniach czerwca zaprosił mię listownie na godzinę 11.

W dniu oznaczonym stawiłem się w terminie, domyślając się w części, co ma być celem naszej rozmowy. Zapytany, czy istotnie mam zamiar opuścić Kostromę, gdzie zdobyłem sobie wysokie uznanie, odpowiedziałem szczerze, iż wobec tęsknoty za krajem mojej żony, która się już w nostalgję zmieniła, i tego stosunku z kolegami, jaki tu mam, nie chcę i nie mogę dłużej pozostawać w tem mieście. Tu gubernator zaczął mię przekonywać gorąco, zachęcając do pozostania. Wreszcie dodał, że ma polecenie zaproponowania mi w imieniu przełożonej prawosławnego klasztoru żeńskiego w Kostromie, cieszącej się wielkiemi względami monarchy, abym wziął na siebie trudne a bardzo ważne zadanie założenia i utrzymania we wzorowym porządku kilku szpitalików wiejskich, ofiarując mi za to bezpłatnie dom mieszkalny. Gubernator zaś uważał za stosowne nadmienić jeszcze, o czem zresztą cała Kostroma oddawna wiedziała, iż każda prośba ihumenji jest zawsze przez cesarza uwzględniona, a więc, o ile na wynagrodzenie za moją pracę rachować nie powinienem, o tyle pewnym być mogę, że za lat kilka starań nad wytworzeniem ideału sielskiego szpitalika osypany będę rangami i orderami. W dalszym ciągu, zbijając moje dowodzenia co do przykrych stosunków z kolegami, bez żadnych ogródek powiedział mi: „Pan powinien uważać się za szczęśliwego, że ta szuja unika z panem stosunków, cóż byś bowiem mógł mieć przykrzejszego nad to, gdyby twej znajomości szukali; skoro cię zobaczą okrytego oznakami łaski monarszej, płaszczyć się będą przed tobą, zaręczam ci to uroczyście". Na te argumenty odrzekłem mu najspokojniej: „Rang i orderów nie szukałem nigdy, tem mniej mi one dziś przystoją. Cierpienie żony mojej jest dla mnie stanowczą pobudką do opuszczenia Kostromy, w każdym razie powtórzę jej słowa Waszej Ekscelencji i jutro dam odpowiedź ostateczną". Nazajutrz też stanowczo o moim

wyjeździe zawiadomiłem gubernatora, na co mi odpowiedział z przekąsem rosyjskiem przysłowiem, że „gdy nasze nie w ład, to my ze swojem nazad", poczem uprzejmie, ale nie bez pewnej urazy pożegnał mnie.

W kilka dni potem żona moja w czasie mojej nieobecności miała wizytę prezesa ziemstwa Isakowa, który jej przekładał, że nie należy lekceważyć uznania, jakie tu posiadam i dowodów najwyższej dla mnie życzliwości mieszkańców. Na to odpowiedziała mu, że wierzy w to, iż w kraju potrafię również pozyskać uznanie rodaków, dla których mam większe obowiązki aniżeli dla Kostromy. Po tym ostatnim odkoszu zaprosił nas oboje p. Isakow na obiad pożegnalny. Żona moja uchyliła się od zaprosin koniecznością trzymania do chrztu w tym dniu w Jarosławiu dziecka wygnańców i pośpieszyła o całą dobę przede mną. Ja więc sam wziąć musiałem udział w pożegnalnej uroczystości, przez Isakowych na cześć moją urządzonych, na którą byli zaproszeni wszyscy dygnitarze miasta, a moi pacjenci. Znalazł się tam i gubernator, chociaż miał ze mną na pieńku, czego jednak wcale po sobie nie dał poznać. Po tem owacyjnem pożegnaniu opuściłem Kostromę na zawsze, śpiesząc do Jarosławia, a następnie do Moskwy, skąd żona moja udała się czasowo na Wołyń, ja zaś pośpieszyłem do Warszawy, z zamiarem osiedlenia się w Królestwie.

DODATKI I PRZYPISY.

KOPJA SEKRETNA.

Nr. 421/178.

NA MOCY UKAZU
JEGO CESARSKIEJ MOŚCI, SAMOWŁADCY WSZECHROSJI ITD.

ODEZWA IZBY SKARBOWEJ IRKUCKIEJ
DO BIURA IRKUCKIEJ WARZELNI SOLI.

Na mocy Najwyższego rozkazu Jego Cesarskiej Mości, Skarbowa Izba Irkucka, otrzymawszy odezwę Wydziału Solnego o tem, iż pełniący obowiązki Irkuckiego Gubernatora, rozporządzeniem z dnia 17 b. m. Nr. 98, zawiadomił tęż Izbę Skarbową, iż Prezydujący w Radzie Głównego Zarządu Zachodniej Syberji czynił starania u p. Ministra Spraw Wewnętrznych o wyjednanie ulg przestępcom politycznym, byłym lekarzom Wacławowi Lasockiemu i Ignacemu Tomkowiczowi, osądzonym za udział w byłem powstaniu polskiem na pozbawienie praw stanu i zesłanie, pierwszego do ciężkich robót w fortecy na lat dziesięć, drugiego zaś na zaludnienie w oddalonych miejscowościach Syberji, uwzględniając czynny udział tych lekarzy w sprawie niesienia pomocy lekarskiej więźniom tobolskiego więzienia, biorąc pod uwagę sześciomiesięczną bezinteresowną pracę wyżej wymienionych przestępców politycznych, uwieńczoną zupełnie dobrym skutkiem w sprawie niesienia pomocy lekarskiej więźniom, Jego Cesarska Mość, na skutek najpoddanniejszego przedstawiciela Statssekretarza Wałujewa w dniu 19 listopada zeszłego 1865 roku, — Najwyżej rozkazać raczył:

Uwolnić Lasockiego od ciężkich robót i osiedlić go w Syberji jako posielenca, Tomkowiczowi zaś przeznaczyć na mieszkanie gubernję tobolską, na zasadach ogólnych.

O tej Najwyższej Woli zakomunikowano Panu Jenerał-Gubernatorowi Wschodniej Syberji w odezwie z dnia 16 stycznia r. b. Nr. 32.

Pełniący czynności Cywilnego Gubernatora zawiadamia Izbę Skarbową celem niezwłocznego wydania rozporządzeń o uwolnienie z ciężkich robót przestępcę politycznego Wacława Lasockiego, który znajduje się w irkuckiej warzelni soli.

Izba Skarbowa nakazuje na mocy wyżej wspomnianego rozporządzenia pełniącego obowiązki Irkuckiego Cywilnego Gubernatora z dnia 17 stycznia br. Nr. 98 zawiadomić o tem biuro Zarządu Irkuckiej Warzelni Soli i polecić natychmiastowe uwolnienie od ciężkich robót Wacława Lasockiego, znajdującego się w tejże warzelni soli.

Dnia 26 stycznia 1866 r.

Podpisano:

Sowietnik Litwinow. *Naczelnik stołu* (nieczytelne).

Z oryginałem zgodne.

Pełniący obowiązek zarządzającego
Turow.

Sekretarz
(nieczytelne).

Pieczęć.

POEZJE
JULJANA BELINY KĘDRZYCKIEGO
PODOLANINA

(NIEUMIESZCZONE W TEKŚCIE).

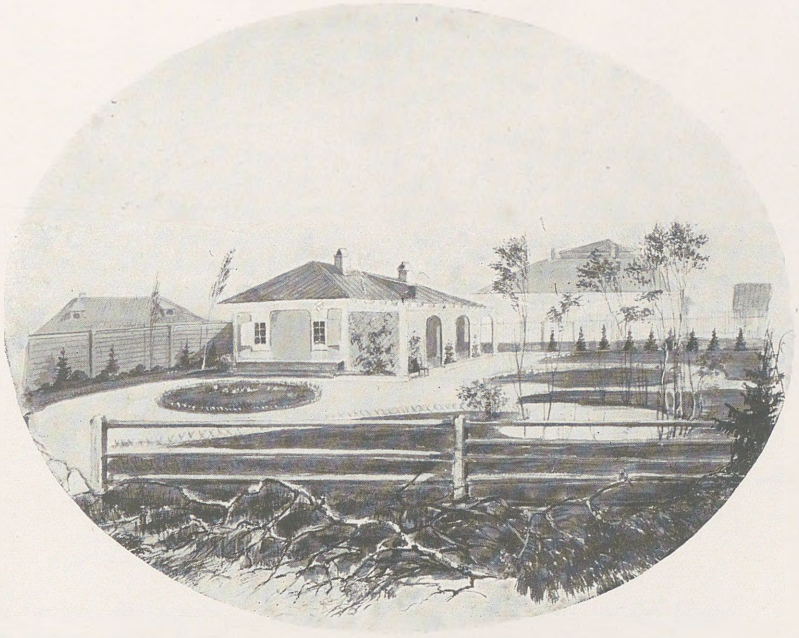


Fig. 60. Dom Wacława i Marji Lasockich w Usolu.



Fig. 61. Dr Orzeszko.



Fig. 62. Rodzina Pruszyńskich.

I. TRENY SYBIRSKIE.

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi Boże!...

Juljusz Słowacki.

I.
RESZTKI ŻYCIA.

Coraz rzadsze dni zapału,
Coraz słabsze serca bicie,
Słabszy lot w kraj ideału,
I marniejsze resztki życia!

Czasem, jakie obce słowo
Drażnie w sercu nutę śpiewną,
Mowa obca, jednakowo,
Zda się swoją lub pokrewną,

Woła na mnie: „Stań do wtóru“,
Więc ją usty nieśmiałemi
Do zgodnego myśli chóru
Stroję dźwięki swojaczemi.

Czasem dumka o minionem
Życiu młodem, o Podolu,
Mknie nad czołem zasępionem
I rwie z piersi jęki bolu!

To wspomnienie świeżej klęski
Biedne serce ogniem pali,
Z oczu tryska żal niemęski
I przekleństwo na Moskali.

Czasem lica wstydem płoną,
Straszną serce wre rozterką,
Kiedy zgraję ujarzmioną
W zgodzie widzę z poniewierką.

Gdy męczeńskiej palmy liście
Depce płocho polska noga,
Wstyd doskwiera mi ogniście,
Tłoczy, dławi, hańba sroga.

Dumy smętne, dumy czarne,
Wątłe mchy, porosty gnicia,
Klątwy płonne, pieśni marne,
Oto mego resztki życia!...

II.

Łzawi się oko — i słodko i mile,
Gdy nieszczęść nieuchronnych przeminą już chwile;
Gdy się w sercu ból tłoczy, dusza wre rozpaczą,
W ustach zabrzmi śmiech gorzki, źrenice nie płaczą!

III.
DUMKA O PODOLU.

Jasne słońce nad Podolem.
Po staremu ziemia Boża,
Jak dziewońka strojna, hoża,
Kwietną łąką, złotem polem
Do słoneczka się uśmiecha.
I żniwiarki tęskna, rzewna
Pieśń, jak dusza ludu śpiewna,
Budzi leśne, skalne echa...
Strzyże wtór jej konik polny,
Wtór na miedzy szemrze grusza
I sopiłka gdzieś pastusza,
I — „hej! k'sobie!" okrzyk rolny...
Boże! Boże! w ziemskim raju
Dałeś mi ten świat powitać,
Księgę cudów twoich czytać
W rusałczanym wonnym gaju
Nad błękitną Bohu strugą...
I myślałem: życie strawię,
Jak niebiański sen na jawie,
Z duszy mej połową drugą
Na Podolu, szczęsny, dumny,
Istny pieszczoch Matki Polski,
Bo mizynek jej podolski...
Od kolebki aż do trumny.

Losu groty i pieszczoty,
I cierpienie i kochanie
I żywota bojowanie
I sieroce łzy tęsknoty,
Wszystko, z czego życia przędza
Na tym snuje się padole,
Poznam, patrząc na Podole...
A wygnania ciężka nędza
Ani mi się kiedy śniła!
Śmierć w ojczyzny mej obronie
Na podolskiej ziemi łonie
Pragnień moich celem była...
Ach! i dzisiaj... Panie, Panie!...
Na Sybirski zagnan kraniec,
I sierota i wygnaniec
Jedno Tobie szlę błaganie,
Wolność tylko Twojej Polski
W chwili skonu w jutrzni mroku
Zamglonemu pokaż oku,
I rodzinny kraj podolski...
Pozwól duszy wolnej, czystej
Od zmaz ciała, nad Podolem
Skrzydłem chyżo mknąć sokolem
Do jasności wiekuistej!...

IV.
RIMEMBRANZA.

Lotne mary dni minionych
Dziwny urok nam osłania,
Chociaż było za dni onych
Wiele, wiele, narzekania,
Były troski, były bole,
Wiele nędzy życie trułо;
Och, nie rajem i Podole,
Bo kajdany się tam czuło!
Jednak dzisiaj, na Sybirze,
Gdy się czasem wstecz oglądam,
Gdy dalekie sercem zbliżę,
Ach! powrotu dni tych żądam.
Wszelkie zbiegłych lat wspomnienie
Widzi mi się czyste, święte;

To cudowne omamienie,
To uroki niepojęte!...
Może kiedyś, daj to Panie,
Ujrzę ciebie, ziemio droga,
Serca mego ty kochanie,
Może drżąca moja noga
Zaprowadzi mnie na groby,
Gdzie mych zmarłych tleją kości
I na niwie tej żałoby
Doznam słodkich łez błogości.
Może wtedy przed powieką
Załzawioną nagle stanie
Cmentarz, nad sybirską rzeką,
Gdzie spoczynek dałeś Panie

Bratu memu, gdzie Janusza
Święte dla mnie tleją zwłoki,
Skąd swobodna jego dusza
Uleciała nad obłoki,
Co nam żywym tu na ziemi
Twej wieczności światło kryją.
Może dniami tutejszemi,
Gdy z nich czarne plamy zmyją,
Czarodziejskie wspomnień skrzydła
Pieścić będą stare serce,
I obecność ta obrzydła
W hańbie, w nędzy, w poniewierce,
Stanie jasna i świetlana,
W cudnej piękna tej oddali,
Gdzie się przeszłość pokalana
Przeistacza doskonale!...

V.

DOLA.

Dołoż, moja dolo! gdzieś ty mnie zagnała?
Jakby po mnie z żalu mateńka płakała!
Jakby ojciec biedny targał siwe włosy
I na stare lata przeklinał swe losy!
Jakby siostra młoda łzami liczko myła
I lata wygnania braciszka liczyła!
Ale los poradził na taką niedolę:
Matka zmarła, zanim poznałem niewolę,
Stary ojciec życie sam odebrał sobie,
Siostra i brat jeden razem z matką w grobie,
Drugi brat spoczywa nad Czułymem rzeką,
Trzeciemu w tułaczce smutne dni się wleką.
Ja tu zwolna konam w katordze usolskiej;
Wszystko, jak powinno być w rodzinie polskiej!
Dopóki ojczyzna kochana nie żywa,
Możeż Polakowi dola być szczęśliwa?
Może w lepszej doli nie tak ciężą pęta?
Dzięki Tobie Boże! Bądź Twa wola święta!...

VI.

W tem państwie zimy, w tym kraju zmartwienia
Przedpotopowych stworzeń widne szczątki,
Lody je wieczne chronią od zniszczenia;
Czy lód i moje zachowa pamiątki?
Uczucia mego serca wiecznotrwałe
Do grobu ze mną położą się całe.
Gdzież kości złożę? Czy tu z braterskiemi,
Czy tam daleko w mej ojczystej ziemi?

VII.

„TO DIED TO SLEEP".

Śmierć błogi sen! O senno mi!
Ileż ja jeszcze długich dni
Na wieczne mam czekać spanie?
Kiedyż się w żyłach zetnie krew?
Życie nie życie — Boży gniew.
Daj się przebłagać, o Panie!
Skróć jego powolny prąd,
Niech je ojcowski Twój sąd
Za grzechów karę policzy...
O życie moje — ciągły znój!
Daj mi skosztować, Boże mój,
Wiecznego spania słodyczy!...

VIII.

Jak na pustyni wędrowiec zbłąkany
Rzuca daremne wołania
W obszar bez echa okiem nieprzejrzany,
Tak ja, z krainy wygnania,
Naprożno wołam do ojczystej ziemi,
Czekam na bratnie odgłosy;
Na zachód patrzę oczyma suchemi
Bez płaczu ożywczej rosy,
Bo łza nie płynie, gdy w sercu żary
Piekło trawiącej rozpaczy,
Kiedy przyszłości posępne mary
Ciemnią gościniec tułaczy.
Widzę dokoła wygnańców braci,
I oni sercem boleją,
Ale z nich żaden otuchy nie traci,
Każdy się krzepi nadzieją.
Bo na ulżenie ciężkiej boleści,
Na rozłączenia osłodę,
Od ukochanych miewają wieści,
Z nich czerpią duszy pogodę.
A jam samotny, jam zapomniany,
Tu i w ojczyźnie bez domu.
Komuż odsłonić mam serca rany?
Komuż się zwierzyć? nikomu!
Brata mi obca ziemia zabrała,
W Panu odpoczął szczęśliwy!...
A duch mój dotąd w okowach ciała;
Zwolna konając... jam żywy!...

Sahara miewa złudne powaby,
Zdobi ją „Fata morgana“;
Nęci wędrowne czasem Araby
Rzeka w oddali świetlana,
Palma wysmukła cień obiecuje
I miasta lśnią minarety,
Więc karawana ku nim wędruje,
Wtem wszystko znika niestety!...
O! szczęsne chwile, gdy oczy łzawią
I we łzy przeźroczu jasnem
Widzę, ach widzę... dotykam prawie,
Co dla mnie drogiem i własnemi:
Wszyscy tuż przy mnie, żywi, umarli,
Żyje się znowu, jak żyło,
A wtem w zamroczy już się zatarli,
Na jawie mi się przyśniło!...

IX.

Niema wina, niema wina!
Smutno tutaj żyć.
Musi biedny Polaczyna
Szkalik wódki pić.

Bodaj djabli Syberyję!
Paskudnyż to kraj!
At, wódczyska się napiję,
Daj kosuszkę, daj!

Tym nektorem obrzydliwym
I upić się źle!
W upojeniu chorobliwem
Jak w gorączki śnie.

Precz mi widma obecności!
Precz mi zgrajo mar!
Precz ode mnie! Niech przeszłości
Owionie mnie czar!

Precz katorżna ty czeredo
Tłumnie pustych głów,
Z nowatorskiem twojem credo,
Z gwarem próżnych słów!

Precz żandarmi, płatni kaci,
Wy miedziane łby,
I wy niby demokraci,
Chłopomańskie kpy!

Precz Polacy samozwańcy,
To podłości stek,
To rabusie, nie powstańcy
Hańba na nasz wiek!

A ci mędrcy i rzecznicy!
Czy ich najął car?
Prowincjalni przodownicy!
Z nich to waśni żar.

A ci wietrzni, nic dobrego,
Wielbiciele bab.
„Jenerała“ karczemnego
Pracowity sztab.

A ci pseudo-męczennicy,
Z bolów Polski żart,
Ci bajeczni pułkownicy
Specjaliści kart!

Precz, potwory obecności,
Szpetnych zgrajo mar!
Precz ode mnie! Niech przeszłości
Owionie mnie czar...

Pal ją djabli Syberyję,
Paskudny to kraj!
At — raz jeszcze się napiję,
Przyśni mi się raj...

Przyśni mi się ten Podola
Malowany sad,
I te pszenne, złote pola,
Gdziebym umrzeć rad...

Przyśni mi się Boh błękitny
I podolski lud.
I Kamieniec starożytny,
Korjata gród.

Przyśni mi się w róż powodzi
Stary domek mój,
Cień kasztanu mnie ochłodzi,
Spędzi z czoła znój.

Przyśni mi się luba drużka
Słodkich tylu chwil,
Ta kasztanka — białonóżka,
Rącza Cardoville.

Wionie na mnie wiatr Bohowy
Z nad podolskich smug,
Ujrzę łąki i dąbrowy
I ojczysty pług.

Przyśni mi się brzeg Smotrycza
Dniestru szybki prąd,
I zadzwoni pieśń dziewicza,
Tęskna, Bóg wie skąd...

O! jak w duszę on przenika,
Ten wieśniaczy śpiew!
Jak mu wtórzy pieśń słowika
W gęstym cieniu drzew...

O Podole! o mój raju!
Czy ja ujrzę cię?
W tej wygnańczej męki kraju?
Chyba — w pianym śnie!...

X.

SYBIRSKIE MIGDAŁY.

Gdyby to mi sad wiśniowy
I starenka moja chata,
Gdyby to mi łan zbożowy
I troszeczkę młodsze lata!...

Gdyby to mi konik siwy
I czeladka gospodarza
I dostatek a godziwy,
I dziewczyna jaka harna!...

Gdyby to mi, to i owo,
Tak naprzykład — wolność kraju!
Gdyby Polska, hej! na nowo
Żyła w swoim obyczaju...

Gdyby nasza święta sprawa,
Co dziś dołem, poszła górą,
I Maryja znów łaskawie
Królowała nad swą córą!...

Gdyby to mi, to i owo!
Utrapieniec tu usolski,
Odmłodniały sercem, głową,
Znowu byłbym chwat podolski!...

XI.

Czemu to szare wróble świergocą?
Kwitną z wiosenką kwiaty i drzewa?
Czemu w leszczynie majową nocą
Słowiczek śpiewa a śpiewa?

Czemu dziewczyna rumieńcem płonie,
Spogląda nieśmiałem okiem?
Czemu serduszko bije w jej łonie
Silniej niż biło przed rokiem?

Czemu ty cierpisz, moje Podole,
Dziś, jak cierpiałoś przed wieki?
Turka i Moskwy znosisz niewolę,
By spokój świat miał daleki?

Czemu wy smutne, dumy junacze,
Wy pieśni pełne goryczy?
I czemu chłopię podolskie płacze
Gdy lata jasyru liczy?

Ot — taka widać już Boża wola,
By ptaszki śpiewały w gaju,
By kwitły nasze sady i pola,
W swym dziewczę płonęło maju.

Ot taka widać już Boża wola,
Boh żeby szumiał żalami
I żeby życie dziecku Podola
Płynęło łzami, pieśniami!...

XII.

NOWY ROK

1868.

Żegnaj roku, smutny roku!
Pełny fałszu i zawodu!
Kończysz się w zwątpienia mroku.
Żegnam Cię w krainie lodu.
W grobie żywcem pogrzebionych
Smutno się nam pasmo snuło
Twoich długich dni minionych,
Bo zwątpienie serca truło...
Od zachodniej świata strony
Pełzły do nas złudne wieści.
Że nasz kraj ma być pomszczony,
Że dni cierpień i boleści
Swego kresu domierzają...
Lecz nadziei promyk blady
Lśnił niedługo. Czarną zgrają,
Pełne hańby i szkarady
O nikczemnej koron zgodzie,
O pokoju na tym grobie,
Co wykopał car swobodzie,
O cierpieniach, o żałobie,
Do tej puszczy doszły wieści
Ciężko smutnej dla nas treści.
I widzieliśmy zdaleka,
Jaka podłość hańby szatą
Świat zachodu wciąż powleka...
Oślepione czci utratą
Podłe dzieci Słowiańszczyzny
Moskwie poszły lizać nogi,
Plwać na polskiej grób ojczyzny
I wytykać sobie drogi
Do moskiewskiej wszechniewoli!
Oku ciemno, ciężko duszy,
Coraz gorzej serce boli...
Kiedyż stary świat się ruszy,

By sromotne stargać pęta?
Kiedyż wolność wróci święta?
Roku nowy! co z wieczności
Dziś wysuwasz się otchłani,
Maszli jutrznią być wolności?
Klęsk nawałem niezłamani,
W miłosierdzie ufni Boże,
Po staremu my czekamy,
Rychłoli nam Bóg pomoże
Złamać te piekielne bramy,
Co za nami się zawarły!
Dusze nasze bolejące
Dla nadziei nie umarły,
Ciało tylko zabrał wróg!
Lecz gdy trzeci dzień nastanie,
Umęczone tyle razy,
Ciało, czyste od win zmazy,
Do nowego życia wstanie
I wolności panowanie
Na planecie odda Bóg!

XIII.

KOLENDA

1867.

W grobie leży
Trup macierzy
Zdradziecko zabitej;
Ale oto gwiazda wschodzi,
Znowu w sercach Bóg się rodzi
Śmiercią niespożyty...

Ciężkie pęta
Matka święta
Dźwiga w ciemnym grobie
I sieroty skuta ręka
Kajdanami smutno brzęka
W niewoli żałobie...

W ciężkim trudzie
Polscy ludzie
Czekają zbawienia,
Lecz Zbawiciel — dziecię Boże
Narodzone dziś pomoże
Iść do odrodzenia.

Niechaj tylko
Z każdą chwilką
Duch porasta w siły...
Zaślepiona pycha wroga
Ściągnie na cię pomoc Boga,
Cierp... narodzie miły!

Bóg się rodzi,
Z mąk powodzi
Gwiazda zmartwychwstania
Na widnokrąg polskiej duszy
Wschodzi — pęta kruszy —
I wolność odsłania.

Rajski kwiecie,
Boże dziecię!
Ludu twego serce
Niech kolebką będzie tobie,
A ożyje to, co w grobie,
I padną morderce!

XIV.

CREDERE AUDE!

Wierz temu, czego rozum nie złamie!
Nauka bredzi, nauka kłamie.
Syllogizm, fałszu kleconka licha,
Do zaprzeczenia prawdy popycha
Badawczy umysł. Prosta i jasna
Istota rzeczy. Lecz gdy ją schwyta

W suche swe sidła nauka ciasna,
Sprzecznie bez końca o prawdę pyta,
Ślęczy, marudzi, bada i nudzi,
W sowy ateńskie przemienia ludzi,
A prawdy nagiej nie znajdzie wątku,
Co jak dzień jasny widna z początku.
O serce moje! ty zbrojne wiarą
W księdze żywota poprostu czytaj,
Nie daj się łudzić mądrości marą,
Sprzeczni Heglowskich o nic nie pytaj!
W księdze żywota poprostu czytaj!
Mądrość książkowa dla każdej rzeczy
Znajdzie formułkę w swojej kramnicy
I żądny prawdy umysł człowieczy
Nakarmi plewą miasto pszenicy,
Łupiną marną miato orzecha...
Człowiek chce poznać — ona orzeczyć
Nauczy tylko. Smutna pociecha!
Nic nie poznawać — wszystkiemu przeczyć.
O serce moje! nauka kłamie!
Wierz, temu, czego rozum nie złamie,
W twierdzeniu wiary poznawaj prawdę!
Credere aude!

XV.

Pieśni! czemu bez mej woli
Z piersi mi się rwiesz
I czem serce ciągle boli
Wypowiedzieć chcesz!

Próżna praca tłumić żale
Głuszyć pieśni dźwięk!
Kto zatrzyma rzeki fale,
Stłumi wichru jęk?

Niewstrzymana fala płynie
Pianą muska brzeg;
Hula wichru po równinie
Niewstrzymany bieg.

Smętnych dumań w dusznej cieśni
Gdy się kłębi rój,
Mimowoli tęsknej pieśni
Łzawy tryska zdrój!

XVI.

DWA URYWKI z „Czegoś".

Tak — żartujcie zdrowi!
Ale to prawda — widział Bóg i ludzie,
Żem nie ustawał w niezwyczajnym trudzie,
I lichy żołnierz, do boju niezwykły,
Nie drżałem, kiedy Moskwy hurmy rykły
I kiedy kule sztucerów gwizdały,

Gdy mi gałązki, strzałami złamane,
Z szelestem suchym na głowę spadały.
W sercu pieściłem uczucie nieznane,
Błogie, świąteczne! Gdym zabił piechura,
Duszą, nie usty, zawołałem: „hura“!
Tyłum nie podał, sam idąc piechotą
Za naczelnikiem w gęstwinę i błoto,
Sądziłem, że to do zwycięstwa droga
I że prowadzi mię Rozum — nie Trwoga.

. . . . . .

2.

Taką staroświecką,
Nie nowomodną, uczoną, niemiecką,
Ja kocham Polskę — grzesznicę przeszłości,
Ale cnotliwszą od innych potencji,
Słynnych z postępu i inteligencji.
By rządy sprawiać, ja nie mam zdolności.
Kocham ojczyznę, jak moje naddziady,
W imię Królowej Litwy i Korony,
Z Bogiem na boje i z Bogiem do rady!
Nie bardzo głupi, choć mało uczony,
Gotówem zawsze. I nie podrwię głową,
Choć ani z górną nie wystąpię mową,
Ni strategicznych planów nie nakreślę,
Ni konstytucji żadnej nie wymyślę
Podług zawiłych z nad Sprei traktatów
Lub nadsekwańskich świetnych programatów.
O, smutno słyszeć, jak mędrcy dzisiejsi
Nicują dzieje, spotwarzają naród
I upatrują naszej zguby zaród
W tem, że dzierżyli władzę najcelniejsi,
A nie zarówno wszyscy — mądrzy, głupi,
Zboźni, bezboźni — i franty i fryce,
Co wygadują płytkie mózgownice!
A gawiedź głupia koło nich się kupi
I słucha — i wierzy...

XVII.

„Wart Pac pałaca, a pałac Paca“,
Ten na Sybirze, ów do dom wraca,
A Moskwa górą i górą!

Czy na wygnaniu, czy w ojców kraju,
I tu nie w raju i tam nie w raju,
Knut Moskwy zawsze nad skórą!
Tu gryźć omole, tam cierpieć bole,
Tu mieć niewolę i tam niewolę,
Wybieraj; cetno czy licho?
Tu i tam cierpień różne sposoby,
Tu dni żałoby, tam świeże groby,
O lepszem jutrze wciąż cicho...
Z nadzieją, z wiarą, nieludzką karą
Znękani, mężną gińmy ofiarą,
Nigdy się wątpić nie ważmy,
Człowiek umiera, a Naród żyje.
Choć Moskwa bije, tu i tam bije!
Żeśmy niezłomni, pokażmy!
Tu i tam krwawa, lecz święta praca,
„Wart Pac pałaca, a pałac Paca".

XVIII.

WIESZCZBA.

Na gruszy kukułka siedziała,
Złowieszczo ponuro kukała,
Gdym koło ojczystej chatki
Gonił motyle, rwał kwiatki.

A jam wśród rączej pogoni,
Z zerwaną lilijką w dłoni,
Stawał i słuchał — i żywo
Czuł dolę swą nieszczęśliwą.

Babunia mawiała mi z ganku:
„Coś posmutniałeś, kochanku,
Motylka więcej nie gonisz,
Zerwaną lilijkę ronisz;

Pobiegaj, poigraj no jeszcze"...
A mnie kukanie złowieszcze
Płoszyło wesela chwile,
Jak ja płoszyłem motyle.

Oj ptaszku, proroku ty Boży,
Dzisiaj los na mnie się sroży
I jak grób tłoczy wygnanie —
Sprawdza się twoje kukanie!..

XIX.

Nie trudno nizać słówka na rytmu jedwabie,
I końcówki węzełkiem zawiązywać zgrabnie,
Lecz gdy wszystko się kończy na dźwięku powabie,
Gdy w miłych słów powodzi rdzeń myśli osłabnie,
Gdy złudna dźwięków spójnia tylko ucho pieści,
A dla serca, dla głowy, niema pewnej treści,
Gdy na próżnię wierszyków zdrowy rozum sarka,
Lepiej słuchać uczonych kurantów kanarka.
Zawszem stać usiłował przy rozsądku prawach;
I gdy mnie zbyt unosił polot wyobraźni,
Los Ikara przejmował mię drżeniem bojaźni;
Częstom też sobie mawiał: „co robisz? o zgrozo!
Prawisz sucho i trzeźwo rymowaną prozą".
Lecz gdym luźne me rymy badał należycie,
I w tętnie ich wciąż słyszał żywe serca bicie,
Serca, co Prawdzie, Dobru i Pięknu oddane,
Prawdę, Dobro i Piękno w jedną całość zlane
Czuje w życiu Wszechświata, czuje w ludzkim duchu,
W życiu jętki znikomej, w sfer niebieskich ruchu,
Serca, co miljonów boleścią się krwawi
I powszedniej boleści brata nie zostawi
Bez odczucia jej w sobie; gdym to słyszał bicie,
W moich rymach niezdarnych, w fantazji rozkwicie,
Bujnym, żartkim, zuchwałym, nie szukając chluby
Zachowałem piosenki me biedne od zguby...
Niesadzone w brylanty wierszy mych przeguby
Nie mają dźwięku srebra, ni połysku złota,
Ale tętnią w nich stale miłość i tęsknota;
Nawet, kiedy goryczą napojon nad miarę,
Zdaje się, że zatracam w duch narodu wiarę,
Kiedy słowy cierpkiemi i słowem szyderstwa
Rzekłbyś na gronko bratnie wyziewam bluźnierstwa,
Nawet w ciężkie, bolesne godziny zwątpienia
Miłość, piastunka moja, swojego natchnienia
Nie odmawia prostaczej lirence pieśniarza.
Radości, żale, troski, wszystko, co Bóg zdarza,
W piosence nieśmiertelnej Muza ma odtwarza.
Dawniej, gdy mi młodości świeciła jutrzenka,
Raźniej i serce biło i brzmiała piosenka.
I starej naszej sławy olbrzymie widziadła
Nie trwożyły mej Muzy i twarz mi nie bladła,
Gdym się imał ciosania słowem tych postaci,
Które panują wiekom... Ludzkości magnaci:
Milcjady, Kościuszkowie, Danty i Adamy,

Cyklopejskie przyrody człowieczej odłamy,
Chwytały mię urokiem jakimś tajemniczym,
Napawały nieziemskiem szczęściem męczenniczem.
Dziś tych wzniosłych zachwytów niejasne wspomnienia
Zostały w zubożałej duszy... Za natchnienia,
Co najświętszym, najczystszym, są tu z nieba darem,
Co na rany żywota balsamem, puharem
Nektaru zapomnienia o wszystkiem, co szpetne,
Co zwierzęce w człowieku i co nieszlachetne,
Dzięki Ci, Dawco życia! Kiedy szron siwizny
Okrywa skronie, ciało brużdżą liczne blizny,
I grobu się roztwiera paszcza już przede mną,
W przyszłości przedgrobowej tak smutno, tak ciemno,
Wstecz zwracam łzawe oko — i łuna jasności
Młodzieńczych natchnień łuna, młodzieńczej miłości,
Znów przede mną... i sercu tak błogo, tak rzewnie,
I echo dawnych pieśni rozlega się śpiewnie,
I zapał się roznieca, i strudzoną dłonią
Znów sięgam do lirenki i struny jej dzwonią...
Ale nie wraca dawna zuchwała odwaga.
Zatrważa mię wspaniała eposu powaga.
Ogrom zadań ludzkości, niezmierny jak wieczność,
Tłoczy ducha, wskazuje sił niedostateczność,
Więc tylko luźne pieśni brząkam na lirence,
Dziś gorzkie, jutro rzewne; i miłośne ręce
Wyciągam ku krainie dawno pożegnanej,
Nad wszystkie ziemi kraje drogiej, ukochanej...
Dobrym ludziom, co serce przygarną tułacze,
Prostą piosnkę bezpiecznie czasami wypłaczę,
Wierząc, że w niej usłyszą, co w nią pieśniarz wleje:
Miłość kraju, w lud wiarę i w naród nadzieję!
Takie dziś pieśni moje. Ochraniam je skrzętnie,
Od świetnej pianki szału; słucham obojętnie,
Gniewem się nie unoszę ani wieszczą zgrozą,
Jeżeli je kto nazwie rymowaną prozą.

XX.

Czy Irkucki, czy Halicze,
Wszędy życie katorżnicze!
Kiedyż będziem, mój Szymonie,
Na Podolu i w Koronie?
Będziem kiedyś, to daremna,
Bo z nad Bohu, Wisły, Niemna,
Płyną modły wciąż gorące,
O nasz powrót błagające!...

Ale kiedy? Któż się dowie?
Ty w Galiczu, ja w Tambowie,
Wśród obcego dla nas świata,
Tęsknić będziem dnie i lata,
Żywiąc w piersiach ogień święty,
Cośmy z łona matek wzięli:
Choć nam skronie szron ubieli,
Duch zostanie nieugięty.

Drogę życia dziś nam znaczy
Łza tęsknoty, znój tułaczy,
Bruzdy, troski, na obliczu.
Czy w Irkucku, czy w Haliczu,
W Szui, czy w Permie nad Kamą,
Czy tam w Toćmie nad Suchoną;
Wszędy, gdzie nas zapędzono,
Wiecznie jedno i toż samo!...
Dziś posępne, jutro ciemne,
Dumy smutne, dola sroga...
Lecz te męki czyż daremne?
Czy na niebie niemasz Boga?
Czy nadzieja w nas umarła?
Nie! tej przemoc nie wydarła.
Pielęgnujem skarb ten w łonie...
Czuj duch! zacny mój Szymonie!
W kraju licho, duch upada,
Po moskiewsku dziecko gada,
Po moskiewsku śpiewa ksiądz.
Lecz to darmo! nic nie zdoła
Z domu, szkoły i kościoła
Zrobić Moskwę, w jedno sprząc,
Co rozprzęgły łez potoki,
Krwi strumienie,
Pieśni wieszczów, dziejów karty,
I ten świeży bój zażarty
I sumienie!...
Mogę myśląc o ojczyźnie
Ciałem umrzeć na obczyźnie,
Lecz nie umrę dla niej duszą!
Bo tej duszy wszak nie zmuszą
Do katorgi, posilenia,
Żytielstwa lub wodworenia.
Więc gdy ciało legnie w grobie,
Dusza pocznie bujać sobie
Nad krainą nad podolską
I nad wszelką ziemią polską.
Gdy zaleci do stolicy,
Nadwiślańskiej krasawicy,
Niech cię ujrzy tam, Szymonie,
W syberyjskiej braci gronie.
Precz Tambowy! precz Halicze!
Ja Warszawki sobie życzę.

XXI.

RADA BIEDUJĄCEMU WYGNAŃCOWI.

Jak się daje, żyj,
Pałaszuj brykałę[1]),
Czystą wodę pij.
Przykrostki to małe
I łatwo je znieść.
Gdy niema co jeść,
Weź Homera tom,
A dzięki poecie
Zapomnisz o świecie!
Nie pozwalaj łzom
Zaćmiewać twych oczu,
Od gorszących scen
Miej się na uboczu.
Pracuj ręką, głową,
Zły próżniaczy sen!
Chwytaj wszelką nową,
A poczciwą myśl!
Nawet dla pamięci
W raptularzu kreśl.
Koledzy nie święci,
A świętyż ty sam?
Przeto krewkość własną,
Gniew i dumę ciasną,
Ustawicznie łam
I dla świętej zgody
Z cierpliwością znoś
Dotkliwe przygody,
Codzień Boga proś
O wytrwania siłę.
Miłe czy niemiłe
Otoczenie masz,
W niem się skupił cały
Tutaj naród nasz.
Przeto zgodą, ładem,

[1]) Tak więzienny słownik nazwał chleb razowy.

Tak losy kazały,
Jedności przykładem
Oświecajmy czerń,
Co nas podle szczuje,
Bo wyższość w nas czuje.
Dla niej myśmy cierń,
Co ją w oczy kole!
Niewdzięczne to pole,
Ale dobry siew,
Choć grunt lichy, twardy,
Tłumiąc głos pogardy
I szlachetny gniew,
Rzucać weń potrzeba!
Taka wola nieba!...
Jak zarazy dech
Niech cię straszą kłótnie.
Najgrawania śmiech
Znoś pogodno smutnie.
Nie wdawaj się w długi
Albo rychło płać (oh-oh!)
Oddawaj usługi,
Na jakie cię stać.
Słowem — umiej żyć
W tym wygnania kruju,
Gdzie o polskim raju
Wolno tylko śnić!...

Finał:

Co to ja robię?
Czy drugim radzę, czy sobie?

XXII.

DO SNIWODY [1]).

Sniwodo! rzeczułkaś mała,
A jam poeta niewielki.
Ty zliczyć łatwo byś dała
Wszystkie swej głębi kropelki,
Mego granice talentu
W lot zmierzy oko krytyczne
I dozna przykrego wstrętu,
Płatając rymy nieliczne.
Ale Sniwodo! nie grzeszmy
Utyskiwaniem zuchwałem
I tem się szczerze pocieszmy,
Że równie wielkiem i małem
Stworzeniem świętej swej dłoni
Bóg opiekować się raczy.
Wszak na powierzchni twej toni
Słoneczny ogrom się znaczy,
A w mym prostaczym wierszyku
Świat serca odbić się może?
Nie sarkaj mały strumyku
Na mądre zrządzenia Boże!
Gdybyś ty była, Sniwodo,
Jak Boh nasz wielką i długą,
Morze darzyłabyś wodą,
W niemby ginęła twa struga;
Gdzieś od Podola daleko
W obcej byś nikła krainie.
Szczęśliwa ty skromna rzeko!
Do Bohu struga twa płynie...
Mocne trzymają cię tamy
W tym raju, którym utracił.
Ceńmy, co od Boga mamy;
Zmianę jam drogo opłacił...
Gdybym był wieszczem, jak Adam,
Wnetby wyniosły mnie rymy
Wysoko... Lecz nie posiadam
Genjuszu. Sławy czcze dymy
Nie otaczają mej skroni
I zawiść milczy, gdy nucę,
Z włócznią mię swoją nie goni...
Sniwodo! kiedyż ja wrócę
W zwierciedle przejrzeć się twojem?
Zapomnę o tem, co boli,
Błogim zabliźnię pokojem
Bolesne rany niewoli?

---

[1]) Rzeczułka podolska, nad którą mieszkałem od 1851 do 1859 roku to jest od 23 do 31 mojej na tym padole pokuty.

Kiedyż ja ciebie zobaczę
I drogie lube oblicza;
Do których tęsknię i płaczę?
. . . . . .
O, dolo ty męczennicza,
Daj wrócić w ojczyste strony!
Ustąp ty tchnieniu swobody,
Oddaj mi raj utracony,
Wróć mnie na brzegi Sniwody!

w Spasku, $^{27}/_{15}$ czerwca 1877.

XXIII.

DUMKA DZIADOWSKA.

Stanęło na tem —
Wezmę ja torbę
Lirę za korbę
I pójdę światem.

Może ja zajdę
Aż na Podole,
Może tam znajdę,
At!... milczeć wolę...

Kogo tam szukać?
Do jakiej chaty
Dziaduś brodaty
Ma tam zapukać?

Swoich ni śladu,
Wszystko tam obce;
Na cmentarz, dziadu,
Gdzie mogił kopce.

Na grobie siędziesz,
Brząkniesz na lirze
I o Sybirze
Rozprawiać będziesz!

Usłyszą ciebie
Kości w mogile,
Krzyżyki stare,
Chwastu badyle,
Ptaszęta szare
I... Bóg na niebie!...

Irkuck, $^{11}/_{23}$ września 1874 r.

XXIV.

„WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK“ (nie żarcik).

„Wlazł kotek na płotek i mruga
Pięknaż to piosenka, niedługa“.
Pytanie się tłucze po głowie,
Czy śpiewa ją kotka w Kijowie?
Ej, kotko! czyż nigdy z oddali
Nie będziem do siebie mrugali?
O! gdyby na smętnym Sybirze
Mruganie dognało mię chyże...
Chcę mrugać, przeszkadza łza długa.
„Wlazł kotek na płotek i mruga“.

Ej, kotko! pamiętasz te chwile,
Gdyśmy to mrugali tak mile?
A potem, przed hordą Moskali
My prochem kichali, mrugali
Szablami, nie wiedząc ni trochu,
Że szkoda krwi, czasu i prochu.
Za takie kichanie, mruganie,
Dźwigamy kajdany, wygnanie,
I słabo nadzieja nam mruga;
Nie piękna to piosnka, a długa!

Ej, kotko! dawniejszym zwyczajem
Mrugnijmy do siebie my wzajem.
Niech uśmiech Twej buzi (o słodki!)
Dowiedzie, że niecne to plotki,
Że kotka nie zdradza, nie zwodzi,
Że czas i rozłąka nie szkodzi
Szczeremu jak dawniej kochaniu,
Co słodzi mi czas na wygnaniu.
O! wielka u Boga zasługa,
Gdy kotka tu do mnie pomruga.

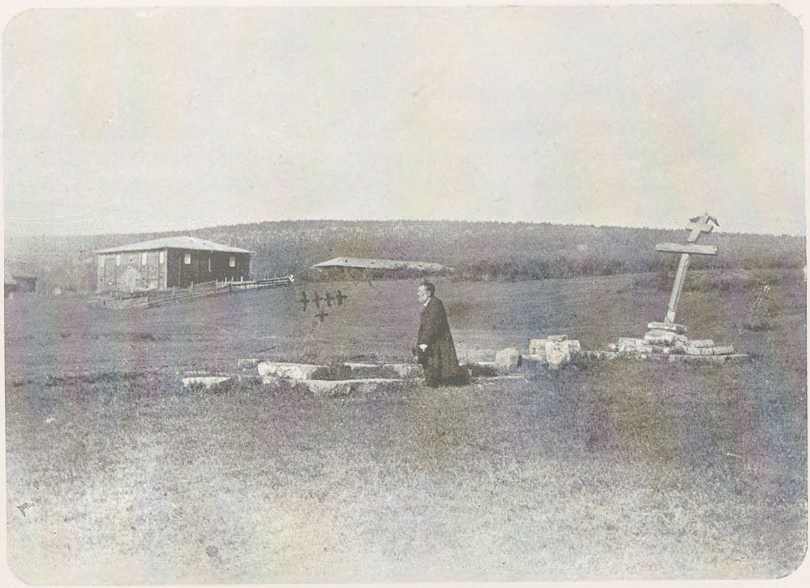


Fig. 63. Plac za Irkuckiem na drodze Jakuckiej, na którym zostali rozstrzelani w r. 1866 za udział i przewodnictwo w powstaniu zabajkalskiem: Gustaw Szaramowicz, Józef Rejner, Władysław Kotkowski, Cyprjan Celiński a w r. 1872 Ignacy Eichmüller z Warszawy za czynną obelgę zadaną jenerał gubernatorowi Siemielnikowi.

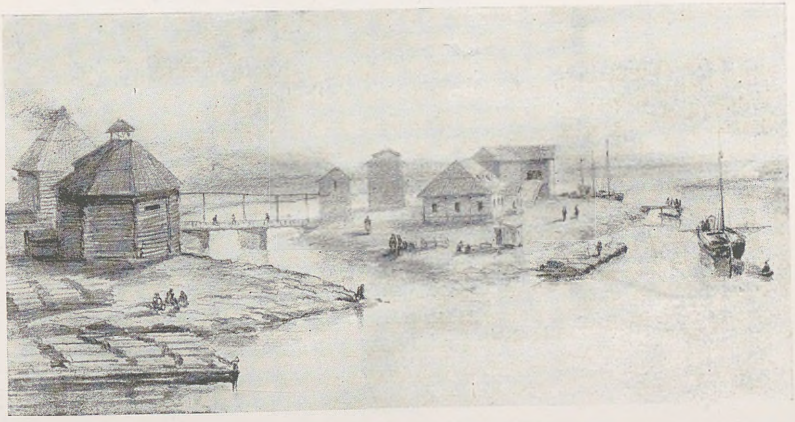


Fig. 64. Warzelnie na wiackiej wyspie, mała wyspa i most łączący wyspy obie.

XXV.

DO . . . . . (napis na fotografji autora).

Wcale nie katorżna mina!
Znać pękaty starowina
Kpi sobie z kajdan i świata,
A ciężkie wygnania lata
Płyną jak masło po kaszy,
Jak krople wina po flaszy,
Po duszy jego steranej...
Ze szczęściem nieobeznanej,
Znać, że i w ojczystym kraju
Nie zaznał rozkoszy raju,
Że pędząc życie tułacze
Lepszego się nie spodziewa
I gorzkich łez nie wylewa,
Bo tam nikt po mnie nie płacze.

XXVI.

ODA DO NADZIEI.

„Nie porzucaj nadzieje
Jakoć się kolwiek dzieje".

Jan Kochanowski.

. . . . . .

Matko nasza nadziejo! przyjaciółko stała!
Wszystko nas opuściło — tyś jedna została.
Lichy żywot wygnańczy ozłacamy tobą,
Tyś nam jutra bankierem, a dzisiaj ozdobą.
Ty nam z lichwą zapłacić masz niby zasługi,
Ogromne poumarzać z procentami długi,
Które liczym na tobie, córo Ideału,
Przypisując odsetki wciąż do kapitału.
Patrz, jak rozliczne kiedyś czynić masz wypłaty
Z kantoru twej zamożnej „kaziennej pałaty".
Oto jeden wierzyciel domagać się będzie,
By osiadłszy na nowo na ojczystej grzędzie
Intraty swe odzyskał, podwoił, potroił,
I ruszył zagranicę i na nowo broił,
Bogacąc Niemce, Franki i wszelakie Szwaby,
Nadsekwańskie kamelje i brytańskie draby:
Z tymi robiąc zakłady o wychudłe szkapki,
Tamtym złocąc sowicie pieścidełka łapki.
Takie zrealizować winnaś ideały
Jednemu. Czyż jednemu? Zastęp ich niemały.
Drugi pieści namiętnie rojenia prześliczne,
Idee oweniczne i furjerystyczne,
Chce je wcielić w czyn żywy i świat uszczęśliwić,
Zwolenników rutyny zgnębić i zadziwić,
Skasować „moje" „twoje", małżeństwo, rodzinę,

Kościół, proletarjatu wszelaką przyczynę,
Nazwać grzechy cnotami, dowieść, że nie trzeba
Mądrej i świętej ziemi jakiegoś tam nieba.
Czyż odmówisz spełnieniu takich zacnych marzeń?
Trzeci pragnie bojowych zakosztować wrażeń.
Nie myśli „ginąć zwrotką w hymnie poświęcenia",
Za skromne to dla jego genjuszu życzenia.
Migocą mu połyski hetmańskiej buławy,
Winnaś mu kupę zwycięstw i nieskąpo sławy.
Czwarty nie chce żołnierskiej fatygi i znoju,
Pragnie żywot ziemiański prowadzić w pokoju,
A odzyskawszy dobra, zabrane przez Mocha,
Ożenić się uczciwie z panną, którą kocha;
A jeśli nie, to z inną, bo w tem sztuka cała:
„Niech będzie koza biała, byle posag miała".
Piąty, rzadki to dzisiaj fenomen zaiste,
Pieści rojenia lotne, wonne i przejrzyste,
Piękne, jak na Podolu majowe poranki,
O chatce pustelniczej dla swojej kochanki,
O śniadaniu z gruchania czułej gołębicy,
O obiadku z całusków anielskiej dziewicy,
O słodkiej kolacyjce ze śpiewu słowika,
Popijanej nektarem ze szmeru strumyka;
I jeszcze o czemś takiem ultra idealnem,
Że trudno gęsiem piórem, ultra znów realnem,
Opisać tych uniesień poetyczne szały,
Na które będą gwiazdy niebieskie patrzały.
Już i tak Syrokomlę okradłem potrosze,
By oddać jako tako te dzienne rozkosze,
Ukryte pod Edenu czułej pary strzechą.
Nadziejo! daj poecie marzoną pociechę;
A czułą będąc matką, niech też jejmość zgarnie
Prozy nieco i włoży w kochanków spiżarnię,
Bez ich wiedzy, ukradkiem, z cicha naturalnie.
Trzeba mięsa, niestety! by żyć idealnie!...
Szósty chce szustać polkę, walca i mazura,
Pragnie, by mu rodaczka dała rączkę która.
Nadziejo! kwap się ziścić tę miłą zachciankę,
Niech nasz tancerz z hołubcem obraca szlachciankę,
Bo wytrzymać nie może, z Mochównami tańczy,
Chorowodem osładza swój żywot wygnańczy.
Pozwól mu co najprędzej nucić krakowiaki,
Nim tu z Mochami zedrze ostatnie chodaki.
Siódmy, ósmy, dziewiąty, każdy inne długi
Liczy na skarbie pani, swej matki i sługi.

Ten chce głosić odkrycia nauki głębokiej,
Jak Hegel niepojętej, jak bezmiar szerokiej.
Chce znowu podnieść sztandar wśród ciemnego tłumu
Wiedzy transcendentalnej, wszechwładztwa rozumu.
Ów chce dowieść, że znana myśli jego droga
Bez gromnicy, plebana, bez pomocy Boga,
Do tajników przyrody, którą mu wskazała
Angielskiego Darwina metoda wspaniała;
Że przez szparę, gdzie była w głowie klepka piąta
Buchnie światło idei pozytywnych Comta;
Że walcząc bohatersko, naukowym stylem
Bucklem zwalczy katechizm, Pater-noster Millem,
Tabliczkę Pytagora obali Prodhonem
I stanie się uczonych łbów Napoleonem.
Inny człowiek praktyczny błaga cię, nadziejo,
Abyś mu zapłaciła żelazną koleją,
Drucianym telegrafem, parowemi pługi,
Zaciągnięte na rewers poświęcenia długi.
Niech zbiera tysiąc za sto, i niech twierdzi śmiele,
Że postępu wykwinty nie środki, lecz cele...
Słowem, każdy inaczej na twoją szkatułę,
Pełną świetnych obietnic, oczy zwraca czułe,
Pamiętajże, nadziejo, nie zrób im zawodu
Za lata katorżniczej golizny i głodu...
A ja? czegoż od ciebie żądać mam, nadziejo?
Jakie do mnie rozkosze w przyszłości się śmieją.
O i ja wymagania postawię ci mnogie,
Nie bardzo świetne wprawdzie, w genjalność ubogie,
Ale sercu mojemu starczące do syta.
Jest chatka w Kowalówce, snopkami poszyta;
Za nią sad wisien, śliwek i grusz i jabłoni,
Nurza się ona chatka w róż, jaśminów, toni,
Tuli się pod kasztanu wyniosłego liście;
Pełznie pod nim barwinek, bujno, posuwiście;
Stokrotki rozsypane jak drobne klejnoty,
Szeregi wonnych malin zasłaniają płoty,
Korytarz bzów tureckich wiedzie do altany.
Na prawo i na lewo jak niemieckie łany
Grzędy truskawek; przy nich odbywają czaty
Z gęstem gronem porzeczka i agrest kolczaty.
Między chatką a stajnią, kuchnią a spichlerzem,
Starych wrót z krzywym daszkiem obronny puklerzem,
Dziedzińczyk, jak gładziutki dywanik zielony,
Złotobrzeźny, piaszczystą drogą okolony.
Po nim chart Doskocz z wyżłem angielskim Bulfasem

Przewracają koziołki, a Rózia tymczasem
Z synem swoim Cymbusiem żarłocznej natury
Gdzieś tam za kuchnią w krzakach polują na kury,
A Krasuska klucznica z Pawełkiem kucharzem
Gderzą, że tak niedbałym jestem gospodarzem;
Że to zgroza, jak psiska drób chowany jedzą.
Czyż kokosze na jajach dla brytanów siedzą?...
Komoszyński Barnaba, zwarłszy stare oko,
Na ganeczku z ławkami — usypia głęboko.
Nadziejo! daj mi ziścić urocze marzenie,
Daj mi jeszcze raz ujrzeć to raju skrócenie.
Pozwól w ojczystej chatce, pełnej wspomnień drogich,
W smutki i łzy bogatych, w radości ubogich,
Osadzić starą ciotkę z jedynaczką Zosią;
Niech to dziecię Wawelu podolską gosposią
Zostanie, i, jak skromnym dziewczętom się zdarza,
Niech znajdzie statecznego męża gospodarza,
Któryby starej chacie upaść nie pozwolił
I babunię wnukami licznymi okolił.
Mnie zaś od tego raju droga niedaleka,
Cmentarzyk w Niemirowie na me służby czeka.
Nie chcę innej godności na me stare latka,
Tylko piastować urząd cmentarnego dziadka.
Doczekałem babiego lata z myślą jedną,
Jakby się z wrogiem pobić za Ojczyznę biedną.
Ziściły się choć późno rojenia pieszczone,
Odnawiać ich nie dają siły nadwątlone.
Popisałem się wprawdzie w żołnierce nietęgo,
Zrazum złapał Waterloo, nie miawszy Marengo;
Pod Werchałowem moja pierwsza i ostatnia
Batalja, — po niej wroga pojmała mnie matnia.
I kula ominęła rycerza niezdarę
I ziemia jeszcze dźwiga nieszczęsną ofiarę
Uczucia jedynego, którem serce żyło,
Jedynego rojenia, które mi się śniło...
O ziścij mi nadziejo, to smutne rojenie!
Ojczyzny słudze swemu pokaż odrodzenie,
Kiedy na niemirowskim cmentarzu w starości
Pilnować będzie swoich nieboszczyków kości!...

XXVII.

Był czas — lubiłem dziewczęta,
Lubiłem moje koniki,
Wyżełki, gończe charcięta,
A teraz wolę kamyki.

Teraz dopiero mam rozum,
Bo tamto zamiłowanie
To małe periculosum,
To niebezpieczne kochanie.

Dziewczęta, koniki, pieski
Kosztują drogo za katy!
Gdy byłem młody i rzeźki,
Na nie trwoniłem intraty.

Intrat mi wcale nie szkoda,
Pal djabli podłe pieniądze!
Ale marniała mi młoda
Energja na płoche żądze.

Gdy co ukocham, bywało,
Temu się oddam w niewolę,
Ach! drogo to kosztowało.
Nie, nie! kamyki ja wolę!...

Jeszcze pół biedy z pieskami,
Z końmi choć wiele zachodu,
Ale ci duszy nie splami,
Gdy je ukochasz zamłodu.

Inna rzecz, panie, dziewczęta,
Stworzenka djable, kapryśne!
Niech im tam Bóg nie pamięta!
Przekleństwem na nie nie cisnę.

Ależ bestyjki dręczyły
Powabów swych amatora!
Tyle mi życia strwoniły,
Że dotąd dusza mi chora!

Koniki, pieski, kochaniem
Zapłacą za twe kochanie,
Nacieszysz się polowaniem,
Skórka za wyprawę stanie.

Bywało, zerwę się w nocy,
Biegnę do stajni, do koni,
I bez niczyjej pomocy
Z własnej pokarmię je dłoni...

Cardoville, moja kasztanka,
Czuła, żem kochał bestyjkę,
Rżeniem witała co ranka,
Na ramię kładła mi szyjkę.

Ileż ja godzin odjąłem
Od umysłowej rozrywki,
Aby z troskliwym mozołem
Rozczesać włosień jej grzywki.

Kasztanka psuła mi szyki;
By miała siodła, popręgi,
Uzdeczki i napierśniki,
Grosza skąpiłem na księgi.

Lecz nie żałuję, bo za to
Z lichwą płaciła pieszczoty...
Dotąd, gdy wspomnę jej stratę,
Ciężkiej doznaję tęsknoty!

Tragiczny koniec ją czekał,
Grzbietek pod klatką złamała,
A jam w rozpaczy nie zwlekał,
Od mojej kuli skonała.

W cieniu zielonej dąbrowy
Spoczęły klaczki mej szczątki,
Tylko odłamek podkowy
Został dla smutnej pamiątki.

Śmieją się ludzie, gdy widzą
Kawał żelaza na stole.
Szalony! mówią i szydzą.
Nie! nie! Kamienie ja wolę!...

A pieski, charty, ogary,
Cymbuś i Rózia, brytany,
Belfa, Komoszyński stary
I Bulfas, wyżeł kochany,

Wszystko to wiernie służyło,
Kochało pana swojego,
Aż wspomnieć słodko i miło!
Lecz było w tem wiele złego!...

Bo kiedy z pieskami żyłem,
W myśliwskim rozkosznym trudzie,
Do ludzi serce straciłem,
Przy psach źli zdają się ludzie!...

Psiarni mej rozum i cnoty
Ćmiły ludzkości zalety,
Pieski poczciwe istoty,
Lepsze od ludzi, niestety!

Kamienia spokojne bryłki
Wszystko darują i znoszą,
Zły humor, sądu omyłki,
Chleba ni serca nie proszą.

Taka niełaska dla ludzi
Grzechem obarcza sumienie,
Zgryzoty ostre w niem budzi.
Nie! wolę, wolę, kamienie!

Nie znają trudu i znoju,
Nic ich nie wzrusza, nie drażni,
Wolne od wrogów spokoju —
Od miłości, od przyjaźni.

Chciałbym ja martwym być głazem,
Życia mię nęka cierpienie.
Głaz dla mnie szczęścia obrazem.
Ludzie?... Nie! wolę kamienie!...

II. WIERSZE OKOLICZNOŚCIOWE.

I.

IDEAŁ

1.

Jak każdy sobie, i ja tak zrobię.
Stworzę ideał na swe kopyto,
W tym ideale bez wad, bez ale,
Perfekcja będzie kobietą.

Nie wartoż trudu in gratiam cudu
Posuszyć głowę swą siwą?
Bez ideału wśród trosk nawału
Żyje się licho i ckliwo.

Łbie ty mój siwy, wysnuj godziwy
Ideał, choć po niewczasie,
Cnoty, piękności, doskonałości;
Haftuj na marzeń atłasie.

Widzimy przecie na szarym świecie,
Bez marzeń ciężko za katy,
A w Ukrainie przysłowie słynie,
Że „durny dumką bogaty".

Lecz to nie trudna praca, nieżmudna,
Taki uciułać kapitał.
O pstre migdały przez żywot cały
Czemużem dotąd nie pytał?

Dziś już nie pora, gdy dusza chora,
Na sentymentów suchoty,
Widzieć w prawdziwej istocie żywej
Ideał własnej roboty.

Rzecz to zdradziecka, bez wiary dziecka
Patrząc na świat, w okulary
Mrzonki piastować, zamki murować,
Na piasku dusznej Sahary.

Ale do życia, z marzeń powicia,
Gdy się ideał nie zrywa,
Mrzonki świetlane, bańki mydlane,
Puszczać — zabawa godziwa!

Więc siwa głowo! haftuj rzecz nową,
Ideał, na snów atłasie.
Do imiennika w szacie wierszyka
I to, być może, przyda się.

2.

Na pytanie! czy blondynka?
Czy brunetka, czy szatynka,
Czy ma włosy blond cendré?
Czy równiutkie, czy kręcone,
Czy gładziutkie, czy strzępione?
Czy w jej oku piekło wre,
Czy się nieba wdzięk maluje?
Czy wzrok duma, czy żartuje,
Czy się łzawi, czy coś marzy,
Jaki kształt i wyraz twarzy?
Jaki wzrost, rączka i nózia,
Jaki nosek, jaka buzia?
Jakie ząbki, jaka cera,
Kibić, ruchy et cetera?
Jak chodzi, tańczy i siedzi?
Żadnej pewnej odpowiedzi
Stanowczej — kategorycznej,
Badawczyni mojej ślicznej
Z wyobraźnią moją biedną
Dać nie mogę, ma foi!
Zresztą — wszystko mi to jedno,
Jak ładniej? que sais-je, moi?
Odpowiadać na pytanie
Dawać kwestji rozwiązanie,
Kiedy trudna, czasu żal!
Owóż, co bądź, byle piękne,
A przed wszystkiem ze czcią klęknę,
To czy owo — c'ést égal!
— Na cielesne ja powaby
Zawsze byłem sędzia słaby,
Bo wszestronny jest mój gust,
Wszystko chwalę, co ponętne.
A stronnicze i namiętne
Zdanie mych nie skala ust,
Obcą wszelka mi wyłączność,
Byle wdzięków była łączność,
Serca ciepło i pięknota
Ducha siły i prostota,
Ciała z duszą zgodny ton;
Oto cała kwestja walna.
— Oto owa idealna
Kondycja — sine qua non!
Jest i druga. Ta trudniejsza,
Niemożliwsza, więc śmieszniejsza.
Lecz i tę postawię. — Oto
Piękność owa, strojna cnota,
Ów ideał mój marzony,
Nie dość, że ma być wcielony

W piękną postać spółziemianki,
Że ma duszę mieć niebianki,
Że ma Polskę mieć ojczyzną,
Że ma kochać, co mi święte,
Czcić, co wzniosłe, z nieba wzięte,
Że ma sama być iścizną
Prawdy, dobra i pięknoty.
Bohaterskiej jeszcze cnoty
Wysilenia nadludzkiego
Dziwny dar posiadać ma,
Musi kochać mnie grzesznego...
Pani śmiejesz się!... N'est — ce pas?
— To ideał niemożliwy,
Impossible?... Przez Bóg żywy!
— Tożby nie był ideałem,
Absolutem doskonałym,
Bez warunku, który stawię.
Nie widziałżem ja na jawie,
Nie w gorączce, ani we śnie,
Istot, które posiadały
Cnót i wdzięków komplet cały?
Ale właśnie — to boleśnie,
Że z nich żadna, czy to trzpiotka,
Czy poważna, czy pieszczotka,
Czy dowcipna i złośliwa,
Czy powolna, czy zbyt żywa,
Poetyczna, prozaiczna,
Idealna, czy praktyczna.
Nie pokocha mnie — choć płacz!
Droga bita — a więc kwita,
Czara marzeń już wypita.
Pani mi przebaczyć racz,
Że ideał taki śmieszny
Wymarzyłem — człowiek grzeszny.
Ale nie mam już innego,
Prima charitas ab ego!
Ja o spokój własny dbam,
A więc tworzę ideały,
Coby wcielić się nie dały,
Bo od czegoż głowę mam?
Dajmy na to, że się znajdzie
Ktoś, co tak daleko zajdzie
W abnegację, że pokocha;
Dokąd lecisz myśli płocha?
Że pokocha mnie starego,
Grzesznem życiem znużonego,
Co z tym fantem począć mam?
Czy pokochać ją wet za wet?
Gdzie tam! nie potrafię nawet.
Prócz litości cóż jej dam?
Lecz na szczęście, na tej ziemi,
Między ludźmi ułomnymi
Taka święta, Bogu chwała!
Jeszcze się nie pokazała.
Ergo — pomysł doskonały:
Kiedy tworzyć ideały,
To już najidealniejsze.
Kiedy kłamiesz, to już kłam!
Gwiazdki z nieba wysokiego
Lepiej pragnąc niż ziemskiego
Czego bądź! N'est-ce pas Madame?

3.

Jeszcze chwileczka, jeszcze ćwiarteczka,
Kilka wierszyków — i basta!
Niech natrętowi profesorowi
Przebaczy tęga niewiasta.

W której istocie jak brylant w złocie
Duszyczka błyska prześliczna;
Jak to wyznałem, mym ideałem
Jest niemożliwość fizyczna.



Fig. 65. Ks. Syrwid.



Fig. 66. Ks. Dziekan Stulgiński.

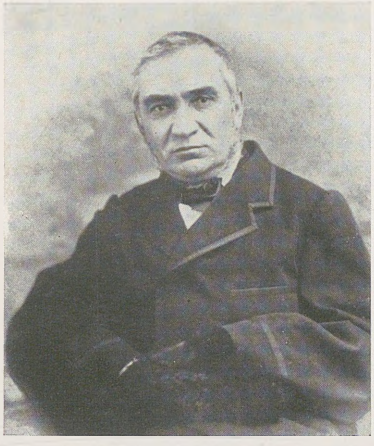


Fig. 67. Twardowski.



Fig. 68. Dr Karol Brodowski.

Nie idzie za tem, by starym gratem
Nie igrał marzeń łatwiejszych
Urok tęczowy, by z siwej głowy
Nie snował wymagań lżejszych.

Miła, wesoła, z sercem anioła,
Siostra w ojczystej miłości,
Naprzemian trzpiotka, żywa, szczebiotka
Złośliwa, ale bez złości.

Gdy warto, smętna, zawsze ponętna,
Myśląca, napozór płocha...
Taka ziemianka nie jak kochanka,
Jak siostra niech mię pokocha.

Sercem dziecinnem, czystem, niewinnem,
Jak swego starszego brata...
Czyż i to mrzonka? marna kleconka
Z idealnego tam świata?

Nie, to możliwa realność żywa!
Na taki ideał — zgoda!
Nie kraj marzenia, nie mgła rojenia,
Daje go żywa przyroda.

Któż to? nie powiem; milczę, albowiem
Szkodliwa zbytnia otwartość.
Niech wierszowana spowiedź Juljana
Zagadki posiada wartość.

II.

TRZY GRUBJAŃSKIE PRAWDY.

1.

Ja nie wiem sam, co to jest za choroba?
Uroki to czyli zrządzenie losu?
Lecz miła mi wygnania smętna doba,
Jeżeli dźwięk zasłyszę dziecka głosu.
Ani ja wiem, co mi się w niej podoba?...

2.

ŚWIĘTA MIERNOŚĆ.

Świat cię osądzi, ludzie nie przebaczą,
Cisną na ciebie kamieniem,
Pobudki czynów nawspak wytłumaczą,
A wszystko — z czystem sumieniem!

Światu potrzeba kłamstwa i pozoru.
Występek nazwie on cnotą;
Żyj tylko podług przyjętego wzoru
I szych podawaj za złoto!

Ktokolwiek sobą zostać się ośmieli,
Biada mu! wnet go spotwarzą.
Wśród szarych wróbli ptaszkowie biali
Zawsze się na śmierć narażą.

Wzór oklepany biernie małpująca,
Mierności okryj się szatą;
Bądź ani zimna, ani zbyt gorąca,
A świat pokocha cię za to!

3.

Dziesięć tysięcy chińskich ceremonij
Żelaznem wilkiem dla ciebie,
Słowa twe z myślą w siostrzanej harmonji.
I próżno potwarz się grzebie
W tych słówkach, pełnych wdzięcznej prostoty,
By splamić czystość twej sławy.
Twoja wesołość, twe miłe pustoty,
Dziecinne twoje zabawy,
Często zła wola plotkarza przedstawia
Jako wybiegi zalotne.
Cóż począć na to? gawiedź niech wysławia
Kobiety, w duszy przewrotne,
Ale ostrożne, ćwiczone w sztuce
Wykwintnej gładkiej turniury.
Ja od tych lalek zawsze powrócę
Do mego „Dziecka natury"
I wierzę mocno, że anieli w niebie,
Jak ja cię widzę, czystą widzą ciebie...

III.

WRÓŻBY.

Nad krynicą siedziała
Bóg wie o czem marząca,
Długie włosy kąpała
Smutna wierzba płacząca
W tej przejrzystej krynicy
Przed okiem krasawicy.

Cicho szemrze krynica
Po kamyczkach, co na dnie.
Duma sobie dziewica,
Jaka dola jej padnie?
Czy poślubi ją miły,
Jak jej kwiatki wróżyły?

Bo w rączętach trzymała
Snopek sinych bławatków,
Listki w wodę rzucała
Oderwane od kwiatków;
Krynica listki one
Niosła w daleką stronę.

Dotąd jakoś parzysto
Wypadały rachuby.
Spojrzała na namysło,
Czarnobrewy Hryć luby
Z ostatniego jarmarku
Przyniósł jej to w podarku.

Dalej liczyć ziarenka
Bursztynów i korali;
Tęskna, stara piosenka,
Co tak rzewnie się żali,
Z łanu złotej pszenicy
Płynie ku krasawicy.

Żniwiarka piosnkę śpiewa,
Starą piosnkę miłosną:
„Kozak i czarnobrewa
Dolę mieli żałosną.
Kochali się, kochali,
Ale się nie pobrali.

Kozak zginął na wojnie,
A z dziewczyny „czernica"...
W serduszku niespokojnie,
Łezka zbiega na lica...
Jaka siła dwoista
Pieśni, kwiatków, namysła.

Jakże będzie? Bursztyny,
Bławatki i korale,
Wróżą szczęście dziewczyny,
A piosnka ciężkie żale...
Do przejrzystej krynicy
Płyną łzy krasawicy.

IV.

PODOLANKA

(dla hr. Eufrozyny Tyszkiewiczównej).

Jest w ogródku ptaszyna
Szarenka.
Żyje w chatce babina
Siwenka.
U ptaszyny, u szarej,
Ptaszątko,
U babiny, u starej,
Dziewczątko.

Przyjdzie latko, ptaszątko
Poleci.
Przyjdzie pora, dziewczątko
Zaświeci
Młodą krasą, kosami
Bujnemi,
Będzie strzelać oczkami
Czarnemi.

Niech się strzeże ptaszyna
Ptasznika;
Niech nie wabi dziewczyna
Chłopczyka,
Bo ten ptasznik ptaszynę
Ułowi,
Bo ten chłopczyk dziewczynę
Pozdrowi,
U krynicy, u jasnej,
Zastuka
I dzieweńce, tej krasnej,
Zapuka,
Do serduszka zapuka
Młodego
I słóweczka poszuka
Słodkiego.
Ptasznik zamknie ptaszynę
Do klatki.
Weźmie chłopczyk dziewczynę
Od matki.
Taka dola ptaszyny
Z ogródka,
Krótka wola dziewczyny,
Oj! krótka!...

V.

DO S. O. (Urywek).

Patrz, co tu ptasząt w tym gaju.
Jak im tu miło, wygodnie!
Życie im płynie jak w raju,
Wesoło, raźno, pogodnie.
Lecz orłu tęskno w poziomym lasku,
Prosto ku słońcu wzlatuje
I wzrok swój topi w promiennym blasku,
Samotny w chmurach panuje.

Kijów, 1848.

VI.

W IMIENNIKU WICI ZUCCANI.

Imiennikowej literatury
Nie jestem ja zwolennikiem,
Choć lubię, człecze słabe z natury,
Czasami zgrzeszyć wierszykiem.
Po imionnikach czułe sonety
Zwyczajną dla piewców strawą,
A wykrzykniki: och! och! niestety!
Słodziuchną do niej przyprawą.
Cóż pani powie? po mnogiej próbie
Smażyć te ckliwe słodycze?
Nie chcę, nie umiem, nie będę, nie lubię,
Wprost powiem, czego jej życzę:
Albo i o tem nie powiem słowa,
Pani się sama domyśli:
Znane jej serce i pusta głowa
Tego, co wiersze te kreśli.

VII.

OBRAZEK PODOLSKI

ZALECANKI

(Pani Julji z Kwiatkowskich Sypniewskiej).

Czyż ja w polu nie kalina,
Czyż ja w polu nie zielona?
Czyż ja u matki nie dziecina,
Czarnobrewa, pieszczona?
Ustaż moje czerwone
By kaliny jagody,
Pieśniż me nieuczone,
Rzeźwe, jak mój wiek młody.

Parobcy i dziewczęta
Lubią ze mną pustować,
Każdy o mnie pamięta,
Każdy chciałby całować.

Ale mnie pani matka
Nakazuje być cicho,
Bo póki młode latka,
Czai się na mnie licho...

Czego Piotruś ten chodzi
Za naszym, za ogrodem,
Mnie się nawet nie godzi
Zerkać nań mimochodem.

Podejdzie do przełazu,
Kiedy nikogo niema,
Niby całą odrazu
Chciałby mnie zjeść oczyma.

Raz ot jakoś mnie zoczył,
Kiedym prała me chusta,
I psia wiara poskoczył,
W same cmoknął mnie usta...

Jak nie bryznę mu wodą,
Jak nie rzucę pralnikiem!
Nie żartuj z dziewką młodą,
Co nie wdaje się z nikim!

Postał, postał, jak durny,
Taj poskrobał się w głowę,
„Cur tobie" mruknął chmurny,
Pomandrował w dąbrowę.

Zmienił się od tej pory!
Raz, niedawno, w piotrówkę,
Poszła ja do obory,
Taj doję sobie krówkę,

Aż on staje u płota.
A drży, ledwie stać może:
„Oj ty diwko! oj złota!
Pomagaj tobie Boże!

Chciał ja tobie powiedzieć"...
Taj zamilkł, jak pień stoi...
Cóż to! gdyby to wiedzieć,
Co to jemu się roi?

Mnie tak czegoś ciągnęło
Wstać i podejść do płota,
Ale coś mi szepnęło:
Niech pocierpi niecnota!

Tylko, że jakoś smutno
Na sercu się zrobiło.
Taż to źle być okrutną
I mnie samej niemiło.

Nic nie mówię... wciąż cerka
Gęste mleko w dojnicę,
Petruś z podełba zerka
Niby na czarownicę.

„Hej! hej! mówi nareszcie,
Oj łukaważ ty dziewka!
Wszystkie takie jesteście,
Ty i Pryska i Jewka!...

Ale cur im!... ja ciebie
Ciebie tylko, hołubko!..."
Taj uciął. — Mnie jak w niebie,
Wybaczaj, mamo lubko.

Taki kocham Piotrusia,
Oj! łyszko mnie niebogiej!
Co to powie matusia,
Kiedy padnę jej w nogi?

Choć się sromam, a powiem,
Co w serduszku u doni;
Co mnie czeka, się dowiem,
Przyhołubię się do niej...

Czyż ja w polu nie kalina?
Czyż ja w polu nie zielona?
Czyż ja u matki nie dziecina
Czarnobrewa... pieszczona?...

Irkuck, 1872 r.

VIII.

DO PANI JADWIGI P...

Miło znaleźć oazę wśród skwarnej Sahary
I nad strumieniem z pod palmy cienistej,
Gasząc pragnienie w zdroju wody czystej,
Patrzeć na spiekłe pustyni obszary;
Lecz stokroć milej pośród obcych ludzi
Znaleźć rodaków i ojczystej cnoty
Święte zabytki... o! wtedy się budzi
Radość z odcieniem tej miłej tęsknoty,
Jaką w góralu budzą słodkie dźwięki
Starej znajomej góralskiej piosenki!

Irkuck, 1871 r.

IX.

DO BUDZISŁAWY MILTELSTAEDT HOLLAS.

O, pobratymko! Kapłanko pieśni,
Mistrzyni gędźby słowiańskiej!
Gdzie twoi polscy bracia boleśni
Krzyż kary dźwigają pańskiej.
Przyszłaś, by pieśni uroczej dźwięki
Jak balsam gojący rany
Słodziły gorycz wygnańczej męki,
Ducha kruszyły kajdany.

Tu lodowata żywych mogiła;
W niej nam ponuro i smętno.
Pieśń twoja cudna gdy zadzwoniła,
Życia uczuliśmy tętno...
Bóg cię nam zesłał w to państwo zimy,
Skowronku nasz od Wełtawy!
My tu do wiosny ciągle tęsknimy,
Do wiosny szlemy wzrok łzawy.

Wiosnę nam niosą te lube pieśni,
W serca nam leją nadzieję,
Że, co umarło, na nowo wskrześnie,
Że „krzywda, co się nam dzieje“,
To czyśćca tylko probiercza męka,
Zimy zamarłość czasowa...
Oto, co twoja sprawiła ręka,
Uroczych tonów królowa!

Ty nas opuścisz — i cisza głucha
Znów zapanuje w tym grobie,
Ale w głębinie polskiego ducha
Zostanie pamięć o tobie.
I z utęsknieniem brat twój zamarzy
Jako o wiośnie minionej
Nad wizerunkiem siostrzanej twarzy
O twojej pieśni natchnionej!

2.

DO TEJŻE (na odwrocie fotografji).

Podolanina
Pieśń jak ptaszyna
Za Budzisławy
Pieśnią siostrzaną
Poleci w dal!
Za lasy, rzeki,
Gdzie raj daleki
Gdzie naród sławy,
A tu zostaną
Pamięć i żal!

3.

DO IGNACEGO T...

Tak prostą piosenką, mój drogi Ignacy,
Ważyłem się wyrazić naszej pobratymie,
Że ciepło serc podoła i sybirskiej zimie,
Że sybirskie „warnaki" zawsześmy Polacy.

X.

NAŚLADOWANIE ADAMA.

Pewna osóbka gdy zacznie swawolić,
Strzyże mi włosy, kole szpilką rękę,
Rad nie rad muszę na wszystko pozwolić
I nie wiem, czemu lubię ową mękę.
Tak brat poważny cieszy się, zachwyca,
Gdy figle płata mu siostra wietrznica.
Czasem się zdarza — ta sama osoba
Dąsa się na mnie, na prawdę, nie żartem.
Nikczemna słabość — i to się podoba
I to mem sercem porusza wytartem....
Tyranko moja! nie rozgniewasz brata,
Dręcz go do końca i po końcu świata.

XI.

DO AUGUSTY M... (napis na fotografji).

Rusa kosa, modre oczy.
Ach! mój miły Boże!
Patrząc na ich wdzięk uroczy,
Oszaleć człek może.

Nie chcę patrzeć. Żarty, panie,
Spróbuj, czy się uda?
Czyste Boże to skaranie,
Czarodziejskie cuda!

Hej! Rusałko ty złośliwa!
Zemścić się potrafię.
Patrz nieszczęsna, pokiś żywa,
Na mą fotografję.

1871 r.

XII.

IN ILLO TEMPORE....

Mówiła mi, rozkosznie leżąc na otomanie
I wachlarzem igrając, choć wcale nie było gorąco:
„Czy wierzysz ty kobiecej, cichej łzie, Juljanie?“
I zwilżyła oczęta łzą dużą, jak brylant świecącą.

Zapytała i czekała,
Jaką ja odpowiedź dam;
A mnie śmiać się chętka brała,
Powiedziałem: „Non, Madame“.

„Ja ciebie znam, pojmuję ciebie, odczarowany!
Tyś kobiety nie spotkał, co „kochać“, nie „kochać się“, umie,
Franczeski mąk nie odda ona za nieskalany
„Dziewictwa raj... znalazłeś ty taką w świetnym gdzie tłumie?“

I spojrzała tak ponętnie,
Myśląc pewno: mam cię, mam!
Lecz jam odrzekł obojętnie
Z zimnym śmiechem: „Mais Madame?“

„O! biada mi!“ I chustką oczy zakryła wdzięcznie,
Krucze włosy na czoło spłynęły od łkania ruchome.
Śmiech zamarł mój i jakoś było mi tak niezręcznie,
I w leżącą utkwiłem spojrzenie namiętne, łakome...

Lecz po chwili ochłonąłem.
Cóż to? w sidła wpadnę sam?
Drobną rączkę uścisnąłem
Na waletę: „O! Madame!“

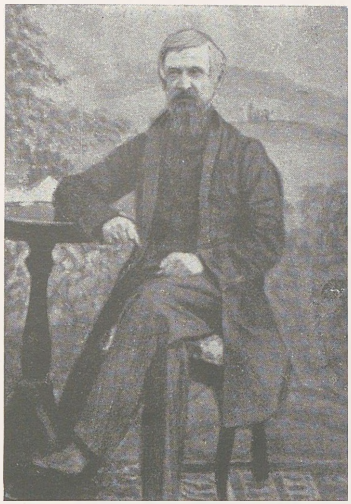


Fig. 69. Tomasz Ilnicki.



Fig. 70. Karol Stankiewicz
i Michał Dobrowolski.



Fig. 71. Karol Nowakowski.



Fig. 72. Dr Ignacy Trzaskowski.

XIII.

Gdy mistrze nadto mądrzy, ucznie pewno głupi.
Oto przedemną księga filozofji leży.
Czuję wyziew stęchlizny, czuję zapach trupi.
Nieboszczykom mularzom babilońskiej wieży
Splątały się języki od zbytniej mądrości...
Dziś zuchwałe umysły bezbrodej młodzieży
Zgmatwały się od dzikich „fii" zawiłości;
Boję się ciebie, księgo! Prostak podstarzały,
Philosophiae ignorus, przyznaję się szczerze,
Chociaż pan X... rzęsiste sypie ci pochwały,
W nieomylność acani dalipan nie wierzę.
Zgadzam się, że misternie, szumnie i zawiło
De varüs rebus jak z partesu prawisz,
„Ja, nie-ja" swe pytlujesz zawzięcie, aż miło,
Ale mnie nie przekonasz ani też zabawisz.
Pana X... widok dla mnie zbawienną przestrogą.
Widzę, jakie psie figle w ludzkiej mózgownicy
Mądre twe argumenty czasem płatać mogą...
Nie spalę cię, jak warto, na płomieniu świecy,
Bom ja człowiek praktyczny, a kart miękkich zwitek
Zda się, usui noto, na znany użytek.

XIV.

Nihilistko opętana,
Co ty bredzisz u szatana,
W imię Buckl'a i Darwina
Błazeństw uczysz swego syna.
Misja twoja piękna, wzniosła,
Wypiastować światu osła,
Co bez serca i bez wiary,
Bez zapału do ofiary,
Wiek przeżyje obojętnie,
Rozumkując umiejętnie,
Dumny nibą tą wszechwiedzą,
Umrze wreszcie — i powiedzą
„Pokój osłu! biedny fryc
Uczeń matki
Warjatki,
Et, z niczego nic".
Nihilistko utrapiona!
Toć żeś córka, matka, żona,
Toć żeś pani twej czeladki,
Wszyscy biedni — twoje dziatki.

Ty narzekasz na niedolę,
Na brak prawa, na niewolę,
Ty, znudzona berłem pani,
Mówisz sługom: wy, tyrani!
Chcesz katedry profesorskiej,
Chcesz trybuny oratorskiej...
A któż będzie niańczył dziatki?
Zwiedzać chłopów niskie chatki
I podziemia i poddasza,
Gdzie się nędza wciąż doprasza
Światła, chleba i miłości?
Wierzaj, w państwie wszechludzkości
Dana tobie praca święta:
Kruszyć błędu, nędzy, pęta,
Szczepić w sercach ideały,
Świat poezji wlewać cały
W mętny życia tego zdrój.
Czy to cały zawód twój?
Do mogiły od dzieciństwa
Cicha, święta, a potężna,

Płci słabością twej orężna.
Na kapłankę macierzyństwa
Tyś od Boga przeznaczona,
Łaskąś jego namaszczona...
Nie masz dzieci? a ubóstwo,
A sierotek nędznych mnóstwo,
A dzieciństwo zgrzybiałości?
Małeż pole działalności?
W Duchu Pańskim, wiesz? rodzina
Nie jedynie z córki, z syna;
Szersze, szersze ma rozmiary,
Wielkie, jak dziedzina Wiary
I Nadziei i Miłości.
A w rodzinie rdzeń Ludzkości,
Społeczeństwa i Ojczyzny.
Wierzaj, ciężkie, zgniłe blizny,
Szał twój światu dziś gotuje,
Aż go nawskróś w pleśń przepsuje,
Jeśli strasznej próby droga
Nie nawróci go do Boga...
Otóż macie, śmiech i łzy,
Nihilistki mętne brednie,
Komunały dziś powszednie,
W lichy rym podały mi.
Lecz Bóg łaskaw, świat nie fryc.
Na czczej grzędzie
Nic nie będzie,
Bo z niczego — nic.

XV.

PRZYCZYNEK DO TEORJI POEZJI.

1.

WIÓREK

Pieśń jest piękności, dobra, prawdy ukochaniem,
Gdy więc zbezbożniejecie, śpiewać zaprzestaniem.

2.

PYŁEK

Póki ludzie się modlą i cierpią boleśni,
Póty będą pieśniarze, póty będą pieśni.
Znikną, gdy nic nie będzie, tylko giełdy, miary,
Wagi... i... z ludzkiej wiedzy — artykuły wiary!

III. PRZYKŁADY Z JĘZYKÓW OBCYCH.

Z ROSYJSKIEGO

I.

(z Lermontowa).

Złota chmurka przemarzyła noc
Na głazu omszałego łonie.
Słońce błysło, wichru porwała ją moc
I pobiegła igrać na niebieskie błonie.

Z głębokich szczeleń samotnego głazu
Ślady po chmurce nie znikły odrazu.
Głos dziko i ponuro patrzy na pustynie
I zwolna — z jego piersi łza tęsknoty płynie...

II.

CHMURKI

(z Lermontowa).

Stepem błękitu, jak łańcuch perłowy,
Chmurki niebieskie wiecznie wędrują
Z cichej północy w kraj południowy,
Jak ja wygnanki, lot swój kierują.
Cóż je tak pędzi? losu zrządzenie?
Nienawiść jawna, czy zawiść skryta?
Czy na nich wielkie ciąży wykroczenie?
Czy też przyjaciół potwarz jadowita?
Nie! z ponad równin północy niepłodnych
Lecą, nie dbając, czy znajdą kraj żyzny.
Dla nich nieczułych i wiecznie swobodnych
Niema wygnania, bo niema ojczyzny!

Kijów, 1850 r.

III.

NUDNO I TĘSKNO!

(z Lermontowa).

Nudno i tęskno! niema komu podać dłoni
W pustyni zimnego świata.
Żądze!... cóż warte, ginąć w ich zdradliwej toni?
A lata płyną, najpiękniejsze lata!
Kochać!... lecz kogo? nie chcę dorywczej miłości,
A wiecznie kochać nie można.
W siebie zaglądniesz? Ni śladu przeszłości,
Przeszłość mąk wielkich i radości próżna.
Cóż namiętności? z ich słodkiej niewoli
Rychło cię rozum wykupi.
I życie, gdy ze złudzeń dusza się wyzwoli,
Żart tylko, błahy i głupi...

Kijów, 1848 r.

IV.

MODLITWA

(z Lermontowa).

Gdy przyjdzie chwila trudna
I zbudzi w sercu żal,
Jedna modlitwa cudna
W niebieską leci dal.

A śpiewność słów jej świętych
Zbawienną siłą tchnie
I zdrojem niepojętych
Uroków poi mnie.

I pierzcha ból rozpaczy
I widna smętnych dni
I modlę się i płaczę
I lekko, lekko mi!

V.

NAPIS NA NAGROBKU.

W świeżej bzów zieleni
Świegocą ptaszyny
I słonko rumieni
Mogiłkę dzieciny.

Śpisz, leniuszku mały,
Czy się pieścisz sobie?
Spójrz na świat wspaniały
W wiosennej ozdobie.

Nie spojrzysz, nieboże!
Głuche ścianki święte;
I na słonko Boże
Okienko zamknięte.

Śpij, dziecino! wolę
Cichy sen mogiły,
Niż ludzką niedolę,
Życia dar niemiły.

Smutneż bo to życie,
Pragnąć go nie trzeba;
Szczęśliweś ty dziecię
Zabrane do nieba!

Sen twój — sen to słodki;
Krzyż i kamień biały
Słoneczne błyskotki
Złotem osypały.

Jako dar niebieski
W dołku głazu twego
Brylantowe łezki
Deszczu wiosennego.

Piją je ptaszyny,
Bryzgają kroplami,
Czuły słuch dzieciny
Pieszczą piosenkami.

Z ANGIELSKIEGO

VI.

IRLANDZKA MELODJA

(Thomas Moor).

Pokój wam, bracia waleczni,
Polegli śmiercią junaczą.
Całun wasz krwawa zbroica!
Chmury przelotne tam płaczą
I skrzepłe myją wam lica...
Pokój wam, bracia waleczni,
W uśmiechu śmierci bezpieczni.
Z wiosną dąb, gromem rażony,

Świeżym się liściem okryje,
Was, bracia, z rodzinnej strony
Oko nie ujrzy niczyje...
Pokój wam, bracia waleczni!
Pieśń waszą pamięć uwieczni.
Chwała wam, chwała za męstwo!
Klątwa tym, czyje zwycięstwo!

Nam zemstę nieprzebłaganą
Na wiekiście przekazali;
I nowe boje powstaną
Tam, gdzieście krew przelewali...
Wasze odżyje w nas męstwo
Klątwa tym, czyje zwycięstwo.

Z NIEMIECKIEGO

VII.

DUMKA NOCNA

(z Goethego).

Strome gór wyżyny
W nocnej ciszy śpią.
Zaciszne doliny
Otulone mgłą.

Nad szemrzącą strugą
Senna olcha drży.
Czekaj — niezadługo
Odpoczniesz i ty.

VIII.

DUMKA NOCNA

(z Goethego).

Na szczytach gór, na dolin dnie,
Noc rozpostarła cień.
I tylko szmer dochodzi mnie
Przyrody sennych tchnień...

I w ciszy tej tak błogo śnię,
Bo nocny spokój ten
Nadzieją tchnie, że rychło mnie
Utuli słodki sen...

1853 r.

IX.

ZŁUDZENIE

(z Goethego).

U sąsiadki, naprzeciwko
W oknie, chwieje się firanka.
A! filutko, czarnobrewko!
Tak to? szpiegi na kochanka?

Ej! ciekawaś moja pani,
Czym ja w domu i co robię:
Czy wierszyki składam dla niej,
Czy też o niej dumam sobie?

To nie ona!... to złudzenie!
Słucham, patrzę, słucham jeszcze:
To wieczorne wiatru tchnienie
Tak firanką jej szeleszcze.

1859 r.

X.

(z Goethego).

Kto nigdy chleba nie spożył ze łzami
Na twardem łożu, pełnej troski nocy
Nigdy nie czuwał z czarnemi dumami,
Ten nie zna was, o wy, niebieskie mocy!...

XI.

ŻALE DZIEWCZYNY

(Schillera).

Dąbrowa szumi, obłoki mkną,
Dziewczyna patrzy w przepaści dno.
Tam tłuką się fale z szumem o brzeg,
Dziewczyna żalom daje wolny bieg.
I łzami źrenice zalała:

„Zamarło serce, zamarł mi świat,
Wesela przeszłych nie widzę lat.
O Święta, zabierz ty dziecko twe,
Ziemskiego szczęścia nie pragnę, nie!
Jam żyła już dość, bom kochała".

Daremnie dziecino lejesz ty łzy,
Skargami zmarłych nie zbudzisz ty.
Lecz powiedz, czem żale ukoją się twe?
Po stracie miłego pocieszyć cię chcę,
Zagoić się sercu pozwolę.

„Niech płyną łzy moje, niech w sercu ból wre,
Mój luby w mogile, nie zbudzi się — nie!
Dla duszy zbolałej pociechą są łzy;
O Święta! osłody nie zeszlesz mi ty
Nad skargi miłości i bole".

XII.

DLA FELIKSA ZIENKOWICZA

(z Heinego).

Zasłona spada i gwarną rzeszą
Panie i pany do domu śpieszą.
Czy też doznała sztuka ich łaski?
Zdawało mi się, że brzmią oklaski...
Czci najgodniejsza publiczności!

Przyjęłaś wdzięcznie twego wieszcza.
Lecz zgasły światła, gwar ustał radości,
I w pustym gmachu cisza złowieszcza.
Wtem ostry zgrzyt! i zwolna echo kona
W przepaściach sceny oniemiałej.
U starych skrzypiec pewno pękła strona,
Kulisy echem odebrzmiały.
Parter zalega ciemność ponura,
Słychać lękliwe śmiganie szczura,
Olejem swędzi, coś jęknie, klaśnie,
Ostatniej lampy płomyk się rusza,
Skwierczy boleśnie, pełza i gaśnie
Biedne światełko — to... moja dusza!

XIII.

KRÓL DAWID

(z Heinego).

Rzecz tu idzie
O Dawidzie.
Wszystkich króli
To rozczuli.

Mądry Dawid, król, już kona
I do księcia Salomona:
A propos, mój synu, rzecze:
Weź Joaba w swoją pieczę;

Tyran śmierci się nie boi.
Wie on, że po jego zgonie
Batog tylko zmieni dłonie,
A niewola się ostoi.

Zasłużony ten jenerał
Wolę naszą sponiewierał,
A nie miałem jakoś czasu
Sprzątnąć śmiałka bez hałasu.

Biedny ludu! szkapo chuda,
Wciąż do taczki zaprzężona,
Zdechniesz pracą zniemożona,
Nim się jarzmo złamać uda.

Tyś mój synu bogobojny,
Silny, pokornego ducha,
Przytem sprytny, sprzątnij zucha,
Niech pożegnam cię spokojny.

XIV.

(z Heinego).

Szczęście — pusta zalotnica!
Skoczka, śmieszka, dziś całuje,
Skubie włosy, głaszcze lica,
Jutro precz gdzieś ulatuje.

Oj! nie taka pani Bieda!
Spróbuj, wyproś tę kumoszkę;
Przy twem łóżku sobie siada
I wciąż dłubie swą pończoszkę...

XV.

ZAKONNICA

(Dla pani Marji Lasockiej.

W dąbrowie szaleje straszna wichru moc
I skrzypią wiązania i chwieje się dom
I błyska i głuchy rozlega się grom.
I jak łono grobu taka czarna noc!
Wrzej burzo wrzej! — szum wietrze, szum!
Tak niegdyś pałała dziewica,
I wrzało jej życie, jak burza, jak grom.
I drgało jej serce, jak teraz drga dom,
I miłość gorzała jak ta błyskawica.
Jak wicher szumiały skrzydła jej dum
I w sercu jak w grobie czarna była noc
I ziemi potężnie pętała ją moc...
Wrzej burzo wrzej, szum wietrze, szum!
W mem sercu spokojność niebiańska dziś gości,
Już idzie tu do mnie mój oblubieniec.
Ognisty męczeństwa oczyścił mię wieniec
Jam już poślubiona nieziemskiej miłości.
O przyjdź, Zbawicielu! niebieski kochanku!
O, wyzwól mię z więzów tej ziemi
I daj się oglądać z anioły czystymi...
O, weź mnie do nieba w czystości mej wianku.
Ha! jakiś uroczy w powietrzu dźwięk buja!
To dzwonek klasztorny odezwał się z wieży
I budzi już siostry do świętych pacierzy.
O, jakże mnie słodko wzywa ten dzwon!
Do nieba, do nieba, wzywa mnie On!...
Alleluja, Alleluja!

XVI.

WĘDROWIEC

(ze Schmidta z Lubeki).

Cichy i smętny schodzę z gór.
W dolinie mgła, tam morza szum.
Opuszczam cię, kraino chmur,
I wzdycham, pełny czarnych dum...
Tak zimny tutaj słońca wdzięk,
Zmartwiałe życie, zwiędły kwiat,
I słowo ludzkie marny dźwięk,
I wszędy obcy dla mnie świat...
Gdzie on, ach gdzie on! ten luby kraj,
Wiecznie żądany, nigdy nieznany,
Nadziei mej zielony raj,
Czarowną wonią róż owiany?
Gdzie kraj, o którym serce śni,
Gdzie bracią ujrzę ukochaną,

Gdzie moi zmarli z grobu wstaną,
Gdzie mowa ojców słodko brzmi?
Ach! gdzie ten kraj?
Wędruję zwolna — smutno mi!
Z westchnieniem pytam, gdzie on, [gdzie?
A jakiś duch w odpowiedź tchnie:
„Gdzie niema cię, tam szczęście twe".

XVII.

MAŁGOSIA U KOŁOWROTKA

Niema pokoju i serce boli,
Nie widzę końca mojej niedoli.
Gdy go tu niema, pusto jak w grobie
I świat mi cały w grubej żałobie.
Biedna ma głowa od żalu pęka
I duszę rozpacz okrutna nęka.
Nie mam pokoju i serce boli,
Nie widzę końca mojej niedoli.
Do niego tylko z okna wyglądam,
Tylko miłego widzieć ja żądam...
Chód jego dumny, postać rycerza,
wzrok, co siłą dziwną uderza,
Ściśnienie ręki i głosu dźwięki,
I pocałunek, ach! pocałunek...
Nie mam pokoju i serce boli,
Nie widzę końca mojej niedoli...
Serce pała — rwie się doń,
Dłoni jego szuka dłoń...
O mój luby, drogi mój!
Jakbym ja cię całowała...
W pocałunku bym konała...
Luby mój! Henryku mój!...
Nie mam pokoju i serce boli,
Nie widzę końca mojej niedoli!

Z WŁOSKIEGO

XVIII.

FRANCESCA.

(Div Com. „L'inferno" C V 121—142).

I rzekła do mnie: „Dotkliwszej boleści
Niemasz, jak szczęścia wspomnienie w niedoli,
Słów moich prawdę twój mistrz ci obwieści.
Lecz jeśli słuchać raczysz z dobrej woli
Smutnej kochania naszego powieści,
Powiem ją płacząc, bo ta mowa boli...
O Lancelocie raześmy czytali,
Jak zwyciężony był miłości siłą.
Byliśmy sami, od ludzi w oddali...
Przy tem czytaniu nieraz się zdarzyło,
Żeśmy na siebie oczy obracali,
Płonąc rumieńcem. Jedno nas zgubiło!
Czytając, jako usta ukochane
Rycerz całuje w miłośnym zapale,
Dzielący ze mną losy opłakane
Do ust mych przylgnął — i drżał w lubym szale.
Na zgubę naszą te karty pisane!
Jużeśmy dalej nie czytali wcale".

Gdy to powiadał on duch umartwiony,
Drugi tak płakał, iż mi się zdawało.
Żem już śmiertelnym chłodem przenikniony,
I padłem,... jako martwe pada ciało...

XIX.

Z PETRARKI.

(Sonet 70).

Cezar, gdy głowę Pompejusza krwawą
Zdrajca egipski rzucił mu pod nogi,
Wielbiąc radośnie łaskawe nań bogi,
Dar ów powitać miał źrenicą łzawą.
Widząc los wielki dla siebie złowrogi,
Łkającej rzeszy, miotanej obawą,
Otoczon zewsząd rozpaczliwą wrzawą,
Śmiał się Hannibal, by stłumić ból srogi,
I bywa często, że duszy tajniki
Kłamliwą szatą udania osłonią
Smutku całuny, wesela promyki.
Choć serce płacze, oczy łez nie ronią:
Usta wydają radośne okrzyki,
Pieśni rozpaczy głośnym śmiechem dzwonią!...

ANEKS DO ROZDZIAŁU VII.

SPIS POLAKÓW I POLEK SKAZANYCH DO CIĘŻKICH ROBÓT ZA UDZIAŁ W POWSTANIU NARODOWEM 1863/4 ROKU, A PRZYSŁANYCH Z GRANIC DAWNEJ POLSKI DLA WYMIARU KAR NA SYBERJĘ DO IRKUCKIEJ WARZELNI SOLI, ZWANEJ PRZEZ SKRÓCENIE USOLEM.

Spis ten dzieli się na następujące kategorje:

I. KAPŁANI WYZNANIA RZYMSKO-KATOLICKIEGO.

II. NIEWIASTY SKAZANE DO CIĘŻKICH ROBÓT Z WARSZAWY.

III. SKAZANI, KTÓRYM TOWARZYSZYŁY LUB DO KTÓRYCH PRZYBYŁY RODZINY.
A) Z Polski Kongresowej. B) Z Litwy i Białej-Rusi. C) Z Rusi. D) Z miejscowości dokładnie nieokreślonej. E) Ożenieni na wygnaniu z inowierkami.

IV. SKAZANI, KTÓRYM NIE TOWARZYSZYŁY RODZINY I BEZŻENNI
A) Z Królestwa Polskiego. B) Z Litwy i Białej-Rusi. C) Z Rusi. D) Z Galicji i Poznańskiego. E) Cudzoziemcy.

V. SKAZANI, O KTÓRYCH MIEJSCU POCHODZENIA NIE UDAŁO SIĘ ZEBRAĆ DOKŁADNYCH WSKAZÓWEK. (Bez rodzin).

VI. OSOBY NIEZALICZONE DO POWYŻSZYCH KATEGORYJ.

I. KAPŁANI WYZNANIA RZYMSKO-KATOLICKIEGO.

Kilku tylko duchownych tego wyznania bawiło i to czas bardzo krótki w Usolu, a mianowicie księża: 1) Delert, 2) Kaczorowski, 3) Rogoziński z Korony, 4) Manelski, 5) Syrwid, 6) Stulgiński z Litwy. Z tych pięciu przeniesiono do Akatui, przeznaczonej wyłącznie dla kapłanów, skazanych do ciężkich robót. Wszyscy oni pozostawili wśród nas jak najlepsze wspomnienie, szczególniej zaś ksiądz Syrwid i Stulgiński. Ten ostatni pozostał niespodzianie w naszem gronie, na skutek kancelaryjnej omyłki w określeniu jego stanu w tak zwanych „spiskach statiejnych" to jest rejestrach więźniów. Nazwano go tam szlachcicem pochodzenia duchownego. Ten absurd wybawił ks. Ferdynanda Stulgińskiego od Akatni. Czcigodny dziekan mieszkał w Usolu wraz z rodzinami Antonich Jeleńskich i Aleksandrów Oskierków w domu własnym Jeleńskiego. Odznaczał się niezwykłą siłą i zamiłowaniem do polowania, ogrodnictwa, co mu wszakże nie przeszkadzało w gorliwem spełnianiu obowiązków kapłańskich. W miarę też możności odprawiał w niedzielę i święta nabożeństwa w domach wygnańców familijnych, co pozostawało w najściślejszej tajemnicy. Dla lepszego zaś ukrycia swego stanu duchownego nosił czarne wąsy. Czas wolny od zajęć spędzał zwykle w lesie lub ogrodzie. Naoczni świadkowie opowiadali, iż nie zwykł był nigdy wykopywać drzewek do przesadzania, ale z niezwykłą łatwością wyrywał je z korzeniami po dwa naraz, dla równowagi, jak mawiał. Złodziej, który się zakradł do domu Jeleńskiego, słynącego w Usolu z zamożności, rachując na zdobycz, dostrzeżony przez ks. Ferdynanda i na klucz jak w więzieniu zamknięty i oćwiczony, błagać musiał o przebaczenie i wolność, która mu udzieloną została wraz z przestrogą, by nadal on i jego koledzy starannie omijali polskie siedziby. Przestroga ta na czas długi pożądane przyniosła owoce. Po opuszczeniu Syberji mieszkał ksiądz Stulgiński w Smoleńsku, a następnie w Mitawie, skąd wrócił do stron rodzinnych.

II. NIEWIASTY POLSKIE.

1) Helena z Majewskich Kirkorowa, artystka dramatyczna teatru wileńskiego, żona literata Adama Kirkora, przedmiot miłości i uwielbienia Ludwika Kondratowicza, po wejściu do organizacji w 1863 r. oddała się z zupełnem zaparciem sprawie narodowej. W Warszawie, w domu, gdzie zamieszkała, przebywał przez kilka miesięcy jako sublokator, Romuald Traugutt, naczelnik Rządu Narodowego. Gdy go aresztowano, jednocześnie prawie przewieziono do więzienia i Helenę Kirkorowę, ale napróżno starano się z niej wydobyć zeznania.

Wyszła, o ile mówiono powszechnie, obronną ręką z tej ciężkiej próby. Gdy mąż jej uzyskał rozwód, o który się starał, poślubiła w Irkucku zacnego współwygnańca, białorusina, Antoniego Piórę. Raz tylko próbowała wystąpić publicznie jako artystka w teatrze irkuckim, ale się ten występ nie powiódł i zmusił ją do wycofania się ze sceny.

2) Gudzińska, właścicielka zakładu gastronomicznego w Warszawie, skazana za udzielenie schronienia prześladowanemu i poszukiwanemu przez policję agentowi Rządu Narodowego, przybyła do Usola jedna z pierwszych. Używano jej do posług najcięższych, jak szorowanie podłóg, pranie worków od soli nad rzeką na mrozie i wietrze itd. Przeziębiwszy się, dostała zapalenia płuc, w następstwie którego rozwinęły się suchoty, zakończone śmiercią. Żony nasze dyżurowały przy niej w czasie choroby, a pogrzeb jej był pierwszym po naszem osiedleniu się w Usolu.

3) i 4) Guzowskie Barbara i Emilja, dwie siostry rodzone, skazane za czynny udział w pracach wydziału poczty Rządu Narodowego za dyktatury Traugutta, zachowywały się w komisji śledczej bez zarzutu.

5) Jasińska Rozalja z Korony; sprawa jej bliżej mi znaną nie była, jako też i sama osoba.

III. SKAZANI, KTÓRYM TOWARZYSZYŁY LUB DO KTÓRYCH PRZYBYŁY RODZINY, JAKO TEŻ CI, KTÓRZY ZAWARLI ZWIĄZKI MAŁŻEŃSKIE W USOLU Z RODACZKAMI.

Wygnańców tej kategorji było pięćdziesięciu jeden, a mianowicie: z Polski Kongresowej sześciu, z Litwy i Białorusi siedmnastu, zaś z Wołynia, Podola i Ukrainy, dwudziestu czterech, wreszcie nieokreślonych dokładnie co do miejsca pochodzenia czterech.

A) Z Polski Kongresowej:

1) Burzyński Tomasz. Ukończył szkołę sztuk pięknych w Warszawie, a następnie wydział prawny w uniwersytecie kijowskim. Do Usola przybył z żoną z domu Kaczkowską, założył tu sklep spożywczy, który prowadził wspólnie z bratem Adolfem. Po uwolnieniu z ciężkich robót przeniósł się do Irkucka, gdzie otworzył handel z artykułami warszawskiemi. Burzyńscy mieli córkę jedynaczkę, urodzoną w Usolu, której wychowaniem sami się zajmowali. Przeszedłszy zwykłe koleje stopniowego zbliżania się do kraju, dostał się wreszcie Burzyński do Warszawy, gdzie uzyskał godność i prawa obrońcy mecenasa. Stracił żonę i czas jakiś pracował w administracji dóbr hr. Feliksa Sobańskiego na Podolu. Wkońcu osiadł w Warszawie wraz z córką, która, wyszedłszy nieszczęśliwie za mąż jeszcze na wygnaniu, zmuszona była rozstać się z mężem i przy ojcu z dzieckiem zamieszkała. Tomasz Burzyński wydał swe wspomnienia w IV. tomie „Materjałów do dziejów 1863 i 64 r." podpisane literami T. B. Zmarł w Warszawie po krótkiej chorobie w 1904 r.

2) Majewski Adam, syn Jana, urodzony w 1838 r., ukończył gimnazjum warszawskie w 1857 r., zaś uniwersytet petersburski ze stopniem

kandydata praw w 1861 r., poczem wstąpił do sądownictwa w Warszawie. W 1864 roku aresztowany, po dziesięciu miesiącach więzienia skazany został na śmierć przez powieszenie za udział w organizacji województwa lubelskiego, gdzie był pomocnikiem wojewody. Wyrok ten w konfirmacji zmieniony został na dziesięcioletnie ciężkie roboty. Dnia 1 czerwca 1865 r. wyruszył Majewski na Syberję wraz z dobrowolnie mu towarzyszącą żoną, Elżbietą z Pawłowskich. Podróż odbyli w ciągu pięciu miesięcy i tegoż roku w listopadzie stanęli w Usolu. Majewski nabył w miasteczku domek z ogrodem, gdzie uprawiał warzywa, miał dwie krowy i z tego się utrzymywał. Od rządu zaś dostawał, jak wszyscy, jednego rubla miesięcznie i dwa pudy żytniej razowej mąki. W roku 1867 stracili pierworodną córeczkę, pochowaną na miejscowym cmentarzu w części polskiej. Wkrótce przybył im w Usolu syn Adam, którego do chrztu trzymała moja żona. Korzystając z manifestów, przenieśli się Majewscy w lutym 1869 r. do Krasnojarska, gdzie założyli sklep towarów warszawskich. W marcu 1870 r. otrzymuje Majewski posadę w kopalniach złota Bazylewskiego i udaje się z rodziną do północnej części gub. jenisiejskiej do kopalni „Innocentego". Tam pracuje trzy lata, odpowiednio wynagradzany, w dobrem towarzystwie rodaków. Na mocy manifestu przenoszą się znowu w końcu 1873 roku do Tomska, a w następnym roku, odzyskawszy prawa stanu, do Rosji europejskiej, gdzie w miastach Spasku i Usmaniu tambowskiej gubernji mieszkają lat parę pod dozorem policji. Pod koniec 1876 roku powracają nareszcie do kraju z czworgiem dzieci, z których Adam urodził się w Usolu, Zofja w Krasnojarsku, Zygmunt w kopalni jenisiejskiej, Władysław w Tomsku. Osiedlają się nastałe w Lublinie, gdzie Majewski jest adwokatem przysięgłym i jednym z dyrektorów Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, a wkrótce nabywa dom na własność. Z dzieci, na Syberji urodzonych, najstarszy syn Adam jest lekarzem w Lublinie praktykującym, Zygmunt mierniczym, Władysław ukończył wydział prawny, Zofja ma sklep własny w Lublinie; z tych zaś, co w kraju przybyli, córka jest wspólniczką szkoły froeblowskiej w Lublinie i syn w szkołach lubelskich.

3) Rogiński Roman, warszawianin, po ukończeniu gimnazjum realnego w tem mieście kształcił się w szkole wojskowej w Cuneo w 1862 r. W chwili wybnchu powstania mianowany dowódcą oddziału, rozpoczął walkę w okolicach Białej Podlaskiej, a po porażce zbiorowych sił powstańczych pod Siemiatyczami wtargnął ze swym oddziałem na Litwę i oparł się w Pińszczyźnie, gdzie uległ przed siłą przemagającą jenerała Nostitza. Zjednawszy sobie zwycięzcę, staraniom tegoż zawdzięcza zamianę kary śmierci na ciężkie roboty, które odbywał w Usolu, gdzie go nazywano jenerałem, a w kółku kolegów jednego z nim wieku jednym z czterech muszkieterów. Wkrótce po przybyciu do Usola ożenił się Rogiński z piękną panną Neyman, pasierbicą jednego z współwygnańców, Adolfa Lippomana, a córką żony jego 1-go voto Neymanowej. Po ślubie zajęli się Rogińscy hodowlą chlewni i urządzaniem wędlin, uprawiając w dalszym ciągu tę specjalność i po przeniesieniu się do Irkucka jako posielency. Gdy zaś Rogiński otrzymał posadę zarządzającego składami wódki nad Leną, pracował tam lat kilka i przeszedłszy nieunikniony dla wszystkich chwilowy pobyt w Rosji europejskiej, powrócił do kraju w 1900 r., gdzie

w pierwszych chwilach miał zajęcie administracyjne w dobrach Mołodeckiego na Wołyniu, następnie w gub. połtawskiej, później u hr. Adama Komorowskiego-Suffczyńskiego, ożenionego z córką hr. Romana Bnińskiego, w dobrach Hostynne w Hrubieszowskiem, następnie znowu w Małorosji, wkońcu w biurach zarządu dóbr Branickich w Białejcerkwi. W tychże dobrach syn Rogińskiego ma posadę leśniczego. Pani Rogińska z młodszą a liczną dziatwą nie zawsze mogła towarzyszyć mężowi w tych zmianach miejsc, pracy i zamieszkania i znaczną część tego okresu spędziła w Winnicy.

4) Rolke Leon, urzędnik z Warszawy, przybył do Usola z żoną Otylją, którą w więzieniu poślubił. Był to mężczyzna młody i pięknej powierzchowności, pracował w kasie rządowej warzelni soli usolskiej jako pomocnik kasjera. Po przeniesieniu się do Rosji uzyskał prawo zamieszkania w Tyflisie, gdzie otrzymał posadę w miejscowej kontroli państwa.

5) Smoleński Maciej, ziemianin z powiatu mławskiego gub. płockiej. Towarzyszyła mu żona Zofja i wychowanka Urszulka. Oboje Smoleńscy, ludzie już niemłodzi, byli przysłowiowej, staropolskiej gościnności. Skupiali u siebie wygnańców przeważnie z Korony, nie bez znacznej przymieszki wszakże i z innych prowincyj dawnej Polski. Po przeniesieniu ich do Irkucka wyrabiał pan Maciej krupy perłowe i inne, które uzyskały nagrodę na wystawie irkuckiej. Odbywszy czyściec w Rosji europejskiej, powrócili do kraju, gdzie wydali zamąż wychowankę. Wkrótce oboje pomarli, a Urszulka niedługo przeżyła opiekunów.

6) Ząbkiewicz Władysław w kraju był szynkarzem, w Usolu zajmował się stołowaniem i utrzymywał jatkę. Miał ze sobą żonę i dzieci, którzy mu w pracy dopomagali. Małżeństwo to nie należało do najzgodniejszych.

B) Wygnańcy z Litwy i Białej Rusi, którym towarzyszyły rodziny.

1) Bartoszewicz Teodor, urzędnik z Białej Rusi, z żoną i synem, którego wykształceniem zajmował się kolega wygnaniec, student uniwersytetu kijowskiego, Bolesław Rudnicki. Po uwolnieniu z ciężkich robót otrzymał Bartoszewicz posadę w kopalni i hucie żelaznej mikołajewskiej, położonej w gub. irkuckiej, gdzie długie lata pracował. Syna po ukończeniu gimnazjum w Irkucku wysłał do uniwersytetu kijowskiego na wydział lekarski, który tenże ukończył, poczem powrócił na Syberję jako lekarz powiatu iszymskiego gub. tobolskiej. Tu ożenił się z koleżanką kursów kijowskich, akuszerką Rosjanką, i zaprosił do domu swego rodziców. Owdowiawszy niedługo, przeniósł się wraz z niemi do Rosji, gdzie go wkrótce oboje odumarli. Dalsze losy doktora Bartoszewicza nie są mi znane.

2) Giedroyć Mikołaj, ożeniony z wiejską dziewczyną, służącą matki swojej, którą własnem staraniem i kosztem wykształcił, a która mu towarzyszyła wraz z synkiem na wygnanie. Wielkiej zacności i prawości oboje. Przeszedłszy zkolei stanowisko posielenca gub. irkuckiej i mieszkańca gub. wiackiej, powrócił Giedryć z rodziną do kraju, gdzie stracili jedynego syna.

3) Geniusz Ignacy, urzędnik z Grodna, czynny w wypadkach 1863 roku jako jeden z pomocników smutnej pamięci grodzieńskiego wojewody Zabłockiego nie przywiózł z sobą dobrej opinji z kraju, jako nie umiejący milczeć w komisjach śledczych. Opinję tę pogorszył jeszcze, zakładając, wbrew ustawie wygnańczej usolskiej, szynk w tej miejscowości. Żona, zacna i pracowita kobieta i dobra matka. Syn dorastający niczem szczególnem się nie wyróżnił. Z dwóch córek starsza wyszła jeszcze w kraju za Adolfa Tołłoczkę, młodsza za doktora Zenona Nowodworskiego. Na wygnaniu obie z mężami mieszkały w Usolu.

4) Hoffmeister Apolon czyli Apolinary, urodzony w Grodzieńskiem 1824 roku, syn pułkownika wojsk rosyjskich, wyznania protestanckiego. Po ukończeniu miejscowego gimnazjum, uczęszczał na uniwersytet w Berlinie, gdzie naonczas kształciło się dużo młodzieży polskiej. Zapalony wyznawca Hegla, krańcowy idealista i gorący patrjota polski, brał Hoffmeister od lat najmłodszych czynny udział w spiskach litewskiej młodzieży. W 1846 r. skazany został na śmierć, a w drodze ułaskawienia na ciężkie roboty w orskiej fortecy, gdzie przebył lat osiem, poczem zamieszkał w Tobolsku. Osłodą jego losu było przybycie do Tobolska narzeczonej, panny Heloizy Kurcyusz, którą poślubił, a która mu towarzyszyła na wygnaniu aż do ogólnej amnestji w roku 1859. Po powrocie do kraju pracował w majątku własnym na Litwie nad oświatą i umoralnieniem włościan, którzy w majątku jego zostali uwłaszczeni. Dając taki przykład niemało przyczynił się do pożądanego przeprowadzenia reformy w sprawie włościańskiej. W roku 1863 za udział w organizacji powstańczej na stanowisku wojewody brzesko-litewskiego i grodzieńskiego, skazany został Hoffmeister powtórnie do ciężkich robót i przeznaczony do Usola, dokąd przybył sam, ale wkrótce olbrzymie sanie, podobne do wagonu, przywiozły liczną jego rodzinę. Całe to towarzystwo przybyło z gub. ołoneckiej, dokąd było wysłane w 1863 roku w drodze administracyjnej. Dom Hoffmeistrów zaliczał się do najliczniejszych i najsympatyczniejszych domów w Usolu. Po uwolnieniu z ciężkich robót i przesiedleniu się do Irkucka stracił Hoffmeister siostrę żony panią Domaradzką. Po owdowieniu poślubił swą siostrzenicę Józefę Podgórską, której siostra prawie jednocześnie wyszła za kolegę wygnania, byłego oficera jeneralnego sztabu, Stanisława Olędzkiego. Starsza z panien Domaradzkich oddała swą rękę wygnańcowi Antoniemu Skaczkowskiemu w Irkucku, młodsza, wyszła zamąż po powrocie do kraju za Franciszka Rudowskiego w Mławskiem. Wskutek starań możnych krewnych, w Strasburgu zamieszkałych, udzieloną została Hoffmeistrowi w roku 1873 zupełna amnestja, z warunkiem opuszczenia państwa rosyjskiego, z czego korzystając osiedlił się na stałe w Krakowie i tu długie lata utrzymywał się z lekcyj muzyki, jako utalentowany muzyk pedagog. Oboje pomarli w 1890 roku. Pana Apolinarego zaliczam do wyjątkowo wybitnych i czystych idealistów z lat czterdziestych, którzy mimo najcięższe przejścia w życiu przechowali niezłomnie swe zasady do grobowej deski.

5) Hundius Adolf, brat popularnego na Litwie księdza Hundiusa, który w drodze na Sybir zmarł w Permie. Adolf ożenił się z panną Falską, wygnanką, przybyłą z Tobolska do Usola.



Fig. 73. Wincenta Miaskowska z synem i Adelą Lasocką.



Fig. 74. Aleksandra Lasocka z córką Michaliną i wnukiem Janem Miaskowskim.



Fig. 75. Antoni Rudomino.

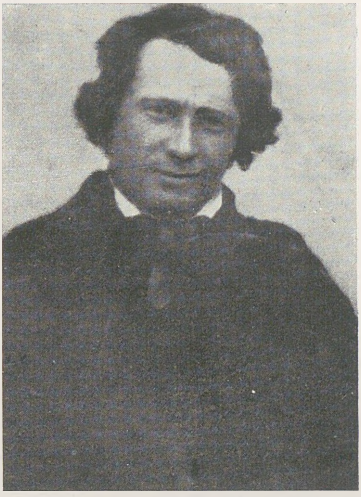


Fig. 76. Edward Nowakowski jako bibliotekarz Świdzińskiego.

6) Jeleński Antoni, człowiek już niemłody, przybył z żoną, pozostawiając w kraju dorosłych synów. Był to przed powstaniem magnat na Litwie. Należał razem z Aleksandrem Oskierką i Jakóbem Gieysztorem do wydziału krajowego litewskiego. Mimo ogromne zalety, miał nieszczęście wykazać pewną słabość charakteru czy też nieumiejętność w zeznaniach przed komisją śledczą, co mu wielu miało za złe, jakkolwiek ci, którym przez to zaszkodził, nie zachowali urazy, wybaczając te mimowolne usterki. Jeleńscy posiadali w Usolu dom własny i prowadzili gospodarkę rolną. Sama pani odznaczała się wielką dobrocią, uczynnością i gotowością niesienia pomocy cierpiącym i chorym koleżankom wygnania, a nawet miejscowym stałym i dawnym mieszkańcom Usola. Przeniesieni stopniowo do Tobolska, potem do Ekaterynosławia, wkońcu wrócili do kraju. O dalszych ich losach nie doszły mię już potem wieści z Litwy.

7) Kisielewski Bolesław, rodem z Korony, był zarządzającym majątkiem Tadeusza Czudowskiego w gub. mohylowskiej, gdzie też pojął żonę. Za udział w powstaniu na Białej Rusi przysłany do ciężkich robót w Usolu. Dozgonna towarzyszka Kisielewskiego była czas jakiś naszą karmicielką, a następnie przez całe lata wygnańcze w Usolu i Irkucku pracą swą rozumną i poczciwą starczyła na utrzymanie domu i wychowanie trojga dzieci, które przyszły na świat we Wschodniej Syberji. Pan Bolesław palił fajeczkę, stękał i narzekał ciągle, co dało powód do częstych żartów kolegów. Ubolewaliśmy, że te stękania i żale nie mogą być użyte jako motor do pomagania żonie w pracy, która cały jej ciężar dźwigała niepodzielnie sama. Z dzieci starszy syn jest weterynarzem w Królestwie Polskiem, drugi pracuje w banku irkuckim, córka prowadzi magazyn w Irkucku. Sam Kisielewski zmarł już dość dawno. Żona żyje dotąd, otoczona miłością dzieci.

8) Krupski Bonifacy z powiatu ihumeńskiego gub. mińskiej, zamożny właściciel ziemski, ożeniony z Marją Swidówną. Dzieci pozostawili w kraju pod opieką rodziców. Ocalonym został tylko majątek pani Krupskiej, dobra zaś Bonifacego „Maryna Górka“ nabyte zostały przez ministra Makowa, a mimo nieprawności nabycia obalić jej nie było można. W Usolu mieli domek własny. Po opuszczeniu Syberji mieszkali czas jakiś w gub. astrachańskiej, potem w Królestwie, wkońcu powrócili do stron rodzinnych. Oboje byli ludźmi wielkiej moralnej wartości. W chwili, gdy to piszę, pani Krupska od lat kilku już w grobie, a on otoczony miłością dzieci i wnuków i szacunkiem sąsiadów mieszka u siebie w gub. mińskiej.

9) Łazowski Edward, doktór medycyny, ożenił się w drodze na Syberję w Tobolsku z panną Tabeńską, wygnanką z Litwy, bardzo zacną osobą. Jako lekarz nie miał znacznej praktyki i nie odznaczał się ani zdolnościami ani przedsiębiorczością. Uwolniony z ciężkich robót skutkiem manifestu, otrzymał posadę przy kopalniach złota. Dalsze losy tej rodziny nie są mi znane.

10) Nowodworski Zenon, lekarz z Nowogródka, przybył do Usola jako kawaler i tu ożenił się z młodszą córką Geniuszów. Nie należał do Towarzystwa Lekarskiego w Usolu i był unikany z powodu niezupełnej dyskrecji w czasie badań.

11) Oskierko Aleksander, zamożny właściciel ziemski z Litwy, ukończył uniwersytet petersburski jednocześnie z Ohryzką, Sierakowskim, Gieysztorem, Spasowiczem itd. W czasie wypadków 1861 do 1863 r., brał czynny udział w organizacji ziemiańskiej, a następnie powstańczej, jako jeden z trzech członków wydziału litewskiego ówczesnego Rządu Narodowego, co mu dowiedziono w komisji i skazano pierwotnie na karę śmierci, a potem w drodze ułaskawienia na dożywotnie ciężkie roboty. Wśród kolegów wygnania cieszył się powszechnem uznaniem, dzięki swej nieskalanej przeszłości i umiejętnemu, pełnemu taktu postępowaniu w życiu codziennem, dzięki czemu wybieranym był w ciągu lat kilku na stanowisko prezesa Towarzystwa Wygnańców w Usolu. U władz nosił tytuł starosty więźniów politycznych. Trudno zliczyć przykrości, jakie znosił z anielską cierpliwością tak od swoich jako też i od wrogów, postępując zawsze z wysokim rozumem i przezornością. które niejednokrotnie uchroniły nasz ogół niesforny od wielu bardzo zajść przykrych. W 1867 roku przybyła do Usola narzeczona Oskierki, panna Teodozja Grabowska, i ślub ich odbył się w kaplicy usolskiej. Narzeczonemu na czas ceremonji ślubu zdjęto kajdany, które niezwłocznie potem znowu nałożono. Oskierkowie stracili pierworodne dziecko w Usolu. Dzięki usilnym staraniom rodzonego wuja, jenerała Giecewicza, mającego niemałe stosunki w stolicy, przechodził Oskierko śpieszniej od innych stopniowe ulgi w swym losie, mimo wyjątkowo ciężki wyrok pierwotny i wkońcu znalazł się w Warszawie, gdzie czas dłuższy kierował redakcją czasopisma Ateneum. Na lato wyjeżdżali Oskierkowie wraz z trzema córkami, najczęściej do Nałęczowa, gdzie posiadali własną willę. Tu w roku 1884 zmarła z nieuleczalnej piersiowej choroby pani Teodozja i pochowaną została na miejscowym cmentarzu. Oskierko powrócił na Litwę i zamieszkał nastałe w Wilnie, gdzie pracuje w jednej z większych instytucyj prywatnych. Córki powydawał zamąż.

12) Poźniak Edmund, dymisjonowany wojskowy rosyjskiej armji i zamożny właściciel ziemski na Białej Rusi. Towarzyszyła mu żona, oboje zacni ludzie. W Usolu posiadali w rynku dość obszerny dom własny i prowadzili handel. Przeniesiony na zaludnienie do gub. jenisiejskiej mieszkał w Krasnojarsku i tam również handlował; co się zaś z niemi później stało, nie wiem.

13) Pruszyński Klemens z mińskiego, szlachcic zagonowy, przybył do Usola z żoną, dwoma synami i dwoma córkami. Rodzina ta nie odznaczała się ani porządkiem, ani pracowitością, szczególnie synowie. Całą młodzież to jest dwóch chłopców i dwie panienki zabrali do siebie niby na posady służących Bnińscy i bardzo serdecznie niemi się opiekowali. Po przeniesieniu się do Irkucka rozpierzchli się wszyscy w poszukiwaniu pracy i, o ile wiem, córki powychodziły zamąż za wygnańców.

14) Siesicki Mieczysław, właściciel ziemski z powiatu poniewieskiego gub. kowieńskiej, ożeniony z Felicją z Kozakowskich, bezdzietni. Zdołali uratować cząstkę majątku, należącą do pani Felicji. Siesicki, skazany pierwotnie na śmierć jako naczelnik powiatu, w drodze starań ułaskawiony z przeznaczeniem na lat 20 do ciężkich robót, umiał pogodnie los swój znosić i drugim dodawać energji. Prawy niezmiernie, ale gwałtowny w prawdomówności,

spotykał się niejednokrotnie z objawami nieprzyjaźni i niechęci. Pani Felicja byta to zacna i sympatyczna Litwinka; oboje zaś gościnni w całem tego słowa znaczeniu podejmowali kolegów w poniedziałki, gdzie obok skromnego przyjęcia i partyjki można było przyjemnie czas spędzić na gawędce. Przeniesieni do Tobolska, Astrachania, a następnie do Warszawy, gdzie długie lata mieszkali, nabyli majątek w Grojeckiem, który potem sprzedali, utrzymując się wczęści z procentu od kapitału, wczęści zaś z pensji pobieranej przez Siesickiego, jako urzędnika wydziału gospodarczego kolei warszawsko-wiedeńskiej.

15) Symonowicz Władysław, lekarz z Grodzieńskiego, z żoną i synkiem. Mając bardzo szczupłe zasoby, pracował ciężko, pełniąc obowiązki felczera przy szpitalu, gdzie miał skromne mieszkanie dla siebie i rodziny. Była to postać charakterystycznej powierzchowności, przedstawiał bowiem klasyczny typ ułana polskiego, chociaż nim nigdy nie był. Rodzinę tę poznałem w podróży na Sybir w Tomsku. W pamiętniku moim opisałem rozmowę Symonowicza z jego kolegą uniwersyteckim, doktorem Matkiewiczem, inspektorem zarządu lekarskiego w Tomsku. Po uwolnieniu ich na posielenie, nie zdołałem dowiedzieć się dokładnie, co się z nimi dalej stało.

16) Tołoczko Adolf z Grodzieńskiego, były urzędnik, bardzo pracowity i zacny człowiek, ożeniony ze starszą córką Geniuszów, miał dwoje miłych dzieci, syna i córeczkę. Pracował w Usolu z innymi kolegami w fabryce mydła i świec, prowadzonej przez spółkę, do której należeli: Michał Wielohorski, Michał Gruszecki, Józef Konopacki, Jan Hryniewiecki i Tołoczko.

17) Wielohorski hr. Michał, właściciel ziemski z Inflant Polskich, skazany na całe życie do ciężkich robót za udział w organizacji powstańczej i w powstaniu, ożeniony z Wykowską. W Usolu prowadził gospodarstwo rolne i wspólnie z kolegami fabrykę świec łojowych i mydła. Po powrocie do kraju był dyrektorem fabryki cukru „Leonów". Umarł w stosunkowo młodym wieku.

C) Wygnańcy z Rusi, którym towarzyszyły żony.

1) Bniński hr. Roman, urodzony w powiecie zwiahelskim gub. wołyńskiej, w dobrach ostropolskich, nabytych przez dziada Bnińskiego, który z Wielkopolski przeniósł się na Wołyń, ukończył uniwersytet kijowski, a odziedziczywszy po ojcu zadłużone dobra, sprzedał je marszałkowi gubernialnemu wołyńskiemu Włodzimierzowi Szwejkowskiemu, rozpłacił się najsumienniej z wierzycielami i pozostał przy bardzo małym kapitale, od którego procent musiał starczyć na potrzeby matki jego i dwóch sióstr. Nie będąc już bardzo młodym, w przeddzień niemal wypadków 1863 r. ożenił się z panną Wacławą Sobańską, bogatą dziedziczką ukraińską i gorącą patrjotką. Gdy powstanie na Rusi postanowionem zostało, Roman Bniński, wspólnie z małżonką wystawił pluton kawalerji własnym kosztem umundurowanej, na czele którego bił się mężnie pod Platonem Krzyżanowskim, a okryty ranami dostał się do niewoli. Skazany na lat dwadzieścia do ciężkich robót, przybył do Usola w 1865 roku, gdzie był wzorem dla innych pod każdym względem. Oboje Bnińscy, oszczędzając się bardzo, dopomagali potrzebującym kolegom wygnania w największej tajemnicy, jako ludzie wolni od wszelkiej próżności. Po wyjeździe z Usola

długoletniego prezesa Towarzystwa Usolskich Wygnańców Alesandra Oskierki, czynność tę przez czas jakiś pełnił Roman Bniński. Czci najgodniejsza pani Wacława skutkiem denuncjacji została powołaną z Usola do komisji śledczej w Kijowie i tylko dzięki ludzkości władz irkuckich uniknęła tej podróży, odpowiadając na wszelkie pytania urzędowe z Usola jako chora. Sprawa ta wlokła się aż do manifestu wierzbołowskiego, który wszystkie nieukończone sprawy przerwał, a tem samem Bnińskę i jej majątek ocalił.

W czasie gdy sprawa ta była w biegu, pani Wacława, jako aresztowana w mieszkaniu własnem, nie mogła wychodzić na ulicę bez asystencji kozaka burjackiego, którego jej dodano jako szyldwacha. Zabawny był widok tej pani, za którą automatycznie postępowało bezwiedne narzędzie autokracji rosyjskiej, tem zabawniejszy, że naówczas my wszyscy wolni już byliśmy od straży. Sybiracy zaś po swojemu tłumaczyli uwięzienie Bnińskiej, twierdząc, że zapewne musiała sobie coś przywłaszczyć z własności męża i dlatego jest pod aresztem. W szeregu manifestów i ulg na mocy prywatnych starań polepszał się stopniowo los Bnińskich, czemu towarzyszyło ciągłe zbliżanie się do kraju. Tym sposobem przenosili się kolejno do Irkucka, Tobolska, Astrachania, Chersonu, Odessy, wreszcie osiedli w Krakowie, gdzie pani Wacława zmarła w 1887 roku. Po zgonie ukochanej małżonki osiadł Bniński na Ukrainie w Wacławówce, gdzie dotąd mieszka obok młodszego syna Hilarego. Z dwóch córek Bnińskich młodsza Wacława zmarła w dzieciństwie, starsza zaś Marja poślubiła hr. Adama Komorowskiego-Suffczyńskiego, jest wzorową żoną i matką dwóch dziarskich chłopaków i dorastającej córki. Z synów pp. Romanowstwa starszy Roman pracuje nad wydźwignięciem majątku rodzinnego z interesów, w chwili zaś obecnej, gdy to piszę, jest pełnomocnikiem bogatego właściciela ziemskiego na Wołyniu, Małyńskiego, i stanowić może słusznie chlubę rodziny i wzór dla młodzieży na Rusi. W 1904 roku poślubił pannę Marją Czarnecką z Wielkopolski. Młodszy Hilary, wielki zwolennik sportów, ożeniony od lat paru z hrabianką Tarnowską, córką Stanisława, mieszka w Wacławówce, zajmując się gospodarstwem i zarządem dóbr własnych, nie odrzucając rad i wskazówek starszego brata.

2) Bratyński Leon rodem z Korony, technolog i budowniczy (bez specjalnych dyplomów), którego wypadki 1863 roku zastały na posadzie oficjalisty w dobrach ks. Romana Sanguszki. Ożeniony na Wołyniu, wziął udział w powstaniu zasławskiem, po którego rozbiciu skazanym został do ciężkich robót przez sąd wojenny żytomierski. Towarzysząca mu żona należała do kobiet zacnych i sympatycznych. W Usolu Bratyński zajmował się rysowaniem i malowaniem widoków, w Irkucku zaś, gdy się tam po pierwszym manifeście w 1866 r. dostał, robił plany, budował domy i gorzelnie, a szczególnie młyny, które się cieszyły wielkiem powodzeniem. Powróciwszy do kraju, zamieszkał na prowincji w Królestwie, gdzie stracił żonę, a mimo wiek podeszły pracował w dalszym ciągu nad urządzaniem młynów.

3) Chrzanowski Stefan, rodem z sandomierskiego, oficer huzarów, a następnie porucznik piechoty w wojsku rosyjskiem, do którego zmuszonym był wstąpić z konskrypcji. Przybywszy ze swym pułkiem na Ukrainę, poznał

tam pannę Hilarję Kamieńską, siostrę mego przyjaciela i kolegi Władysława, ożenił się z nią, wziął dymisję i osiadł na wsi w powiecie berdyczowskim. W czasie powstania wstąpił do oddziału Krzyżanowskiego jako oficer plutonu, za co skazany został do ciężkich robót w Usolu, dokąd przybył wraz z żoną. Utrzymywali tu krowy i wypiekali chleb. Przeniesieni do Permy, później do kraju, zamieszkiwali kolejno w Radomiu, w Berdyczowie, a obecnie w Zawichoście. Dzieci nie mieli.

4) De Cot Wiktor z Ukrainy, dyrektor cukrowni, ożeniony z Przesmycką, miał w Usolu dom własny, prowadził handel i gospodarował na roli. W Irkucku miał również sklep. Po stracie żony wstąpił niedługo w powtórne związki małżeńskie z dyrektorką pensji w Irkucku, niemłodą już osobą, Polką, wyznania rzymsko-katolickiego.

5) Gołecki Stanisław z Ukrainy, lekarz, z żoną i wychowańcem. Nie bywali prawie nigdzie w Usolu w domach rodzinnych, przyjaźnili się tylko z Zygmuntem Rudnickim, z którym poznali się i zbliżyli w drodze.

6) Gruszecki Michał, rodem z Kongresówki, skazany w młodości za udział w „Stowarzyszeniu Ludu Polskiego" do ciężkich robót. Wrócony do kraju mocą manifestu w 1855 roku, ożenił się z Michaliną Micińską i osiadł w otrzymanej ze spadku wiosce Baraszach na Polesiu wołyńskiem w powiecie żytomierskim. Aresztowany w 1863 r. w domu własnym i mimo braku dowodów winy zesłany do ciężkich robót, dokąd towarzyszyła mu żona. W Usolu mieszkali razem z Michałami Wielohorskiemi. Gruszecki należał do spółkowej fabryki mydła i świec. Przeniesieni do Irkucka, potem do Rosji, wrócili wkońcu do Warszawy, gdzie pan Michał długi czas pracował w Gazecie Polskiej, a następnie osiadł z żoną w Żytomierzu i tu życie zakończył. Pani Gruszecka, po owdowieniu pozostała w temże mieście, gdzie przed paru laty rażona atakiem apoplektycznym zmuszona była jako ubezwładniona zamieszkać pod opieką krewnych swoich w Warszawie.

7) Heinrich Ernest, rodem z Królestwa Polskiego, był w kraju pomocnikiem dyrektora huty żelaznej w Deneszach na Wołyniu w powiecie żytomierskim. W Usolu wypiekali wraz z żoną chleb na sprzedaż i urządzali wędliny. Po wyjściu na posielenie pracował Heinrich w gorzelni. Obecnie jest urzędnikiem na kolei warszawsko-wiedeńskiej.

8) Jarocki Włodzimierz z Wołynia, były wojskowy armji rosyjskiej, zaś w powstaniu plutonowy oficer w piechocie Chramickiego, poznał się w drodze na Sybir z niemłodą panną Suffczyńską, która towarzyszyła bratu swemu, spełniając w tem wolę ojca. Para ta pobrała się w podróży, poczem pani Jarocka rozłączyła się z bratem i podążyła za mężem do Usola. Pożycie tego stadła było opłakane i zakończyło się rozstaniem. Jarocki wrócił do kraju, zaś jego małżonka udała się do Ameryki, by dopominać się spadku po Kazimierzu Pułaskim, jako dość bliskim krewnym Suffczyńskich. Co się z obojgiem w obecnej chwili dzieje, nie jest mi wiadomem.

9) Konopacki Prokop, syn Szymona, znanego autora poezyj i pamiętników, ożeniony z Olizarówną, w Usolu miał sklep spożywczy. Pożycie jego z żoną nie było wzorowe i naogół mało mieli stosunków z domami ro-

dzinnemi. Przeszedłszy posielenie i mieszkanie w Rosji, znaleźli się w rodzinnych stronach, wśród dzieci, które pozostawili w kraju.

10) Krasicki Zygmunt, hrabia z Podola, żonaty z osobą, którą rozwiódł, nie szczędząc kosztów na proces rozwodowy i na opłacenie zezwolenia pierwszego męża, który był oficjalistą w jego dobrach. Był to człowiek chwiejnych przekonań i małego wykształcenia, tak dalece, że słowo „wtorek" pisał przez f, imię zaś swoje Zygmunt kończył na d. Żona jego zacna, rozsądna i pełna taktu, umiała godność swą strzec od szwanku i na męża wpływała dodatnio, powstrzymując go od kroków niewłaściwych z władzami i kolegami. Mieszkali przy szpitalu w pokoju, danym przez rząd. Opuściwszy Usol i przeszedłszy Irkuck, przenieśli się Krasiccy do Rosji, a następnie na Kaukaz, gdzie udało się p. Zygmuntowi otrzymać dobrą posadę na komorze celnej. Tu zebrał duży majątek, ale miał nieszczęście stracić najlepszą żonę. Wróciwszy do Warszawy, nabył kamienicę przy ul. Hożej, w której stale zamieszkał. Nie rozstał się wszakże z czapką urzędnika komory celnej, ozdobioną gwiazdką, co może służyć za dowód, na jak niskim poziomie uprawiał próżność.

11) Lasocki Wacław, lekarz syn Mateusza i Aleksandry z Budzyńskich, urodzony w 1837 roku na Wołyniu w powiecie ostrogskim we wsi Bisówce. Ukończył gimnazjum żytomierskie w 1854 r., zaś uniwersytet kijowski w 1859 r. ze stopniem lekarza z odznaczeniem. W 1859 i 60-tym roku, był asystentem przy klinice chirurgicznej szpitalnej uniwersytetu kijowskiego, a opuściwszy to stanowisko, osiadł jako rolnik w dzierżawnej wsi Ośniki na Wołyniu i ożenił się z Marją Mianowską kuzynką swoją w 1861 roku. W rok potem to jest w 1862 r. przenieśli się Lasoccy w okolice Żytomierza do wsi Prażowa. W kwietniu 1863 r., udając się do obozu Edmunda Różyckiego z dużym zwitkiem Złotych Hramot i proklamacyj, schwytany został przez włościan we wsi Tatarynówce, wraz z drem Józefem Łagowskim, ze studentem uniwersytetu kijowskiego Zygmuntem Husarowskim i ze służącym Ignacym Kamińskim, z którymi osadzono go w więzieniu żytomierskiem.

Lasoccy odbyli etapami podróż do miejsca przeznaczenia w ciągu 25 miesięcy i stanęli w dniu 2 października 1865 roku w irkuckiej warzelni soli. Skutkiem pochlebnych przedstawień władz zachodniej Syberji o pracach podjętych w szpitalu, już w styczniu 1866 r. uwolniono go od ciężkich robót i przeznaczono na posielenie. Mimo ten awans pozostali Lasoccy w Usolu, gdzie nabyli mały domek i wyrestaurowali starannie, nadając mu cechy europejskie. W tym domku mieszkali do stycznia 1869 r., poczem przeniesiono ich do miasta powiatowego Galicza w gub. kostromskiej, gdzie przebyli dwa lata. W 1871 roku wyruszyli na pobyt czasowy do gubernjalnego miasta Kostromy, dla uzyskania u jenerał-gubernatora pozwolenia odwiedzenia stron rodzinnych. Zanim wszakże zdołali wynaleźć mieszkanie, wybuchła w tem mieście cholera, która dzięki kilku pomyślnym kuracjom stała się początkiem olbrzymiej praktyki Lasockiego. Niemniej wszakże zaraz po uzyskaniu pozwolenia na wyjazd udali się do kraju, skąd w końcu tegoż roku powrócili do Kostromy na prośby jej mieszkańców, aby w ciągu lat paru zdobyć potrzebne środki na pierwsze chwile pobytu w Królestwie, gdzie w owe czasy niewiele można było rachować na chlebo-

dajną praktykę. W 1873 roku w sierpniu przybyli Lasoccy do Warszawy, a już w 1875 r. wezwany został Lasocki na stanowisko naczelnego lekarza kolei Nadwiślańskiej, na którem to stanowisku przebył lat dwadzieścia trzy, to jest do czasu przejścia tej kolei na własność rządu w 1898 roku.

Jeszcze w 1879 roku przystąpił Lasocki do spółki udziałowej, mającej na celu wskrzeszenie zakładu leczniczego w Nałęczowie i pełnił w tej spółce w ciągu lat kilkunastu czynność członka Rady. Po usunięcie się ze stanowiska na kolei, w 1898 r. zamieszkał wraz z żoną w Nałęczowie, szukając w chwili rozpoczęcia siódmego krzyżyka zupełnego w tem ulubionem miejscu wypoczynku. Niestety, ciężkie ciosy spotkały go tu na samym niemal wstępie. We wrześniu 1898 roku stracił ukochaną matkę, a w listopadzie tegoż roku ubóstwianą żonę. Pod ciężkiemi razami losu uległ na razie obezwładnieniu i przygnębieniu, które go rok cały w odrętwieniu myśli i woli trzymały. Dzięki wszakże serdecznym staraniom i radom zacnych i najlepszych przyjaciół i życzliwych, zabrał się powoli do spraw i czynności, w dawniejszych jeszcze czasach projektowanych, to jest do skatalogowania zbiorów, składających się z pokaźnej bibljoteki i cennej kolekcji rycin, oraz spisania swoich wspomnień. Uskuteczniwszy w znacznej części te zamiary, a mianowicie sporządziwszy katalogi zbiorów, pod kierunkiem pani Franciszki Walickiej, dawnej przyjaciółki rodziny, i przy chwilowym współudziale panny Amelji Malewskiej jako też kilku studentów uniwersytetu, bawiących czasowo w Nałęczowie, oraz spisawszy siedm rozdziałów pamiętnika, dzięki inteligentnej i niestrudzonej pomocy czcigodnej pani Walickiej, która zadała sobie niemało pracy i starań przy porządkowaniu i odcyfrowaniu notatek i spisaniu bruljona oraz dwóch egzemplarzy pamiętnika z aneksami, udał się Lasocki zagranicę, do Krakowa i Lwowa, by się rozpatrzyć, gdzie z największym dla kraju pożytkiem mógłby ofiarować pracą całego życia nagromadzone materjały do dziejów Polski w postaci rękopisów, autografów, ksiąg, rycin, map, planów itd. Muzeum Narodowe w Krakowie wydało mu się najwłaściwszem miejscem do umieszczenia zebranych skarbów, jako jedna z najszybciej rozwijających się w kraju naszym tego rodzaju instytucyj, a znacznie mniej jeszcze od innych uposażona, do czego nadto zachęciła go wyjątkowa energja administracji w osobie profesora Feliksa Kopery, pełniącego od lat kilku obowiązki dyrektora Muzeum. Tam więc, już na początku 1904 roku przelał Lasocki bez zastrzeżeń większość swych zbiorów, stawiając jedynie warunek, aby nie dalej jak w 1910 roku została otwarta w Krakowie przy temże Muzeum publiczna bibljoteka, do której wcielony być ma cały jego księgozbiór.

Część zbiorów jeszcze przed zrobieniem daru dla Muzeum w Krakowie ofiarowana była spółce zakładu leczniczego „Nałęczów" celem utworzenia z nich w przyszłości Muzeum prowincjonalnego Lubelskiego, jako też bibljoteki naukowej przy niem. Niewielka tylko część książek, składająca się z pamiętników i opracowań historycznych, pozostała w posiadaniu dożywotniem właściciela i przejdzie po jego śmierci na własność Muzeum Narodowego i zbiorów nałęczowskich. Co do pamiętników Lasockiego, podjęła się gmina miasta Krakowa pośmiertnego ich wydawnictwa, na warunkach i zasadach przez autora wskazanych.

W obecnej chwili, to jest w połowie 1905 roku, spisuje Lasocki w dalszym ciągu ósmy rozdział swoich wspomnień, których siedm rozdziałów złożonych już zostało do korekty i przechowania u profesora Marjana Dubieckiego w Krakowie, po dołączeniu zaś rozdziału ósmego do całości egzemplarz, do druku przeznaczony, spocznie w archiwum Muzeum Narodowego aż do śmierci autora.

12) Lewandowski (imienia nie pomnę) z żoną, oficjalista dóbr Karpowce w powiecie żytomierskim, zaledwie wiedzieli, za co byli wysłani. Niemniej umieli sobie dawać radę, korzystając z uczynności zamożniejszych wygnańców i dawnych pryncypałów, pozostałych w kraju.

13) Lippoman Adolf, urzędnik z Kijowa, ożeniony z wdową, 1-go voto Neymanową, która mu oprócz wiana przywiodła czworo dzieci z pierwszego małżeństwa, dwóch synów i dwie córki. Mieszkali w domu najętym i prowadzili życie dostatnie, acz nieoględne. Starszą córkę wydali zamąż w Usolu za Romana Rogińskiego, a młodszą po przeniesieniu się do Irkucka za Fortunata Morgulca. Jeden z synów został marynarzem i ożenił się z Rosjanką, drugi nie chciał się uczyć i był potem dorożkarzem w Irkucku.

14) Łagowski Józef, lekarz, urodzony na Wołyniu, ukończył uniwersytet kijowski kosztem rządu, skutkiem czego musiał, spełniając przepisy prawa, wstąpić do służby rządowej jako lekarz wojskowy. Odbył kampanję krymską, był głównym chirurgiem pod Karsem w czasie szturmu tej fortecy, po ukończeniu zaś wojny mianowany został pomocnikiem inspektora Zarządu lekarskiego w Żytomierzu. W 1863 r. wziął udział w organizacji przedpowstańczej. Udając się do oddziału Edmunda Różyckiego jako lekarz, wraz z Wacławem Lasockim, zatrzymany był przez włościan wsi Tatarynówki i przewieziony do więzienia żytomierskiego. Sprawę Łagowskiego złączono ze sprawą Lasockiego, chociaż ostatni całą winę przewożonych hramot i proklamacyj brał na siebie. Pierwotnie też Łagowski miał być na śmierć skazany i dopiero zmniejszenie winy współobwinionego wpłynęło na obniżenie kary Łagowskiego, którego konfirmowano na 6 lat ciężkich robót i wysłano do Usola, dokąd przybył w 1864 r. Tu dostał mieszkanie jak na ówczesne warunki dość wygodne i pełnił obowiązki chemika-laboranta przy warzelni soli. W kwietniu 1866 roku na skutek manifestu uwolniony został z ciężkich robót, przeniósł się do Irkucka, gdzie jako zdolny chirurg zyskał w krótkim czasie olbrzymią praktykę, nadto zaś jako botanik, czynił ciągłe wycieczki w okolice Irkucka i zwiększał nieustannie swe zbiory. Niestety, nieuleczalna choroba, rak żołądka i wątroby, którego rozwijanie się powolne oddawna przypuszczali koledzy lekarze wygnańcy w Usolu, ujawnił się ostatecznie i skrócił dni Łagowskiego. Osierocił żonę i sześcioro dzieci i pozostawił po sobie głęboki żal kolegów i ogólne uznanie w szerokich kołach publiczności irkuckiej. Ożeniony był Łagowski z Olgą Juszkiewicz, Rosjanką wyznania prawosławnego, którą poznał i poślubił na Kaukazie, a która była mu nieodstępną w niedoli towarzyszką i wzorową żoną i matką. Z dzieci, które przyszły na świat w kraju, towarzyszyły rodzicom w podróży Michał, Marja i Konstancja. Mikołaj pozostawał w Żytomierzu na opiece stryja i znacznie później przybył do Irkucka. Na wygnaniu urodziły się Wacława i Józef.



Fig. 77. Wacław i Marja Lasoccy.



Fig. 78. Tadeusz i Dymitr Teleżyńscy.



Fig. 79. Feliks Kieniewicz z synem Witołdem i córką Marją.



Fig. 80. Aleksander Oskierka.

Po śmierci męża, który mimo kolosalną praktykę pozostawił małe bardzo zasoby, wróciła Łagowska do kraju, a nie napotkawszy ze strony rodaków męża oznak współczucia i uznania, na które zasługiwała, tem bardziej jako Rosjanka, poświęcająca się bez granic dla męża, Polaka wygnańca, pociągnięta natomiast dotykalnemi dowodami sympatji Rosjan, dawnych kolegów Łagowskiego z czasów kaukaskich, a naonczas dygnitarzy w Kijowie, przeszła z całą rodziną do obozu rosyjskiego. Smutna konieczność, stanowiąca nieubłagane następstwa małżeństw mieszanych w Polsce, wystąpiła tu z całą jaskrawością. Temperatura stosunków dawnych kolegów wygnania z rodziną Łagowskich musiała stygnąć skutkiem zaszłych zmian, obniżając się aż do zera.

15) Łoziński Bolesław, urodzony na Wołyniu, właściciel wsi Bereżyniec w powiecie ostrogskim, kształcił się w domu rodziców. Wyjątkowo był zdolnym do matematyki i miał niezwykłą łatwość zapamiętywania olbrzymich cyfr, tak, iż odczytaną parę razy kartkę tablic logarytmicznych potrafił bez omyłki powtórzyć. Nie będąc już młodym, pojął w 1862 roku za żonę najstarszą córkę J. I. Kraszewskiego, Konstancję, urodzoną z Woroniczówny, mającą wówczas lat 21. W 1863 r. kierował organizacją powstańczą w swoim powiecie (ostrogskim). Chociaż w tej części Wołynia do powstania nie przyszło, aresztowano Łozińskiego jako mocno notowanego przez policję i bez dostatecznych dowodów osądzono do ciężkich robót. Żona towarzyszyła mu z dzieckiem przy piersi w podróży etapami i dziecko to stracili, zanim doszli do miejsca przeznaczenia. W Usolu łączyła ich serdeczna przyjaźń i zażyłość z domem Romanowstwa Bnińskich.

Nie otrzymując prawie żadnej pomocy od najbliższej rodziny w kraju, zmuszeni byli oboje Łozińscy do ciężkiej pracy. Ona wypiekała całemi pudami chleb na sprzedaż, on prowadził handel mąką, masłem, miodem itd. W kilka miesięcy po przybyciu na miejsce kary, powiła Łozińska bliźnięta, dwóch chłopców, którym na chrzcie dano imiona Józefa i Czesława, a których koledzy wygnania nazywali żartobliwie Romulusem i Remusem, chociaż ich matka nie do wilczycy była podobną, ale raczej do nadziemskiej istoty. Zawsze pogodna i zadowolona, mimo ciężką pozycję materjalną, pracowita, oszczędna, a w miarę możności miłosierna. Kochająca męża do zaślepienia, starała się być mu ulgą we wszystkiem, biorąc nieraz nad siły. W 1866 roku przenieśli się Łozińscy do Irkucka, gdzie w dalszym ciągu prowadzili handel i piekarnię. Tu im przybyła córeczka Konstancja. W kilka lat potem zmarł tamże Łoziński skutkiem pęknięcia wrzodu w mózgu, który się uformował od uderzeń głową o niskie odrzwia syberyjskich domów i chat, co przy dystrakcji Łozińskiego często się powtarzało.

Pochowawszy męża w Irkucku i sprzedawszy ruchomości, wyruszyła pani Konstancja do kraju w 1871 r. z pięcioletnimi synami i córką, liczącą wówczas dwa lata. W czasie podróży, już w jednej ze wschodnich gubernij Rosji europejskiej, przerażona gwałtowną obawą o dzieci, gdy się sanie mocno nad przepaścią pochyliły, nagle życie skończyła. Towarzyszący w tej podróży, niemłody i niezamożny wygnaniec Szymkiewicz, którego pani Łozińska zaprosiła do towarzystwa, by mu ułatwić powrót do kraju, wywdzięczył się sierotom, zastępując im najbliższą rodzinę w tej tragicznej chwili. Zajął się on pogrzebem

zmarłej, a następnie, spowiwszy dzieci i owinąwszy je wojłokami, wiózł bez przerwy do babki, to jest do pani z Woroniczów Kraszewskiej, zamieszkałej w Warszawie (pod Nr. 1 przy Nowym Świecie) i dowiózł pomyślnie. Dziś jeden z synów jest literatem w Krakowie, drugi gospodarzy na Wołyniu w cząstce dawnego majątku ojca. Córka wyszła zamąż za pana Staniszewskiego, który prowadzi biuro komisowe w Kijowie; w roku zeszłym bawiła w Nałęczowie i doręczyła mi notatkę o rodzicach, z której tu skorzystałem.

16) Makarewicz (imienia nie pamiętam) oficjalista z Wołynia, był z żoną i dziećmi. Oboje pracowali na chleb powszedni, wypiekając w Usolu pieczywo na sprzedaż.

17) Morzycki Juljan, rodem z ziemi łęczyckiej, odziedziczywszy na Wołyniu dobra Lachowce po wuju bezdzietnym Umińskim, ożenił się z Marją Obuchowską, córką sąsiada Wacława Obuchowskiego, inżyniera, któremu w spadku po stryju dostał się piękny majątek Iwanków pod Żytomierzem. W roku 1863 brał Morzycki czynny udział w organizacji południowo-wschodniej części powiatu żytomierskiego, jako setnik, podwładny dra Wacława Lasockiego. W dniu, oznaczonym na powstanie, stawił się na stanowisku w okolicy wsi Sołotwina na trakcie pocztowym z Żytomierza do Berdyczowa, ale jednocześnie z nim stawiło się tylko 36 powstańców, skutkiem aresztowania bardzo wielu sprzysiężonych po domach przez włościan. Ta mała garstka powstańców miała wśród siebie jednego tylko człowieka, mającego niejakie pojęcie o sztuce wojskowej i partyzantce, a był nim Ezechjel Głębocki, były oficer wojsk polskich z 1830 roku. Otoczony przez tłumy włościan, oddziałek ten, pomimo oporu, wkrótce poddać się musiał i stał się pastwą czerni, zachęcanej i ośmielanej przez wojsko, która rozbrojonych i zbitych oddała w ręce policji, pod opieką której dostali się do więzienia w Żytomierzu. Osądzony na lat dwadzieścia ciężkich robót, wysłany został Morzycki w dniu 2 września 1863 r. w tej samej partji, co i rodziny Lasockich i Łagowskich. Towarzyszyła mu młodsza znacznie od niego i bardzo pięknej powierzchowności żona. Do miejsca przeznaczenia przybyli nieprędko, do czego przyczyniła się choroba i konieczność pozostania czas dłuższy w Tambowie, w którem to mieście pani Morzycka powiła córkę Faustynę.

Dostawszy się do Usola, zamieszkali w wynajętym domu z obszernym ogrodem, w którym dzięki umiejętnej pracy hodowały się najwykwintniejsze warzywa, a szczególnie kalafjory, dochodzące do niepraktykowanych prawie nigdzie rozmiarów, miewały bowiem przeszło po pół łokcia średnicy. Po kalafjory te przysyłano często z Irkucka i płacono za nie sowicie. Nadto trzymał Morzycki krowy, hodował wieprze, a następnie wyrabiał krupy na spółkę z Antonim Potockim. To wszystko razem łącznie z przesyłkami pieniężnemi z kraju starczyło na zaspokojenie koniecznych potrzeb tej rodziny. Oprócz zabiegów o chleb powszedni niemało czasu poświęcał pan Juljan na dogadzanie zachciankom pięknej pani Marji, którą sam woził wózkiem, wprzęgając się zamiast konia, gdy udawali się w odwiedziny do kolegów i znajomych. Po przeniesieniu się do Irkucka zajmował się robieniem planów i budowaniem gorzelni i browarów, przy współudziale Leona Bratyńskiego.

Korzystając z pierwszej możności wyjazdu do Petersburga, udała się pani Morzycka do stolicy, stawiając za cel widomy rozpoczęcie starań o ułaskawienie i powrócenie męża do kraju. Po przybyciu tam wszakże poznała niejakiego Wrońskiego, adwokata, po porozumieniu się z którym i otrzymaniu rozwodu poślubiła go, porzucając pierwszego męża, gorąco do niej przywiązanego, i siedmioro drobnych dzieci. Cios ten, łamiąc życie Morzyckiego, nie zachwiał go w pełnieniu obowiązków względem tychże dzieci, które wychował przy pomocy zacnej i wykształconej swej siostry, niemłodej już panny Faustyny Morzyckiej. Z córek jego najstarsza Rozalja wyszła za pedagoga i literata Mieczysława Brzezińskiego, Marja za inżyniera Suszyńskiego, Wacława za inżyniera Arcisza, Faustyna dotąd panną. Paulina zaś i Julja zakrwawiły serce ojca, wychodząc w owych czasach nietolerancji religijnej za Rosjan: pierwsza za miljonera Popowa, nazwiska męża drugiej nie znam. Po rozstaniu się z żoną, administrował p. Juljan dobrami kilku zkolei magnatów rosyjskich w gubernjach południowych, ostatecznie u Popowa, którego syn wbrew woli ojców wykradł mu córkę Paulinę, co stało się powodem opuszczenia tej posady. Powróciwszy do kraju, nabył Morzycki kawał ziemi w gub. lubelskiej w pobliżu Nałęczowa, urządził go, nazwał Paulinowem i tu przez lat kilka na roli pracował, a sprzedawszy przyjął miejsce administratora Zakładu Nałęczowskiego, na którem życia dokonał, tknięty apopleksją w pierwszych dniach stycznia 1898 roku.

18) Potocki Antoni z Wołynia, wysłany za udział w organizacji powiatu ostrogskiego, żonaty z Angielką, wielkiej wartości kobietą. W Usolu prowadził życie bezczynne, nie pomagając w niczem zacnej swej żonie, która się zajęła wyrabianiem i sprzedażą wędlin. Mieli syna, który, o ile wiem, dobrze się w życiu po powrocie rodziców do kraju pokierował, został inżynierem i ożenił się, a matka zamieszkała przy jedynaku. Potocki zaś Antoni dawno już nie żyje.

19) Skawiński Juljan, lekarz z Ukrainy, z żoną i córką, praktykował później w Krasnojarsku.

20) Winiarski Władysław, sędzia śledczy w Berdyczowie, ukończył uniwersytet kijowski ze stopniem kandydata praw. W czasie powstania wstąpił do partji, berdyczowską zwanej, a dowodzonej przez Platona Krzyżanowskiego. Osądzony do katorgi odbywał ją w Usolu w towarzystwie żony i coraz liczniejszego drobnego potomstwa. I oni wypiekali chleb na sprzedaż. Po przejściu zmian w stopniach i miejscach wygnania zamieszkali wkońcu w Ekaterynosławiu, gdzie Winiarski korzysta z długoletniej dzierżawy wybudowanego przez siebie wodociągu miejskiego. Mają kilkoro dorosłych dzieci.

21) Wiśniewski Leopold, pedagog, rodem z gub. wołyńskiej z powiatu owruckiego, był nauczycielem domowym przy dzieciach Józefa Łozińskiego na Wołyniu. Za udział w organizacji znalazł się w Usolu wraz z żoną, gdzie żyli przeważnie ze środków, otrzymywanych z kraju. Małżeństwo to rozstało się później, a dalsze losy jego nie są mi znane.

22) Wolski Stanisław, dyrektor fabryki żelaznej w Wysokim Piecu w powiecie Żytomierskim. W Usolu trudnił się zegarmistrzowstwem i drobnemi reperacjami. Miał z sobą żonę i dwoje dzieci. Umarł z suchot w Usolu, rodzina zaś powróciła do kraju.

23) Zajączkowski (imienia nie pomnę), oficjalista z żoną, ludzie małych środków, żyli z pracy. On zmarł na Syberji na wrzód w mózgu, ona powróciła do kraju.

24) Zejfryd Bolesław z powiatu żytomierskiego, ożeniony z Mroczkowską, po której odziedziczył cząstkę wsi Lachowiec, których główna część należała do Morzyckiego, podwładny w jego organizacji, a brat znanego w Polsce Kongresowej dowódcy oddziału. W Usolu żyli przeważnie z zasiłków nadchodzących z kraju, dopomagając sobie pracą w najrozmaitszych kierunkach.

D. Oprócz wymienionych tu wygnańców i ich rodzin, ze ścisłem określeniem miejscowości, z których zostali wysłani, było jeszcze kilka małżeństw, o których nie wiem dokładnie, skąd je wyprawiono. Do takich zaliczam: 1) Melchjora Gryzińskiego (zdaje się z Korony), 2) Józefa Krauzego (z Białej Rusi), 3) Pawła Rucińskiego i 4) Pawła Strawińskiego (obaj, jak się zdaje, z Litwy). Wszyscy oni byli żonaci, ale bezdzietni, pracowali ciężko fizycznie na kawał chleba, piorąc bieliznę, uprawiając pola i ogrody, stołując kolegów itd.

E. Było jeszcze jedno stadło, które powstało w Usolu, ale z niem nikt ze współwygnańców nie miał żadnych stosunków, ponieważ warunki, wśród których zostało skojarzone, były w sprzeczności z opinją wygnańczą i ustawą przez nasze towarzystwo przyjętą. Rzecz zaś miała się tak: Pan Ignacy Ulanowski, bursz dorpacki, przed powstaniem właściciel znacznego majątku w Inflantach, zesłany do ciężkich robót, nie będąc żonatym zabrał z sobą młodą i ładną żydówkę z Białej-Rusi i zamieszkał z nią w Usolu, a przekonawszy się z praktyki, iż go to na ciągłe nieporozumienia i przykrości naraża, wyposażył swą czasową towarzyszkę i wyszukał jej męża w osobie kolegi wygnańca, Augusta Tomkowida. Naturalnie, iż młoda izraelitka, wychodząc za chrześcijanina, musiała przyjąć religję chrześcijańską, wybór zaś jej padł na wyznanie prawosławne. Całe to przejście skłoniło Tomkowidów do spółżycia ze stałymi mieszkańcami Syberji, a stronienia od współwygnańców.

IV. SKAZANI, KTÓRYM NIE TOWARZYSZYŁY RODZINY I BEZŻENNI.

A) Z Korony.

1) Barański Włodzimierz.

2) Bąkowski Henryk z Warszawy, skazany jako jeden z członków Trybunału Rewolucyjnego, dzielił z kolegami Piotrem Kobylańskim i Aleksandrem Pawłowskim ciężkie roboty w Usolu. Na skutek manifestu, przeniósł się do Krasnojarska i tam prowadził handel towarami warszawskiemi, a następnie do Ufy, gdzie się ożenił z panną Michaliną Wessel, która zmarła, wydając na świat pierworodną córkę. Powróciwszy z jedynaczką do Warszawy, wychowaniu jej starannemu poświęcił Bąkowski wszystkie usiłowania. Zostawszy urzędnikiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, mianowany był wkrótce radcą Dyrekcji Głównej tegoż Towarzystwa i na tem stanowisku zakończył życie w 1903 roku.

3) Bogusławski Władysław, wnuk Wojciecha a syn Stanisława, wysłany do Usola za udział w organizacji, po powrocie do kraju ożenił się, pracuje jako urzędnik w biurach kolei warszawsko-wiedeńskiej i prowadzi sumiennie kronikę krytyczną teatrów i koncertów warszawskich w czasopismach miejscowych. Krytyki Bogusławskiego na polu dramatycznem i muzycznem cieszą się wielkiem uznaniem i powodzeniem. Córkę jedyną wydał za znanego pisarza dramatycznego, Władysława Kozłowskiego.

4) Burzyński Adolf, brat Tomasza, posieleniec, za zezwoleniem władzy przeniósł się z włości, do której był naznaczony pierwotnie, do Usola, gdzie wspólnie z bratem pracował. Dalszych losów jego nie znam.

5) Chronowski Alojzy, handlował w Usolu starzyzną.

6) Czapiński Leopold, ukończył uniwersytet kijowski, poczem wstąpił do szkoły wojskowej w Genui. W 1863 r. brał czynny udział w ruchawce podlaskiej. Pojmany, zbity i osadzony w cytadeli warszawskiej, skazany został do ciężkich robót w Usolu. Po powrocie do kraju, ożenił się i ma dziś dorosłą córkę jedynaczkę, którą w roku bieżącym (1905) wydaje zamąż. Pracuje na polu pedagogicznem i literackiem, a jednocześnie jest urzędnikiem w biurach kolei fabryczno-łódzkiej. Najwybitniejszą z prac naukowych Czapińskiego jest dzieło pod tytułem: „Księga przysłów, sentencyj i wyrazów łacińskich, używanych przez pisarzów polskich".

7) Ekert Paweł z Warszawy syn przemysłowca (fabrykanta octu), w organizacji powstańczej pomocnik naczelnika żandarmerji, Pawła Landowskiego. Skazany na śmierć przez powieszenie, następnie ułaskawiony i zesłany do ciężkich robót. W czasie pobytu w Usolu pracował nad entomologją i wogóle nad naukami przyrodniczemi wspólnie z Hartungiem i Zienkowiczem, następnie dostał posadę w kopalniach złota na Alokmie. Wkrótce po powrocie do kraju przedwcześnie życie zakończył.

8) Frankowski Roman, po ukończeniu gimnazjum realnego warszawskiego za udział w powstaniu 1863 r. dostał się acz małoletni do ciężkich robót w Usolu, gdzie go nazywano jednym z czterech muszkieterów. Wróciwszy do kraju, nabył majątek w okolicach Białej Podlaskiej i tam gospodarzy, ożenił się i ma liczne potomstwo.

9) Gawroński Józef, był nadzorcą jednej z 9 warzelni solnych na wyspie usolskiej w czasie swego pobytu na Syberji.

10) Grabowski Mikołaj, zajmował się na wygnaniu szewiectwem.

11) Ilnicki Tomasz, kasjer Rządu Narodowego, mąż znanej autorki Marji z Majkowskich. W Usolu pod wpływem gwałtownej tęsknoty za krajem uległ rozstrojowi władz umysłowych i w tym stanie stał się pastwą zbrodni, zwabionej złotym sygnetem na palcu i nadzieją zdobycia kilkudziesięciu rubli. Nieprędko po dokonaniu morderstwa trup został znaleziony na jednej z wysp angarskich, bliskiej Usola.

12) Kamieński Stanisław z Lubelskiego, starzec literat, niegdyś redaktor jednego z pism codziennych warszawskich i autor książki „Chłop polski". W Usolu miał domek własny. Po przejściu na posielenie przeniósł się do Krasnojarska i zmarł tam niebawem.

13) Karwosiecki Gabrjel z Płockiego, właściciel ziemski, szambelanic.

14) Karwowski Jakób, przed powstaniem służył w policji warszawskiej.

15) Katerle Stanisław, był nadzorcą jednej z warzelni soli, nadto zajmował się sprzedażą papieru listowego i etykiet do pudełek na papiery z ręcznemi widokami Usola. Po powrocie do kraju zmarł bezżennie.

16) Kiejsiewicz Józef, szewc, po uwolnieniu z ciężkich robót ożenił się w Irkucku z Polką i miał liczne potomstwo.

17) Kobosko Ksawery, zdolny stolarz.

18) Kobylański Piotr mecenas, obrońca senatu, w 1863 roku należał chwilowo do składu Rządu Narodowego w kombinacji majowej, a następnie był prezesem Trybunału Rewolucyjnego. Nadużycie trunków stało się powodem jego śmierci w Usolu.

19) Kołudzki Józef.

20) Konstański Franciszek z Warszawy, były urzędnik pocztowy, przeniósł się do Wiatki.

21) Kostro Dionizy, stolarz z Warszawy.

22) Kręcki August, ukończył gimnazjum warszawskie. W Usolu należał do czwórki muszkieterów. Na Syberji zajmował się introligatorstwem galanteryjnem. Po powrocie do kraju pracował w biurach kolei nadwiślańskiej, a następnie warszawsko-wiedeńskiej, gdzie dotąd pozostaje. Zacny człowiek, dobry kolega, myślący zawsze o nieszczęśliwych i cierpiących.

23) Kuczyński Alojzy.

24) Kujawski Edward.

25) Kukliński Wincenty.

26) Lipski, po pierwszym manifeście 1866 r. uwolniony na zaludnienie, osiadł w pobliżu Usola w fabryce tilmeńskiej, gdzie otrzymał posadę kasjera przy fabrykach kupca Ostanina. Zamordowany podstępnie przez zbiega z robót Usolskich Dołżikowa, o czem jest obszerniejsza wzmianka w pamiętniku.

27) Ławcewicz Władysław.

28) Makowski Franciszek.

29) Makowski Jan, skazany za uwiezienie zdobytych pod Zyżynem armat. W Usolu miał sklepik i zajmował się stołowaniem.

30) Markowski Józef z Warszawy, subjekt z handlu Krupeckiego, na wygnaniu stołował kolegów, wyrabiał szczotki oraz gips z miejscowego alabastru, przytem malował cerkiew usolską. Po przeniesieniu się do Irkucka prowadził tam restaurację do spółki z fotografem.

31) Mianowski Czesław, był w Usolu sekretarzem A. Oskierki jako prezesa Towarzystwa Wygnańczego i opiekował się umysłowo chorym Narcyzem Jankowskim, potem zaś i sam zmysły postradał.

32) Migurski Lucjan, student piątego kursu medycyny, ukończył nauki lekarskie, ale ostatecznego egzaminu nie zdawał; mimo to miał dość rozległą praktykę w Usolu, a następnie w Bałagańsku. Był to synowiec głośnego w swoim czasie wygnańca, którego żona usiłowała wykraść, wywożąc w tarantasie

z dnem podwójnem, gdzie męża ukryła. Lucjan Migurski po przeniesieniu się do Rosji zdał egzamin na lekarza w Kazaniu, potem praktykował w Opolu (gub. lubelskiej), a następnie w Lublinie. Ożenił się z panną Bóbr, która oczekiwała na powrót narzeczonego z Syberji. Zmarł w 1896 roku, pozostawiając syna, który jest w Instytucie Technologicznym w Petersburgu, i córkę, dorosłą już pannę.

33) Miksuła Adam, mieszczanin z miasteczka Kamionki w powiecie lubartowskim (gub. lubelskiej), zesłany do ciężkich robót za udział w powieszeniu szpiega żyda. W Usolu łatał buty i usługiwał, mając jedną tylko nogę.

34) Muklanowicz Jan, prowizor farmacji, po powrocie do Warszawy zarządzał apteką.

35) Neumark Lambert, kandydat praw uniwersytetu petersburskiego, po opuszczeniu Usola pracował długi czas w kopalniach złota. Wróciwszy do kraju, ożenił się i nabył majątek w Sandomierskiem. Zmarł w 1900 roku.

36) Oborski Maksymiljan, były właściciel ziemski z Siedleckiego. Jako wykształcony rolnik, przesyłał przed wypadkami 1863 r. do roczników Towarzystwa Rolniczego w Królestwie sprawozdania z postępów rolnictwa w Anglji. Koledzy wygnania mieli mu do zarzucenia słabość charakteru, wykazaną przy badaniach komisji śledczej. W Usolu malował typy i widoki Syberji, przenosił się kolejno do Irkucka, Solikamska w gub. permskiej i Woroneża, wkońcu zaś, otrzymawszy paszport emigracyjny, przeniósł się do Galicji, gdzie życie zakończył.

37) Ochiński Franciszek.

38) Ornano Jan był w kraju faktorem.

39) Paprocki Gustaw, Polak mojżeszowego wyznania, zesłany jako student Szkoły Głównej. W Usolu pracował nad własnem wykształceniem i dawał lekcje. Po powrocie do kraju otrzymał posadę w administracji cukrowni „Dobrzelin". Przed paru laty ożenił się i jest obecnie właścicielem drukarni w Warszawie.

40) Pawłowski Aleksander, prawnik, jeden z członków Trybunału Powstańczego i za to skazany do ciężkich robót; prowadził sklep z artykułami warszawskiemi w Krasnojarsku razem z Bykowskim, potem w Omsku, gdzie w 1876 roku życie zakończył.

41) Raczyński Władysław, dozorca jednej z warzelni solnych w Usolu.

42) Raciborski Władysław, był czas jakiś gospodarzem z wyboru w koszarach.

43) Radziejewski Oswald.

44) Ratyński Józef Zenon z Kaliskiego, po uwolnieniu z ciężkich robót zamieszkał w Troickosawsku na Syberji, gdzie prowadził handel herbatą na większą skalę. Ożeniony z zacną Litwinką, panną Seweryną Jacyna, również zesłaną, którą poznał i poślubił w Irkucku, miał troje dzieci, dwóch synów i córkę. Przed kilku laty zmarł nagle na Syberji.

45) Romanowski Herman.

46) Ruszkowski Aleksy, kandydat praw petersburskiego uniwersytetu, jako prokurator Trybunału Rewolucyjnego skazany do ciężkich robót

w Usolu, gdzie zarządzający powierzył mu opiekę nad żywym inwentarzem warzelni, za co pobierał pensji 25 rubli miesięcznie.

47) Selwiński Robert, rzeźnik z Warszawy; w Usolu zajmował się biciem wieprzy i urządzaniem wędliny.

48) Skierecki Jan.

49) Skarzyński Aleksander.

50) Sochaczewski Aleksander, Polak mojżeszowego wyznania, uczeń szkoły sztuk pięknych w Warszawie, jako poczynający młody malarz okazywał duże zdolności, które wszakże przewyższała niezmierna zarozumiałość. Po powrocie do kraju wyjechał zagranicę, gdzie kształcił się długie lata w malarstwie, następnie wystawił cały szereg wykonanych przez siebie obrazów z życia wygnańczego, na tle przyrody syberyjskiej.

51) Spiesman, starozakonny, uważany przez kolegów wygnańców za zacnego człowieka.

52) Szwarc Roman.

53) Szymański Roman, mierniczy, w Usolu był rocznym introligatorem zarządu i kancelarji warzelni, za co pobierał małą pensję.

54) Waga Kazimierz, właściciel ziemski, człowiek bardzo lekkomyślny, zginął w pojedynku z rodzonym wujem po powrocie do kraju.

55) Wielobycki Stanisław, syn zamożnego właściciela ziemskiego.

56) Winkler Władysław.

57) Wohl Henryk, Polak mojżeszowego wyznania w najetyczniejszem tego słowa znaczeniu. Urodził się w Warszawie w 1836 roku, a po ukończeniu warszawskiego gimnazjum realnego pracował w domu bankowym S. A. Fraenkla aż do chwili wywiezienia go na wygnanie, to jest do listopada 1863 r. W latach 1856 i 57, w których młodzież warszawska łączyła się i grupowała, mając za cel samokształcenie się w zakresie dziejów ojczystych z ostatniej doby i stawianie pierwszych kroków na drodze organizacji, zmierzającej do odradzania się narodowego i politycznego, brał w pracach tych czynny udział, zaś w 1859 roku, w którym wobec konkretnych programów wyraźniej zarysowywały się stronnictwa, przyłączył się stanowczo do grupy młodzieży, skupionej przy programacie pracy narodowej, skreślonym przez Edwarda Jurgensa. Do prac tych należał Wohl jako jeden z najczynniejszych członków koła warszawskiego organizacji tak zwanej białej aż do chwili wybuchu powstania 1863 r. Po rozwiązaniu tej ostatniej przyjmował dorywczo udział w czynnościach stronnictwa ruchu, zaś w lipcu 1863 r. wszedł do organizacji powstańczej w charakterze członka wydziału skarbu, którego dyrektorem był naonczas Dionizy Skarzyński. Na tem stanowisku pracował Wohl z Tomaszem Ilnickim kasjerem, Józefem Toczyskim kontrolerem i Józefem Sommerem sekretarzem wydziału. W końcu sierpnia tegoż roku, po wyjeździe Skarzyńskiego z kraju, objął jego obowiązki, przelewając swoje na Bronisława Plewińskiego.

Naczelne stanowisko w wydziale skarbu pełnił bez przerwy w czasach zmian i gwałtownych przewrotów w łonie Rządu Narodowego we wrześniu i po utrwaleniu się dyktatury Traugutta aż do 6 listopada 1863 r., w którym to dniu został aresztowany, dla braku zaś dowodów wysłany administracyjnie



Fig. 81. Trzy mieszczanki Golickie pochodzenia nowogrodzkiego.



Fig. 82. Kazimierz Landyn.

6-go grudnia do miasta Solikamska w gub. permskiej, dokąd przybył 31-go marca 1864 roku. Po dwumiesięcznym pobycie w tem miejscu wygnania, na skutek zeznań więzionych w cytadeli warszawskiej osób, zwrócono go z Solikamska do Włodzimierza gubernjalnego, gdzie stała komisja rozpatrywała naonczas sprawy polityczne i wydawała wyroki. Komisja ta skazała go po trzymiesięcznem badaniu na 10 lat ciężkich robót, które wypadło mu odbywać z nami w Usolu, gdzie stanął w lipcu 1865 r. Po trzech latach, już jako posieleniec, uzyskał prawo zamieszkania w Irkucku, a od 1872 r. do połowy 1883 r. pracował w irkuckiej filji Banku Handlowego Syberyjskiego. Na mocy koronacyjnego manifestu w 1883 r. otrzymał pozwolenie powrotu do kraju, dokąd pośpieszył mimo pochlebną propozycję zajęcia suto płatnej posady dyrektora banku, w którym lat kilka pozostawał. Po powrocie do Warszawy pracuje w Zarządzie Drogi Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej jako główny buchalter. Postać to wyjątkowo szlachetna, gorąco kraj miłująca, a obok najidealniejszego poglądu na sprawy powszechne, odznaczająca się wysoką praktycznością w ocenie i wyborze środków, zmierzających ku urzeczywistnieniu raz wytkniętego i ściśle określonego celu. Gdyby miljony jego współwyznawców w kraju naszym chciały go obrać za wzór do naśladowania, zasłużyłyby niewątpliwie na najwyższe uznanie ze strony społeczeństwa polskiego, którem dziś darzyć ono może tylko ludzi wyjątkowych, tej kategorji i takiej miary, jak Henryk Wohl. Zaliczając go do najserdeczniejszych moich przyjaciół, nie mogłem się powstrzymać od złożenia tu hołdu całej jego przeszłości i teraźniejszej, skromnej, ale owocnej pracy i działalności.

58) Zajączkowski Wincenty, był w kraju urzędnikiem.

59) Zarzecki Władysław, z Warszawy.

60) Zdzienicki, stolarz.

61) Zieliński Franciszek, syn właściciela ziemskiego z Płockiego.

62) Zwierzchowski, strażak w warszawskiej straży ogniowej.

63) Żołądkowski Jan z Warszawy.

64) Żurkowski, miał zakład krawiecki w Usolu.

Oprócz wyliczonych przed chwilą sześćdziesięciu czterech wygnańców z Korony, których przysłano wprost do Usola, a którym nie towarzyszyły rodziny, przeniesiono do tej miejscowości w początkach 1867 r. z gorzelni Aleksandrowskiej więźniów politycznych, których pierwotnie obwiniono, a następnie po bliższem zbadaniu uniewinniono od zarzutu wywołania i wzięcia udziału w powstaniu zabajkalskiem. Wszystkich osób tej kategorji z różnych dzielnic dawnej Polski było stokilkadziesiąt, a w ich liczbie z Korony tylko trzynastu następujących:

1) Anszlag Mieczysław, górnik.

2) Bogusławski Wiktor, farmaceuta z Warszawy, jako nieletni skazany został do bataljonów orenburskich jako prosty żołnierz. W Kazaniu wraz z wielu innymi odmówił przysięgi na wierność cesarzowi, motywując to tem, że nie może łamać raz wykonanej już Rządowi Narodowemu Powstańczemu, za co wszyscy zostali skazani do ciężkich robót, W czasie pobytu w Usolu pracował Bogusławski wraz z Wasilewskim w aptece wygnańczej, a następnie

przez lat piętnaście w aptece prywatnej w Irkucku. Po powrocie do kraju i zdaniu egzaminu na prowizora zarządzał w Warszawie apteką Tugutów, a obecnie na takiemże stanowisku pracuje w Stawropolu,

3) Derengowski Piotr, rejent z Iłży.

4) Kiersnowski Tadeusz.

5) Korycki Lucjan.

6) Kuczyński August.

7) Puciatycki Wacław, syn właściciela ziemskiego.

8) Roszkowski Mikołaj.

9) Tomaszewski Teodor, ślusarz i puszkarz, skazany za wyrabianie pocisków wybuchających, w Usolu robił wybornie narzędzia chirurgiczne wedle modeli i wskazówek lekarzy.

10) Truskolaski Ignacy.

11) Tokarski Lucjan.

12) Ujazdowski Franciszek, uczeń szkoły wojskowej w Metz, bardzo zdolny i pracowity młodzieniec. W Usolu prowadził fabrykę świec i mydła. W Irkucku w czasie dokonywania doświadczeń z dziedziny chemji technologicznej uległ skutkiem wybuchu ciężkiemu oparzeniu, które stało się powodem jego śmierci.

13) Jalliard Juljan (pisał się Żaliar) pochodzenia francuskiego.

B. Wygnańcy z Litwy, Żmudzi, Inflant i Białej Rusi, którym nie towarzyszyły rodziny.

1) Abakanowicz Aleksander ze Żmudzi.

2) Baczanas Mateusz, włościanin żmudzki, pełnił obowiązki służącego u kolegów, a następnie prowadził handel w Irkucku i zdobył stosunkowo znaczny majątek.

3) Borowski Stanisław z Litwy, cieśla i stolarz, dokonał całej restauracji nabytego przeze mnie domku usolskiego w zakresie swojej specjalności.

4) Burnicki Aleksander ze Żmudzi.

5) Charmański Juljan, właściciel ziemski ze Żmudzi, po uwolnieniu z ciężkich robót przeniósł się do gub. jenisejskiej, gdzie pracował w kopalniach złota, jako nadzorca robót; następnie przenosił się kolejno do Tiumenia, Rosji europejskiej, Warszawy, wkońcu osiadł w stronach rodzinnych.

6) Downar Hieromin z Litwy, były oficer wojsk rosyjskich.

7) Dobrowolski Michał, obrządku wschodniego z Białej Rusi, przeszedłszy zkolei ulgi stopniowe zamieszkał w mieście Włocławku, ożenił się w kraju, ma córkę jedynaczkę.

8) Dudacz Józef, ze Żmudzi.

9) Dziekoński Karol, uczeń instytutu agronomicznego w Horkach (gub. mohylowska), po powrocie do kraju ożenił się z krewną swoją, wdową po Karolu Olizarze, znacznie od niego starszą osobą, i osiadł na wsi.

10) Ejsmont Adolf z Grodzieńskiego, dzierżawca, był dozorcą jednej z warzelni w Usolu, potem opuściwszy tę miejscowość pracował u kolegi w Irkucku jako subjekt w sklepie.

11) Filipowski Adam ze Żmudzi, uczeń siódmej klasy gimnazjum, pracował w polu i ogrodzie, a przez czas jakiś kucharzował w naszym domu, wywiązując się ze swych obowiązków najsumienniej.

12) Gieysztor Jakób, właściciel ziemski ze Żmudzi, ukończył uniwersytet petersburski w najświetniejszych jego dla Polaków czasach, kolega i przyjaciel Zygmunta Sierakowskiego, Włodzimierza Spasowicza, Aleksandra Oskierki i wielu im współczesnych. Ożywiony najwznioślejszemi uczuciami obywatelskiemi i patrjotycznemi, dał przekonaniom swym świadectwo, biorąc czynny i skuteczny udział w przeprowadzeniu uwłaszczenia włościan na Litwie i Żmudzi, a następnie w swem zachowaniu się wobec wypadków 1863 roku. Największy przeciwnik powstania przed jego wybuchem, uznał on za swój święty obowiązek stanąć w pierwszych szeregach organizacji, skoro wybuch nastąpił. Pomimo iż był jednym z członków Wydziału Litewskiego Rządu Narodowego, dla braku dowodów został tylko wywieziony administracyjnie do Ufy. Skutkiem wszakże zeznań więźniów, powrócono go do Wilna i stawiono przed komisją śledczą i sądem wojennym, który skazał Gieysztora na karę śmierci, zamienioną dzięki przeciąganiu się sprawy na dożywotnie ciężkie roboty.

Udając się na wygnanie, pozostawił w kraju żonę i kilkoro drobnych dzieci. W Usolu nabył własną chałupę, w której mieszkał wspólnie z Józefem Popowskim. Człowiek to większej miary społecznej, gorący patrjota, odznaczał się przytem wygórowaną prawością i uczciwością w życiu prywatnem, ale gwałtowny, namiętny, srogi w sądach o innych i mimowolnie uprzedzający się, co było źródłem niejednej przykrości w stosunkach codziennych. Przeniesiony z Usola do Irkucka jako posieleniec, a następnie do Wiatki jako mieszkaniec, wkońcu osiadł w Warszawie, gdzie owdowiał i ożenił się powtórnie z panną Ejsmont. Założywszy w tem mieście pod firmą jednego z synów księgarnię, prowadził samodzielnie z najwyższem zamiłowaniem handel nie tylko księgarski, ale i antykwarski, staremi drukami, mapami, autografami i t. d. Owocem tej bardzo mozolnej i sumiennej pracy było, o ile mię pamięć nie myli, piętnaście wybornie opracowanych katalogów. Oprócz tych niezaprzeczonych zasług dla społeczeństwa nie zdołał Gieysztor zapewnić swej pracy praktycznego powodzenia; to też pozostawiając żonie i dzieciom dobre imię, przekazał im jednocześnie najcięższe interesy. Na szczęście, niedługo przed śmiercią, która nastąpiła 15 listopada 1897 r., udało mu się sprzedać korzystnie dwie większe kolekcje zbiór prawie kompletny: literatury politycznej i polemicznej z czasów Stanisława Augusta, który nabył Józef Weyssenhof, i zbiór rękopisów, autografów, map i rycin, który kupiła bibljoteka Przeździeckich. Otrzymane z tych źródeł pieniądze opłaciły najpilniejsze i znaczniejsze długi, których resztę uiściła wdowa, sprzedając całą pozostałą po mężu książnicę hrabiemu Branickiemu i nie pozostawiając nic dla siebie. Zacna ta, a cicha i skromna niewiasta, pracą ciężką zdobywa środki bytu dla siebie i rodziny. Syn Gieysztora z drugiego małżeństwa, pełen wielkich zdolności, osierocił niestety matkę w wieku bardzo młodym, pozbawiając ją jedynego prawie celu w życiu.

13) Gieryc Albert, z Litwy.

14) Giedymin Justyn, z Litwy.

15) Głowacki Zacharjasz, stolarz ze Żmudzi.

16) Hurko Antoni, student z Białej Rusi, pracował w Usolu w polu i ogrodach, następnie w Irkucku pełnił czynności woźnicy u dra Jana Swidy, kolegi wygnania. Był to bliski krewny smutnej pamięci jenerał gubernatora warszawskiego, Hurki.

17) Hryniewiecki Jan z Grodzieńskiego, technolog i ziemianin. Po ukończeniu nauk zarządzał dłuższy czas dobrami i fabrykami jednego z zamożniejszych właścicieli ziemskich w gub. riazańskiej. Za zebrane najuczciwiej na tem stanowisku oszczędności nabył dobra na Litwie, gdzie osiadłszy ożenił się i rozpoczął pracę na własnem gospodarstwie prawie w przeddzień wybuchu 1863 r. Za udział czynny w organizacji i powstaniu skonfiskowano niedawno nabyty przez Hryniewieckiego majątek i skazano go do ciężkich robót. W Usolu był on istotnym zarządzającym warzelniami soli, wykrył nowe słone źródła, zbudował dwie nowe warzelnie, zmienił system warzenia soli, zastępując w opale „jołtysze" drzewem rąbanem. Skutkiem tak rozumnej i energicznej administracji osiągnął znaczne zwiększenie dochodów. Te wszystkie zyski zgarniał urzędowy komendant i zarządzający warzelniami Turow, płacąc Hryniewieckiemu 30 rs. miesięcznie pensji i naturalnie nie szczędząc mu nic nie kosztujących pochlebstw i uprzejmości. Gdy przeniósł się do Astrachania, przybyła do Hryniewieckiego żona jego z siostrą. Właściciel dóbr gub. riazańskiej, w majątkach którego pracował dawniej, dawał mu ciągle dowody swojej o nim pamięci i prawdziwej życzliwości i przyczynił się niemało do prędszego powrotu tej rodziny do kraju. Dalsze losy tego kolegi wygnania nie są mi znane.

18) Jastrzębski Antoni z Białej Rusi, pracował w polu i ogrodzie.

19) Jelski Karol.

20) Kaleński Józef, pracował w rzeźni.

21) Kalinowski Józef, syn dyrektora wileńskiego szlacheckiego instytutu, inżynier. W czasie powstania 1863 r. stał na czele Litewskiego Wydziału Wojny. W Usolu i Irkucku zdobył sobie wielką wziętość jako bardzo zdolny i cierpliwy pedagog. Po powrocie do kraju emigrował i został zakonnikiem reguły karmelitów. Był przeorem w Czerny pod Krakowem, na czas jakiś usunął się z tego stanowiska, obecnie wszakże na nie powrócił. [1])

22) Kamiński Jan z Grodzieńskiego, pokojowy rozjemca, właściciel dóbr na Litwie, w Usolu zajmował się krawieczyzną.

23) Kleczkowski z Litwy.

24) Klimontowicz Władysław z Litwy, były oficer wojsk rosyjskich, w powstaniu służył pod Zygmuntem Sierakowskim. Uratował mu życie dawny dowódca pułku, Rosjanin, który blisko go znał i wysoko cenił. Był to jeden z bardzo sympatycznych kolegów.

25) Klimaszewski Ferdynand z Litwy.

26) Kochański Aleksander ze Żmudzi, organista, usługiwał kolegom w Usolu i służył w zamożniejszych domach w Irkucku jako lokaj. Miał

[1]) Zmarł w roku 1907 w Wadowicach (P. W.).

brata księdza na wygnaniu w Tunce, przeznaczonej wyłącznie dla kapłanów posieleńców.

27) Kohn Albin, agronom i autor wielu prac na polu rolnictwa. Zarzucano mu nie dość powściągliwości w zeznaniach.

28) Konopacki Stefan, lekarz z Białej Rusi, zawzięty litwoman już w owych czasach, co uważano za niespodziane zjawisko i najzupełniej nie budzące sympatji.

29) Korbut Maurycy z Białej Rusi, rozdawał listy kolegom, za co mu wyznaczono małą pensyjkę z kasy wygnańczej.

30) Krysiński Stanisław ze Żmudzi.

31) Kutyrło Bazyli, Polak obrządku wschodniego z Białej Rusi wysłany za udział w stowarzyszeniu rosyjskiem socjalistycznem: „Zemla i Wola".

32) Landyn Kazimierz, ziemianin z Litwy, po uwolnieniu z ciężkich robót prowadził w Irkucku handel, który narazie pomyślnie się rozwijał, ale następnie tak się zaczął chylić ku upadkowi, iż konieczną się okazała likwidacja interesu, po której, dzięki akcji ratunkowej kredytorów i poważnych firm kupieckich, zdołał się Landyn podźwignąć i akuratnie zakończyć z wierzycielami rachunki. Obecnie już od lat wielu prowadzi on interesy handlowe w Moskwie; ożenił się, ma córkę, i cieszy się powszechnem uznaniem w kolonji polskiej i u krajowców. Pani Landyn pisze dramaty i nowele.

33) Makowiecki Michał, właściciel ziemski gubernji mohylowskiej, towarzyszącą mu w podróży na Sybir żonę stracił w Niżnym Nowogrodzie. Tytułowano go powszechnie pułkownikiem, chociaż nigdy wojskowo nie służył. W Usolu miał domek własny, zmarł w tej miejscowości w 1868 roku.

34) Mejsztowicz Zygmunt, student uniwersytetu petersburskiego, bardzo sympatyczny młodzieniec, mimo kalectwa, które go zmuszało używać kuli. Wkrótce po przybyciu naszem do Usola zmarł na tyfus.

35) Missuna Franciszek, lekarz, wychowaniec uniwersytetu moskiewskiego, pracował przez czas pewien na Ukrainie w dobrach Branickiego w zakresie swojej specjalności. W Usolu miał dość znaczną praktykę jako chirurg, a nawet wzywano go z doktorem Janem Świdą na konsyljum do Irkucka, dokąd wysyłano lekarzy tych pod eskortą. Po uwolnieniu z ciężkich robót wyruszył Missuna do Tiumenia, a następnie przeniósł się do dóbr Koziełły Poklewskiego w gub. permskiej, gdzie otrzymał stałą posadę lekarza.

36) Olendzki Stanisław, właściciel ziemski z Litwy i oficer jeneralnego sztabu, po opuszczeniu Usola ożenił się z siostrzenicą Apolinarego Hoffmeistra, panną Podgórską. Po powrocie do kraju dzierżawił wioskę w ordynacji zamojskiej; wkońcu osiadł w Warszawie, gdzie zmarł, pozostawiając wdowę i syna, dziś dorosłego mężczyznę.

37. Oskierko Bolesław, ziemianin z gub. mińskiej, po powrocie do kraju mieszkał czas dłuższy w Warszawie z przybyłą tam z Litwy rodziną; wkońcu przeniósł się do stron rodzinnych.

38) Piekarski Józef z Litwy, wychowaniec uniwersytetu moskiewskiego, bardzo inteligentny i fachowo wykształcony lekarz. Pragnąc być

pożytecznym kolegom, opuścił dobrowolnie Usole, gdzie było kilkunastu lekarzy wygnańców, aby udać się do Kiryńska, gdzie nie było żadnego. Do tej miejscowości, upośledzonej pod każdym względem, wysyłano tylko skazanych do ciężkich robót zesłańców politycznych, należących do kategorji nieuprzywilejowanych, to jest nieszlachty i po największej części niezamożnych. Miał więc pole Piekarski oddać na tem stanowisku wyjątkowo wielkie usługi najnieszczęśliwszym kolegom wygnania i z tego zadania wywiązał się bardzo sumiennie. Po uwolnieniu z ciężkich robót osiadł w Irkucku, gdzie wkrótce zdobył obszerną praktykę. Ożenił się z przybyłą z kraju narzeczoną, panną Eweliną Rodziewiczówną. Będąc u szczytu powodzenia jako lekarz praktyk, zapadł Piekarski na ciężki rozstrój umysłowy w r. 1879. Przewieziony przez żonę do Warszawy i umieszczony u Jana Bożego przedwcześnie zakończył swój żywot w 1881 roku dnia 13 listopada. Żona zamieszkała w kraju; mieli trzy córki, z których dziś jedna zamężna.

39) Redlich Emil z Grodzieńskiego, dzierżawca, mieszkał potem jako posieleniec w Krasnojarsku.

40) Rodkiewicz Szymon z Wilna, kupiec.

41) Samojło Karol z Białej Rusi, lekarz wychowaniec moskiewskiego uniwersytetu, ożenił się z sybiraczką wyznania wschodniego, potem pracował przy kopalniach złota jako lekarz.

42) Sauris Franciszek ze Żmudzi.

43) Sipniewski Władysław z Kowieńskiego, lekarz, wychowaniec akademji medyko-chirurgicznej petersburskiej, jeden z adjutantów Zygmunta Sierakowskiego. Na wygnaniu praktykował przeważnie jako akuszer i ginekolog. Po przeniesieniu się do Irkucka miał w tem mieście bardzo obszerną praktykę i zebrał znaczny kapitał. Ożenił się na Syberji z panną Julją Kwiatkowską, córką Polaka, urzędującego na Syberji, a siostrą Bakuninowej. Po powrocie do kraju osiadł dr. Władysław w Warszawie, gdzie w dalszym ciągu prowadził praktykę akuszeryjną i ginekologiczną. Stracił żonę, sam zaś zniedołężniał i w tym stanie lat kilka zostawał aż do śmierci, która nastąpiła w 1904 roku.

44) Skaczkowski Antoni z Litwy, student uniwersytetu, zajmował się w Usolu stolarstwem, następnie ożenił się w Irkucku z siostrzenicą pani Hoffmeister, panną Marją Domaradzką. Po powrocie do kraju pracował w administracji fabryki cukru w Królestwie. Zmarł, zostawiając liczną rodzinę w ciężkiem położeniu; wdowa, nie szczędząc pracy i zabiegów, wychowuje młode pokolenie, w miarę swych bardzo ograniczonych środków.

45) Skoczyński Medard z Grodzieńskiego, na wygnaniu zajmował się kucharstwem, miał dwóch synów, zesłanych do gubernji tomskiej.

46) Surwiłło Jerzy ze Żmudzi.

47) Świda Jan z Litwy, lekarz. Po ukończeniu uniwersytetu moskiewskiego pracował w klinikach wiedeńskich i pruskich. Kalwin, jak i cała rodzina tego nazwiska. W Usolu był rocznym lekarzem u komendanta i zarządzającego warzelniami usolskiemi, Turowa. Po przeniesieniu się do Irkucka cieszył się wielką wziętością jako światły i zdolny specjalista. Po powrocie do kraju praktykował w Wilnie i zebrał duży fundusz. Brał udział w spółce, która

nabyła wielkie dobra w litewskiej dzielnicy Kongresówki, a po dokonanem ich rozsprzedaniu nabył własną wieś, w której latem mieszka, nie opuszczając Wilna. Ożeniony z rodzoną synowicą, Heleną Świdówną, ma dwoje dzieci, syna i córkę, dziś już dorosłych.

48) Świda Bolesław z Mińskiego, kalwin, były nauczyciel w słuckiem gimnazjum, bardzo wykształcony i posiadający dar wymowy. W Usolu zawiadywał żywym inwentarzem warzelni solnych, za co pobierał 25 rubli miesięcznie. W chwilach wolnych pracował dużo umysłowo. Miał dla kolegów odczyt o filozofji Comteà. Przeniósł się do Irkucka, a następnie do Tobolska, gdzie prowadził handel do spółki z Antonim Jeleńskim. Potem, gdy doń przybyła żona, dawali oboje lekcje prywatne. Po przybyciu do gub. permskiej Świda otrzymał posadę u Alfonsa Koziełły Poklewskiego. Córkę wydali za Gustawa Hnatowskiego, wygnańca z Ukrainy. O dalszych ich losach nie wiem.

49) i 50) Świętorzeccy Rodryg i Apolinary z Mińskiego, krewni Bolesława, który w 1863 roku był wojewodą mińskim i emigrował. Apolinarego, bawiącego u krewnego w gub. tambowskiej, aresztowano, biorąc go za Bolesława, o czem szczegółowiej wspomniałem w pamiętniku. Co się stało z obu braćmi po opuszczeniu Usola, nie wiem.

51) Trzaskowski Ignacy z Litwy, lekarz z uniwersytetu moskiewskiego. Zdolny i idealnie szlachetny człowiek, posiadał miłość ludzką i cześć powszechną. Zmarł w Irkucku przedwcześnie z choroby serca.

52) Walicki Józef, syn znanego i ogólnie szanowanego profesora uniwersytetu charkowskiego Alfonsa Walickiego, wielkich zdolności i wykształcony młodzieniec, ale się zmarnował na wygnaniu, żeniąc się z sybiraczką obrządku wschodniego.

53) Wielohorski Mieczysław, młodszy brat Michała, z którego rodziną nie rozłączał się na wygnaniu. Po powrocie do kraju uzyskał paszport i studjował medycynę w krakowskiej wszechnicy, którą ukończył jako lekarz. Ożenił się z panną Plater, nabył plac w Zakopanem i pobudował willę w pobliżu kościoła jezuitów. Osierocili kilkoro dzieci, umierając niemal jednocześnie po krótkiej chorobie.

54) Weryho Artemjusz z Białej Rusi, spisywał dziennik. [1])

55) Wojewódzki Juljan.

56) Wojsiatycz Józef, agronom, rodem z Królestwa, zesłany na wygnanie z Litwy, gdzie zajmował posadę. Na Syberji uprawiał ogrody i na wystawie irkuckiej otrzymał medal za model ula ramowego, zastosowanego do miejscowego klimatu. Po powrocie do kraju zarządzał dobrami Krasińskich (Złotym Potokiem), później jenerałowej Kickiej (Jaszczowem). Zmarł w Lublinie.

57) Wołodźko Władysław z Litwy, oficer dymisjonowany.

58) Zapolski Edmund, po powrocie do Warszawy założył pracownię obuwia, a następnie fabrykę listew i ram ozdobnych.

59) Zienkowicz Feliks, ziemianin powiatu prużańskiego gubernji grodzieńskiej, syn Pawła Zienkowicza, tego, który jako uczeń piątej klasy za czasów Nowosilcowa podczas tak zwanej sprawy szkół świsłockich odebrał chłostę

---

[1]) Rękopis tego dziennika znajduje się w bibljotece Czartoryskich w Krakowie. (Przyp. Wyd.).

publiczną na rynku i został oddany w sołdaty. Rodzonym stryjem Feliksa był Leon Zienkowicz, znany wśród emigracji z 1831 roku, członek Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego, wydawca zjadliwego Albumu Pszonki i autor wielu pism politycznych i literackich różnej treści. Matką Feliksa była Marja z Ponikwickich, która osierociła go zaraz po wydaniu na świat w 1842 roku w Mokranach na Polesiu zabrzeskiem. Z rodzeństwa miał tylko jedną siostrę Paulinę, zamężną Tytusową Pusłowską. Początki wychowania domowego odebrał staranne pod okiem ojca, którego wcześnie utracił, bo już w czternastym roku życia. Nauki szkolne pobierał w szkole powiatowej w Prużanie, następnie w gimnazjum w Białymstoku. Ukończywszy lat 17, w 1859 r. udał się do Petersburga na studja uniwersyteckie i jako wolny słuchacz fakultetu fizyko-matematycznego uczęszczał na wykłady wydziału przyrodniczego. W 1861 roku, po ukazie lutowym, znoszącym poddaństwo, powrócił na Litwę, ażeby w dziedzicznej swej majętności Mokre przeprowadzić reformę stosunków włościańskich przez oczynszowanie, połączone ze skupem posiadanych przez włościan nadziałów gruntu, zapomocą 36-letniej opłaty czynszu z natychmiastową darowizną włościanom ich sadyb i zniesieniem szachownic drogą zamiany gruntów, czego wszystkiego dokonał po długich usiłowaniach. Włościanie podpisali odnośną ugodę dobrowolną w postaci prawem przepisanej. W tym czasie, aczkolwiek jeszcze niepełnoletni, brał czynny udział w życiu obywatelskiem swych stron rodzinnych w Prużańskiem, Kobryńskiem i Brzeskiem, dopuszczany do obrad i zjazdów nawet urzędowych.

W 1862 r. udał się na dalsze studja naukowe zagranicę, osiadł w Paryżu i słuchał wykładów przyrodniczych i medycznych. Po wybuchu powstania styczniowego, w lutym 1863 r. postanowił przyjąć w niem udział, występując zbrojnie, o ile będzie można, w swoich stronach rodzinnych. Spotkanie się w Londynie z Józefem Demontowiczem, komisarzem Komitetu Centralnego, organizującym wyprawę morską z Anglji na Żmudź celem dostarczenia kadrów i uzbrojenia mającemu tam wystąpić oddziałowi powstańczemu, pokierowało inaczej Feliksem Zienkowiczem. Wezwany przez Demontowicza na sekretarza i pomocnika przyjął udział w tej wyprawie i wyruszył z Anglji na parowcu Ward-Jackson, unoszącym oddział zbrojny około 180 ludzi pod dowództwem pułkownika Łapińskiego, znaczny zapas broni i amunicji, oraz komisarza Demontowicza. Smutne losy tej wyprawy było w swoim czasie głośne. Statek Ward-Jackson, zatrzymawszy się przy szwedzkim porcie Helsinborg na Sundzie dla stosunkowo błahego powodu, bo dla zabrania na swój pokład znanego emigranta rosyjskiego Bakunina [1]) i Walerjana Kalinki, zaskoczony został niespodzianie przez gwałtowną burzę i stracił przez to parę drogich dni czasu, podczas których rząd rosyjski mógł zarządzić pościg za nim przez fregatę wojenną, znajdującą się w Anglji i uprzedzić zaprzyjaźniony rząd duński. Kapitan okrętu, z obawy przed następstwami przygotowywanej na statku obrony na wypadek, gdyby ten został dopędzony przez

[1]) Bakunin, pragnąc dostać się do Rosji w celach szerzenia tam propagandy rewolucyjnej, zdążał na statek wraz z Walerjanem Kalinką, który przywoził Demontowiczowi wiadomość od Ks. Konstantego Czartoryskiego, bawiącego w Sztokholmie i pracującego na własną rękę nad obudzeniem sympatji Szwedów dla sprawy polskiej.



Fig. 83. Juljan Belina Kędrzycki.



Fig. 84. Wacława z Sobańskich Bnińska.



Fig. 85. Różecki.



Fig. 86. Bronisław Padlewski.

Moskali na pełnem morzu, podstępnie zaprowadził swój parowiec do portu w Kopenhadze i tu zemknął z niego wraz ze swą całą załogą. Od zaaresztowania uczestników wyprawy i przytrzymania statku z całym ładunkiem uratować się można było tylko przez natychmiastowe opuszczenie Kopenhagi, co też zostało uskutecznione przy pomocy duńskich marynarzy, którzy jednak podjęli się tylko odprowadzić Ward-Jacksona do najbliższego portu w Szwecji, gdzie nie mogło już grozić aresztowanie ze względu na obowiązujące „droit d'asyle" i usposobienie dla Polaków.

Schroniono się tedy do portu w południowej Szwecji, Malmö zwanego, gdzie niefortunna wyprawa doznała przychylnego przyjęcia od władz, a od ludności niezasłużonych względów i owacyj. Natychmiast potem Demontowicz, zupełnie chory, udał się do Sztokholmu, Zienkowicz zaś otrzymał polecenie udania się do Polski, dotarcia do siedliska Rządu Narodowego dla zdania sprawy z organizacji, wyruszenia i niepowodzeń wyprawy żmudzkiej, przedstawienia widoków na przyszłą działalność w Szwecji i ponowienia wyprawy morzem, oraz uzyskania dla nich potwierdzenia Rządu Narodowego lub odmiennych instrukcyj. Zasięgnąwszy wiadomości w Berlinie i Wrocławiu, Zienkowicz skierował się do Krakowa. Gdy się tam okazało, że Rząd Narodowy w składzie swym ówczesnym przebywa w Warszawie, ruszył dalej do Warszawy i tam we właściwych wydziałach sprawozdania swe złożył, doręczywszy uprzednio Oskarowi Awejdzie pismo Demontowicza, wystosowane do Komitetu Centralnego, jako tymczasowego Rządu Narodowego. Zatrzymany w Warszawie dłużej niż pragnął w oczekiwaniu na ekspedycję powrotną [1]), Zienkowicz w samą niedzielę przewodnią przebył rogatki miejskie w przebraniu za lokaja i po różnych przygodach dostał się do Krakowa, gdzie uprzednio przybyły z Warszawy Jan Majkowski doręczył mu część papierów i 3.000 rb. w asygnatach rosyjskich, które miał zabrać do Szwecji. Instrukcję zaś dla Demontowicza, nominację dla niego na Komisarza Rządu Narodowego w Szwecji, nominację dla siebie na sekretarza Komisarjatu w Szwecji i osobną instrukcję ze wskazaniem obowiązków swych i sposobów ich wykonania Zienkowicz chował przy sobie w całym ciągu podróży. Z Krakowa, zaopatrzony w paszport angielski, udał się do Szczecina, stąd parowcem do Göteborga i dalej koleją do Sztokholmu, gdzie zastał Demontowicza w stanie rekonwalescencji.

Instrukcje Rządu Narodowego, wydane Demontowiczowi na piśmie i w ustnem rozwinięciu za pośrednictwem Zienkowicza, polecały dołożyć starania, żeby wylądowanie oddziału zbrojnego mogło się dokonać na brzegach żmudzkich; osobne wskazania dane były względem reprezentacji sprawy polskiej wobec Szwedów przez komisarza Rządu, co do jego stosunku do księcia Konstantego Czartoryskiego i do Bakunina, przebywających jednocześnie w Sztokholmie. Zienkowicz oddzielnie miał wskazane sobie zadanie: informowanie o sprawach polskich prasy miejscowej i jednania sprawie powstania współczucia szerszych warstw ludności, zwłaszcza młodzieży. Z tego zadania tem łatwiej było Zienkowiczowi wywiązać się, im przychylniej dla Polaków zastał usposobionych Szwedów, a z dumą należy podkreślić, że zachowanie się oddziału, który

[1]) Nie czekając na legitymacje, które miały mu ułatwić wydostanie się zagranicę.

przebywał dłuższy czas w Malmö pod surowem dowództwem Łapińskiego, ładem i karnością codzienną, a bohaterskiem zachowaniem się podczas pożaru wszczętego na stojącym w porcie i jeszcze naładowanym amunicją Ward-Jacksonie, wyrobiło doskonałą opinję Polakom powstańcom, nawet w miejscowych sferach urzędowych. Demontowicz odrazu dobrze został w Sztokholmie przyjęty, z powodu zaś choroby otoczony życzliwością, którą potrafił utrwalić i długo później cieszyć się nią i doznawać jej dowodów od Szwedów i Duńczyków. Zienkowicz miał przeto zadanie ułatwione. Redakcje dzienników Aftonbladet, Nya-Dagligt Allehanda, Illustr. Tidning, stanęły mu otworem i najchętniej korzystały z informacyj do działu spraw polskich. Liga Polska miejscowa była z nim w ciągłym stosunku przez swego sekretarza, p. Haralda Wieselgrena; u poważnych wiekiem i stanowiskiem dygnitarzy, jakim był p. Nordström, archiwarjusz państwa, został wkrótce raczej domowym niż gościem, młodzież uniwersytecka garnęła się doń i zapraszała na uroczyste komersy w Upsali i Lundzie.

Sam król Karol XV zechciał widzieć w najściślejszem incognito młodego wysłańca Rządu Narodowego i z ust jego usłyszeć potwierdzenie, że rząd ten istotnie przebywa nie poza granicami, lecz w Warszawie, i skoro tylko zdoła owładnąć niepodzielnie jakąś cząstką kraju, wystąpi jawnie, chociaż król ten nie przestawał odbierać bezpośrednich wiadomości o wszystkiem, co z kraju otrzymywanem było przez komisarjat polski w Sztokholmie, za pośrednictwem swego bibljotekarza, Finlandczyka wychodźcy p. Emila Granten, który serdecznie zaprzyjaźnił się zarówno z Demontowiczem jak i z młodziutkim Mr Felix, bo tak dla wszystkich niewtajemniczonych nazywał się w Szwecji Feliks Zienkowicz. Gdy zaś Demontowicz, nękany chorobą nerwową, przebywał na kuracji hydropatycznej w Södertelje, Zienkowiczowi wypadło często występować w okolicznościach i warunkach, do których sam czuł, że nie dorósł jeszcze, jak np. na bankiecie politycznym w Sztokholmie, gdzie musiał przemawiać po tak znakomitym, aczkolwiek namiętnym i unoszącym się mówcy, jakim był Bakunin, wobec nader poważnego grona deputowanych, oraz inteligencji miejscowej. Robił jednak, co zdołał, a wiek młody jednał mu pobłażliwość i budził sympatję.

Tymczasem oddział Łapińskiego, przebywający w Malmö w surowej organizacji wojskowej i codziennie ćwiczony w robieniu bronią, gotował się do wyruszenia drogą uprzednio zamierzoną, aczkolwiek w odmiennych warunkach. Ponieważ brzegi żmudzkie były pilnie strzeżone przez flotę rosyjską, krążącą po Bałtyku, która wciąż obserwowała i port Malmö ze znajdującym się w nim Ward-Jacksonem i ulokowanym w mieście polskim oddziałem, udano, że oddział ten odstępuje od zamiaru urządzenia zbrojnej wyprawy i powraca do Francji i Anglji; w rzeczywistości zaś pułkownik Łapiński z doborowymi 140 ludźmi i niewielkim transportem broni i amunicji w końcu czerwca popłynął na statku żaglowym, umyślnie na ten cel nabytym przez Demontowicza, nie ku rosyjskim brzegom Żmudzi, lecz ku pogranicznym pruskim, by tam w zatoce Kurońskiej próbować wylądowania, w celu dostania się forsownym marszem do gub. kowieńskiej, gdzie powstanie już wybuchło, wspierane przez lud prosty. Nieszczęśliwą od początku wyprawę spotkała nowa fatalność. Podczas rozpoczętego wylądowywania, gdy niepodobna było już odłożyć go lub cofnąć się, nagły wicher

przewrócił największą łódź ze czterdziestu ludźmi i z nich 24 pochłonęły fale. Resztkę rozbitków pół martwych uratowano na pokład żaglowca, który musiał schronić się na wyspę Gotland, żeby nie zostać zabranym przez Moskali lub Prusaków, jednakowo w tym razie niebezpiecznych. Rząd rosyjski po tym wypadku wystąpił z ostremi przedstawieniami do rządu szwedzkiego i mogłoby się zakończyć gwałtownym zatargiem z powodu żądania, by niedoszli powstańcy przez Szwecję zostali wydani, lecz król Karol XV. osobistem wdaniem się sprawę rozwiązał, posłał bowiem na wyspę Gotland okręt, który zabrał rozbitków i kosztem króla odwiózł ich do Anglji. Żaglowiec zaś, który wiózł wyprawę Łapińskiego, umknął z całym swym ładunkiem i pozostał w dyspozycji Demontowicza.

Zienkowicz oczekiwał na rezultat zamierzonego wylądowania w Kopenhadze, ażeby zawieść nowe sprawozdanie do Warszawy i wrócić napowrót na swe stanowisko w Szwecji. Wtedy to powtórnie postanowił przenieść swą działalność na Litwę, gdzie warunki były najcięższe, i nie wracać na bezpieczne stanowisko, bardziej odpowiednie komuś poważniejszemu i starszemu wiekiem. Po nieszczęśliwym wypadku i zdecydowanych już losach oddziału Łapińskiego, Zienkowicz załatwił związane z tem sprawy w Paryżu i podążył do Warszawy, kierując się znowu na Kraków, z którym Komisarjat Sztokholmski był w ciągłym stosunku. Przedostawszy się szczęśliwie przez granicę i dalej do Warszawy, gdzie łatwo mu było przebywać w ukryciu, zastał organizację Rządu Narodowego w największym rozwoju (lipiec 1863), natomiast z Litwy wiadomości były coraz gorsze. Organizacja litewska, pozbawiona już wielu najlepszych swych ludzi, słabła i rozprzęgała się, a Murawiew srożył się i tem silniejszy nacisk wywierał na nieszczęśliwy ten kraj. Ażeby ratować pozycję, Rząd Narodowy posłał do Wilna jednego z najzdolniejszych swych członków, Oskara Awejdę, jako nadzwyczajnego komisarza pełnomocnego, i zamierzał zasilić tameczną organizację nowymi ludźmi. Zienkowicz, mianowany sekretarzem Wydziału Zarządzającego w prowincji litewskiej i wzywany przez Awejdę, udał się do Wilna pod przybranem nazwiskiem Ferdynanda Essera, lecz tam pełnił swą czynność zaledwie przez parę tygodni, gdyż w połowie sierpnia został zaaresztowany podczas rewizji, dokonywanej u nieobecnego już w Wilnie naczelnika miasta, członka Wydziału Zarządzającego, Władysława Małachowskiego.

Znalezione następnie w bibljotece Małachowskiego, który był krewnym Zienkowicza, fotografje tego ostatniego amatorskie w grupach, aczkolwiek robione przed paru laty, dopomogły komisji śledczej do zdemaskowania rzekomego Ferdynanda Essera, który został poddany ścisłemu śledztwu w więzieniu klasztoru podominikańskiego, zwłaszcza odkąd ujęty w Grodnie, zbiegły z Wilna naczelnik policji powstańczej, podwładny Małachowskiego, wskazał na Zienkowicza vel Essera, jako na sekretarza Wydziału Zarządzającego, znającego osobiście wszystkich członków najwyższej władzy organizacyjnej. Uporczywe przeczenie Zienkowicza i szczęśliwy skład okoliczności nie pozwoliły dowieść mu tego oskarżenia. Został jednak zaliczony do organizacji litewskiej w charakterze korespondenta do dzienników zagranicznych przez komisję śledczą i wraz z członkami tej organizacji w liczbie przeszło czterdziestu stawiony przed sądem wojennym, który za udział

Zienkowicza w wyprawie na Ward-Jacksonie i późniejszą działalność zaliczył go do pierwszej kategorji przestępców i skazał na śmierć przez powieszenie. Wyrok ten w konfirmacji uległ zamianie na pozbawienie wszelkich praw, konfiskatę majątku i zesłanie na lat dwanaście do ciężkich robót w kopalniach nerczyńskich, z następnem osiedleniem na Syberji.

W wykonaniu tego wyroku Zienkowicz został wywieziony z Wilna w samo Boże Narodzenie 1863 r. z liczną partją wygnańców. Do Niżnego Nowgorodu dostawiony koleją, przestrzeń stąd do Tiumenia odmierzył krokami w partjach, prowadzonych etapami. Z Tiumenia na parostatku przybył w początku lata 1864 r. do Tobolska, gdzie gubernator Despot-Zenowicz pozwolił mu zatrzymać się na parę miesięcy dla nawiązania korespondencji z rodziną, a pobyt ten został przedłużony do listopada skutkiem ciężkiej choroby tyfusu, na który Zienkowicz zapadł w więzieniu tobolskiem. Dalszą podróż do Irkucka odbył podczas zimy r. 1864/5 względnie wygodnie, w osobnej partji politycznych zesłańców, wiezionej rozstawionemi końmi włościańskiemi, jadąc z Tadeuszem Woyczyńskim we własnych saniach, nabytych w Tobolsku. Do Irkucka przybył w początku marca 1865 r. i w tymże miesiącu został wysłany nie do kopalń nerczyńskich, jak wyrok opiewał, lecz do warzelni solnych w Usolu pod Irkuckiem, będąc podany za krewnego rodziny dra Łagowskiego, z którym zaprzyjaźnił się w więzieniu tobolskiem i odtąd zajął się kształceniem jego dzieci. W Usolu Zienkowicz przebył trzy lata, stopniowo korzystając z coraz większej swobody w rozporządzaniu czasem, który poświęcał dalszemu kształceniu się własnemu, kształceniu dzieci kolegów wygnańców, zwłaszcza bardzo zdolnego Michasia Łagowskiego, zaś w ostatnim roku i zajęciom przyrodniczym, w zakresie entomologji głównie, tworząc bogaty zbiór owadów wspólnie z Mikołajem Hartungiem i Pawłem Eckertem.

W lecie 1868 r. w następstwie trzech zkolei po sobie następujących manifestów carskich z ulgami dla uczestników powstania 1863 r., Zienkowicz został uwolniony od ciężkich robót i zaliczony do kategorji bezprawnych osiedleńców z przeznaczeniem do gminy Uryk (Urikowskaja Wołost), lecz za staraniem dra Łagowskiego, już od dłuższego czasu przebywającego w Irkucku i cieszącego się tam wielką wziętością, mógł udać się wprost do stolicy Syberji Wschodniej i zamieszkać u Łagowskich, którzy wysoko cenili jego pracę wychowawczą. Łagowski też ułatwił i urządził w lecie 1869 r. wycieczkę Zienkowicza z nieodstępnym Michasiem do Kułtuku, gdzie przebywał wówczas dr Benedykt Dybowski, opracowując faunę jeziora Bajkalskiego. Zienkowicz spędził parę miesięcy letnich na wyprawach kolektorskich w okolice Bajkału, na samo jezioro i w przyległe góry Chamardabanu, która to ostatnia powtórzoną została w towarzystwie samego Łagowskiego, znakomitego zbieracza roślin, przedstawiała bowiem nader ciekawe wyniki botaniczne. W zimie tego samego roku Zienkowicz powrócił do Kułtuku i czas dłuższy pracował wespół z Dybowskim i Godlewskim przy kolekcjonowaniu i opracowaniu raczków bajkalskich i wówczas to wyrysował wszystkie tablice do odnośnej pracy Dybowskiego, wydanej w języku niemieckim (Beiträge zur Kenntniss der Gammoroiden des Baikalsees). Gdy następnie dr Łagowski umarł w Irkucku,

a osierocona rodzina powróciła do kraju, Zienkowicz oddał się szerszej pracy pedagogicznej i przez cały szereg lat pracował na polu nauczycielstwa prywatnego z wielkiem powodzeniem, nawet materjalnem, podczas gdy siostra, pozostała w kraju, nie przestawała robić u władz najwyższych starań o powrót brata, wciąż jednako bezskutecznie.

Od r. 1872 zaczęło Zienkowiczowi przysługiwać prawo przesiedlenia się do jednej ze wskazanych gubernij Rosji europejskiej, lecz gdy w Syberji miał bezporównania większą swobodę i pod każdym względem lepsze warunki, nie chciał wyrzekać się takowych, dopókiby nie zdobył względnej pewności, że choć za urlopem czasowym będzie mógł dostać się do stron rodzinnych. W roku 1880, zwiedziwszy kraj Zabajkalski do granic Mongolji, Zienkowicz już jako wrócony do praw stanu, lecz jeszcze zostający pod dozorem policyjnym zesłaniec polityczny, w następnym 1881 r. udał się do gubernji nowgorodzkiej, do Nowgorodu Wielkiego, i po krótkim pobycie w tem mieście, dzięki poparciu z Irkucka, mógł nareszcie przybyć na Litwę za urlopem sześciomiesięcznym, który następne starania w Petersburgu zamieniły na prawo stałego pobytu w kraju, a ostatni manifest carski, dotyczący uczestników ruchu z r. 1863, zwolnił go ostatecznie od wszelkiego dozoru jawnego.

Do kraju powrócił Zienkowicz z gorącą chęcią i mocnem postanowieniem pracowania na roli. Chęć ta stała się powodem ciężkich zapasów z losem, pierwsze bowiem lata pobytu na Litwie zeszły mu w wyczerpującej a zupełnie niewdzięcznej pracy na dzierżawie majętności poleskiej. Dopiero gdy wyrzekł się samodzielnego stanowiska, a podjął obowiązki administratora dóbr kolegi z wygnania w Usolu i Irkucku, Augusta Iwańskiego, właściciela Wierzbicy, Równianek i Gardzienic, [1]) odetchnął i zaznał wysokiego zadowolenia owocnej pracy na roli w doskonałych warunkach gleby i otoczenia. Od chwili osiedlenia się w Wierzbicy w r. 1890 i ożenienia się w tymże roku z siostrzenicą swą Marją z Pusłowskich los wogóle sprzyja Zienkowiczowi, który ma szczęście domowe i byt mierny w pracy zawsze mu wdzięcznej. Obecnie mieszka stale w Warszawie dla kształcenia córek, których ma cztery: Annę, Henrykę-Paulinę, Bolesławę-Feliksę i Marję, a wszystkie zdrowe i na dzielne Polki wyrość obiecujące. Pracuje na stanowisku sekretarza Zarządu i prokurenta Towarzystwa Warszawskiego oczyszczenia i sprzedaży spirytusu.

Oprócz wyliczonych przed chwilą 59 wygnańców z Litwy, Inflant i Białej Rusi, których przysłano do Usola, przybyli do tej miejscowości w r. 1867 z gorzelni aleksandrowskiej uniewinnieni ze sprawy zabajkalskiej w liczbie jednastu, a mianowicie:

1) Czerniak Wandalin z Białej Rusi.
2) Dzięgielewski Stanisław z Litwy.
3) Janczewski Ignacy z Białej Rusi, który założył w Usolu piekarnię, a następnie ożenił się z Sybiraczką.
4) Jankiewicz Edward z Litwy.

[1]) W powiecie krasnostawskim gubernji lubelskiej.

5) Jastrzębski Adam, student instytutu agronomicznego w Horkach na Białej Rusi, pracował w Usolu w polach i ogrodach, a przeniósłszy się do Irkucka dotąd tam pozostaje.

6) Rutkowski Józef z Litwy, były nauczyciel gimnazjum.

7) Rück Antoni z Inflant, były oficer wojsk rosyjskich.

8) Raczkowski Ignacy ze Żmudzi, właściciel ziemski.

9) Witkowski Stanisław z Białej Rusi, były student instytutu agronomicznego w Horkach.

10) Wolanin Józef z Litwy.

11) Wojno Ksawery z Litwy. W Usolu czas jakiś mieszkał z doktorami Swidą i Missuną i trudnił się gospodarstwem domowem współmieszkańców. Po powrocie do kraju ożenił się i przez długi ciąg lat pracował jako urzędnik kolei Nadwiślańskiej.

C. Wygnańcy z Rusi to jest z Wołynia, Podola i Ukrainy, którym rodziny nie towarzyszyły.

1) Andrykiewicz Antoni.

2) Baczyński, kotlarz z Ukrainy, urządził w Usolu pod kierunkiem M. Bardeckiego w ogrodzie spacerowym łazienkę do wydawania kąpieli z miejscowej solanki, z których wiele osób korzystało w celach leczniczych, szczególniej dzieci skrofuliczne.

3) Bardecki Mieczysław, właściciel folwarku Pilipki w powiecie żytomierskim wołyńskiej gubernji, a następnie dóbr Wepryna w radomyślkim powiecie gub. kijowskiej, skazany do ciężkich robót za udział w organizacji i powstaniu 1863 r. odbywał je w Usolu, gdzie urządzał kolejno ogród spacerowy publiczny ze spadową kąpielą i łazienką, restaurował kaplicę katolicką, którą ozdobił małym ołtarzem w stylu gotyckim. Wieczorami oddawał się zazwyczaj ręcznym robotom na kanwie. Po przeniesieniu się do Irkucka utrzymywał tam restaurację i mleczarnię, a powróciwszy do kraju wyjechał do Galicji i zamieszkał w Krakowie, gdzie odrestaurował hotel krakowski na plantach i długi czas nim zarządzał. Zmarł w roku 1889 w Krakowie.

4) Budzyński Straton, daleki mój krewny, urodzony z Ułaszynównej, służył w wojsku rosyjskiem przed powstaniem. W Usolu, nie lękając się cięższej pracy, zdobywał chleb powszedni, czas jakiś pełnił u Bnińskich obowiązki lokaja, pozostając z nimi w najzażylszych stosunkach. W Irkucku miał małą fabrykę papierosów. Po powrocie do kraju ożenił się z panną Felicją Zawadzką i wkrótce potem zmarł bezdzietnie w 1896 roku.

5) Chodosowski Edmund, student uniwersytetu kijowskiego, w Usolu piekł chleb i bułki.

6) Czerliński Stanisław, oficjalista dzierżawcy wsi Tatarynówki w pow. żytomierskim Husarowskiego, mój kolega więzienia z jednej ze mną celi Nr. 15. Zacny i rozsądny człowiek.

7) Czetwertyński Włodzimierz, książę, syn Kaliksta, urodzony z Kropińskiej, córki jedynej jenerała Ludwika Kropińskiego, mój kolega z ki-

jowskiego uniwersytetu, w którym zaliczał się do słuchaczy wydziału przyrodniczego. Aresztowany za udział w organizacji powiatu włodzimierskiego gub. wołyńskiej, przyjął na siebie jako bezżenny winy naczelnika powiatu, człowieka starszego i obarczonego obowiązkami rodzinnemi. Dzięki posiadanym stosunkom bawił w Usolu niedługo, w czasie zaś swego tam pobytu mieszkał wspólnie z Juljanem Kędrzyckim w domu wdowy Kołominowej, którego parter zajmowali Romanowie Bnińscy. Opuszczając Usol wpisał Czetwertyński do mego albumu kilka wierszy, które zakończył słowami: „I ja byłem w Arkadji", a Arkadją tą miał być Usol! Po powrocie do kraju ożenił się z hrabianką Marją Uruską. Jest ojcem trzech córek, z których dwie zamężne, jedna za Zamojskim, druga za Tarnowskim, i trzech synów, którzy pokończyli wyższe zakłady naukowe. Najstarszy z nich Seweryn, ożeniony z hr. Przeździecką, córką Gustawa, zapowiada się jako myślący obywatel kraju. Czetwertyński Włodzimierz założył w dobrach żony Milanowie piękną rezydencję i starannie utrzymywany ogród, przeniósł tam, uporządkował i wzbogacił połączone bibljoteki dziadka jenerała Ludwika Kropińskiego i teścia hr. Seweryna Uruskiego, tudzież archiwa rodzinne, które utrzymuje we wzorowym porządku. Pracuje przytem stale w Komitecie Dyrekcji Szczegółowej Siedleckiej, jako radca wybierany przez obywateli. Stosunki z kolegami szkół i wygnania utrzymuje na stopie właściwej i jest zawsze uczynnym w miarę możności. Co do stosunków z władzami rosyjskiemi, nie zdołał utrzymać się na stanowisku, wymaganym od Polaka patrjoty, czego idealny przykład miał w postępowaniu księcia Tadeusza Lubomirskiego. W ostatnich czasach wybrany został Czetwertyński prezesem Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie, który to obowiązek spełnia dotychczas.

8) Czyżewski Feliks.

9) Dmochowski Mikołaj, były oficer artylerji w wojsku rosyjskiem.

10) Dobrowolski Gustaw z Ukrainy, brat znanego w swoim czasie w Krakowie dra Marcelego Dobrowolskiego, wyznawcy nauki Towiańskiego. Po powrocie do kraju osiadł w Warszawie, ożenił się i niezadługo w 1900 r. życie zakończył.

11) Głębocki Józef Ezechjel, były oficer byłych wojsk polskich, brał czynny udział w powstaniu 1830/1 roku. Emigrował do Francji, gdzie się ożenił z Francuzką. Na mocy manifestu cesarza Aleksandra II powrócił do kraju z żoną, synem i córką. W 1863 r., acz niemłody już, stanął do szeregów powstańczych w powiecie żytomierskim, ale na stanowisku, gdzie miał zebrać się oddział znaczniejszy, skutkiem uwięzienia sprzysiężonych po domach, stanąć mogło tylko 36 powstańców. Oddziałek ten, nad którym objął dowództwo Głębocki, musiał ulec przed przemagającą siłą tłumów włościańskich, jego zaś naczelnik posłużył za cel główny pastwienia się czerni. Uwięziony i stawiony przed komisją śledczą, odpowiadał na pytania łamanem narzeczem rusińskiem, języka bowiem rosyjskiego nie znał jako emigrant. Ponieważ sędziowie uznawali za winnych wszystkich ryczałtowo aresztowanych i w zasadzie nie dawali wiary żadnym okolicznościom łagodzącym, nie silili się więc na zrozumienie dokładne zeznań Głębockiego, natomiast pośpieszyli okrzyknąć za zbrodnię, kary naj-

wyższej godną to, że synowi Michałowi rozkazał pod błogosławieństwem iść do powstania, i skazać starca na lat 20 ciężkich robót.

Wyprawiony z Żytomierza w końcu sierpnia 1863 r., dostał się do Usola przed nami. Mieszkał czas jakiś w koszarach, a następnie w oficynie domku naszego w jednym pokoiku z Henrykiem Wohlem, w którym znalazł prawdziwie synowską opiekę. Wybrany bibljotekarzem pełnił te obowiązki gorliwie za małem wynagrodzeniem z kasy ogólnej. Po uwolnieniu z ciężkich robót na skutek manifestów pospieszył p. Ezechjel do syna Michała, który mieszkał w Czeremchowskiej włości jako posieleniec. Niestety, spotkały go tam ciężkie zawody. Wyrodny syn zaniedbywał najzupełniej czcigodnego ojca, a wkońcu uraczył go synową sybiraczką, co zmusiło staruszka do szukania opieki u obcych, wśród których, otoczony czcią i życzliwością, dokonał pełnego cierpień i poświęceń żywota.

12) Grochowski Jakób, organista z Wołynia, zajmował się na wygnaniu zegarmistrzowstwem.

13) Hołowiński Aleksander.

14) Jankowski Aleksander.

15) Jankowski Narcyz, brat rodzony Leonarda, znanego z pożytecznej obywatelskiej działalności, ziemianina na Ukrainie. Aresztowany przed powstaniem, jako dymisjonowany wojskowy, który skupiał około siebie grupę młodzieży w Warszawie, jeszcze w roku 1861 — trzymany czas dłuższy w cytadeli kijowskiej postradał tam zmysły; mimo to, nie uwzględniając starań brata, wysłano go na Syberję, gdzie całe lata wśród nas spędzał, odganiając linją poza plecami trapiące go przywidzenia i plotąc niestworzone brednie, jakkolwiek w codziennem pożyciu był spokojnym i dla otoczenia nieszkodliwym. Opiekę nad nim powierzono koledze wygnania Mianowskiemu. Po powrocie Narcyza do kraju zamożny brat Jankowskiego umieścił go w domu zdrowia dla chorych umysłowo w Kijowie.

16) Jezierski Józef, mój kolega szkolny i uniwersytecki. W Usolu mieszkał u nas i zarządzał kuchnią. Po powrocie do kraju ożenił się z krewną mojej żony Jadwigą Zubowską i zajął posadę na kolejach podjazdowych. Mieszka stale z rodziną w Żytomierzu, gdzie zbudował dom własny. Córkę wydał za p. Obucha, a syn kształci się na uniwersytecie.

17) Jarocki Oktawjan, lekarz, po uwolnieniu z ciężkich robót osiadł w Irkucku i tam życie z tyfusu zakończył.

18) Iwański August, syn ziemianina, przed powstaniem rozjemca pokojowy w powiecie taraszczańskim na Ukrainie, wysłany za udział w organizacji powstańczej na lat 20 do ciężkich robót w Usolu. Jako utalentowany muzyk-amator, posiadał „harmoniflut“ uprzyjemniając sobie i kolegom smutne dni wygnańczego żywota. Objął on po Henryku Wohlu stanowisko kasjera wygnańczej kasy i pełnił ten obowiązek z godną najwyższego uznania ścisłością i sumiennością. Będąc na zaludnieniu, dawał lekcje muzyki w Irkucku, jak również we Wiatce, gdy go tam posłano. Po powrocie do kraju ożenił się z panną Klementyną Kosowską, która po trzyletniem pożyciu osierociła męża, pozostawiając mu dwóch

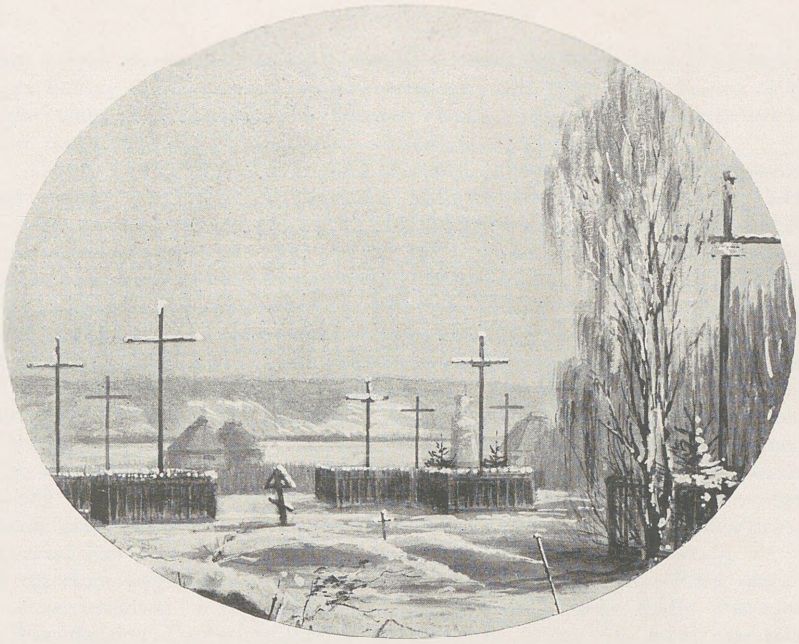


Fig. 87. Cmentarz w Usolu.



Fig. 88. Tomasz Bułhak po powrocie z pierwszego wygnania.



Fig. 89. Tomasz Bułhak.

synów, z tych starszy Jan dziś już żonaty z hrabianką Komorowską, a młodszy August kończy w Monachjum wydział nauk przyrodniczych. Pan August ojciec mieszka stale w Warszawie i w licznych swych wycieczkach odwiedza synów tudzież dawnych kolegów wygnania, ciesząc się ogólną sympatją [1]).

19) Kędrzycki Juljan, Podolanin, szkoły ukończył w Niemirowie, a uniwersytet w Kijowie na wydziale historyko-filologicznym w roku 1848. Gdy rząd rosyjski postanowił wprowadzić katedry języka polskiego na Litwie i Rusi przed wypadkami 1861 do 63 roku, Kędrzycki otrzymał nominację na to stanowisko w szkole niemirowskiej. Przedtem zaś i potem pracował jako nauczyciel domowy u Mazarakich na Ukrainie. Był to człowiek bardzo zdolny, wysoko wykształcony i przyjemny w towarzystwie. Pozostawił po sobie wiele utworów okolicznościowych, które starałem się zebrać, uporządkować i umieściłem bądź w pamiętnikach, bądź w aneksach do nich. W roku 1863 znalazł się w szeregach powstańczych, pomimo iż był w najwyższym stopniu krótkowidzem i w powodzenie ruchawki nie wierzył. Naturalnie iż jako krótkowidz nie mógł nikogo skrzywdzić, sam zaś został pojmany, umęczony, do cytadeli kijowskiej wtrącony i do ciężkich robót skazany. W Usolu, dokąd był przeznaczony, mieszkał czas jakiś z Mieczysławem Bardeckim, następnie z ks. Włodzimierzem Czetwertyńskim i utrzymywał się tak w Usolu, jak w Irkucku z lekcyj, dawanych dzieciom wygnańców i krajowców. Po przeniesieniu się do Rosji dłuższy czas przemieszkiwał w Spasku w gub. tambowskiej, skąd dzięki staraniom ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego powrócił do kraju. Tu przez czas jakiś mieszkał pod jego gościnnym dachem w Milanowie, następnie u doktorowstwa Jachimowiczów w Odesie, potem u krewnych na Podolu i w zakładzie leczniczym nałęczowskim, gdzie dłuższą odbył kurację. Wkońcu udał się do Petersburga w celu odwiedzenia kolegi uniwersyteckiego i przyjaciela, mecenasa Borszczowa, a zachorowawszy niespodziewanie wstąpił do szpitala i tu życie zakończył, nie zdoławszy zobaczyć się z tymi, których pragnął odwiedzić.

20) Komarnicki Adam z Wołynia, wychowaniec uniwersytetu kijowskiego.

21) Konopacki Józef, syn znanego poety Szymona i brat Prokopa, należał w Usolu do spółki fabryki świec i mydła.

22) Korzun Aleksander.

23) i 24) Kościuszko Antoni i Kurzański Wieńczysław, obaj studenci uniwersytetu kijowskiego, ocaleni od śmierci w czasie mordów pod Sołowjówką.

25) Kuźmiński Michał.

26) Latoskowicz Walerjan.

27) Lippoman Andrzej.

28) Łączyński Aleksander, dawał lekcje w domach prywatnych, ożenił się z sybiraczką.

29) Łoziński Józef, ziemianin z Wołynia, był ożeniony z ciotką mojej żony, z domu Bielińską. W okolicy swojej miał dużą wziętość i wpływy;

[1]) Staraniem synów wyszły w Warszawie w r. 1928 pamiętniki Augusta Iwańskiego, poprzedzone przedmową Adama Czartkowskiego. Przyp. Wyd.

na wygnaniu, przygnębiony ciężkiemi przejściami, odsuwał się od stosunków z ludźmi, często zapadał na cierpienie wątroby, w której rozwijał się nowotwór, i wkrótce zakończył życie. Syn jego jedyny bardzo źle pokierował się, skutkiem czego cała rodzina zerwała z nim stosunki. Staruszka Łozińska żyje dotąd i mieszka w Żytomierzu, otoczona szacunkiem powszechnym.

30) Łuczycki Hipolit, syn znanego na Wołyniu fabrykanta pozytywek i fortepjanów, po przeniesieniu się do Irkucka zarabiał na życie strojeniem instrumentów muzycznych.

31) Łuniewski Piotr.

32) Matyzy Jakób, aptekarz, w Usolu miał mały zakład cukierniczy. Zmarł w Irkucku.

33) Małecki Ludwik, kucharzował.

34) Mioduszewski Hipolit.

35) Niedziński Józef, był przed powstaniem w emigracyi; towiańczyk, bardzo zacna osobistość; uczył dzieci kolegów, a potem dzieci Sybiraków, gdy się z Usola wydostał.

36) Niedźwiedzki Modest, zarządzał w Usolu piekarnią dla przestępców cywilnych.

37) Olechowski Feliks z Wołynia, zarabiał na chleb krawiectwem.

38) Omieciński Franciszek, niegdyś zamożny właściciel dóbr na Wołyniu, których znaczną część stracił na życie nieoględne i birbanterję, nosił się zwykle po ukraińsku w świcie i czapce barankowej wysokiej; na wygnaniu birbantował w dalszym ciągu, otoczony satelitami, którzy przy nim pieczeniarzowali. W wygnańczych domach rodzinnych nie spotykałem go wcale.

39) Pląskowski Adam z powiatu owruckiego gub. wołyńskiej, właściciel ziemski i dymisjonowany oficer, mocno pokiereszowany w powstaniu owruckiem, miał opinję dowcipnisia w towarzystwie męskiem.

50) Popowski Józef, wychowaniec kijowskiego uniwersytetu, w którym odbywając studja był pod niepodzielnym wpływem Włodzimierza Antonowicza i jego apologistą, nawet po jawnem odstępstwie tego ostatniego. Mimo tę pobłażliwość dla mistrza, dla siebie nie przestał być srogim i wymagającym. Uwięziony przed wybuchem powstania na Rusi, sądzony w cytadeli kijowskiej, wbrew usiłowaniom komisji śledczej, aby zeń co najwięcej wydobyć, umiał milczeć, cierpieć i wyszedł z ciężkich prób i ucisku zwycięsko. Skazany do ciężkich robót i przysłany do Usola, mieszkał tu z Jakóbem Gieysztorem i niemało korzystał z jego dobrych wpływów. Po powrocie do kraju przeniósł się do Austrji, a ponieważ już w 1861 roku był w szkole wojskowej w Paryżu, odświeżył swe wspomnienia, wstępując do akademji wojskowej w Wiedniu. Po jej ukończeniu wszedł do armji, a przekonawszy się, że przy ówczesnych stosunkach daleko zajść w hierarchji wojskowej nie zdoła, starał się zostać posłem, wejść do składu Sejmu i do delegacji wspólnej, co pomyślnie udało się przeprowadzić. W sejmie i delegacjach obrał sobie za specjalność stałą referencję w sprawach wojskowych; to też uważanym jest wśród kolegów za rzeczoznawcę najbieglejszego w tych kwestjach, co zkolei stara się podtrzymać

szeregiem wydawanych broszur treści polityczno-wojskowej. Jest bardzo czynny i pracowity, mieszka stale w Krakowie. Za czasów rządów Badeniego Józef Popowski wspólnie z Antonim Chamcem czynili usiłowania, aby obsadzić katedrę historji rusińskiej we Lwowie przez Włodzimierza Antonowicza, którego nawet przemycając przed policją austrjacką zawieźli wprost do Badeniego. Projekt spełzł wszakże na niczem i zakończył się obsadzeniem tej katedry przez Hruszewskiego, ucznia Antonowicza, a dziś jednego z najnieprzyjaźniejszych Polakom agitatorów wśród młodzieży uniwersyteckiej rusińskiej. Jak dziwnym mi się wydaje ten stosunek adeptów Włodzimierza Antonowicza, mimo jego odszczepieństwo narodowe, wypowiedziałem obszerniej w moich pamiętnikach.

41) Przysiecki Dionizy, student kijowskiego uniwersytetu, ocalony pod Sołowjówką. Z Usola wysłano go za Bajkał skutkiem zeznań jednego z przywodców powstania zabajkalskiego, który go wydał w celu ocalenia siebie od kary śmierci, która go wszakże nie minęła.

42) Rudnicki Bolesław, z uniwersytetu kijowskiego. Pracował jako nauczyciel domowy w domu Teodorostwa Bartoszewiczów.

43) Rudnicki Zygmunt, właściciel ziemski z Wołynia, po powrocie do kraju podróżował i czas dłuższy bawił w Szwecji, gdzie się ożenił z panną Raab, wielkich zalet kobietą. Zamieszkał w ocalonej od konfiskaty majętności, zwanej Czarna. Przed kilku laty zmarł, pozostawiając syna i córkę, wydaną za Jaroszyńskiego.

44) Samsonowicz Rafał, z gub. kijowskiej, były oficjalista w dobrach Cezarego Poniatowskiego, mieszkał potem w Krasnojarsku jako posieleniec.

45) Siedrocki Karol, właściciel ziemski z Podola, rozjemca pokojowy, skazany najniewinniej do ciężkich robót za znaleziony u niego w czasie rewizji arkusik papieru z wodnym znakiem orzełka, który uznano za blankiet Rządu Narodowego. Wobec tak niespodziewanego ciosu Siedrocki nie umiał zachować się stoicznie; całą podróż na Sybir odbył zalewając się łzami i opowiadając każdemu żołnierzowi o swych przygodach i wyrzekając na niesprawiedliwość rządu. Ukoił się nareszcie, gdy z mojej porady wziął się do tłumaczenia geologji Layela, którego dokonał, a chociaż nie ujrzało ono prasy drukarskiej, niemniej uleczyło tego zacnego a bardzo nieszczęśliwego człowieka od ciężkiego rozstroju nerwowego. Przenosił się on kolejno do Krasnojarska, Wiatki i Ekaterynosławia, wkońcu, o ile mi się zdaje, połączył się z rodziną swoją w Odesie.

46) Slaski Paweł z Wołynia.

57) Sołtan Michał z rodziny litewskiej, osiadłej na Wołyniu, gdzie był ożeniony z Małyńską. Powietnicy zarzucali mu niewłaściwą otwartość wobec komisyi śledczej, stąd unikano z nim stosunków. Lubił on roboty na kanwie i tem się w Usolu zajmował. Przenosił się stopniowo do Tobolska, Wiatki, Wierchniednieprowska i Ekaterynosławia. Miał z sobą lokaja, który mu dobrowolnie na wygnanie towarzyszył.

48) Sowiński Wincenty, dymisjonowany oficer wojsk rosyjskich, urodzony z Korzeniowskiej, siostry Józefa. Ojciec jego napisał książkę o uczonych

Polkach. Oboje mieszkając w Odesie mieli pensjonat dla młodzieży kształcącej się w zakładach naukowych. Po powrocie do kraju pracował w magistracie warszawskim. Zmarł w 1905 roku.

49) Szczawiński Stanisław, z uniwersytetu kijowskiego.

50) Szyrma Władysław, były oficer wojsk rosyjskich, obywatel z Wołynia, nieodstępny towarzysz Sołtana, jako jego sąsiad.

51) 52) Turzański Seweryn i Wasilewski Wincenty, obaj wychowańcy uniwersytetu kijowskiego i obaj ocaleni pod Sołowijówką.

53) Wielobycki Lucjan, student uniwersytetu kijowskiego, Wołyniak, bardzo sympatyczny, pracowity i obiecujący młodzieniec, zmarł przedwcześnie po powrocie do kraju na suchoty.

54) Wiszniewski Stanisław, Owruczanin, student kijowskiego uniwersytetu, niezwykłej siły fizycznej człowiek, odniósł wiele ran w powstaniu.

55) Wolański Stanisław z Wołynia, pod Miropolem utracił rękę.

56) Wyhowski Stefan, student uniwersytetu kijowskiego, jeden z kilku ocalonych pod Sołowijówką, pracował dużo w Usolu nad swem umysłowem wykształceniem, a nadto nauczył się szewiectwa. Przenosząc się stopniowo ku rodzinnym stronom, zamieszkał w Odesie, gdzie po śmierci brata, a mego kolegi dra Apolinarego Wyhowskiego, odziedziczył dość znaczny majątek. Jest to człowiek niezłomnego charakteru i żelaznej woli, ale nieco do świata i ludzi zrażony.

57) Zagórski Adam, właściciel ziemski z Wołynia.

58) Zajączkowski Wiktor, były oficer wojsk rosyjskich, po uwolnieniu z robót ciężkich pracował we Wschodniej Syberji w jednej z gorzelni.

59) Zalewski Stanisław, kotlarz.

60) Zawalski Józef z Wołynia, brat mego kolegi dra Jana Zawalskiego, pracował w Usolu, a następnie w Irkucku jako introligator. Zakończył samobójstwem.

61) Złotkowski Walery z Wołynia, były urzędnik policji w powiecie owruckim.

62) Żurakowski Marek, ciężko ranny w powstaniu, nosił głęboką bliznę na czole. W Usolu zajmował się stołowaniem kolegów, w Irkucku zaś miał własną restaurację. Jedna z córek jego wyszła za poetę Gustawa Daniłowskiego.

63) Żurakowski Melchjor z Wołynia, po uwolnieniu z ciężkich robót był dyrektorem gorzelni w fabryce tiulmeńskiej.

Oprócz wyliczonych tu sześćdziesięciu trzech wygnańców z Rusi, którym nie towarzyszyły rodziny, przeznaczonych do Usola, przybyło tam w roku 1867 czterdziestu ośmiu Rusinów, uniewinnionych od zarzutu czynnego udziału w powstaniu zabajkalskiem. Do tej kategorji należeli:

1) Bajkowski Hipolit.
2) Bakoński Jakób.
3) Baranowski Ksawery, właściciel ziemski.

4) Błocki Piotr, sekretarz Rudzkiego, rozjemcy pokojowego, rozstrzelanego w Kijowie.

5) Bogumiłło Kazimierz, pracował w Usolu w polach i ogrodach.

6) Borkowski Wincenty.

7) Brodowicz Mikołaj, zajmował się ogrodnictwem i kucharstwem.

8) Brodowicz Platon, brat Mikołaja.

9) Cymerski Józef, właściciel ziemski.

10) Cywiński Józef, ziemianin i dymisjonowany wojskowy.

11) Czerniachowski Tadeusz, student uniwersytetu kijowskiego, syn właściciela ziemskiego z Owruckiego.

12) Czochrajski Witold, ziemianin.

13) Gorecki Florjan, prowizor.

14) Hartung Mikołaj, przyrodnik, były laborant przy chemicznem laboratorjum w uniwersytecie kijowskim. Na wygnaniu pracował nad naukami przyrodniczemi, szczególniej zaś nad zoologją. Bogate jego entomologiczne zbiory zginęły w czasie pożaru w Irkucku, jako stanowiące część zbiorów Towarzystwa Geograficznego Wschodniej Syberji. Po powrocie do kraju, znużony ciężką nieuleczalną chorobą, zmarł przedwcześnie, pozostawiając po sobie wśród przyjaciół i znajomych najwyższe uznanie i pamięć niezatartą.

15) Hładysz Leopold, były oficer wojsk rosyjskich i właściciel ziemski z Wołynia.

16) Johanow Dymitr, właściciel dóbr powiatu zwiahelskiego w gub. wołyńskiej, starzec.

17) Kalitowicz Justyn, ziemianin z Polesia Żytomierskiego.

18) Korycki Feliks.

19) Kozłowski Dionizy.

20) Kutyłowski Dionizy ogrodnik.

21) Lelowski Jan, oficjalista z Wołynia.

22) Marcinkowski Wincenty, zajmował się rzeźbą i pozłotnictwem.

23) Miecznikowski Stanisław.

24) Mioduszewski Antoni, student uniwersytetu kijowskiego, bardzo szlachetny i najlepszej wiary młodzieniec, jeden z najgorętszych wielbicieli Włodzimierza Antonowicza, którego ciężkie i jawne odstępstwo starał się wytłumaczyć, dobierając nieraz zupełnie niedostatecznych i bardzo naciąganych argumentów. Niezależnie od tego sam był uosobioną prawością i sobie by tego wybaczyć nie potrafił, co mistrzowi wybaczyć pragnął. Po powrocie do kraju ożenił się i osiadł na stacji w Proskurowie, gdzie miał dom komisowy. Umierając w 1904 r., pozostawił żonę i syna adwokata w Odesie, bardzo zdolnego człowieka.

25) Nielipowicz Ksawery.

26) Nosalski Izydor.

27) Olszański Henryk.

28) Olszański Libery.

29) Omelański Józef.

30) Osuchowski Robert.
31) Piasecki Antoni, wydalony z Usola na żądanie kolegów.
32) Pielecki Konrad, robił papierosy.
33) Rabsztyński Franciszek, dostał na wygnaniu pomieszania zmysłów.
34) Rybicki Zenon.
35) Sawicki Aleksander.
36) Siemiątkowski Jan.
37) Sikorski Jan.
38) Stankiewicz Aleksander, uczeń gimnazjum z Podola.
39) Suchorski Gorgoni.
40) Szaramowicz Wacław, brat Gustawa.
41) Traczewski Bronisław.
42) Urbanowski Stanisław.
43) Wandalowski Antoni.
44) Witkowski Roman.
45) Witkowski Szczęsny.
46) Wyhowski Józef.
47) Wyhowski Henryk.
48) Wysocki Marceli.

D. Wygnańcy z Galicji i Poznańskiego.

1) Gilk Jan, powrócił do kraju i acz poddany austrjacki osiedlił się w Warszawie, gdzie pracuje w domu handlowym „Manna", (fabryka i skład narzędzi chirurgicznych).
2) Ponczyński Jan, piekarz, zmarł w Krakowie w 1872 r.
3) Rozmanith Antoni, po powrocie osiadł w okolicy Krakowa, ożenił się i pracuje na roli, ma przytem fabrykę cykorji.
4) Swiszczewski Władysław, był nadzorcą jednej z warzelni w Usolu.
5) Statler Sylwin, siodlarz.
6) Giece August, był jedynym wygnańcem z Wielkopolski.

E. Cudzoziemcy.

1) Perrin Armand, Francuz.

V. SKAZANI DO CIĘŻKICH ROBÓT W USOLU PRZESTĘPCY POLITYCZNI, O KTÓRYCH POCHODZENIU I MIEJSCU, SKĄD BYLI WYSŁANI, NIE ZDOŁAŁEM ZEBRAĆ DOKŁADNYCH WIADOMOŚCI.

1) Baczewski Staniław.
2) Bartodziejski Maksymiljan.
3) Białecki Ludwik, krawiec.
4) Bochenek piekarz.

5) Bohdanowicz wydalony przez kolegów za nieposzanowanie praw własności.
6) Budziszewski Karol.
7) Chmielewski Antoni.
8) Chroszczewski Gabryel.
9) Dmowski Franciszek.
10) Dołobowski Franciszek, wyrabiał szczotki.
11) Druchtein Adolf.
12) Godlewski Bolesław.
13) Gumowski.
14) Gruszka vel Gruszczyński.
15) Guzikowski Szymon.
16) Jałyński Wincenty.
17) Jasiewicz.
18) Jasiński Gabrjel.
19) Kłosiński Mateusz.
20) Kułakowski.
21) Kwiatkowski Franciszek.
22) Lisiański Stefan.
23) Marczewski Aleksander.
24) Niemeński Jakób.
25) Olszewski.
26) Ortyński.
27) Osowski Jakób.
28) Ostrowski Władysław.
29) Pacewicz Ksawery.
30) Pelletier Tytus, oficer dymis. wojsk rosyjskich.
31) Piotrowski Stanisław.
32) Piotrowski Antoni.
33) Potocki Jan.
34) Pauliński Bronisław.
35) Pyrzanowski Marceli.
36) Rozwadowski Antoni.
37) Rybka Mikołaj.
38) Sachnowski
39) Skwierczyński Kazimierz.
40) Slósarski Franciszek.
41) Starzewski Baltazar.
42) Susinowicz Edward.
43) Świderski Seweryn.
44) Szydłowski.
45) Tarasiewicz.
46) Tepiński Wincenty.
47) Turlej Antoni, kotlarz i blacharz.
48) Turowicz Piotr.

49) Wasilewski Józef.
50) Wasilewski Stanisław.
51) Waskiewicz Teofil.
52) Wojszycki Erazm.
53) Zabawski Wojciech.
54) Zaborowski Antoni.
55) Zielonko.
56) Zamościcki.

Do tejże kategorji, nieznanych bliżej z pochodzenia, należy 57 wygnańców, przeniesionych z gorzelni Aleksandrowskiej do Usola w roku 1867, jako uniewinnionych w sprawie powstania zabajkalskiego:

1) Biedrzycki Ludwik vel Bogielski Mieczysław.
2) Błażejewski Jan.
3) Boguszewski Antoni.
4) Budzyński Aleksander.
5) Cieszkowski Dionizy.
6) Dombrowski Bronisław.
7) Dudzyński Bonifacy.
8) Dunin Mścisław.
9) Dyrmont Karol.
10) Girjatowicz Konstanty.
11) Grabowski Feliks.
12) Jakóbkiewicz Andrzej.
13) Jankowski Konstanty.
14) Jankowski Stefan.
15) Jasiński Antoni.
16) Kamelski Bronisław.
17) Krukowicz Władysław.
18) Kucijewski Juljan.
19) Lachowicz Faustyn.
20) Łukaszewicz Antoni.
21) Łukowski Juljan.
22) Michałowski Ludwik.
23) Mieczyński Adam.
24) Mikulicz Wiktor.
25) Milgramm Ludwik.
26) Misiewicz Stefan.
27) Mitkiewicz Leonard.
28) Nałęcz Bronisław.
29) Nowojewski Feliks.
30) Nowowiejski Gabrjel.
31) Ostrowski Michał.
32) Ożyński Kleofas.
33) Packiewicz Juljan.

34) Palczyński Jan.
35) Paprocki Władysaw.
36) Pawłowicz Jan.
37) Polaczek Feliks.
38) Popiel Aleksander.
39) Popławski Albin.
40) Popławski Ignacy.
41) Przyjałkowski Ludwik.
42) Rawski Józef.
43) Sielecki Aleksander.
44) Skaczkowski Bronisław.
45) Supiński Antoni.
46) Szmigiera Gustaw.
47) Szumowski Józef.
48) Szwab Jan.
49) Trzebiecki Edward.
50) Tyborowski Jan.
51) Wernikowski Konstanty
52) Wilczewski Ignacy.
53) Witkowski Szczęsny.
54) Witwicki Władysław
55) Wroński Władysław.
56) Zolkowski Władysław.
57) Żołądkowski Edmund.

VI. OSOBY, KTÓRE SIĘ NIE DADZĄ ZALICZYĆ DO ŻADNEJ Z WYMIENIONYCH KATEGORYJ.

Zakończę spis niniejszy nazwiskiem Edwarda Nowakowskiego, więcej znanego pod przybranem imieniem Wacława. Wyróżniłem go dlatego, iż do żadnej z kategoryj wymienionych w całości nie należał. Nie był jeszcze duchownym, ale już świata się wyrzekł, zostając braciszkiem w zakonie OO. Kapucynów, jako brat Wacław, na wygnaniu zaś uchodził za osobę świecką, zamienił bowiem z bratem swoim Karolem Nowakowskim dekrety, a będąc skazanym na zaludnienie, odbywał z nami przez pewien czas ciężkie roboty w Usolu. Oto krótki, ale znamienny życiorys tego naówczas braciszka, a następnie kapłana. Urodzony na Ukrainie we wsi Bobrowce dn. 19 lipca 1829 r. z ojca Łukasza i matki Klotyldy z Korzelińskich, odbył nauki w liceum krzemienieckiem, a ukończywszy studja uniwersyteckie, objął czynności urzędnika bibljoteki Konstantego Świdzińskiego w Sulgostowie i w tym czasie przybrał pseudonim „Wacława z Sulgostowa", pod którym wydawał swe prace literackie. Idąc za powołaniem, wstąpił w 1860 r. do zakonu OO. Kapucynów w Warszawie, a jako wybitny wyraziciel ówczesnego kierunku tego zakonu, pracował gorliwie nad uświadomieniem narodowem mas ludowych w Warszawie i jako taki został aresztowanym, osądzonym na zaludnienie Syberji i wysłanym do Tobolska. Tu spotkał się

z bratem Karolem i obaj jako znużeni podróżą znaleźli się w salach szpitalnych, w których ja byłem czasowo lekarzem ordynującym, wskutek braku lekarzy rządowych, którzy ulegli panującej w tem mieście epidemji tyfusu.

Karol Nowakowski, uczeń warszawskiej szkoły sztuk pięknych, bardzo wpływowy wśród ówczesnej młodzieży, zapisał się niezatartemi zgłoskami w dziejach 1860/61 roku. On to dał pierwsze hasło do śpiewów i demonstracyj patrjotycznych. Jeszcze bowiem w dniu 29 listopada 1860 r. przed kościołem karmelitów na Lesznie zapoczątkował śpiew starego, chwilowo zapomnianego hymnu „Boże coś Polskę", a następnie tak rozpowszechnionego w kraju całym. On to na czele szaleńców dokonał zamachu na delegację, powszechnie uważaną za władzę krajową, pragnąc ją rozpędzić, i tylko dzięki przemówieniu Ruprechta opamiętał się i w porę cofnął się przed dokonaniem skandalu. On to wreszcie, niosąc krzyż na czele procesji w pamiętnym dniu 8 kwietnia 1861 r. i utraciwszy go w starciu z policją i wojskiem, został aresztowany i administracyjnie wysłany do Rosji, skąd po paru latach, dowiedziawszy się o wybuchu powstania w 1863 r., uciekł do kraju. Wzięty w niewolę podał się za Waryńskiego i pod tem nazwiskiem był osądzony do ciężkich robót i wysłany na Syberję. W szpitalu tobolskim postanowili bracia zamienić imiona i nazwiska, a tem samem wyroki. Brat Wacław jako Waryński skazany do ciężkich robót wyruszył do Wschodniej Syberji, gdzie go przeznaczono do Usola, zaś Karol jako Wacław Nowakowski wysłany został do Tunki w gub. irkuckiej, gdzie skupione było całe skazane na zaludnienie duchowieństwo. Naturalnie, iż ta zamiana wyroków, jak wszystkie jej podobne, wydać się musiała, porwano obu braci dla stawienia ich sobie i świadkom do oczu. W Irkucku panował wtedy epidemicznie tyfus, który zabierał liczne w więzieniu ofiary. Karol, dotknięty tą ciężką chorobą, życiem przypłacił zmianę nazwiska, Wacław zaś, odzyskawszy swoje i korzystając z szeregu manifestów, dostał się wreszcie do Krakowa, gdzie, ukończywszy nowicjat, otrzymał z rąk kardynała Dunajewskiego święcenia kapłańskie w roku 1880. Chwile, wolne od praktyk religijnych i obowiązków swego stanu, poświęcał on pracom literackim, których owocem były następujące dzieła lub mniejszych rozmiarów opracowania historyczne:

1) „Kościoły i klasztory zakonów reguły św. Franciszka w Polsce".

2) „Kraków w roku 1794".

3) „Częstochowa w obrazach historycznych".

4) „Wspomnienia z Syberji".

5) „Polska w roku 1794".

6) „O cudownych obrazach Najświętszej Matki Bożej w Polsce".

Ostatnie to znacznych rozmiarów dzieło stanowi ważny przyczynek do historji sztuki, a w szczególności i do ikonografji polskiej. Zmarł ks. Wacław Nowakowski w 1903 r. w Krakowie, mając lat 72.

W zakończeniu niniejszego spisu kreślę w kilku wyrazach dzieje jego powstania, tudzież zestawiam liczebny stosunek kategorji wygnańców, na jakie spis ten został podzielony. W roku 1872 wydaną została książka zbiorowa pod tytułem: „1872, Stuletniej niewoli rok pierwszy". W książce tej od str. 158 do 185 umieszczono spis 401 wygnańców, zesłanych do ciężkich robót w Usolu, Materjału do tego wydawnictwa dostarczył I. I. Kraszewskiemu Agaton Giller. temu ostatniemu zaś zapewne jeden z wygnańców usolskich. Dla uzupełnienia tej pamiątki dodaniem nazwisk opuszczonych odwołać się musiałem nie tylko do własnej pamięci, ale i do żyjących jeszcze moich kolegów wygnania z owej doby, skutkiem czego ogólna cyfra osób w spisie urosła do 442 i przybyło kilka obszerniejszych życiorysów. O wielu osobach i sprawach zamilczeć musiałem, nie mając o nich dokładnych wiadomości. Aby ułatwić czytelnikowi rozejrzenie się wśród kilkuset nazwisk, podzieliłem je na kilka grup. Grupy te i ilość osób, do każdej z nich należące, przedstawiają się jak następuje:

I. Kapłanów wyznania rzymsko-katolickiego (z Korony 3, z Litwy 3)	6
II. Niewiast skazanych do ciężkich robót (z Korony) . .	5
III. Skazanych, którym towarzyszyły żony lub do których przybyły narzeczone: a) z Korony 6, b) z Litwy 17, c) z Rusi 24, d) z miejscowości dokładnie nieokreślonych 4, e) ożenionych na wygnaniu z innowierkami 1	52
IV. Skazanych, którym nie towarzyszyły rodziny i bezżenni: a) z Korony 77, b) z Litwy 70, c) z Rusi 111, d) z Galicji 5 i Poznańskiego 1, e) cudzoziemców 1	265
V. Skazanych (bez rodzin) których pochodzenie w spisie pierwotnym nie zostało dokładnie określonem.	113
VI. Osób niezaliczonych do powyższych kategoryj. .	1
Razem	442

Uczyniłem, co mogłem, aby ocalić od zagłady i zapomnienia kilka nazwisk i kilka szczegółów z żywota tych, którzy, zapomniawszy o sobie, służyli Ojczyźnie z bezgranicznem oddaniem się na Jej usługi, a czynili to, nie łudząc się dobremi nadziejami. Większość tych ludzi nie upadła pod brzemieniem ciosów i przeciwności. Ci, co przetrwali katusze wygnania, zachowali hart duszy i głęboko wyryte w sercu zasady, które im nie pozwoliły w ostatnich latach przy rozpadnięciu się narodu na stronnictwa, łączyć się z partjami skrajnemi, nawskroś zmaterjalizowanemi i zapominającemi o hasłach narodowych dla społecznych. Jeślim w tych spisach i życiorysach cośkolwiek opuścił, lub w czemkolwiek się omylił, stało się to bez wiedzy, a więc i bez winy mojej. Cieszyć się będę, gdy, opierając się na lepszych od moich źródeł, posiadający je poprawi mnie lub uzupełni.

Pragnąc wyczerpać materjały do niniejszej pracy, robiłem starania w Irkucku o skopjowanie urzędowych spisów wygnańców politycznych usolskich. Starania te spełznąć musiały na niczem, archiwum bowiem usolskie, przeniesione do Irkucka, zgorzało wraz z wielu innemi źródłowemi dokumentami i naukowemi zbiorami, przez wygnańców przeważnie gromadzonemi, w czasie wielkiego pożaru w tem mieście w 1879 roku.

NAZWISKA WZMIANKOWANYCH OSÓB.

(CYFRY OZNACZAJĄ STRONICE).

Abakanowicz Aleksander 136, 330, fig. 42
Andrykiewicz Antoni 342
Anszlag Mieczysław 329
Antonowicz Włodzimierz 180
Arcimowicz Kazimierz (Kwiatkowski) 160, 161, 167
Awejde Oskar 337

Baczanas Mateusz 330
Baczewski Stanisław 350
Baczyński z Ukrainy 342
Bajkowski Hipolit 348
Bakoński Jakób 348
Bakunin 337
Baranowski Ksawery 348
Barański Włodzimierz 324
Bardecki Mieczysław 154, 342
Bartodziejski Maksymiljan 350
Bąkowski Henryk 204, 324
Beaupré Antoni 137
Berner aptekarz 238
Białecki Ludwik 350
Biedrzycki Ludwik vel Bogielski Mieczysław 352
Bieńkowski fig. 49
Błażejewski Jan 352
Błocki Piotr 3 9
Bnińska Wacława 138 fig. 84
Bniński Roman 138, 152, 154, 170, 215, fig. 53
Bochenek piekarz 350
Bogielski M. patrz Biedrzycki L.
Bogumiłło Kazimierz 349
Boguscy z Podola 231
Bogusławski Wiktor 329
Bogusławski Władysław 204, 325
Boguszewski Antoni 352
Bohdanowicze z Witebskiego 231
Borkowski Wincenty 349
Borowski Piotr 137, 208
Borowski Stanisław 330
Borzęcki z Ukrainy 231, fig. 85
Bratyński Leon 140
Brodowicz Mikołaj 349
Brodowicz Pedton 349
Brodowscy 118 fig. 22
Brodowski Karol 230, 239 fig. 68
Brzostowski prezydent 119 fig. 21
Budziszewski Karol 351
Budzyński Aleksander 352
Budzyński Michał 218
Budzyński Straton 342
Bułhak Teresa 118 fig. 50 i 51
Bułhak Tomasz 118 fig. 89
Burnicki Aleksander 330
Burzyński Adolf 325
Burzyński Tomasz 141, 177

Celiński Narcyz 163 — 169
Charmański Juljan 193, 330
Chmielewski Antoni 351
Chodosowski Edmund 342
Chronowski Alojzy 325
Chroszczewski Gabrjel 351
Celiński Cyprjan fig. 63
Ciemniewski Artur 231 fig. 20
Cieszkowski Dionizy 352
Cot (de Cot) Wiktor 206, 213
Czapiński Leopold 204, 325
Czartoryski Konstanty 337
Czekotowscy Piotrowie 222 fig. 31
Czekotowska Kazimiera 109 fig. 38
Czerliński Stanisław 342
Czerniachowski Tadeusz 349
Czerniajew pułk. 159, 163
Czerniak Wandalin 341
Czerniewski Bolesław 109 fig. 28
Czetwertyński Włodzimierz 202, 342
Czochrajski Witołd 349
Czudowski Tadeusz 143
Czyżewski Feliks 343
Cymerski Józef 349
Cywiński Józef 349

Dargobużynow gub. 229
Dellert Andrzej ks. 203
Demontowicz Józef 337
Derengowski Piotr 330

Dmochowski Mikołaj 343
Dmowski Franciszek 351
Dobrowolski Gustaw 343
Dobrowolski Michał 330 fig. 70
Dołobowski Franciszek 351
Dołżikow 215
Dombrowski Bronisław 352
Downar Hieronim 330
Druchtein Adolf 351
Dudacz Józef 330
Dudzyński Bonifacy 352
Duhamel jen. gub. 153
Dunin Mścisław 352
Dziekoński Karol 330
Dzięgielewski Stanisław 341
Dybowski Benedykt 340
Dyrmont Karol 352

Eismont Adolf 330
Eichmüller Ignacy fig. 63
Ekert Paweł 204, 325, 340
Eljaszewicz Leopold 162 — 164

Filipowski Adam 156, 331
Frankowski Roman 136, 204, 325, fig. 39 i 42

Galicki Stanisław 144
Gawroński Józef 325
Gedrojć Mikołaj 141
Giece August 350
Giedymin Justyn 331
Gieryc Albert 331
Giejsztor Jakób 118, 142, 181, 331, fig. 48
Gilk Jan 350
Girjatowicz Konstanty 352
Głębocki Józef Ezechjel 142, 156, 170, 343, fig. 2
Głowacki Zacharjasz 332
Godlewski Bolesław 351
Gorecki Florjan 349
Gorzałczyński Jan 176, 178
Grabowski Feliks 352
Grabowski Fortunat 137
Grabowski Mikołaj 325
Grochowski Jakób 344
Gruszecka z Micińskich Michałowa 139, fig. 16
Gruszecki Michał 138, 151, fig. 16 i 57
Gruszka vel Gruszczyński 351
Gryziński Melchjor 324
Gudzińska 142, 212
Gumowski Tytus 351
Guzikowski Szymon 351
Guzowskie 142

Hartung Mikołaj 205, 340, 349
Hencel Adolf 109, fig. 14
Hładysz Leopold 349
Hofmeister Apolinary 205
Hołowiński Aleksander 344
Hryniewiecki Jan 151, 205, 332, fig. 57
Hurko Antoni 332

Iliński Aleksander 118
Iliński Ignacy 118
Ilnicki Tomasz 186, 204, 213, 325, fig. 69
Iwański August 142, 152, 206, 344

Jakóbkiewicz Andrzej 352
Jałyński Wincenty 351
Jamontowie 109, fig. 25
Janczewski Ignacy 341
Jankiewicz Edward 341
Jankowski Aleksander 344
Jankowski Konstanty 352
Jankowski Narcyz 186, 344
Jankowski Stefan 352
Jarocka z Suffczyńskich W. 141
Jarocki Oktawjan 144, 188, 344
Jarocki Włodzimierz 141
Jaroszyński Witołd 177
Jarzyna Leopold i Narcyz 137
Jasiewicz 351
Jasiński Antoni 352
Jasiński Gabrjel 352
Jastrzębski Adam 342
Jastrzębski Antoni 332
Jeleński Antoni 141, 206
Jelski Karol 332
Jezierska Barbara 218
Jezierski Józef 142, 156, 344, fig. 52
Johanow Dymitr 349

Kaczorowski Ignacy ks. 203
Kaleński Józef 332
Kalinowski Józef 142, 205, 332
Kalitowicz Justyn 349
Kamelski Bronisław 352
Kamieński Stanisław 325
Kamiński Jan 332
Karwosiecki Gabrjel 189, 191, 326
Karwowski Jakób 326
Katerla Stanisław 190, 326
Kędrzycki Juljan 154, 170, 171, 181, 222, 344, fig. 83
Kiejsiewicz Józef 326
Kieniewicz Feliks z rodziną 232, fig. 79
Kiersnowski Tadeusz 330
Kikin lekarz powiat. 233
Kirkor Adam 142
Kirkorowa z Majewskich Helena 142
Kiryłow naczel. pow. 230
Kisielewski Bolesław 143

Kleczkowski z Litwy 332
Klimaszewski Ferdynand 332
Klimontowicz Władysław 205, 332
Kłosiński Mateusz 351
Kobosko Ksawery 326
Kobylański Piotr 204, 213, 326
Kochański Aleksander 332
Kohn Albin 333
Kołudzki Józef 326
Komar Tadeusz 200
Komarnicki Adam 345
Komorowska Adamowa 170
Konopacki Józef 151, 345, fig. 57
Konopacki Prokop 134
Konopacki Stefan 144, 333
Konstański Franciszek 326
Korbut Maurycy 333
Korsak z Witebskiego 231 fig. 58
Korsakow jen. gub. 168
Korzun Aleksander 345
Korycki Feliks 349
Korycki Lucjan 330
Kostro Dionizy 326
Kościałkowski Józef 227
Kościuszko Antoni 206, 345
Kotkowski Władysław 164, 167, 169, fig. 63
Kozłowski Dionizy 349
Krasicki Zygmunt 141, 206
Krasowski lekarz 234
Krauze Józef 324
Kręcki August 136, 204, 326, fig. 39 i 42
Kruczkowski Adolf 227
Krukowicz Władysław 352
Krupska z Świdów Marja 140
Krupski Bonifacy 140
Krysiński Stanisław 333
Kucijewski Juljan 352
Kuczyński Alojzy 326
Kuczyński August 330
Kujawski Edward 326
Kukliński Wincenty 326
Kułakowski 351
Kurzański Wieńczysław 206, 345
Kutyłowski Dionizy 156, 349
Kutyrło Bazyli 333
Kuźmiński Michał 345
Kwiatkowski (patrz Arcimowicz Kazimierz)
Kwiatkowski Franciszek 351

Lachowicz Faustyn 352
Landyn Kazimierz 333, fig. 82
Lasocka Adela fig. 73
Lasocka Aleksandra fig. 74
Lasocka Marja fig. 4, 77
Lasocki Wacław fig. 5, 77
Latoskowicz Walerjan 345
Lebiediew lekarz 230
Lelowski Jan 349
Lichtański 164
Lippoman Adolf 191
Lippoman Andrzej 345
Lipski lekarz 215
Lisiański Stefan 351
Lisowski esauła 166
Litwińcow kasjer 224

Łagowska Olga z dziećmi fig. 6
Łagowski Józef 133, 138, 144, 221, fig. 13
Łagowski Mikołaj 138
Łakisowie z Witebskiego 231
Łapiński pułk. 338
Ławcewicz Władysław 326
Łączyński Aleksander 345
Łozińska z Kraszewskich Bolesławowa 138 fig. 44
Łoziński Bolesław 138, 321
Łoziński Józef 345
Łuczycki Hipolit 346
Łukaszewicz Antoni 352
Łukowski Juljan 352
Łuniewski Piotr 346

Mackiewicz lekarz 206, fig. 47
Mackiewiczowa Bronisława fig. 37
Maj stolarz 212
Majewska z Pawłowskich Elżbieta 140
Majewski Adam z żoną 140, 183, fig. 45
Majkowski Jan 337
Makarewicz z Wołynia 322
Makowiecki Michał 333
Makowski Jan 326
Malicki Karol (Michałowski) 159
Małachowski Władysław 339
Małecki Ludwik 346
Manelski ks. 203
Marcinkowski Wincenty 349
Marczewski Aleksander 351
Markiewicz Bolesław 240
Markowski Józef 326
Matyzy Jakób 151, 346
Mejsztowicz Zygmunt 333
Mianowski Czesław 326
Miaskowska Michalina fig. 74
Miaskowski Jan fig. 74
Miaskowska Wincenta 73
Miaskowski Stanisław 200, 218
Michałowski (patrz Malicki Karol)
Michałowski Feliks ks. 220
Michałowski Ludwik 352
Miecznikowski Stanisław 349

Mieczyński Adam 352
Migurski Lucjan 144, 145, 326
Miksuła Adam 327
Mikulicz Karol 30, fig. 10
Mikulicz Wiktor 352
Milgramm Ludwik 352
Milowicz Kazimierz 177
Mioduszewski Antoni 206, 349
Mioduszewski Hipolit 346
Misiewicz Stefan 352
Missuna Franciszek 148, 333
Mitkiewicz Leonard 352
Montowicz 109, fig. 34
Morgulec Stefan 175
Morzycka Marja fig. 30
Morzycki Juljan 140, 322, fig. 30
Moszczyńscy Gustawowie 238
Moszczyński Jan 238
Muklanowicz Jan 327
Mysłowski 165, 166

Nałęcz Bronisław 352
Nalatow sędzia 239
Naumowowie 115, 227, fig. 17 i 18
Nekrasow inż. 136, 145
Neumark Lambert 327
Niedziński Józef 346
Niedźwiecki Modest 346
Nielipowicz Ksawery 349
Niemeński Jakób 351
Niemirowski Leopold 137
Nosalski Izydor 349
Nowakowski Edward 160, fig. 76
Nowakowski Karol 159, 160, fig. 71
Nowakowski Wacław 154, 160, 203
Nowicki Fortunat 38, fig. 7
Nowodworski Zenon 144
Nowojewski Feliks 352
Nowowiejski Gabrjel 352

Oborski Maksymiljan 327
Ochiński Franciszek 327
Ogrodziński Dionizy 62, fig. 8
Olechowski Feliks 346
Olędzki Stanisław 205, 333
Olszański Henryk 349
Olszański Libery 349
Olszewski 190, 351
Omelański Józef 349
Omieciński Franciszek 346
Ornano Jan 327
Ortyński 35
Orzeszkowie doktorostwo 118, 227, fig. 61
Oskierka Aleksander 142, 152, 189, fig. 80
Oskierka Bolesław 206, 333
Oskierka Jadwiga fig. 36
Osowski Jakób 351
Ostromęcka 52, fig. 9
Ostrowski Michał 352
Ostrowski Władysław 351
Osuchowski Robert 350
Ożyński Kleofas 352

Pacewicz Ksawery 351
Packiewicz Juljan 352
Padlewski Bronisław 231, fig. 86
Palczyński Jan 353
Pankowski 164 — 166
Paprocki Gustaw 327
Paprocki Władysław 353
Paszkowski Konrad 177
Paszyński Bolesław 179
Pauliński Bronisław 351
Pausza Antoni 218
Pawłowicz Jan 353
Pawłowski Aleksander 204, 327
Pelletier Tytus 351
Perrin Armand 350
Piasecki Antoni 350
Piekarski Józef 144, 333
Pielecki Konrad 350
Piotrowski Antoni 351
Piotrowski Stanisław 351
Pląskowski Adam 346
Pławiński 46, fig. 26
Podhorodeński Henryk 170
Polaczek Feliks 353
Ponczyński Jan 350
Poniatowski Kazimierz 155
Popiel Aleksander 353
Popławski Albin 353
Popławski Ignacy 353
Popowski Józef 118, 155, 346, fig. 59
Porochow 165, 168
Potocki Antoni 141, 323
Potocki Jan 351
Poźniak Edward 206
Praszutyński komendant 142, 162
Pruszyński Franciszek 152
Pruszyńskich rodzina 118, fig. 62
Pruszyński Roman 118
Przyjałkowski Ludwik 353
Przysiecki Dionizy 347
Puciatycki Wacław 330
Pyrzanowski Marceli 351

Rabsztyński Franciszek 350
Raciborski Władysław 327
Raczkowski Ignacy 342
Raczyński Władysław 327
Radziejewski Oswald 327
Ratyński Józef Zenon 117, 327
Rawski Józef 353

Rayner Jakób 163, 164, 169
Redlich Emil 334
Rejner Józef fig. 63
Rodkiewicz Szymon 334
Rogiński Roman 191, 204, fig. 39
Rohoziński ks. 203
Rojkowski 148
Romanowski Herman 327
Roszkowski Adolf 137
Roszkowski Mikołaj 330
Rozmanith Antoni 350, fig. 39
Rozwadowski Antoni 351
Rozwadowski ks. 203
Ruciński Justynjan 137
Ruciński Paweł 324
Rudnicki Bolesław 206, 347
Rudnicki Zygmunt 347
Rudomazinowa 234
Rudomino Antoni 231 fig. 75
Ruszkowski Aleksy 327
Rutkowski Józef 342
Rück Antoni 342
Rzewuski Adam 220
Rybicki Zenon 350
Rybka Mikołaj 351
Ryk major 167
Rylski Tadeusz 180

Sabiński Juljan 137
Sachnowski 351
Sankowski Narcyz fig. 35
Samojło Karol 144, 344
Samsonowicz Rafał 347
Sapożnikowowa 145
Sauris Franciszek 334
Sawicki Aleksander 350
Schabicki Michał 219
Seifert Bolesław 141
Sejfert jen. 240
Selwiński Robert 328
Siedrocki Karol 142, 192, 347
Sielecki Aleksander 353
Siemiątkowski Jan 350
Sierno-Sołowjewicz 159
Siesicka z Kozakowskich Felicja 140 fig. 43
Siesicki Mieczysław 140, fig. 46
Sikorski Jan 350
Sipniewski Władysław 144, 334, fig. 56
Skaczkowski Antoni 334
Skaczkowski Bronisław 353
Skarzyński Aleksander 328
Skawiński Juljan 144, 226, 323, fig. 55
Skierecki Jan 328
Skoczyński Medard 334
Skwierczyński Kazimierz 351
Slósarski Franciszek 351
Smoleński Maciej 140, 192
Sochaczewski Aleksander 186, 192, 328, fig. 40
Sołtan Michał 347
Sowiński Wincenty 347
Spiesman starozakonny 328
Staniszewski Feliks 226
Stankiewicz Aleksander 155, 350
Stankiewicz Karol fig. 70 ad 206 [1])
Starzewski Baltazar 351
Statler Sylwin 350
Strawiński Paweł 324
Stecki Jakób 219
Stopani lekarz 136
Stulgiński ks. 142, 203, 216 fig. 66
Suchorski Gorgoni 350
Sulistrowski Kazimierz 118
Supiński Antoni 353
Surwiłło Jerzy 334
Susinowicz Edward 351
Swida lub Świda Bolesław 152, 335
Swida Jan 144, 148, 334, fig. 54
Syrwid 203, fig. 65
Szaramowicz Gustaw 159—169, fig. 63
Szaramowicz Wacław 350
Szczawiński Stanisław 348
Szczepkowski Wolfgang 137
Szmigiera Gustaw 353
Szlenkier Józef 117, fig. 24
Szumowski Józef 353
Szwab Jan 353
Szweranicki Krzysztof 41
Szwarc Roman 328
Szweykowski Leszek 177
Szydłowski 351
Szygaryn pułk. 233
Szymański Roman 328
Szymonowicz Władysław 144
Szyrma Władysław 348
Szystowska z Dąbrowskich 238
Syrwid Onufry ks. 203

Śląski Paweł 347
Świderski Seweryn 351
Świętorzecki Apolinary 335
Świętorzecki Rodryg 335
Świszczewski Władysław 350

Tarasiewicz 351
Taskinowa jenerałowa 147
Teleżyński Dymitr 230 fig. 78

[1]) Wymienieni w bruljonie Pamiętnika.

Teleżyński Tadeusz 230, 240, fig. 78
Tepiński Wincenty 351
Tokarski Lucjan 330
Tołoczko 151 fig. 57
Tomaszewski Teodor 330
Tomkowicz Ignacy 200 fig. 32
Traczewski Bronisław 350
Truskolaski Ignacy 330
Trzaskowski Ignacy 144, 335, fig. 72
Trzebiecki Edward 353
Trypolski Antoni 230
Turlej Antoni 351
Turow dyrektor 136
Turowicz Piotr 351
Turzański Seweryn 348
Twardowski fig. 67, ad 118
Tyborowski Jan 353

Ujazdowski Franciszek 330
Ulanowski Ignacy 187
Umiński Wojciech 137
Urbanowski Stanisław 350

Waga Kazimierz 328
Walden de ks. 220
Walicki Józef 335
Waligórski Wacław 175
Wandalowski Antoni 350
Wasilewski Gustaw 177
Wasilewski Józef 352
Wasilewski Stanisław 352,
Wasilewski Wincenty 144, 151, 348
Waskiewicz Teofil 352
Wernikowski Konstanty 353
Weryha lub Weryho Artenjusz 193, 335
Wielobycki Lucjan 136, 348, fig. 42
Wielobycki Stanisław 204, 328
Wielohorski Michał 141, 151, fig. 57
Wielohorski Mieczysław 335
Wielohorski Władysław 218
Wilczewski Ignacy 353
Winiarski Władysław 154, 323
Winkler Władysław 328
Wiszniewski Cezary 206
Wiśniewski Leopold 323
Wiśniewski Roman fig. 42
Wiśniewski Stanisław 136, 348
Witkiewiczów rodzina 118, fig. 29
Witkowski Roman 350
Witkowski Stanisław 342
Witkowski Szczęsny 350, 353
Witwicki Władysław 353
Wohl Henryk 142, 156, 170, 202, 328
Wojewódzki Juljan 335
Wojno Ksawery 342
Wojsiatycz Józef 335
Wojszycki Erazm 352
Wokulski wojskowy 138
Wolanin Józef 342
Wolański Stanisław 348
Wolski Stanisław 323
Wołodźko Władysław 335
Woronow 115 fig. 27
Woyczyński Tadeusz 340
Wroński Władysław 353
Wyhowski Stefan 206
Wyhowski Henryk 350
Wyhowski Józef 350
Wyhowski Stefan 348
Wysocki Marceli 350

Zabawski Wojciech 352
Zaborowski Antoni 352
Zagórski Adam 348
Zajączkowski Wiktor 324, 348
Zajączkowski Wincenty 329
Zalewski Stanisław 348
Zamościcki 352
Zapolski Edmund 335
Zarzecki Władysław 329
Zawalski Józef 348
Zdzienicki 329
Zejfryd Bolesław 324
Zenowicz Despot Aleksander 153, 340, fig. 11
Zieliński Franciszek 191, 329
Zielonko 352
Zienkowicz Feliks 138, 142, 170, 335, fig. 33
Złotkowski Walery 348
Zolkowski Władysław 353
Zwierzchowski 329
Zwoliński Mikołaj 109, fig. 23

Żaliar (Jalliard) Juljan 330
Żmijewski 165
Żołądkowski Edmund 353
Żołądkowski Jan 329
Żurakowski Marek 226, 348
Żurakowski Melchjor 348
Żurkowski 329

SPIS RZECZY.

Str.

Rozdział I.

Wyjazd na Syberję dnia 2/14 września 1863 roku. Podróż etapami i pocztą włościańską do Tobolska 5

Rozdział II.

Pobyt w Tobolsku. Ciężka choroba żony. Parostatkiem do Tomska i powtórna choroba żony. Władze zniewalają do przyśpieszenia wyjazdu. Przybycie do Irkucka. Przeznaczenie nas do ciężkich robót w Usolju 65

Rozdział III.

Pobyt na Syberji do początku 1869 roku. Przeniesienie do Rosji. W Galiczu i Kostromie. Odwiedzenie stron rodzinnych. Wyjazd z Kostromy w połowie 1873 r. 131

Indeks osób 357



ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
DOM
D No 266947

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
30664/2